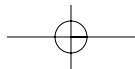
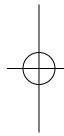
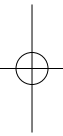


ADAM DANIEL
ROTFELD

W POSZUKIWANIU
STRATEGII



ADAM DANIEL
ROTFELD

W POSZUKIWANIU
STRATEGII

SPIS RZECZY

Od Autora 7

Poszukiwanie strategii

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Maciej Stasiński 13

CZĘŚĆ I. MIĘDZY ŁADEM A BEZŁADEM 39

W poszukiwaniu nowych reguł 41

Jak myśli i koncepcje kształtują świat

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski 71

Mit Jałty. Suma wszystkich kryzysów

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają Jerzy Borowczyk i Michał Larek 85

Czy marksizm umarł? Gdy myślę: Leszek Kołakowski

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski 105

CZĘŚĆ II. STRATEGIA OBLĘŻONEJ TWIERDZY 135

Rosja: strategia oblężonej twierdzy 137

Rosja a nowy porządek międzynarodowy

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Zaborowski 183

Jeszcze nie wszystkie błędy zostały popełnione

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają Piotr Brysacz i Jędrzej Morawiecki 211

Pamięć nie jest jedna... 237

CZĘŚĆ III. EUROPEJSKIE DYLEMATY 247

Europa: wspólne wartości a pamięć historyczna 249

Życie wymusza zmianę

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Piotr Kubasiak 269

Między Wschodem a Zachodem? Miejsce Polski w Europie 281

CZĘŚĆ IV. LUDZIE I IDEE 291

Jan Gottlieb Bloch (1836-1902). Pozytywista i wizjoner 293

Metropolita Andrzej (1865-1944)

i archimandryta Klemens (1869-1951) Szeptyccy. Obcy wśród swoich 303

Rafał Lemkin (1900-1959). Ludobójstwo w koncepcji Lemkina 317

Jan Karski (1914-2000). Bohater naszych czasów 325

Jan Paweł II (1920-2005). „Ile dywizji ma papież?”

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski 329

Jerzy Pomianowski (1921-2016). Pragmatyczny romantyk 343

Zbigniew Brzeziński (1928-2017)

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Paweł Smoleński 347

Jerzy Bahr (1944-2016). Ambasador 353

CZĘŚĆ V. PRZESIANE PRZEZ PAMIĘĆ 357

Śmierć spóźnia się o minutę

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Teresa Torańska 359

Świat okazał się inny niż myśleliśmy

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają

Edward Chudziński, Adam Komorowski i Filip Ratkowski 413

Indeks osób 457



Adrian

Od Autora

Prezentowane w zbiorze studia, eseje, artykuły i rozmowy nosiły początkowo roboczy tytuł: *Jutro zaczęło się dziś...* Intencją autora było postawienie w centrum uwagi Czytelnika faktu, że cały system stosunków między państwami, a w szczególności bezpieczeństwo międzynarodowe nie jest zbiorem przypadkowych zdarzeń czy czynników statycznych, ale dynamicznym procesem, na który składa się mnogość zjawisk natury politycznej i gospodarczej, wojskowej i demograficznej, społecznej i psychologicznej. W ostatniej dekadzie nałożyły się na tę nową rzeczywistość czynniki związane z rewolucją w sferze informatyki oraz kształtowaniem nowej tożsamości narodowej, które obejmują pamięć indywidualną i zbiorową całych grup społecznych – etnicznych, religijnych i kulturowo-cywilizacyjnych. Wreszcie, nie bez znaczenia okazały się osobiste cechy i charaktery przywódców, którzy dla pozyskania popularności rzadziej odwołują się do argumentów racjonalnych niż do pobudzania emocji i poszerzania w ten sposób własnego elektoratu. Wirtualna „rzeczywistość” i zwykłe kłamstwa, czyli tzw. *fake newsy* coraz częściej zastępują fakty i realia. Zaciera się granica między tym, co wewnętrzne, a tym, co zewnętrzne. Polityka zagraniczna staje się instrumentem uprawiania polityki wewnętrznej.

Zagrożenia i konflikty rodzą się wewnątrz państw, a nie między nimi. Jest to jedna z przyczyn tego, że tracą na znaczeniu instytucje bezpieczeństwa międzynarodowego. Bowiem ich instrumentarium nie jest do-

stosowane do rozwiązywania problemów wewnętrznych. Z tego względu ze zbioru zamieszczonych esejów i studiów wyeliminowałem te teksty, w których zajmowałem się rolą i znaczeniem ONZ, NATO, Unią Europejską i OBWE.

Wielu badaczy i analityków bezpieczeństwa przywiązuje nadmierną wagę do instytucji, norm i procedur w przekonaniu, że np. rewizja Karty Narodów Zjednoczonych uczyniłaby ONZ organizacją bardziej efektywną. Mam w tej mierze inny pogląd. To nie dokumenty – uroczyste deklaracje, nowe normy oraz procedury – zmieniają polityczną rzeczywistość, ale realne układy sił i interesów oraz wartości kształtują nowy porządek międzynarodowy.

Refleksje poświęcone tej sprawie znalazły się w części I prezentowanego tomu zatytułowanej *Między ładem a bezładem*. Przywołuję tam cztery reguły prymatu, jakie papież Franciszek zdefiniował w swoich rozważaniach na temat współczesnego życia społecznego: prymat czasu nad przestrzenią; rzeczywistości nad ideami; pokoju nad konfliktami oraz całości nad częścią. Innymi słowy, dla zrozumienia tego, co dzieje się we współczesnym świecie kategorią kluczową jest *zmiana*¹ oraz *transformacje*, które zachodzą *wewnątrz* państw. Oddziałują one w dalszej kolejności na stosunki *między* państwami, a w szczególności na relacje między głównymi aktorami sceny międzynarodowej – na linii USA–Chiny–Rosja–Unia Europejska. Tłumaczy to wybór przez Rosję strategii „obleżonej twierdzy” (Stany Zjednoczone oraz państwa z Rosją sąsiadujące przedstawiane są jako wrogowie zewnętrzni). Refleksje obejmujące tę problematykę zamieszczone zostały w II części pt. *Strategia obleżonej twierdzy*.

W tym kontekście na znaczeniu zyskały problemy związane z tożsamością narodową określaną głównie poprzez historię oraz pamięć naznaczoną dramatami, tragediami ostatniego stulecia – zwłaszcza w stosunkach Polski z najbliższymi sąsiadami. Na wschodzie – głównie z Rosją i Ukrainą, na zachodzie – z Niemcami.

¹ W eseju pt. *Profesor Rotfeld – badacz i negocjator* prof. Roman Kuźniar pisał przez 15 lat: „Być może najbardziej charakterystyczną cechą myślenia Adama Daniela Rotfelda o rzeczywistości międzynarodowej – w tym o bezpieczeństwie – jest koncentracja na zmianie, jej czynnikach sprawczych, uwarunkowaniach i parametrach”. Esej zamieszczono w tomie: *Bezpieczeństwo międzynarodowe czasu przemian. Zagrożenia – koncepcje – instytucje*, red. R. Kuźniar i Z. Lachowski, PISM, Warszawa 2003, s. 613-614; przyp. red.

W konflikcie między Rosją a Ukrainą Polska opowiedziała się jednoznacznie za demokratycznym i proeuropejskim wyborem, którego dokonali Ukraińcy, co – w oczach Rosji – miało uzasadniać rosyjską agresję z 2014 roku. Inkorporacja Krymu do Federacji Rosyjskiej – w ocenie wszystkich odpowiedzialnych sił polskiej sceny politycznej – jest podważaniem fundamentalnych norm prawa międzynarodowego oraz zasad Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dotyczy to w szczególności obowiązku poszanowania zasad nienaruszalności granic i integralności terytorialnej. Sprawy te są przedmiotem rozważań zamieszczonych w części III pt. *Europejskie dylematy*.

W tomie znalazły się również sylwetki kilku polskich myślicieli, którzy na różnych etapach historii wnieśli nieprzeciętny wkład w kształtowanie świata tolerancyjnego, sprawiedliwego, bez wojen – opartego na respektowaniu wartości i prawa. Oprócz Jana Pawła II – pierwszego w dziejach Kościoła papieża Polaka – są to postacie, których idee i dzieło życia odciśnęły swoje piętno na normach zachowania państw we współczesnym świecie: Jan G. Bloch, Rafał Lemkin, bracia Andrzej i Klemens Szeptyccy, Jan Karski i Zbigniew Brzeziński.

Tom otwiera rozmowa (opublikowana w skróconej wersji na łamach „Gazety Wyborczej” z 12-13 maja 2018 roku pt.: *Nie powstaną Zjednoczone Stany Europy. Polska została przeorana zbyt głęboko*). Jest to próba syntetycznego ujęcia i ukazania „z lotu ptaka”, jak przeplatanie się problemów wewnętrznych i zewnętrznych kształtuje nową rzeczywistość polityczną. Całość zamykają fragmenty wspomnień zamieszczone w części końcowej pt. *Przesiane przez pamięć*.

Do publikowanych w książce tekstów nie wprowadzono żadnych zmian – z wyjątkiem kilku skrótów uzasadnionych powtórzeniem myśli i zwrotów już wyrażonych we wcześniejszych esejach i rozmowach. Opuszczenia te każdorazowo zaznaczono wielokropkiem. Źródła pierwodruku są odnotowane na ostatniej stronie każdego z zamieszczonych w zbiorze tekstów.

Książka nie jest jedynie dokumentacyjnym zapisem przemyśleń ogłoszonych drukiem i rozproszonych w periodykach oraz drukach zwartych w ciągu ostatniej dekady; stanowi ona logiczną całość, która może ułatwić zrozumienie nie tylko poszczególnych problemów, ale również dróg, sposobów kształtowania się nowego porządku międzynarodowego jako całości.

Naiwne były oczekiwania, by postulowane zwołanie w 200. rocznicę Kongresu Wiedeńskiego nowego spotkania na szczycie w Wiedniu, Berlinie czy Paryżu miało zapoczątkować nowy ład międzynarodowy, który odpowiadałby potrzebom XXI wieku. Sukces tego typu spotkań w mniejszym stopniu zależy od składu uczestników, miejsca i oprawy medialnej, a w większej od tego, czy osiągnięte porozumienia wyrażają w sposób adekwatny nową rzeczywistość. I jakkolwiek zrozumiąta jest nostalgia przywódców mocarstw globalnych, by powtórzyć osiągnięcia swoich poprzedników z czasów Koncertu Wielkich Mocarstw i narzucić ponownie Europie swoje strefy wpływów czy też „uprzywilejowanych interesów” (stanowi to oficjalne uzasadnienie do prób narzucenia Ukrainie „ograniczonej suwerenności”) – to przecież świat XXI wieku różni się w sposób zasadniczy od Europy czasów Kongresu Wiedeńskiego z 1815 roku.

Zawracanie koła historii nie jest nową strategią. Takie podejście ze swej istoty skazane jest na niepowodzenie. W ramach Unii Europejskiej oraz NATO, w OBWE i w poszczególnych państwach pojawia się wiele inicjatyw, pomysłów oraz raportów, koncepcji opracowanych przez ekspertów, jak zapobiec nowej zimnej wojnie i nowemu wyścigowi zbrojeń. Na ogół są to opracowania spójne, logiczne i atrakcyjne w prezentacji. Rzecz w tym, że nowa rzeczywistość nie układa się w ramy tych planów i postulatów, których korzenie wyrastają z minionych doświadczeń świata dwubiegunowego, z konfrontacji ideologicznej między Wschodem a Zachodem, między Moskwą a Waszyngtonem. Nowa rzeczywistość nie jest spójna, logiczna, nie układa się w żaden model. Upadek systemu komunistycznego był rezultatem jego nieskuteczności, nieudolności i niedostosowania do potrzeb modernizacji.

Transformacja ustrojowa jest procesem trudnym w realizacji, bolesnym społecznie i niepewnym. Narażonym na przewlekłe choroby oligarchizacji, korupcji i pauperyzacji milionów ludzi. Odpowiedzią rządzących są niedemokratyczne sposoby sprawowania władzy oraz jej autorytaryzm. Tak stało się w Chinach, których prezydent Xi Jinping otrzymał legitymację dożywotniego sprawowania władzy; w Rosji Władimir Putin wybrany w marcu 2018 roku na kolejną kadencję do 2024 roku, czyli w niekontrolowany sposób będzie pozostawał u władzy przez 24 lata; w Turcji – prezydent Recep Erdoğan, jego Partia Sprawiedliwości i Rozwoju od 15 lat traktuje instytucje państwa prawa jako swoistą dekorację.

Ten sposób zarządzania milionami obywateli okazał się zaraźliwy również w państwach o długich tradycjach rządów prawa i demokracji, by wspomnieć choćby wieloletnie rządy Silvio Berlusconi, który szykuje się do ponownego przejęcia władzy we Włoszech – mimo ciężących na nim sądowych wyroków.

W Stanach Zjednoczonych – po wyborze prezydenta Donalda Trumpa – w godzinie próby instytucje amerykańskiej demokracji oraz prawa sprawdziły się. Zapewniły respektowanie konstytucji i trójpodział władzy. Jak pisał w swym eseju amerykański historyk Timothy Snyder bezpośrednio po wyborach: Ojcowie założyciele wiedzieli (...), że już „Arystoteles ostrzegał przed niestabilnością wynikającą z nierówności, a Platon uważał, że demagodzy wykorzystują wolność słowa, by stać się tyranami”².

Od zakończenia II wojny światowej minęło ponad 73 lata. Wyrosły nowe pokolenia, dla których doświadczenia wojen w Korei, Indochinach czy na Bliskim Wschodzie i w Zatoce Perskiej są znacznie bliższe niż pokonanie Hitlera oraz jego sojuszników. Jednak żadna z tych wojen nie przyniosła demokratyzacji w efekcie usunięcia despotycznych rządów, jak stało się to w Europie Zachodniej po 1945 roku i w Europie Środkowo-Wschodniej po 1989 roku. Instytucjonalnym wyrazem było przystąpienie tych państw do Unii Europejskiej i członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim.

Zamieszczone w tomie studia, eseje, rozmowy przypominają, że nie jest dane raz na zawsze. Obserwujemy dziś na Wschodzie i na Zachodzie deklaracyjny powrót do nisz narodowych oraz suwerenności, a zarazem ucieczkę od odpowiedzialności; powrót do historii, ale ucieczkę od prawdy historycznej – *ucieczkę od wolności*, którą tak trafnie dostrzegli w Niemczech przed 80 laty Erich Fromm, Victor Klemperer i wielu innych wybitnych niemieckich myślicieli.

Ma rację Anna Wolff-Powęska, gdy odnotowuje w jednym ze swoich esejów, że Włochy wykreowały się po wojnie na pierwszą ofiarę faszyzmu, podobnie jak Austria na pierwszą ofiarę Hitlera³. Jedną z myśli przewodnich w prezentowanych tekstach jest to, że historia – jeśli ma być

² T. Snyder: *On Tyranny. Twenty Lessons from the Twentieth Century*, wyd. polskie: *O tyranii. Dwadzieścia lekcji z dwudziestego wieku*, Znak Horyzont, Kraków 2017, s. 9.

³ A. Wolff-Powęska: *Polacy-Niemcy. Sąsiedzi pod specjalnym nadzorem*. Wyd. Poznańskie 2018, str. 168.

12 OD AUTORA

„nauczycielką życia”, jak postulował Cynceron – powinna być ukazywana w całości, ze wszystkimi kartami sławy i chwały, ale też bez ukrywania czy wymazywania tego, co wywołuje uczucie wstydu i stanowi czarną plamę w naszych dziejach najnowszych.

* * *

Na zakończenie: serdeczne podziękowania pani Katarzynie Rawskiej-Góreckiej i redaktor Edycie Banaszkiwicz, których pomoc i wysoki profesjonalizm sprawiły, że książka – mimo rozlicznych przeszkód – ukazała się w planowanym terminie.

Dziękuję też władzom Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego i dyrekcji Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, które stworzyły stosowne warunki do pracy nad publikowanym zbiorem.



Adam Daniel Rotfeld
Stawinoga, czerwiec 2018 r.

Poszukiwanie strategii

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Maciej Stasiński

MACIEJ STASIŃSKI: *Madeleine Albright opublikowała niedawno na łamach „The New York Times” (6 kwietnia 2018 roku) esej, którego główne przesłanie brzmiało: „W istocie, faszyzm i tendencje, które prowadzą do faszyzmu stanowią dziś znacznie poważniejsze zagrożenie niż w jakimkolwiek innym okresie od czasów zakończenia II wojny światowej”. Politycy, intelektualiści, opinia publiczna odczuwają nadciągające niebezpieczeństwa, ale nie są w stanie skutecznie przeciwdziałać temu, co nie jest dla nich jasne, zrozumiałe i przewidywalne. Dlaczego?*

ADAM DANIEL ROTFELD: Dotyka Pan sprawy kluczowej. To poczucie narastającej trwogi i strachu przed zmianą na gorsze ma wiele przyczyn. Najpoważniejsze obawy wiążą się z niekontrolowanym staczaniem się świata w otchłań wojny. Od zakończenia II wojny światowej, która była największym kataklizmem w historii ludzkości, minęły 73 lata. Odchodzą ostatni świadkowie tego, co się wówczas wydarzyło. Wyrosło kilka nowych pokoleń, dla których doświadczenie ludobójstwa obu totalitaryzmów – hitlerowskiego i stalinowskiego – są częścią wiedzy zaczerpniętej z podręczników historii.

Historii nie zmienimy. Dziś wojna czy stan wojenny z czasów PRL to dla młodych ballada o żelaznym wilku. O Hannibalu uczniowie czytają na stronie 6, a o drugiej wojnie na 39 podręcznika do historii. Kształcenie

14 POSZUKIWANIE STRATEGII

ludzi, którzy przejmą stery rządów, powinno być oczkiem w głowie tych, którzy sprawują władzę i myślą w sposób odpowiedzialny o przyszłości własnego narodu.

Wojna to kataklizm. Nie istnieje inny wstrząs porównywalny do wojny. Jedyną alternatywą jest pokój. Po 1945 roku pokutowało przekonanie, że zwycięstwo nad Niemcami i Japonią kończy epokę wielkich wojen. W rzeczywistości okazało się, że świat wkroczył w epokę wojen, które mają swój początek, ale nie mają końca (Korea, Indie–Pakistan, Bliski Wschód, Zatocka Perska).

Jak, Pana zdaniem, należałoby reagować na tę nową rzeczywistość?

Nic nie jest przesądzone raz na zawsze i nic nie jest wykluczone. Instrumenty i sposoby prowadzenia wojen zmieniają się znacznie szybciej niż natura ludzka. Każde pokolenie tworzy na nowo swój system bezpieczeństwa i porządku międzynarodowego.

Politycy, którzy podejmują decyzje, nie uświadomili sobie i nie przetrwali jakościowej zmiany: w dzisiejszym świecie wojny biorą swój początek w konfliktach wewnątrz państw, a nie między nimi. Z czasem konflikty wewnętrzne – jak choćby w byłej Jugosławii, Związku Radzieckim, Iraku, Afganistanie czy Syrii – wciągają innych aktorów sceny międzynarodowej. Zrozumienie tej nowej sytuacji miałoby fundamentalne znaczenie dla zapobiegania międzynarodowym konfliktom zbrojnym. Wiąże się z tym kolejny nowy czynnik, a mianowicie to nie decyzje mocarstw z zakresu polityki zagranicznej mają decydujące znaczenie dla bezpieczeństwa państw i ich miejsca w świecie, ale ich polityka wewnętrzna. Dotyczy to w równej mierze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, co Rosji, Turcji, Węgier i innych państw naszego regionu. Z natury rzeczy dotyczy to również Polski.

*Mówi Pan, że polityka zagraniczna straciła swoją dawną rolę. Zaczęła służyć polityce wewnętrznej. Ale kiedyś bywała tak autonomiczna, że o wojnie czy pokoju na całym kontynencie decydowało kilkudziesięciu mężczyzn w sile wieku, lordów czy arystokratów, którzy z nikim decyzji nie musieli konsultować. Tak wybuchła I wojna światowa, o czym pisze Christopher Clark w książce *Lunacy*, a w Polsce Włodzimierz Borodziej i Maciej Górny w *Naszej Wojnie*. Tom I. Imperia.*

Świat przed pierwszą wojną wyglądał zupełnie inaczej. Od Kongresu Wiedeńskiego kończącego wojny napoleońskie w 1815 roku do 1914 roku w Europie pilnowało istniejącego porządku Święte Przymierze (Rosja, Austria i Prusy) oraz Koncert Mocarstw Europejskich, które dokonały między sobą podziału świata na strefy wpływów. To globalne mocarstwa były wtedy prawdziwymi podmiotami polityki międzynarodowej. Pokój westfalski (1648) kończył epokę wojen religijnych w Europie i ustanawiał nowe reguły, zgodnie z którymi to nie księstwa, miasta, królestwa, klasztory czy kościoły, ale państwa stały się jedynymi podmiotami prawa międzynarodowego. Z kolei rok 1918 był początkiem końca epoki kolonialnej. Rozpały się dwa kontynentalne imperia – Austro-Węgry i Imperium Otomańskie. Została Rosja, która uległa wewnętrznej implozji w wyniku rewolucji bolszewickiej. W 1922 roku Rosyjska Federacja przybrała nową nazwę – Związek Sowieckich Socjalistycznych Republik. Po krótkim okresie rewitalizacji języków i narodowych kultur na zagarniętych przez Rosję obszarach Azji Środkowej, Kaukazu i Ukrainy, Stalin zaczął zwalczać te narodowe aspiracje. W budowie nowego mocarstwa dostrzegł raczej zalety rusyfikacji niż pielęgnowania kultur narodowych. Dopiero Jelcyn – w walce o przywództwo z Gorbaczowem – uznał, że wystarczy mu być przywódcą samej Rosji, czyli Rosyjskiej Federacji. Wspólnie ze Stanisławem Szuszkiewiczem i Leonidem Krawczukiem ogłosił w Białowieży rozwiązanie ZSRR. Na marginesie: Aleksander Sołżenicyn też uważał, że Rosja powinna pozbyć się balastu niesłowiańskich republik. Taki był koniec sowieckiego imperium. Pod rządami Władimira Putina Rosja stała się nowym centrum grawitacji, do którego ciężą zależne od niej dyktatury i satrapie Azji Środkowej. Kiedy na Białorusi Łukaszenka obalił Szuszkiewicza, zaczął marzyć o tym, by zostać wiceprezydentem tzw. ZBiR-u, czyli Związku Białorusi i Rosji. Następca Jelcyna – Putin oświadczył bezceremonialnie, że „białoruska mucha nie będzie siadać na rosyjskim kotlecie”.

Putin buduje nowe imperium rosyjskie według reguł określonych przez siebie samego.

„Perłą w koronie” tego imperium miała pozostać Ukraina. Kiedy jednak Kijów obrał własną drogę rozwoju, Rosja postanowiła zatrzymać – a właściwie odebrać – Ukrainie Krym, skoro Ukraina obrała orientację prozachodnią.

Była to reakcja na rozwój wypadków, czy też decyzja strategiczna?

Putin nie jest strategiem. Jest taktykiem. Stworzył pseudo-demokrację i całkowicie od niego zależny system oligarchiczny. Ten system sprzyja korupcji na gigantyczną skalę i blokuje modernizację państwa. Powstała *wiertkala władzi* – piramida, czyli „postkomunistyczne państwo mafijne”, jak zdefiniował Węgry Viktora Orbána były minister edukacji, Bálint Magyar.

Pytałem kiedyś pod koniec lat 90. XX wieku Jewgienija Primakowa: „Dlaczego nie zerwiecie z regułami stalinowskiej Rosji, która była niejako upostaciowieniem immanentnego zła? I nie pozwolicie na rządy demokratyczne? Taki wybór sprawiłby, że Zachód przyjąłby was do demokratycznej wspólnoty z otwartymi ramionami”.

On na to: „W Rosji to się nie uda. Prawdziwa demokracja w Rosji nieuchronnie będzie prowadzić do anarchii, bezhołowia, buntów i przelewu krwi na masową skalę. Demokracja w Rosji może być tylko narzucona z góry. Nie możemy powielić demokracji zachodniej. Rosja to nie Anglia, u nas nie było Magna Charta Libertatum. Musimy iść własną rosyjską drogą suwerennej demokracji”. To Primakow był autorem tego pojęcia „suwerenna demokracja”.

A Putin?

Putin jest uczniem i spadkobiercą myśli Primakowa. Po przejściu władzy zachował się wobec Jelcyna i jego rodziny lojalnie. Zapewnił im nietykalność i bezkarność za naruszenia prawa. Ale skończył z *siemibojarszczyzną*: siedmiu „bojarów” przepędził, a jednego zbuntowanego – Chodorkowskiego – posadził. Jest autokratą, który stworzył system bez alternatywy. Boi się, że bez niego cały ten gmach runie, rozpadnie się z braku idei scalającej współczesną Rosję, a zarazem targaną silnymi tendencjami odśrodkowymi. Nowym lepiszczem ma być promowany mit narodu bez skazy i zmayı. Wyzwoliciele Europy.

Jest spadkobiercą ZSRR czy Rosji carów?

Jedno i drugie. Ale buduje imperium rosyjskie, nie radzieckie. Z drugiej wojny światowej Rosja wyszła jako militarna potęga i gospodarczy ka-



Spotkanie z Jewgienijem Primakowem, byłym premierem i ministrem spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej; od prawej: ambasador Rolf Ekéus, przewodniczący Rady Zarządzającej SIPRI, były szef agencji ONZ – UNSCOM, Adam D. Rotfeld – dyrektor SIPRI (po lewej), Sztokholm, grudzień 2000 r.

rzeń. Zmilitaryzowane było wszystko – nawet fabryki cukierków. Jednak nie znam żadnego produktu, żadnego wynalazku na potrzeby gospodarki wojennej, który służyłby zwykłym ludzkim potrzebom. Zmilitaryzowana gospodarka zaspokajała potrzeby agresywnego molocha, dla którego wojna była sposobem na życie. Tak powstał świat antagonistyczny, dychotomiczny, dwubiegunowy – komunizm vs antykomunizm.

Po śmierci Stalina Chruszczow porzucił koncepcję o nieuchronności wojny. Rozpoczął się rozkład komunistycznego totalitaryzmu. Wojny chińsko-sowieckie na Dalekim Wschodzie sygnalizowały światu, że nie jest to konfrontacja ideologiczna, ale rywalizacja dwóch totalitarnych mocarstw o terytorium i zasoby.

Tymczasem w Europie następowała instytucjonalizacja podziału. Celem Chruszczowa była neutralizacja Niemiec za cenę ich zjednoczenia – na wzór gwarantowanej przez cztery wielkie mocarstwa wieczystej neutralności Austrii. Przystąpienie Niemiec Zachodnich do NATO i powstanie Układu Warszawskiego otwierało nowy etap budowy powojennego porządku w Europie, którego ukoronowaniem było zwołanie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy oraz podpisanie w Helsinkach na najwyższym szczeblu przez przywódców 35 państw Europy i Ameryki Północnej Aktu Końcowego KBWE.

Czy dziś – w 30 lat po upadku ZSRR – kroi się współczesny koncert mocarstw? Wiele wskazuje na to, że Rosja do tego właśnie dąży...

To prawda. Po rozpadzie ZSRR skończyła się zimna wojna. Co więcej – skończył się też okres postzimnowojenny. Mijają lata, ale czasy, w których żyjemy, nie mają jeszcze swojej nazwy. Pożądany byłby porządek oparty na współzależności. Państwa mogłyby przyjąć wspólny system wartości. Za czasów Jelcyna było to jeszcze możliwe, pod rządami Putina – nie.

Putin – jak powiedziałem – zbudował ustrój bezalternatywny. Bał się Niemcowa, Jawlińskiego, a teraz Nawalnego. Bał się, chociaż prawdopodobieństwo, że któryś z nich wygra wybory była bliska zeru – zagrożenie polegało na tym, że ich równoprawny udział otwierał drogę obywatelom Rosji, by po raz pierwszy dokonywali swobodnego wyboru. Putin ma inną koncepcję budowy wielkiej Rosji: Zachód będzie szanował Rosję tylko wtedy, kiedy się będzie jej bał. Nie jest to strategia odstraszenia, tylko zastraszenia.

Czy w Rosji liberałowie mają do odegrania rolę?

Owszem. Są to wąskie elity, które nie mają szerszego społecznego poparcia. Piszą ekspertyzy, doradzają. Uważają, że Rosja powinna stać się atrakcyjna dla świata zewnętrznego, a nie budzić postrach. Postulują, by Putin kolejną kadencję wykorzystał do przebudowy i modernizacji.

Aleksiej Kudrin, bliski współpracownik Putina i szef jego Centrum Opracowań Strategicznych mówi otwarcie, że głównym wyzwaniem dla Rosji nie są zagrożenia zewnętrzne, ale zapóźnienie rozwojowe. Głosi publicznie, że Rosja nie może tak wiele wydawać na zbrojenia, bo to blokuje reformy – nie starcza na modernizację i nowoczesne państwo. To są słowa.

W praktyce Rosja nigdy nie przystąpiła do poważnej transformacji. Jak mówią Rosjanie, „siedzimy na igle, czyli na kroplówce z ropy i gazu”. Reformy były podejmowane za czasów Piotra Wielkiego, Katarzyny II, Stołypina. Nigdy się nie powiodły. Stalinowska industrializacja, a właściwie militaryzacja była oparta na terrorze, pracy niewolniczej, sile i strachu.

Putin mówił niedawno w telewizji rosyjskiej: „Rosja to jedno z dwóch światowych mocarstw rakietowo-nuklearnych; nie pozwolimy odsuwać nas na bok. Przodkowie zostawili nam Wielką Rosję i naszym obowiązkiem jest ją zachować”. I dodał: „Jeśli świat miałby się obyć bez Rosji jako hegemon, to po co nam taki świat!?”

Timothy Snyder w swojej nowej książce o konfrontacji Rosji z Zachodem określa politykę rosyjską jako „wieczną” (*politics of eternity*), a politykę Zachodu jako „nieuchronną” (*politics of inevitability*). W obu przypadkach mamy do czynienia z elementem pewnego bezwładu, z inercją. Dla Rosji i Rosjan atrakcyjna jest autokracja ustanowiona w Chinach. Jednak Rosja to nie Chiny. Mentalności Chińczyków i Rosjan różnią się radykalnie. Z kolei sposób sprawowania władzy w Rosji odpowiada dyktatorom w dawnych republikach środkowoazjatyckich – Kazachstanie, Uzbekistanie, Kirgizji, Tadżykistanie, Turkmenistanie czy Azerbejdżanie.

Demokratyczne sposoby podejmowania decyzji wymagają czasu i respektowania procedur. Sprawiają, że Zachód wobec autorytarnej Rosji, w której decyzje podejmowane są arbitralnie i jednoosobowo, wydaje się słaby, nieporadny i mało skuteczny.

20 POSZUKIWANIE STRATEGII

Ostatnio jednak Zachód akurat się konsoliduje w sprzeciwie wobec postępowania Rosji i na Krymie, i wtrąca się w wewnętrzne procesy demokratyczne w USA, Francji czy Niemczech, i w sprawie otrucia byłego agenta Skripala w Wielkiej Brytanii.

W praktyce Rosja wspiera tych wszystkich i wszystko to, co mogłoby rozbijać jedność i solidarność demokratycznego Zachodu. Strategią Rosji jest wspieranie antyamerykanizmu – bez względu na to, pod jakimi szyldami występuje – prawicy, lewicy, anarchistów czy populistów.

Za priorytet uznano – po pierwsze – twarde wojskowe aspekty bezpieczeństwa. Putin oświadczył, że mamy nowe rakiety, które mogą dotrzeć do dowolnego punktu na kuli ziemskiej i nie są one uchwytne dla obrony przeciwrakietowej. Drugim strategicznym filarem stała się informatyka, czyli infiltracja społeczeństw zachodnich poprzez dezinformację, która niszczy od wewnątrz system odpornościowy społeczeństw zachodnich. Wspiera się na takich „przyjaciołach” jak Berlusconi we Włoszech, Marine Le Pen we Francji, Orbán na Węgrzech i wielu innych politykach różnej proweniencji w Austrii, Grecji i innych krajach NATO i UE.

Nie ma wątpliwości, że Rosja „wniosła swój wkład” do procesu wyborczego w Stanach Zjednoczonych i nie jest wykluczone, że wpłynęła na decyzję Brytyjczyków o wyjściu z Unii.

Jednak mimo przewagi rosyjskich służb specjalnych nad zachodnimi uważam, że to nie spiski, ani szpiegry zadecydują o przyszłości demokracji. Powiem wprost – nikt i nic nie zastąpi Zachodu jako kolebki wolnej myśli, gospodarki rynkowej oraz poszanowania takich wartości europejskiej cywilizacji, do których należy pluralizm polityczny, poszanowanie prawa i godności jednostki ludzkiej.

Grozi nam nowa zimna wojna?

Każde pojęcie niesie określone konotacje. „Zimną wojnę” przenikał antagonizm ideologiczny. Rację miał Raymond Aron, kiedy ponad 50 lat temu wieszczył „koniec wieku ideologii”. Świat wszedł w nową epokę współzależności. Zimną wojnę między blokiem komunistycznym a antykomunistycznym zastąpił „zimny pokój” między wspólnotami demokratycznych



Po wykładzie prof. Timothy Snydera w Muzeum Polin;
od lewej: prof. Snyder żegna się z red. Marianem Turskim, przewodniczącym Rady MHŻP,
z tyłu Adam D. Rotfeld, Warszawa, 2017 r.

22 POSZUKIWANIE STRATEGII

państw a państwami rządzonymi przez reżimy autorytarne, populistyczne, klanowe, antydemokratyczne.

Nie ma dziś wielkich ideologicznych projektów, ale ludzie wciąż szukają sensu swego życia i życia swojej wspólnoty. Kształtuje się świat nowych wzajemnych powiązań ludzi i społeczeństw. To związki sieciowe wymuszane przez nowe technologie między osobami a korporacjami, miastami, regionami i państwami.

Czy ten stan napięć, konfrontacji, a nawet konfliktów społecznych, politycznych i ekonomicznych możemy określać jako „nową zimną wojnę”? Podam przykład: po zestrzeleniu przez Turcję rosyjskiego samolotu nad Syrią stan napięcia między Rosją a Turcją był bliski wybuchu konfliktu zbrojnego. Po kilku miesiącach relacje między prezydentami Erdoğanem i Putinem powróciły do normy. Dziś w stosunkach rosyjsko-tureckich dominuje raczej bliska współpraca niż konfrontacja. Łączą je wspólne interesy i – jakkolwiek Turcja należy do NATO – jej stosunki z Rosją są dziś bodaj bliższe niż ze Stanami Zjednoczonymi.

Zmierzam do tego, że retoryka wpływa na postrzeganie rzeczywistości, ale nie tworzy jej. Decydują interesy, potencjały i wartości. Coraz większą rolę odgrywają też emocje. Poziom tych emocji przesłania u wielu współczesnych przywódców jasność myślenia i zdrowy rozsądek...

Współzależność świata wymaga uzgodnienia nowego porządku – nowej idei organizującej.

Co to znaczy?

Nie znaczy to, że potrzebujemy nowych organizacji, struktur i instytucji. ONZ istnieje od 73 lat i budzi na ogół rozczarowanie, ponieważ nie spełnia wielu oczekiwań. Ale nikt nie wymyślił niczego lepszego. Nowej Karty NZ nie da się uzgodnić. Nie te czasy. W 1945 roku pięć wielkich mocarstw narzuciło po zwycięstwie Aliantów w wojnie z Niemcami swoje reguły gry. Część tych reguł nadal zachowuje swoją wartość. Są one swego rodzaju Dekalogiem. A przecież Nowy Testament zachował dziesięć Przykazań przejętych bez zmian ze Starego Testamentu. Kierując się takim rozumowaniem w latach 2003-2005 przedstawiliśmy projekt Nowego Aktu Politycznego dla NZ na XXI wiek. Propozycję wysunął w ONZ Włodzimierz Cimoszewicz. W normalnym kraju taka idea byłaby podtrzymywana przez kolejne rządy RP. Tak się nie stało.

Czy uważa Pan, że jesteśmy skazani na chaos i nieporządek?

Świat nie jest bezładem. Nadal obowiązują podstawowe wiążące normy i reguły, zasady i umowy, porozumienia i traktaty, które należy respektować. Arogancja niektórych mocarstw polega na tym, że uważają one, że traktaty są częścią przedstawienia teatralnego dla publiczności – na użytek maluczkich, a nie po to, by ich przestrzegać. Tak przecież postąpili sygnatariusze Memorandum Budapeszteńskiego (1994), gdy zapewniali gwarancje suwerenności Ukrainy w zamian za to, że zrzeknie się broni nuklearnej.

O nowy ład musimy zabiegać. W tej mierze małe i średnie kraje mają do odegrania swoją rolę. Niekiedy taką rolę odgrywają wybitne jednostki. Polski myśliciel, finansista, a zarazem pacyfista Jan Gottlieb Bloch w końcu XIX wieku opracował sześciotomowe dzieło pt. *Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym* – manifest nowoczesnego pacyfizmu z postulatami rozbrojenia, wyrzeczenia się użycia siły i międzynarodowego arbitrażu. Bloch był współinicjatorem pierwszej konferencji pokojowej w Hadze i przyjętych wówczas konwencji. Z kolei po odzyskaniu niepodległości August Zaleski zgłaszał w Lidze Narodów projekty zahamowania wyścigu zbrojeń i wychowania społeczeństw w duchu pokoju (tzw. rozbrojenie moralne). Kilka lat wcześniej Aleksander Skrzyński – po nominacji na ministra spraw zagranicznych latem 1925 roku – udał się w trzytygodniową podróż do Stanów Zjednoczonych, gdzie wygłosił 19 wykładów i udzielił 18 wywiadów, by przybliżyć amerykańskim elitom polskie racje i zyskać przychylną tamtejszej opinii publicznej. Był słuchany z wielką uwagą i zrozumieniem.

Państwa i narody, które powracają na scenę polityczną, muszą pozyskiwać przyjaciół i zrozumienie zarówno rządzących, jak i opinii publicznej.

Czy to, co się dziś dzieje, nie jest schyłkiem zjednoczonej Europy, jaką znamy ze złotego okresu powojnia?

Wbrew temu, co dziś sądzimy, po wojnie demokracje w Europie były kruche. Na porządku dziennym priorytetem stała się sprawa jedności europejskiej. Pierwszy o Stanach Zjednoczonych Europy mówił w Zurichu Winston Churchill. W Fulton 5 marca 1946 roku Churchill ostrzegł świat przed dwoma zagrożeniami – wojną i tyranią. Powiedział otwarcie: „Od Szczecina nad Bałtykiem po Triest nad Adriatykiem na kontynent opadła

24 POSZUKIWANIE STRATEGII

żelazna kurtyna”. Z czasem pojawili się inni apostołowie zjednoczenia Europy – we Francji Robert Schuman i Jean Monnet, we Włoszech – de Gasperi, w Niemczech – Adenauer. Proces ruszył – najpierw Wspólnota Węgla i Stali, Wspólny Rynek, a potem EWG. Wreszcie – Unia Europejska. Cel został zrealizowany: stworzony został taki mechanizm francusko-niemieckich współzależności, który czynił wojnę między Niemcami a Francją po prostu niemożliwą.

A co z Rosją?

W 1946 roku w tzw. długim telegramie George Kennan sformułował diagnozę, że Rosja sowiecka nie będzie dłużej sojusznikiem Zachodu. Będzie jej przeciwnikiem. W ten sposób groźba stalinowskiej ekspansji przyspieszyła zjednoczenie Europy. Było ono podyktowane nie tyle idealizmem, co nieuchronnością konfrontacji z ZSRR.

Po rozpadzie ZSRR Fukuyama pisał w swoim *Końcu Historii*, że demokracja liberalna „nie ma z kim przegrać” – bo nie ma przeciwnika. Mylił się. Okazało się, że ani politycy, ani myśliciele nie proponowali odpowiedzi na globalizację i na to wszystko, co ze sobą niosła. Globalizacja nie jest projektem ideologicznym ani koncepcją – jest zjawiskiem i skutkiem rozwoju świata. Tworzy wyzwania, w których korporacje mają niekiedy większy wpływ na bieg wydarzeń niż państwa. Mark Zuckerberg i Facebook okazały się potężniejsze niż kilkunastu mężów stanu razem wziętych. Globalizacja tworzy nowe normy i reguły życia codziennego. Rodzi to z natury rzeczy ruch przeciwny – fragmentaryzację, próbę obrony prywatności i tożsamości różnych społeczności narodowych, religijnych, kulturowych – próby obrony własnego sposobu życia.

W czym tkwi pułapka zacofania i zależności wielu państw i regionów? Przekleństwem dla wielu krajów są zasoby jednego surowca. Jest to pułapka zacofania. Przykładem Wenezuela.

Ma Pan rację w przypadku Wenezueli. Ale dlaczego dla Arabii Saudyjskiej i państw Zatoki Perskiej ta zależność od ropy naftowej nie stała się pułapką, ale źródłem ich bogactwa... Zmierzam do tego, że dziś ani zasoby surowcowe, ani rozległe terytoria nie są rozstrzygającym czynni-

kiem rozwoju. Przykład: po wojnie, która skończyła się bezwarunkową kapitulacją dwóch agresywnych mocarstw – Niemiec i Japonii – obserwowaliśmy zjawisko raczej niezwykle. Oba te kraje po zaledwie 20 latach odzyskały swoją dawną pozycję. Stało się to dzięki dyscyplinie społecznej i organizacji pracy, a nie bogactwom naturalnym; co więcej, utraciły one część swoich dawnych terytoriów. Z polskiej perspektywy interesującym przykładem nowoczesnego rozwoju jest Finlandia. Zyskała w regionie i w całej Europie autorytet dzięki temu, że z powodzeniem kształtowała wizerunek normalnego kraju.

A co sprzyja kształtowaniu takiego wizerunku?

Z całą pewnością składanie hołdu Brygadzie Świętokrzyskiej, która kolabowała w końcowej fazie wojny z Niemcami, nie służy budowie wizerunku Polski jako kraju tolerancji, otwartości i normalności. Dobry wizerunek buduje się faktami, a nie deklaracjami. Na jednym z zamkniętych posiedzeń Rady Europejskiej w 2005 roku Jacques Chirac mówił o tym, że rozszerzenie Unii było za szybkie i zbyt kosztowne. Sprzeciwił się zwiększeniu dotacji Unii dla nowo przyjmowanych państw naszej części Europy. Premier Marek Belka zareagował wówczas spontanicznie – zaoferował miliard euro na wsparcie krajów, które tego potrzebowały. W ślad za nim inne kraje regionu zaoferowały swoją pomoc. Chirac ponownie zabrał głos i zmienił zdanie. „Ta reakcja nowo przyjętych do Unii państw była dla mnie pouczającą lekcją solidarności” – oświadczył na zakończenie. W kilka dni później szef unijnej dyplomacji Javier Solana powiedział mi, że tym zachowaniem Polska weszła na inną półkę, dołączyła do sześciu najważniejszych państw w UE. Marek Belka dał przykład, jak należy budować prestiż państwa i pozycję lidera w regionie.

Mówi Pan, że o pozycji państwa w większej mierze decyduje sytuacja wewnętrzna niż relacje międzynarodowe? Dlaczego endecja ma w Polsce rząd dusz?

Bo od końca XIX wieku był to jedyny niespełniony poważny nurt polskiej polityki. Po dziś dzień odpowiada on na to, co ludziom w skali masowej w duszy gra. Od 1918 roku mamy zamrożony, odłożony i niezaspokojony popyt na endecję.

Piłsudski był wrogiem endecji. Twierdził, że nikt nam na talerzu niepodległości nie da. Powinniśmy wykorzystać koniunkturę i sami sobie ją wywalczyć. Uważał, że liczy się przede wszystkim siła zbrojna oraz zasady i wartości. Warto przypomnieć, że był człowiekiem wartości socjalistycznych.

To tłumaczy, dlaczego Piłsudski nie pomógł białej Rosji wygrać z Leninem. Wiedział, że Zachód – jeśli wygrają biali – opowie się po stronie Rosji. Priorytetem dla zachodu byłaby Rosja, a nie Polska. Endecja nienawidziła Piłsudskiego. Uważała, że sprawuje przywództwo nad odrodzoną Rzeczpospolitą bez demokratycznej legitymacji; zwycięstwo w 1920 roku nad bolszewikami endecja przemianowała na Cud nad Wisłą.

Kanadyjski historyk Paweł Brykczyński w swej książce *Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w międzywojennej Polsce* wyjaśnia wbrew polskiej historiografii, że zabójstwo Gabriela Narutowicza nie było epizodem, lecz zasadniczym wydarzeniem, które nazaczyło międzywojenne dzieje – historię Polski przed 1939 rokiem. Przewrót majowy był wymierzony głównie w endecję. Polska pod rządami sanacji nie stała się państwem demokratycznym.

Dał temu świadectwo Czesław Miłosz, kiedy w końcu lat 90. opublikował książkę *Wyprawa w dwudziestolecie* – o Polsce międzywojennej. Pisał: „Nie róbcie sobie złudzeń, Druga Rzeczpospolita to nie żadna arkadia, to jest bagaż, którzy taszczyli ze sobą”. I to Miłosz dostrzegł trafnie, że „spadkobiercą ONR-u jest partia”. Tak postrzegał czasy PRL.

Władysław Gomułka wyczuwał, że dla rosyjskich protektorów przedwojenny przywódca faszystowskiej Falangi Bolesław Piasecki był ważniejszy niż komuniści, bo reprezentował znaczną część Polaków. Gomułka sądził, że skoro endecki nurt i antysemityzm to problem żywy, należy dostosować retorykę 1968 roku do tej, która dominowała na scenie politycznej lat trzydziestych.

To był pogląd realpolityczny, bo Gomułka ani antysemitą, ani nacjonalistą nie był, a tej narodowej frakcji komunistycznej, czyli Natolina, się bał bardziej niż towarzyszy żydowskich...

Był, nie był – nie wiem. Sam fakt, że miał żonę Żydówkę świadczy o tym, że nie miał uprzedzeń. Pewne jest to, że rozumiał problem i do Stalina pisał, że za dużo w kierownictwie PZPR i na kluczowych stanowiskach towa-



Pożegnalny lunch w Białym Domu przed zakończeniem prezydentury Georga W. Busha; od lewej: prezydent Aleksander Kwaśniewski, Laura Bush, Dick Cheney, wiceprezydent USA, Adam D. Rotfeld, Waszyngton, 2005 r.

rzyszy żydowskiego pochodzenia. „Wątek żydowski” w relacjach z Rosjanami odgrywał dość istotną rolę. Można się zastanawiać, dlaczego Iwan Sierow (w czasie wojny oddelegowany do ustanawiania władzy ludowej w Polsce) tak życzliwie potraktował Bolesława Piaseckiego (bądź co bądź szefa Falangi w Polsce przedwojennej)? Dlaczego Stalin tak hołubił Wandę Wasilewską, córkę Leona Wasilewskiego, bliskiego przyjaciela Piłsudskiego? Bo oni wiedzieli, że komunizm w Polsce był naskórkowy, nie cieszył się poparciem społecznym, natomiast Wasilewska na lewicy i Piasecki na prawicy mieli licznych zwolenników.

Jarosław Kaczyński próbuje zagospodarować całą przestrzeń na prawicy. Tworzy partię, która nawiązuje do Piłsudskiego, ale też odwołuje się do Dmowskiego. Jest to bigos mało strawny i raczej bezideowy. A zarazem świadczy o intelektualnej bezradności w reagowaniu na nowe zjawiska. W efekcie – od odzyskania niepodległości, przez międzywojnie, czasy wojny, PRL i transformację, powracają kompleksy i nacjonalistyczny zaćmach, wrogość wobec obu wielkich sąsiadów – Rosjan i Niemców oraz przedwojennych mniejszości, ale przede wszystkim do Żydów – kompleksy wyższości i niższości. Niższości wobec Niemców i wyższości wobec wschodnich sąsiadów. Dodam na marginesie praktyczną radę: im mniejszy naród, tym większy należy okazywać szacunek. Takie podejście budowałoby Polskę pozycję lidera w regionie o wiele bardziej skutecznie niż postawa demonstrowanego protekcjonizmu.

Dlaczego ta umysłowość endecka jest taka żywotna?

Głównie dlatego, że jest irracjonalna. To, co rozumne, da się wyjaśnić i zrozumieć. Sprawy irracjonalne to część mentalności, którą dziedziczy się bezwiednie.

W legendę krwi chrześcijańskich dzieci zabijanych dla koszernej żydowskiej kuchni wierzy dziś w Polsce ok. 30 procent ludzi. Ta – zrodzona bodaj w Tyrolu – legenda o krwi chrześcijan wykorzystywanej rzekomo przez Żydów została potępiona przez papieży już w XII wieku; jej wyznawcy już wtedy byli obłożeni ekskomuniką. Statut Kaliski z 1264 roku gwarantujący równe prawa Żydom świadczy o tym, że Bolesław Pobożny był światlejszym władcą niż wielu naszych rodaków osiem wieków później.

W ramach tej duchowości normalne jest to, co istniało wcześniej, w rodzinie, wiosce, miasteczku, małych wspólnotach. Są to cechy przekazywane nie-

mal genetycznie. Natomiast współczesna koncepcja społeczeństwa obywatelskiego jest świeżej daty – należy bardziej do kultury politycznej, nie dziedzicznej. Nawet nie mamy świadomości, jak bardzo po wojnie Polska zmieniła się. Wojna zniszczyła nie tylko tkanekę materialną – domy, miasta, fabryki, ale największą stratą było unicestwienie elit. Przesunięta o 200 km na zachód Polska przeżyła największą migrację ludności w swoich dziejach. Pług historii przeorał Polskę gruntownie. Jako dziecko chodziłem niekiedy za pługiem. Z tego czasu zapamiętałem, że orać trzeba nie za głęboko, żeby nie wyrzucać kamieni i nie za płytko, aby nie zdzierać tylko darni. Polska została przeorana za głęboko. Jak pisał Andrzej Leder w swej *Prześnionej rewolucji* w Polsce unicestwiono warstwy miastotwórcze – Niemcy zostali wysiedleni, Żydów wymordowano. Wszystko, co nie jest zrozumiałe – obrasta mitem.

Potwierdzają to badania Joanny Tokarskiej-Bakir oraz jej ostatnia monografia o pogromie w Kielcach 1946 roku.

Te mity są żywe. Ludzie wciąż wierzą w mit Sarmatów i w różne teorie spiskowe.

Ale przecież zabobony powinny ustępować, kiedyś palono czarownice i jednak przestano...

Wykopaliska archeologiczne odkrywają jakieś głęboko ukryte pokłady psychopatologii – coś w rodzaju zamrożonych przed wiekami bakterii. Miałem wrażenie, że polski antysemityzm to rozdział zamknięty. Okazało się, że odmrożone bakterie ożyły na nowo. Antysemityzm jest chorobą, na którą nigdzie nie znaleziono prostej recepty.

We Francji cezurą była afera Dreyfusa. Na czele protestujących Francuzów stanął wówczas Emil Zola. Polska nie miała swojego Zoli. Zabójstwo Narutowicza nie odegrało tej roli, chociaż pierwszy demokratycznie wybrany polski prezydent został zamordowany tylko dlatego, że – jak głosiła endecja – „został wybrany żydowskimi głosami”. Nie mieliśmy czasu, by powstało u nas społeczeństwo obywatelskie. Dwadzieścia lat międzywojnia to za mało. Nasza dzisiejsza transformacja już trwa o połowę dłużej niż Druga Rzeczpospolita.

Socjalizm radzieckiego typu w Polsce się nie przyjął, bo został narzucony przez obcych – pozostały tylko retoryka i kostium. A przecież socjalizm w Pol-

30 POSZUKIWANIE STRATEGII

scie przed 1918 rokiem miał o wiele głębsze korzenie niż w Rosji. Inteligencja, a zwłaszcza nauczyciele tworzyli warstwę, w której idee socjalistyczne cieszyły się popularnością. Jednak wśród studentów – zwłaszcza prawa – poparciem cieszyły się hasła endecji. Dmowski godził się na asymilację wszystkich innych mniejszości, ale nie Żydów. W Drugiej Rzeczypospolitej arcywłoskim poetom – Tuwimowi, Leśmianowi, Słonimskiemu – wypominało ich żydowskie pochodzenie. Ziarna tego zatrutego drzewa antysemityzmu i darwinizmu społecznego nie zostały nigdy bez reszty wyplenione.

Dlaczego mentalność ta uwodzi młodych, wychowanych już w wolnej, liberalno-demokratycznej Polsce?

Składa się na to wiele przyczyn. Jest to jedna ze słabości naszej transformacji. Zanieśliśmy systematyczną edukację i wychowanie. Sądziliśmy, że do życia w demokracji nie trzeba nikogo przygotowywać. Demokracja nie przenika przez osmozę. Słowem – państwo, media, prasa, sfera publiczna to wielki obszar zaniedbania edukacji obywatelskiej. Miało nie być indoktrynacji i efekty mamy.

Ale przecież zaraz po przełomie 1989 mieliśmy świątłych i liberalnych przywódców, którzy prawdy nie skrywali, a odwrotnie...

Owszem i właśnie pokoleniu ojców założycieli: Kuroniowi i Mazowieckiemu, Skubiszewskiemu i Bartoszewskiemu, Geremkowi, Turowiczowi, Janowi Józefowi Lipskiemu i wielu, wielu innym zawdzięczamy 25 lat normalności. Warto pamiętać, że nigdzie w Europie postkomunistyczni liberałowie nie zdobyli samodzielnej władzy. Zrządzeniem losu w Polsce tak się stało. Co prawda rządili bardzo krótko, ale zdołali przemianom nadać kierunek. Jedną z chińskich mądrości głosi, że nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku. To rządy Unii Demokratycznej i Unii Wolności utorowały Polsce drogę do NATO i Unii Europejskiej, zapoczątkowały cywilizacyjną transformację centralnie planowanej gospodarki w wolną i – co najważniejsze – Polska uniknęła wielkiej korupcji i oligarchizacji życia publicznego.

Dlaczego zatem toczy nas nadal wirus nacjonalizmu?

Uwolnienie się od tej choroby nie jest sprawą łatwą. Wady nosimy w sobie nadal. Jednak coś się zmieniło. Jeśli w Drugiej Rzeczypospolitej przekonania te podzielała zdecydowana większość społeczeństwa, to przypuszczam, że dzisiaj blisko połowa Polaków jest proeuropejska i antynacjonalistyczna. Zmiany w świadomości następują powoli. Jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, to w przyszłość możemy patrzeć z optymizmem. Nie bez wpływu na to, co się stało były „złote myśli” niektórych przywódców Platformy: „ciepła woda w kranie”, „jeśli komuś brakuje wizji – niech idzie do okulisty” itd. Tusk głośno wyrażał przekonanie, że nie ma z kim przegrać. Należało budować Orliki i autostrady, ale nie należało się łudzić, że to rozwiąże problemy duchowości, czyli sprawy, które nadają życiu sens. Sprawy te nie rozwiążą się same. Nie samym chlebem człowiek żyje... No i przegrali i to z kretesem.

Młode pokolenie potrzebowało idei radykalnych i polityki tożsamościowej. Nowi wyborcy głosowali najpierw na Korwina, a potem na PiS i Kukiza... Platforma do tej pory siebie nie zdefiniowała w sposób jasny i wyrazisty. Polska lewica zeszła ze sceny walkowerem – na własne życzenie. Dziś, żeby Polskę modernizować, potrzebny jest Wielki Projekt – adresowany głównie do młodych i przez nich tworzony z myślą o sobie i następnych pokoleniach.

Liberałów wszędzie musi czekać taki los?

Liberałowie nigdzie nie są większością społeczeństwa. Nie odpowiadają też na wyzwania współczesnego świata. Z reguły sami siebie krytykują, biorą odpowiedzialność za całe zło, ale nie umieją mu zaradzić.

Na Węgrzech wygrał wybory autokrata i nacjonalista Viktor Orbán. To nie było żadne fatum. To się nie musiało wydarzyć. Jego zwycięstwo przygotowali socjaliści. George Soros nie musiał zostać na Węgrzech wrogiem publicznym nr 1. Przecież Orbán był liberałem i Sorosowi zawdzięcza stypendium i studia w Oksfordzie. Na Węgrzech linia podziału przebiega między miastami i wsią – między Budapesztem a prowincją. W każdym kraju konkretne przyczyny są inne.

Co stanowi nową jakość kryzysu w Unii Europejskiej?

To, co się teraz dzieje między krajami w Unii, wynika z wewnętrznych problemów poszczególnych państw. Polityka zagraniczna straciła na zna-

32 POSZUKIWANIE STRATEGII

czeniu. Stała się nie tyle funkcją, co instrumentem polityki wewnętrznej. Nasze napięcia w stosunkach z UE, USA, Ukrainą, Niemcami czy Izraelem nie biorą się przecież z ambicji ekspansjonistycznych czy też wrogiego nastawienia tych państw wobec Polski. Napięcia te rodzą się z naszych własnych wewnętrznych problemów. Tak się nie buduje własnej pozycji i autorytetu.

Tendencje, by rewidować politykę zagraniczną z powodu wewnętrznych napięć widać i w Wielkiej Brytanii, gdzie większość opowiedziała się za wyjściem z UE, i we Francji, gdzie Marine Le Pen chciała rewidować obecność w Unii, czy na Węgrzech Orbana itd.

Owszem, globalizacja zrodziła nieufność do demokratycznych instytucji państwa, które utraciły kontrolę nad gospodarką na rzecz wielkich korporacji. Ludzie poczuli się zagubieni, na tym tle pojawił się populizm i szarlatani, którzy oferują proste odpowiedzi na trudne pytania. Zamiast szukać wspólnych rozwiązań – postulują powrót do nisz narodowych.

Jaką strategię powinny obierać państwa średnie i małe?

Powinny budować swój autorytet na profesjonalizmie i dobrych relacjach z sąsiadami, sojusznikami, partnerami oraz na respektowaniu zasad. Dlaczego w organizacjach międzynarodowych tak dużo jest Norwegów, Szwedów czy Finów? Przecież nie dlatego, że to potężne kraje. Te kraje kierują się, po pierwsze, zasadą ciągłości w międzynarodowej aktywności, wysuwają kandydatów, którzy mają wsparcie głównych sił politycznych i niezależnie od tego, kto sprawuje władzę, wspierają ich; buduje to prestiż międzynarodowy tych państw. Polska miała i ma szansę na podobne umacnianie swej pozycji w świecie i budowanie dobrego wizerunku państwa.

Włodzimierz Cimoszewicz miał wielkie szanse, by zostać sekretarzem generalnym Rady Europy. Jest szanowany za niezależność myślenia, dyscyplinę intelektualną i znany z tego, że mówi prawdę w oczy – nie obrażając przy tym swoich rozmówców. Jednak gdy kandydował, nie otrzymał należnego wsparcia. Takie wsparcie wymaga nie tyle i nie tylko listów rekomendacyjnych i deklaracyjnych zapewnień, ale swoistej wzajemności: poproś waszego kandydata do tej czy innej organizacji, jeśli uzyskam od was



Panel w czasie Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa; od lewej: Hilary Clinton, Horst Teltschik, dyrektor generalny MKB, Joschka Fischer, minister spraw zagranicznych Niemiec, Adam D. Rotfeld, Monachium, luty 2005 r.

34 POSZUKIWANIE STRATEGII

przrzeczenie, że za dwa-trzy lata udzielicie wsparcia naszemu kandydatowi w innej międzynarodowej instytucji. Promowanie Polaków na wysokie stanowiska w świecie służy w praktyce skuteczniej budowaniu dobrego imienia państwa niż groźba kar za naruszanie polskich ustaw, czy też wydatkowanie milionów na różnego rodzaju fundacje reklamowe i kampanie.

Często pytania adresowane do naszych przedstawicieli za granicą są tak formułowane, aby wyprowadzić rozmówcę z równowagi. Jak Pan reagował na pytania trudne czy prowokacyjne?

Podam przykład: na marginesie sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ polscy ministrowie spotykają się w Nowym Jorku ze środowiskami polonijnymi i przedstawicielami diaspory żydowskiej. Pamiętam, że w czasie takiego właśnie spotkania pewien kongresmen z Florydy powiedział, że przedstawiciele jego elektoratu o polsko-żydowskich korzeniach prosili, aby określił, jaką strategię Stany Zjednoczone powinny obrać wobec Polski zważywszy na „polski antysemityzm”. Odpowiedziałem, że odsetek antysemitów w Polsce odpowiada zapewne średniej europejskiej. Rozumiem, że ani mieszkanka Florydy, która ma swoje gorzkie doświadczenia z czasów wojny, ani mój rozmówca nie mają najmniejszych wątpliwości, że autorami i sprawcami Zagłady na polskich obszarach okupowanych przez III Rzeszę byli Niemcy. Moja sugestia sprowadza się do tego, by Stany Zjednoczone kształtowały swoje relacje z Polską tak, jak je rozwijają z Niemcami.

Inny przykład: w 2004 roku ambasador USA w Warszawie kilkakrotnie nalegał, byśmy zawarli nową umowę o specjalnym traktowaniu żołnierzy USA w Polsce. Tzn. jeśli popełnią przestępstwo w Polsce, to będą odsyłani do USA i tam sążeni. Odpowiedziałem na to, że nie potrzeba takiej umowy, bo mamy już taką umowę o ekstradycji – z 1926 roku – odnowioną w 1996 roku. Mój rozmówca nalegał. Zapytałem, czy towarzyszy mu osoba do zapisu rozmowy. Podyktowałem w skrócie swoje argumenty. Przed wyjściem ambasador zatrzymał się na chwilę i podziękował mi. Powiedział, że stanowisko, które zająłem, sprzyja temu, by Polska była traktowana przez administrację amerykańską w sposób godny i właściwy. Ambasador wykonywał instrukcję, ale podzielał od początku nasze stanowisko.

Kiedyś na konferencji w Waszyngtonie powiedziałem, że amerykańska interwencja w Iraku i nasz w niej udział to był błąd, ale poparliśmy

Amerykanów, traktując to jako swoistą „inwestycję” w bezpieczeństwo Polski. Condoleezza Rice podeszła do mnie, podziękowała za szczerość i powiedziała, że przyjmuje moją argumentację ze zrozumieniem.

Pewien wpływowy Amerykanin, który wiele zrobił, by przełamać opory zachodnich przeciwników wejścia Polski do NATO, po latach przyjechał do Warszawy i nalegał, by przyjął go prezydent, premier i minister spraw zagranicznych. Doradzałem mu stanowczo, by zrewidował swoje oczekiwania. Zmierzam do tego, że szacunku nie zyskuje się ani obrażaniem partnerów, ani służalczością czy też swoistym klientelizmem.

My krytykujemy Niemców, naszych niegdyś najlepszych sojuszników w NATO i UE. Wypominamy im wojnę, domagamy się reparacji.

Niemiecki Instytut Historyczny w Monachium opublikował kilka lat temu 16 tomów dokumentacji polityki okupacyjnej III Rzeszy w Europie. Cztery tomy poświęcone są Polsce; tom IX dotyczy Zagłady Żydów na obszarze Generalnej Guberni. Jest to dokumentacja zbrodni z punktu widzenia sprawców, nie ofiar. Po 70 latach Niemcy zmieniły się. Są dziś innym krajem. Pogodziły się z utratą ziem wschodnich. Z trudem, bo z trudem, ale przetrwały swoją odpowiedzialność za własną historię. Stały się normalnym narodem europejskim. Może nieco nadmiernie pacyfistycznym. Wydają na zbrojenia najmniej w UE – nieco ponad 1 procent PKB. W swej strategii politycznej nie stawiają sobie za cel, by Polskę opanować czy zgermanizować. Niewiele osób w Polsce wie, że w Niemczech przekłada się więcej polskiej literatury na niemiecki niż we wszystkich pozostałych krajach Europy razem wziętych.

Niemcy się zeuropeizowały, ale nie zgermanizowały Europy, jak to zapowiadali niektórzy politycy we Włoszech czy Wielkiej Brytanii. Jest to wielka zmiana kulturowa. Oczywiście nic nie jest dane raz na zawsze. Może się po latach okazać, że jest to proces odwracalny.

Jak zjednoczona Europa ma się odrodzić?

Nie trzeba wymyślać zbyt wielu teoretycznych koncepcji. Proces europejski, na który często narzekamy, to w istocie ósmy cud świata, zielone drzewo życia. Europa jest i pozostanie związkiem państw i narodów, a nie państwem

związkowym. Nie powstaną Zjednoczone Stany Europy. Francja zostanie francuska, Włochy – włoskie, a Niemcy – niemieckie. Polska pozostanie Polską w europejskiej wspólnocie, której upostaciowieniem jest Unia Europejska.

Są też w Unii takie kraje, które by chciały mieć ciastko i zjeść je. Brać, ale w zamian nic nie dawać. Do niedawna taką politykę prowadzili Grecy. Dziś mają wielu naśladowców w naszej części Europy.

Czego brakuje w czasach zamętu i niejasności?

Ludzie pragną w takich czasach prostych i zrozumiałych idei, które organizują ich myślenie. Brakuje też przywództwa ludzi światłych, niedbających o wynik wyborczy, o doraźny osobisty sukces. Kiedyś naprawdę było inaczej. De Gaulle przegrał wybory. Także Churchill, prawdziwy polityczny gigant, przegrał wybory z mało wówczas znanym politykiem Clementem Attlee. Dziś nie mamy porównywalnych postaci na scenie europejskiej.

Czy tradycyjne wojny są w przyszłości jeszcze możliwe?

Wojny o zasoby są możliwe. O ziemię, żywność, wodę pitną. Narody biednego Południa mogą ruszyć przeciw bogatej Północy, a Chiny do Rosji po południową Syberię. Konflikty zbrojne między ZSRR a Chinami o bezludne wysepki na rzece Ussuri w latach 60. ubiegłego wieku były tego sygnałem i zapowiedzią...

Nie podpisuje się Pan pod manifestem Verhofstadta i Cohn-Bendita o federalnej ponadnarodowej Europie.

Wobec liberalnych projektów ideologicznych zgłaszam *votum separatum*. Europa – w przeciwieństwie do USA, Kanady, Australii czy Nowej Zelandii – jest kontynentem historycznych narodów i państw.

Duma i tożsamość są szczególnie silne w małych i średnich krajach, zwłaszcza tych, których narody utraciły kiedyś niepodległość. Trzeba to zrozumieć i uszanować. Narody z natury rzeczy nie rezygnują ze swoich korzeni. Ma to swoje pozytywne, ale też negatywne strony. Tożsamościowe mity są często nieracjonalne, destrukcyjne – są pożywką dla agresywnego nacjonalizmu. Przykładem była Jugosławia pod rządami Slobodana Miloševicia.

To skąd Pański optymizm, skoro nacjonalizmy rozkwitają? Co będzie jak się odrodzi idea Niemiec dla Niemców?

Polski nacjonalizm wyrasta nie tyle z rewanżyzmu, co z kompleksów. Największym sukcesem międzywojnia było edukacyjne scalenie Polski z trzech zaborów i wychowanie pokolenia patriotów, które było bez reszty oddane Polsce. To ci młodzi ludzie poświęcali Polsce życie nie tylko w powstaniu warszawskim, ale pod Monte Cassino, pod Arnheim i pod Lenino, i na Wale Pomorskim, bo wierzyli, że ich poświęcenie nie idzie na marne. Wierzyli, że Polska odrodzi się wolna, demokratyczna i niepodległa.

Jak ten patriotyzm ludzi urodzonych w kraju wolnym przełożyć na współczesne realia? Co dziś jest naszym największym skarbem narodowym?

Największym kapitałem i skarbem są umysły wykształconych młodych ludzi. Od tych, którzy sprawują władzę zależy to, by tego kapitału nie zmarnować. Powinien to być projekt ponadpartyjny. Można sobie zadać pytanie, dlaczego dwa wielkie i atrakcyjne projekty nie zostały wcielone w życie. Mam na myśli program cyfryzacji Michała Boniego i ekonomiczny plan Jerzego Hausnera. Nowe elity polityczne powinny uzgodnić 3-4 kluczowe problemy rozwoju cywilizacyjnego Polski na najbliższe 20-30 lat. Tak pomyślany narodowy program rozwoju Polski mógłby być realizowany w ramach Unii Europejskiej. Bez Unii Polska ulegnie marginalizacji. Wielkie umysły: Miłosz, Giedroyc czy Nowak-Jeziorański ostrzegali przed osamotnieniem Polski. Unia przezwycięży swoje kryzysy. Wierzę, że młode pokolenie podejmie tę misję i nie zmarnuje dziejowej szansy, jaką otwiera przed nami transatlantycka wspólnota demokratycznych państw. Przyjaciół należy szukać blisko, a wrogów daleko.

Pierwodruk: skrócona rozmowa pt. *Nie powstaną Stany Zjednoczone Europy, Polska została przeorana za głęboko* ukazała się w dodatku do „Gazety Wyborczej” – „Magazyn Świąteczny”, 12-13 maja 2018 r., s. 28-30.



Uroczystość odznaczenia Adama D. Rotfelda przez króla Szwecji Karola XVI Gustawa
Srebrnym medalem Królewskiej Szwedzkiej Akademii Wiedzy Wojskowej, Sztokholm 2000 r.

Część I

Między ładem a bezładem



Zbigniew Brzeziński i Adam D. Rotfeld, Atlantic Council,
Waszyngton 2010 r.

W poszukiwaniu nowych reguł

UWAGI WSTĘPNE

We wnioskach zawartych w monografii *Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi* Zbigniew Brzeziński pisał przed kilkoma laty: „Świat niemal wszędzie jest teraz politycznie przebudzony – miliony ludzi działają na rzecz poszukiwania lepszej przyszłości. Następuje również rozproszenie sił globalnych – na Wschodzie pojawiło się nagle kilku nowych pretendentów do statusu mocarstwa. W rezultacie dzisiejszy świat jest bez porównania mniej podatny na zdominowanie przez pojedyncze mocarstwo, nawet tak potężne militarnie i wpływowe politycznie, jak Stany Zjednoczone Ameryki”¹. Co więcej, podważane są fundamenty i główne filary ładu międzynarodowego, opartego na respektowaniu uniwersalnych wartości. W przeciwieństwie do przeszłości, kiedy ład międzynarodowy określały głównie układ i równowaga sił – nowy porządek świata po zakończeniu zimnej wojny miał być oparty zarówno na respektowaniu równowagi interesów i sił, jak też na poszanowaniu systemu uniwersalnych wartości i zasad. Tak się nie stało. To właśnie jest istota dzisiejszego sporu o pryncypia, a zarazem źródło dzisiejszych i jutrzejszych konfliktów.

¹ Z. Brzeziński, *Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi*, Wyd. Literackie, Kraków 2013, s. 259-260.

Załamaniem się porządku międzynarodowego znalazło wyraz w pogwałceniu zasad nienaruszalności granic i nieużycia siły w stosunkach między Rosją a Ukrainą, w jej powrocie do polityki siły i groźby jej użycia oraz w podważaniu stabilizującej roli takich wielostronnych instytucji bezpieczeństwa jak: NATO i OBWE, naruszaniu zasad i norm przyjętych w ramach Rady Europy oraz w osłabieniu Unii Europejskiej. Na Zachodzie przejawami tej tendencji były: wynik referendum, który zdecydował o wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii (Brexit) i zwycięstwo wyborcze w USA prezydenta Donalda Trumpa, który zapowiedział powrót Stanów Zjednoczonych do polityki unilateralizmu oraz zakwestionował zasady porządkujące system międzynarodowy po zimnej wojnie, którego fundamentem są idee liberalnej demokracji.

Jedną z podstawowych przyczyn narastającego zagrożenia, któremu towarzyszy poczucie niepewności, niejasności i nieprzewidywalności, jest zakwestionowanie tych wartości, do których należy poszanowanie demokratycznego ustroju opartego na politycznym pluralizmie, rządach prawa, gospodarce rynkowej, wolności słowa, respektowaniu praw i swobód obywatelskich, poszanowaniu praw człowieka we wszystkich sferach jego aktywności, tolerancji, otwartości i współodpowiedzialności.

Przed 50 laty Karl Deutsch zdefiniował główne elementy, które pozwalają mówić o *pluralistycznej wspólnotie bezpieczeństwa*. Są to: suwerenność i niepodległość państw; kompatybilność podstawowych wartości, na których straży stoją wspólne instytucje i wzajemna gotowość do współpracy, poszanowanie tożsamości i lojalności; zintegrowanie państw do tego stopnia, że w praktyce prowadzi to do „współzależnych oczekiwań związanych z pokojowymi zmianami” (*dependable expectations of peaceful change*)². Można do tego zestawu dodać również powiązania informacyjno-komunikacyjne, które cementują polityczną wspólnotę bezpieczeństwa³.

W rozważaniach dotyczących fundamentalnego znaczenia uniwersalnych wartości godzi się przywołać cztery reguły prymatu, jakie papież Franciszek przedstawił w swoich refleksjach na temat współczesnego ży-

² K. W. Deutsch i inni, *Political Community and the North Atlantic Area*, Princeton University Press, Princeton, NY 1957, s. 5.

³ Szerzej na ten temat – A. D. Rotfeld, *Towards a pluralistic security system*, w: „SPIRI Yearbook 1996. Armaments, Disarmaments and International Security”, Oxford University Press, 1996, s. 1-14.

cia społecznego. Są to: prymat czasu nad przestrzenią; rzeczywistości nad ideami; pokoju nad konfliktem i całości nad częścią⁴. Przyjęcie takiej perspektywy interpretacyjnej znacznie lepiej wyjaśnia złożoność dzisiejszych problemów, w których czas i zmiana odgrywają znacznie ważniejszą rolę niż bezrefleksyjne odwoływanie się do tzw. geopolityki i prób przywracania *status quo ante* z użyciem siły.

Tymczasem debaty o przyszłym systemie międzynarodowym z reguły koncentrują się na poszukiwaniu równowagi interesów i potencjałów państw. Na ogół dotyczy to sfer gospodarczej, technologicznej i wojskowej. W ocenie pozycji i roli mocarstw istotną rolę odgrywają też czynniki natury demograficznej i terytorialnej oraz zasoby surowcowe⁵.

Rzadko w tym kontekście przywoływane są wartości, którymi kierują się państwa w realizacji swoich narodowych strategii. Jednak to właśnie zasady i wartości odgrywają dziś fundamentalną rolę zarówno w relacjach bilateralnych, jak i multilateralnych. W przeszłości państwa europejskie odwoływały się niekiedy wprost w traktatach międzynarodowych do systemu wartości chrześcijańskich, a formułowali je zarówno papieże, jak i wybitni myśliciele związani z Kościołem w poszczególnych państwach⁶.

⁴ Adhortacja papieża Franciszka, *Evangelii gaudium*, Wyd. WAM.PDF

⁵ Szerzej na ten temat – H. Kissinger, *World Order*. Penguin Press, New York 2014 (polskie wydanie: *Porządek światowy*, przeł. M. Antosiewicz, Wyd. Czarne, Wołowiec 2016); P. Buhler, *O potędze w XXI wieku*, Wyd. Akademickie Dialog, Warszawa 2014; B. Buzan, R. Little, *Systemy międzynarodowe w historii świata*, PWN, Warszawa 2011.

⁶ Przykładem odwoływania się do zasad i wartości było przywoływane często stanowisko zaprezentowane przez Pawła Włodkowica (Paulus Vladimiri) – kapłana, a zarazem wybitnego polskiego uczonego, rektora UJ – na Soborze w Konstancji (między 11 listopada 1417 a 22 kwietnia 1418) w obronie interesów Polski w sporze z Krzyżakami. *Tractatus de Ordine Cruciferorum et de bello Polonorum contra dicto fratres (1416)*. Por. też prace Ludwika Ehrlicha, *Paweł Włodkowic i Stanisław ze Skarbimierza (1950)* oraz *Polski wykład prawa wojny XV wieku*, Wyd. Prawnicze (1955). Swoistym błuźnierstwem było to, że traktat w sprawie trzeciego rozbioru Polski zawarty między Rosją a Prusami w Petersburgu 13/24 października 1795 r. zaczynał się od inwokacji: „W imię Najświętszej i Niepodzielnej Trójcy”. Tekst w: *Prawo międzynarodowe. Historia Dyplomatyczna. Wybór dokumentów pod red. Ludwika Gelberga*. PWN, Warszawa 1954, t. I, s. 14. Karta Narodów Zjednoczonych – Charter of the United Nations and Statute of the International Court of Justice. UN Publications Edition 2015. Akt Końcowy KBWE w zbiorze pod red. A. Bloed, *The Conference on Security and Co-operation in Europe. Analysis and Basic Documents, 1972-1993*. Martinus Nyhoff Publishers – Kluwer Academic Publishers, Dordrecht 1993, s. 141-218.

WARTOŚCI A PRAWO

We współczesnym systemie międzynarodowym wartości definiowane są w fundamentalnych aktach prawa międzynarodowego uzgadnianych w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz organizacji regionalnych, takich jak Rada Europy czy Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie⁷. W Traktacie o Unii Europejskiej (Maastricht, 7 lutego 1992) państwa członkowskie w Preambule potwierdziły swoje przywiązanie „do zasad wolności, demokracji, poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności oraz państwa prawnego”⁸. W dokumencie tym wyraziły też wolę pogłębienia „solidarności między swymi narodami w poszanowaniu ich historii, kultury i tradycji”⁹. Przywołały zasadę pomocniczości (*principle of subsidiarity*). Wśród zasad, które członkowie Unii są zdecydowani wcielić w życie, sygnatariusze Traktatu wymienili „zapewnienie bezpieczeństwa swym narodom poprzez ustanowienie przestrzeni wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości (...)”¹⁰. Państwa przyjęły w Traktacie zobowiązanie, że decyzje będą podejmowane „z możliwie najwyższym poszanowaniem zasady otwartości i jak najbliżej obywateli”¹¹. Stosunki między państwami i narodami mają być kształtowane w sposób spójny i solidarny.

Wymienione zasady oraz inne wartości, do których odwołuje się unijny Traktat, mają w systemie stosunków międzynarodowych długą historię, a w Europie ich korzenie sięgają zarówno epoki Renesansu, jak i Oświecenia¹².

Nowym elementem, który wniosła Unia do międzynarodowego porządku jest to, że wymiar etyczny, moralny i polityczny zasad i wartości,

⁷ A. D. Rotfeld, *Europejski system bezpieczeństwa in statu nascendi*, Wyd. PISM, Warszawa 1990, s. 203-214.

⁸ Traktat o Unii Europejskiej (tekst ujednolicony) w zbiorze Traktat Ustanawiający Wspólnotę Europejską oraz Traktat o Unii Europejskiej (tekst ujednolicony), Wyd. Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej; Departament Dokumentacji Europejskiej i Publikacji, Warszawa 2005, s. 379-381.

⁹ Tamże.

¹⁰ Tamże, s. 381.

¹¹ Tamże, s. 387.

¹² W tym kontekście warto przywołać dwa oryginalne projekty polskich autorów: Memoriał Króla Stanisława Leszczyńskiego *O zabezpieczeniu pokoju powszechnego* (*Memorial de l'Affermissement de la Paix Générale*, 1748). Wstępem opatrzył Jerzy Życki. Przedmowa Augusta Zaleskiego, Ministra Spraw Zagranicznych. Warszawa 1932 (publikacja ta zawiera

na jakich opiera się Unia, zyskał charakter prawnomiędzynarodowego zobowiązania. Dotyczy to w szczególności zasad wolności, demokracji, poszanowania praw człowieka i podstawowych swobód oraz praworządności. Status zobowiązania natury prawnej ma również obligatoryjne poszanowanie tożsamości narodowej Państw Członkowskich¹³.

Przewidziane zostały również procedury postępowania w przypadku stwierdzenia, że wspólne wartości nie są przestrzegane, a przyjęte zasady są naruszane. Warto o tym przypomnieć już choćby dlatego, że żaden naród ani społeczeństwo nie są immunizowane na zjawiska skrajnego nacjonalizmu, ksenofobii, populizmu, które w drugiej dekadzie XXI wieku ponownie stają się jednym z głównych przejawów choroby leżącej u podłoża dwóch wojen światowych XX wieku. Przeciwdziałanie i zapobieganie populizmowi i ksenofobii uznane zostały w Unii Europejskiej nie tylko za zobowiązanie natury moralnej i politycznej, ale również zyskały rangę obowiązującego prawa (art. 2 i art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej oraz Karta Praw Podstawowych)¹⁴. Prawo unijne określa przestrzeń, w której obowiązuje poszanowanie godności ludzkiej, praw człowieka, wolności, demokracji, równości i respektowanie norm państwa prawa. Zobowiązania te wyrastają z pamięci o totalitarnych reżimach (faszystowskim we Włoszech i w Hiszpanii, hitlerowskim w Niemczech, stalinowskim w radzieckiej Rosji), które opierały się na bezprawiu, strachu, terrorze i podeptaniu godności ludzkiej.

Unia Europejska stworzyła w istocie nie tylko prawne, ale również materialne przesłanki, które skutecznie eliminują możliwość wybuchu wojny między państwami członkowskimi i przeciwdziałają konfliktom

przeгляд różnych polskich pokojowych inicjatyw i projektów na przestrzeni dziejów). Źródłem wojen w opinii Stanisława Leszczyńskiego było wygnanie Adama i Ewy z raju i podział ich potomków na rody, następnie na państwa, które kierowały się „zazdrością i nienawiścią” (s. 23-24). Pewien wpływ na kształtowanie systemu pokojowego rozstrzygania sporów międzynarodowych – najpierw na I Konferencji Pokojowej w Hadze (1899), a następnie w ramach Ligi Narodów – wywarły wysiłki i prace Jana G. Blocha, a w szczególności jego 6-tomowe dzieło pt. *Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym*, Warszawa 1899 i Warszawa-Kraków 1900 (równoczesne edycje w językach polskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim i holenderskim). Skrócona wersja *Przyszłej wojny...* – wyd. PISM, Warszawa 2005.

¹³ Art. 6 Traktatu, s. 391.

¹⁴ Traktat o Unii Europejskiej. Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Karta Praw Podstawowych Unii Europejskiej (stan prawny: luty 2013 roku), Lexis Nexis, Warszawa 2013.

zbrojnym w państwach z Unią stowarzyszonych. Dostyc powszechny jest pogląd, jakoby Unia była przede wszystkim formą i strukturą integracji gospodarczej. Sfery gospodarczej dotyczyły bowiem zarówno Wspólnota Węgla i Stali, Wspólny Rynek, Europejska Wspólnota Gospodarcza, jak i wreszcie w znacznej mierze Unia Europejska jako taka. W rezultacie, w odczuciu wielu obywateli państw unijnych, o randze i skuteczności tej instytucji stanowią sprawy finansowe i gospodarcze, podczas gdy w rzeczywistości o zupełnie wyjątkowym miejscu, jakie Unia zajmuje w historii Europy, decydują nie tyle i nie tylko finanse i gospodarka, ale to, że po raz pierwszy w dziejach kontynentu powstał związek państw, które zobowiązały się do respektowania wspólnych wartości.

Siłą Unii są nie tyle i nie tylko traktaty, normy, procedury i mechanizmy, ale to, że całe instrumentarium tej instytucji jest zorientowane na skuteczne wcielanie w życie zobowiązań, które dotyczą obywateli unijnych państw. Jednostka oraz poszanowanie jej prawa i bezpieczeństwa znalazły się w centrum uwagi unijnego prawa¹⁵. Oznacza to, że obowiązkiem Unii i jej państw członkowskich jest respektowanie godności osoby ludzkiej, równości i solidarności. Po raz pierwszy w historii państwa europejskie stworzyły przestrzeń wolności, bezpieczeństwa i zapewnienia sprawiedliwości jednostek i stanęły na straży tych wartości.

PAŃSTWO PRAWA A JEDNOSTKA

Osoba ludzka stała się podmiotem. Jest to rozwiązanie nowe – nie tylko na gruncie polityki i moralności, ale też na gruncie prawa. Bezpieczeństwo jednostki zyskało rangę, która stanowi wyzwanie dla dotychczasowej pozycji państwa jako jedyne w przeszłości podmiotu prawa międzynarodowego. Jednostka zyskała prawo do wpływania na bieg spraw europejskich. Równocześnie bezpieczeństwo państw, które w dotychczasowej kulturze prawnej było wartością nadrzędną, znajduje się coraz częściej w kolizji z poszanowaniem praw osoby ludzkiej – z prawami obywateli do poszanowania ich prywatności, godności i wolności.

¹⁵ J. Barcz, *Traktat z Lizbony. Wybrane aspekty prawne działań implementacyjnych*, Lexis Nexis, Warszawa 2012, s. 329-380.



Wręczenie przez prezydenta Baracka Obamę najwyższego amerykańskiego odznaczenia przyznanego pośmiertnie Janowi Karskiemu za jego wysiłki podejmowane w czasie II wojny światowej, by informacja o Zagładzie Żydów dotarła do przywódców świata zachodniego i przyczyniła się do powstrzymania „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej przez III Rzeszę, Białe Dom, Waszyngton, maj 2012 r.

Odręczna dedykacja prezydenta Stanów Zjednoczonych na zamieszczonym zdjęciu brzmi: „Dla ministra Rotfelda – Będziemy zawsze pamiętać służbę i odwagę Jana Karskiego. Z ciepłymi pozdrowieniami dla narodu polskiego. Barack Obama”.

Najlepiej pogląd ten potwierdzają szok i wzburzenie, z jakimi spotkały się w Europie ujawnione przez Edwarda Snowdena – niezależnie od tego, jakimi kierował się motywami – praktyki amerykańskich służb bezpieczeństwa, które nadały podsłuchowi obywateli innych państw, w tym przywódców zaprzyjaźnionych krajów – charakter systemowy i instytucjonalny. A przecież były to działania sprzeczne z prawem. Praktyki te naruszają bowiem poczucie godności jednostek i ich prawo do zachowania prywatności, które w Europie mogą być ograniczone jedynie wyjątkowo – w uzasadnionych wypadkach, na wniosek prokuratury i za zgodą sądów. Z całą pewnością w żadnym wypadku nie może być to działanie obcych służb na terytorium innych państw bez zgody i współdziałania konstytucyjnych organów krajów, których obywatele są podejrzani o działalność terrorystyczną lub kryminalną.

Do takich działań nigdy nie były uprawnione żadne mocarstwa. Takie bezprawne praktyki nie mogą być tolerowane dziś, gdy – jak dostrzegł to inteligentnie jeden z analityków – „ta nowa podmiotowa rola jednostki w polityce międzynarodowej jest najistotniejszym czynnikiem transformującym stosunki międzynarodowe i ich tradycyjne paradygmaty. Napięcie między jednostką a państwem jest prawdopodobnie najistotniejszym procesem podważającym istniejący system międzynarodowy”¹⁶.

Problem jest szerszy. Dotyczy bowiem napięcia między narodem i państwem – z jednej strony, a wspólnotą i społeczeństwem (w tym społecznością międzynarodową) – z drugiej¹⁷.

PRAWO DO INFORMACJI

Nowoczesne technologie sprawiły, że państwo na trwałe utraciło kontrolę nad obiegiem informacji. Stało się to w momencie, gdy świat wszedł w epokę rewolucji informatycznej, która obejmuje dziś nie tylko sferę usług, ale stała się siłą produkcyjną, na którą państwa mają coraz mniejszy wpływ, i rządzi się w cyberprzestrzeni własnymi prawami. W zderzeniu z nową rzeczywistością stajemy w państwach demokratycznych

¹⁶ P. A. Świtalski, *Emocje, interesy, wartości. Przemiany paradygmatów polityki międzynarodowej*, Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2013, s. 10.

¹⁷ Por. szerzej: P. Hassner, *Koniec pewników. Eseje o wojnie, pokoju i przemocy*, Wyd. Sic!, Warszawa 2002, s. 39.

przed pytaniami, na które nie odnajdujemy odpowiedzi w doświadczeniach przeszłości. Pytanie brzmi: jak – nie ograniczając swobód jednostki i jej prawa do życia w państwie respektującym takie wartości jak: godność, wolność, równość, sprawiedliwość i solidarność – zapobiegać skutecznie nowym ryzykom i zagrożeniom, które niesie współczesny świat? Świat polityki stoi wobec nowych dylematów: jak szanować podmiotowość jednostek bez uszczerbku dla bezpieczeństwa zbiorowości? Jak można w nowej rzeczywistości skutecznie zwalczać zorganizowany terroryzm oraz przestępczość narodową i międzynarodową, szanując osobę ludzką i jej nową rolę we wspólnocie międzynarodowej? Sprawy te w krajach demokratycznych od lat znajdują się w centrum publicznej debaty¹⁸.

Inaczej sprawy się mają w państwach niedemokratycznych. Rządy tych państw podejmują różne działania, aby poddać pełnej kontroli obieg informacji – zarówno wewnątrz terytoriów podlegających ich suwerenności, jak i transgraniczny przepływ informacji. Jest to jeden z tych obszarów, gdzie świat ludzi wolnych jest konfrontowany z anachronicznym wyobrażeniem, że ten, kto jest w stanie kontrolować obieg informacji, może w istocie decydować o sposobie myślenia poddanych. Tak było w starożytnym Egipcie, opisanym przez Bolesława Prusa w jego powieści *Faraon*¹⁹. Prus w sposób niezwykle wnikliwy przedstawił mechanizmy władzy i zależność faraona od kapłanów kontrolujących dostęp do informacji. Tak było w XX wieku, gdy dwa totalitarne systemy – hitleryzm w Niemczech i w okupowanej przez III Rzeszę Europie, a stalinizm w Rosji i w tej części świata, która była pod radziecką dominacją – uznały, że informacja (na równi z państwowym terrorem i przestępczym represyjnym reżimem) jest głównym narzędziem zniewolenia narodów. Rudymentrym śladem takiej „polityki informacyjnej” – swoistą skamieliną zbrodniczej przeszłości w skali globalnej – jest reżim północnokoreański. Nie znaczy to, że w pozostałych krajach świata swoboda dostępu do informacji jest powszechna i nie napotyka żadnych ograniczeń.

¹⁸ W tym kontekście na odnotowanie zasługuje zorganizowana w Warszawie konferencja międzynarodowa z udziałem wybitnych intelektualistów świata, której materiały ukazały się w tomie pt. *Globalization, Power and Democracy*, Ed. by M. F. Plattner, A. Smolar, John Hopkins University Press, Baltimore and London 2000.

¹⁹ B. Prus, *Faraon*, Warszawa 1897 (wyd. pierwsze).

PRAWO DO PRAWDY I WOLNOŚCI

Częścią wybiórczego, selektywnego podejścia do informacji jest swoiście pojmowana „polityka historyczna”. W uproszczonej wersji polityka ta miałaby prowadzić do przemilczania czynów haniebnych, które nie przynoszą chluby żadnemu narodowi i eksponowania z przeszłości tylko tego, co chwalebne i stanowi świadectwo wielkości narodu. W istocie taka pedagogika „sławy i chwały” nie sprzyja kształtowaniu poczucia odpowiedzialności obywatelskiej i poszanowaniu prawdy oraz fundamentalnych zasad i wartości.

Żaden z rosyjskich przywódców ani przed rozpadem Związku Radzieckiego, ani po nim nie zdobył się na to, by wyjaśnić własnemu narodowi to, co napisał już w 1960 roku Wasilij Grossman w swej powieści *Życie i los*. Miał odwagę, by bez zastrzeżeń i ogródek ukazać zbrodniczą naturę obu totalitaryzmów – hitlerowskiego i stalinowskiego. Grossman pisał: „Pierwsza połowa wieku dwudziestego przejdzie do historii, jako epoka totalnej, usankcjonowanej teoriami społecznymi i rasowymi likwidacji olbrzymich warstw ludności Europy. Współczesność ze zrozumiałą skromnością milczy na ten temat”²⁰. Rosyjski pisarz stawiał pytanie: „Czy natura ludzka ulega zmianie, czy staje się inna w tyglu przemocy? Czy człowiek wyzbywa się właściwego sobie pragnienia wolności? Odpowiedź na to pytanie – stwierdza Grossman – zdecyduje o losie człowieka i o losie państwa totalitarnego. Zmiana bowiem natury ludzkiej zapowiada powszechny i ostateczny triumf dyktatury państwa, niezmienną zaś ludzkiego dążenia do wolności jest wyrokiem na państwo totalitarne”²¹.

Słowa pisarza były prorocze. Dążenie do godności i wolności jednostki stało się zaiste przyczyną upadku obu zbrodniczych totalitarnych reżimów.

PRAWO DO POSZANOWANIA TOŻSAMOŚCI

Analitycy lat 90. XX w. na ogół słusznie uważali, że w warunkach przyspieszenia procesów globalizacji do funkcjonowania systemu międzyna-

²⁰ W. Grossman, *Życie i los*, tłum. J. Czech, Wyd. W.A.B., Warszawa, 2009, s. 215.

²¹ Tamże, s. 217.

rodowego będą potrzebne uniwersalne normy obowiązujące w skali całego świata. Słabością tego rozumowania było to, że jego autorzy upatrywali rozwiązań przede wszystkim w regulacjach między państwami i nie dostrzegali, że główne problemy współczesnego świata i potencjalne konflikty rodzą się wewnątrz państw, a nie między nimi²².

W Europie Środkowo-Wschodniej w centrum uwagi znalazły się problemy związane z kształtowaniem nowej tożsamości politycznej narodów, które uzyskały niepodległość i odzyskały suwerenność. Ich poszukiwania własnej drogi rozwoju i swoboda wyboru sposobów organizacji ustroju politycznego, gospodarczego i społecznego oraz zapewnienia bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego napotykały i napotykają różne przeszkody i trudności. Są one wynikiem zarówno zewnętrznej interwencji (jak ilustruje to choćby stosunek Rosji do Ukrainy), jak też wielu czynników natury wewnętrznej (brak tradycji własnej państwowości i związanej z tym kultury politycznej oraz utrwalone zachowania społeczne, które Thorstein Veblen określał jako *trained incapacity*, czyli wyuczoną niemoc).

W rezultacie wyjściu narodów Europy Środkowo-Wschodniej z totalitarnych reżimów towarzyszyło powstanie na obszarze byłego Związku Radzieckiego i byłej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii nowej kategorii państw dysfunkcyjnych, których podstawy ustrojowe mają charakter swoistej hybrydy. Niektóre z tych państw odznaczają się deklarowaną – z reguły fasadową – demokracją, podczas gdy w praktyce sprawowane rządy opierają się na strukturach oligarchicznych, klanowych, a niekiedy – zwłaszcza w Azji Środkowej – plemiennych oraz niejasnych powiązaniach różnych grup interesów i służb specjalnych.

W skali regionalnej i globalnej wystąpiło zjawisko zacierania się granicy między tym, co zewnętrzne, a tym, co „ze swej istoty” jest w kompeten-

²² Po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę w eseju *The fundamental change and the new security agenda* („SIPRI Yearbook” 1992, s. 1-8). Odnotowałem wówczas, że zaciera się granica między tym, co określa wewnętrzne zagrożenia, a tym, co zewnętrzne. W rok później pisałem, że słabość wyłaniającego się nowego międzynarodowego systemu wynika z tego, że: „the international system and the means available to international security organizations have been tailored to resolving conflicts *between* states, not *within* them”. *The new security environment*, „SIPRI Yearbook” 1993, s. 2. Szerzej na ten temat: A. D. Rotfeld, *Bezpieczeństwo Euro-Atlantyckie. Ciągłość i zmiana*, Warszawa 2013. Por. też A. D. Rotfeld, *Porządek międzynarodowy. Parametry zmiany*, „Sprawy Międzynarodowe”, 2014, nr 4, s. 31-54.

cji wewnętrznej i formalnie nie może być przedmiotem interwencji ONZ ani żadnego innego państwa²³. Zakres spraw, które należą do dyskrecyjnej władzy państwa, uległ w ostatnich 25 latach znacznemu ograniczeniu. Sprawy, które ze swej istoty uważane były w przeszłości za wewnętrzne i pozostające poza zewnętrzną kontrolą i jurysdykcją, dziś podlegają licznym międzynarodowym uregulowaniom w skali uniwersalnej w systemie ONZ, a w skali regionalnej w Europie – w ramach zobowiązań politycznych i prawnych, przyjętych w takich euroatlantyckich strukturach jak Unia Europejska, Rada Europy czy OBWE. Wynikiem tych zmian było to, że – jak pisał jeden z czołowych amerykańskich analityków – świat wkroczył w jakościowo nową epokę. Jeśli po 1945 roku dominowało przekonanie, że oto zakończyła się wojna, która jest końcem wszystkich wojen, to po 1989 roku jesteśmy świadkami wojen, które nie mają swego końca²⁴.

Jednym z istotnych skutków rozpadu systemu dwubiegunowego nie było – wbrew dosyć powszechnym sądom – ukształtowanie się nowego „systemu wielobiegunowego” (czytaj: podziału świata na „strefy wpływów”) czy też „systemu jednobiegunowego” (czytaj: globalnej hegemonii jednego mocarstwa, np. USA)²⁵. Nie znaczy to, że różne potęgi nie podejmowały i nie podejmują prób ustanowienia takiego systemu, który narzucałby państwom słabszym – *de facto*, a nawet *de iure* – status uzależnienia.

Przykład: zgodnie z Aktem Końcowym KBWE z Helsinek (1 sierpnia 1975 roku) państwa sygnatariusze tego dokumentu mają prawo „należeć lub nie należeć do organizacji międzynarodowych, być albo nie być stroną dwustronnych lub wielostronnych umów międzynarodowych, łącznie z prawem do tego, by być lub nie być stroną międzynarodowych

²³ Por. Art. 2 pkt 7 Karty Narodów Zjednoczonych.

²⁴ D. Rothkopf, *National Insecurity. American Leadership in an Age of Fear*, Public Affairs – New York 2014, s. 357.

²⁵ Jest to teza bezrefleksyjnie powtarzana przez wielu autorów. Na marginesie warto odnotować, że koncepcja „biegunowości” przejęta z nauk fizycznych ze swej istoty zakłada, że bieguny mogą być tylko dwa: plus i minus. W polskim piśmiennictwie dominuje podejście opisowo-analityczne. Ilustracją takiej metody badawczej jest wartościowa skądinąd praca zbiorowa wydana pod auspicjami ISP PAN, J. M. Fiszer (red.), *System euroatlantycki i bezpieczeństwo międzynarodowe w multipolarnym świecie. Miejsce i rola Polski w euroatlantyckim systemie bezpieczeństwa*, Warszawa 2013.



Rozmowa z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim podczas audiencji zorganizowanej w Pałacu Prezydenckim dla zespołu naukowego Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), Warszawa, wrzesień 1996 r.

umów sojuszniczych; mają również prawo do neutralności”²⁶. Jednak niektóre z mocarstw uznały, że jest to norma deklaratywna i w praktyce kierują się filozofią polityczną, że świat był, jest i będzie podzielony na strefy wpływów²⁷.

Ilustracją takiego myślenia jest esej opublikowany na łamach rosyjskiego periodyku *Klasa polityczna*, którego autor „zalecał” strategom Rosji, aby obrali wobec Polski długofalową politykę „finlandyzacji”²⁸. Autor pisał: „Dla Rosji program maksimum – to finlandyzacja całej Europy, ale rozpoczynać należy od reorganizacji przestrzeni Wielkiego Limitrofu”²⁹. Proponował on, aby – na wzór Stowarzyszenia Norwegii i Islandii z Unią Europejską – wyjść z podobną inicjatywą adresowaną do Polski i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej, np. pod nazwą „Słowiański wymiar”. Rosyjska strefa wpływów miałaby – w tym rozumieniu – obejmować nie tylko „Finlandię i Polskę, ale również Kazachstan, Turcję, Iran i bezwzględnie Ukrainę”³⁰. Realizacja takiego projektu miałaby być etapem w strategicznej koncepcji przekształcenia całej Europy w strefę „buforową” między Rosją a Stanami Zjednoczonymi Ameryki... Tego typu rozumowanie socjolodzy zaliczają na ogół do kategorii dysonansu poznawczego (*cognitive dissonance*), bowiem pozostaje ono w luźnym zwią-

²⁶ Cyt. wg Aneks dokumentacyjny w monografii A. D. Rotfelda, *Europejski system bezpieczeństwa in statu nascendi*, Warszawa 1990, s. 205.

²⁷ Wobec wydarzeń na pograniczu rosyjsko-ukraińskim oraz toczącej się tam wojny wyrażany jest pogląd, że po raz kolejny w Europie od zakończenia II wojny światowej doszło do konfliktu zbrojnego z bezpośrednim udziałem jednego z globalnych mocarstw (w tym przypadku – Rosji). Ignorowany jest na ogół fakt, że Związek Radziecki wielokrotnie uciekał się do użycia siły w Europie dla utrzymania swojej strefy wpływów: w Berlinie (1953), na Węgrzech (1956), w Czechosłowacji (1968). We wszystkich tych krajach zrywy wolnościowe były tłumione z użyciem siły zbrojnej. Nowym zjawiskiem jest to, że Rosja podjęła decyzję o inkorporacji Krymu i wspieraniu secesji tzw. Noworosji (obwody doniecki i ługański) – mimo przyjętych zobowiązań natury prawnomiędzynarodowej i politycznej (Karta NZ, Akt Końcowy KBWE i Paryska Karta dla Nowej Europy oraz dwa trójstronne porozumienia Rosji i USA z Ukrainą podpisane 15 stycznia 1994 r. w Moskwie i 5 grudnia 1994 r. w Budapeszcie).

²⁸ J. Sołozobow, *Otwiet na „polskij wopros”*, „Politiczeskij klass”, wrzesień 2009, nr 9 (57), s. 42-43.

²⁹ Tamże, s. 43-44. Często przywoływane w rosyjskiej politologii pojęcie Limitrofu nawiązuje do określanego w ten sposób pogranicza Imperium Rzymskiego, którego sąsiedzi zobowiązani byli łożyć na rzymskie wojska dyslokowane wzdłuż linii granicznej. Dziś tym pojęciem określa się strefę wpływów.

³⁰ Tamże, s. 44.

ku z realiami współczesnego świata, a w szczególności z potencjałem i możliwościami Rosji XXI wieku.

MIĘDZY BEZŁADEM A NOWYM ŁADEM

Poszukiwanie zasady organizującej myślenie o fundamentach nowego porządku polityczno-prawnego nie ogranicza się do regionu transatlantyckiego czy subregionu Europy Wschodniej, ale obejmuje cały świat. Wynika to ze strategicznej reorientacji Stanów Zjednoczonych, dla których w XXI wieku Azja Południowo-Wschodnia i Pacyfik, a nie Europa i Atlantyk stały się głównym obszarem potencjalnego ryzyka i bezpośredniego zagrożenia amerykańskich interesów narodowych.

Uczestnicy organizowanego w Rosji międzynarodowego dyskusyjnego klubu „Wałdaj” koncentrowali się w 2014 roku na pytaniu: *Porządek światowy: nowe reguły czy gra bez reguł?* Prezydent Putin przedstawił tam (24 października 2014) koncepcję, zgodnie z którą stary system bezpieczeństwa, opierający się na równowadze sił, już nie funkcjonuje, a nowy jeszcze nie powstał. Stwarza to swoistą próżnię prawno-polityczną, w której Rosja ma rozwiązane ręce i całkowitą swobodę działania³¹. Wystąpienie to porównywane było przez rosyjskich komentatorów do wykładu Winstona Churchilla w Fulton³².

Poważnym wyzwaniem dla międzynarodowego porządku było przebudzenie świata arabskiego, gdzie przez wiele lat narodowe i międzynarodowe elity polityczne postrzegały stagnację jako stabilizację. Rewolty, które przetoczyły się przez Egipt i kraje Maghrebu, zmiotły klasę polityczną, ale nie przyniosły oczekiwanych rozwiązań gospodarczych i społecznych. Doszło do krwawych walk w Libii oraz wojny domowej w Syrii, gdzie starły się fanatyzmy religijne i interesy różnych grup podważających legitymizm zbrodniczych rządów prezydenta Assada. Amerykańskie interwencje w Iraku i Afganistanie nie doprowadziły do stabilizacji i ustanowienia pokoju dla ich mieszkańców, którym – po wycofaniu się wojsk

³¹ Meeting of the Valdai International Discussion Club, <http://eng.kremlin.ru>; Władimir Putin mówił w Soczi: „Rosja nie pyta nikogo o to, w jaki sposób ma prowadzić swoją globalną politykę”.

³² K. Remczukow, *Wałdajsko-Fultonskoje wystuplenije Władimira Putina podtwierdziło chudszyje ożydanija*, „Niezawisimaja Gazieta” z 27 października 2014 r.

Stanów Zjednoczonych – grozi powrót do rządów talibów (Afganistan) lub rozpad kraju (Irak). Odsunięcie od władzy dyktatorów nie skutkowało w żadnym z tych państw utworzeniem rządów prawa i demokracji, ale zmieniło polityczną mapę wokół nich. Wobec takiego rozwoju wypadków nie można wykluczyć powstania niepodległego Kurdystanu, którego mieszkańcy podzieleni od stuleci podlegają jurysdykcji różnych państw regionu (Syrii, Turcji, Iraku i Iranu).

Ślepą reakcją na falę modernizacji, która towarzyszy globalizacji, są: fragmentaryzacja, odwoływanie się do tradycjonalizmów i postawa obronna, której często w Azji i Afryce nadają ton fanatycy religijni i organizacje typu Al-Kaidy³³. Swoistym „produktem ubocznym” tych konfliktów i wojen domowych jest nasilenie międzynarodowego terroryzmu oraz wielomilionowa fala uchodźców. Oba te zjawiska destabilizują międzynarodowy ład w skali globalnej.

W świecie zachodnim nacjonałiści i szowiniści zyskują popularność, odwołując się do narodowych egoizmów, niechęci do obcych, a zwłaszcza do „Innego”, którego wyróżnikami są kultura, religia, kolor skóry. Rezultatem obu tych zjawisk jest narastający strach i poczucie zagrożenia, co toruje drogę do władzy skrajnie konserwatywnym i szowinistycznym ugrupowaniom. Zyskały one nadspodziewanie szerokie poparcie w wyborach do Parlamentu Europejskiego (maj 2014 roku) w państwach „starych” demokracji, które uchodziły za wzór tolerancji i kultury politycznej (jak Francja, Wielka Brytania, Holandia). Stały się też pożywką dla tych brytyjskich środowisk politycznych, które optowały za wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej (Brexit).

Zjawiska te dotyczą systemu wartości i jakkolwiek ich korzenie osadzone są w glebie wewnętrznej, to zmieniły one w ostatnich latach polityczny krajobraz Europy i świata, i nie mogą być pominięte w rozważaniach

³³ Samozwańcze Islamskie Państwo Iraku i Lewantu (IPIL) proklamowane przez odłam Al-Kaidy nie tylko wypowiedziało wojnę rządowi Iraku, lecz także zapowiedziało, że po 100 latach przekreśli tajne porozumienie zawarte w 1916 r. między Wielką Brytanią (reprezentował ją M. Sykes) a Francją (F. G. Picot), na którego podstawie – po upadku Imperium Osmańskiego – obie kolonialne potęgi ustaliły swoje strefy wpływów i ustanowiły dwa państwa: Irak, należący do strefy brytyjskiej oraz Syrię – w strefie francuskiej. W drugiej dekadzie XXI w. samozwańcze państwo IPIL, pod hasłem „Sykes–Picot Over”, powołuje nowy, oparty na regułach Koranu, twór obejmujący częściowo obszar obecnej Syrii, a częściowo – Iraku.

sygnalizujących główne parametry wyłaniającego się nowego porządku międzynarodowego.

NOWA FILOZOFIA POLITYCZNA

Fundamentem systemu, który ukształtował się po zakończeniu zimnej wojny na zasadzie przeciwieństwa wobec porządku opartego na wzajemnym odstraszeniu, było odwoływanie się do wspólnych liberalno-demokratycznych wartości – takich zasad i norm jak: demokratyczny ustrój, rządy prawa, polityczny pluralizm, rynkowa gospodarka, wolność słowa, respektowanie praw i swobód obywatelskich, tolerancja, poszanowanie godności i praw człowieka we wszystkich sferach jego aktywności. Przyjęto założenie, że w miejsce bipolarizmu opartego na równowadze sił i filozofii „wyłączenia” (*exclusiveness*) pojawi się nowy porządek oparty na współzależności, harmonizowaniu interesów i „włączaniu” (*inclusiveness*). Czynnikiem decydującym miały być nie tyle potęga wojskowa i siła gospodarcza, ile wartości moralno-etyczne i rządy prawa. Innymi słowy, nowy porządek międzynarodowy miał się opierać – inaczej niż w okresie bipolarizmu – nie tyle na prawie siły, ile na sile prawa.

W globalnej strategii USA na popularności zyskała koncepcja promowania w świecie demokracji i „zmiany reżimów” (*regime change*) – z dyktatorskich i opresyjnych na demokratyczne, oparte na normach i procedurach państwa prawnego. Dokument przyjęty w czasie warszawskiego spotkania 108 ministrów spraw zagranicznych, *Ku wspólnocie demokracji*, formułował program działania państw, w których rządy miały być sprawowane z poszanowaniem zasad demokracji, oraz tych, które deklarowały, że zmierzają do demokratycznej formy władzy³⁴.

Doświadczenia ponad 15 lat funkcjonowania instytucji pn. *Wspólnota Demokracji* – luźnej struktury powołanej w czasie założycielskiej konferen-

³⁴ Konferencja w Warszawie (maj 2000 r.), zwołana z inicjatywy sekretarza stanu USA Madeleine Albright i ministra spraw zagranicznych RP Bronisława Geremka, miała dokumentować wolę kształtowania międzynarodowego systemu bezpieczeństwa opartego na demokratycznych podstawach. Jej wyniki w formie przyjętej Deklaracji warszawskiej „Ku wspólnocie demokracji” (*Towards Community of Democracies*) opublikowane zostały w specjalnym numerze kwartalnika „Sprawy Międzynarodowe” 2000, nr 2 oraz (w oryginalnej wersji angielskiej) w „Polish Quarterly of International Affairs”, 2000, t. 9, nr 2 – Supplement.

cji w Warszawie – budzą uzasadniony sceptycyzm. Dotyczy to zarówno idealistycznych założeń jej inicjatorów, jak i realnego oddziaływania tego typu wielostronnych spotkań i debat na rozwiązywanie żywotnych problemów na świecie. Po Warszawie dyskusje były kontynuowane w Seulu (2002), Santiago de Chile (2005), Bamako (Mali – 2007), Lizbonie (2009), Krakowie (2010), Wilnie (2011), Ułan Bator (2013) i San Salvador (2015).

Instytucjonalizacja wsparcia rozwoju demokracji ma określone znaczenie. Jednak o jej istocie stanowią nie tyle werbalne deklaracje i kolejne uzgodnienia, ile stosowanie przyjętych zasad i norm w praktyce³⁵. W środowiskach demokratyczno-liberalnych myślicieli oraz decydentów dominuje niekiedy przekonanie, że wystarczą porozumienia i normatywne uregulowania, by na ich podstawie ukształtował się nowy międzynarodowy porządek.

Tak nie jest.

NOWE IDEE I STARA POLITYKA

Konflikty w Afganistanie i Iraku oraz rewolty w świecie arabskim świadczą dobitnie, że w wielu regionach świata liberalne wartości zachodnich demokracji nie są przyjmowane za fundament globalnego systemu bezpieczeństwa³⁶. Stąd postulat badawczy i praktyczny, by – uwzględniając heterogeniczny charakter współczesnego świata – państwa zachodnie należące do wspólnoty transatlantyckiej (Europa, Stany Zjednoczone i Kanada) podjęły wysiłek i wspólnie z innymi krajami – również niedemokratycznymi – wypracowały normatywny consensus, na którym opierałyby się nowe reguły porządku międzynarodowego.

W tym kierunku zmierzały inicjatywy różnych grup myślicieli, badaczy i byłych polityków, jak choćby Aspen Ministers Forum (AMF), któremu przewodniczy Madeleine Albright; Euro-Atlantic Security Initiative

³⁵ Jednym ze skutków Deklaracji warszawskiej było powołanie w trakcie przygotowań do ministerialnej konferencji w Santiago de Chile we wrześniu 2004 r. Klubu Demokratycznego ONZ. Później powstał Pozarządowy Proces Wspólnoty Demokracji (Non-Governmental Process for the Community of Democracies) z Międzynarodowym Komitetem Sterującym (International Steering Committee), złożony z 21 przedstawicieli organizacji społecznych reprezentujących wszystkie regiony świata z Międzynarodowym Sekretariatem w Warszawie. Stworzono też Międzynarodowy Komitet Doradczy (International Advisory Committee).

³⁶ Szerzej: T. Flockhart i in., *Liberal Order in a Post-Western World*, Washington 2014.

(EASI), której opracowania sygnują byli politycy z USA, Rosji i Niemiec (senator Sam Nunn, Igor Iwanow – były minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej i Wolfgang Ischinger – były sekretarz stanu w niemieckim MSZ), czy wreszcie European Leadership Network (ELN), instytucja powołana z inicjatywy byłego sekretarza obrony Wielkiej Brytanii Desmonda Browne’a – z udziałem badaczy i ekspertów z państw Unii Europejskiej oraz Rosji i Turcji³⁷.

W intelektualnych debatach myślicieli Zachodu powoli dojrzewa świadomość, że fundamenty nowego globalnego systemu i porządku światowego muszą uwzględniać to, że liberalna demokracja oraz jej wartości i zasady są uznawane jedynie przez część wysokorozwiniętych państw, a szczególnie przez transatlantycką wspólnotę.

W sumie na ogólną liczbę 193 państw członków ONZ zaledwie jedna trzecia uznaje i w praktyce stosuje liberalno-demokratyczny sposób sprawowania władzy. Innymi słowy, postulat uzgodnienia nowych reguł i kodeksu postępowania państw w sprawach międzynarodowego bezpieczeństwa jest w pełni uzasadniony. Jakkolwiek należy przyjąć założenie, że nie wszyscy członkowie takiego systemu będą kierować się wartościami liberalno-demokratycznej wspólnoty.

Pożądany kooperatywny system bezpieczeństwa, który uwzględniałby złożoność i współzależność współczesnego świata, powinien zakładać konieczność i potrzebę nieprzerwanej pokojowej transformacji. Oznacza to w praktyce adaptację do nowych uwarunkowań i pogodzenie się z pomniejszaniem znaczenia starych potęg oraz akceptowanie rosnącej roli „mocarstw wschodzących”.

„Sama zmienność potęgi jest stałą jej cechą, zmienia się natomiast rytm zmian – dowodzi francuski politolog i dyplomata Pierre Buhler. – Brutalne zerwania z przeszłością kontrastują ze stopniową ewolucją, utrzymującą pozory stabilności, zgodnie z klasycznym schematem okresów pokoju przedzielanych wojnami, po których traktaty pokojowe sankcjonują nowy rozkład potęgi”³⁸.

³⁷ Wspólne raporty i postulaty tych grup – jakkolwiek zyskały pewien rozgłos i stymulowały międzynarodową debatę – to jednak nie wpłynęły na stanowisko państw. Por. np. opublikowany na łamach „Gazety Wyborczej” (28 listopada 2013) wspólny list pt. *Budujmy szerszą Europę*, którego autorami byli Des Browne, Igor Iwanow i Adam D. Rotfeld.

³⁸ P. Buhler, *O potędze w XXI wieku*, tłum. G. Majcher, Warszawa 2014, s. 494.

Jesteśmy świadkami i uczestnikami takiego właśnie historycznego etapu. Żyjemy w świecie nieodpowiadającym koncepcjom biegunowości, do których odwołują się często zarówno politycy, jak i badacze. Żyjemy w świecie, w którym ład międzynarodowy nie jest zarządzany przez jednego hegemonia (model unipolarny). Nie jest to również porządek, którego reguły uznają prawo globalnych mocarstw do posiadania własnych „stref wpływu” lub „stref uprzywilejowanych interesów” (model multipolarny). Upadek systemu bipolarnego doprowadził do sytuacji, w której kształtuje się porządek nowego typu. A mianowicie – siła i potęgi mają charakter rozproszony, policentryczny. Natomiast reguły i normy uzgodnione w przeszłości są częściowo dostosowane do świata, który minął bezpowrotnie. I chociaż tego świata już nie ma, a jego zasady i normy wymagają pilnej adaptacji do nowej rzeczywistości i innych uwarunkowań, to próby uzgodnienia nowych norm i reguł napotykają opór materii. Swobodną „próżnię” starają się wykorzystać niektóre z mocarstw – globalnych graczy na światowej scenie. Usiłują one narzucić w trybie jednostronnym swoje reguły postępowania. Ilustracją takiej „nowej gry – bez reguł” jest próba podporządkowania Ukrainy normom *rusckiego mira*, czyli „ruskiego świata”³⁹.

Priorytetowym zadaniem, jakie stoi przed transatlantycką wspólnotą demokratycznych państw, jest wypracowanie nowego kodeksu i systemu norm oraz procedur, które skutecznie chroniłyby podstawy ich liberalno-demokratycznego ustroju. Bowiem tylko ład międzynarodowy oparty na wartościach demokracji jest gwarancją pokoju, wolności i dobrobytu.

Nie można jednak ignorować faktu, że znaczna część aktorów na globalnej scenie nie uznaje fundamentalnych wartości świata zachodniego za uniwersalne. Rządy tych państw nie godzą się respektować zasad pluralizmu politycznego i demokratycznej legitymizacji sprawowanej władzy. Nie akceptują też w pełni praw i swobód jednostki. Nadają większą rangę prawom zbiorowości niż indywidualnym prawom człowieka w interpretacji przyjętej w euroatlantyckiej wspólnotcie. Tak pojmowany system policentryczny wymaga przyjęcia, że świat jest heterogeniczny, a nie

³⁹ Pojęcie *ruskiej mir* zakłada, że jest to wspólnota duchowa państw, dla której język, religia, tradycja mają znaczenie kluczowe. O jej politycznym wymiarze miałyby stanowić to, że Rosja jest dla *ruskiego mira* centrum grawitacji. Nazwa tego świata nawiązuje do Rusi, a nie do Rosji.

homogeniczny. Oznacza to konieczność wypracowania nowych reguł wynikających z politycznego zróżnicowania społeczności międzynarodowej w drugiej dekadzie XXI wieku i osiągnięcia co do nich *consensusu*⁴⁰. Nowy porządek będzie miał zatem raczej charakter funkcjonalny i rozproszony i będzie opierał się na wielu czynnikach określających potęgę państw w XXI wieku, a nie tylko na sile gospodarczej i militarnej, jak to się działo w przeszłości.

NOWE REGUŁY CZY ŚWIAT BEZ REGUŁ?

W swej monografii *Porządek światowy* Henry Kissinger trafnie odnotował: „Porządek należy kształtować, nie można go narzucać. Jest to szczególnie aktualne w epoce błyskawicznej komunikacji i rewolucyjnych zmian politycznych. Każdy system porządku światowego, jeśli ma się utrzymać, musi być uznawany za słuszny nie tylko przez przywódców, lecz także przez obywateli. Musi odzwierciedlać dwie prawdy: porządek bez wolności, nawet jeśli podtrzymywany jest chwilowym uniesieniem, ostatecznie prowadzi do wytworzenia przeciwwagi dla samego siebie; z kolei wolności nie da się osiągnąć ani zabezpieczyć bez zrębów porządku, który utrzymuje pokój. Porządek i wolność, określane czasem jako przeciwne bieguny, trzeba traktować jako zjawiska współzależne. (...) Każdy z systemów porządku opiera się na dwóch składowych: zbiorze powszechnie akceptowanych reguł, które definiują granice dopuszczalnego działania i równowadze sił, która narzuca ograniczenia tam, gdzie reguły przestają obowiązywać, uniemożliwiając jednemu podmiotowi politycznemu podporządkowanie sobie wszystkich pozostałych”⁴¹.

Na spotkaniu międzynarodowego klubu „Wałdaj” Władimir Putin postawił pytanie: „Co w istocie dzieje się w świecie, dlaczego staje się on coraz mniej bezpieczny i mniej przewidywalny, dlaczego wszędzie zwiększają się ryzyka?”⁴². W nawiązaniu do tematu konferencji *Porządek*

⁴⁰ Por. Ch. A. Kupchan, *No One's World: The West, the Rising Rest, and the Coming Global Turn*, Oxford 2012 oraz idem, *Reordering Order: Global Change and the Need for a New Normative Consensus*, T. Flockhart i in., *Liberal Order...*, op. cit., s. 3-12.

⁴¹ H. Kissinger, *Porządek światowy*, przeł. M. Antosiewicz, Wyd. Czarne, Wołowiec 2016, s. 16.

⁴² <http://news.kremlin.ru>.

światowy: nowe reguły gry czy świat bez reguł? prezydent Rosji udzielił odpowiedzi, którą można sprowadzić do kilku kluczowych tez:

1. Systemy bezpieczeństwa – globalny i regionalny – są osłabione, rozdrobnione i zdeformowane. Dotyczy to również wielostronnych instytucji oraz współdziałania w sferach politycznej, gospodarczej i kulturalnej.

2. Mechanizm wzajemnych ograniczeń i równowagi, który był kształtowany w rezultacie II wojny światowej i powojennego rozwoju, pomagał utrzymywać porządek międzynarodowy pod kontrolą. Po zimnej wojnie należało dokonać racjonalnej rekonstrukcji i adaptacji tego mechanizmu oraz całego systemu do nowych uwarunkowań. Jednak Stany Zjednoczone uznały się za zwycięzcę w zimnej wojnie i postanowiły, że poszukiwanie nowej równowagi sił jest zbędne. Ponoszą one odpowiedzialność za to, że system bezpieczeństwa w skali globalnej i regionalnej stał się dysfunkcyjny⁴³.

3. W wyniku nacisków politycznych i nihilizmu prawnego zostały osłabione normy i zasady prawa międzynarodowego. Zastąpiły je arbitralne oceny i dowolne interpretacje. Zdaniem Putina towarzyszyła temu totalna amerykańska kontrola nad globalnymi środkami masowego przekazu, które świadomie deformują obraz świata. Ambicje jednego mocarstwa i jego satelitów prezentowane są jako „opinia całej społeczności międzynarodowej”, a lojalność wobec tego „jedynego centrum wpływów” stała się miarą prawowitości i legitymizacji reżimów, sprawujących władzę w różnych państwach.

W skrócie, prezydent Putin oskarżył Stany Zjednoczone, że usiłują dostosować system międzynarodowy i globalny porządek do swoich interesów – nie biorąc pod uwagę innych graczy na światowej scenie⁴⁴. W konkluzji

⁴³ Władimir Putin w Soczi mówił: „Zimna wojna się zakończyła. Jednak nie zawarto pokoju w formie zrozumiałych i przejrzystych uzgodnień o poszanowaniu istniejących lub wypracowaniu nowych reguł i standardów” (Meeting of the Valdai, op. cit.). W artykule opublikowanym na łamach „New York Times” z 11 września 2013 r. prezydent Rosji tak komentował oświadczenie prezydenta Obamy: *And I would rather disagree with a case he made on American exceptionalism, stating that the United States’ policy is „what make America different. It’s what makes us exceptional. It is extremely dangerous to encourage people to see themselves as exceptional, whatever the motivation”.*

⁴⁴ K. Demirjian, M. Birnbaum, *Russia’s Putin Blames U.S. for Destabilizing World Order*, „The Washington Post” z 24 października 2014 r.



Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, kardynał Kazimierz Nycz,
minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski i Adam D. Rotfeld, styczeń 2009 r.

Władimir Putin stwierdził, że Rosja „nikogo nie pyta o pozwolenie”, jak ma prowadzić swoją globalną politykę (*Russia is not asking anyone for permission in its conduct of world affairs*).

Oryginalną wykładnię nowej rosyjskiej strategii można sprowadzić do następującego rozumowania: skoro stary system bezpieczeństwa się wyczerpał i już nie obowiązuje, a nowy jeszcze nie jest uzgodniony – Rosja ma „wolną rękę” w określaniu, co jest zgodne z prawem, a co nie jest; skoro Stany Zjednoczone naruszały reguły gry w Kosowie, Syrii, Iraku i Afganistanie, to Rosja ma prawo do podobnego postępowania wobec Ukrainy lub interwencji w Syrii – w obronie prezydenta Assada i jego rządów.

Nie ma potrzeby dowodzić, że rozumowanie to ma „legitymizować” bezprawie i narzucanie własnych rozwiązań. Podejście takie nie znajduje zrozumienia ani w państwach z Rosją bezpośrednio graniczących (w krajach bałtyckich i Polsce), ani w całej wspólnocie transatlantyckiej, czyli w Unii Europejskiej i NATO.

W Ameryce i Europie pojawiły się głosy, które obciążają Zachód odpowiedzialnością za nową „asertywną strategię obroną przez przywódce Rosji”⁴⁵. Jeden z amerykańskich teoretyków – przedstawiciele szkoły tzw. realistów – napisał, że za kryzys na Ukrainie i wokół Ukrainy odpowiedzialność ponosi Zachód, a konkretnie: „były to liberalne urojenia, które sprowokowały Putina” (*the liberal delusions that provoked Putin*). Opinia ta spotkała się z kompetentną odpowiedzią wielu badaczy i znawców przedmiotu⁴⁶.

Zasygnalizowane „realistyczne” rozumowanie ma niejako *ex post* uzasadniać, że to polityczna decyzja o rozszerzeniu NATO – podjęta przed 20 laty – jest źródłem obecnego kryzysu⁴⁷. Wystarczy sobie uświadomić, jak wyglądałby stan bezpieczeństwa Europy Środkowej i całej demokra-

⁴⁵ J. J. Mearsheimer, *Why the Ukraine Crisis Is the West's Fault? The Liberal Delusions That Provoked Putin*, „Foreign Affairs”, wrzesień-październik 2014 r.

⁴⁶ M. McFaul, S. Sestanovich, *Faulty Powers. Who Started the Ukraine Crisis?*, „Foreign Affairs”, listopad-grudzień 2014 r. Także: J. Kornblum, *Ukraine and the West. The West Never Intended to Humiliate Russia*, „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z 30 marca 2014 r., s. 11; J. Kornblum, *Clowns Can't Save the Old World Order*, „Welt am Sonntag” z 7 września 2014 r.

⁴⁷ Mają rację M. McFaul i S. Sestanovich, gdy piszą, że ten rodzaj Realpolitik as a policy prescription „can be irrational and dangerous”; M. McFaul, S. Sestanovich, *Faulty Powers*, op. cit.

tycznej wspólnoty transatlantyckiej, gdyby ówczesnym przywódcom świata zachodniego zabrakło mądrości politycznej i gdyby postępowali zgodnie z zaleceniami „realistów” z Chicago lub innych ośrodków teorii stosunków międzynarodowych.

W powstałej sytuacji istotną rolę mogą odegrać gremia złożone z intelektualistów, myślicieli i ekspertów, jeśli zdołają uświadomić politykom odpowiedzialnym za podejmowanie decyzji, że nastał moment przewartościowania starych i dopuszczenia nowych koncepcji, które będą adekwatne do potrzeb czasu i przyspieszonych zmian⁴⁸. Punktem wyjścia do skutecznej realizacji wspólnej strategii budowy trwałego pokoju i bezpieczeństwa w Europie jest wypracowanie podobnego postrzegania i rozumienia zagrożeń przez wszystkie państwa transatlantyckiej wspólnoty.

Problemy, które doprowadziły do kryzysu w stosunkach między Rosją a Unią Europejską i NATO, są odbiciem głębokich różnic natury politycznej, kulturowej i psychologicznej w pojmowaniu znaczenia wartości w określaniu celów strategicznych i sposobów ich realizacji. Racjonalne rozwiązania powinny zmierzać do potwierdzenia obowiązujących zasad politycznych i prawnych oraz wypracowania nowych reguł w tych sprawach i obszarach, gdzie to jest konieczne⁴⁹.

Pozimnowojenny porządek opierał się na założeniach, że wszystkie państwa będą respektować uzgodnienia zawarte w aktach prawnomiędzynarodowych i politycznych. Fundamentem tego ładu miała być wspólnota zarówno wartości, jak i interesów. Były to jednak założenia złudne.

⁴⁸ Mam na myśli wspomniane już robocze zespoły, jak Aspen Ministers Forum, EASI – Euro-Atlantic Security Initiative czy European Leadership Network. Wcielanie w życie postulowanej przez ELN idei „szerszej Europy” (*Greater Europe*), której bezpieczeństwo byłoby oparte na współpracy, wymaga innowacyjnego myślenia w kierowniczych gremiach obu transatlantyckich instytucji bezpieczeństwa. Koncepcja ta była przedmiotem obrad w Warszawie (30 maja 2014 r.) na podstawie *A Task Force Position Paper on Crisis Management in Europe in the Context of Events in Ukraine*. Tekst polski *Szerszej Europy* – „Gazeta Wyborcza”, 28 listopada 2013 r.

⁴⁹ Swoistym protokołem rozbieżności jest Raport Końcowy – Final Report and Recommendations of the Panel of Eminent Persons on European Security as a Common Project – pt. *Back to Diplomacy*, Vienna, November 2015. Autorami tego Raportu były osobistości z 15 państw zaproszone przez rząd Szwajcarii do wypracowania pod auspicjami OBWE wspólnych zaleceń. W tym dokumencie nie zdołano osiągnąć porozumienia w sprawach najważniejszych (zdania odrębne zostały zaprezentowane w załącznikach).

Przyczyny dysfunkcjonalności pozimnowojennego porządku są różne. Po pierwsze, niektóre państwa należące do systemu, którego instytucjonalnym wyrazem są m.in. Rada Europy i OBWE, trudno w istocie nazwać państwami prawa – jakkolwiek zachowują formy państwa prawnego. Traktaty i zobowiązania polityczne są traktowane w tych państwach jak fasada i werbalna deklaracja, zaś wielostronne międzynarodowe instytucje (w tym OBWE i Rada Europy) są tam postrzegane jako instrumenty i mechanizmy ukierunkowane na zmianę niedemokratycznych reżimów oraz ustanawianie reguł i porządków odpowiadających Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom. Po drugie, nowe technologie komunikacyjne sprawiają, że wiele rozwiązań z przeszłości ma we współczesnym świecie charakter anachroniczny. Rozwiązania z przeszłości trzeba znać, ale należy szukać nowych, skutecznych sposobów zapobiegania wojnie. Po trzecie wreszcie, porządek międzynarodowy powinien odpowiadać potrzebom nowych pokoleń, których oczekiwania nie są kształtowane przez takie same czynniki, jakie inspirowały ojców założycieli obecnego systemu.

UWAGI KOŃCOWE

31 października 1958 roku w swoim wykładzie inauguracyjnym na Uniwersytecie w Oxfordzie Isaiah Berlin przywołał o sto lat wcześniejszą opinię, w której Heinrich Heine przestrzegał Francuzów przed niedocenianiem potęgi idei: „koncepty filozoficzne pielęgnowane w zaciszu profesorskich gabinetów mogą zniszczyć cywilizację”. Mówił o *Krytyce czystego rozumu* Kanta jako o mieczu, którym ścięto głowę europejskiemu deizmowi, a dzieła Rousseau opisał jako splamioną krwią broń, która posłużyła Robespierre’owi do zniszczenia starego porządku; przepowiedział, że romantyczna wiara Fichtego i Schellinga – ze straszliwym skutkiem za sprawą ich fanatycznych niemieckich uczniów – zwróci się któregoś dnia przeciwko liberalnej kulturze Zachodu⁵⁰.

Isaiah Berlin ironicznie podsumował ten wywód uwagą, że „fakty nie w pełni potwierdziły tę przepowiednię. Jeśli jednak – ciągnął Berlin – profesorowie naprawdę dźwierzają tak porażającą władzę, to czyż nie oznacza

⁵⁰ I. Berlin, *Cztery eseje o wolności*, tłum. D. Grinberg, D. Lachowska, J. Łoziński, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2000, s. 184.

to, że tylko inni profesorowie lub przynajmniej inni myśliciele (a nie rządy czy komisje parlamentarne) są w stanie ich rozbroić”⁵¹

W Polsce bez wątpienia Leszek Kołakowski, Bronisław Geremek i Zygmunt Bauman należeli do tych myślicieli, którzy w porę dostrzegli zagrożenia. Podjęli też trud teoretycznego i praktycznego wypracowania koncepcji „ludzkiego bezpieczeństwa” (*human security*). Swoim myśleniem wyprzedzili epokę.

* * *

Rozważania na temat zasad i wartości prowadzą nas do kilku wniosków:

- Wartości oraz zasady moralno-etyczne mają w polityce istotne znaczenie. Poglądy ludzi, ich przekonania są równie ważne jak to, w jaki sposób ludzie zachowują się i postępują⁵². Ludzkie emocje – a nie tylko poglądy – nie pozostają bez wpływu na procesy decyzyjne polityków.

- Żyjemy w czasach, gdy zaciera się granica między polityką wewnętrzną a zagraniczną; to, co wewnętrzne, przenika się z tym, co zewnętrzne. Liczą się nie tylko koncepcje i strategie, ale też sposoby sprawowania władzy wewnątrz państw. Jedną z przyczyn słabości porządku globalnego jest słabość przywództwa w dzisiejszym świecie. Przy tym polityka zagraniczna traci na znaczeniu; przestaje być funkcją polityki wewnętrznej, ale staje się coraz częściej jej instrumentem i narzędziem.

- W polityce państw demokratycznych znaczenie kluczowe mają wartości istotne dla ludzkiej godności i wolności. Wymaga to przewartościowania naszego sposobu myślenia o polityce zagranicznej i zmiany w podejściu zarówno do tego, jak formułować cele, jak też jakimi środkami wolno posługiwać się dla osiągnięcia tych celów, dla ich realizacji.

W tym kontekście należy poszukiwać odpowiedzi na pytanie: na czym miałyby polegać istota nowego ładu międzynarodowego?

Punktem wyjścia do takich nowych uzgodnień mogłoby być przyjęcie następujących wspólnych założeń:

1. Mocarstwa musiałyby się wyrzec prawa do wyłączności w określaniu nowego porządku. Bowiern nowy porządek nie może być narzucony;

⁵¹ Tamże.

⁵² Por. J. L. Gaddis, *On Moral Equivalency and Cold War History*, „Ethics and International Affairs”, 1996, vol. 10, s. 147-148.

powinien być wynegocjowany lub – co istotne i bardziej prawdopodobne – ukształtowany w procesie wzajemnego dostosowywania się państw, które wspólnie stawiają czoło nowym regionalnym wyzwaniom i ryzykom.

2. Podstawowym celem i sensem poszukiwanego ładu międzynarodowego w okresie przyspieszonych zmian jest nie tyle utrzymanie *status quo* i *stabilizacja*, ile *zarządzanie zmianami*. Na porządku dziennym stoją pytania: Jak sterować zmianami? Jak stworzyć warunki, które umożliwią skuteczne zapobieżenie nowej wielkiej wojnie z udziałem mocarstw nuklearnych? W praktycznych działaniach – zmierzających do wykluczenia globalnej katastrofy – znajomość historii jest przydatna, ale poszukiwany nowy światowy porządek nie będzie funkcjonalny, jeśli przyjmie założenie, że to przeszłość – a nie teraźniejszość i przyszłość – określi jego ramy i mechanizmy.

3. Środowiska akademickie nie są powołane do tego, by formułować strategię polityczną. Mogą jednak zaproponować minimalne kryteria „brzegowe”. Takie, które mogłyby być wykorzystane w rokowaniach z udziałem głównych aktorów sceny regionalnej i globalnej. Modele proponowane przez uczonych i myślicieli są na ogół racjonalne, spójne, logiczne i eleganckie w prezentacji. Rzecz w tym, że proces historyczny jest często wewnętrznie sprzeczny, irracjonalny, mało logiczny i daleki od eleganckiej konstrukcji teoretyków. Nowy porządek światowy niekoniecznie musi być efektywny, ale powinien być efektywny.

W drugiej dekadzie XXI wieku główne zagrożenia bezpieczeństwa międzynarodowego mają charakter niekonwencjonalny. Rodzą się wewnątrz państw, a nie między nimi. Źródłem tych zagrożeń są nierówności społeczne w skali globalnej, a nie tylko regionalnej, lokalnej i wewnątrz państw. Są też problemy związane z napięciami między biednym Południem a bogatą Północą. Poważnym wyzwaniem są nierozwiązane problemy uchodźców z obszarów objętych wojnami oraz wielomilionowa migracja związana ze zmianą klimatu, niedostatkiem wody pitnej i walką o przetrwanie.

Na porządek dzienny powracają problemy, które rodzą egoizm narodowy, ksenofobia i – nie na ostatnim miejscu – dyktatury, despotyzmy oraz inne niedemokratyczne sposoby sprawowania władzy i podeptanie uniwersalnych wartości. Poszukiwania zatem niekonwencjonalnych stra-

tegi nie mogą zmierzać do zbudowania Raju na Ziemi. Nie będą też realizacją koncepcji filozofa z Królewca, który promował ideę Wiecznego Pokoju.

Nowe reguły porządku międzynarodowego powinny adekwatnie odpowiadać żywotnym potrzebom i oczekiwaniom obecnej generacji i nadchodzących pokoleń.



Spotkanie z sekretarzem generalnym ONZ Kofi Annanem,
Nowy Jork, wrzesień 2005 r.

Jak myśli i koncepcje kształtują świat

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski

MARCIN WOJCIECHOWSKI: *Kiedy zetknął się Pan po raz pierwszy z „Kulturą” paryską?*

ADAM DANIEL ROTFELD: Znacznie wcześniej niż z innymi emigracyjnymi wydawnictwami. Tuż po Październiku '56 można było mieć dostęp do „Kultury” w niektórych czytelnich bibliotek naukowych. W bibliotece PISM-u zawsze była kolejka chętnych. Czytałem „Kulturę” z wypiekami na twarzy. Czasem ktoś przywoził jakiś egzemplarz z zagranicy.

W pewnym momencie PISM dostał zgodę, by z książek zatrzymanych przez PRL-owskich celników wybrać coś do swego księgozbioru. Dyrektor poprosił mnie, abym przejrzał stertę udostępnionych książek. Kilka z nich, zanim zaniósłem do biblioteki, zabrałem na parę dni do domu.

„Kulturę” czytałem nieregularnie. Zawsze robiła na mnie wrażenie niewymuszoną swobodą autorskich opinii, często polemicznych, ale zawsze utrzymanych w duchu tolerancji i intelektualnej otwartości. Miała swój styl. Była uosobieniem tego, co wyrażał tytuł traktatu Stanisława Leszczyńskiego w połowie XVIII w., *Głos wolny wolność ubezpieczający*. Znałem to dzieło z lekcji historii w krakowskim liceum. Miałem wrażenie, że „Kultura” miała to samo przesłanie dla czytelników w kraju w drugiej połowie XX wieku.

W Polsce nie było wolności słowa, ale dość powszechne było przekonanie, że jeśli coś zostało wydrukowane, to musi stać za tym jakaś większa siła. Efektem była świadomość, że każde słowo drukowane – skoro było wcześniej cenzurowane – wyraża coś, za co redaktorzy i władza biorą odpowiedzialność. Skutek był taki, że jedni czytelnicy odrzucali niemal wszystko, bo uważali, że skoro drukują to komuniści, to musi to być kłamstwo. Inni żywili przeświadczenie, że coś w tym musi być, skoro tekst został wydrukowany. Dość często na dowód, że pogląd jest poważny i zasługuje na uwagę, słyszałem taką opinię: „Coś w tym jest, bo widziałem – to było wydrukowane”. Autorzy takich opinii wychodzili z założenia, że słowo ma sprawczą moc, bo wyraża stanowisko władzy.

Z „Kulturą” było zupełnie inaczej. Autorzy wyrażali swoje poglądy, polemizowali ze sobą, czytelnicy pisali listy – trwała debata. To był zupełnie inny duchowy wymiar. Inny sposób postrzegania i wyrażania rzeczywistości.

Kto Panu zapadł w pamięć z ówczesnych autorów „Kultury”?

Główny publicysta Juliusz Mieroszewski, czyli słynny „Londyńczyk”, oraz znawca ZSRR piszący pod pseudonimem Adam Kruczek, który publikował ironiczne przeglądy prasy radzieckiej. Po latach dowiedziałem się, że pod pseudonimem tym krył się historyk Michał Heller, autor znakomitych analiz systemu radzieckiego wydanych na emigracji, który na fali popaździernikowej repatriacji wyemigrował z ZSRR najpierw do Polski, gdzie krótko pracował w Polskiej Agencji Prasowej, a potem – w trakcie antysemitycznej nagonki w 1968 roku – wyjechał na stałe do Paryża i objął katedrę na Sorbonie. Jego sześciotomową historię Rosji przeczytałem z wielkim zainteresowaniem. Dowiedziałem się z niej, że praktycznie do wieku XIX nie istniała rosyjska historiografia. Zapisy kronikarzy w tzw. letopisach z reguły powstawały na zamówienie władców. Były to raczej bałwochwalcze teksty, niemal baśnie, a nie próby obiektywnego odtworzenia historii. Stąd tak trudne jest badanie dawnej historii Rosji. Źródła, którymi dysponujemy, są w znacznej mierze mitologią.

Po śmierci Mieroszewskiego – „Londyńczyka” zastąpił „Brukselczyk”, czyli niedawno zmarły Leopold Unger, legenda dziennikarstwa, przez ostatnie dwadzieścia lat związany z „Gazetą Wyborczą”. Od jego felietonów rozpoczą-

nałem lekturę „Kultury”. Czytałem też kronikę ukraińską i niemiecką oraz komentarze „Berlińczyka”. Pod tym pseudonimem pisał – niedawno zmarły – profesor Bohdan Osadczuk, prekursor powojennego pojednania między Polakami i Ukraińcami.

Jaka była rola „Kultury” paryskiej w formowaniu postaw inteligencji w czasach PRL?

Znacznie większa niż się powszechnie sądzi. W latach siedemdziesiątych pojawiły się zminiaturyzowane edycje książek i zeszytów „Kultury”. Zastanawiałem się, kto i w jaki sposób wpadł na taką metodę przemytu zakazanej „bibuły”. Po latach odkryłem nieoczekiwanie, że ta formuła druku ma swoją historię. Na ten pomysł przemytu literatury wpadła ukraińska inteligencja na emigracji w Genewie już w połowie XIX wieku.

Doszedłem do tego w następujących okolicznościach. W ramach powierzonej mi misji wypracowania politycznego rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu trafiłem późną jesienią 1992 roku do Kijowa. Miasto wyglądało tak, jak Borys Pasternak opisywał Rosję po rewolucji październikowej. Tłumy ludzi koczowały na dworcu, samoloty nie latały z braku paliwa. Wszędzie chaos i bałagan. Nikt nic nie wiedział.

W ramach swej mołdawskiej misji – po rozmowach w Tyraspolu i Kiszyniowie – miałem lecieć z Kijowa do Moskwy na spotkanie z ministrem spraw zagranicznych Rosji Andriejem Kozyriewem. Z braku samolotów postanowiliśmy z ambasadorem Sławomirem Dąbrową jechać pociągiem. Ale biletów nie było. Na polecenie kancelarii prezydenta Leonida Krawczuka dwóch oficerów jego ochrony kupiło na czarnym rynku za niebotyczną sumę dwa bilety na pociąg – dla mnie i ambasadora.

Miałem kilka wolnych godzin. Poszedłem do księgarni. Chciałem kupić historię Ukrainy. W czasach ZSRR po ukraińsku nie wydano żadnej takiej historii. W Moskwie ukazała się pod auspicjami Akademii Nauk ZSRR, jeszcze w czasach stalinowskich, historia Ukrainy po rosyjsku.

Znalazłem w kijowskiej księgarni dwa reprinty historii Ukrainy – Mychajły Hruszewskiego, książkę wydaną we Lwowie na początku lat dwudziestych, oraz reedycję innej książki, wydanej w Kanadzie. Zobaczyłem też w księgarni zminiaturyzowaną edycję poematu narodowego *Kobzar*, napisanego w XIX wieku przez ukraińskiego wieszczę Tarasa Szewczenkę

– był to reprint z wydanej w Genewie w 1878 roku książeczki, którą przemycano do Rosji carskiej.

Warto wiedzieć, że Aleksander II wydał specjalny dekret, który zabraniał druku książek po ukraińsku. Car wydał ten zakaz podczas pobytu w Ems w Niemczech. Dekret zakazywał przywozu i druku jakiegokolwiek tekstu po ukraińsku z wyjątkiem historycznych pism sakralnych i nut – ale tylko po uzyskaniu osobistej zgody cara. Nawet główny cenzor nie miał prawa dopuścić publikacji jakiegokolwiek tekstu po ukraińsku. Wtedy to ukraińskie wydawnictwo Hromada w Genewie wpadło na pomysł, aby przemycać utwory ukraińskich poetów i pisarzy ze Szwajcarii w zminiaturyzowanych wydaniach, jako bibułki do papierosów o nazwie Awada, które cieszyły się wielkim popytem i na masową skalę były importowane do Rosji. Ich rozmiar (55 x 85 milimetrów) zdecydował o formie publikacji, które w celofanie Awady trafiały do odbiorców na Ukrainie. W sto lat później z tego pomysłu skorzystała „Kultura”, której miniaturowe edycje trafiały do czytelników PRL-u.

Tradycja ta była żywa. W takich samych zminiaturyzowanych wydaniach przemycano do Związku Radzieckiego *Biblię* i *Archipelag Gułag* Sołżenicyna.

Przewożenie przez granicę i czytanie takiego zakazanego egzemplarza podnosiło poziom adrenaliny. Chociaż w Polsce kontrola celna była mniej surowa niż w NRD, to jednak można było narazić się na różne szykany – zakaz wyjazdu, utratę pracy, a nawet wyrok, zwłaszcza za kolportaż. W Rosji zakazaną literaturę masowo przepisywano – na ogół ręcznie lub na maszynach do pisania. Ustrój radziecki cofnął cywilizację do epoki sprzed Gutenberga.

W końcu lat siedemdziesiątych „Kultura” paryska krążyła w drugim obiegu. W istocie jej zasięg był porównywalny do obiegu pierwszego, oficjalnego, zwłaszcza że dostęp do niektórych legalnych pism ograniczały limity papieru. Natomiast egzemplarze przemycane czytane były przez dziesiątki osób. Tama ograniczająca dostęp do tej literatury została przezwana w roku 1980.

Co Pana pociągało w tym piśmie? Teksty o geopolityce, kulturalne, analizy sytuacji w kraju?

Każdy egzemplarz, który trafiał w moje ręce, czytałem od deski do deski. Mam niestety taki nawyk, że jeśli coś zaczynam czytać, czytam do ostatnie-

go zdania, choć niekiedy po skończonej lekturze stwierdzam, że była to strata czasu.

W przypadku „Kultury” miałem inne doświadczenie – jej lektura sprawiała mi przyjemność podwójną: znaczna część materiałów była na najwyższym poziomie, a poza tym był to owoc zakazany... Trafiła mi do przekonania od pierwszego czytania koncepcja UBL – wolnej Polski utrzymującej stosunki z wolnymi republikami radzieckimi Ukrainą, Białorusią i Litwą – ale uważałem ją za zbyt idealistyczną. Nie sądziłem, że realizacja tej myśli stanie się możliwa za mojego życia.

Dlaczego?

Rzeczywistość, w której wyrosłem, dojrzewałem i żyłem – przytłaczała. W dającej się przewidzieć przyszłości nie dostrzegałem żadnej szansy na jakąkolwiek alternatywę. Wydawało się, że decydujące znaczenie ma naga i brutalna siła. Moim pierwszym przeżytym w sposób dojrzały doświadczeniem było krwawo stłumione powstanie w Poznaniu i w niespełna pół roku później – czołgi radzieckie na ulicach Budapesztu. To było w 1956 roku, a dwanaście lat później doszło do interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Pradze. Docierały też przekazywane szeptem wieści o buncie w Nowoczerkasku i różnych innych protestach tłumionych w Związku Radzieckim. Nie mówiło się o tym głośno, ale docierały do Polski echa tego, co w Rosji ludzie opowiadali sobie po cichu w kuchni. Bo jak Pan wie, w ZSRR najciekawsze rozmowy prowadzono w kuchni, w naiwnym przekonaniu, że tam nikt nie podsłuchuje.

Wszystko to utrzymywało dosyć powszechne przeświadczenie, że pokojowa zmiana nie jest możliwa.

Przeglądy prasy radzieckiej w „Kulturze” paryskiej pozwalały spojrzeć z dystansem – ironicznie i z politowaniem – na absurdy rzeczywistości, w której żyłem. W sądach i żartobliwych komentarzach „Londyńczyka”, a potem „Brukselczyka” podobała mi się ich błyskotliwa inteligencja i erudycyjne dygresje, które nie gubiły głównego wątku i nie zacierają przesłania.

W 1954 roku „Kultura” opublikowała słynny list kleryka z RPA, który napisał, że Polacy muszą się pogodzić z utratą Wilna, Lwowa czy Grodna. Jakie ten tekst miał znaczenie?

W politycznym dorobku „Kultury” była to jedna ze spraw najważniejszych. „Kultura” złamała tabu – zapoczątkowała bolesne pożegnanie z Kresami. Miała odwagę zrobić to, co dla innych było nie do pomyslenia. Zachęcała, by oceniać sytuację Polski w kategoriach realnych, a nie życzeniowych. Rzecz jasna, gdyby nie było II wojny światowej, ziemie te pozostałyby w granicach państwa polskiego. Takie były postanowienia Traktatu Ryskiego zawartego w 1921 roku – po wojnie polsko-bolszewickiej. Traktat ten zamykał ważny dla obu stron historyczny etap – kończył wojnę i wytyczał granice. Były to decyzje konieczne: Polska i Rosja bolszewicka były wyczerpane wojną. Ale zarówno Polska miała na Wschodzie większe ambicje, jak też Rosja uważała ustanowione przez Traktat Ryski *status quo* za stan przejściowy. Druga wojna światowa i poprzedzający ją pakt Mołotow–Ribbentrop przekreśliły ten porządek raz na zawsze.

Nikt, chyba nawet Stalin, nie wyobrażał sobie, że armia radziecka będzie stacjonować w Niemczech pół wieku – od 1945 roku przez następnych niemal pięćdziesiąt lat. Odwrócenie tego stanu rzeczy i powrót do *status quo ante* – sytuacji sprzed 1939 roku – było myśleniem życzeniowym i nie-realistycznym. Jerzy Giedroyc miał tego pełną świadomość. Znakomicie wyczuwał to również dlatego, że sam pochodził z tych ziem. Wiedział, że rezygnacja z marzeń o powrocie do Lwowa i Wilna to warunek *sine qua non* ułożenia nowego typu stosunków z sąsiadami na Wschodzie.

Na czym jeszcze polega wielkość wizji Giedroycia?

Na tym, że brał pod uwagę możliwość rozpadu imperium radzieckiego. Był „zwierzęciem politycznym”. Uznał, że najlepszym sposobem na odzyskanie pełnej suwerenności przez Polskę i budowanie nowej pozycji w regionie bez krwawych konfliktów jest podmiotowe traktowanie narodów tych republik radzieckich, które sąsiadują z Polską. Wymagało to dalekowzrocznego myślenia strategicznego, a zarazem wielkiej cywilnej odwagi. Już choćby dlatego, że znaczna część polskiej emigracji na Zachodzie wywodziła się z Kresów. Byli to ludzie, których władza radziecka zesłała na Sybir i do Azji Środkowej. Wielu z nich opuściło ZSRR w czasie wojny z armią Andersa. Giedroyc wybrał trudną drogę mówienia prawdy – nawet nieprzyjemnej – zamiast schlebienia poglądom, zgodnie z którymi „jedna bomba atomowa, a wrócimy znów do Lwowa”.

„Kultura” paryska miała odwagę głosić też tezę, że musimy sobie na nowo ułożyć stosunki z Niemcami – choć okoliczność, że dostaliśmy po wojnie – głównie jako rekompensatę za tereny utracone na rzecz ZSRR – ziemie zachodnie i północne, porozumienia takiego nie ułatwiała. Pamiętać trzeba, że Polaków i Niemców dzieliła po wojnie przepaść, przede wszystkim ze względu na zbrodnie hitlerowskie i pamięć o niemieckiej okupacji, której okrucieństwo nie miało żadnej analogii w dziejach polskiego narodu i żadnego narodu Europy. Osłabione Niemcy i wzmocniona ich kosztem Polska miały dobrze służyć bezpieczeństwu w Europie – pod warunkiem, że dojdzie do polsko-niemieckiego pojednania.

Argumenty „Kultury” były bardziej racjonalne niż emocjonalne i nie trafiały do przekonania zdecydowanej większości Polaków na emigracji.

Koncepcja „Kultury” paryskiej stała się gotową matrycą dla polityków, którzy doszli w Polsce do władzy po 1989 roku. Czy nie było konkurencyjnych idei?

Było wiele różnych idei i pomysłów. Jednak koncepcja Giedroycia i Mieroszewskiego była nie tylko spójna myślowo i najdojrzalsza – w momencie, gdy doszło do zmiany ustrojowej, przesądziło to, że idea UBL funkcjonowała w obiegu intelektualnym od czterdziestu lat. Dyskutowano o niej, spierano się, polemizowano z takim podejściem, ale powoli oswajano się też z potrzebą liczenia się z realiami. Zbiór wielu myśli i koncepcji można porównać do wielkiego dębu, z którego spada kilkaset tysięcy żołądździ. Jednak tylko z jednego rodzi się nowe drzewo: z tego, które spada we właściwym czasie na właściwą glebę i trafia na dobre warunki rozwoju – nasłonecznione miejsce, odpowiednią wilgotność etc. Tak było z koncepcją Giedroycia i jego zespołu.

Trzeba pamiętać, że podczas II wojny okupanci pozbawili Polskę warstwy intelektualnej. Były to działania przemyślane i perfidne. Dziś mówimy często o tabloidytacji życia publicznego. W istocie mamy do czynienia ze zjawiskiem głębszym, bo podszytym często brakiem profesjonalnego przygotowania warstwy kierowniczej, jej skłonnością do podejmowania decyzji doraźnych, *ad hoc*, w odpowiedzi na zewnętrzne okoliczności, często w sposób emocjonalny, by nie powiedzieć – infantylny. Zjawisko to występuje rzadziej w krajach Europy Północnej czy w Niemczech. Wspominam o tym,

bo środowisko paryskiej „Kultury” było niejako namiastką elity, której zabrakło po wojnie w kraju. W Polsce pozostały swoiste wysepki w postaci „Znaku” i „Tygodnika Powszechnego” oraz środowiska skupionego wokół tych pism. Była też myśl polityczna Bolesława Piaseckiego i PAX-u, która stawiała na odwieczny antagonizm z Niemcami i trwałe uzależnienie Polski od Rosji.

Nowe koncepcje polskiej polityki wobec sąsiadów pojawiły się na początku lat dziewięćdziesiątych. Wiązało się to nie tylko z odzyskaniem pełnej suwerenności i podmiotowości, ale też z prostą konstatacją, że radykalnie zmieniło się nasze otoczenie zewnętrzne. Zamiast trzech sąsiadów – ZSRR, Czechosłowacji i NRD – Polska miała ich teraz siedmiu i – co paradoksalne – były to całkiem nowe państwa: Rosja, Ukraina, Białoruś, Litwa, Słowacja, Czechy i zjednoczone Niemcy. W tej postaci i w tych granicach żaden z tych sąsiadów nigdy dawniej nie istniał. Trzeba było z nimi ułożyć stosunki na nowo. Koncepcja „Kultury” była naturalnym i dobrym punktem wyjścia do poszukiwania nowych fundamentów polskiej państwowości, po odzyskaniu pełnej suwerenności – trwałego bezpieczeństwa.

Jerzy Giedroyc nie bardzo jednak lubił pierwszego szefa polskiej dyplomacji po 1989 roku – Krzysztofa Skubiszewskiego.

To prawda. Giedroyc uważał, że Skubiszewski jest zbyt formalistyczny i rozumuje jak prawnik, a nie polityk. Nie jest człowiekiem nowych idei, a raczej konserwatywnej rutyny. W istocie obaj – bezwiednie, ale znakomicie – uzupełniali się. Giedroyc sformułował koncepcję, a Skubiszewski realizował ją w formie uregulowań i prawnomiędzynarodowych traktatów.

Skubiszewski traktował prawnomiędzynarodowe uregulowania ze wszystkimi sąsiadami Polski jako coś niezmiernie ważnego – jak fundamenty domu, których my nie widzimy, ale bez których budynek mógłby się zawalić. W miarę upływu lat potwierdza się, że było to trafne podejście. Jednym z kryteriów przystąpienia Polski do NATO był postulat uregulowania stosunków i usunięcia źródeł potencjalnych konfliktów z sąsiadami. Polska polityka zagraniczna – pod kierownictwem profesora Skubiszewskiego – pozwoliła szybciej i lepiej wywiązać się z tego zadania niż polityka którekolwiek z innych państw, aplikujących do Sojuszu.

Krzysztof Skubiszewski przewidział i zrealizował to, co się nam przydało w praktyce. Byliśmy pierwszym krajem spośród wszystkich państw postkomunistycznych, aspirujących do NATO, który – w momencie, gdy otworzyła się szansa na przystąpienie do Sojuszu – miał uregulowane stosunki ze wszystkimi sąsiadami.

Czy dziś, ponad dwadzieścia dwa lata po odzyskaniu przez Polskę suwerenności, koncepcja Giedroycia jest jeszcze aktualna?

Koncepcja i idea, która leżała u jej podłoża, zachowały aktualność. Powiem więcej – dopiero teraz powstały warunki realizacji tej koncepcji. Dotyczy to zarówno Ukrainy, Białorusi i Litwy, jak i Rosji.

Mądrość Giedroycia znalazła odbicie również w ostatnich latach jego życia: nie życzył sobie kontynuacji „Kultury” po swej śmierci. Niewykluczone, że w razie kontynuacji pismo to spotkałby los podobny do losu „Tygodnika Solidarność”, którego dzisiejszy kształt ma niewiele wspólnego z pierwowzorem. Tygodnik, który niegdyś po strajku sierpniowym budował świadomość Polaków, jest dziś całkowicie zmarginalizowany i nie ma większego wpływu na postawy nowej generacji Polaków. Co ciekawe, „Kultura” – choć nie ukazuje się od ponad dziesięciu lat – jest ważnym składnikiem duchowego życia polskiego społeczeństwa. Nie tylko budzi zainteresowanie badaczy historii myśli politycznej i literaturoznawców, ale jest też źródłem inspiracji i przedmiotem sporów. Można ją porównać do dobrej literatury i poezji – dramaty Szekspira nie tracą na świeżości i aktualności. Poruszają nas nadal, bo zawierają prawdy ponadczasowe.

Przykłady?

Oto pierwszy z brzegu. Nie sędzę, by w latach siedemdziesiątych, a nawet później Aleksander Kwaśniewski przypuszczał, że jeśli kiedyś będzie miał decydujący wpływ na politykę, to za największy autorytet uzna Jerzego Giedroycia, a jego myśl polityczną za drogowskaz. Kwaśniewski miał odwagę powiedzieć to nie tylko sobie samemu, ale – jako prezydent państwa – oświadczył to publicznie. Stał się orędownikiem idei UBL i budowy nowej Europy Wschodniej, zgodnie z wizją Giedroycia i Mieroszewskiego.

Innym przykładem jest dzieło wybitnego tłumacza z rosyjskiego, krytyka literackiego i pisarza Jerzego Pomianowskiego, który – wypełniając testament Giedroycia – założył wydawane po rosyjsku pismo „Nowaja Polska”, adresowane do inteligencji na obszarach byłego Związku Radzieckiego. Profesorowi Pomianowskiemu udało się stworzyć wspaniałe pismo, do którego często ponad połowę tekstów przysyłają twórcy z Rosji – poeci, pisarze, artyści. Jest to wolna trybuna dla Rosjan zainteresowanych Polską – jej kulturą, tradycją i współczesnością. „Nowaja Polska” wyzbyta jest antyrosyjskich fobii. Jest wzorem pisma redagowanego z kulturą – uczciwie i krytycznie, ale życzliwie. Stanowi dowód, że wzajemna życzliwość nie przeszkadza w mówieniu prawdy. Przeciwnie – zbliżenie narodów, dialog, porozumienie i pojednanie wymagają, aby we wzajemnych stosunkach nie było półprawd i przemilczeń. Znaczna część polskiej elity „mówi Giedroyciem” – chociaż nie ma takiej świadomości i nie zdaje sobie z tego sprawy.

Polska nie miała w XX wieku idei w nadmiarze.

Wbrew pozorom w przyrodzie nie ma zbyt dużo nowych idei. Przed wojną Antonina Valentin, autorka biografii wielu znanych ludzi, przygotowywała książkę o życiu Alberta Einsteina. Zapytała go w czasie spaceru w parku, w jaki sposób odnotowuje nowe myśli, które przecież przychodzą do głowy w różnych sytuacjach, na przykład podczas gry na skrzypcach, w czasie kąpieli czy właśnie na spacerze. „Droga pani – odpowiedział. – Nowa myśl przychodzi tak rzadko, że jak już się pojawi, to się ją pamięta”.

Myśli „Kultury” paryskiej mają to do siebie, że się je pamięta.

Po 1989 roku trafiły na swój czas.

Zwraca na to uwagę Aleksander Kwaśniewski. Lata dziewięćdziesiąte, zwłaszcza w naszej części Europy, były rzeczywiście czasem niezwykłym. Otworzyły się nowe szanse i możliwości. Nowe i wielkie idee potrzebne były wtedy bardziej niż kiedykolwiek.

Jesteśmy dziś zaprzątnięci powszedniością. W oczach polityków idee nie są w cenie, a nawet sprawiają im pewien kłopot. Tymczasem mamy przed sobą problemy i zagrożenia bez precedensu. Bez wielkich idei nie sprostamy nowym wyzwaniom. Wielowymiarowe kryzysy dotyczą wielu

dziedzin. Ich rozwiązywanie wymaga nowego podejścia. Oznacza to konieczność wypracowania przez wspólnotę europejską i państwa narodowe zupełnie nowych, niekonwencjonalnych sposobów przewycięzania głębokiego kryzysu, który dotyczy nie tylko finansów, ale przede wszystkim wspólnotowej polityki i sposobów podejmowania decyzji.

W państwach dojrzałej demokracji polityka zagraniczna jest często wyłączona ze sporu partyjnego. Partie u władzy się zmieniają, zmieniają się rządy – i przekazują sobie, jak w sztafecie, pałeczkę, dokonując najwyższej delikatnych korekt we wspólnej narodowej strategii. Willy Brandt jest dziś ikoną dla niemieckiej chadecji, choć kiedyś był krytykowany za swoją politykę wschodnią i postulat pojednania z Polską. Myślę, że idee Giedroycia – jak rzadko które – mogą być taką płaszczyzną narodowego konsensusu politycznego.

Ale w Niemczech ten konsensus nie jest doskonały. Czasem podnoszą się głosy próbujące go podważać, przepisywać historię. Przykładem choćby niedawny wywiad Güntera Grassa dla izraelskiej gazety „Haaretz”, w której ten noblista los niemieckich jeńców na Wschodzie porównał do Holocaustu i świadomie zawyżył liczbę niemieckich ofiar w czasie II wojny światowej.

Grass zawsze wyrażał to, co Niemcom w duszy gra. Był i nadal jest swoistą narodową membraną. Nie powinniśmy odmawiać Niemcom prawa do opłakiwania swoich ofiar wojny. Każdy naród ma prawo do pamięci o swoich przodkach. To naturalne i ludzkie.

Jednak historii nie wolno zmieniać ani zakłamywać. Nie wolno też przemilczać, jakie były przyczyny tej wojny, kto był sprawcą, a kto ofiarą. W ustach Grassa te słowa dziwią. Przez lata był uważany za sumienie powojennych Niemiec i Niemców. Dodajmy, że jest człowiekiem wywodzącym się z lewicy.

Odnoszę wrażenie, że coś zmienia się w świadomości Niemców, w ich myśleniu o własnym miejscu w obecnej i przyszłej Europie. Pojawiają się próby relatywizowania odpowiedzialności za II wojnę, coraz częściej podejmowane są działania, których celem jest włączenie Niemiec raczej do grupy ofiar niż sprawców. Wierzę jednak, że niemieckie elity są na tyle dojrzałe, że zdołają przeciwstawić się takiej instrumentalizacji historii.

Spór o Giedroycia sprowadza się często do sporu między pragmatykami i romantykami. Co jest dziś bardziej Polsce potrzebne?

Nie rozstrzygniemy tego dylematu. Jest to spór o istotę – istotę tego, kim jesteśmy i dokąd, i jakimi drogami zmierzamy. W rozważaniach historycznych nie ma miejsca na „alternatywne scenariusze” czy też podejście probabilistyczne – „co by było, gdyby...”. Romantycy twierdzili i twierdzą, że gdyby nie powstania w XIX wieku, Polska roztopiłaby się w imperiach Rosji, Prus i Austrii. Odmienne podejście znajdowało wyraz w postawie tych, którzy stawiali na „pracę organiczną i pracę u podstaw”. Swoją rację mieli też pragmatycy – wówczas nazywani pozytywistami – budując polski przemysł, naukę, finanse, kulturę i wspierając Kościół. Taką drogę w ogólnym zarysie obrali Czesi. Często nie uświadamiamy sobie, że w XIX wieku wpływy Warszawy były silne nie tylko w rosyjskim imperium, ale w całej Europie. Mam na myśli nie tylko idee, ale również wpływ ekonomiczny. Wystarczy wymienić kilka nazwisk ze świata wielkiej finansjery, która miała swoje przedstawicielstwa w Rosji i całej Europie: Kronenbergowie, Toeplitzowie, Natansonowie, Epsteinowie, Jan Gottlieb Bloch. Jak pisał o nich Aleksander Hertz, socjolog i autor klasycznej już książki *Żydzi w kulturze polskiej*, ta warstwa utożsamiała się z polskością i z tym, co społecznie „lepsze” – ci ludzie budowali drogi, łożyli na kulturę i sztukę, wspierali dobroczynność.

Dla odzyskania niepodległości i budowy nowej polskiej państwowości potrzebny był zarówno pragmatyzm, jak i romantyzm. Podczas konferencji w Wersalu (1919) potrzebny był zarówno twórca polskiej endecji, a zarazem dyplomata Roman Dmowski, jak i organizator polskiego czynu zbrojnego – obdarzony wielką charyzmą Józef Piłsudski, miłośnik i znawca poezji Słowackiego. Były to postacie wielkie. Obaj popełniali błędy, nie przepadali za sobą, ale bez ich wysiłku nie byłoby wolnej Polski. To samo potrzebne jest dzisiaj.

A co dzisiaj może być wielką ideą dla Polski?

Pojmuję dzisiejszy romantyzm jako wielką ideę, myśl programową, która określałaby cele strategiczne. To nie znaczy, że taka idea, myśl i strategia miałyby być oderwane od rzeczywistości.

Kłócimy się często o semantykę, o nazwy, a nie o istotę sprawy. Aksjologia jest w polityce potrzebna, a nawet konieczna – pozwala wytyczyć azymut marszu i określić sprawę najważniejsze.

Taką sprawą najważniejszą jest wykorzystanie szansy na odrobienie historycznych zapóźnień rozwojowych oraz budowa nowoczesnego i demokratycznego państwa. Oznacza to potrzebę przebudowy systemu edukacji. Postawienie na największe bogactwo, jakim jest intelektualny potencjał młodych Polaków. Reszta jest pochodną i dotyczy modernizacji infrastruktury – budowy autostrad, zapewnienia wszystkim szerokopasmowego internetu, zmiany w sposobie zarządzania i administracji.

Można zapytać, dlaczego przez ponad dwadzieścia lat wolnej Polski do końca nie zbudowaliśmy ani jednej autostrady? Dlaczego to, co jest możliwe w małej Słowenii, Chorwacji, Słowacji, napotyka w Polsce nieprzezwyciężalne przeszkody? Tam są przecież znacznie trudniejsze warunki – budowa dróg w górach jest trudniejsza niż u nas na terenach równinnych.

Dlaczego nam się nie udało?

Zapewne kolejni ministrowie infrastruktury udzielą Panu kompetentnych odpowiedzi, które będą zawierać dziesiątki drugorzędnych szczegółów. Wiem o tym, bo zadawałem to pytanie i po uzyskaniu odpowiedzi nie byłem mądrzejszy.

Obok wielu zalet mamy pewne historycznie ukształtowane i głęboko zakorzenione wady. Nasze elity są swarliwe, nieprzejednane, pieniackie. Nie chcą się pogodzić z tym, że ich długofalowe pozytywne działania miałyby oznaczać, iż inwestują w coś, co będzie sukcesem ich następców.

Zmierzam do tego, że kilka obszarów powinno być wyłączonych ze sporów partyjnych. Tak było przed wojną – obrona państwa nie była przedmiotem politycznych sporów. Przed wojną państwo polskie było przecież bardzo biedne. Ale parę rzeczy udało się osiągnąć: zintegrować ziemie z trzech zaborów, stworzyć wspólny system prawny, edukacyjny, komunikacyjny, zbudować Gdynię, Centralny Okręg Przemysłowy (COP). Mógłbym tę listę osiągnięć kontynuować. Warto pamiętać, że międzywojnie trwało zaledwie dwadzieścia lat! Również za czasów PRL – czyli reżimu, który z założenia nie był rządem państwa wolnego i suwerennego – odbudowano Warszawę, zintegrowano ziemie zachodnie i północne z resztą kraju, zlikwidowano analfabetyzm, całe warstwy ludzi wykluczonych – chłopstwo i biedotę w miastach – włączono do społecznego krwiobiegu.

Marzyłbym, by dziś znaleźli się politycy, którzy byliby w stanie wypracować ogólnonarodowy konsensus w sprawach fundamentalnych dla przyszłości Polski.

Jakich?

Mam na myśli sprawy o wymiarze strategicznym i egzystencjalnym: bezpieczeństwo, politykę zagraniczną oraz edukację i infrastrukturę. O wszystkie pozostałe możemy się kłócić. Chciałbym dożyć momentu, gdy znajdą się politycy gotowi stworzyć taką płaszczyznę narodowego porozumienia.

Arcybiskup Józef Życiński w jednym z ostatnich tekstów, opublikowanym już po jego śmierci, pisał, że od Giedroycia możemy uczyć się szacunku dla pluralizmu – kiedy on panuje, nawet istotne różnice nie niszczą wspólnoty opartej na takich wartościach jak: patriotyzm, wolność i szacunek dla człowieka.

Spuścizna Giedroycia i ludzi z jego otoczenia – Zofii Hertz i Józefa Czap-
skiego, Juliusza Mieroszewskiego i Leopolda Ungera, Jerzego Pomianow-
skiego i wielu innych – to kultura realizmu i dialogu. Dorobek „Kultury” to dowód, że można różnić się pięknie.

Pierwodruk: *Jak myśli i koncepcje wpływają na świat? Rozmowa A. D. R. z Marcinem Wojciechowskim o Jerzym Giedoyciu*, w zbiorze pt. *Adam Daniel Rotfeld. W cieniu. 12 rozmów z Marcinem Wojciechowskim*, Wyd. Agora i PISM, Warszawa 2012, s. 228-243.

Mit Jałty

Suma wszystkich kryzysów

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają Jerzy Borowczyk i Michał Larek

JERZY BOROWCZYK, MICHAŁ LAREK: *Od czego zaczniemy?*

Może zaczniemy od Jałty.

MICHAŁ LAREK: *Dlaczego akurat od Jałty?*

Jest w Polsce rozpowszechniony mit sugerujący, jakoby w Jałcie zapadły decyzje, które sprawiły, że Polska – państwo, które pierwsze stawilo opór hitlerowskiej agresji – w istocie w Jałcie przegrało tę wojnę. Mocą decyzji konferencji krymskiej staliśmy się pierwszą ofiarą powojennego podziału świata na strefy wpływów.

JERZY BOROWCZYK: *To błędne myślenie?*

W Jałcie nie zapadły żadne decyzje, które nie byłyby podjęte wcześniej. Znacznie wcześniej. Decyzje, które dotyczyły Polski, podjęto w Teheranie, w 1943 roku, a więc blisko dwa lata – a nie dwa miesiące – przed zakończeniem wojny. Ostatnio przeczytałem esej jednego z polskich historyków, opublikowany w 70. rocznicę zwycięstwa, którego autor w pierwszym akapicie napisał, jakoby w Jałcie nasz kraj – „pierwszy i najwierniejszy aliant koalicji antyhitlerowskiej w zwycięskiej wojnie – stracił połowę terytorium”. Ow-

szem, straciliśmy, ale na skutek Paktu Ribbentrop–Mołotow z sierpnia 1939 roku. Premier Władysław Sikorski już w czasie negocjacji pierwszego porozumienia zawartego w Londynie 30 lipca 1941 roku z Iwanem Majskim – ambasadorem radzieckim w Anglii – próbował unieważnić tę nową linię graniczną, jaką wyznaczyli Hitler i Stalin. Bezskutecznie.

M. L.: *Do czego Pan Profesor zmierza?*

Zmierzam do tego, że to nie Jałta była czynnikiem sprawczym. Wyobraźmy sobie, że Jałty nie było. Czy wtedy sytuacja Polski byłaby lepsza? Oczywiście, że nie byłaby lepsza. Na czym więc polega istota porozumień z Jałty? Na tym, że przywódcy Zachodu, by zachować twarz w oczach własnej opinii publicznej (mam na myśli Churchilla i – w pewnej mierze – Roosevelta), nakłonili Stalina, by w Deklaracji Jałtańskiej zawarte zostały pewne zobowiązania na papierze. Polska miała być odbudowana – zgodnie z jałtańskimi zobowiązaniami – jako państwo silne, demokratyczne i niepodległe. Tak się nie stało. Dokumenty z Jałty były odbiciem nowej rzeczywistości. Zachód pogodził się z tym, że Stalin narzuci swoje porządki tam, gdzie znalazła się stopa radzieckiego żołnierza. Swoistym dyplomatycznym „sukcesem” Churchilla i Roosevelta było to, że w dokumentach pojawiły się pewne ograniczniki, które miały charakter werbalny. Jednak zdarza się, że słowa czasami odzyskują wartość materialną. Nabierają mocy sprawczej. System komunistyczny był oparty na kłamstwie. Język służył do ukrywania i zakłamywania rzeczywistości. Niemniej słowa były ważne. Nawiązał do nich w 40 lat później Zbigniew Brzeziński, który opublikował na łamach „Foreign Affairs” na przełomie 1984/85 roku ważny tekst pt. *Przyszłość Jałty*. Pierwsze zdanie z tego artykułu brzmiało: *Yalta is unfinished business*. Pamiętam je, ponieważ główne tezy tego artykułu opublikowałem wówczas na łamach tygodnika „Polityka”. Brzeziński podziękował mi listownie. Od tego zaczęła się nasza bliższa znajomość (ostatnio tekst Brzezińskiego zamieszczony został w zbiorze *Agonia Komunizmu* opublikowanym w serii *W kręgu paryskiej „Kultury”*, Instytut Książki, Paryż–Kraków 2014). Słowa są ważne w stosunkach międzynarodowych. Warto więc zrewidować obraz Jałty.

Opowiadam o tym, by uświadomić, że historia jest bardziej złożona niż sobie to uświadamiamy.

„Do czego zmierzam?” – pyta pan.



Wykład w Centrum Międzynarodowym Studiów Strategicznych (CSIS),
Waszyngton, listopad 2015 r.

Chciałbym w kontekście naszej rozmowy zwrócić uwagę na kilka ważnych dat, które wyznaczają etapy kształtowania się nowego światowego porządku. Pierwszą był koniec II wojny światowej. Rok 1945. W trzydzieści lat później, w 1975 roku w Helsinkach podpisano Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dokument ten legitymizował terytorialno-polityczne status quo i otwierał proces przemian. Rok 1980 – Solidarność, potem Gorbaczow w Rosji, no i 1989 rok. Był to rok przełomu: koniec rządów totalitarnych w Europie Środkowej i Wschodniej, i początek transformacji ustrojowej.

M. L.: *Zatrzymajmy się przy 1989 roku.*

Gorbaczow ogłosił w 1985 roku i później promował politykę *glasnosti* i *perestrojki*. Chciał zapoczątkować jawność życia polityczno-społecznego w Rosji. Jego główny postulat brzmiał rewolucyjnie: „Mówmy prawdę”. Doprowadził do rozmagnetyzowania komunistycznego molocha, do stopniowego i bezkrwawego rozpadu wielkiego imperium. Była to swoista kontynuacja procesu zapoczątkowanego po pierwszej wojnie światowej, kiedy upadły dwa europejskie kontynentalne imperia: Imperium Otomańskie oraz Cesarstwo Austro-Węgierskie. Na ich gruzach odrodziła się Polska, powstały też inne państwa – Czechosłowacja, Austria, Węgry, Jugosławia. Oto w 70 lat później na naszych oczach po raz kolejny kontynentalne wielkie mocarstwo kolonialne – tym razem Rosja – zaczęło tracić swoje podbite terytoria i kolonie – nie tylko w Europie, ale również w Azji Środkowej i na Kaukazie.

J. B.: *Spodziewał się Pan Profesor upadku ZSRR?*

Związek Radziecki postrzegałem jako sztuczny, ideologiczny twór skazany na upadek. Jednak nie wierzyłem, że dożyję i będę świadkiem rozpadu tego imperium. Wtedy właśnie – w tym newralgicznym momencie rozpadu ZSRR – zaczęto zastanawiać się nad ideą nowego globalnego porządku. W 1990 roku Prezydent USA George Bush senior proklamował początek „nowego porządku światowego”, chociaż jego słowa nie miały większego wpływu na rzeczywistość. Podobnie Paryska Karta dla Nowej Europy (1990)

– jeden z najbardziej doniosłych, strategicznych dokumentów – z latami został zapomniany, a jego postanowienia nie były realizowane. Większe znaczenie miał drugi Szczyt w Helsinkach (1992), w czasie którego uznano KBWE za porozumienie regionalne w rozumieniu rozdziału VII Karty Narodów Zjednoczonych. Sens tych uregulowań był próbą odpowiedzi na pytanie, jak zarządzać zmianami w procesie wielkiej transformacji. Co należy zrobić, by te przemiany nie wymknęły się spod kontroli.

M. L.: *Czy to się powiodło?*

W zasadzie – tak. W większej mierze niż to sobie uświadamiamy. To w wyniku tej transformacji możliwe było przystąpienie Polski oraz innych państw Europy Środkowej (w tym trzech nadbałtyckich republik radzieckich) do NATO i do Unii Europejskiej.

ROSJA, PUTIN

Pamiętajmy też, że konflikty w Europie wybuchły tylko w dwóch wielonarodowych federacjach: w byłej Jugosławii i na obszarze byłego ZSRR – na peryferiach dawnego Związku Radzieckiego – na północnym Kaukazie, w Mołdawii oraz między Armenią a Azerbejdżanem w wyniku zadawnionego sporu o Górski Karabach. Innymi słowy, wypracowane wtedy techniki zarządzania zmianami umożliwiły pokojowe przekształcenie tej części świata. Po tych wszystkich operacjach pozostały trzy zamrożone konflikty.

J. B.: *Jakie?*

O pierwszym już wspominałem – w sprawie Górskiego Karabachu – między Armenią a Azerbejdżanem.

Drugi: to secesja Abchazji i Osetii Południowej oraz próby oderwania się tych regionów od Gruzji.

Wreszcie trzeci – konflikt na obszarze Mołdawii – był wynikiem proklamowania na lewym brzegu Dniestru samozwańczej „Republiki Naddniestrza”. Jest to obszar zamieszkały w większej mierze przez Ukraińców, Rosjan i inne narodowości niż przez rodowitych Mołdawian. Historia tego regionu

jest inna niż reszty Mołdawii, ponieważ Naddniestrze należało do rosyjskiego imperium, a nie do Rumunii, jak pozostała część Mołdawii.

M. L.: *Interesuje nas stosunek Rosji do tych konfliktów.*

Dla Rosji konflikty te stały się swoistą dźwignią – instrumentem uzależniania państw będących stronami konfliktów od Moskwy. Pamiętajmy, że to Rosja – na równi z pozostałymi republikami radzieckimi – jest głównym prawnym sukcesorem ZSRR. Federacja Rosyjska gra tymi konfliktami po to, by częściowo choćby odtworzyć rozsypujące się dawne mocarstwo. Rok 2000 – wyznacza nowy etap: Jelcyn przekazuje władzę Putinowi, a ten z kolei usiłuje realizować projekt budowy nowej Wielkiej Rosji, która ma być zarówno kontynuatką imperium carów, jak też spadkobierczynią ZSRR.

M. L.: *Na czym polega istota tego projektu? Do czego Putin nawiązuje?*

Odwołuje się przede wszystkim do głęboko zakorzenionych w świadomości Rosjan mitów. Po pierwsze, Rosja jest wieczna i ma do odegrania wielką rolę w dziejach świata; i – po drugie – jest odwiecznie otoczona przez wrogów, którzy spiskują i chcą ją skrzywdzić. Myślę, że sam Putin i jego najbliższe otoczenie w to nie wierzą, ale podsycanie tych mitów sprzyja skutecznemu konsolidowaniu nowego rosyjskiego mocarstwa. Nowym ideologicznym spoiwem poradzieckiej Rosji ma być tradycyjne prawosławie oraz wielkorosyjski nacjonalizm.

J. B.: *Kim jest Putin?*

Jest – jak każdy z nas – produktem swoich czasów, swojego wychowania, wykształcenia, wykonywanego zawodu. Francuzi mają trafne określenie: *deformation professionnelle*, czyli deformacja zawodowa, której istotą jest to, że patrzymy na świat z wąskiej perspektywy określonej wymogami naszego zawodu. W przypadku oficerów wywiadu oznacza to skłonność do zbierania i gromadzenia tajnych informacji, i to głównie negatywnych. Na biurko każdego prezydenta codziennie spływają raporty wywiadu: „Cameron powiedział to i to, Erdoğan – to, a Obama tamto”. Wywiady są ze



Rozmowy po uroczystościach 60. rocznicy wyzwolenia hitlerowskiego obozu zagłady Auschwitz;
od prawej: prezydent Aleksander Kwaśniewski, prezydent Władimir Putin, tłumaczka,
Adam D. Rotfeld, Balice, Kraków, styczeń 2005 r.

swej natury zainteresowane głównie informacjami i opiniami negatywnymi. W efekcie powstaje obraz świata zdeformowany – wrogi, nieprzychylny, spiskujący. Ten obraz nieżyczliwego świata jest głęboko zakorzeniony w mentalności wielu Rosjan. Do rangi credo podniesiony został czterowiersz Tiutczewa o Rosji:

„Nie sposób pojąć jej rozumem,
Nie sposób zwykłą miarką mierzyć.
Ma w sobie tyle skrytej dumy,
Że w Rosję można tylko wierzyć”. (tłum. Ryszard Łużny)

Rosja i Rosjanie zasługują na to, by przykładać do nich normalną miarę i oceniać ich sytuację i problemy tak, jak oceniamy inne państwa. Przykładać tę miarę, którą stosujemy do innych mocarstw.

M. L.: *Jaki jest cel polityki zagranicznej Rosji?*

Odbudowa potęgi i wpływów na miarę tych, jakie w XX wieku miał Związek Radziecki i Rosja XIX wieku. Oznaczałoby to przywrócenie porządku międzynarodowego na wzór Koncertu Mocarstw, jaki 200 lat temu proponował i realizował na Kongresie Wiedeńskim Klemens Metternich.

Do idei tej często i bezpośrednio odwołuje się rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow.

W 2008 roku w czasie dyplomatycznego śniadania w Warszawie zaproponował: „Wróćmy do tamtej koncepcji. Byłoby to dla Europy optymalne rozwiązanie”. Ze swej strony zauważyłem: „Panie Ministrze, to brzmi interesująco. Ale ma Pan świadomość, że kieruje Pan te słowa do niewłaściwego adresata. Wtedy przecież na mapie Europy Polski nie było. Była to inna Europa. Inne czasy, inni aktorzy, inne interesy. Do Europy Metternicha powrotu już nie ma”.

W jednym ze swoich wykładów inaugurujących rok akademicki w MGIMO – rosyjskiej kuźni kadr dyplomatycznych, której absolwentem jest Siergiej Ławrow – sugerował, by filarami nowego porządku była na pierwszym etapie „trojka”: USA, Unia Europejska i Rosja.

J. B.: *Co się za tym kryje? Do czego Ławrow zmierza?*

Do budowy świata policentrycznego, w którym Rosja odzyskałaby status mocarstwa globalnego, jednego z ośrodków siły otoczonego zależnymi od niego państwami, które powstały na gruzach byłego ZSRR.

M. L.: *Jaka jest dzisiaj kondycja Rosji?*

Jest to mocarstwo, które swoim arsenałem rakietowo-jądrowym dorównuje Stanom Zjednoczonym, ale jest słabsze od innych pod wieloma innymi względami. To one określają dziś pozycję globalnej potęgi. Mam na myśli gospodarkę i infrastrukturę – nowoczesne szkolnictwo oraz technologie, sprawne zarządzanie i sieć dróg, ochronę zdrowia i oczyszczalnie ścieków etc.

Potencjał rakietowo-jądrowy doprowadził w znacznej mierze ZSRR do upadku, który – jak powiadano wtedy – „zazbroił się na śmierć”.

Jest kilka czynników, które wyróżniają Rosję na tle innych krajów. Ma największe terytorium na świecie. Największe zasoby gazu, ropy i rzadkich metali – ma całą tablicę Mendelejewa. Ma też największy na świecie zbiornik wody pitnej, czyli jezioro Bajkał. To szalenie ważne, bo wobec postępującego pustynnienia wielu obszarów świata przewiduje się, że następne wojny zapewne będą toczyć się o wodę pitną. Można sobie wyobrazić, że Rosja stanie się wówczas największym eksporterem wody, której ceny będą odpowiadać popytowi określanemu potrzebami przetrwania milionów ludzi – na tych kontynentach, gdzie wody zabraknie.

Jednak warto pamiętać, że mówimy o zasobach, które są wyczerpywalne. W Rosji powiadają, że to olbrzymie mocarstwo „żyje na igle”, czyli na kroplówce, która zasila państwowy organizm sprzedając ropy i gazu. Ceny tych surowców spadają. Przewaga takich państw jak: Niemcy, Szwajcaria czy Japonia polega na tym, że nie mają wielu surowców, za to mają zasoby niewyczerpywalne: kapitał ludzki, innowacyjne myślenie, dobrą organizację i wysoką jakość życia.

SYTUACJA ŚWIATOWA DZISIAJ

J. B.: *Coraz częściej mówi się o tym, że świat zmierza w bardzo niebezpiecznym kierunku.*

Tak. Słyszymy, że dzisiejszy świat jest gorszy, bo nie jest sterowalny. Nie zgadzam się z taką opinią. Pamiętajmy, że tamten świat bipolarny zapewniał względną równowagę opartą na strachu i zniewoleniu milionów ludzi. Bezpieczeństwo opierało się na wysokim prawdopodobieństwie katastrofy jądrowej.

Dzisiaj można przyjąć założenie, że żadne mocarstwo nie szykuje w dającej się przewidzieć przyszłości napaści na inne mocarstwo. Broń jądrowa traktowana jest głównie jako instrument politycznego nacisku. Straciła na znaczeniu jako instrument prowadzenia wojny. Głównym zagrożeniem jest międzynarodowy terroryzm, możliwość proliferacji broni jądrowej, wojny hybrydowe, państwa upadłe i upadające, konflikty wewnętrzne, czyli wojny domowe, które generują masowy napływ uchodźców z Afryki i Bliskiego Wschodu do Europy.

Dodam w tym kontekście, że często nie doceniamy dziś w Polsce tego, że – bodaj po raz pierwszy w historii – nie zagrażają nam bezpośredni sąsiedzi. Bieg wypadków sprawił, że graniczące z nami do 1989 roku państwa, czyli ZSRR, NRD i Czechosłowacja – „wyparowały”. W ich miejsce pojawiło się siedem nowych państw. Wielką zasługą prof. Krzysztofa Skubiszewskiego, pierwszego niekomunistycznego ministra spraw zagranicznych w Polsce, która odzyskała pełną suwerenność, jest to, że mamy z naszymi sąsiadami stosunki dobre, uregulowane – oparte na traktatach. Wyjątkiem jest Rosja, z którą relacje są trudne i chłodne. Na szczęście jesteśmy integralną częścią euro-atlantyckich struktur – chroni nas parasol ochronny NATO i Unii Europejskiej.

M. L.: *Unii Europejskiej?*

Tak. Samo istnienie Unii jest czymś zupełnie niezwykłym – jest swoistym cudem. To nie metafora. Dwaj główni twórcy, Ojcowie Założyciele Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, czyli Robert Schumann i Jean Monnet, byli chrześcijanami. Od lat rozważa się możliwość beatyfikacji obu tych polityków. To oni zaszczyli Unii myślenie w kategoriach wspólnoty wartości. U podłoża tej Wspólnoty było pragnienie zapobieżenia, a nawet wykluczenia możliwości wybuchu wojny najpierw między Francją a Niemcami, a potem między wszystkimi pozostałymi państwami Europy – a nie względem natury gospodarczej, rynkowej, biznesu.

M. L.: *Rozumiem. Ale wielu z nas czuje, że grozi nam niebezpieczeństwo.*

Bezpieczeństwo jest w większej mierze funkcją poczucia zagrożenia niż faktycznego zagrożenia. Jakkolwiek z reguły oba te czynniki występują łącznie. Zdarza się jednak, że poczucie zagrożenia jest większe lub mniejsze niż stan faktycznego zagrożenia. Do tej pory zagrożenia bezpieczeństwa międzynarodowego miały charakter głównie zewnętrzny. Dzisiaj główne zagrożenia mają charakter wewnętrzny. Konflikty etniczne, kryzysy gospodarcze i polityczne, wojny domowe. Mógłbym to zilustrować na dziesiątkach przykładów.

Najbliższy przykład to Rosja i Ukraina. Ukraina uznała Rosję za swojego głównego wroga. I słusznie. Co więcej, Rosja została określona ustawowo przez parlament ukraiński za agresora. Jednocześnie oba kraje utrzymują między sobą stosunki dyplomatyczne. Przy tym są to relacje intensywniejsze niż oba te państwa utrzymują z innymi partnerami. A przecież w sytuacji wojny z reguły stosunki dyplomatyczne zostają natychmiast zerwane. W tym przypadku tak się nie stało. Zresztą sprawa nie ogranicza się do formalnych stosunków dyplomatycznych, ale obejmuje zarówno komunikację (ruch lotniczy, kolejowy, tranzyt samochodowy), jak i stosunki gospodarcze. Uczeni obu krajów prowadzą wspólne badania naukowe. Listę takich relacji mógłbym przedłużyć. Moja myśl sprowadza się do tego, że konflikt między Ukrainą a Rosją jest nie tyle i nie tylko rezultatem sprzeczności międzypaństwowych, co odbiciem kryzysów wewnętrznych i różnych koncepcji rozwoju obu tych państw. Innymi słowy, to sytuacje wewnętrzne na Ukrainie i w Rosji stały się źródłem poważnego konfliktu między tymi państwami. Rosja „nie przetrawiła” faktu, że Ukraina ma prawo do niepodległości i do suwerennego podejmowania decyzji o swojej przyszłości.

M. L.: *A jak sprawy te mają się w Unii Europejskiej? Co sprawia, że Unia trzeszczy w szwach?*

Kryzys Unii charakteryzuje się w pewnej mierze podobną logiką. Poważnym – wręcz egzystencjalnym zagrożeniem dla Unii jest suma kryzysów wewnętrznych, które dotknęły poszczególne państwa. Z nową rzeczywistością konfrontowane są Niemcy i Francja, Wielka Brytania i Włochy oraz wszystkie pozostałe państwa. Często nie uświadamiamy sobie, że ich pro-

blemy są naszymi, a nasze problemy są ich problemami. W większości europejskich państw dominuje przekonanie, że inni mają pomagać nam w zwalczaniu naszych problemów, ale nie uznajemy, że wobec tego powinniśmy im pomagać w rozwiązywaniu ich trudności.

M. L.: *Czy według Pana Profesora grozi nam wojna?*

W najbliższej przyszłości – nie grozi. Uważam, że takiego bezpośredniego zagrożenia nie ma. Grozi nam powolne dryfowanie i ześlizgiwanie się w tym kierunku. Narasta strach. Zanika poczucie bezpieczeństwa. Mocarstwa boją się, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Mogłoby np. dojść do niezamierzonego konfliktu między Turcją a Rosją, gdyby – po zestrzeleniu przez Turków rosyjskiego samolotu – Rosja odpowiedziała zestrzeleniem tureckiego samolotu lub inną wojskową operacją przeciwko któremukolwiek z państw NATO.

Nie ma lepszego wskaźnika, czy państwa szykują się do wojny niż to, czy podnoszą poziom swoich wydatków wojskowych. Gdyby państwa europejskie zakładały, że grozi im wojna, podniosłyby wydatki wojskowe przynajmniej do obowiązujących w Sojuszu dwóch procent. W Niemczech na przykład wydatki wynoszą poniżej 1,5 procent. W Polsce wynoszą blisko 2 procent. Państwa, które odczuwają zagrożenie egzystencjalne, podnoszą na ogół wydatki militarne do 7, a nawet 10 procent swego budżetu. Te procenty to miara wiarygodności zagrożenia lub agresywnych zamiarów potencjalnych napastników. Powtarzam – nowym poważnym zagrożeniem są konflikty wewnętrzne.

M. L.: *Co leży u podłoża tego strachu i niepewności, w jakiej znajduje się współczesny świat?*

W 1999 roku byłem przyjęty na audiencji przez papieża Jana Pawła II. Byłem zaproszony do Stolicy Apostolskiej jako dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), którego przedmiotem studiów są również konflikty międzynarodowe. Gdy nasza rozmowa dobiegała końca, Papież zapytał: „Jak Pan sądzi, dlaczego teraz nastąpiła taka eksplozja konfliktów na świecie?”

Odpowiedziałem: „Nie wiem. Nie umiem, nie potrafię w sposób zado- walający odpowiedzieć na to proste pytanie. Moje wyjaśnienie – powie- działem – będzie banalne i rozczarowujące. Moim zdaniem, ludzie uciekają się do użycia siły wtedy, kiedy są w stanie desperacji i nie widzą już żad- nego innego sposobu na rozwiązanie konfliktowych sytuacji. Tak się na ogół dzieje, gdy są zagrożone podstawy ich egzystencji. Na przykład spory między Flamandami a Walonami trwają niemal od dwóch tysięcy lat, ale z tego powodu nie doszło między nimi do wojny, bo obie strony ma- ją więcej do stracenia niż zyskania w wyniku przelewu krwi. Natomiast w Jugosławii doszło do wojny wszystkich ze wszystkimi. Ci ludzie nie mie- li już nic do stracenia”.

Papież słuchał uważnie, przez chwilę milczał, a potem powiedział: „To, co pan mówi, jest prawdziwe. Jednak to nie wyczerpuje sprawy. Przez wie- ki narody żyły obok siebie w bardzo trudnych – znacznie trudniejszych niż dziś – warunkach, ale utrzymywały dobrosąsiedzkie relacje. Problem nie dotyczy tylko sfery materialnej. Jest znacznie głębszy”.

Po wyjściu pomyślałem, że Jan Paweł II nie bez powodu zadał mi to py- tanie, a jego proste słowa mają głęboki sens.

Jego końcowa refleksja miała charakter transcendentny: to w nas, w lu- dziach tkwi – obok dobra – również pewien potencjał immanentnego zła. I gdy ono bierze górę, wtedy dochodzi do przelewu krwi.

Często obserwatorzy żywią naiwne przekonanie, że świat bipolarny był bezpieczny, ponieważ był stabilny. Albo że dyktatury w Iraku, Libii czy Sy- rii gwarantowały nam pokojowy stabilny świat. Mylą stabilność ze stag- nacją, w której strach i represje zapewniały pozorny spokój i porządek. Jednak we wszystkich tych krajach pod powierzchnią dojrzewały bunty, przewroty, załamania.

M. L.: *Jak zdefiniowałby Pan Profesor dzisiejszą globalną sytuację?*

Po pierwsze, nie jest to sytuacja jasna i klarowna. Po drugie, świat jest w procesie fundamentalnych zmian, co oznacza, że nie ma i nie będzie w najbliższych latach stabilności. Z tych i wielu innych powodów różnej natury – nie tylko politycznej, ale również demograficznej, klimatycz- nej, technologicznej – świat stał się nieprzewidywalny. Świat dwubie-

gunowy, „zimnowojenny”, był jasny, pewny i sterowalny. Nie oznacza to jednak, że był lepszy. Był to przecież stan zniewolenia wielu milionów ludzi. W starożytności właściciele niewolników mieli poczucie, że ustanowili system stabilny. Jednak z perspektywy niewolników był to świat okrutny i zły.

Przy tej sposobności warto odnotować, że nic nie jest dane raz na zawsze. Ludzie mają skłonność do przyzwyczajania się, do uznawania tego, co dobre i piękne za trwałe. To nieporozumienie. Przecież świat bezustannie się zmienia. Swoistą przestrogą może być casus Argentyny – w okresie międzywojennym było to jedno z najbogatszych państw świata. Tak było jeszcze w czasie II wojny światowej. Sytuacja się zmieniła, gdy do władzy doszedł Juan Perón. Rządy Peróna i jego żony Evity zniszczyły gospodarkę. Wojskowa dyktatura dopełniła miary: Argentyna stała się bankrutem, a zarazem symbolem braku odpowiedzialności w sferze gospodarczej i polityczno-wojskowej. Niegdyś nie wyobrażaliśmy sobie, że państwo może stać się bankrutem. Władze Argentyny pokazały, że tak się może stać. W Europie przykładem takiego kraju stała się Grecja.

SZTUKA ROZWIĄZYWANIA KONFLIKTÓW

M. L.: *Jak wyobrażał Pan sobie własną przyszłość – po studiach? Jakie miał Pan plany i marzenia?*

Po kilku latach pracy w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych miałem świadomość ograniczeń – głównie związanych z systemem politycznym. Miałem dosyć naiwne wyobrażenie, że optymalną dla mnie byłaby praca w ramach niezależnego zespołu badaczy i ekspertów. Zdawałem sobie sprawę, że to nie jest realne. Przypadek czy też los sprawił, że to się spełniło w 1989 roku. Otrzymałem wówczas zaproszenie z Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem w Sztokholmie (SIPRI). Wkrótce po tym – po roku – zostałem wybrany na dyrektora tego Instytutu. Dziś z perspektywy minionych lat oceniam, że był to bodaj najlepszy okres w moim życiu zawodowym. Miałem wtedy poczucie, że zespół badaczy, którym kieruję, jest jednym z najlepszych na świecie. Instytut cieszył się wysokim prestiżem zarówno w wielu stolicach świata, jak i w kwaterach

głównych ONZ w Nowym Jorku i Genewie. W sumie, wyniki naszych badań traktowane były jako bardziej miarodajne i obiektywne – bo bezstronne – niż raporty ekspertów rządowych, publikowane pod auspicjami ONZ. Miałem wówczas poczucie zawodowej satysfakcji.

J. B.: *Chciałem zapytać o konflikt w Naddniestrzu.*

M. L.: *To chyba jedna z najważniejszych pańskich misji?*

Powierzono mi to zadanie, gdy byłem dyrektorem SIPRI. Prof. Krzysztof Skubiszewski, ówczesny minister spraw zagranicznych zaproponował, żebym został Osobistym Przedstawicielem przewodniczącego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) w poszukiwaniu politycznego rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu. Na małym obszarze w ciągu lipcowego tygodnia w 1992 roku zginęło tam ponad 1000 osób. We wrześniu pojechałem do Mołdawii, bez żadnego doświadczenia. Nigdy w życiu nie uczestniczyłem wcześniej w rokowaniach zmierzających do rozwiązania krwawego konfliktu. Towarzyszył mi amb. Sławomir Dąbrowa. Przeprowadziliśmy dziesiątki rozmów z władzami Mołdawii, samozwańczej Republiki Naddniestrza, z dowódcą rosyjskiej XIV Armii, którą dowodził legendarny gen. Aleksander Lebedź i reprezentantem rosyjskich sił pokojowych gen. Arkadijem Worobjowem. Udało się. Misja powiodła się. Na podstawie naszego raportu KBWE podjęła w styczniu 1993 roku stosowne decyzje. W efekcie – do dzisiaj nikt tam na pograniczu nie zginął.

Z czasem uczestniczyłem w kilku innych podobnych negocjacjach – mniej operacyjnych, a bardziej analitycznych i strategicznych.

M. L.: *Bardzo nas to interesuje – jakie rokowania ma Pan za sobą?*

Mało znane, choć bardzo ciekawe były negocjacje dotyczące przyczyn konfliktu między Gruzją a Rosją. Otrzymałem wtedy zaproszenie od Szwajcarów. Był to rok 2009. Szwajcaria – na prośbę Unii Europejskiej – powołała grupę ekspertów do ustalenia faktów i przyczyn konfliktu Rosji z Gruzją z sierpnia 2008 roku. Obie strony – Gruzini i Rosjanie – przerzucali się odpowiedzialnością za wywołanie tej krótkiej, ale krwawej wojny. Na wniosek Unii utworzono niezależną międzynarodową misję do zbadania faktów. Kie-

rownictwo tej misji powierzono pani Heidi Tagliavini, wybitnej szwajcarskiej dyplomatce, która po zebraniu niezliczonych ekspertów poprosiła kilku byłych ministrów spraw zagranicznych i obrony z Niemiec, Szwajcarii i Polski oraz byłego zastępcę Sekretarza Generalnego ONZ z Francji, aby ocenili ostateczną wersję Raportu i przedstawili swoje rekomendacje pod rozważę Unii oraz stron w konflikcie. Pytanie podstawowe brzmiało: kto ponosi odpowiedzialność za wojnę w Gruzji? Otrzymaliśmy do oceny raport liczący ponad 1000 stron. Bardzo szczegółowy tekst dotyczący nie tylko wymiaru czysto wojskowego, ale również historycznego, etnograficznego, ekonomicznego. No i oczywiście – politycznego. Po przejrzeniu tego poufnego materiału, zawierającego tysiące szczegółów, powiedziałem na zamkniętym posiedzeniu naszej 5-osobowej grupy: „Nikt w żadnej stolicy nie będzie czytał Raportu, który ma ponad 1000 stron. To lektura dla analityków i badaczy, a nie dla polityków, którzy mają podjąć decyzje. Szefowie rządów oczekują dokumentu nie dłuższego niż półtorej strony”.

Wszyscy pokiwali głową.

„To napisz” – powiedzieli mi członkowie tej Grupy Doradców Wysokiego Szczebla. Przygotowanie takiego dokumentu nie jest sprawą prostą. Liczy się wtedy każde słowo. Należy tak opracować tekst, aby żadnej formuły nie można było wyrwać z kontekstu. Każde zdanie musiało być wyważone w taki sposób, aby nie można było nim manipulować. Raport miał być uczciwy i obiektywny. Bezstronny – ani „prorosyjski”, ani „progruziński”. W efekcie Unia i obie strony konfliktu uznały, że oddaje złożoną rzeczywistość i ułatwia pokojowe uregulowanie konfliktu.

W tym samym roku wszedłem w skład Grupy Ekspertów NATO (Grupa Mędrców) do przygotowania koncepcji strategicznej NATO 2020. Ale to już zupełnie inna historia...

J. B.: *Jacy są Rosjanie w czasie rokowań – na czym polega ich sposób negocjacji?*

Zacznę od tego, że są pewne ogólne reguły rokowań. Nie zawsze strony w negocjacjach ujawniają, do czego dążą. Wszyscy negocjatorzy starają się nakłonić swoich partnerów, by zbliżyli się do ich stanowiska, którego często nie ujawniają. Pod tym względem Rosjanie nie są wyjątkiem. Niekiedy negocjatorzy muszą przedstawić swój projekt. Sens tych zabiegów jest ta-

ki, by – mimo późniejszych ustępstw – końcowy tekst wyrażał głównie postulaty tej strony, która sformułowała pierwotny projekt. W efekcie Rosjanie zgadzają się na kolejne ustępstwa, ale domagają się wzajemności. Nie ukrywam, że taki transakcyjny tryb rokowań mnie irytuje. Zakłada bowiem, że partnerzy nie są wobec siebie fair. Preferuję inny styl: każdy mówi uczciwie, co jest dla niego kluczowe. Wtedy można zastanowić się, w jaki sposób zrównoważyć interesy stron przy stole rokowań.

M. L.: *Jeszcze jakaś migawka z rokowań z Rosjanami?*

Pamiętam pierwsze spotkanie Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, na które przyniosłem atlas, jaki dostałem w spadku po Ojcu mojej Żony. Zygmunt Sikorski mieszkał przed wojną i w czasie wojny w małej miejscowości Mizocz na Wołyniu. Był nauczycielem w wiejskiej szkole, która otrzymała na jesieni 1940 roku *Atlas Polityczny Świata* zalecany dla wszystkich szkół na obszarze ZSRR. To bardzo szczególny atlas: zaktualizowany po Pakcie Ribbentrop–Mołotow. Nie ma w nim Polski. Miejsce Polski na tej mapie zostało zaznaczone brunatną plamą z napisem: „Obszar państwowych interesów Niemiec”. Puściłem ten radziecki atlas z 1940 roku w obieg wokół stołu rozmów Polsko-Rosyjskiej Grupy.

M. L.: *Po co?*

Żeby przypomnieć uczestnikom rozmów, że Polacy nie zapomnieli, że stalinowska Rosja i hitlerowskie Niemcy chciały wymazać Polskę z mapy świata.

Z tej perspektywy Jałta była jednak zmianą na lepsze.

DZIECIŃSTWO DYPLOMATY

M. L.: *Teresa Torañska napisała kiedyś, że miał Pan Profesor „burzliwe i trudne życie”. Zastanawiamy się, jak dzieciństwo wpłynęło na Pana zawodową biografię.*

Psychologowie twierdzą, że najważniejsze dla rozwoju człowieka są jego pierwsze lata życia. Jako trzyipółletnie dziecko trafiłem w czasie wojny do klasztoru, gdzie nikt nikim nie zajmował się indywidualnie.

J. B.: *To musiało być trudne.*

Rosłem troszeczkę jak roślina.

M. L.: *To znaczy?*

Miałem swój własny świat. Bez zabawek, ale z żywym inwentarzem – konie, krowy, owce, no i lasy, łąki, motyle... W tym świecie ludzie byli jak kwiaty, drzewa, trawa. Pamiętam z tamtego czasu sielankowe obrazy. Pasłem sobie owce, krowy. Miałem przydzieloną własną kobyłę. Krowy były na ogół zdyscyplinowane, natomiast owce zawsze uciekały gdzieś w chaszczę, lasy – trzeba było potem je szukać, nasłuchując dzwoneczka uwieszonego u szyi największego barana, który był przewodnikiem stada. Bliski kontakt miałem z kobyłą... Często rozmawiałem z nią w myślach. Ona mi się często śniła. Był staw, z którego spuszczałem wodę i wybierałem z mułu ryby. Chodziłem za kieratem. W czasie żniw zbierałem kłosa. Jesienią – wykopki ziemniaków i buraków cukrowych. Na wiosnę – sok z nacinanych brzoź, latem – kwiat lipowy do herbaty i zbiory malin, jeżyn i jagód...

J. B.: *Ale rozumiem, że miał Pan Profesor potrzebę kontaktu z innymi ludźmi?*

Naturalnie. Lgnąłem do innych ludzi, do zwykłego ludzkiego ciepła.

M. L.: *Jak zakonnicy Pana traktowali?*

Serdecznie. Pamiętam takie zdarzenie. Pewnego dnia na łące pod drzewem zauważyłem, że coś niedobrego dzieje się z jedną z owiec. Wylewał się z niej śluz zmieszany z krwią, nagle pojawiła się główka i z owcy wypadło małe drżące jagnię. Niewiele myśląc, ściągnąłem płaszcz, owinąłem jagnię i ruszyłem w stronę klasztoru. Przez całą drogę towarzyszyła mi owca, która okociła się na moich oczach. Zakonnicy podziękowali mi i uszyli nowy płaszcz. Zimą jeden z zakonników wyheblował deskę z jesionu, namoczył i wyprofilował mi małe narty.

J. B.: *Czytał Pan książki?*

Nauczyłem się czytać w wieku czterech lat. Moją pierwszą lekturą był *Księż i żebrak* Marka Twaina.

JAKA POLSKA

M. L.: *Jak ocenia Pan Profesor dzisiejszą sytuację w Polsce? Wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość – decyzje nowych władz spotykają się z coraz energiczniejszymi protestami ulicy.*

W demokracji zmiana władzy jest zjawiskiem normalnym. A nawet pożądanym. Przywódca partii, która przegrała, uważał, że nie ma z kim przegrać. Był to przejaw samozadowolenia i arogancji, za którą autor tych słów – Donald Tusk i jego partia – zostali przez wyborców rozliczeni.

O czym świadczyły te słowa? Przecież nie o tym, że nie było z kim przegrać, bo – jak dziś doskonale wiemy – było z kim. Dowodziły raczej tego, że Donald Tusk i jego partia żywili przekonanie, że to oni są ucieleśnieniem samego dobra. Wyborcy byli innego zdania. Ludziom Platformy zabrakło wrażliwości na biedę i niedostatek tych, którym w procesie transformacji nie powiodło się. Uważali, że Polaków interesuje tylko rodzina, domek nad jeziorem, spotkania z przyjaciółmi i gra w piłkę nożną.

M. L.: *No i mamy efekty tego.*

Bo takie wyobrażenia o Polakach nie były prawdą. Potrzeby ludzi nie ograniczają się do „cieplej wody w kranie”. Ludzie potrzebują – oprócz chleba i igrzysk – porywającej idei, świadomości dokąd zmierzają, jaką będzie Polska ich dzieci i wnuków. Chcą mieć poczucie, że stanowią wspólnotę.

M. L.: *Zbliżamy się do końca naszej rozmowy. Co Pana zdaniem stanowi istotę dyplomacji?*

Z moich doświadczeń wynika, że dyplomacja to poszukiwanie równowagi interesów, to sposób dochodzenia do kompromisu przy okazywaniu wzajemnego respektu.

Rzecz w tym, że w Polsce słowo „kompromis” budzi negatywne skojarzenie. Z reguły ten rzeczownik opatrywany jest przymiotnikiem „zgniły”.

Przykład pierwszy z brzegu: toczy się spór o sposób funkcjonowania Trybunału Konstytucyjnego. Bez trudu można byłoby wypracować kompromis w tej sprawie. Odnoszę wrażenie, że to nikogo nie interesuje. Niestety. Dominuje podejście: „Moje stanowisko ma być górą”. Podczas gdy w życiu publicznym powinna obowiązywać zupełnie inna zasada – znana od czasów starożytnego Rzymu: *Salus rei publicae suprema lex esto*, czyli „Dobro Rzeczypospolitej najwyższym prawem”. Tak pouczał Rzymian Cynceron, taką dewizą kierował się w Polsce Frycz-Modrzewski i inni wybitni myśliciele. Taką filozofię polityczną wyraża obowiązująca Konstytucja Rzeczypospolitej...

Pierwodruk: *Suma wszystkich kryzysów*. Rozmowa z A. D. R. w zbiorze – J. Borowczyk i M. Larek pt. *Punkty zapalne. Dwanaście rozmów o świecie i Polsce*, Wyd. Poznańskie 2016, s. 171-199.

Czy marksizm umarł? Gdy myślę: Leszek Kołakowski

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski

MARCIN WOJCIECHOWSKI: Główne nurty marksizmu Leszka Kołakowskiego dzielą się na trzy części: początki, rozwój, rozkład. Uderzające jest to, że trzeci tom – poświęcony rozkładowi – obejmuje lata od rewolucji październikowej w głąb historii ZSRR. Sowieccy badacze marksizmu musieli tym być oburzeni – Kołakowski podniósł rękę na świętość. Przez dziesięciolecia przekonywano, że realny socjalizm jest najbardziej wartościowym rozwinięciem idei marksistowskich.

ADAM DANIEL ROTFELD: Kołakowski dotknął istoty problemu – aż do żywego. Marksizm jako ideologia był i po dziś dzień pozostaje ważnym punktem odniesienia dla innych ideologii społecznych przełomu XIX i XX wieku. Jest to rzadki przykład, gdy pewna całościowa idea – pobudzająca i ożywcza dla życia umysłowego – przynosi w praktyce tak zatrute owoce. Wielu współczesnych myślicieli nawiązuje do tej koncepcji lub wywodzi się z marksizmu. Zacznijmy od tego, że sam Kołakowski zainteresował się myślą filozoficzną Spinozy i analizował jego twórczość z marksistowskiego punktu widzenia. Innymi słowy, myśli marksistowskie były i są inspirujące, póki pozostają w sferze idei. Wcielane w życie nie tylko kosztują i urastają do rangi dogmatów, ale stają się zaprzeczeniem filozoficznej myśli Marksa. Tak stało się w Rosji po rewolucji październikowej.

Marksizm zadekretowany jako nowa religia stał się instrumentem zwalczania przeciwników politycznych. Idea wyparowała. Pozostali kapłani nowej religii – sekciarze, dogmatycy, propagandziści. Mieszkańcy jednej szóstej kuli ziemskiej zostali wtłoczeni do zakonu o bardzo surowej regule. Jednak społeczeństwo to nie zakon. Państwo i społeczeństwo to zielone drzewa życia, muszą – w odróżnieniu od zakonu kontemplacyjnego – rozwijać się; nie mogą trwać ani w stanie hibernacji, ani w uścisku odebranych od życia i wyrwanych z kontekstu cytatów.

Co było kamieniem założycielskim praktycznego marksizmu w Rosji?

Półprawdy, uproszczenia zagadnienia – przycinane do potrzeb chwili – i wrywane z kontekstu zdania, wreszcie – kłamstwo. Zwykłym ludziom duża część dorobku Marksa nie była zalecana ani dostępna. Nawet uczeni w piśmie nie mieli dostępu do pełnego wydania jego dzieł.

W Kościele katolickim jeszcze w okresie międzywojennym nie zalecano, by wierni studiowali Stary Testament. Był zastrzeżony dla teologów – badaczy Pisma. Zwykłym ludziom miał wystarczać katechizm, w którym główne prawdy wiary były przedstawione ze stosowną interpretacją. Marksistowski katechizm zaczął pisać Lenin, a dokończył Stalin. Jego *Zagadnienia leninizmu czy Krótki kurs historii WKP(b)* to właśnie rodzaj uproszczonego katechizmu. Wzorował się na tym podejściu w Chinach Mao Zedong, który schińczył marksizm w punktach w małej książeczce.

Stalin był wielkim symplifikatorem. Nie miał żadnego systematycznego wykształcenia – nieukończone seminarium prawosławne w Tyflisie (dzisiejszym Tbilisi) – ale umiał upraszczać. Myślę, że nabył tę umiejętność właśnie w seminarium. Na podobieństwo egzegezy wersetów Pisma Świętego, cytaty klasyków marksizmu używane były do formułowania zmieniających się programów partii – od NEP-u w latach dwudziestych – do kolektywizacji, programu elektryfikacji, industrializacji Rosji, militaryzacji gospodarki i całego życia społecznego w latach trzydziestych i później. Stalin często zmieniał zdanie. Zaprzeczał sam sobie. Jeśli prawda o przeszłości była przeszkodą – bez żadnych zahamowań zmieniał ją.

Rosjanie powiadają, że „u nas najbardziej nieprzewidywalna jest historia”. Znakomicie uchwycił to Orwell, który nigdy w Rosji Sowieckiej nie był, ale świetnie sportretował ten system w *Folwarku zwierzęcym* i *Ro-*

ku 1984. Niewygodni towarzysze – jak Trocki, Kamieniew, Zinowiew czy Bucharin – znikali ze zdjęć w podręcznikach historii partii, choć nie było wówczas programów komputerowych do obróbki graficznej. Powstawały za to obrazy fałszywe. Na przykład tysiące pomników w parkach, przedstawiających ławkę, na której Lenin i Stalin siedzą obok siebie i czytają gazetę „Prawda”. Nigdy takiej sytuacji nie było. Wymyślili ją propagandziści, zamówili sfalszowane zdjęcie, potem kopiowano je w tysiącach egzemplarzy. W świadomości społecznej miał powstać obraz Stalina – najwierniejszego ucznia Lenina.

Najwierniejszy uczeń i genialny kontynuator, jak podobno sam o sobie mówił.

Nikita Chruszczow – wówczas I sekretarz Komunistycznej Partii – w swoim słynnym referacie na XX zjeździe KPZR w marcu 1956 roku po raz pierwszy zacytował fragment „testamentu” Lenina, w którym ten przestrzegał partię przed wyborem Stalina na przywódcę, bo jest on niebezpiecznym, żądnym władzy chamem i przeciwnikiem demokracji wewnątrzpartyjnej. W późniejszych latach na tej podstawie wiele osób potępiało Stalina, ale wynosiło pod niebiosa wielkość Lenina.

A przecież Stalin był kontynuatorem leninowskich idei. Doprowadził je do skrajności. Naśladował Lenina, który również nie miał żadnych zahamowań, aby posługiwać się terrorem, choć nie na taką skalę, jak Stalin – choćby dlatego, że wkrótce po przewrocie zmarł. Zdążył jednak zostawić dla potomnych świadectwa, jak wyglądałaby Rosja pod jego rządami, gdyby żył dłużej. Na pytanie lokalnego działacza, w jaki sposób postąpić w jednym z prowincjonalnych miast, pisał: „Rozstrzelać tysiąc kupców, popów i innej swołoczy”. Z tego powodu nie publikowano w ZSRR ani wszystkich dzieł Lenina, ani jego korespondencji w pełnej wersji. Jego proste i jasne zalecenia były zbyt wymowne i kompromitujące.

Ludzie jednak wierzyli w marksizm-leninizm jak w religię.

Odpowiem anegdotą, która brzmi surrealistycznie, ale jest prawdziwa. Gdy byłem dyrektorem sztokholmskiego instytutu SIPRI, zaprosiłem Michaiła Gorbaczowa z małżonką Raisą w 1993 roku na doroczny wykład ku czci Olofa Palmego, zamordowanego premiera Szwecji. Z natury rzeczy

zajmowałem się tak dostojnymi gośćmi przez czas ich pobytu w Sztokholmie. Ze względu na to, że ani Gorbaczow, ani Raisa nie mówili językami obcymi, mogłem porozumiewać się bezpośrednio – po rosyjsku. W rok później Gorbaczow zaprosił mnie do Moskwy na uroczystą konferencję z okazji stulecia urodzin Chruszczowa. W swojej fundacji zorganizował sesję w gronie dawnych współpracowników. Byli tam członkowie radzieckiego rządu i Biura Politycznego KPZR z czasów, gdy Gorbaczow był sekretarzem generalnym.

Byłem na sali jedynym cudzoziemcem. Przysłuchiwałem się wspomnieniom – były to bardzo ciekawe przemyślenia. W przerwie zapytałem Gorbaczowa, w którym momencie doszedł do wniosku i uznał, że radziecki system się nie sprawdza, że jest nieludzki i nieskuteczny; słowem, że czas na radykalną zmianę. Zadawałem mu to pytanie już kilka razy wcześniej, bo zależało mi na szczerzej odpowiedzi. Godne odnotowania jest to, że Gorbaczow zawsze odpowiadał, że nigdy nie doszedł do takiego wniosku i nadal wierzy, że komunizm i Związek Radziecki można było utrzymać, ulepszyć i zmienić. Innymi słowy, Gorbaczow – podobnie jak Alexander Dubček, szef komunistów w Czechosłowacji w 1968 roku – wierzył, że można budować „socjalizm z ludzką twarzą”.

Gorbaczow to samo powtarza w wywiadach do dziś.

Wtedy w Moskwie – a był to okres największego napięcia między Gorbaczowem a Jelcynem – stwierdził, że on się dziwi, dlaczego w połowie lat osiemdziesiątych został wybrany na sekretarza generalnego KPZR przez ludzi, którzy zasiadali wówczas w Biurze Politycznym, bo mieli oni bardzo konserwatywne, dogmatyczne poglądy. Opowiadał, że czuł się w tym gronie osamotniony. Kiedy postulował zmiany, pozostali członkowie Biura – biegli w cytowaniu klasyków marksizmu i leninizmu – oponowali i uniemożliwiali podjęcie potrzebnych decyzji. „Zarzucali mnie morzem cytatów” i blokowali zmiany.

Gorbaczow poprosił wówczas swego współpracownika – znanego politologa Aleksandra Cypko (doktoryzował się w PAN w Warszawie), by przygotował specjalną „teczkę”, w której cytaty klasyków zostaną zneutralizowane innymi cytatami. Uznałem to za żart. Gorbaczow podniósł słuchawkę i poprosił: „Sasza, przynieś tę teczkę”. I zobaczyłem ją. Zrozumiałem

wtedy, że olbrzymim mocarstwem światowym, posiadającym największy arsenał broni jądrowej, rządzeni scholastyczni dogmatycy, którzy mogli doprowadzić do globalnej katastrofy. Na szczęście do tego nie doszło. W teście były zebrane różne decyzje i cytaty, które kompromitowały Lenina, ale były też takie, które pozwalały uzasadnić pragmatyczne rozwiązania. Dlatego nie było w ZSRR pełnych edycji tekstów klasyków marksizmu.

Leszek Kołakowski miał odwagę i wielki talent, by pokazać to, co było w marksizmie inspirujące – dopóki był to jeden z nurtów filozoficznych wyrastających z myśli ekonomicznej. W XIX wieku ruchy polityczno-społeczne stwarzały potrzebę takiego myślenia, które pozwalałoby dać odpowiedź na nowe zjawiska, wynikające z rozwoju społecznego. Największą słabością Marksa był monokauzalizm, sprowadzanie wszystkiego do wzajemnych relacji sił wytwórczych i środków produkcji. Istota ludzka była postrzegana jako *homo economicus*. Aspekty etyczne-moralne nie miały większego znaczenia. Podejmował je w swoich pracach Engels, ale z kolei jego koncepcje były oderwane od życia i łatwe do wyśmiania.

Sam Marks nie był dogmatykiem. Nigdy nie uważał swego dzieła za ukończone, nieustannie dążył do jego aktualizacji. Świat zmieniał się szybciej niż poprawki nanoszone na rękopisie jego prac. *Kapitał* Marksa prawdopodobnie nigdy by się nie ukazał, gdyby nie determinacja Engelsa. Po śmierci Marksa niektóre sekciarskie nurty socjaldemokratyczne, zwłaszcza w Rosji i częściowo w Niemczech, uznały *Kapitał* i inne prace za nową ewangelię. Koncepcje klasyków marksizmu stały się nie tyle podstawą, co legitymacją do sprawowania rządów dyktatorskich i totalitarnych.

Marks nie przewidział, że jego idea zostanie wprowadzona w praktyce w Rosji – najbardziej zacofanym kraju ówczesnej Europy.

Co więcej – Marks uważał carskie imperium za główną przeszkodę w rewolucyjnych przeobrażeniach Europy. Polityczna koncepcja, jakoby rewolucja miała odnieść sukces w „najsłabszym ogniwie” świata kapitalistycznego, jakim była carska Rosja, od początku dotknięta była swoistą wadą genezy. Kołakowski trafnie to dostrzegł. Marksizm zawierał kilka fundamentalnych założeń, które Lenin i Stalin zignorowali, a raczej „dostosowali” teorię do arbitralnych i woluntarystycznych decyzji. Ich istotą było to, że „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Zdaniem Marksa, do rewolucji mia-

ło dojść w najbardziej rozwiniętych krajach Zachodu: Niemczech i Wielkiej Brytanii. Natomiast Lenin zaprezentował koncepcję „najślabszego ognia kapitalizmu”, która miała uzasadnić zwycięstwo rewolucji w Rosji. Marks zakładał, że rewolucja ma mieć charakter światowy, a Stalin naprędce sformułował tezę o zwycięstwie socjalizmu w jednym („oddzielnie wziętym”) kraju. Marksizm zakładał zanikanie funkcji państwa po rewolucji, a w Rosji Sowieckiej „dyktatura proletariatu” i państwo zostały podniesione do najwyższej rangi; wyrazem tego był totalitarny terror. Wszystko to miało się do teorii Marksa jak pięść do nosa.

Czy to znaczy, że w historii świata marksizm nie odegrał żadnej pozytywnej roli?

Nic podobnego. Bez marksizmu zapewne dzisiejszy świat kapitalizmu wyglądałby inaczej. Zasługą marksizmu było postawienie człowieka w centrum uwagi rozwoju społecznego, ośmiogodzinny dzień pracy, szacunek dla robotnika. A co najważniejsze, związanie filozofii z ekonomią i uświadomienie, że gospodarka – siły wytwórcze i środki produkcji – mają dla ludzkości zasadnicze znaczenie. W naukach ekonomicznych Marks odegrał w XIX wieku taką rolę, jaką Freud w nauce o psychologii człowieka. Nikomu jednak nie przyjdzie do głowy, by wyjaśniać świat i jego rozwój wyłącznie poprzez koncepcję Freuda.

Kolejną prowokacją, zawartą w książce Kołakowskiego, było stwierdzenie, że stalinowska interpretacja idei marksistowskiej – włącznie z terrorem i zbrodniami – nie jest jej wypaczeniem, ale logiczną konsekwencją. Wiele osób do dziś próbuje przekonywać, że sam marksizm jest dobry, ale Lenin i Stalin zanieczyścili, wypaczyli tę ideę.

Każda koncepcja społeczno-filozoficzna, obejmująca wszystkie sfery życia, zastosowana w praktyce życia społecznego i doprowadzona do skrajności staje się niebezpieczna i może wieść do zbrodni. Stalinowska praktyka była sposobem na zdobycie i utrzymanie władzy za wszelką cenę. Marksizm w leninowsko-stalinowskiej i trockistowskiej interpretacji był instrumentem. Miał uzasadniać, że to im – przywódcom partii komunistycznej – Historia powierzyła zadanie narzucenia narodom praw, którym powinny się



Leszek Kołakowski

bezwzględnie podporządkować. Ale obiektywne prawa dotyczą nauk ścisłych i przyrodniczych, i to też nie może być traktowane jako dogmat. Życie społeczne to nie matematyka czy fizyka – jest ono znacznie bardziej złożone, jest wielowymiarowe i nie do końca przewidywalne. Na życie społeczne składają się zjawiska często wzajemnie sprzeczne, które próbujemy zrozumieć – choćby częściowo. Jednak nie ma tu żadnych historycznych prawidłowości. Uczeni – filozofowie, socjologowie, politolodzy – przybliżają nas do zrozumienia świata, w którym żyjemy. Ale należy strzec się tych, którzy mają proste i jasne odpowiedzi na wszystkie pytania.

W coś przecież trzeba wierzyć.

Wyższość pluralizmu nad ustrojem monopartyjnym polega na tym, że akceptuje prawo do różnorodności myśli. W miarę upływu lat coraz bardziej skłaniam się do tego, że konserwatywni reformatorzy dają ludziom zarówno poczucie zakotwiczenia i stabilności, osadzenia w konkretnym czasie, miejscu, tradycji, kulturze, jak i zrozumienie konieczności dostosowywania się do tego, co niesie życie oraz wprowadzania koniecznych zmian. I nie ma znaczenia to, czy rządzą partie socjaldemokratyczne (jak to się działo przez długie lata w krajach nordyckich), czy konserwatywne.

Pojęcia prawicy i lewicy coraz bardziej tracą swój sens. Odnotuję na marginesie, że konserwatywni reformatorzy też mogą uciekać się do rządów policyjnych. W Rosji od czasów Chruszczowa utrzymuje się kult premiera rządzącego w latach 1906-1911 – pod koniec caratu – Piotra Stołypina, któremu przypisuje się wielkie reformy za czasów Mikołaja II. Dotyczyły one sfery gospodarczo-społecznej. Wielu uważa, że gdyby nie zamach na Stołypina (1911) i wybuch I wojny światowej, Rosja byłaby dziś krajem kwitnącym. Warto jednak pamiętać, że w sferze polityki wewnętrznej i ograniczania swobód rządu Stołypina były policyjne. Określenie „krawat Stołypina”, czyli pętla na szubienicy, nie było bezpodstawne. Stołypin był zwolennikiem wzmocnienia tajnej policji, organizował pogromy, wieszał przeciwników politycznych. Dziś jest często przywoływany jako prekursor modernizacji. Stawiam sobie pytanie – co ma wspólnego taka forma rządów z modernizacją? W III Rzeszy było wielu takich „modernizatorów”.

O Stołypinie mówiono, że chce wprowadzać lewicowe reformy prawą ręką.

Tak pisał o Stołypinie jeden ze współczesnych mu krytyków. Jakie to ma znaczenie? Prawicowa dyktatura nie jest lepsza od lewicowej – i odwrotnie. Na razie optymalnym, choć bardzo kosztownym systemem są rządy oparte na demokracji liberalnej. Ta forma sprawowania władzy jest często krytykowana, na jej zwolenników wylewa się kubły pomyj. Jednak nikt nie zaproponował niczego lepszego, co harmonizowałoby różne nurty ideologiczne, polityczne i społeczne – stwarzałoby możliwość ścierania się różnych myśli.

Często powtarzana jest teza, że po II wojnie światowej – zwłaszcza w naszej części Europy – marksizm był ciekawą propozycją intelektualną i polityczną. Tak mówi na przykład Bauman, który sam był w młodości marksistą. Czy dla Pana marksizm także był kuszący?

Jestem młodszy od Baumana i Kołakowskiego. Bogiem a prawdą, nigdy nie przymierzałem się do tych postaci, które uważam za wielkie i zasłużone autorytety na światową skalę. A swoją drogą, poplątane są ścieżki, na które przypadki kierują ludzkie losy. Gdyby obaj ci uczeni nie musieli z Polski wyjechać, zapewne nigdy nie odegraliby tej roli w europejskiej i światowej myśli, jaka im przypadła w udziale.

W odróżnieniu od nich nie miałem wielkiego wyboru. Gdy chodziłem do szkoły, wszystkie podręczniki były już napisane zgodnie z marksistowskim czy wręcz stalinowskim poglądem na świat. Autorzy tych książek uważali marksizm-leninizm za ukoronowanie dotychczasowej myśli filozoficznej i społeczno-ekonomicznej. W marksizmie – jak już mówiłem – brakowało mi tego, co dotyczyło kondycji człowieka, refleksji na temat kategorii dobra i zła, etyki i moralności. Rozważania na ten temat były dezawuowane przymiotnikiem „idealistyczne”. W ówczesnej retoryce idealizm to religia, a religia – to „opium dla ludu”. A przecież religia odgrywała i odgrywa w historii świata niezwykłą rolę. Była i nadal jest ważnym duchowym składnikiem życia jednostek i narodów.

Co Pan myśli o koncepcji narodu?

Myśliciele, których szanuję, uważają, że tożsamościowa koncepcja narodu to przeżytek. Tak twierdził angielsko-amerykański historyk Tony Judt, tak sądzi Bauman. To nieporozumienie. Mam w tej sprawie inny pogląd.

Tożsamość narodu jest czymś niezwykle istotnym. Tożsamość, która nie ma korzeni narodowych czy etnicznych, ukształtowała się zaledwie w czterech, pięciu państwach świata, których mieszkańcy są imigrantami – przybyszami z innych krajów. Są to Stany Zjednoczone, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i – częściowo – Republika Południowej Afryki.

Być może w przyszłości – za 150-200 lat – to się zmieni. Ale kwestionowanie dziś narodowej tożsamości mieszkańców Europy, Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej uważam za nieporozumienie. To nie znaczy, że nie dostrzegam pewnych pułapek z tym związanych, których przejawem jest na przykład ruch Oburzonych w USA i całej Europie czy bunty młodzieży w 1968 roku we Francji i w Niemczech.

Współczesne pojęcie narodu ukształtowało się stosunkowo niedawno – dopiero w XIX wieku. Obejmuje wiele elementów: język, kulturę, religię. Pochodzenie etniczne jest tylko jednym z tych elementów, które kształtują tradycję i mentalność czy też duchowość. Są narody mieszczkańskie i chłopskie. Bez tożsamości narody by nie istniały. A przecież istnieją.

Judt uważał, że tożsamość narodu prowadzi do nieuchronnych konfliktów z innymi narodami. Odnosił to zwłaszcza do Izraela, którego tożsamość – w jego przekonaniu – była budowana na konflikcie z Palestyńczykami. Błąd Judta i innych krytyków Izraela – zwłaszcza tych pochodzenia żydowskiego – polega na tym, że stawiają temu państwu znacznie wyższe wymagania i stosują wobec niego ostrzejsze kryteria ocen niż wobec innych państw. Ben Gurion, jeden z twórców państwa Izrael, miał stwierdzić podczas jednego z posiedzeń rządu w latach pięćdziesiątych, że jego kraj będzie normalnym państwem dopiero wtedy, gdy będzie miał swoich własnych złodziei, bandytów i prostytutki. Powiedział to w czasie, gdy ojcowie-założyciele państwa Izrael propagowali tezę, że ich państwo ma kierować się zasadami i wartościami, które zawarte są w Dekalogu i Starym Testamencie. Było to założenie idealistyczne, by nie powiedzieć – naiwne. Wszystkie państwa świata kierują się interesami i wartościami. Dziś Izrael jest „normalnym” państwem i należy stosować wobec niego te same kryteria oceny, które stosujemy wobec innych państw, zwłaszcza tych w podobnej sytuacji egzystencjalnego zagrożenia.

Po odejściu z funkcji ministra spraw zagranicznych brałem udział w jednej z licznych konferencji o stosunkach Europy, USA i Izraela. Spotkanie

odbywało się w Berlinie. Przewodniczył obradom były szef dyplomacji niemieckiej Joschka Fischer. Joschka ma usposobienie pesymisty i przedstawił, jak zwykle, dość ponury obraz sytuacji na Bliskim Wschodzie.

Zapadła cisza. Poprosił, abym powiedział, co o tym myślę. Nie chciałem zabierać głosu, bo nie jestem specjalistą od tego regionu, nastawiłem się raczej na słuchanie. Pozwoliłem sobie odwołać się do anegdoty o tej legendarnej już wypowiedzi Ben Guriona. „Mam wrażenie – powiedziałem – że jego marzenie spełniło się z nadwyżką. Izrael jest dziś normalnym państwem. Bo marzeniem Ben Guriona chyba nie było, by tacy ludzie, o których mówił, znaleźli się w rządzie”.

Na konferencji było sporo gości z Izraela. Obawiałem się, że poczują się urażeni. Dodałem więc, że często w demokracji władzę sprawują nie ci najlepsi z najlepszych. O sile moralnej i izraelskiej demokracji w działaniu świadczy to, że niezależnie od tego, jakie stanowisko zajmuje osoba, która narusza prawo, jest stawiana przed sądem i karana. Nawet jeśli jest to prezydent państwa.

Historia Izraela spleta się z dziejami biblijnymi. Musi jednak sprostać normalnym zasadom gry między państwami. Na razie na Bliskim Wschodzie obowiązuje starotestamentowa zasada „oko za oko, ząb za ząb”. Potwierdza to moje przekonanie, że żadna koncepcja polityczna nie może być traktowana jak religijny dogmat.

Marksizm traktował religię jako opium dla ludu.

Zawsze uważałem to podejście za głupie, prymitywne i prostackie.

Czy to dzięki latom spędzonym w klasztorze?

I tak, i nie. Wbrew pozorom życie w klasztorze skłania raczej do tego, by w życiu dorosłym być dogmatykiem i sekciarzem. Nie tylko Stalin był wychowankiem seminarium duchownego. Jest pewien typ ludzi, którzy szukają dla siebie zasad regulujących całe ich życie. Chcą mieć wyraźne wskazówki – normy i reguły, wartości i zasady, które przyjmą za swoje, zinternalizują je, podporządkowują im całe swoje życie. Fanatyczni komuniści często bardziej przypominali zakonników niż normalnych ludzi. Byli ludźmi uczciwymi i porządnymi w stosunkach międzyludzkich, a zarazem sek-

ciarzami, których publiczna działalność przyniosła ewidentne szkody i krzywdę milionom.

W 1955 roku po maturze podjął Pan decyzję, by zdawać na Wydział Dyplomatyczno-Konsularny Szkoły Głównej Służby Zagranicznej. Skąd ta decyzja?

Był to w pewnej mierze przypadek. Zależało mi na tym, by pójść na studia humanistyczne i dostać stypendium, ponieważ po opuszczeniu Domu Dziecka nie miałem żadnych źródeł utrzymania. Do tego były to czasy tak powszechnej biedy, że prawie wszyscy studenci otrzymywali państwowe stypendia. W moim przypadku było istotne, aby stypendium pokrywało koszty akademika i kartek żywnościowych do stołówki studenckiej. Musiałem zatem znaleźć sposób na dalsze życie.

Wcześniej byłem pod opieką instytucji: najpierw klasztoru, później Domu Dziecka. Dość powszechne jest przekonanie, że dzieci wychowane bez rodziców lepiej sobie radzą w życiu, bo są zahartowane. To niezupełnie tak. Dzieci w rodzinach – nawet niezamożnych, biednych – naśladują rodziców. Mają naturalne wzorce, co i jak robić w najprostszych sytuacjach. Dzieci z domów dziecka są po ich opuszczeniu jak żołnierze poza koszarami. Nie mają mieszkania, pieniędzy, nie wiedzą, jak zarabiać, jak wydawać, jak gospodarować. Szukałem więc pomysłu na usamodzielnienie się – na studiach i po studiach. Początkowo myślałem o stypendium zagranicznym, ale zostałem szybko poinformowany, że to nie wchodzi w rachubę.

Wiosną 1955 roku w mojej szkole pojawiło się dwóch młodych asystentów, których zadaniem była rekrutacja kandydatów do szkoły dyplomatycznej w Warszawie. Dyrektor mojego liceum Stanisław Potoczek poprosił mnie do swego gabinetu i poinformował, że z całej szkoły wytypował właśnie mnie. Sam był humanistą, choć szkoła miała profil matematyczno-fizyczny.

Patrzyłem na obu tych wysłanników, ale w zasadzie nie słyszałem, co mówią. Zauważyłem, że mam dziurę na kolanie spodni, i całą uwagę skupiłem na tym, jak ją zasłonić. Okazało się, że dyrektor szkoły już wysłał moje papiery do Warszawy. Niestety, wyniki na świadectwie maturalnym nie uprawniały mnie do tego, by ubiegać się o przyjęcie na studia bez egzaminów. Musiałem więc je zdawać. Nie było to proste: na czterdzieści miejsc 80 procent zajmowali ludzie z dyplomami Przewodników

Pracy i Nauki, którzy zdawali egzamin tylko z języka obcego. W praktyce zostawało więc około dziesięć miejsc do podziału. Kilka miejsc było przeznaczonych dla kadry wyznaczonej z klucza partyjnego lub państwowego. Zazwyczaj tacy kandydaci reprezentowali nie najwyższy poziom, co akurat było dla mnie korzystne, bo na ich tle wypadałem dobrze. (...)

Na egzaminie wstępnym siedział obok mnie taki właśnie kandydat. Wyciągnął na kartce pytanie o przyczyny wojny krymskiej 1856 roku. Pokazał mi je z prośbą, bym odpowiedział. Napisałem na kartce, że formalną przyczyną tej wojny były starania Rosji, by odebrać od Turków klucze od stajenki betlejemskiej. Tyle zdążyłem napisać. Delikwent podszedł do komisji egzaminacyjnej, przeczytał moją odpowiedź. Przewodniczący komisji zajrzał do teczki z jego dokumentami i powiedział z życzliwością: „Towarzyszu, to oczywiście przyczyny formalne. Faktyczne były...”. Następnie sam wyrecytował prawidłową odpowiedź do końca.

Zostałem przyjęty. Stypendium, jak pamiętam, wynosiło 270 zł. Z tego za akademik 90 zł, 130 – za stołówkę. Zostawało pięćdziesiąt zł na wszystko – ubranie, przejazdy, książki. Trochę dorabiałem korepetycjami, w czasie wakacji zastępowałem w krakowskim „Dzienniku Polskim” reportera miejskiego, a koło 1 listopada, we Wszystkich Świętych, współorganizowałem przez trzy dni spółdzielnię studencką, sprzedającą znicze. Pracowałem też w obsłudze sesji Unii Międzyparlamentarnej, która – bodaj w 1959 roku – po raz pierwszy obradowała w Warszawie. Byłem też tłumaczem drużyny radzieckiej i niemieckiej w czasie Wyścigu Pokoju, który w tamtych czasach był imprezą kultową.

W ogóle popularność sportów była wtedy ogromna. Ludzie uważali, że sport jest jedną z nielicznych form – jeśli nie jedyną – uczciwej rywalizacji, w której nie da się sfałszować wyniku. Wyjątkiem z pewnością były mecze piłki nożnej z drużynami radzieckimi. Byłem kiedyś na meczu Wisły Kraków z Dynamem Tbilisi. Sędziował Gruzin Gogoberidze. Dla publiczności było to świadectwo i dowód – zresztą niebezpieczne – że wynik jest ukartowany, a zwycięstwo Dynama z góry przesądzone. Stadion skandował „Gogoberidze – gola nie widzę!”.

Pańska szkoła kształciła przyszłych dyplomatów. Dlaczego nie trafił Pan do MSZ, ale do PISM-u?

Uważałem za naturalne, że po ukończeniu studiów znajdę zatrudnienie w dyplomacji. Nie było tu jednak żadnego automatyzmu. Jakkolwiek mogłoby to dzisiaj wydawać się dziwne, w tamtych czasach dla normalnych studentów (niedelegowanych przez partię, MSW lub inne służby) przyjęcie do MSZ zależało od zdania specjalnego egzaminu państwowego.

W czerwcu 1960 roku na egzamin zgłosiły się bodaj dwadzieścia cztery osoby. Po uzyskaniu pozytywnej oceny z pracy pisemnej komisja zapraszała do sali po dwie osoby na egzamin ustny. Zdawał ze mną kolega ze studiów, pochodzący z rodziny nauczycielskiej z Piotrkowa, Sławomir Dąbrowa, niezwykle prawy, uczciwy, dobrze zorganizowany. Słowem – perfekcyjny profesjonalista. Po pół godzinie stwierdziłem, że wszystkie pytania kierowane są wyłącznie do niego. W pewnym momencie na pytanie: „Jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Stolicy Apostolskiej?” Sławek odpowiedział, że obywatelstwo miasta-państwa Watykan. Przewodniczący komisji uznał, że jest to odpowiedź niewłaściwa i po raz pierwszy skierował pytanie do mnie. Powiedziałem, że jest to prawidłowa odpowiedź. Na co szef departamentu kadr – też wchodzący w skład komisji – zareagował słowami: „Po co pan w ogóle przyszedł na ten egzamin, skoro nie potrafi pan odpowiedzieć na proste pytanie? Pański kolega odpowiada bezbłędnie”. Na to ku zaskoczeniu komisji odezwał się Dąbrowa: „To nie tak. Ja udzieliłem takiej samej odpowiedzi. A mój kolega nie dostał dotąd żadnego innego pytania”. Spontaniczna reakcja Sławka komisję zirytowała. Otrzymałem kilka innych pytań, na które odpowiedziałem poprawnie.

Po zakończeniu egzaminów ogłoszono wyniki: trzy osoby zdały celująco i zakwalifikowały się do pracy w MSZ: był to Jerzy M. Nowak, późniejszy ambasador w Madrycie i szef misji przy NATO, Sławek i ja. Nowak i Dąbrowa otrzymali powiadomienie o przydziale miejsca pracy w lipcu, a ja do końca sierpnia nie dostałem żadnej wiadomości. Zgłosiłem się zatem sam do Wydziału Szkolenia MSZ. Jego naczelnik powiedział mi, iż liczył na to, że jestem na tyle inteligentny, że sam się domyślę, że dla mnie nie ma miejsca w resorcie.

Wychodziłem z gmachu na Szucha załamany. Nie wiedziałem, co mam dalej robić. W drzwiach wyjściowych spotkałem profesora Stefana Boratyńskiego z mojej uczelni, autora wydanej po Październiku pracy *Dyplomacja wielkich mocarstw w czasie II światowej*. Opowiedziałem mu, co usłyszałem na czwartym piętrze. Chwilę pomyślał i powiedział, żebym przyszedł do Pol-

skiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM), w którym pracował. Dodał: „Coś wymyślimy”. Skierował mnie do pracowni dokumentacji historycznej, gdzie zastałem dwie panie: późniejszą dziennikarkę „Rzeczpospolitej” Katarzynę Kołodziejczyk i panią Marię Safjanowską. Obie odniosły się do mnie z sympatią i życzliwością. Dały mi zadanie, bym przeprowadził kwerendę dwóch przedwojennych gazet: rządowej „Gazety Polskiej” i „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, który potem zmienił nazwę na „Warszawska Gazeta Narodowa”; była to gazeta endecka.

Postanowiłem też na wszelki wypadek, że pójdę na inne studia – podyplomowe, żeby mieć czas na rozejrzenie się i przemyślenie całej sytuacji. Otwierali właśnie nowe podyplomowe Studium Dziennikarskie w Uniwersytecie Warszawskim. Jak pomyślałem – tak zrobiłem.

Czego miała dotyczyć kwerenda?

Polskiej polityki zagranicznej w okresie międzywojennym. Obejmowała cały okres od listopada 1918 do września 1939 roku. Praca ta zajęła mi kilka miesięcy. Było to dla mnie zajęcie pouczające i niezwykle ważne nowe doświadczenie. W miarę lektury wchodziłem w zupełnie inną, nieznaną mi przedwojenną rzeczywistość. Czytałem obie gazety od deski do deski. Pamiętam paszkwile na Tuwima i Słonimskiego. Jeden z autorów pisał, że Słonimski nie może być wielkim poetą, bo operuje abstrakcyjnymi skojarzeniami: „Świat nie jest piłką futbolową, świat się podbija głową! głową...” (Antoni Słonimski, *Godzina poezji. Kontrmarsz*, 1923); nie może być polskim poetą ktoś, kto nie ma polskiej duszy, która wyrasta z ziemi, natury, krajobrazu. Błyskotliwa i ironiczna fraza Słonimskiego miała być dowodem jego wyobcowania i nieprzystawania do polskiej rzeczywistości. Takich uwag i komentarzy w obu pismach było więcej.

Etat w PISM-ie otrzymałem 1 stycznia 1961 roku i byłem z tą instytucją związany przez ponad trzydzieści lat.

Jaki był wtedy PISM? Trafiło tam sporo przedwojennych profesorów, którzy prowadzili badania nad prawem międzynarodowym i stosunkami polsko-niemieckimi, ale Instytut był też obciążony wszystkimi grzechami nowej władzy. Byli tam karierowicze oraz ludzie wykorzystujący status PISM-u oraz możliwości wyjazdów do zupełnie innych celów, także szpiegowskich.

To prawda. Większość instytucji w Polsce była wtedy częścią systemu i odbiciem tamtej rzeczywistości. W okresie stalinowskim Instytut był całkowicie zideologizowany. Po Październiku dyrektorem Instytutu mianowano wybitnego socjologa profesora Juliana Hochfelda, przedwojennego socjalistę, który wojnę spędził w Londynie, a w czasach stalinizmu znalazł się na marginesie życia publicznego. Był wychowawcą wielu późniejszych uczonych; był też mistrzem i promotorem Zygmunta Baumana. Jako dyrektor postanowił nadać PISM-owi rangę niezależnej placówki badawczo-dokumentacyjnej. Ale trwało to niedługo. Zdążył jednak uruchomić edycję kilku ważnych dokumentacji. Pod auspicjami PISM-u wydano wtedy zbiór *Sprawa polska w czasie II wojny światowej na arenie międzynarodowej w świetle pamiętników w opracowaniu Stanisława Zabięły*. Instytut zyskał opinię najlepszego ośrodka badania problematyki zbrojeń i rozbrojenia, z Wojciechem Nagórskim, Romanem Jasicą i Jerzym Sztuckim.

W 1959 roku Hochfelda usunięto z PISM-u za niezależną postawę. Był to sygnał, że liberalizacja dobiega końca. Zaczęło się „przykręcanie śruby”. Pod rządami nowego dyrektora podjęto badania „sprawy niemieckiej”, w których opinię eksperta najwyższej próby zyskał profesor Mieczysław Tomala. Hochfeld wyjechał do UNESCO, gdzie kierował departamentem nauk społecznych.

Jego odejście wpłynęło bardzo negatywnie na ogólną atmosferę i pozycję PISM-u w środowisku naukowym. Wtedy właśnie trafiłem do Instytutu. Dyrektorem PISM-u partia mianowała przedwojennego działacza komunistycznego Ostapa Dłuskiego. To był wykształcony erudyta i poliglota – znał wiele języków, potrafił godzinami cytować z pamięci zarówno Mickiewicza, jak i Goethego. Był typem idealisty-fanatyka oderwanego od rzeczywistości, oddanego partii bez reszty.

Dłuski w Instytucie nie był zatrudniony, ale pełnił ideologiczny nadzór. Faktycznym dyrektorem był jego pierwszy zastępca Stanisław Kiryluk, partyjny funkcjonariusz, późniejszy ambasador w Iranie. Redaktorem naczelnym miesięcznika „Sprawy Międzynarodowe” był profesor Remigiusz Bierzanek, a jego zastępcą został mianowany Adam Kruczkowski, syn lewicowego pisarza Leona Kruczkowskiego – ulubieniec nadzorującego ideologię i kulturę członka Biura Politycznego Zenona Kliszki, który otworzył Adamowi „szybką ścieżkę” kariery. Wkrótce mianował go redaktorem naczelnym „Spraw Międzynarodowych”, a niedługo później dyrektorem



Wręczenie Prezydentowi m.st. Warszawy Lechowi Kaczyńskiemu kopii skutecznych sprostowań Ministerstwa Spraw Zagranicznych dotyczących zafałszowań polskiej historii w prasie zagranicznej, Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa, lipiec 2005 r.

PISM-u. Adam awansował szybko w strukturze partyjnej – najpierw był zastępcą, a niedługo później członkiem KC PZPR i posłem na Sejm.

Poznałem Adama jeszcze w czasach studenckich, kiedy został pierwszym przewodniczącym Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. W czasie studiów byłem aktywny w tym stowarzyszeniu. Adam nikogo w PISM-ie nie znał. Namówił mnie do pracy w redakcji „Spraw Międzynarodowych”. Z czasem zostałem sekretarzem redakcji, kiedy pełniący to stanowisko inny działacz SSP ONZ, Andrzej Konopacki, wyjechał na stypendium do Stanów Zjednoczonych.

Praca w redakcji całkowicie mnie pochłaniała. Miałem poczucie, że coś ode mnie zależy. Adam zajęty polityczną karierą obciążał mnie coraz to nowymi obowiązkami: zostałem sekretarzem Komitetu Koordynacyjnego Badań Niemcoznawczych (KKBN). Zajmowałem się też koordynacją badań nad bezpieczeństwem europejskim.

Na wniosek profesora Bierzanka zostałem jego zastępcą w Polskim Towarzystwie Przyjaciół ONZ. Te i inne zajęcia zawodowe i społeczne wypełniały mój czas bez reszty.

Jakimi sprawami zajmowali się naukowcy z Instytutu?

W centrum uwagi znajdowały się dwie sprawy: rozbrojenie i stosunki polsko-niemieckie. Tej problematyce podporządkowano wiele środków i zainteresowania. Były też inne pracownie i zakłady: krajów socjalistycznych, Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Najwyższy poziom miały badania dotyczące organizacji międzynarodowych i prawa międzynarodowego.

Zastanawia mnie, jak niewielu ekspertów z zakresu rozbrojenia i bezpieczeństwa rozumiało, że plan Rapackiego w sprawie utworzenia strefy bezatomowej w Europie Środkowej w istocie był jedynie wehikułem zmierzającym do utrwalenia podziału Niemiec i uznania zachodniej granicy Polski. Adam Rapacki, szef polskiego MSZ, napisał o tym wprost w brytyjskim miesięczniku „International Affairs” (artykuł nie był w Polsce publikowany). A liczni polscy komentatorzy i eksperci pisali obszerne elaboraty o tym, jak wielkie znaczenie ma ta inicjatywa dla ograniczenia zbrojeń jądrowych. Gdyby ten aspekt był najważniejszy, to plan Rapackiego nie wzbudziłby większego zainteresowania na Zachodzie. Popularność tej inicjatywy wynikała z faktu, że zgłoszona była po Październiku, w 1957 ro-

ku, i sygnalizowała próbę emancypacji Polski w bloku wschodnim. Ponadto zgłosił propozycję Rapacki, działacz PPS-u, a nie komunista. Wreszcie, ważne były jej implikacje dla sprawy niemieckiej.

„Sprawa niemiecka” zajmowała centralne miejsce w polskiej polityce. Głos polski w tej sprawie nie budził zastrzeżeń Rosji, ponieważ było jasne, że w Warszawie w tej kwestii władze nie zrobią nic wbrew stanowisku radzieckiemu. Było dorozumiane przyzwolenie Moskwy, że stanowisko Polski wobec Niemiec mogło być jeszcze bardziej radykalne niż ZSRR.

W 1968 roku zostałem zwolniony z pracy. Pismo z trzymiesięcznym wypowiedzeniem otrzymałem w maju. Ale w lipcu skorygowano decyzję: otrzymałem informację o zmianie moich warunków pracy i płacy. Mogłem pracować, ale na znacznie gorszych warunkach – obniżono mi o połowę uposażenie (zamiast 4400 – 2200 złotych) i nie mogłem sprawować żadnych funkcji w redakcji, w KKBN i innych ciałach kolegialnych. Zająłem się wobec tego szybko finalizacją pracy doktorskiej.

Czym się Pan zajmował potem, już w latach siedemdziesiątych?

Przygotowaniami do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Właśnie rozpoczynał się tzw. proces helsiński, czyli wstępna faza wypracowywania mandatu dla przyszłej konferencji – KBWE. Dostrzegałem w tym procesie szansę dla Polski: otwarcie na Zachód i stopniowe przezwyciężanie podziału na Wschód i Zachód. Dla Polski sprawą fundamentalną było wielostronne uznanie zasady nienaruszalności granic. Tyle w sprawach polityki zagranicznej.

Co się tyczy implikacji wewnętrznych zapoczątkowanej w Helsinkach konferencji, to wyniki KBWE rokowały legitymizację stopniowych liberalnych przemian i rozszerzania indywidualnych swobód. Wspólnie z Andrzejem Towpikiem i Włodzimierzem Wieczorkiem, którzy pracowali wówczas w Instytucie, sporządziliśmy raport zawierający koncepcję przyszłej instytucjonalizacji bezpieczeństwa europejskiego – po zakończeniu samej konferencji KBWE.

Po poprawkach, przygotowano w MSZ konkretne projekty i ówczesny szef dyplomacji Stefan Olszowski przedstawił tę koncepcję w lipcu 1973 roku podczas otwarcia pierwszej fazy konferencji w Helsinkach. Istota polskiej propozycji sprowadzała się do tego, by przyjęcie Aktu Końcowego

KBWE nie zamykało procesu, ale przeciwnie – podpisanie tego dokumentu miało stanowić punkt wyjścia do jego kontynuacji. Postulowaliśmy wówczas, by zapewnić procesowi ciągłość – dokonywać przeglądu realizacji przyjętych postanowień, uzgadniać nowe sfery współpracy.

Rosjanom takie podejście nie odpowiadało. Ich intencje i cele sprowadzały się do szukania namiastki traktatu pokojowego z Niemcami. Miał to być akt jednorazowy, sankcjonujący bipolarny system i zimnowojenny porządek, który utrwali terytorialne i polityczne status quo w Europie. Polski postulat oznaczał, że do „trzech koszyków” KBWE (sprawy polityczne i wojskowe; gospodarka; kontakty między ludźmi, informacja, kultura i oświata) zostanie dorzucony niejako czwarty, zapewniający swoisty ciąg dalszy. Na długą metę uważaliśmy, że dla Polski będzie korzystne powstanie nowej organizacji. Byliśmy przekonani, że w ten sposób Polska będzie miała większe pole manewru w polityce zagranicznej i będzie musiała respektować międzynarodowe uzgodnienia, co zmniejszy jej jednostronną zależność od dominacji radzieckiej. Nikt tego wprost nie wyrażał – operowaliśmy językiem międzynarodowych szablonów i przyjętej retoryki.

Olszowski wygłosił swoje przemówienie na konferencji ministrów w Helsinkach. Szef radzieckiej dyplomacji Andriej Gromyko zaprosił go na rozmowę. Nie brałem w niej udziału, ale jeden z moich przyjaciół dokładnie mi ją zrelacjonował. „Polskie propozycje – powiedział Gromyko – są ciekawe, ale »podział pracy« między delegacjami państw socjalistycznych jest taki, że Polska wspólnie z Bułgarią zajmie się w ramach KBWE tzw. trzecim koszykiem – kontakty i informacja, kultura i oświata. A sprawy, o których mówił polski minister, będą w zakresie kompetencji Czechosłowacji”. Olszowski wysłuchał i nie zareagował, poirytowany opuścił gabinet Gromyki. Uznał, że niespodziewana reakcja Rosjan osłabi jego pozycję w kraju. W efekcie, w tajnej notatce-sprawozdaniu z konferencji w Helsinkach w ogóle o rozmowie z Gromyką nie wspomniał. Mogłem to stwierdzić dopiero teraz, kiedy w serii dokumentacyjnej pod redakcją Włodzimierza Borodzieja ukazał się kolejny tom pt. *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne 1973* (red. Piotr M. Majewski, wyd. PISM, Warszawa 2006, s. 374).

Wiele osób jest przekonanych, że wszystko, co ma klauzulę „tajne”, musi być prawdziwe, a wszystko co było w PRL-u jawne – to propaganda. Rzeczywistość była bardziej złożona: przemówienie Olszowskiego, wydrukowane w „Trybunie Ludu”, było prawdziwe, a tajna notatka dla Biura Politycznego,

którą przeczytałem dopiero teraz po opublikowaniu tomu *Dokumenty polskiej dyplomacji* za rok 1973 – kłamliwa. Olszowski w obawie przed atakami swoich rywali wewnątrz Biura Politycznego polecił pominąć to wszystko, co nie spodobało się Rosjanom. W ten sposób historyk – jeśli miałby napisać prawdę – musiałby zakwestionować dokument tajny, a oprzeć swoje tezy na informacji gazetowej.

Był Pan wtedy objęty zakazem wyjazdów za granicę. Czy miało to związek z nagonką antysemitką 1968 roku?

Odmowę wyjazdu otrzymywałem wielokrotnie, także znacznie wcześniej. W 1962 roku wybrano mnie na przewodniczącego Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Studiowałem wtedy podyplomowo dziennikarstwo. W Helsinkach odbywał się Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Wytypowano mnie na wiceszefa polskiej delegacji na ten festiwal. Po kilku dniach dowiedziałem się, że MSW nie wyraziło zgody, by dać mi paszport. Zapytałem – dlaczego, usłyszałem w odpowiedzi, że mają podejrzenia, iż mam zamiar zostać za granicą. Nie miałem takiego zamiaru. Zabawne było to, że na festiwal popłynęło statkiem „Mazowsze” kilkuset przedstawicieli polskich zespołów artystycznych, 400 osób zostało. Nigdy nie miałem zamiaru emigrować z Polski.

A w 1968 roku? Nawet wtedy nie pojawiła się taka myśl?

Tak się złożyło, że 4 marca 1968 roku, a więc na kilka dni przed początkiem „wydarzeń marcowych” na Uniwersytecie zdawałem w ambasadzie USA egzamin z języka angielskiego, ponieważ ubiegałem się o stypendium Fulbrighta. Wtedy ponownie zablokowano mi wyjazd. Zostałem przez Amerykanów zakwalifikowany. Otrzymałem uroczysty list, że Fundacja Fulbrighta przyznała mi stypendium. Cieszyłem się. Był to sposób, by wyrwać się na rok z coraz bardziej dusznej atmosfery w Polsce. Liczyłem, że po powrocie coś się zmieni. Chciałem także pogłębić swoją znajomość angielskiego i wykorzystać czas na badania. Znowu dostałem odmowę.

Tym razem próbowałem coś zrobić. Szukałem osób, które mogłyby mi pomóc uzyskać paszport. Niestety, nie był to dobry czas, by ktokolwiek skutecznie mógł coś zrobić. Otrzymałem pośrednio wiadomość, że mogę

dostać paszport, ale tylko na wyjazd w jedną stronę. Sytuacja była więc dokładnie odwrotna niż w 1962 roku. Wówczas odmówiono mi, bo były podejrzenia, że chciałbym zostać. Teraz – bo chciałem wrócić. Powiedziałem swemu rozmówcy, że sam będę decydował, czy i kiedy chcę z Polski wyjechać.

Zakaz wyjazdów zdjęto dopiero pod koniec 1973 roku, kiedy włączony zostałem do licznej polskiej grupy na światowy Kongres Budowniczych Pokoju, który odbywał się w Moskwie w listopadzie. Po latach odmów otrzymałem paszport ważny przez pięć dni i z prawem do jednokrotnego przekroczenia granicy. Było to o tyle zabawne, że chyba nikt nie zamierzał uciekać do Związku Radzieckiego – mój paszport był wydany nie na wszystkie kraje Europy czy świata, ale tylko na wjazd do ZSRR.

W marcu 1974 roku wyjechałem po raz pierwszy na wielostronne negocjacje na temat przyszłości Europy. Była to robocza faza KBWE w Genewie. Toczyły się tam prace redakcyjne nad Aktem Końcowym KBWE. Moim zadaniem – jako eksperta w polskiej delegacji – było przejęcie spraw, którymi zajmowała się przedtem pewna pani z MSZ. Opowiadano mi, że była elokwentna, odczytana i ideologicznie niezwykle ostra. Przekonywała w swoich wystąpieniach, że kultura zachodnia jest w istocie subkulturą, a tylko ZSRR i inne kraje socjalistyczne mają prawdziwą kulturę. Rosjanie byli tym stanowiskiem zachwyceni, wyrażali uznanie polskiemu szefowi delegacji. Pani zapewne nie zdawała sobie sprawy, że ośmiesza Polskę. Została w końcu odwołana po tym, kiedy z ironią cytował ją dziennik „International Herald Tribune”. Otrzymała w centrali MSZ awans...

Pojechałem na te rokowania bez żadnego doświadczenia. Przed pierwszym posiedzeniem, w którym miałem za parę minut uczestniczyć, odbyły się konsultacje krajów socjalistycznych. Delegatami radzieckimi w podkomisji do spraw kultury byli dwaj urzędnicy – dyrektor Goskoncerta Supagin i pracownik UNESCO Możajew. Zajmowali się też uzgodnieniami dotyczącymi kontaktów między ludźmi. Wręczyli mi po chwili kilkuwierszowy tekst na temat ułatwień w kontaktach między ludźmi i poinformowali, że jest to propozycja, którą należy dziś zgłosić. Była to kopia maszynopisu w języku rosyjskim. Zobaczyłem w prawym górnym rogu wyjaśnienie, kto sygnuje ten projekt: „Propozycja Bułgarii i Polski”.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Powiedziałem, że dziękuję za tekst projektu, ale nie mogę zgłosić tej propozycji – mam wyraźną instrukcję,

że mogę zgłaszać tylko te propozycje, które otrzymuję z Warszawy. Dodałem, że mogę wysłać projekt do Warszawy i poczekamy na odpowiedź.

Rosjanie byli wyraźnie zdziwieni i zaskoczeni. Zapytali, kiedy odpowiedź nadejdzie. Powiedziałem, że pewnie po tygodniu. Radzieccy dyplomaci podziękowali mi i wyjaśnili: „Propozycję tę zgłoszą zatem towarzysze bułgarscy”. Powiedziałem, że muszę zrobić kopię dokumentu, ponieważ o samym fakcie naszej rozmowy oraz treści propozycji muszę poinformować Warszawę. Podszedłem do kopiarki, zrobiłem siedem kopii dla wszystkich siedzących za stołem delegatów Układu Warszawskiego. Odnotowałem, że dyplomaci z Węgier i Rumunii przyjęli tę wymianę zdań z życzliwym zainteresowaniem. Rosjanie poszli do budki telefonicznej.

Wszedłem na salę obrad. Usiadłem za tabliczką z napisem „Pologne” i pomyślałem z pewnym żalem, że tak wiele osób starało się mi pomóc i odblokować zakaz wyjazdów oraz włączyć mnie do tej pracy. Tymczasem będę zapewne musiał wracać najbliższym samolotem do Warszawy. Po krótkiej chwili podszedł do mnie młody Rosjanin, zapewne asystent, i prosił, żeby na chwilę znów się spotkać w gronie państw socjalistycznych – przed drzwiami sali obrad. Dyplomaci radzieccy powiedzieli, że skontaktowali się ze swoim szefem. Był to wiceminister spraw zagranicznych Anatolij Kowalow, który prosił o przekazanie, że dziś nie będziemy niczego zgłaszać. „Poczekamy na odpowiedź towarzyszy z Warszawy”. Pomyślałem – na razie 1:0.

Czy rzeczywiście zaczęli Pana traktować inaczej po tym incydencie?

Postanowiłem pójść o krok dalej. Poprosiłem o kolejne spotkanie i zapytałem, czy oni traktują tę propozycję na serio. Czy chcą, aby była to podstawa do negocjacji, czy też ma to być papier propagandowy? Odpowiedzieli zdziwieni, że ich celem jest to, by propozycja ta stała się częścią Aktu Końcowego KBWE. Moja reakcja na to oświadczenie była bardzo szczerą: powiedziałem, że proponowany tekst nie nadaje się do zgłoszenia – jest śmieszny. Był to zapis zawierający postulat kontaktów „między instytucjami państwowymi i organizacjami społecznymi, pozarządowymi, kobiecymi, kołchozowymi i komsomolskimi”. Na Zachodzie – powiedziałem – nie ma kołchozów i organizacji komsomolskich. „Zresztą, w Polsce też nie

ma”. Rosjanie zaczęli tłumaczyć, że MID, czyli radziecki MSZ pierwotnie przygotował tekst zawodowo dobrze sformułowany. „Jednak u nas w Moskwie – wyjaśniali – każdy projekt jest przedmiotem wielu konsultacji. Każda instytucja dorzuca coś od siebie; coś dodały organizacje kobiece, kołchozowe, Komsomoł. I taki jest końcowy efekt”.

Zaproponowałem, że mogę podjąć się próby zredagowania tekstu, ale musi być to propozycja poważna – do zaakceptowania przez wszystkich 35 uczestników KBWE, bo podstawą dokumentu jest *consensus*. Dzień później znalazłem brytyjskiego dyplomatę, który w grupie NATO był odpowiedzialny za sprawę „trzeciego koszyka”. Nosił nazwisko Alexander, był zastępcą ambasadora w Moskwie. Po latach został ambasadorem w ONZ i dostał tytuł szlachecki. Umówiliśmy się na spotkanie w restauracji między Genewą a lotniskiem. Krótco przedstawiliśmy się sobie. Michael Alexander zapytał, czy mam projekt dotyczący ułatwiania kontaktów między ludźmi. Odpowiedziałem, że nie mam, ale mają Rosjanie. Pokazałem mu radziecki tekst propozycji. Roześmiał się.

Uzgodniliśmy, że zredagujemy wspólny tekst i po zatwierdzeniu w naszych grupach zgłosimy jako *non-paper*, czyli nieformalną polsko-brytyjską propozycję. Napisaaliśmy krótki projekt. Szef polskiej delegacji wysłał tekst do Warszawy i po akceptacji powiedziałem Rosjanom, że „możemy teraz przedstawić formalnie ten nieformalny projekt. Poczekamy na reakcję”. Były to pierwsze cztery wiersze Aktu Końcowego KBWE – wstępnie uzgodnione, ale w nawiasach oczekiwały do końcowych negocjacji pakietowych, czyli mogły być przyjęte ostatecznie po pomyślnych rokowaniach nad tekstem całego dokumentu. Nikt nie zgadzał się na nic – dopóki nie widział całości. Takie były początki mojej pracy dyplomatycznej.

Po blisko trzydziestu latach, kiedy byłem już od kilku lat dyrektorem SIPRI w Sztokholmie (Stockholm International Peace Research Institute), zadzwonił do mnie Sir Alexander z propozycją, abyśmy wspólnie napisali wspomnienia z genewskich negocjacji. Byłem ujęty propozycją, ale do tego stopnia zajęty bieżącymi sprawami SIPRI, że pisanie wspomnień nie wchodziło w rachubę.

Minęło kolejnych dziesięć lat. W 2009 roku zadzwonił do mnie z Londynu Richard Davy, były szef działu zagranicznego dziennika „Times”, przyjaciel Michaela. Zawiadomił mnie, że Alexander zmarł. Przed śmiercią zobowiązał Richarda, z którym był zaprzyjaźniony, aby ukończył jego

pracę. Sugerował, by w sprawach wątpliwych kontaktował się ze mną. Taki był ciąg dalszy mojej pierwszej dyplomatycznej misji.

Powiedział Pan o sobie, że bliscy stali się Panu konserwatywni reformatorzy. Ale był Pan – jako wiceszef MSZ – członkiem lewicowych rządów Leszka Millera oraz ministrem w rządzie Marka Belki. Czy czuje się Pan człowiekiem lewicy?

Te określenia – prawica, lewica – są coraz mniej adekwatne do nowej rzeczywistości. Moje zaangażowanie w MSZ wynikało nie tyle z politycznych afiliacji, co raczej profesjonalnego przygotowania. Po objęciu stanowiska marszałka Sejmu przez ministra Włodzimierza Cimoszewicza otrzymałem od prezydenta Kwaśniewskiego propozycję zastąpienia go i objęcia funkcji ministra spraw zagranicznych. Miałem opory. W rozmowie z panią redaktor Katarzyną Kolendą-Zaleską dla TVN powiedziałem, że nie mógłbym przyjąć nominacji na ministra spraw zagranicznych, ponieważ nie jestem politykiem. Konstytucyjny minister powinien mieć własne zaplecze polityczne i elektorat. Prezydent Kwaśniewski i marszałek Cimoszewicz przekonali mnie ostatecznie, że rząd Marka Belki jest mniejszościowy i złożony w większości z ekspertów, a nie z polityków. Rozwiązanie, które proponowałem – pełniącego obowiązki ministra – ma więcej wad niż zalet. W kontaktach z partnerami za granicą nie miałbym równorzędnej pozycji. Wkrótce przekonałem się, że Prezydent i Marszałek mieli rację.

Dodam na marginesie: w ciągu ostatnich dwudziestu lat były dwa rządy nietypowe: Mazowieckiego i właśnie Belki. Ten pierwszy wyrażał powszechne oczekiwanie głębokiej zmiany i odegrał rolę bez porównania większą od wszystkich następnych. Z kolei rząd Marka Belki wykazał w praktyce poczucie odpowiedzialności za państwo i podejmował trudne decyzje – bez myśli o reelekcji.

Pamiętam przedostatnie posiedzenie rządu: premier Belka zapytał ministra finansów Mirosława Gronickiego, dlaczego podaje wzrost gospodarczy na przyszły rok w wysokości 3,7 procent PKB, choć przecież wyniesie on blisko 4,5 procent. Na to Gronicki cichym głosem, jak gdyby mówił do siebie – rzucił: „Powinniśmy pozostawić pole manewru następcom. Trzeba im coś zostawić, by nie zdestabilizowali finansów publicznych”. Czy zna pan innego premiera i ministra finansów w jakimś rządzie, który myślałby takimi kategoriami?

Zatem uważa Pan, że klasyczny podział na lewicę i prawicę nie ma dziś większego sensu? Belka i Gronicki mają w sumie niewiele wspólnego z lewicą. A Michał Kleiber, będący w tym rządzie ministrem nauki, był potem blisko związany z prezydentem Kaczyńskim.

Jest to wyraźny sygnał i świadectwo nowej rzeczywistości, w której pragmatyzm i profesjonalizm polityków oraz polityki ma dziś większe znaczenie niż w przeszłości, kiedy dominowała ideologia. Rządy coraz częściej sprawują ludzie o wysokich, niekiedy bardzo wysokich kompetencjach zawodowych. Premier Mario Monti we Włoszech postrzegany jest jak zbawiciel, a przecież nie ma mandatu z wyboru. Nowy problem nie polega na braku kwalifikacji, ale na tym, że w Europie sprawują władzę często wysocy urzędnicy, a nie mężowie stanu z wizją i charyzmą. Wielu z nich brakuje cech przywódców. W przypadku wybitnych polityków cechy takie są niezbędne. Dziś w większości państw i w międzynarodowych instytucjach unijnych w Brukseli działają politycy, którzy rozwiązują problemy bieżące w sposób pragmatyczny. Przykład – gdyby europejscy premierzy po pierwszych oznakach kryzysu w Irlandii czy potem w Grecji zastosowali radykalne środki, do których uciekli się później, nie byłoby tego niepokoju na rynkach i strachu o strefę euro, który mieliśmy choćby latem 2011 roku.

Premierzy tej rangi co Belka w Polsce i Monti we Włoszech, którzy nie myślą o reelekcji i podejmują bolesne, ale konieczne reformy, mają szanse na trwale zapisać się w historii swoich państw – jak to stało się w okresie międzywojennym ze Stanisławem Grabskim, który uzdrowił polski pieniądz; z Eugeniuszem Kwiatkowskim, który budował Centralny Okręg Przemysłowy (COP), Gdynię i modernizował Polskę; czy prezydent Warszawy Stefan Starzyński, który nie miał mandatu z wyboru, ale uczynił dla stolicy więcej niż jego poprzednicy...

Politycy, którzy chcą zostać ponownie wybrani, podejmują na ogół decyzje doraźne – pod naciskiem nastrojów społecznych niechętnych wyrzeczeniom, a nie mają śmiałości, by podjąć decyzje konieczne, ale mało popularne. W czasach trudnych na tym polega odwaga polityczna. Taką odwagą odznaczały się rządy Tadeusza Mazowieckiego, który zapłacił wysoką cenę – przegraną w wyborach, ale zapewnił sobie trwałe miejsce w najnowszej historii Polski i wdzięczność nadchodzących pokoleń.



Rozmowa premiera Marka Belki i Adama D. Rotfelda z dziennikarzami po posiedzeniu Rady Unii Europejskiej w Brukseli, kwiecień 2005 r.

Belka tuż przed wyborami w 2001 roku powiedział, że Polaków czekają nieuchronne cięcia i reformy.

W efekcie SLD straciło kilka punktów procentowych i szansę na samodzielne rządy. Było to jednak wystąpienie uczciwe i odpowiedzialne. Marek Belka został wówczas w rządzie Leszka Millera ministrem finansów. Ówczesny rząd popełnił wtedy kilka błędów świadczących o braku lewicowej wrażliwości społecznej. Niepotrzebna była likwidacja dopłat do barów mlecznych czy też do biletów dla studentów. Oszczędności były minimalne, a społeczny odbiór – fatalny. Jakkolwiek intencje były słuszne i merytorycznie zrozumiałe. Jednak w polityce logika nie zawsze jest dobrym argumentem. Błędne były też nadmierne obawy, które paraliżowały decyzje o zakupie nowych samolotów rządowych dla przewozu najważniejszych osób w państwie.

Byłem wtedy wiceministrem spraw zagranicznych, zastępcą Włodzimierza Cimoszewicza. Jak pan pamięta, kupiliśmy wówczas od USA myśliwce F-16. Zapadła decyzja, by kupić samoloty dla VIP-ów od Francuzów. Uzytkaliśmy zresztą od nich korzystną ofertę i niską cenę. Zadzwonił do mnie ówczesny szef Urzędu Rady Ministrów Marek Wagner z prośbą, bym poinformował ambasadora Francji, że transakcja nie będzie mogła być sfinalizowana. Na moje pytanie: „Dlaczego?” usłyszałem: „Dokonyjemy cięć w budżecie. Nikt w Polsce decyzji o zakupie samolotów dla VIP-ów nie rozumie”. Próbowałem bronić celowości takiego zakupu i przekonać, że jest to konieczne i celowe.

Minister Wagner zapewne zgadzał się ze mną w duchu. Powiedział, że nie jest to jego decyzja. Ma polecenie, by mi to przekazać. Odpowiedziałem: „Ta decyzja z pewnością zostanie zmieniona, ale niestety dopiero wtedy, gdy jakiś samolot spadnie i zginie ważna postać życia politycznego”. Wkrótce pan premier Miller miał wypadek. Doszło do katastrofy śmigłowca, ale decyzji nie zmienił. Następni premierzy też nie. Moje przewidywania nie były trafne...

Powiadają, że Polak mądry po szkodziu. W tym wypadku nawet katastrofa i tragedia smoleńska nie przyniosły trwałego i systemowego rozwiązania. Dominuje u nas przekonanie, że państwo ma być tanie. Przede wszystkim ma być sprawne. Oznacza to również konieczność zapewnienia swoim najwyższym przedstawicielom bezpiecznego transportu.

Czyli jest Pan zwolennikiem rządów fachowców, którzy nie ulegaliby presji opinii publicznej.

Obywatele zasługują na to, żeby państwem kierowały osoby, które mają wizję, strategię i zdolności wcielania w życie ambitnych koncepcji. Mężowie stanu nie myślą głównie o zwycięstwie w następnych wyborach. Mieliśmy kilku polityków na miarę czasów i oczekiwań: Tadeusz Mazowiecki i Leszek Balcerowicz, Aleksander Kwaśniewski i Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Belka i Jerzy Hausner, Mirosław Gronicki i Michał Kleiber. Lista jest znacznie dłuższa. Wymieniam tych, z którymi zetknąłem się w działaniu. Mieli odwagę formułować dalekosiężne programy i nadal – choć nie pełnią funkcji rządowych – służą państwu na różne sposoby. Wielu z nich mogłoby odegrać rolę na miarę europejską. Niestety, nie potrafimy wykorzystać tego, co nazywa się ludzkim kapitałem. Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie. Są to osoby, które mają autorytet i nie są na politykę skazani. Wielu z nich mogłoby pełnić najwyższe funkcje w Brukseli, Strasburgu, Nowym Jorku, Hadze – z większym pożytkiem dla Unii, Rady Europy i ONZ niż kandydaci z innych państw, którym powierzono tam stanowiska kierownicze.

Odpowiadam na Pańskie pytania – eksperci mogą rządzić pod warunkiem, że będą mieli mandat od partii politycznych. Powinny to być osoby, które mają kredyt zaufania sił politycznych do rozwiązywania ponadpartyjnych kluczowych problemów. Ministrowie nie powinni zabiegać o popularność. Powinni mieć poczucie strategicznej wagi spraw, o których decydują. Nie zajmować się sprawami błahymi lub takimi, które wymagają kompetencji z dziedziny technologii czy medycyny – od tego są eksperci. Pamiętam, jak przed wyjściem z gmachu MSZ jeden z dziennikarzy zapytał mnie, czy w polskich placówkach powinny być platery z naszym godłem. Odesłałem go do protokołu lub osób nakrywających do stołu. To naprawdę nie jest problem, którym powinien się zajmować minister.

Ucieka Pan jednak od pytania, czy czuje się Pan człowiekiem lewicy?

Przecież odpowiedziałem. Wrażliwości społecznej nie może monopolizować jedna siła polityczna. Żaden rząd w Polsce nie powinien zapominać o tym, w jakim kraju żyje. Powinien pamiętać o ogromnych obszarach biedy, o ludziach wykluczonych, o młodzieży bez perspektyw.

Największym skarbem Polski jest pokolenie ludzi młodych, wykształconych i bez kompleksów. Zadaniem każdego rządu jest zapewnić wysokiej jakości dobre wykształcenie tym, którzy chcą się uczyć. Odpowiedzialny polityk powinien mieć zdolność określania priorytetów i hierarchii spraw. Gdybym miał podejmować decyzje o państwie, ustawiłbym cztery drogowskazy: edukacja, demografia, infrastruktura i informatyzacja. Tak widzę priorytety w rozwiązywaniu problemów nowoczesnego, ale starzejącego się społeczeństwa.

Premier Donald Tusk miał odwagę sformułować program reformy emerytalnej. Czas najwyższy, aby uznać, że w sprawach ogólnonarodowych nie może brać górę partyjne zacietrzewienie. Reformy służby zdrowia i emerytur napotykają opory społeczne w całej Europie, ale są lepiej lub gorzej wprowadzane w życie. W kilku sprawach polska klasa polityczna zademonstrowała poczucie odpowiedzialności. Mam na myśli finanse publiczne i jedność w sprawie przystąpienia do Unii i NATO. Ta społeczna konsolidacja przyniosła owoce.

Czy są jakieś postaci w polskiej polityce, które uważa Pan za niewykorzystane?

Tak. To przede wszystkim Leszek Balcerowicz i Włodzimierz Cimoszewicz. Ten pierwszy jest wybitnym ekonomistą, ale też pragmatykiem, doświadczonym politykiem z wielkim autorytetem, choć czasem bywa może zbyt oschły i lapidarny, jakby nie doceniał społecznej wrażliwości. Włodzimierz Cimoszewicz pojmuje politykę jako służbę i misję, a nie tylko jako techniczne administrowanie i sprawowanie władzy. Ma koncepcyjne i systemowe podejście do rozwiązywania państwowych problemów.

Dodałbym jeszcze kilka nazwisk, o których już mówiłem: Jerzy Hausner, który – tak samo jak Michał Boni – myśli kategoriami całościowymi. W planie dla polskiej kultury pokazał, że może ona być potężną dźwignią wzrostu także w kategoriach gospodarczych. Wielkim politycznym talentem – na skalę ogólnoeuropejską, a może i światową – jest Aleksander Kwaśniewski. Mógłby odgrywać ważną rolę w polityce europejskiej i globalnej. Żaden z tych panów nie jest dziś wykorzystywany w odpowiedni sposób. A szkoda!

Pierwodruk: *Czy marksizm już umarł? Rozmowa o Leszku Kołakowskim z Marcinem Wojciechowskim*. W zbiorze pt. *Adam Daniel Rotfeld. W cieniu. 12 rozmów z Marcinem Wojciechowskim*, Wyd. Agora i PISM, Warszawa 2012, s. 98-127.

Część II

Strategia oblegzonej twierdzy



Rozmowa premierów Donalda Tuska i Władimira Putina ze współprzewodniczącymi Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych Adamem D. Rotfeldem i Anatolijem W. Torkunowem (siedzą naprzeciwko premierów), Smoleńsk, kwiecień 2010 r.

Rosja: strategia oblężonej twierdzy

WPROWADZENIE

Rosja zagrożona i poniżona; Rosja okrażona i otoczona przez „odwiecznych” wrogów stoi wobec konieczności odbudowy swojej potęgi militarnej i podniesienia jej z kolan. Tak można lapidarnie ująć główne motywy i założenia „strategicznej koncepcji”, której celem jest przywrócenie Rosji roli i rangi globalnego mocarstwa. Takiej myśli przewodniej podporządkowane zostały prorządowe media – zwłaszcza programy telewizji, radia i głównych organów prasowych finansowanych przez państwo. Skoro państwo rosyjskie jest w stanie permanentnego zagrożenia przez wrogie spiski, których głównym inspiratorem, organizatorem i siłą przywódczą są Stany Zjednoczone i podporządkowane im euroatlantyckie instytucje, zwłaszcza NATO i Unia Europejska, to media publiczne z natury rzeczy mają pełnić, i pełnią, rolę instrumentów w wojnie informacyjnej, a nie wykonywać zadania właściwe dla środków masowego przekazu w państwach demokratycznych. Media, podobnie jak kultura i edukacja w kraju, który znajduje się we wrogim otoczeniu i musi przeciwstawiać się ciągłej „jawnej i ukrytej agresji”, z natury rzeczy są zobowiązane nie tyle do bezstronnej informacji i krytycznej oceny funkcjonowania państwa, co do stałej konsolidacji narodu wokół swego przywódcy¹.

¹ A. Kolesnikov, *Putin's Theater: Signs and Putin's theater – Signs and Slogans for the Russian Elite*, Carnegie Moscow Center. Commentary. Carnegie.ru, 8.12.2015. Por. też: M. Mendras, *Russian Politics: The Paradox of a Weak State*, Columbia University Press, New York 2012, s. 203-281.

Celem przedstawionego eseju jest próba systematycznego przeglądu i oceny strategicznego wyboru, jakiego dokonała Rosja². W tym kontekście można zrozumieć rolę i zadania, które są realizowane przez rosyjskie środki masowego przekazu.

NOWE WYZWANIA

Kryzys polityczny na Ukrainie zapoczątkowany zmianą stanowiska prezydenta Wiktora Janukowycza w sprawie podpisania Umowy Stowarzyszeniowej z Unią Europejską, a następnie aneksją Krymu przez Rosję (na przełomie lutego i marca 2014 roku) oraz destabilizacją i próbami fragmentaryzacji Ukrainy, której wyrazem były „deklaracje niepodległości” Republiki Ługańskiej i Donieckiej oraz próby oderwania od Ukrainy tzw. Noworosji, stworzyły nowe wyzwania, ryzyka i zagrożenia. Stąd potrzeba przemyślenia na nowo podstaw ukształtowanego po zimnej wojnie euroatlantyckiego systemu bezpieczeństwa.

Świat stanął wobec sytuacji, którą prawnicy określają jako fundamentalna zmiana okoliczności. Zostały zakwestionowane polityczno-prawne podstawy systemu ukształtowanego po upadku totalitarnych reżimów w Europie Środkowo-Wschodniej, po rozwiązaniu Układu Warszawskiego, wreszcie – po rozpadzie Związku Radzieckiego. Na płaszczyźnie prawa międzynarodowego sukcesorami ZSRR są zarówno Federacja Rosyjska, jak i – w stosownych proporcjach – pozostałe były republiki związkowe. Z rosyjskiej perspektywy Ukraina ma najważniejszą i największą rolę do odegrania w odbudowie imperialnej pozycji Rosji.

Jesienią 2004 roku prezydent Aleksander Kwaśniewski przyczynił się w istotnej mierze do unieważnienia sfałszowanych wyborów i otwarciu drogi do demokratycznej transformacji Ukrainy. Zapowiedzią były bezprecedensowe demonstracje na Majdanie w Kijowie. Przeszły one do historii pod nazwą pomarańczowej rewolucji. Skutkiem tego procesu było unieważnienie przez Sąd Najwyższy Ukrainy sfałszowanych wyborów i odzyskanie

² Przedstawione rozważania oparłem na moim eseju opublikowanym w Księdze Jubileuszowej dedykowanej Aleksandrowi Kwaśniewskiemu w 60. rocznicę Jego urodzin: D. Waniek i K. Janik (red.) *Droga ku zmianom. Księga jubileuszowa w sześćdziesiątą rocznicę urodzin Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego*, t. 1, Vi-Press Joanna Świerczyńska, Warszawa–Kraków 2014.

przez Ukraińców prawa do ponownego głosowania. Inicjatywa i polityczna odwaga prezydenta Polski sprawiły, że najpierw został zwołany w Kijowie „okrągły stół” z udziałem ówczesnego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy i obu rywalizujących kandydatów do tego urzędu – Wiktora Janukowycza i Wiktora Juszczenki – oraz Wysokiego Komisarza Unii Europejskiej Javiera Solany, Sekretarza Generalnego OBWE Jána Kubiša, przedstawiciela Rady Europy, jak również prezydentów Polski i Litwy. Rosję reprezentowali przewodniczący Dumy Państwowej Borys Gryzłow i ambasador Federacji Rosyjskiej w Kijowie – Wiktor Czernomyrdin. Uzgodnienia osiągnięte w czasie tego spotkania otwierały drogę do reform i demokratyzacji państwa. Niestety Wiktor Juszczenko, jako nowy prezydent, i Julia Tymoszenko, jako szefowa rządu, zmarnowali szansę, którą otwierała dla Ukrainy pomarańczowa rewolucja. Jednak aktywność i sukces Aleksandra Kwaśniewskiego zapisały się na trwałe w historii poszukiwania drogi do pełnej suwerenności Ukrainy³.

POLITYKA VS. PRAWO

Rosja w wielu dokumentach potwierdziła swoje uniwersalne zobowiązania natury prawnej do respektowania zasad suwerennej równości państw i nienaruszalności ich granic oraz integralności terytorialnej. W relacjach z suwerenną i niepodległą Ukrainą te normy powszechnego prawa międzynarodowego zawarte w Karcie Narodów Zjednoczonych⁴ i wielu innych traktatach, konwencjach i aktach politycznych zostały zignorowane – mimo że Ukraina uzyskała dodatkowe ich potwierdzenie na płaszczyźnie politycznej i prawnej⁵. Wyrazem tego były uzgodnienia dwustronne i wielostronne.

³ Działania prezydenta Kwaśniewskiego w Kijowie wspierała wysłana w trybie pilnym na Ukrainę grupa robocza, złożona z przedstawicieli Kancelarii Prezydenta RP, Kancelarii Premiera i negocjatorów z MSZ. W jej skład wchodził ambasadorowie: Stanisław Ciosek, Jacek Kluczkowski, Henryk Szlajfer i Wojciech Zajączkowski. Wspólnie z min. Włodzimierzem Cimoszewiczem podjęliśmy w MSZ wysiłek zmierzający do rozwiązania kryzysu na Ukrainie – bez przelewu krwi. W latach 2004-2005 to się powiodło.

⁴ Stosowne normy zawarte są w art. 2, pkt 1, 2, 3, 4 i 5 Karty Narodów Zjednoczonych.

⁵ Dla europejskiego systemu bezpieczeństwa fundamentalne znaczenie mają w tym względzie zobowiązania zawarte w Akcie Końcowym KBWE podpisanym w Helsinkach 1 sierpnia 1975 r. Szerzej na ten temat: A. D. Rotfeld, *Europejski system bezpieczeństwa in statu nascendi*, Warszawa 1990. Dla Ukrainy szczególne znaczenie miały dwa dokumenty podpisane dodatkowo w Moskwie (15 stycznia 1994 r.) i w Budapeszcie (5 grudnia 1994 r.).

Szczególne znaczenie miały zobowiązania podpisane pod auspicjami Szczytu KBWE w Budapeszcie (5 grudnia 1994 roku) oraz zawarte wcześniej w trójstronnym porozumieniu uzgodnionym w Moskwie (15 stycznia 1994 roku) między Stanami Zjednoczonymi, Federacją Rosyjską i Ukrainą. Memorandum Budapeszteńskie o Gwarancjach Bezpieczeństwa było wynegocjowane między Ukrainą a Stanami Zjednoczonymi, Rosją i Wielką Brytanią – w kontekście decyzji ukraińskiego rządu o dobrowolnej i jednostronnej rezygnacji z rozmieszczonej na jej terytorium broni jądrowej i przystąpieniu Ukrainy do Traktatu o Nierozprzestrzenianiu Broni Nuklearnej (NPT). Ten dokument z wielu względów zasługuje na specjalną uwagę.

Postanowienia tego memorandum warte są przypomnienia już choćby dlatego, że trzy mocarstwa jądrowe (Stany Zjednoczone, Rosja i Wielka Brytania) potwierdziły w tym dokumencie swoje zobowiązania, zgodnie z którymi „będą respektować niepodległość i suwerenność oraz istniejące granice Ukrainy”; wyrzekają się „użycia siły i groźby jej użycia przeciwko integralności terytorialnej i politycznej niezależności Ukrainy”; mocarstwa jądrowe odnotowały też, że „ich broń nigdy nie będzie użyta przeciwko Ukrainie” i że nie będą „uciekać się do nacisków ekonomicznych skierowanych na podporządkowanie Ukrainy swoim własnym interesom”⁶. W Memorandum Budapeszteńskim trzy globalne mocarstwa zapewniały, że będą sprzyjać realizacji praw Ukrainy, wynikających z jej suwerenności.

Po wydarzeniach z wiosny 2014 roku można postawić zasadne pytanie: w jakiej mierze polityka Rosji wobec Ukrainy – aneksja Krymu, destabilizacja państwa i otwarta ingerencja oraz interwencja w jej sprawy wewnętrzne – mają się do zobowiązań i zapewnień oraz gwarancji udzielonych Ukrainie przed dwudziestu laty.

W tej sprawie premier Rosji, Dmitrij Miedwiediew, uciekł się do argumentacji, jakoby, po pierwsze, Rosja nie dokonała aneksji Krymu, ale jedynie przychylnie odniosła się do prośby ludności tego półwyspu, która w ramach realizacji swego prawa do samostanowienia podjęła w wyniku referendum decyzję o odłączeniu się od Ukrainy i przyłączeniu do Federacji Rosyjskiej; po drugie, Rosja nie naruszyła zobowiązań przyjętych w Memorandum Bu-

⁶ Memorandum on Security Assurances in connection with Ukraine's accession to the Treaty on the Non-Proliferation of Nuclear Weapons. UN General Assembly document A/49/765 oraz UN Security Council document S/1994/1399, 19 Dec. 1994.

dapeszteńskim, ponieważ – według Miedwiediewa – „żadne państwo świata nie może gwarantować integralności terytorialnej innemu państwu (bo- wiem – dop. A. D. R.) byłby to prawniczy absurd”⁷. Premier Rosji zapomniał najwyraźniej dodać, że co prawda państwa mają prawo do zmiany swoich granic, ale z poszanowaniem trzech warunków: „zgodnie z prawem międzynarodowym, środkami pokojowymi oraz w drodze porozumienia”⁸.

W przypadku Krymu zostały naruszone wszystkie trzy kryteria. W świetle tego, co się wydarzyło, na porządku dziennym staje zatem pilna potrzeba redefinicji strategicznych założeń, jakie przyjął Zachód w swoich relacjach z Rosją po zakończeniu zimnej wojny. Oznacza to konieczność wzmocnienia tych funkcji Sojuszu Północnoatlantyckiego, które dotyczyły zapewnienia państwom członkowskim bezpieczeństwa ich terytoriów.

Paradoksalnie: Rosja swoim postępowaniem osiągnęła skutek odwrotny od zamierzonego – zmusiła Sojusz NATO, by powrócił do swoich pierwotnych i właściwych zadań, wynikających z Traktatu Waszyngtońskiego (1949), a nie koncentrował się na celach określanych w pierwszej dekadzie XXI wieku jako „zarządzanie kryzysami” na obszarach leżących poza terytoriami państw NATO (*out-of-area crisis management*). Rolą Sojuszu jest organizacja skutecznej zbiorowej samoobrony.

Wydarzenia na Ukrainie i wokół Ukrainy przywróciły właściwą miarę rzeczy. Skłoniły też transatlantyckie instytucje bezpieczeństwa do poważnego przeglądu dróg i sposobów realizacji swoich mandatów w radykalnie zmienionych okolicznościach określających nowe środowisko bezpieczeństwa. W podejściu Zachodu wobec postępowania Rosji można byłoby z pewną ironią odwołać się do znanej leninowskiej formuły „ufaj, ale sprawdzaj” (*dowieraj, no prowieraj*). Innymi słowy, stanowisko Zachodu wobec Rosji powinno opierać się na kwalifikowanym zaufaniu – *trust and verify*.

Istotą nowej strategii Zachodu wobec Rosji powinno być zatem podejście dwutorowe: z jednej strony zabezpieczenie (*hedging*) i sprawdzanie (*checking*), a z drugiej – angażowanie Rosji i jej powrót do współpracy w sferze bezpieczeństwa (*re-engagement*), czyli potwierdzenie znaczenia

⁷ Por. wywiad Dmitrija Miedwiediewa dla kanału TV „Rossija”, 24.05.2014 r., <http://government.ru/news/12590> oraz Dmitry Medvedev’s interview with Bloomberg TV, 20.05.2014 r., <http://government.ru/en/news/12509>.

⁸ Akt Końcowy KBWE [w:] A. D. Rotfeld, dz. cyt., Zasada I, s. 204-205.

wszystkich wspólnych „pozimnowojennych” zobowiązań i wypracowanie tam, gdzie trzeba – nowych uzgodnień.

Zadania Sojuszu w relacjach z Rosją opierały się – po rozpadzie ZSRR – na założeniu, że Federacja Rosyjska odrzuciła system totalitarny i weszła na drogę przemian, które wcześniej czy później powinny prowadzić do trwałej transformacji – do przekształcenia Rosji w demokratyczne państwo prawa. Reformy zapoczątkowane w czasie prezydentury Borysa Jelcyna (1991-2000) utwierdzały zachodnich polityków i obserwatorów w przekonaniu, że Rosja przestała być adwersarzem i może być traktowana jako partner w kształtowaniu systemu bezpieczeństwa opartego na współpracy⁹.

Założenia te – początkowo słuszne i adekwatne do polityki zagranicznej i bezpieczeństwa prowadzonej przez ekipę Borysa Jelcyna – z czasem utraciły pierwotne uzasadnienie.

Zmiany, zachodzące w polityce wewnętrznej i zagranicznej Rosji, miały wielorakie przyczyny – natury socjalnej i gospodarczej, ale również kulturowej i psychologicznej. W nowej ekipie politycznej skupionej wokół prezydenta Putina narastało przekonanie, że Rosja nie jest traktowana przez zachodnie kraje jako równorzędny partner w sprawach bezpieczeństwa, a jej rola w świecie jest intencjonalnie marginalizowana i pomniejszana. Władimir Putin po dojściu do władzy proklamował kurs na „podnoszenie Rosji z kolan”.

Ten motyw – „podnoszenia Rosji z kolan” – od wielu lat powraca w wystąpieniach prezydenta Rosji. Świadczy to o tym, że Putin jako przywódca odreagowuje w podejmowanych decyzjach poczucie urażonej dumy reprezentanta wielkiego narodu, który jest traktowany w sposób poniżający Rosjan. W często przywoływanym posłaniu skierowanym do Zgromadzenia Federalnego Federacji Rosyjskiej (Moskwa, 25 kwietnia 2005 roku) prezydent Putin oświadczył: „Krach Związku Radzieckiego był największą katastrofą stulecia. Dla narodu rosyjskiego był to prawdziwy dramat”¹⁰.

Znamienne, że w oczach Putina katastrofą nie były pierwsza i druga wojny światowe, w których łącznie zginęło ponad 30 milionów Rosjan, ani rewolucja bolszewicka i rządy stalinowskiego reżimu, które sprawiły, że zamordowano i zgłodzono miliony obywateli, a miliony trafiły do Archi-

⁹ V. Baranovsky (ed.), *Russia and Europe. The Emerging Security Agenda*, Oxford University 1997, *passim*.

¹⁰ <http://archive.kremlin.ru/text/appears/2005/04/87049.shtml>.

pelagu Gułag, ani nawet to, że Rosja rządzona terrorem i strachem znalazła się na takiej drodze rozwoju, która prowadziła donikąd i dopiero po ponad siedemdziesięciu latach mogła powrócić na tory normalnego rozwoju – wszystko to w myśleniu prezydenta Rosji było niczym w porównaniu z tragedią, jaką był rozpad ZSRR. Wystąpienie Putina z kwietnia 2005 roku zapowiadało fundamentalną zmianę w strategii obranej wobec Zachodu oraz w kształtowaniu polityki wewnętrznej rosyjskiego państwa.

Swoistym podsumowaniem ostatniej dekady w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa Rosji oraz zapowiedzią nowej polityki było przemówienie wygłoszone po aneksji Krymu (Kreml, 18 marca 2014 roku), w którym Putin oświadczył, że „po rewolucji bolszewicy, którzy kierowali się różnymi motywami – niech Bóg będzie im sędzią – włączyli w skład Ukraińskiej Republiki Związkowej znaczne terytoria historycznego Południa Rosji (...)”. A po rozpadzie ZSRR – kontynuował prezydent Rosji – „miliony Rosjan poszły spać w jednym państwie, a obudziły się za granicą, przy tym okazali się równocześnie mniejszościami narodowymi w byłych związkowych republikach, a naród rosyjski stał się jednym z największych – by nie powiedzieć – największym podzielonym narodem na świecie”¹¹.

W tej obrazowej formie prezydent Rosji zapowiadał nowy etap przywracania Rosji tego, z czego – jak mówił – „Rosja została ograbiona”. To wystąpienie określiło nowe podejście do całego systemu bezpieczeństwa, do roli Rosji i jej stosunku do prawa i do instytucji międzynarodowego bezpieczeństwa. Jednak zmiana tego nastawienia zaczęła się wcześniej...

EWOLUCJA STANOWISKA ROSJI

Od początku procesu helsińskiego Związek Radziecki, a następnie Rosja przywiązywały dużą wagę do uzgodnień przyjętych w czasie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (później OBWE). Jeszcze przed szczytem OBWE w Budapeszcie (5-6 grudnia 1994 roku), a szczególnie podczas debaty nad rosyjską koncepcją Modelu bezpieczeństwa dla Europy, Rosja przedstawiła ambitny projekt nowej architektury bezpieczeństwa w Europie. W tej konstrukcji OBWE miała odgrywać rolę

¹¹ Oficjalna strona Prezydenta Rosji, <http://news.kremlin.ru/transcripts/20603>.

¹² Szerzej: A. D. Rotfeld, *Europe: The Multilateral Security Process*, „SIPRI Yearbook 1995”, s. 286, 301; tegoż, *Europe: Towards New Security Arrangements*, „SIPRI Yearbook 1996”, s. 296-308.

nadrzędną – koordynatora pozostałych regionalnych organizacji bezpieczeństwa¹².

W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku głównym celem dyplomacji rosyjskiej było zapobieżenie rozszerzeniu NATO na Wschód, a przynajmniej jego opóźnienie. Z tego powodu OBWE miała w tych latach istotne znaczenie w rosyjskiej polityce: według Rosji głównym celem OBWE miało być podważanie *raison d'être* dalszego istnienia NATO. Rosyjscy politycy argumentowali, że Sojusz Północnoatlantycki – podobnie jak Układ Warszawski – powinien zostać rozwiązany. Jak wiadomo, polityka oparta na tej koncepcji nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

W efekcie rosyjskie zainteresowanie działalnością OBWE radykalnie zmalało. Swoją najniższy punkt osiągnęło podczas Rady Ministerialnej OBWE w Wiedniu (listopad 2000 roku), kiedy to w rezultacie rosyjskiego sprzeciwu po raz pierwszy Rada OBWE nie była w stanie uzgodnić żadnego dokumentu końcowego¹³.

Zmiana podejścia Rosji do Zachodu była sygnałem głębszego procesu przemian w rosyjskiej polityce bezpieczeństwa. Była ona wynikiem odejścia od władzy Borysa Jelcyna i przejścia całkowitej kontroli nad państwem przez Władimira Putina. Określił on nowe priorytety rosyjskiej polityki bezpieczeństwa oraz nowe instrumenty jej wdrażania. W rosyjskiej percepcji OBWE straciła na znaczeniu, a w podstawowych dokumentach rosyjskiej polityki zagranicznej poświęcano jej coraz mniej miejsca¹⁴.

¹³ Por. Oświadczenie Benity Ferrero-Waldner, pełniącej funkcję przewodniczącej OBWE, wygłoszone na zakończenie sesji plenarnej VIII Spotkania Rady Ministerialnej OBWE, Wiedeń, 28 listopada 2000 r., MC/Del/149/00, 29 listopada 2000 r. i oświadczenie prasowe z 30 listopada 2000 r. Szerzej por. A. D. Rotfeld, *Europe: an Emerging Power*, „SIPRI Yearbook 2001”, s. 202-207.

¹⁴ Krytyczną opinię na temat OBWE usłyszałem bezpośrednio od Władimira Putina w końcu stycznia 2005 r. – po zakończonych uroczystościach 60. rocznicy wyzwolenia hitlerowskiego obozu śmierci Auschwitz. Wtedy to, w podkrakowskich Balicach – w pobliżu lotniska – prezydent Aleksander Kwaśniewski zaaranżował dwustronne rozmowy z prezydentem Rosji. W czasie tych rozmów wyraziłem opinię, że stosunek Rosji do OBWE zmienia się na gorsze, a organizacja ta jest świadomie marginalizowana. Prezydent Putin w pełni potwierdził tę opinię. Zmianę stosunku do OBWE uzasadnił tym, że jest to struktura bezpieczeństwa, której nadano charakter antyrosyjskiego instrumentu. „Organizacja ta zajmuje się głównie – jeśli nie wyłącznie – konfliktami na obszarze byłego ZSRR, nadzoruje przebieg wyborów głównie na postradzieckim obszarze, jak gdyby w państwach zachodnich nie było żadnych sytuacji konfliktowych i naruszeń procedury” – mówił Putin. Ze swej strony zauwa-

W tym kontekście warto przypomnieć pewien zapomniany incydent, który miał miejsce w Sztokholmie na początku lat dziewięćdziesiątych; 14 grudnia 1992 roku, podczas spotkania ministerialnego KBWE, Andriej Kozyriew, ówczesny rosyjski minister spraw zagranicznych, na rozpoczęcie obrad zaskoczył wszystkich obecnych ministrów państw europejskich, Ameryki Północnej i Azji Środkowej następującym oświadczeniem:

Muszę wprowadzić pewne poprawki do koncepcji rosyjskiej polityki zagranicznej i chciałbym krótko przedstawić te elementy, które dotyczą KBWE.

Po pierwsze: w pełni uznając naszą politykę obecności w Europie, musimy jasno powiedzieć, że nasze tradycje – pod wieloma względami, jeśli nie całkowicie – związane są z Azją i to wyznacza granice naszego zbliżenia z Europą Zachodnią. Obserwujemy, oprócz pewnej ewolucji, niezmiennie dążenie NATO i Wspólnot Europejskich do umocnienia swej militarnej obecności w państwach bałtyckich i na innych obszarach byłego Związku Radzieckiego oraz ingerowanie w Bośni i mieszanie się w wewnętrzne sprawy Jugosławii. Sankcje, nałożone na byłą Jugosławię, były w sposób oczywisty podyktowane taką właśnie polityką. Żądamy, aby zostały one zniesione, w przeciwnym razie rezerwujemy sobie prawo do podjęcia niezbędnych, jednostronnych kroków w obronie naszych interesów, zwłaszcza że sankcje te mają negatywny wpływ na naszą gospodarkę. W swej walce obecny rząd Serbii może liczyć na wsparcie Wielkiej Rosji.

Po drugie: były Związek Radziecki nie może być postrzegany jako obszar, na którym w pełni stosuje się wszystkie normy KBWE. Chodzi o to, że jest to obszar postimperialny, gdzie Rosja musi bronić swych interesów,

żyłem, że struktura OBWE powstała z rosyjskiej inicjatywy jako kolejny etap procesu zapoczątkowanego w Helsinkach. Natomiast to, że zajmuje się problemami na obszarze byłego ZSRR, wynika po prostu z faktu, że w nowych poradzieckich państwach nie ma ukształtowanych i respektowanych procedur postępowania. OBWE spełnia zatem rolę pomocniczą i prewencyjną – nie przeciw Rosji, ale często w jej interesie. Tak było na przykład z działalnością misji, które były pomocne w rozwiązywaniu sytuacji konfliktowych związanych z obecnością rosyjskiej mniejszości w państwach bałtyckich oraz rosyjskiej armii w Naddniestrzu, której dowódca gen. Aleksander Lebiedź konstruktywnie współpracował z powierzoną mi przez przewodniczącego OBWE misją politycznego rozwiązania sytuacji powstałej na lewym brzegu Dniestru.

używając wszelkich dostępnych środków, również wojskowych i ekonomicznych. Będziemy stanowczo nalegać na to, aby były republiki Związku Radzieckiego możliwie szybko przyłączyły się do nowej federacji czy konfederacji i będziemy przy tym twardo obstawać.

Po trzecie: wszyscy ci, którzy myślą, że mogą ignorować specyfikę i interesy Rosji, i sądzą, że Rosja podzieli los Związku Radzieckiego, nie powinni zapominać, iż mają do czynienia z państwem, które jest w stanie bronić siebie i swoich przyjaciół. Jesteśmy oczywiście gotowi odgrywać konstruktywną rolę w pracach Rady KBWE, chociaż musimy zachować ostrożność wobec idei, które prowadzą do sankcjonowania zasady ingerencji w sprawy wewnętrzne¹⁵.

W istocie to, co sam Andriej Kozyriew określił za chwilę jako „figurę retoryczną”, która miała tylko ilustrować, na jakie opory napotyka Jelcyn w realizacji swej polityki, okazało się po latach rzetelnym i uczciwym ostrzeżeniem, czego Europa może się spodziewać, jeśli przeciwnicy polityki Borysa Jelcyna obejmą władzę w Rosji.

W okresie ponad dwudziestu lat dokonały się w polityce Rosji ogromne zmiany: od początkowego odmawiania państwom Europy Środkowej i Wschodniej prawa do swobodnego wyboru organizacji ich polityki bezpieczeństwa (włączając w to ich prawo do przystępowania lub nieprzystępowania do NATO), aż do wspólnej deklaracji uzgodnionej między NATO a Rosją o jakościowo nowych wzajemnych stosunkach. Stosowny dokument został przyjęty podczas szczytu NATO w Pratica di Mare koło Rzymu

¹⁵ Deklaracja ta spowodowała pewne zamieszanie i po przerwie Andriej Kozyriew wyjaśnił, że jego oświadczenie powinno być traktowane jako „figura retoryczna”. Kozyriew zadeklarował: „chciałbym uspokoić wszystkich tutaj obecnych, że ani prezydent Jelcyn, który pozostaje przywódcą i gwarantem rosyjskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej, ani ja, jako minister spraw zagranicznych, nie zgodzilibyśmy się nigdy z tym, co przedstawiłem w moim poprzednim wystąpieniu. (...) wynikało ono z głębokiej troski, abyście byli świadomi podstawowych zagrożeń, z jakimi jesteśmy konfrontowani na naszej drodze do postkomunistycznej Europy. Tekst, który wcześniej przeczytałem, jest dość dokładną kompilacją żądań opozycji w Rosji, i to nawet nie tej najbardziej radykalnej”. Oba oświadczenia były później opublikowane przez BASIC Report 1992, nr 27. Przy następnych wielu okazjach (Stambuł 1999, Wiedeń 2000) stanowisko rosyjskie – zarówno w sposobie prezentacji argumentów, jak i w sposobie ich wyrażania – było zbliżone do tego, przed czym przestrzegał Kozyriew w Sztokholmie.



W przerwie obrad przygotowawczych do „okrągłego stołu” zwołanych w Kijowie z inicjatywy prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego; od lewej: Wiktor Juszczenko, Adam D. Rotfeld i Wiktor Janukowycz, Kijów, listopad 2004 r.

(maj 2002 roku). Kolejnym etapem było to, że Rosja podczas szczytu NATO w Pradze (listopad 2002 roku) pogodziła się z zaproszeniem do Sojuszu trzech byłych republik bałtyckich – Estonii, Litwy i Łotwy, a z czasem przyjęcia następnej grupy nowych członków – Bułgarii, Rumunii, Słowenii i Słowacji, a później również Albanii i Chorwacji. W ten sposób Sojusz poszerzył obszar politycznej i wojskowej stabilizacji w Europie.

RELACJE NATO – ROSJA

Podstawowe dokumenty – uzgodnione z nową Rosją po upadku Związku Radzieckiego – oraz powołane do życia wspólne instytucje bezpieczeństwa stworzyły nowe ramy do ustanowienia rzeczowej i konstruktywnej współpracy między Sojuszem a Rosją. Wśród tych porozumień fundamentalne znaczenie miał Akt Stanowiący, uzgodniony w Paryżu (27 maja 1997 roku), podpisany przez ówczesnego Sekretarza Generalnego NATO Javiera Solanę i Jewgienija Primakowa, który był w tym czasie ministrem spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej. Pięć lat później podczas szczytu NATO – Rosja w bazie wojskowej Pratica di Mare (30 maja 2002 roku) doszło do uzgodnienia wspomnianej wspólnej deklaracji o „jakościowo nowym charakterze stosunków” między Sojuszem a Rosją. Dokument ten przeszedł do historii pod nazwą Deklaracji Rzymskiej. Na jej podstawie doszło do powołania nowej instytucji: Rady NATO – Rosja. Fakty te zasługują na przypomnienie, ponieważ pokutuje powtarzana przez rosyjską propagandę teza, jakoby interesy bezpieczeństwa Rosji były przez Zachód ignorowane.

Utworzenie Rady NATO – Rosja było wyrazem polityki poszukiwania nowych, niekonwencjonalnych form współdziałania polityczno-wojskowego, a zarazem budowania wzajemnych stosunków na jakościowo nowych zasadach. Zarówno Rada, jak też zawarte wcześniej porozumienia miały ustanowić instytucjonalną formę zapewnienia, że kolejne fale rozszerzania NATO nie będą skierowane przeciwko Rosji. Co więcej, miały prowadzić i prowadziły do stabilizacji stosunków na zachodnich rubieżach rosyjskiego mocarstwa i otwierały możliwości zbliżenia Rosji do NATO. Sojusz jako całość postrzegał Rosję jako ważnego strategicznego partnera w rozwiązywaniu problemów, które są potencjalnym zagrożeniem zarówno dla Rosji, jak i NATO. Współpraca ta mogła sprzyjać przeciwdziałaniu proliferacji broni masowego rażenia, a zwłaszcza zapobieganiu produkcji broni nuklearnej przez

takie państwa jak Iran oraz niedopuszczeniu do tego, by broń jądrowa znalazła się w posiadaniu pozapaństwowych aktorów (na przykład organizacji terrorystycznych typu Al-Kaida, Hamas, Hezbollah i inne)¹⁶.

Jakkolwiek propozycje nowego prezydenta USA Baracka Obamy, zmierzające do kształtowania świata „wolnego od broni jądrowej”, zasługiwały i zasługują na pełne poparcie, to dopóki ta broń jest w posiadaniu pięciu wielkich mocarstw oraz Indii, Pakistanu i Izraela, a Iran i Korea Północna rozwijają programy nuklearne, dopóty polityka demokratycznych państw Zachodu musi brać pod uwagę realia, a nie pobożne życzenia. Oznacza to dwoistość w strategii NATO: z jednej strony uwiarygodnienie zdolności odstraszania nuklearnego, a z drugiej – nowe formy współpracy i współodpowiedzialności Rosji za bezpieczeństwo jądrowe świata. Jest to powiązane z ewentualną rozbudową kooperatywnej obrony przeciwraкетowej, stopniowym ograniczaniem broni jądrowej w strategii obronnej łącznie ze zwiększeniem przejrzystości, zwłaszcza – z poddaniem kontroli arsenałów taktycznej broni jądrowej w ramach systemu środków budowy zaufania wojskowego.

Drugim ważnym uzgodnionym obszarem współpracy w interesie wspólnego bezpieczeństwa NATO i Rosji było zwalczanie międzynarodowego terroryzmu i ponadpaństwowych struktur kryminalnych oraz zapobieganie nielegalnemu przemytowi broni, narkotyków, handlowi ludźmi i praniu brudnych pieniędzy.

Trzecim wyzwaniem, a zarazem zagrożeniem dla bezpieczeństwa państw Sojuszu i Rosji jest piractwo na pełnym morzu, branie zakładników i nowe typy zorganizowanej przestępczości rozwijanej na obszarze państw słabych, upadających i upadłych, które utraciły kontrolę nad swoimi terytoriami oraz stały się swoistymi sanktuariami dla szkolenia terrorystów i przygotowywania aktów terroru skierowanego przeciwko poszczególnym

¹⁶ Na taką potencjalną groźbę terroryzmu nuklearnego zwracali uwagę od wielu lat wybitni uczeni i eksperci w Rosji, USA i w Europie; por. A. Arbatow, *Megaterroryzm: implikacje dla nowej wspólnej strategii*; F. Callogero, *Terroryzm nuklearny* – oba teksty zostały opublikowane w pracy zbiorowej *Bezpieczeństwo międzynarodowe czasu przemian. Zagrożenia – koncepcje – instytucje*, red. R. Kuźniar, Z. Lachowski, Warszawa 2003, s. 53-82. Por. też opublikowany Raport Międzynarodowej Komisji w sprawie nierozprzestrzeniania broni jądrowej i rozbrojenia opracowany pod kierunkiem byłych ministrów Spraw Zagranicznych Australii i Japonii – Gareth Evans, Yoriko Kawaguchi, *Eliminating Nuclear Threats. A Practical Agenda for Global Policymakers*, ICNND, Canberra 2009.

państwom oraz społeczności międzynarodowej jako całości (ilustracją tego typu aktywności był Afganistan pod rządami talibów; również rządy Jemuenu, Sudanu, Somalii i wielu innych państw Afryki nie kontrolują kryminalnej działalności rozwijanej na tych terytoriach).

Kolejne nowe niebezpieczeństwa to niekontrolowany transfer finansów wspierających międzynarodowy terroryzm i zorganizowana międzynarodowa sieć organizacji kryminalnych, które wykorzystują do swego procederu najnowsze technologie informatyczne.

Innym naturalnym obszarem współpracy miała być pomoc w przypadku katastrof humanitarnych, będących rezultatami lokalnych konfliktów na tle różnic narodowych, etnicznych, plemiennych i religijnych oraz katastrof naturalnych i wynikłych z suszy, pożarów, głodu, epidemii, trzęsień ziemi (jak na Haiti) lub tsunami (Sri Lanka, Indonezja i cały obszar Azji Południowo-Wschodniej). Zwalczanie tych i innych nieszczęść oraz przeciwdziałanie im mogłoby stanowić ważną część wielorakiej współpracy między Sojuszem a Rosją.

NOWA WERSJA „OGRANICZONEJ SUWERENNOŚCI”

Po upadku ZSRR było jasne od początku, że trzy państwa bałtyckie – Estonia, Łotwa i Litwa, które w okresie międzywojennym miały niezależny byt państwowy i utraciły niepodległość w wyniku zмовy między hitlerowską Rzeszą Niemiecką a stalinowskim Związkiem Radzieckim¹⁷ – będą dążyły do związania się z zachodnim światem demokratycznym.

Ich akcesja do NATO i Unii Europejskiej zamknęła definitywnie narasta-

¹⁷ Warto odnotować znaczący – jakkolwiek mało znany – fakt, że Stany Zjednoczone nigdy nie uznały *de iure* inkorporacji tych państw do ZSRR w 1940 r. na podstawie paktu zawartego między Trzecią Rzeszą a ZSRR, zwanego od nazwisk sygnatariuszy paktem Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 r., który ustalił podział strefy wpływów w Europie Środkowej. Częścią tego paktu było oddanie państw bałtyckich pod kontrolę Józefa Stalina, który podjął w 1940 r. decyzję o ich włączeniu do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Stany Zjednoczone opatrywały wszystkie wielostronne porozumienia zawierane z ZSRR zastrzeżeniem, że przyjęcie zobowiązań „nie oznacza uznania bezprawnego włączenia” trzech państw bałtyckich do ZSRR. Stosowne zastrzeżenie USA zostało złożone również przy podpisywaniu Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach (1 sierpnia 1975 r.), chociaż dokument ten nie miał charakteru traktatu prawnomiędzynarodowego, lecz był z założenia aktem politycznym i stwarzał zobowiązania natury moralno-politycznej.

jące stopniowo spory ludnościowe i terytorialne, które ciążyły na początku lat 90. na relacjach między trzema państwami bałtyckimi a Rosją. Innymi słowy, decyzja o przyjęciu trzech państw bałtyckich do Sojuszu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej ustabilizowała stan rzeczy między wielostronnymi instytucjami demokratycznego Zachodu a nową Rosją również na obszarze nowego, mało stabilnego pogranicza.

Stosunek Rosji do Sojuszu Atlantyckiego był w okresie przejściowym – na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego stulecia – ambiwalentny. Bezpośrednio po powrocie do Moskwy – po pierwszej oficjalnej wizycie w Warszawie (sierpień 1993 roku) – Borys Jelcyn wystosował do czterech przywódców świata zachodniego list (z 15 września 1993 roku). W poufnym posłaniu prezydent Rosji pisał:

Opowiadamy się za sytuacją, w której stosunki między naszym krajem a NATO byłyby o kilka stopni cieplejsze niż te między Sojuszem a Europą Wschodnią.

Dalej prezydent Rosji proponował, aby NATO z Rosją „wspólnie zastanowiły się w sprawie możliwości zaspokojenia potrzeb bezpieczeństwa wschodnich Europejczyków”. Jelcyn postulował:

Jesteśmy przygotowani na przykład, aby wspólnie z NATO zaproponować państwu Europy Wschodniej oficjalne gwarancje bezpieczeństwa, które zapewniłyby im suwerenność, integralność terytorialną, nienaruszalność granic i zachowanie pokoju w regionie¹⁸.

Innymi słowy, Rosja chciała w sposób instytucjonalny zapobiec możliwości rozszerzenia Sojuszu z jednej strony oraz uzyskać akceptowaną przez Zachód pozycję gwaranta niepodległości państw regionu Europy Środkowej i Wschodniej – z drugiej. Tworzyłyby to swoistą „szarą strefę” czy też „pas bezpieczeństwa” oddzielający Rosję od NATO. Państwa, które znalazłyby się w tym „korytarzu”, miałyby z założenia ograniczoną suveren-

¹⁸ Pełny tekst listu został opublikowany w formie aneksu do rozdziału A. D. Rotfelda, *Europe: Towards a New Regional Security Regime*, „SIPRI Yearbook 1994”, 1994, s. 249-250.

ność, a stopień ich niezależności określiliby „gwaranci”, czyli Rosja i NATO. Takie podejście było nie do przyjęcia ani dla Polski, ani dla innych państw regionu.

W połowie lat 90. Rosja wystąpiła z nową koncepcją organizacji bezpieczeństwa europejskiego. Był to projekt pod nazwą *Common and Comprehensive Security Model for Europe for the Twenty-first Century: A new Concept for a new Century* (Budapeszt, 8 grudnia 1995 roku)¹⁹. Model bezpieczeństwa europejskiego na XXI wiek przedstawiony przez Rosję zmierzał do przebudowy całego systemu instytucji zapewniających bezpieczeństwo państwom europejskim. Zawierał postulat wprowadzenia swoistej hierarchii i podporządkowania istniejących organizacji, struktur oraz instytucji Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), która miałaby odgrywać rolę regionalnego systemu bezpieczeństwa w ramach systemu globalnego pod auspicjami ONZ.

Projekt ten był przedmiotem ożywionej debaty, w ramach której pojawiło się blisko dwieście różnych propozycji rozwiązań szczegółowych. Jednak ostatecznie ten kierunek myślenia nie zyskał szerszego uznania²⁰.

Z czasem rosyjskie poszukiwania nowego układu sił na kontynencie europejskim w coraz mniejszym stopniu uwzględniały doświadczenia pierwszych lat po zakończeniu zimnej wojny, dla których motywem przewodnim była transformacja bipolarizmu w kooperatywny system bezpieczeństwa. Brało górę natomiast odwoływanie się do historycznych doświadczeń bezpieczeństwa międzynarodowego opartego na równowadze siły.

„KONCERT MOCARSTW” NA XXI WIEK?

Fundamentalną różnicą w podejściu państw Sojuszu i Rosji w układaniu wzajemnych stosunków było to, że Sojusz respektował suwerenne prawa

¹⁹ Por. Aneks dokumentacyjny do: A. D. Rotfeld, *Europe: Towards New Security Arrangements*, „SIPRI Yearbook 1996. Armaments, Disarmament and International Security”, 1996, s. 320-321.

²⁰ Ewolucję i ocenę rosyjskiej strategii wobec Zachodu przedstawił A. Zagorski, *The Russian Proposal for a Treaty on European Security: From the Medvedev Initiative to the Corfu Process*, „OSCE Yearbook 2009”, 2010, s. 43-59. Por. też w tym samym zbiorze: P. Dunay, G. P. Herd, *Redesigning Europe? The Pitfalls and the Promises of the European Security Treaty Initiative*, s. 77-98.

wszystkich państw na transatlantyckim obszarze, a Rosja chciała formalnie i faktycznie uzgodnić nowe „strefy uprzywilejowanych interesów”.

Swoisty sposób pojmowania nowej równowagi interesów mocarstw globalnych przedstawił we wrześniu 2007 roku minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow:

Warunki swobody dyktują konieczność kolektywnego przywództwa głównych światowych mocarstw. Można to nazwać „koncertem mocarstw XXI wieku” (...). Dla tej części świata, którą przyjęto określać jako region euroatlantycki, nie zaszkodziłoby wzajemne zrozumienie trójki – USA, Rosji i Unii Europejskiej. (...) Zgadzam się, że taka „trójka” mogłaby „skierować światową łódź na spokojniejsze wody”. W ramach tego „trójkąta” są sprawy, w których Europa jest bliższa Stanom Zjednoczonym, ale w szeregu strategicznych kwestii jej stanowisko zbieżne jest z [podejściem – A. D. R.] Rosji. Weźmy temat stosowania siły i innych form przymusu, jak również stosunek do prawa międzynarodowego. Bez względu na różnice w „trójce” powinniśmy dążyć do wypracowania w stopniu maksymalnym możliwego wspólnego mianownika. W każdym razie, jeśli ktoś uważa, że nie obejdziemy się bez koncepcji powstrzymywania, to taki „koncert trio” to najlepsza, a co istotne – niekonfrontacyjna i niekosztowna forma wzajemnego powstrzymywania. Być może czas dojrzał, by pomyśleć o nowej definicji atlantyzmu, która nie wykluczałaby Rosji²¹.

Polityczna filozofia rosyjskiej polityki opierała się na nowej interpretacji starej koncepcji równowagi, która w istocie jest – według rosyjskiego ministra spraw zagranicznych – niezmienna („Rosja od 300 lat bierze na siebie niemałe brzemień podtrzymywania równowagi w europejskiej i światowej polityce”²²). W rozumowaniu rosyjskiego szefa dyplomacji element ciągłości w polityce zagranicznej Rosji ma znaczenie większe niż fundamentalne zmiany, jakie zaszły na scenie europejskiej i światowej. Zdaniem Ławrowa:

²¹ Inauguracyjny wykład ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Ławrowa na rozpoczęcie roku akademickiego w Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), Moskwa, 3 września 2007 r. Obszerne wyjątki wykładu por. www.gazetawyborcza.pl/1,86738,4469179.html.

²² Tamże.

Formuła równowagi w stosunkach międzynarodowych opiera się na pokojowym współistnieniu, na prawie międzynarodowym, zbiorowym bezpieczeństwie, polityczno-dyplomatycznym regulowaniu konfliktów²³.

Tak szerokie pojmowanie koncepcji równowagi zamazywało w istocie nową rolę, do której Rosja pretendowała w stosunkach ze światem zewnętrznym.

Znacznie bardziej otwarte były wystąpienia prezydenta Władimira Putina. Ich motywem przewodnim było nie tyle poszukiwanie równowagi interesów, ile uznanie nowej roli Rosji jako globalnego mocarstwa – równoważnie takiej pozycji, jaką zajmują w świecie Stany Zjednoczone. Innymi słowy, była to polityka zmierzająca do odzyskania przez Rosję – w radykalnie zmienionym świecie – rangi, jaką zajmował Związek Radziecki w systemie dwubiegunowym. W osiągnięciu tych celów czynnikiem rozstrzygającym o zmianie podejścia Rosji do globalnych problemów był nie tyle rozwój wypadków w świecie, ile zmiana sytuacji w Rosji.

Dla nowego podejścia Rosji do rozwiązywania aktualnych i przyszłych problemów w świecie oraz w Europie kluczowe znaczenie miały dwa czynniki siły: dysponowanie największym – oprócz Stanów Zjednoczonych – arsenałem broni nuklearnej i środkami jej przenoszenia²⁴ oraz ogromnymi zasobami surowców energetycznych (gazu i ropy), na które rośnie zapotrzebowanie w świecie. Warto pamiętać, że są to surowce wyczerpywalne. Większy popyt i trudniejsze pozyskanie tych strategicznych surowców sprawiają, że nie tylko rosły niebotycznie ceny, ale również dostęp do tych surowców stawał się ważną dźwignią polityki bezpieczeństwa państw, jak też politycznych nacisków i szantażu. Ilustracją takiego pojmowania zasobów gazu były groźby wstrzymania dostaw tego nośnika energii i podnoszenie

²³ Tamże.

²⁴ Dwadzieścia lat po zakończeniu zimnej wojny w dyspozycji Rosji i Stanów Zjednoczonych było nadal ponad 22 tysiące głowic nuklearnych – na ogólną liczbę ponad 23 tysięcy w skali globalnej. Na pozostałe państwa nuklearne przypadało około 1000 głowic. Był to ekwiwalent 150 tysięcy bomb zrzuconych na Hiroszimę. W broniach masowego zniszczenia utrzymywał się układ sił ukształtowany w dwubiegunowym świecie. Oba mocarstwa jądrowe uzgodniły potrzebę radykalnej redukcji uzbrojenia, którego kontrola pociągała za sobą wydatki niewspółmierne do przydatności militarnej. Por. szerzej: G. Evans, Y. Kawaguchi, dz. cyt., s. 3 i nast.

cen nie na podstawie rachunku ekonomicznego, ale zgodnie z politycznymi potrzebami chwili.

10 lutego 2007 roku na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa Władimir Putin oświadczył:

Jestem przekonany: podeszliśmy do tej linii granicznej, która nakazuje, by poważnie się zastanowić nad całą architekturą globalnego bezpieczeństwa²⁵.

Głównym przesłaniem rosyjskiego prezydenta było zakwestionowanie dominującej w świecie pozycji Stanów Zjednoczonych na wszystkich możliwych płaszczyznach: politycznej, gospodarczej, wojskowej. Przy tej sposobności skrytykował również instytucje, które legitymują się istotnymi osiągnięciami w procesie pokojowej transformacji systemu międzynarodowego. Na przykład zarzucił krajom zachodnim, że przekształcają Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w „wulgarny instrument realizacji interesów polityki zagranicznej jednego państwa lub grupy państw kosztem innych krajów”. Podważył sens rozmieszczenia w Europie instalacji amerykańskiego systemu obrony przeciwrakietowej. Kilka miesięcy później, 4 czerwca 2007 roku, w rozmowie z dziennikarzami z państw G8 prezydent Putin zapowiedział nowy wyścig zbrojeń²⁶, a zarazem odrzucił odpowiedzialność Rosji za „doskonalenie [rosyjskiego – A.R.D.] systemu strategicznych broni nuklearnych”. Obrona przeciwrakietowa – wyjaśniał Putin – narusza strategiczną równowagę:

Aby przywrócić tę równowagę – bez konstruowania własnego systemu obrony przeciwrakietowej – jesteśmy zmuszeni budować system, który przewycięży obronę przeciwrakietową, co też robimy²⁷.

Rozumowanie to było oparte na anachronicznej koncepcji, zgodnie z którą powrót do doktryny wzajemnego odstraszania może zapewnić bezpie-

²⁵ Por. www.kremlin.ru/text/appears/2007/02.

²⁶ „Zdejmujemy z siebie odpowiedzialność za podejmowane kroki w odpowiedzi, ponieważ to nie my jesteśmy inicjatorami dojrzewającego bezwzględnie wyścigu zbrojeń w Europie” – www.kremlin.ru (4 czerwca 2007 r.).

²⁷ Tamże.

czeństwo. Konsekwencją tej doktryny, która stała się dla Kremla podstawą relacji NATO – Rosja, był nieuchronny wzrost rosyjskich wydatków na zbrojenia. Jakkolwiek bardziej obiecująca wydawała się strategia oparta na podejściu kooperatywnym, to jednak alternatywne podejście oparte na współpracy wymagałoby radykalnej zmiany w myśleniu rosyjskich przywódców. Nie było to możliwe, ponieważ w procesie podejmowania decyzji w Moskwie czynnikiem rozstrzygającym stały się potencjały wojskowe, siła militarna oraz opinie wojskowych i sztabów generalnych. Zaostrzenie tonu i konfrontacyjna retoryka rosyjskich dokumentów były i nadal są dyktowane raczej potrzebami polityki wewnętrznej niż rzeczywistą pozycją Rosji w świecie i optymalizacją długofalowej strategii Rosji w stosunkach ze światem zewnętrznym.

Dążenie Rosji do poprawy swej pozycji w świecie jest naturalne i zrozumiałe. Sprawą otwartą pozostaje to, jakiego wyboru dokonują elity polityczne sprawujące władzę. W sprawach rozwoju wewnętrznego nastąpiło wyraźne przeorientowanie: od wyboru opcji demokratycznego rozwoju, zapoczątkowanego w czasach pierestrojki Michaiła Gorbaczowa i kontynuowanego po rozpadzie ZSRR przez Borysa Jelcyna, do autorytaryzmu, który w tym kraju ma wielowiekowe tradycje, poczynając od despotyzmu Iwana Groźnego w końcu XVI wieku, poprzez prowadzoną przez Piotra I politykę otwarcia Rosji na Europę w XVII wieku, do budowy imperium przez Katarzynę Wielką w XVIII wieku. Putin nawiązuje do ciągłości politycznej, której symbolem są rządy dynastii Romanowów w powiązaniu z rolą prawosławia jako fundamentem rosyjskiej duchowości.

Takie właśnie myślenie legło u podstaw rosyjskiej strategii nacechowanej nieufnością i wrogością wobec Sojuszu Północnoatlantyckiego oraz powrotem do polityki siły, zmierzającej do uzależnienia sąsiadujących narodów najpierw przy pomocy nacisków dyplomatycznych i ekonomicznych, a ostatnio – wojskowych – oraz wymuszania podporządkowania się Ukrainy drogą użycia siły ekonomicznej i wojskowej oraz groźby jej użycia.

INICJATYWY MIEDWIEDIEWA

W 2008 roku Dmitrij Miedwiediew – nowo mianowany prezydent Rosji na jedną kadencję – wystąpił z inicjatywą, która miała być realizacją zapowiedzianą przez Władimira Putina w Monachium nowej architektury bez-

pieczeństwa²⁸. Miedwiediew zasygnalizował potrzebę nowego traktatu w czasie swej wizyty w Berlinie (5 czerwca 2008 roku). W ciągu następnego roku inicjatywa była rozwijana i precyzowana. 8 października 2008 roku prezydent Rosji oświadczył w Evian:

Siła w oderwaniu od prawa niechybnie prowadzi do nieprzewidywalności i chaosu, kiedy wszyscy zaczynają walczyć ze wszystkimi, co w istocie wydarzyło się w Iraku. A każde selektywne stosowanie fundamentalnych prawnomiędzynarodowych norm podrywa również legalizm międzynarodowy²⁹.

Prezydent Rosji pamiętał o Iraku, ponieważ Amerykanie dokonali tam zbrojnej interwencji. O Gruzji nie wspomniał. Miedwiediew przedstawił w pięciu punktach istotę proponowanego traktatu o bezpieczeństwie europejskim. Traktat ten miałby ustanowić wspólne reguły gry dla całego regionu transatlantyckiego: od San Francisco i Vancouver do Władywostoku i Kamczatki.

Po pierwsze, traktat miał potwierdzać podstawowe zasady bezpieczeństwa w stosunkach międzynarodowych i gotowość do stosowania ich w dobrej wierze. Do tych zasad Miedwiediew zaliczył poszanowanie suwerenności, integralności terytorialnej i politycznej niezależności oraz respektowanie wszystkich innych zasad zawartych w Karcie Narodów Zjednoczonych. Po drugie, niedopuszczalność użycia siły lub groźby jej użycia. Traktat powinien określać procedury i mechanizmy pokojowego rozwiązywania sporów. Po trzecie, potrzebne są gwarancje zapewnienia równego bezpieczeństwa – bez uszczerbku dla innych państw, bez nowych linii podziałów, bez takiego rozwoju sojuszy wojskowych, które naruszałyby interesy bezpieczeństwa innych sygnatariuszy traktatu (w tym kontekście prezydent Rosji położył nacisk na wymiar wojskowy – *hard*

²⁸ Prezentacja i analiza rosyjskich projektów nowej architektury bezpieczeństwa w: A. D. Rotfeld, *Does Europe Need a New Security Architecture?*, „OSCE Yearbook 2009”, 2009, s. 23-42.

²⁹ Por. <http://www.kremlin.ru/text/appears/2008/10/207422.shtml>. Szczegółową analizę tej propozycji zawiera artykuł Andrieja Zagorskiego, *The Russian Proposal...*, dz. cyt., s. 43 i nast. Por. też publikację moskiewskiego Instytutu Współczesnego Rozwoju: I. J. Jurgens, A. A. Dynkin, W. G. Baranowskij (red.), *Architektura jewroatłanticzeskoj biezopasnosti*, Ekon-Inform, Moskwa 2009.

security). Po czwarte, żadne państwo ani żadna organizacja międzynarodowa nie ma prawa wyłączności w sprawach utrzymania międzynarodowego pokoju i stabilności w Europie. Po piąte, należy uzgodnić wyjściowe (bazowe) parametry kontroli zbrojeń i rozsądnej wystarczalności w rozwoju programów wojskowych. Postulat obejmował również nowe procedury i mechanizmy współdziałania w zapobieganiu proliferacji broni masowego zniszczenia i handlowi narkotykami oraz w zwalczaniu terroryzmu. Należy też zastanowić się – dodał Miedwiediew – w jakiej mierze istniejące struktury są adekwatne do rozwiązywania nowych zadań oraz przeciwdziałania zagrożeniom i wyzwaniom.

Reakcją partnerów Rosji, do których projekt był adresowany, było naturalne pytanie: czemu ma służyć nowa rosyjska inicjatywa? Rzecz w tym, że Europie nie brakuje ani instytucji i procedur, ani mechanizmów i prawnomiędzynarodowych instrumentów zapewniania bezpieczeństwa. Problem nie tkwił zatem w braku instytucji, zasad i norm. Skoro tak, to należało przypuszczać, że istniały inne motywy, które skłaniały Rosję do ponownego wyjścia z inicjatywą zawarcia traktatu bezpieczeństwa europejskiego. Główną polityczną motywacją była z pewnością chęć zapobieżenia dalszemu rozszerzaniu Sojuszu Północnoatlantyckiego, a w szczególności zablokowania Ukrainie i Gruzji drogi do NATO. Nie bez znaczenia było też zapewne określenie stref wpływów i uznaniu roli Rosji jako mocarstwa globalnego. W Moskwie taki traktat był postrzegany jako formalnoprawna podstawa nowego podziału świata. Uzgodnienie nowych instrumentów przez Federację Rosyjską, która jest przecież sukcesorem prawnym ZSRR i w praktyce zobowiązana jest do przestrzegania tych norm, które zostały wynegocjowane w innych warunkach przez inne państwo, jakim był Związek Radziecki, byłoby cezurą wyznaczającą pozycję nowej Rosji w świecie.

W czasie dorocznej konferencji bezpieczeństwa w Monachium (8 lutego 2009 roku) Javier Solana, wówczas Wysoki Przedstawiciel Unii Europejskiej do spraw wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, odniósł się bezpośrednio do nowej rosyjskiej propozycji w sposób następujący:

Niektóre zasady, jakie leżą u podstaw bezpieczeństwa europejskiego, są nienegocjowalne:

- to, że robimy to wspólnie z USA,

- to, że państwa mają swobodę wyboru sojuszy,
- i to, że odrzucamy takie pojęcia, jak uprzywilejowane strefy wpływów.

Rosja o tym wie – mówił Solana. Podobnie jak wie o tym, że jest wiele elementów, nad którymi możemy wspólnie pracować – prymat prawa międzynarodowego; wezwanie do wiążących prawnie instrumentów i zwiększenia przejrzystości jest również dobre. Nie tylko w kwestiach politycznych i wojskowych, ale także w sprawach energii i gazu³⁰.

Odpowiedź Solany była krótka, prosta i dobitna: Unia jest gotowa do rozmów, przy założeniu, że będą one rzeczowe i konkretne, a nie propagandowe i ogólnikowe. Nie będą też prowadzić do kształtowania nowego „koncertu mocarstw”.

Półtora roku po zasygnalizowaniu potrzeby nowego prawnomiędzynarodowego porządku w Europie prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew wniósł 29 listopada 2009 roku pod rozwagę uczestników OBWE projekt traktatu o bezpieczeństwie europejskim³¹. Myślą przewodnią tego projektu w rosyjskiej interpretacji było odrzucenie logiki zimnej wojny i nadanie zasadzie niepodzielności bezpieczeństwa na obszarze euroatlantyckim rangi normy prawa międzynarodowego. Projekt był adresowany do głów państw i szefów rządów członków OBWE, NATO, Unii Europejskiej, Organizacji Traktatu Bezpieczeństwa Zbiorowego (OTBZ – fasadowej instytucji powołanej przez Rosję, która skupia kilka byłych republik radzieckich) oraz WNP.

W swej istocie rosyjski projekt traktatu miał na celu nie tyle ukształtowanie nowego prawnomiędzynarodowego porządku, ile pomniejszenie znaczenia Sojuszu Północnoatlantyckiego, a przede wszystkim zablokowanie procesu dalszego rozszerzania NATO opartego na filozofii „otwartych drzwi”. Rolę takiej blokady miałyby odgrywać artykuł piąty proponowanego traktatu.

Cel ten bez żadnych osłonek został wyrażony w złożonym pięć dni później innym projekcie umowy między Rosją a NATO, której tekst przedstawił minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow, 4 grudnia 2009 roku, Se-

³⁰ http://www.securityconference.de/konferenzen/rede.php?menu_2009=&menu_konferenzen=&sprache=en&id=235&print=&.

³¹ <http://news.kremlin.ru/news/6152>.

kretarzowi Generalnemu NATO Andersowi F. Rasmussenowi³². Artykuł drugi tego projektu przewidywał, że jeśli którekolwiek państwo wchodzące w skład Rady NATO–Rosja uzna za zagrożenie lub wyzwanie – to może zwołać posiedzenie Rady, które położy kres rozwojowi wypadków nieodpowiadającym oczekiwaniom Rosji. Co więcej, z jednej strony Rosja deklarowała, że jej celem jest ustanowienie systemu „bezpieczeństwa niepodzielnego”, a z drugiej – artykuł czwarty projektowanej umowy o nowych zasadach stosunków między państwami-członkami Rady NATO–Rosja zawierał postulat, aby wprowadzić rozróżnienie uprawnień nawet wewnątrz Sojuszu między „starymi” a „nowymi” członkami. Mianowicie członkowie NATO, którzy wchodzili w skład Sojuszu przed 27 maja 1997 roku, mają przyjąć zobowiązanie, że nie będą rozmieszczać na terytoriach dwunastu nowych państw członkowskich swoich sił zbrojnych (zakaz stacjonowania znaczących sił zbrojnych i uzbrojenia). Artykuł ten szczegółowo określał, jakie siły zbrojne uważa się za znaczące. Są to jednostki rzędu brygady bojowej, eskadry lotniczej, batalionu helikopterów, ponad czterdziestu czołgów lub stu osiemdziesięciu ośmiu opancerzonych pojazdów bojowych albo dziewięćdziesięciu sztuk artylerii o kalibrze 100 mm (i ponad), dwudziestu czterech samolotów bojowych (lub dwudziestu czterech helikopterów bojowych). Ta szczegółowa forma różnicowania „starych” i „nowych” członków NATO wskazywała, że autorzy nie mieli złudzeń, że ich projekt będzie podstawą negocjacji. Cel był inny: zasygnalizowanie, że Rosja nie tylko nadal traktuje proces rozszerzania Sojuszu jako zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa, ale też różnicuje bezpieczeństwo – inaczej postrzega prawo do bezpieczeństwa „starych” i „nowych” członków Sojuszu.

Innymi słowy, jej propozycje były nie tylko przeciwdziałaniem wobec potencjalnego przyjmowania nowych członków w przyszłości, ale odnosiły się również do oceny tych zdarzeń z przeszłości, z którymi Rosja się definitywnie nie pogodziła i próbowała je zmienić lub pomniejszyć ich znaczenie.

Warto wyjaśnić, jakie były rzeczywiste zobowiązania Zachodu w tej mierze. Przystąpienie nowych państw do Sojuszu zostało poprzedzone jednostronną polityczną deklaracją sekretarza generalnego NATO, którym był wówczas Javier Solana (14 marca 1997 roku):

³² NATO Unclassified – SG (2009) 0995: Paper received from Russian MFA Lavrov, 4 Dec. 2009.

W obecnym i możliwym do przewidzenia środowisku bezpieczeństwa Sojusz będzie organizował swoją zbiorową obronę i inne zadania raczej przez zapewnienie koniecznej interoperatywności, integracji i zdolności do wzmacniania [sił zbrojnych – A. R. D.] niż przez dodatkowe rozmieszczenie na stałe znaczących sił zbrojnych³³.

Jakkolwiek zobowiązanie to ma charakter moralno-polityczny, a nie prawny – to było i jest w całej rozciągłości przestrzegane przez państwa NATO.

Dla naszych rozważań kluczowe jest uświadomienie sobie, co jest istotą rosyjskiego myślenia i na czym polega strategia Rosji wobec Europy. Jeden z rosyjskich ekspertów, Jurij Sołozobow w swoim esej³⁴ udzielił odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób można byłoby – jego zdaniem – dokonać przełomu na przykład w trudnych relacjach rosyjsko-polskich. Strategia Rosji wobec Europy, w jego ujęciu, nosi prostą nazwę: „finlandyzacja”. Rosyjski analityk pisał:

Maksymalny program dla Rosji to finlandyzacja całej Europy, ale zacząć trzeba od reorganizacji przestrzeni Wielkiego Limitrofu³⁵.

Autor ma na myśli takie kraje sąsiadujące w Europie z Rosją, jak Finlandia i Polska, a przede wszystkim Ukraina; w Azji Środkowej – Kazachstan, a także Turcja i Iran.

„Finlandyzacja – dodaje Sołozobow – to wzajemnie korzystna pragmatyczna współpraca i stosunki oparte na poprawności – bez pouczenia o sprawach demokracji i praw człowieka”.

W kontekście rozwoju wypadków na Ukrainie na uwagę zasługuje to, że Zbigniew Brzeziński i Henry Kissinger zasygnalizowali gotowość wyjścia

³³ „NATO Press Release” (97), Brussels, 14 March 1997. Por. szerzej na ten temat: A. D. Rotfeld, *Europe: The Institutionalized Security Process*, „SIPRI Yearbook 1999”, 1999, s. 247 oraz tenże, *Przyszłość NATO*, „Sprawy Międzynarodowe” 2006, nr 3, lipiec-wrzesień, s. 5-20.

³⁴ J. Sołozobow, *Otwiet na polskij wopros. W otnoszenijach mieźdu Rossijej i Polszej wozmožen stratiegičeskiej proryw*, „Političeskiej Kłass” 2009, nr 9, wrzesień.

³⁵ Tamże, s. 43-44. Pojęcie „Limitrof” używane w Rosji (z łac. *Limitrophus* – pograniczny) było określeniem pogranicznych prowincji Imperium Rzymskiego, które zobowiązane były utrzymywać wojska rzymskie znajdujące się na ich terytorium.

naprzeciw oczekiwaniom rosyjskiej polityki. Ich propozycje, dotyczące rozwiązania kryzysu wokół Ukrainy nawiązywały, w różnej formie do koncepcji finlandyzacji z okresu zimnej wojny³⁶.

NIEDOTRZYMANE OBIETNICE CZY ZAWIEDZONE OCZEKIWANIA?

W debacie na temat motywów rosyjskiego stanowiska, dotyczącego nowej architektury bezpieczeństwa, powtarzają się często argumenty, jakoby Rosja otrzymała od swoich zachodnich partnerów „obietnice”, które nigdy nie zostały spełnione. Jest to głęboko zakorzeniona świadomość, która określa myślenie nie tylko rosyjskich badaczy i analityków, ale przede wszystkim reprezentantów Federacji Rosyjskiej, mających wpływ na podejmowanie decyzji w sprawach polityki bezpieczeństwa.

Podczas wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rosji (12 lutego 2010 roku) otrzymałem od swojego rozmówcy – wysokiej rangi urzędnika, a zarazem członka Kolegium MSZ – elementy odtajnionych notatek. Było to siedem fragmentów wypowiedzi polityków zachodnich, adresowanych do Michaiła Gorbaczowa, które dotyczyły przede wszystkim sposobów pokojowego zjednoczenia Niemiec.

George Baker – w czasie spotkania z Michaiłem Gorbaczowem 9 lutego 1990 roku (a więc ponad półtora roku przed rozpadem ZSRR) – mówił:

NATO jest mechanizmem, który zapewnia obecność Stanów Zjednoczonych w Europie. Jeśli NATO ulegnie likwidacji, to zabraknie takiego mechanizmu obecności USA w Europie. Rozumiemy, że nie tylko dla Związku Radzieckiego, ale również dla innych państw europejskich sprawą ważną jest posiadanie gwarancji, że jeśli Stany Zjednoczone zachowają w ramach NATO swoją obecność w Niemczech, to nie nastąpi rozszerzenie jurysdykcji lub obecności wojskowej NATO w kierunku wschodnim, choćby na jeden cal.

Uważamy – mówił dalej Baker – że konsultacje i rozmowy w ramach mechanizmu „dwa plus cztery” powinny dać gwarancję tego, że zjednocze-

³⁶ Por. Z. Brzeziński, *Russia needs a „Finland Option” for Ukraine*, „Financial Times” 2014, 23 Feb.; H. Kissinger, *How the Ukraine crisis ends*. „The Washington Post”, 2014, 5 March.



Powitanie prezydenta Michaiła Gorbaczowa w Sztokholmskim Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI), 1993 r.

nie Niemiec nie doprowadzi do rozszerzenia wojskowej organizacji NATO na Wschód³⁷.

Odnotujmy, że była to rozmowa przed zjednoczeniem Niemiec. Sekretarz Stanu USA chciał wówczas zapewnić radzieckich rozmówców, że zjednoczeniu Niemiec nie będzie towarzyszyć – z jednej strony – wycofanie obecności amerykańskiej z Europy, a z drugiej – rozszerzanie struktur wojskowych NATO na Wschód. Podobne zapewnienia padały ze strony Niemiec.

W dzień po spotkaniu z Bakerem doszło do rozmowy Gorbaczowa z Helmutem Kohlem (10 lutego 1990 roku). Kanclerz Niemiec złożył na marginesie zapoczątkowanych w Ottawie rozmów „2+4” następujące oświadczenie wobec ówczesnego przywódcy ZSRR:

Uważamy, że NATO nie powinno rozszerzać sfery swego działania. Należy poszukiwać tu racjonalnego uregulowania. Rozumiem prawidłowo interesy bezpieczeństwa Związku Radzieckiego i zdaję sobie sprawę z tego, że Pan, Panie Sekretarzu Generalny, i radzieckie kierownictwo w sposób dogłębny będziecie tłumaczyć ludności ZSRR to, co się dzieje. Jedna sprawa, kiedy my rozmawiamy, a inna – kiedy rozmawiają prości ludzie. Pamiętają oni losy swoich ojców i braci³⁸.

Deklaracje tego typu składali też przedstawiciele mocarstw zachodnich na niższym szczeblu³⁹. Z informacji ministra obrony ZSRR Dmitrija Jazowa o jego rozmowie z premierem Johnem Majorem (6 marca 1991 roku) wynika, że premier Wielkiej Brytanii „nie przewiduje warunków, aby w chwili obecnej i w przyszłości państwa wschodnioeuropejskie mogły wejść do NATO”⁴⁰.

³⁷ Fragment zapisu poufnej rozmowy Michaiła Gorbaczowa z Georgem Bakerem (9 lutego 1990 r.). Protokół Komisji ds. odtajniania dokumentów KPZR – nr 25 z 16 maja 1996 r.

³⁸ Tamże, fragment zapisu rozmowy Michaiła Gorbaczowa z Helmutem Kohlem z 10 lutego 1990 r.

³⁹ Tamże, fragment z informacji Dmitrija Jazowa skierowany do Michaiła Gorbaczowa na temat rozmowy z szefem osobistej kancelarii prezydenta Francji, admirałem Jacquesem Lanxadem (8 grudnia 1990 r.).

⁴⁰ Tamże, z odtajnionych materiałów udostępnionych mi w czasie rozmowy w rosyjskim MSZ w Moskwie 12 lutego 2010 r.

Takie stanowisko potwierdza też notatka Aleksandra A. Biessmiertnycha z rozmowy w czasie roboczej wizyty w ZSRR (26 marca 1991 roku) brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Davida Hurda, który – według zapisu – oświadczył, że w NATO „nie ma planów przyłączenia państw Europy Wschodniej i Środkowej do traktatu północnoatlantyckiego – w tej lub innej formie”⁴¹.

Ówczesny prezydent Francji, François Mitterrand, podzielił się 6 maja 1991 roku z Michaiłem Gorbaczowem następującą refleksją: państwa Europy Środkowo-Wschodniej „będą dążyć do zapewnienia swego bezpieczeństwa drogą zawierania oddzielnych porozumień. Z kim? Rzecz jasna, z NATO. Ale taka perspektywa nie odnosi się do ZSRR. To także zwiększy w Związku Radzieckim poczucie izolacji, a nawet okrażenia. Jestem przekonany, że nie jest to właściwa droga dla Europy”⁴².

Przytoczyłem tych kilka dokumentów udostępnionych mi w Moskwie po zakończeniu konsultacji grupy ekspertów NATO, przygotowujących nową koncepcję strategiczną Sojuszu „NATO 2020”. Strona rosyjska dostrzegła w tych tekstach złamanie obietnic złożonych ponad dwadzieścia lat temu. Jakkolwiek zapiski te miały charakter poufny, to przecież myślenie takie było wówczas dosyć powszechne. Stanowiło centralny element debaty publicznej. Przytoczone oświadczenia były składane w kontekście rozmów na temat zjednoczenia Niemiec, ale jeszcze przed rozwiązaniem Układu Warszawskiego i przed rozpadem ZSRR. Późniejszy rozwój sytuacji w Europie Środkowej, Wschodniej i Południowej – wojny na Bałkanach, rozpad Jugosławii, konflikty na Kaukazie Północnym, napięcia międzyetniczne i językowe wewnątrz niektórych państw postradzieckich (na przykład na Łotwie, w Estonii, na Ukrainie) i między państwami (na przykład między Węgrami a Rumunią i Słowacją) – wszystko to stwarzało poczucie niepewności, niestabilności i nieprzewidywalności.

W tej atmosferze zrodziło się przekonanie, że akcesja tych państw, które weszły na drogę demokratycznych przemian, do transatlantyckiej instytucji, jaką jest Sojusz Północnoatlantycki, i ich przyjęcie do Unii Europejskiej jest rozwiązaniem stabilizującym sytuację w sposób trwały i bezpieczny. Jest sprawą naturalną, że wypowiedzi, przyrzeczenia, a na-

⁴¹ Tamże.

⁴² Tamże, dokument odtajniony 31 maja 1996 r.

wet zobowiązania natury politycznej i prawnej należy rozpatrywać w określonym kontekście z uwzględnieniem okoliczności, w których wypowiedzi są składane, a zobowiązania przyjmowane.

Zasadę, zgodnie z którą umowy muszą być dotrzymane (*pacta servanda sunt*) równoważą znana od czasów rzymskich klauzula: umowy będą dotrzymane, „jeśli nie będzie zasadniczej zmiany okoliczności” (*rebus sic stantibus*). Jest naturalne, że dla narodów Europy Środkowej i Wschodniej rozpad ZSRR, rozwiązanie Układu Warszawskiego, zjednoczenie Niemiec, zakończenie zimnej wojny i koniec bipolarnego systemu – wszystko to było zasadniczą zmianą okoliczności. Powstała całkiem nowa sytuacja, a zewnętrzne warunki bezpieczeństwa państw uległy radykalnej zmianie. Z tego względu państwa zachodnie podjęły z Rosją negocjacje, aby w procesie rozszerzania NATO na Wschód uwzględniać zrozumiałe interesy bezpieczeństwa w Rosji.

NATO i Unia Europejska stały się dla państw Europy Środkowo-Wschodniej głównymi stabilizatorami. Proces dostosowywania się tych państw do wymogów określonych przez obie euroatlantyckie instytucje przyspieszył ich transformację wewnętrzną, modernizację i sprzyjał konsolidacji rządów opartych na zasadach i instytucjach prawa, wolnego rynku oraz przestrzegania praw jednostek i praw mniejszości. Rozszerzenie NATO i UE spełniało zatem funkcje nie tylko stabilizatora, ale też promotora transformacji i modernizacji. Wejście nowej grupy państw do NATO i Unii Europejskiej spełniało rolę mechanizmu prewencyjnego, który zapobiegał potencjalnym konfliktom. Wystarczy wyobrazić sobie, jak Europa wyglądałaby dziś – po rosyjskiej aneksji Krymu i destabilizacji Ukrainy – w sytuacji, gdy państwa Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej nie weszłyby do NATO i Unii Europejskiej. Decyzje o ich przyjęciu były dobrą inwestycją w stabilność i bezpieczeństwo całej Europy – w tym również Rosji, której zachodnie granice nigdy od blisko 300 lat nie były równie bezpieczne i niezagrożone.

Z drugiej strony, taki rozwój wypadków sprzyjał narastaniu w Rosji frustracji i niezadowolenia. Po rozpadzie ZSRR zdecydowana większość państw znalazła bowiem swoje miejsce w nowym systemie, który wyłonił się po zakończeniu zimnej wojny; natomiast – w odczuciu przywódców na Kremlu – Federacja Rosyjska spychana była na margines głównego nurtu, w którym centralne miejsce zajmowały NATO i Unia Europejska. Stąd mity i legendy, jakoby Zachód nie dotrzymał przyrzeczeń, że nie dopuści

do rozszerzenia Sojuszu⁴³. Zobowiązanie to było dotrzymywane, jak długo istniały Układ Warszawski i Związek Radziecki. Zmiana okoliczności wymagała nowych decyzji.

W rzeczywistości każdy etap rozszerzania poprzedzany był przecież rozmowami, wyjaśnieniami i nowymi uzgodnieniami w porozumieniach z Federacją Rosyjską. Kroki te miały prowadzić do ukształtowania nowego kooperatywnego mechanizmu bezpieczeństwa. Taki był główny sens Aktu Stanowiącego między Rosją a NATO zawartego w Paryżu 27 maja 1997 roku oraz Deklaracji Rzymskiej uzgodnionej na szczycie NATO – Rosja w końcu maja 2002 roku. Efektem tych dyplomatycznych zabiegów było między innymi powołanie do życia Rady NATO – Rosja. Jednak te deklaracje i instytucje nie spełniły rosyjskich oczekiwań: narastało tam przekonanie, że mocarstwa zachodnie, a w szczególności Stany Zjednoczone, prowadzą politykę „okrażania” Rosji i spychania jej z głównego nurtu politycznego, w ramach którego zapadają decyzje o przyszłości świata. Podtrzymywano też mit, jakoby Rosja była oszukiwana przez swoich partnerów, a ich wcześniejsze przyrzeczenia nie były dotrzymywane. Stąd postulat, aby nowy system bezpieczeństwa europejskiego miał charakter zobowiązań traktatowych.

NATO 2020 – NOWA KONCEPCJA STRATEGICZNA

W okresie, gdy toczyły się prace nad nową koncepcją strategiczną NATO, Rosja wniosła pod rozprawę państw obszaru transatlantyckiego wspomniane dwa projekty dokumentów. Prezydent Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew przesłał 29 listopada 2009 roku członkom OBWE formalnoprawny zarys traktatu o bezpieczeństwie europejskim⁴⁴. Kilka dni później (4 grudnia 2009 roku) rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow prze-

⁴³ Por. M. Kremer, *The Myth of a No-NATO Enlargement Pledge to Russia*, „The Washington Quarterly”, 2009, April. Z tego nurtu wywodzi się też powracająca w środowisku przeciwników rozszerzenia teza, jakoby zakończeniu zimnej wojny towarzyszyły pewne uzgodnienia, o których później zapomniano. Nie była to zмова ani obietnica, ale wspólne pojmowanie „pokojowego rozwiązania” (*The Cold War Settlement*) jako swoistej hybrydy: *The Cold War settlement was a hybrid, a mixture of Vienna – like great power accommodation and Versailles – like liberal international institution building*. Słowem, mieszanka Kongresu Wiedeńskiego (1815) z traktatem wersalskim (1918). D. Deudney, G. J. Ikenberry, *The Unraveling of the Cold War Settlement*, „Survival”, t. 51, nr 6, s. 45.

⁴⁴ Por. <http://news.kremlin.ru/news/6152>.

kazał sekretarzowi generalnemu Sojuszu Północnoatlantyckiego projekt umowy między Rosją a NATO⁴⁵. Artykuł 2 tego projektu postulował – jak o tym już wspomniano – że jeśli którekolwiek państwo wchodzące w skład Rady NATO – Rosja uzna powstałą sytuację za zagrożenie lub wyzwanie, to może zwołać posiedzenie Rady, która uruchomi proces wspólnego podejmowania decyzji w tej sprawie. Rosja z jednej strony zadeklarowała, że jej celem jest ustanowienie systemu „niepodzielnego bezpieczeństwa”, a z drugiej postulowała wprowadzenie rozróżnienia uprawnień między „starymi” a „nowymi” członkami Sojuszu. Różnicowanie „starych” i „nowych” członków NATO sygnalizowało polityczną filozofię i motywy stanowiska Rosji wobec Sojuszu. W tej formie Rosja określiła swoją polityczną pozycję, ale nie miała złudzeń, że jej projekt będzie podstawą negocjacji. Rosja w ten sposób potworzyła, że nie tylko nadal traktuje proces rozszerzania Sojuszu jako zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa, ale – co więcej – postuluje zróżnicowane podejście do bezpieczeństwa „starych” i „nowych” członków Sojuszu. Można zatem przypuszczać, że projekt nie był traktowany jako podstawa do prowadzenia poważnych rokowań. Propozycje Rosji miały przede wszystkim przeciwdziałać przyjmowaniu do NATO nowych państw. Często powracał też rosyjski argument, że Zachód nie respektuje własnych przyrzeczeń.

W istocie przywołana już jednostronna deklaracja Solany z marca 1997 roku – uzgodniona wcześniej z Primakowem – poprzedzała o dwa lata przyjęcie do Sojuszu trzech nowych państw – Polski, Czech i Węgier (12 marca 1999 roku). Zobowiązanie to miało charakter moralno-polityczny, a nie prawny. Niemniej było ono przez państwa NATO przestrzegane. W kilka lat później – przed kolejnym przyjęciem do Sojuszu siedmiu nowych państw – na szczycie NATO zwołanym w bazie wojskowej koło Rzymu (Pratica di Mare, maj 2002 roku) uchwalono dokument o jakościowo nowych stosunkach między Rosją a NATO⁴⁶. Sojusz stworzył w ten sposób perspektywę konstruktywnego włączenia się Rosji do realizacji wspólnej polityki bezpieczeństwa w Europie i innych częściach świata. Dokument ten przyjęto w oczekiwaniu, że Rosja porzuci bezzasadną propagandową

⁴⁵ NATO Unclassified – SG (2009) 0995. Paper Received from Russian MFA, Sergei Lavrov, 4 Dec. 2009.

⁴⁶ *NATO–Russia Relations: A New Quality. Declaration by Heads of the State and Government of NATO States and the Russian Federation*, www.nato.int/docu/basic-txt/6020528e.pdf.



Rozmowa Javiera Solany, wysokiego przedstawiciela Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa i sekretarza generalnego Rady Unii Europejskiej z polskim ministrem spraw zagranicznych, Adamem D. Rotfeldem, Bruksela, czerwiec 2005 r.

retorykę traktowania NATO jako „wrogiego ugrupowania”, a co ważniejsze – przyjmie (nie tylko werbalnie) system wspólnych uniwersalnych wartości, którymi kieruje się wspólnota transatlantycka demokratycznych państw. Sojusz nie kierował się bowiem wobec Rosji filozofią wyłączenia (*exclusiveness*), ale włączania (*inclusiveness*) i wspólnego angażowania się w zapewnienie kooperatywnego bezpieczeństwa. Ilustracją tego podejścia była nie tylko amerykańska polityka nowego otwarcia (*reset*), ale również programowe wystąpienie nowego sekretarza generalnego NATO z 18 września 2009 roku⁴⁷ oraz wiele innych konkretnych inicjatyw, zwłaszcza w sferze kontroli zbrojeń, adresowanych do Rosji.

Na dłuższą metę taka polityka byłaby skuteczna, gdyby spotkała się ze wzajemnością strony rosyjskiej. Innymi słowy, NATO dla zapewnienia swego bezpieczeństwa potrzebowało Rosji, podobnie jak Rosja potrzebowała NATO. Sekretarz stanu USA Hillary R. Clinton w wystąpieniu na Strategicznym Seminarium Sojuszu w Waszyngtonie – zorganizowanym pod auspicjami Grupy Ekspertów przygotowujących nową koncepcję strategiczną NATO 2020 – złożyła 22 lutego 2010 roku w tej sprawie istotną deklarację:

Wśród wyzwań, którym Rosja musi stawiać czoło, nie ma NATO. Chcemy takich relacji NATO – Rosja, które będą oparte na współpracy przynoszącej konkretne rezultaty i sprzyjającej zbliżeniu między NATO a Rosją⁴⁸.

Wybór należał do Rosji.

Relacje między NATO a Rosją są integralną częścią składową globalnego procesu politycznego, który nie jest realizacją z góry przyjętych założeń i modeli. Stosunki te podlegają fluktuacjom i w większej mierze zależą od rozwoju wypadków na wewnętrznej i światowej scenie niż od oczekiwań lub koncepcji formułowanych przez polityków i ekspertów. Tak na przykład, w okresie rozpadu ZSRR i zanikania dwubiegunowego systemu bezpieczeństwa, sprawą kluczową dla zapewnienia europejskiej stabilności

⁴⁷ *NATO and Russia: A New Beginning*, Speech by NATO Secretary General Anders Fogh Rasmussen at the Carnegie Endowment, Brussels, 18 September 2009.

⁴⁸ *Address by US Secretary of State, Hillary Rodham Clinton at the Strategic Concept Seminar 4: Transformation, Structures, Forces and Capabilities*, Washington, 22-23 Feb. 2010, www.acus.org/event/hillary-clinton-future-nato/transcript.

było poszukiwanie dróg i sposobów przywrócenia jedności Niemiec, rozwiązania Układu Warszawskiego i wycofania broni jądrowej z trzech republik radzieckich, które uzyskały niepodległość (Ukraina, Białoruś, Kazachstan). Rozwiązanie tego zadania wymagało ścisłej i opartej na zaufaniu współpracy z nową Rosją. Prezydenci – Michaił Gorbaczow, a następnie Borys Jelcyn – otrzymali zapewnienie mocarstw zachodnich, że pokojowe zjednoczenie Niemiec nie będzie oznaczać rozszerzenia Sojuszu Północnoatlantyckiego na Wschód⁴⁹. W dwadzieścia pięć lat później Rosja odwołuje się do ówczesnych oświadczeń, aby dowieść, że Zachód nie dotrzymał złożonych przyrzeczeń i złamał zasadę *pacta servanda sunt* – a równocześnie całkowicie ignoruje formalne gwarancje, jakie Ukraina otrzymała w 1994 roku od Rosji, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, zgodnie z którymi jej integralność terytorialna nie będzie naruszana⁵⁰. Nowe prze-myślenia adresowane do Rosji znalazły odbicie zarówno w raporcie Grupy Ekspertów pt. „NATO 2020”, jak też w decyzjach Szczytu w Lizbonie⁵¹.

UZGODNIENIA Z LIZBONY

Sprawy te były przedmiotem wielu debat na marginesie opracowywania nowej koncepcji strategicznej NATO – również podczas wizyty Grupy Ekspertów w Moskwie.

⁴⁹ Szerzej na ten temat por. A. D. Rotfeld, *Zachód a Rosja: poszukiwanie nowej strategii* [w:] *Przebyta droga. 1989-2009, Praca zbiorowa dedykowana Aleksandrowi Smolarowi*, Warszawa 2010, s. 414 i nast. W tekście – fragmenty odtajnionych notatek z rozmów Michaiła Gorbaczowa z przywódcami mocarstw zachodnich i ich zapewnieniach o nierozszerzaniu NATO. Por. też: M. Kremer, *The Myth of a No-NATO Enlargement Pledge to Russia*, „The Washington Quarterly” 2009 (dostępny na: www.twq.com/09april/docs/09apr_kramer.pdf). W eseju również polemika z tezą, jakoby zakończeniu zimnej wojny towarzyszyły pewne uzgodnienia (*The Cold War Settlement*), o których później zapomniano. Pogląd taki wyrazili D. Deudney i G. J. Ikenberry, *The Unraveling of the Cold War Settlement*, „Survival” 2009, nr 6, s. 45. Por. też: M. E. Sarotte, *Perpetuating U.S. Preeminance. The 1990 Deals to „Bribe the Soviets Out” and Move NATO In*, „International Security” 2010, nr 1, s. 110-137.

⁵⁰ Trójstronne Porozumienie Rosji, USA i Ukrainy zawarte w Moskwie (14 stycznia 1994 r.) i Memorandum Budapeszteńskie (5 grudnia 1994 r.); http://en.wikisource.org/wiki/Ukraine._Memorandum_on_Security_Assurances.

⁵¹ *NATO 2020. Zapewnione bezpieczeństwo. Dynamiczne zaangażowanie* („Raport Albright”), wprowadzenie i redakcja A. D. Rotfeld, Warszawa 2010. Por. też *Strategic Concept for the Defense and Security of the NATO. Adopted by Heads of State and Government at the NATO Summit in Lisbon, 19-20 Nov. 2010*.

Strona rosyjska wskazywała na potrzebę zawarcia nowego traktatu, który gwarantowałby na płaszczyźnie prawa międzynarodowego, że nowe zobowiązania będą respektowane. Po stronie zachodniej dominowało podejście praktyczne, którego ilustracją był przyjęty w Lizbonie (19–20 listopada 2010 roku) wspólny katalog wyzwań i zagrożeń. Uzgodnienia te otwierały nowe perspektywy współpracy w zwalczaniu terroryzmu, piractwa, proliferacji broni masowego rażenia, współdziałania w reagowaniu na katastrofy i klęski żywiołowe oraz w zakresie ułatwiania przez Rosję realizacji misji Sojuszu w Afganistanie.

Sojusz zadeklarował wówczas gotowość współpracy z Rosją również w sprawach obrony przeciwrakietowej. Oferta dotyczyła współpracy między dwoma odrębnymi systemami obrony przeciwrakietowej – rosyjskim i sojuszniczym (a nie włączenia Rosji do systemu NATO). Stosunek Rosji do idei zintegrowanego systemu obrony przeciwrakietowej podlegał ewolucji: po początkowych postulatach budowy wspólnego systemu pojawiły się po stronie rosyjskiej – z początkiem 2010 roku – wątpliwości, czy zgoda podejrzania, że Stany Zjednoczone przewidują dla Rosjan rolę podwykonawców. Jedno jest pewne: decyzje z Lizbony dotyczyły współpracy i wzajemnego komunikowania się, a nie tworzenia wspólnego systemu obrony przeciwrakietowej.

Rosja traktuje obronę przeciwrakietową jako kluczowy element równowagi strategicznej. Z tego względu postulowała zarówno w kontekście porozumienia START-3, jak i współdziałania z Sojuszem respektowanie zasady równości i partnerstwa. W rosyjskim stanowisku zaprezentowanym 20 listopada 2010 roku w Lizbonie pojawiła się idea „sektorowej odpowiedzialności” w systemie obrony przeciwrakietowej. Tego typu podział zadań mógłby być rozważany w ramach zintegrowanego systemu. Skoro jednak przyjęto rozwiązanie oparte na zasadzie całkowicie odrębnych i autonomicznych systemów, między którymi jest łączność, komunikacja i interoperacyjność, to podział zadań i odpowiedzialności nie mieści się w ramach tego typu podejścia.

Bezpośrednim efektem przyjętych w Lizbonie uzgodnień na linii NATO – Rosja było porozumienie o rozszerzeniu tranzytu przez rosyjskie terytorium na potrzeby zaopatrzenia sił Sojuszu w Afganistanie. Dostawy te, głównie koleją, nie obejmują broni i sprzętu wojskowego. Rosja zwiększyła też swój udział w programach wspierania armii afgańskiej. Zobowią-

zała się do współdziałania w zwalczaniu przemytu narkotyków z Afganistanu oraz terroryzmu i piractwa, współpracowała w przeciwdziałaniu proliferacji broni masowego rażenia oraz likwidowaniu skutków katastrof i klęsk żywiołowych. Te i inne formy współdziałania między Rosją a Sojuszem można zaliczyć do szeroko pojmowanej kategorii środków budowy zaufania i kształtowania nowego typu systemu bezpieczeństwa.

Uzgodnienia Rady NATO – Rosja z udziałem głów państw i szefów rządów w Lizbonie (20 listopada 2010 roku) zamykały – jak się wydawało – okres ochłodzenia i „zawieszenia” stosunków między Sojuszem a Federacją Rosyjską po zbrojnej interwencji armii rosyjskiej w Gruzji w sierpniu 2008 roku. Niestety, kryzys wokół Ukrainy zaostrzył stosunki między Rosją a Sojuszem. Stąd na porządku dziennym staje pilna potrzeba fundamentalnego przemyślenia przyszłych relacji między NATO a Rosją.

OBRONA A BEZPIECZEŃSTWO

Sojusz – po zakończeniu zimnej wojny – często był postrzegany jako wyłaniająca się struktura bezpieczeństwa zbiorowego, zwłaszcza w związku z powstaniem wielu nowych instytucji, które są dla NATO formą współpracy z państwami nieczłonkowskimi. Wyrazem tej roli Sojuszu były nowe instytucje: Partnerstwo dla Pokoju, Rada Partnerstwa Euroatlantyckiego, Rada NATO – Rosja, Komisja NATO – Ukraina i inne. Instytucje te nie są tożsame z systemem bezpieczeństwa zbiorowego i nie mogą przesłaniać zasadniczych celów, które przyświecały sygnatariuszom traktatu waszyngtonskiego:

Ochroniać wolność, wspólne dziedzictwo i cywilizację swych narodów, oparte na zasadach demokracji, wolności jednostki i praworządności

oraz

Połączyć swe wysiłki w celu zbiorowej obrony oraz zachowania pokoju i bezpieczeństwa⁵².

⁵² Traktat Północnoatlantycki – NATO Handbook Documentation, Brussels 1999, s. 35. Dz.U. 2000, nr 87, poz. 970.

Polityczny wymiar Sojuszu i jego nowe postrzeganie – jako ważnej części składowej systemu bezpieczeństwa zbiorowego mogą mieć wartość dodaną, ale nie mogą zastępować obronnej istoty NATO jako wojskowej organizacji demokratycznego świata.

Fundamentalna różnica między bezpieczeństwem zbiorowym a sojuszem obronnym polega na tym, że system bezpieczeństwa zbiorowego ma zapobiegać potencjalnej napaści jednego z państw członków wewnątrz systemu; natomiast sojusz obronny zapewnia bezpieczeństwo i chroni państwa przed napaścią z zewnątrz. Instytucją, która z założenia miała pełnić funkcję systemu bezpieczeństwa zbiorowego w skali uniwersalnej, jest Organizacja Narodów Zjednoczonych, a w skali regionalnej – Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Wątpliwości – dotyczące skuteczności NATO – są związane z reakcją Sojuszu na konkretne sytuacje i wyzwania. Po doświadczeniach konfliktu zbrojnego w Gruzji w sierpniu 2008 roku na porządek dzienny powróciła debata o obowiązywaniu fundamentalnych zasad regulujących stosunki między państwami, w szczególności o znaczeniu zasady integralności terytorialnej, nienaruszalności granic, nieużycia siły i nieinterwencji.

Artykuł 5 Traktatu Waszyngtońskiego daje gwarancje bezpieczeństwa tylko państwom członkowskim. Jednak naruszenie tych fundamentalnych zasad nie może być obojętne ani dla Sojuszu jako całości, ani dla poszczególnych państw wchodzących w skład NATO. Stanowisko Rosji zademonstrowane na oczach całego świata wobec Ukrainy – w kontekście „operacji specjalnej”, zmierzającej do oderwania Krymu z pogwałceniem norm prawa międzynarodowego i ukraińskiej konstytucji – zmusza Sojusz do zdefiniowania nowego podejścia do zagrożenia, jakie niesie ze sobą polityka rosyjska wobec najbliższych sąsiadów i całego euroatlantyckiego regionu.

Agresywne działania, użycie siły i groźba jej użycia nie mogą być zignorowane. Przeciwdziałanie Sojuszowi oraz Unii Europejskiej i wielu innych państw, w tym Szwajcarii, przewodniczącej w 2014 roku OBWE – doprowadziły w Mińsku (luty 2015) do zawieszenia broni i stopniowej deeskalacji napięcia. Jednak wiele elementów rosyjskiej polityki świadczy o tym, że Rosja obrała strategię permanentnego osłabiania Ukrainy i jej wasalizacji.

Rzecz jasna, gdy mówimy o stanowiskach państw, to mamy na myśli politykę i decyzje podejmowane przez rządy. Nie należy jednak utożsamiać rządów z całym narodem, czy też jego duchowymi elitami. Niestety,

w dzisiejszej Rosji wpływ intelektualistów i środowisk pozarządowych na realną politykę okazał się więcej niż ograniczony. Poza tym, do stanowiska oficjalnego zbliżone są – jak można się było tego spodziewać – opinie „koncesjonowanych” pozarządowych (ale kontrolowanych przez rząd) organizacji typu rosyjska Rada Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. W Rosji dominuje przekonanie, że to siła i tylko siła, a nie wartości mają znaczenie w budowie systemu bezpieczeństwa. Na cztery lata przed ukraińskim kryzysem w swojej ocenie minionego 2009 roku i prognozie na nadchodzącą dekadę Siergiej Karaganow pisał:

Należy rozumieć, że nowy system bezpieczeństwa europejskiego nie jest możliwy bez aktywnego przyzwolenia Stanów Zjednoczonych. W przeciwnym wypadku system ten będzie torpedowany przez część nowych Europejczyków, którzy w coraz mniejszej mierze słuchają starych Europejczyków. Tylko Stany Zjednoczone mogą wymusić ich bardziej konstruktywne zachowanie⁵³.

Autor demonstrował swoisty paternalizm i arogancję wobec „nowych Europejczyków”, czyli państw średnich i małych z naszej części Europy. Prezentował rozumowanie, zgodne z którym „wielkim wolno więcej...”. W jego myśleniu równorzędnymi partnerami dla Rosji są mocarstwa – zwłaszcza Stany Zjednoczone. Karaganow mylił się gruntownie, gdy sądził, że na Kremlu zwycięży koncepcja strategicznego zbliżenia Rosji z USA – po to, by zostać „trzecim uczestnikiem wyłaniającego się amerykańsko-chińskiego duumwiratu zarządzającego światem w przyszłości”. Główną słabością rozumowania Karaganowa i jemu podobnych rosyjskich analityków jest pomieszanie arogancji, wynikającej ze świadomości rosyjskiego potencjału jądrowego, z kompleksem niższości mocarstwa, które definitywnie traci swoją pozycję i utraci ją, jeśli nie podejmie działań na rzecz modernizacji we współpracy z obszarem euroatlantyckim, czyli Stanami Zjednoczonymi i Europą.

Po przejściu urzędu prezydenta Rosji przez Dmitrija Miedwiediewa wydawało się, że znacznie większy wpływ na formułowanie nowej rosyjskiej

⁵³ Pełny tekst: S. Karaganow, *Proszedszjy god i priedstojaszczje diesiatiletije*, „Rossijskaja Gazieta”, 2010, 15.01.

strategii będą wywierać koncepcje badaczy i ekspertów skupionych wokół powołanego wówczas Instytutu Współczesnego Rozwoju (ISOR), którym kieruje Igor Jurgens, oraz Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych RAN (pod dyrekcją akademika Aleksandra Dynkina). Tak się nie stało. W publikacji *Architektura bezpieczeństwa euroatlantyckiego*⁵⁴ autorzy z ISOR i IMEMO pisali:

Nasz obiektywny interes na dziś: dojść do tego, by się Rosji nie tyle bali (ponieważ jest silna i mało co ją powstrzymuje), co ją szanowali (ponieważ jest silna i prowadzi odpowiedzialną i kooperatywną politykę)⁵⁵.

Dziś takie podejście jest uważane za szkodliwe i antyrosyjskie. Powróciło myślenie, zgodnie z którym Rosja ma budować system bezpieczeństwa oparty nie na współzależności, ale na sile, nie na przewidywalności i współpracy, ale na zaskoczeniu, zastraszaniu i wymuszaniu oraz podporządkowaniu sąsiadów rosyjskim interesom.

Od zakończenia II wojny światowej przez okres blisko półwiecza zasadniczym celem polityki zagranicznej ZSRR było dążenie do utrzymania politycznego i terytorialnego *status quo*. Chodziło o utrwalenie wyników zwycięstwa, którego efektem były podział Europy i Niemiec oraz dominacja radziecka na obszarze Europy Środkowej i Wschodniej. Taki był główny motyw strategii ZSRR. Po dwudziestu pięciu latach, które minęły od upadku systemu bipolarnego, Rosja w pewnej mierze powraca do starej strategii i usiłuje przywrócić imperialną pozycję, jaką zajmowała carska Rosja przed I wojną światową. Z tego względu „odzyskanie” Ukrainy postrzegane jest jako priorytet priorytetów.

Dzisiejsza aktywność Rosji motywowana dążeniem do odtworzenia dawnej pozycji i roli międzynarodowej, jaką w przeszłości odgrywał ZSRR, jest skazana na niepowodzenie. Szanse na wcielenie w życie tego projektu nie są wielkie. Inny jest świat, inna jest Rosja.

Powrót do imperialnej filozofii politycznej i strategii wojskowej z przełomu wieków XIX i XX jest świadectwem nie tyle bezradności intelektualnej, ile słabości rosyjskiego państwa; niewiary w atrakcyjność

⁵⁴ *Architektura jęwoatlantycznej biezopasnosti*, dz. cyt.

⁵⁵ Tamże, s. 117.

i siłę przyciągania Rosji jako centrum ciężenia dla państw, które wchodziły w skład ZSRR. Strategia oparta na pogardzie dla uniwersalnych wartości, którymi kierują się demokratyczne społeczeństwa – na braku zaufania i koncepcji, że o sile Rosji zdecyduje słabość jej sąsiadów, skazana jest na porażkę. Droga, którą obrała Rosja, prowadzi do samoizolacji, stagnacji i do wewnętrznej oraz zewnętrznej destabilizacji. Prowadzi donikąd.

UWAGI KOŃCOWE

Kryzys wokół Ukrainy, a w szczególności użycie siły zbrojnej i wspierany z zewnątrz separatyzm, skłoniły wielu obserwatorów do postawienia pytania: dlaczego wielostronne instytucje bezpieczeństwa nie spełniają w tym przypadku pokładanych w nich nadziei? Rozważano, czy we wspólnocie euroatlantyckiej nastąpiło swoiste „rozmagnetyzowanie” sojuszniczych działań w zakresie bezpieczeństwa? Czy nie jesteśmy ofiarami dominującego dziś w Europie przekonania, że znikły tradycyjne zagrożenia, odpowiedzialność za naszą obronę ponoszą wielostronne struktury Sojuszu, a zatem indywidualny wysiłek poszczególnych państw nie jest już konieczny? Słowem, na porządku dziennym stoi dziś fundamentalne pytanie: co stanowi o istotnych słabościach euroatlantyckiego systemu bezpieczeństwa w drugiej dekadzie XXI wieku?

Kryzys polityczny, gospodarczy i wojskowy w relacjach NATO z Rosją na tle Ukrainy skłonił polityków i ekspertów do zastanowienia się oraz postawienia dodatkowego pytania: czy w ogóle Rosja może być partnerem, który chce i w dobrej wierze będzie respektować przyjęte zobowiązania?

Odpowiedź badaczy sprowadzała się – na płaszczyźnie intelektualnej – do następującego wyjaśnienia: instytucje, struktury i organizacje bezpieczeństwa mają charakter statyczny (i odpowiadają potrzebom czasu, kiedy powoływano je do życia). Natomiast ryzyka, zagrożenia i wyzwania mają charakter dynamiczny. W efekcie mandaty instytucji bezpieczeństwa często nie odpowiadają nowym zmienionym i zmieniającym się potrzebom.

Jest to rozumowanie logiczne i racjonalne, ale nie wyjaśnia politycznej istoty rzeczy. Są bowiem organizacje powołane do wykonania określonego zadania i po wyczerpaniu swego mandatu obumierają, jeśli państwa w porę nie uzgodniły dla tych instytucji nowego mandatu.

Na tle wielu innych międzynarodowych organizacji Sojusz NATO jest praktycznie jedyną skuteczną instytucją euroatlantyckiego bezpieczeństwa. Wyobraźmy sobie stan zagrożenia Polski i innych państw naszego regionu, gdyby spełniony był rosyjski postulat i kraje te znalazły się w „szarej” strefie poza Sojuszem. W takiej – trudnej dziś do wyobrażenia sytuacji – ta grupa państw i ich bezpieczeństwo byłyby nie tylko w strefie ryzyka i zagrożeń, ale stałyby się ofiarami bezpośredniej agresji, na którą narażone są Ukraina i Gruzja.

Konflikt wokół Ukrainy skłonił do głębokiej refleksji różne gremia teoretyków i przywrócił znaczenie czynnika wojskowego i jego rolę w zapobieganiu konfliktom w formie odstraszenia potencjalnego agresora.

Często formułowana jest w tym kontekście teza, jakoby światu i Europie groził powrót do zimnej wojny. Jest to myślenie kategoriami przeszłości.

Dziś zagrożenia są innej natury. W czasach zimnej wojny relacje Wschód – Zachód nacechowane były wrogością natury ideologicznej, która przenikała wszystkie sfery stosunków między blokami: politykę i gospodarkę, aspekty wojskowe i humanitarne. Okres pozimnowojenny przyniósł deideologizację relacji międzypaństwowych. Jednak w państwach niedemokratycznych oznaczało to w praktyce powrót do traktowania potencjału zbrojnego jako narzędzia nacisku i wymuszania oraz podporządkowania państw słabszych silniejszym. Jest to powrót do koncepcji „stref wpływów” lub „stref uprzywilejowanych interesów”, którymi mają prawo otaczać się globalne mocarstwa. Przywódca Rosji Władimir Putin zyskał poparcie prawicowych i skrajnie prawicowych środowisk Francji, Anglii, Włoch i innych państw zachodnich. Rosyjskie środki masowego przekazu „wyznaczyły” prezydentowi Rosji do odegrania nową rolę – przywódcy obozu konserwatywnego w skali globalnej. Komentatorom rosyjskim nie przeszkadzało to, że wśród sił popierających politykę Rosji wobec Ukrainy są ugrupowania nacjonalistyczne, szowinistyczne, a nawet jawnie faszystowskie. Można było odnieść wrażenie, że najważniejszym kryterium „konserwatyizmu” jest sprzeciw i zwalczanie idei liberalno-demokratycznych. Ta nowa ideologiczno-polityczna hybryda urasta do jednej z głównych przeszkód w poszukiwaniu wspólnoty bezpieczeństwa transatlantyckiego z udziałem Rosji, która szanowałaby katalog uzgodnionych uniwersalnych wartości.

Systemy autorytarne w Rosji, państwach Azji Środkowej i na Kaukazie nie akceptują europejskich wartości i postrzegają zobowiązania w sferze wolności i swobód obywatelskich oraz – szerzej – praw człowieka jako zagrożenie, które może prowadzić do przemian ustrojowych, do transformacji sposobu sprawowania władzy i modernizacji. W konsekwencji przywódcy państw rządzonych w sposób autorytarny obawiają się, że w wyniku niezadowolenia społecznego może dojść do zmiany ekip sprawujących władzę. Tym właśnie należy tłumaczyć niechęć do wartości promowanych przez OBWE, jak też taktyczną solidarność Rosji i Chin wobec postulatów wspólnoty demokratycznych państw Zachodu.

System bezpieczeństwa międzynarodowego w okresie przejściowym charakteryzują elementy niepewności, niestabilności, niedookreśloności oraz swoistego rozchwiania. Stąd zjawisko politycznej nieprzewidywalności. Jest to stan, w którym stare zagrożenia nie znikły, a nie wypracowano skutecznych mechanizmów i procedur zapobiegania oraz przeciwdziałania nowym ryzykom i wyzwaniom. Należą do nich inspirowane irredenty i „buntownicze wojny”, które destabilizują państwa, osłabiają je i pozwalają osiągać cele polityczne, gospodarcze i wojskowe per procura – bez angażowania własnych sił zbrojnych na terytorium państwa, przeciwko któremu działania te są wymierzone⁵⁶.

Wymaga to nie tyle wypracowania nowej teorii, ile podjęcia praktycznych działań na podstawie decyzji, które mogą zapaść na najwyższym szczeblu – na szczycie NATO. Decyzje te powinny być poprzedzone uzgodnieniami, które pozwolą określić wspólną ocenę zagrożeń. W tej sprawie utrzymują się między państwami Sojuszu istotne różnice. Wiąże się z tym

⁵⁶ W kontekście działań zmierzających do osłabienia Ukrainy, destabilizacji politycznej i dysfunkcjonalności oraz zapoczątkowania procesu rozpadu tego państwa w rosyjskich publikacjach wojskowych („Niezawisimoje Wojennoje Obozrieniye”, „Znaniye – Włast”) przypomniano koncepcję „wojen buntowniczych” (*miatieżewojna*), której autorem był Jewgienij Eduardowicz Messner (1891-1974). W latach 60. ubiegłego wieku Messner opublikował w Argentynie szereg prac poświęconych nowej koncepcji wojny: *Miatież – imia trietiej wsiemirnoj; Wsiemirnaja miatieżewojna*, Moskwa 2004. Główne tezy autora sprowadzają się do tego, że „wojny buntownicze – to bitwy o dusze wojującego narodu”. Egzemplifikacją tej teorii są działania prowadzone na wschodzie i południu Ukrainy. Szerzej: *Putin walczy o duszę Rosji*, Rozmowa z Adamem D. Rotfeldem, „Gazeta Wyborcza”, 2014, 26 marca, *Polityka Ekstra*, s. 10-11.

konieczność zwiększenia wydatków wojskowych i dostosowania ich do nowych zagrożeń⁵⁷. W praktyce będzie to możliwe w wyniku przewyciężenia oporów wewnątrz Unii Europejskiej i podjęcia decyzji o wspólnej obronie i bezpieczeństwie państw NATO i UE.

Skoro wojny – jak czytamy w Preambule do Konstytucji UNESCO – „biorą początek w umysłach ludzi, więc i w umysłach ludzi musi być zbudowana obrona pokoju”⁵⁸.

Skłania to różne gremia złożone z intelektualistów, myślicieli i byłych polityków do prezentowania nowych koncepcji odpowiadających potrzebom czasu. Jedną z takich grup jest ELN – *European Leadership Network*. Wcielanie w życie postulowanej przez ELN idei Szerszej Europy (*Greater Europe*), której bezpieczeństwo ma być oparte na współpracy, wymaga innowacyjnego myślenia w kierowniczych gremiach obu transatlantyckich instytucji bezpieczeństwa⁵⁹. Punktem wyjścia do skutecznej realizacji wspólnej strategii budowy trwałego pokoju i bezpieczeństwa w Europie jest jednakowe postrzeganie i rozumienie zagrożeń przez wszystkie państwa transatlantyckiej wspólnoty.

W relacjach Sojuszu i Unii z Rosją odbudowa wzajemnego zaufania wymaga nie tyle powołania nowych instytucji lub uzgadniania nowych dokumentów, ile stworzenia warunków, które umożliwiłyby podjęcie politycznego dialogu i powrót do fundamentalnych zasad respektowania prawa oraz reguł gry i uzgodnionego kodeksu postępowania.

Grupa ELN pod nazwą *Task Force on Cooperation in Greater Europe* wypracowała w lipcu 2014 roku dokument dotyczący zarządzania kryzysowego (*crisis management*) w Europie w kontekście wydarzeń na Ukrainie. W raporcie tym czytamy, że „istniejące instrumenty reagowania kryzysowego na linii NATO – Rosja oraz w relacjach Unia Europejska – Rosja są nie-

⁵⁷ Jedynie cztery kraje sojusznicze NATO mają wydatki rządu 2 procent i więcej – Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Grecja i Estonia (wojskowe wydatki USA wynoszą 73 procent całości wydatków 28 państw NATO). Por. H. Conley, *Is it fair to say there is no Euro-Atlantic security approach?*, CSIS, Washington D.C., MAY 16, 2014. Sposobnością do zmiany stanowiska i określenia nowej strategii Sojuszu wobec Rosji był szczyt NATO w Newport (Walia), 4 września 2014 r.

⁵⁸ S. Hubert (red.), *Zbiór Statutów i Regulaminów Organizacji Międzynarodowych*, t. 2, cz. 1, Warszawa 1966, s. 302.

⁵⁹ Koncepcja ta była przedmiotem obrad w Warszawie (30 maja 2014 r.) na podstawie *A Task Force Position Paper on Crisis Management in Europe in the Context of Events in Ukraine*.

adekwatne do wyzwania”. W istocie Unia i Rosja nie mają żadnych wspólnie uzgodnionych procedur zapobiegania i rozwiązywania kryzysów. Autorzy raportu⁶⁰ zalecają „zachowanie maksymalnej powściągliwości” w działaniach podejmowanych przez wojskowych i polityków. Adresują swoje rekomendacje do wszystkich zaangażowanych stron. Postulują zwiększenie częstotliwości i jakości wymiany informacji i poszerzenia kontaktów – w tym zwiększenia wojskowej transparentności (przejrzystości). Zalecają wreszcie podjęcie bezpośredniego dialogu między stronami.

Rekomendacje te są z natury rzeczy mało innowacyjne i skromne. Ich współautorami bowiem są nie tylko eksperci z Zachodu, ale też reprezentanci tych umiarkowanych sił politycznych w Rosji, które nie mają w kierowniczych gremiach rosyjskiego establishmentu głosu decydującego. Co więcej – uchodzą za niezbyt „pewnych” i nazbyt ustępliwych.

Warto powtórzyć: problemy, które doprowadziły do kryzysu w stosunkach między Rosją a Unią Europejską i NATO, nie wynikają z braku instytucji, procedur lub niedostatku technik dyplomatycznych. Są one odbiciem głębokich różnic natury politycznej, kulturowej i psychologicznej w pojmowaniu tego, jakie znaczenie mają wartości w określaniu celów strategicznych i sposobów ich realizacji.

Różnice te zostały jasno zarysowane w uzgodnionym przez międzynarodowy Panel Wybitnych Osobistości (z udziałem rosyjskiego uczestnika – Siergieja Karaganowa) raporcie na temat „bezpieczeństwa europejskiego jako wspólnego projektu”⁶¹. Panel został powołany przez szwajcarskiego

⁶⁰ W pracach tego zespołu uczestniczyli byli politycy i intelektualiści z Wielkiej Brytanii (Des Browne, były minister obrony i Malcolm Rifkind, były minister obrony i spraw zagranicznych), Francji (Paul Quilès i Hervé Morin – byli ministrowie obrony), Niemiec (Volker Rühle, były minister obrony), Hiszpanii (Ana de Palacio, były minister spraw zagranicznych), Turcji i grupa byłych polityków z Rosji (Igor Iwanow, Witalij Trubnikow, Igor Jurgens, Anatolij Adamiszyn i in.). W pracach tego gremium uczestniczyli też obaj współprzewodniczący Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych – akademik Anatolij Torkunow i prof. Adam D. Rotfeld.

⁶¹ Por. Final Report and Recommendations of the Panel of Eminent Persons on European Security as a Common Project *Back to Diplomacy* (November 2015). Publikacja odzwierciedla w syntetycznej formie prace Panelu złożonego z niezależnych badaczy z 15 państw: Finlandii, Francji, Grecji, Gruzji, Kazachstanu, Łotwy, Niemiec, Polski, Rosji, Serbii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Turcji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii. Obrady Panelu koordynował amb. Wolfgang Ischinger z Niemiec, które – na zasadzie rotacji – pełniły w 2016 r. funkcję przewodniczącego OBWE.

przewodniczącego OBWE, Didiera Burkhaltera. Po siedmiu roboczych sesjach uczestnicy Panelu przedstawili swoje oceny i zalecenia pod obrady 22. Rady Ministerialnej OBWE (Belgrad, 3-4 grudnia 2015 roku). Dokument ten sygnalizował trzy różne koncepcje, które w sprawach bezpieczeństwa europejskiego wyrażały państwa Unii Europejskiej i NATO – z jednej strony, Rosja – z drugiej; zaś państwa, które aplikują do Unii i NATO (np. Ukraina i Gruzja) – dystansują się od Rosji i zajmują w tej sprawie odrębne stanowisko.

W konkluzji warto zauważyć, że w polityce bezpieczeństwa Rosji decydujące są czynniki natury wewnętrznej, a nie zewnętrznej. Rosja nie odpowiada na zagrożenia, ale je stwarza. Nie szuka rozwiązań swoich problemów w demokratycznym rozwoju, ale w umacnianiu autorytarnego sposobu sprawowania władzy.

W drugiej dekadzie XXI wieku główne zagrożenia dla międzynarodowego bezpieczeństwa mają charakter niekonwencjonalny i rodzą się wewnątrz państw, a nie między nimi. Źródłem tych zagrożeń są niedemokratyczne sposoby sprawowania władzy i podeptanie uniwersalnych wartości. Niekonwencjonalne wyzwania wymagają w odpowiedzi adekwatnych niekonwencjonalnych strategii politycznych i wojskowych.

Rosja

a nowy porządek międzynarodowy

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Zaborowski

MARCIN ZABOROWSKI: *Panie Profesorze, porozmawiajmy o Rosji. Jak z perspektywy byłego ministra spraw zagranicznych postrzegał Pan rolę Rosji w 2005 roku i jak Pan ją widzi obecnie? Zacznijmy może ab ovo – od aspektów biograficznych. Od pańskiego pierwszego zetknięcia z rosyjską kulturą, z Rosją... i jak to kształtowało Pana myśl polityczną?*

ADAM DANIEL ROTFELD: Debata o Rosji dzisiaj jest *à la mode* – o Rosji niemal wszyscy mówią i piszą. Często są to wypowiedzi dosyć banalne. Powtarzane są znane i głęboko utrwalone stereotypy. Mam do takich obiegowych opinii dystans. Nie bez zadowolenia odnotowałem, że w prezydenckiej kampanii wyborczej sprawa Rosji potraktowana była z powściągliwością i poczuciem odpowiedzialności za używane sformułowania. Ale – zgodnie z Pana sugestią – zacznę od swoich kontaktów z Rosją i Rosjanami.

Po studiach znalazłem – nie bez komplikacji – pracę w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Zatrudniony tam wtedy prof. Stefan Boratyński dowiedział się, że po ukończeniu studiów jestem bez pracy i zareagował spontanicznie, powiedział, żebym się zgłosił w najbliższy poniedziałek do PISM, w którym znajdzie mi jakieś zajęcie. Prof. Stefan Boratyński był autorem wydanej po październiku 1956 r. książki *Dyplomacja okresu II woj-*

ny *światowej* (PWN, 1957). Była to pierwsza publikacja, która dotyczyła ważnych problemów budowania podstaw powojennego ładu pokojowego, dzisiaj już znacznie lepiej poznanych po udostępnieniu akt archiwalnych, które wówczas wciąż jeszcze były tajne. Słowem – książka Boratyńskiego była jedną z pierwszych prób wyjaśnienia sposobów kształtowania powojennego porządku międzynarodowego.

Początkowo byłem zatrudniony w Instytucie, jak byśmy dziś powiedzieli na umowie „śmieciowej”, czyli pracowałem na zlecenia, których istotą była kwerenda dwóch gazet: „Warszawskiego Dziennika Narodowego” oraz „Gazety Polskiej” – za okres od listopada 1918 do września 1939 roku. Sporządzałem dokumentację obu tych gazet od momentu odzyskania przez Polskę niepodległości do klęski wrześniowej. „Warszawska Gazeta Narodowa” (po zamknięciu przemianowana na „Warszawski Dziennik Narodowy”) była organem endecji, z kolei „Gazeta Polska” była quasi-oficjalnym dziennikiem rządowym. W ten sposób zaczynała się moja praca zawodowa, dzięki której miałem niejako „z pierwszej ręki” obraz życia politycznego Polski międzywojennej.

Po pewnym czasie mój bliski znajomy z działalności w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ (mam na myśli Adama Kruczkowskiego, pierwszego przewodniczącego SSP ONZ, który był wtedy redaktorem naczelnym „Spraw Międzynarodowych”) zaproponował mi, bym został redaktorem tego miesięcznika. Z czasem awansowałem na sekretarza redakcji i w tym właśnie charakterze wyjechałem – w ramach współpracy z redakcją wydawanego w Moskwie miesięcznika „Międzynarodowa Żyźń” – w swoją pierwszą podróż służbową. Dodam, że moskiewski periodyk był i pozostaje oficjalnym organem rosyjskiego MSZ. Przyjął mnie wówczas słuszniego wzrostu zastępca redaktora naczelnego o dźwięcznym nazwisku, które utkwiło mi po dziś dzień w pamięci, a mianowicie – Szałwa Parsadanowicz Sanakojew. Opowiadano, że był to książę z Osetii. Do wszystkich współpracowników zwracał się per „ty”, natomiast wobec niego wszyscy używali formy „wy” i traktowali go z ogromnym respektem. Nikt mi nie wyjaśnił, kto jest redaktorem naczelnym. Później dowiedziałem się, że był nim Andriej Gromyko, wieloletni minister spraw zagranicznych, którego komentarze nosiły podpis „Andriej Sowietow”.

W trakcie jakiejś towarzyskiej rozmowy zaproponowałem Rosjanom, aby opublikować radziecką dokumentację z konferencji czasów wojny:

z Teheranu, Jałty i Poczdamu. W tym okresie ukazały się już amerykańskie dokumenty z konferencji na Malcie, w Jałcie i w Poczdamie. Naiwnie zapytałem rosyjskich gospodarzy, dlaczego oni nie wydają swoich akt. Od słowa do słowa, mój rosyjski rozmówca powiedział, że w tej sprawie zwróci się do naczelnego redaktora, czyli do Gromyki. Ten wyraził zgodę, żeby wydać rosyjskie stenogramy, bo na konferencjach tych nie było wspólnego protokołu – każda delegacja prowadziła własne zapisy z rozmów, przy tym dotyczyły one wszystkiego: toastów, rozmów przy posiłkach i oficjalnych rokowań. Efektem mojej podróży było to, że publikowaliśmy te dokumenty jednocześnie z miesięcznikiem „Międzynarodnaja żyżń”. Tłumaczyłem je na bieżąco, a część przed drukiem w „Sprawach Międzynarodowych” zamieściłem – dla zainteresowania szerszej publiczności – na łamach tygodnika „Polityka”. Marian Turski, który wtedy już (ponad 50 lat temu...) był kierownikiem działu historycznego, zorientował się w lot, że protokoły z nieznanym rozmów Stalina z Churchillem i Rooseveltem będą atrakcją dla czytelników. (Dodam na marginesie, że ostatnio – przy okazji uroczystych konferencji organizowanych dla upamiętnienia 70. rocznicy zwycięstwa nad Niemcami – Rosjanie po raz pierwszy ujawnili zapisy z podsłuchiwanym rozmów między Churchillem a Rooseveltem, co dawało im wgląd w motywy i argumenty, którymi posługiwali się przywódcy Zachodu na spotkaniach ze Stalinem.)

Takie to były moje pierwsze służbowe kontakty z ówczesną Rosją i Rosjanami...

Ciekaw jestem, czy Rosjanie, których Pan wówczas poznał, mieli odwagę rozmawiać z Panem w sposób otwarty?

Było różnie. Spotkałem kilku uczonych, ludzi przyzwoitych, którzy oczywiście się bali, byli zastraszeni. Ale nie wszyscy i nie zawsze. Jeden z moich ówczesnych znajomych, częściowo polskiego pochodzenia (miał babcię Rosjanę, a dziadka Polaka, który przed I wojną światową był oficerem czy też urzędnikiem w Warszawie), nazywał się Dmitrij Tomaszewski. Był badaczem w Instytucie Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych (IME-MO), w ramach Rosyjskiej Akademii Nauk (RAN). Instytut ten był i pozostaje jednym z najlepszych i najbardziej prestiżowych rosyjskich ośrodków

badawczych. Tomaszewski pokazywał mi Moskwę i kiedy zbliżyliśmy się do Łubianki, nagle ni stąd, ni zowąd powiedział: „Ten system musi upaść”. Zapytałem go: „Który system?”, a Tomaszewski na to: „Ten system, w którym żyjemy. Tutaj po prostu nic nie funkcjonuje”. Z pewną ironią i przez przerwę zareagowałem: „Jak to nic?”. Na to Tomaszewski: „Wiem, powiesz mi za chwilę, że metro funkcjonuje”. Powiedziałem: „No właśnie, metro. Ale nie tylko metro”. Mijaliśmy właśnie gmach domu handlowego „Dietskij mir”, czyli „Dziecięcy Świat”, a tuż za nim jest Łubianka, którą zajmowały zawsze i nadal zajmują złowrogie służby specjalne, które nazywały się kiedyś, po rewolucji, Czeka, czyli komisja nadzwyczajna (Czriezwyczajnaja komissija), potem – GPU, NKWD, KGB, a teraz nazywają się FSB (Fiedialnaja służba biezopasnosti). Niezmiennie służby te mieściły się w tym budynku. Spojrzałem na ten gmach i mówię: „KGB z pewnością też dobrze funkcjonuje”. Na to Tomaszewski: „Nic podobnego, tobie – i wielu innym – tak się tylko wydaje. Te służby świadomie budują o sobie taką legendę i rozpuszczają pogłoski po to, żeby ludzie się ich bali”. Skwitowałem ten wywód uwagą: „Masz rację. Ale nie do końca. Tak się złożyło, że w czasie wojny mieszkałem na głębokiej galicyjskiej prowincji. Rosjanie nie mieli tam rozbudowanej sieci informatorów – jeszcze nie mieli (bo była to ukraińska wioska), ja mieszkałem w klasztorze pod przybranym nazwiskiem, a mimo to oni mnie tam znaleźli. O czym to świadczy? Byłem przecież małą igielką w olbrzymim stogu siana, a mimo to oni mnie tam znaleźli. Zapewne mieli swoje sposoby, umieli organizować sobie pracę tak, aby nic nie umknęło uwadze czujnych «rycerzy rewolucji» (tak siebie te służby określały).

Czy miał Pan wtedy też inne doświadczenia?

Owszem. Poznałem ówczesnych dyrektorów IMEMO – Anuszawana Arzumaniana i Nikołaja Inoziemcewa oraz ich współpracowników – Olega Bykowa i Władimira Razmierowa, którzy na różne sposoby próbowali „kruszyć beton dogmatyzmu” (dodam na marginesie, że Arzumanian w 1954 roku napisał do Chruszczowa znaczącą dla przyszłości radzieckiej polityki notatkę, w jaki sposób ZSRR powinien wyjść z zimnej wojny ze Stanami Zjednoczonymi i Zachodem). Za niezależność myślenia w środowisku akademickim nie groziła już zsyłka ani więzienie. Niemniej niektórzy płacili za swą odwagę intelektualną tym, że nie otrzymywali zgody

na wyjazdy zagraniczne (*niewyjezdnyje*), nie publikowano ich tekstów. Byli marginalizowani.

Kilka miesięcy po moim krótkim pobycie w Moskwie w ramach wymiany przyleciał do Warszawy redaktor Andriej Jermonski. Był zachwycony Polską. Opublikował na łamach „Międzunarodnoj żyzni” reportaż o swoich wrażeniach, jakkolwiek z zasady miesięcznik ten publikował jedynie drętwą publicystykę. Po pewnym czasie Jermonski związał się z periodykiem „Inostrannaja litieratura”, na którego łamach przybliżał rosyjskim czytelnikom twórczość Witolda Gombrowicza, Tadeusza Konwickiego, eseje Adama Michnika.

W latach 60. przyjechał do Warszawy początkujący pracownik naukowy IMEMO. Nazywał się Jewgienij Primakow. Po paru latach został dyrektorem Instytutu Wiedzy o Wschodzie w Rosyjskiej Akademii Nauk. Spotykałem go też później – w Sztokholmie, gdy wygłaszał wykład w Sztokholmskim Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SI-PRJ). Byłem wtedy dyrektorem tego instytutu. Wreszcie tak się złożyło, że gdy został ministrem spraw zagranicznych Rosji, ja prezentowałem w Moskwie rosyjską edycję „Rocznika SIPRI”, czyli najważniejszego dorocznego raportu z badań prowadzonych w moim instytucie. Był postacią nietuzinkową. Miał w Rosji znaczący wpływ na bieg spraw państwowych – nawet w czasach, gdy już nie zajmował wysokich stanowisk.

Jaką miał Pan świadomość sytuacji w tamtych latach? Czy spodziewał się Pan tego, że ten „nienaruszalny Związek” (ZSRR) się rozpadnie?

Kiedy widziałem ten olbrzymi kraj, tak totalnie zideologizowany i opanowany przez służby specjalne, które kontrolowały wszystkich i wszystko, to nie miałem wątpliwości, że ten system jest dysfunkcyjny. Jak to określił jeden z moich znajomych niemieckich dyplomatów (prywatnie – wybitny krytyk operowy) – był to system „zinstytucjonalizowanej nieskuteczności”. To bodaj najkrótsza i najtrafniejsza definicja tego systemu w czasach Chruszczowa, Breżniewa i ich następców. Uważałem, że zmiana nastąpi w wyniku jakiegoś wielkiego trzęsienia, turbulencji i kataklizmu. Jednak tego, że system ten upadnie w taki sposób, w jaki stało się to po roku ’85, kiedy wybrano Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego Komunistycznej Partii, nie brałem pod uwagę.

Uważnie obserwowałem proces fundamentalnych przemian, które doprowadziły w '91 roku do rozwiązania Związku Radzieckiego, ale nie spodziewałem się, że rozpad będzie miał charakter pokojowy. Nie wyobrażałem sobie poza tym, że to się wydarzy za mojego życia. Od wyboru Gorbaczowa minęło już 30 lat. Rosja w dalszym ciągu poszukuje swojego miejsca na mapie świata. Dzisiejsza Rosja nie ma żadnej wielkiej strategii. Jej reakcja na rozwój wypadków na Ukrainie jest próbą zawrócenia biegu historii. To, co obserwujemy od 18 miesięcy, nie ma charakteru definitywnego. Odwoływanie się do tradycji „konserwatywnej modernizacji” z czasów Piotra Stolykina, czy też filozoficznej spuścizny Władimira Sołowiowa (*Uzasadnienie dobra*) i Nikołaja Bierdiajewa (*Filozofia nierówności*) świadczy raczej o bezradności intelektualnej współczesnych elit politycznych niż o myśleniu kategoriami strategicznymi o przyszłości Rosji. Najbardziej złowieszczy w tych poszukiwaniach nowych odpowiedzi na podstawie starej rosyjskiej myśli politycznej jest powrót do rekomendacji Iwana Iljina, który nie krył swej fascynacji Adolfem Hitlerem i jego ideologią. Powtarzam: dzisiejsza Rosja nie ma żadnej wielkiej strategii. Głównym celem dzisiejszych – podobnie jak wczorajszych – elit politycznych jest utrzymanie się u władzy.

Były w Rosji rozmaite zawirowania. Był okres nadziei za Gorbaczowa, potem – za Jelcyna – okres prób i błędów, destabilizacji, chaosu i destrukcji. Obaj – Gorbaczow i Jelcyn – w różny sposób wypełniali niezwykle ważną historyczną misję wyprowadzenia Rosji z totalitaryzmu. Nie zbudowali demokracji, ale stworzyli sytuację, o której można powiedzieć, że była blisko punktu określanego po angielsku jako *point of no return*. Zdawało się, że Rosja weszła na drogę, z której już nie ma odwrotu. Niestety, okazało się, że chociaż nie ma powrotu do komunizmu, to są inne bezdroża – autorytaryzmu, populizmu i wszechobecnej tęsknoty za czasami, które minęły bezpowrotnie. Czesci mówią w takich wypadkach: *To se ne vrati...*

Objęcie władzy przez nowego prezydenta, namaszczonego przez Borysa Jelcyna, nie oznaczało powrotu do Związku Radzieckiego ani do carskiej Rosji. To, co się w Rosji dzieje, ma elementy ciągłości zarówno z Rosją carską, jak i z radziecką. Jednak jest to państwowość jakościowo innego typu. Bo przecież „putinizm” nie jest ani prostą kontynuacją imperium radzieckiego ustanowionego przez Lenina i Stalina, ani imperium pod berłem Romanowów, jakkolwiek paradoksalnie odnajdziemy w dzisiejszej Rosji ziarna jednego i drugiego. Po to, by zrozumieć kształtujący się w Rosji system, na-

leży przyjąć, że jest to próba zarówno powrotu do imperium, jak i uzyskania nowej pozycji w świecie, przez montowanie antyzachodnich koalicji. Są to próby, którym Putin nadaje swoje piętno. Wszelkie analogie do Mussoliniego we Włoszech, Franco w Hiszpanii czy Perona w Argentynie nie oddają tego, co jest specyfiką rosyjskiego autorytaryzmu w drugiej dekadzie XXI wieku.

Panie Profesorze, wracając jeszcze do tych początków – jest rok 1945, teraz mamy rok 2015, 70 lat minęło od zakończenia II wojny światowej. Ale wciąż trwa wojna informacyjna, dotycząca tego, co tak naprawdę się wydarzyło – czy mieliśmy nową okupację, czy mieliśmy wyzwolenie... Jak to było odbierane w roku '45? Czy odejście Niemców i przyjsie Rosjan było przyjęte z ulgą, czy...?

Pytanie to zadał mi 20 lat temu mój poprzednik w Sztokholmie Walther Stützle, były dyrektor SIPRI. Wcześniej Walther był sekretarzem stanu w niemieckim Ministerstwie Obrony, a potem prowadził programy publicystyczne w niemieckiej telewizji. Zaprosił mnie wówczas, w 50. rocznicę zwycięstwa nad Niemcami hitlerowskimi (było to w '95 roku), do Poczdamu, do pałacyku Cecilienhof, w którym toczyły się na przełomie lipca i sierpnia 1945 roku rozmowy Churchilla i Trumana ze Stalinem. Walther był moderatorem rozmowy, w której uczestniczyły jeszcze dwie osoby – Egon Bahr, weteran „polityki wschodniej”, którą zapoczątkował Willy Brandt (Bahr był człowiekiem zaufania Brandta oddelegowanym do rozmów z Rosją) i Walentin Falin, były ambasador Rosji w Niemczech, a wcześniej sekretarz KC KPZR do spraw międzynarodowych. Walther zaprosił też mnie jako osobę z kraju, który znalazł się w obcęgach dwóch totalitarnych potęg: hitlerowskich Niemiec i stalinowskiej Rosji.

W czasie transmisji z pałacyku Cecilienhof Walther Stützle zadał mi dokładnie to pytanie, które teraz Pan mi zadaje, a mianowicie: czy wejście Armii Czerwonej na terytorium Polski było odbierane jako wyzwolenie, czy jako nowa okupacja? Powiedziałem wówczas, że dla przytłaczającej większości – w tym również dla mnie jako dziecka, ale mimo wszystko – był to ratunek. Gdyby Niemcy w tej wojnie zwyciężyli, to nieuchronna śmierć oczekiwała miliony ludzi. W polskim społeczeństwie przeważała świadomość, że los, który spotkał w czasie II wojny światowej Żydów, mógł spotkać w znacznej części również Polaków oraz inne narody Europy Środkowej

i Wschodniej. W koncepcji hitlerowskiej Polska miała być „narodem niewolników”. Niewielu młodych ludzi uświadamia sobie dziś, czym była niemiecka okupacja w Polsce, szczególnie nie rozumieją tego mieszkańcy Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. W Polsce było zakazane szkolnictwo wyższe. Polacy mieli prawo tylko do elementarnego wykształcenia. Należało ich nauczyć czytać i pisać. Czytać po to, by rozumieli niemieckie rozporządzenia, przestrzegali ich i wykonywali polecenia „narodu panów” (*Herrenvolk*). Nie była dozwolona żadna forma nauczania na poziomie nieco wyższym niż szkoła podstawowa. Koniec wojny oznaczał dla Polaków ratunek przed śmiercią – przeżycie. Równocześnie ludzie byli zatrwożeni tym, co niesie ze sobą nowa władza ustanowiona z woli Stalina. Wejście Armii Czerwonej to był ratunek, a zarazem narzucenie władzy z obcego nadania. Związek Radziecki potępił i odrzucił uznanie prawowitego rządu polskiego na emigracji. Efektem ujawnienia zbrodni katyńskiej w roku '43 było to, że Stalin zerwał z rządem londyńskim stosunki dyplomatyczne i przekazał władzę utworzonemu przez siebie Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego (PKWN). Szybkie przygotowanie ekipy do sprawowania w Polsce władzy podjęto w Moskwie pod osobistym nadzorem Stalina. Z jego woli i po zatwierdzeniu przez niego – ludzie upoważnieni do pełnienia najwyższych funkcji w państwie mieli przejąć w Polsce rządy i sprawować je w całkowitej zależności od ZSRR. W tym celu w '44 roku zawarto kilka tajnych porozumień między PKWN a ZSRR.

Innymi słowy, to nie Jałta zdecydowała o losach Polski powojennej, tylko obecność Armii Czerwonej na polskiej ziemi. Jałta była formalnością. Decyzje zapadły znacznie wcześniej. Ale Jałta uchodzi za symbol zdrady narodu polskiego przez mocarstwa zachodnie.

Publicyści i historycy potrzebują często symboli – pozytywnych i negatywnych. Próby wnikania w istotę złożonej rzeczywistości postrzegane są jako „mędrkowanie” i unikanie nazywania rzeczy po imieniu. Co ciekawe, opinie wybitnych autorów, którzy mają odwagę dociekać prawdy, są na ogół ignorowane. Mam na myśli choćby monografię Jana Ciechanowskiego o powstaniu warszawskim lub to, co Jan Karski napisał w swoim dziele życia: *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919–1945. Od Wersalu do Jałty*. Polecam to dzieło wszystkim, by zrozumieli, jaka była logika polityczna postawy wielkich mocarstw wobec Polski w czasie II wojny światowej. W 40. rocznicę Jałty Zbigniew Brzeziński opublikował w „Foreign Affairs” tekst pt. *The Future*

of Yalta. Pierwsze zdanie tego artykułu brzmi: *Yalta is unfinished business*. Innymi słowy, Brzeziński – 40 lat po rozmowach na Krymie – trafnie zwracał uwagę, że Jalta nie jest sprawą zamkniętą. Postulował, by domagać się od Rosji, aby wykonała swoje zobowiązania wówczas przyjęte. Można powiedzieć, że wtedy społeczeństwo o tym, co naprawdę tam postanowiono – nie wiedziało. Interesowało to głównie polityków na najwyższych szczeblach władzy oraz niewielką grupę ekspertów.

Po wejściu Armii Czerwonej na ziemie polskie dominował klimat niepewności i oczekiwania na nieuchronne zmiany. Jedni się tych zmian obawiali, ponieważ wiedzieli, że będzie to system narzucony Polsce i Polakom – z drugiej strony nadzieją napawało to, że już nie ma Niemców, nie będzie już masowych mordów, łapanek, obozów śmierci i wywożenia na roboty przymusowe. Wraz z Armią Czerwoną pojawiły się nazwiska przywódców nowej Polski, wtedy nikomu nieznanych, jak: Bolesław Bierut, Władysław Gomułka, Edward Osóbka-Morawski... Przed kilkoma tygodniami jeszcze nikt nie słyszał o tych ludziach. I nagle okazało się, że to oni są u władzy.

Wielu uznało wówczas, że wojna się skończyła – nadszedł czas odbudowy kraju. I – choć zachowali krytyczny dystans do nowego ustroju – to bez reszty poświęcili się pracy. Dotyczyło to w równej mierze uczonych i ludzi kultury, architektów i robotników. Na znaczeniu zyskiwał argument, że jednak to są Polacy, jednak to jest Polska. Jest to inna Polska – zależna od Rosji, ale to mimo wszystko Polska.

Było też wielu ludzi politycznie zaangażowanych. Uważali oni, że nie o taką Polskę walczyli. Co ciekawe, nowa władza nie uznawała za największych wrogów nowego ustroju polityków o skrajnie prawicowych poglądach, wywodzących się z endecji czy z przedwojennej Falangi. Ówczesne władze za głównego wroga uznały przywódców Polski Podziemnej. To ich wywieziono do Moskwy i im zorganizowano tam proces szesnastu. Fakt, że podstępnie zwabiono ich na rozmowy, otrzymali żelazny glejt, a następnie zostali aresztowani przez Rosjan, miał swoją wymowę. Zapewne Rosjanie sami uważali, że ten proces nie może odbyć się w Polsce, bo dyskredytowałby nową władzę bez reszty. Rosjanie wzięli to odium na siebie.

Przedwojenny wicedyrektor Departamentu Wschodniego w polskim MSZ, a później radca polskiej ambasady w Moskwie Stanisław Zabięło był w czasie wojny rezydentem rządu emigracyjnego we Francji. Po powrocie do kraju został przez UB aresztowany. Uwolnienie zawdzięczał Bolesławowi

Piaseckiemu, przedwojnemu przywódcy faszystowskiej Falangi. Po zwolnieniu z więzienia Zabięło znalazł zatrudnienie w PISM. Na fali odwilży 1956 roku, kiedy polityczny klimat zaczął się zmieniać, napisał kilka ważnych książek. Jedną wydał pod auspicjami PISM: *Sprawa Polska w czasie II wojny światowej w pamiętnikach i wspomnieniach* – wtedy było to dzieło rewelacyjne. W „Sprawach Międzynarodowych” zamieszczał później (na moją prośbę) recenzje z kolejnych tomów *Dokumentów polityki zagranicznej ZSRR*, które – przy wszystkich ograniczeniach cenzury – były kompetentnym komentarzem do polityki Stalina w okresie międzywojennym. Opublikował też książkę w wydawnictwie PAX (jak wiadomo, PAX wydawał książki, na które cenzura nie dawała zgody innym wydawcom). Książka Zabięły miała tytuł *O rząd i granice*. Tytuł streszczał to, o co toczyła się wtedy walka.

Władze kanalizowały też koncesjonowaną aktywność polityczną ludzi związanych ze środowiskami endecji, zwłaszcza o nastawieniu antyniemieckim: powstał wówczas Instytut Zachodni w Poznaniu, a później – Zachodnia Agencja Prasowa. W większości były tam zatrudniane osoby związane z prawicą, z endecją – często antykomuniści, głównie o wyraźnej antyniemieckiej orientacji. Miałem z tym środowiskiem pewne kontakty, ponieważ pełniłem w latach 60. w PISM funkcję sekretarza Komitetu Koordynacyjnego Badań Niemcoznawczych. Antyniemiecki nacjonalizm był dla władz komunistycznych wygodnym instrumentem do pozyskiwania zwolenników w prawicowych środowiskach.

Wszystko to było złożone. Ogólnie można powiedzieć, że okres powojenny, zwłaszcza po 1948 roku, był raczej ponury i mroczny.

Był to zarazem czas, gdy podejmowane były działania, które na długą metę miały dla polskiego państwa fundamentalne znaczenie. Polska – która utraciła 17 września 1939 roku ziemie na wschodzie na rzecz ZSRR (było to ponad 40% przedwojennego terytorium) – decyzją wielkich mocarstw uzyskała znaczne nabytki terytorialne na północy i zachodzie; były to obszary mniejsze, ale znacznie lepiej zagospodarowane, z nowoczesną infrastrukturą, zamieszkałe przez ludność niemiecką. Na porządku dziennym stały sprawy masowej repatriacji Polaków z ziem utraconych, przesiedlania Niemców oraz pilnej integracji nabytych ziem z resztą państwa polskiego.

Suwerenność Polski w tym czasie była więcej niż ograniczona, ale w sprawie utrwalania obecności na ziemiach północnych i zachodnich rząd miał w społeczeństwie pełne poparcie.

Krótką dygresja: w maju br. (tj. 2015 – przyp. red.) w drodze do Gdańska na 70-lecie zakończenia II wojny światowej, przeczytałem w jednym z popularnych pism historycznych tekst znanego i szanowanego przeze mnie historyka. W pierwszym akapicie autor pisze, że w Jałcie nasz kraj – „pierwszy i najwierniejszy aliant koalicji antyhitlerowskiej w zwycięskiej wojnie – stracił połowę terytorium”. Kropka. Wyjaśnijmy: to nie w Jałcie o tym zdecydowano, tylko w pakcie Ribbentrop–Mołotow. Zanim doszło do spotkania Wielkiej Trójki w Jałcie, zostało zawartych kilka porozumień między ZSRR a PKWN w sprawie wytyczenia polsko-radzieckiej granicy na wschodzie. W tym rocznicowym tekście nie wspomina się nawet, że w Teheranie, Jałcie i Poczdamie zdecydowano o tym, że zachodnia granica Polski będzie przebiegać wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej. Mówię o tej – nie najważniejszej w końcu – publikacji, aby zasygnalizować pewne niezdrowe zjawisko. Tak – wiemy, że w Polsce nastąpiły w 1989 roku fundamentalne zmiany. Ale nie oznaczały one przecież – i nie powinny oznaczać – historycznej amnezji. Zmiany te sprawiły, że w wielu publikacjach to, co się działo między rokiem '44 a '89, jest zamalowywane jedną czarną farbą. Na marginesie dodam, że wielu piszących na te tematy nie uzyskałoby wyższego wykształcenia, gdyby pług historii nie przeorał wówczas tak głęboko polskiego społeczeństwa. W efekcie do głosu doszły warstwy, które przez wieki należały do wykluczonych, upośledzonych, traktowanych jak pomiot historii. Ten pług historii sprawił, że warstwy dawniej dyskryminowane, zwłaszcza chłopskie, znalazły się na pierwszym planie.

Wspominałem Panu, że jako dziecko chodziłem na wsi za kieratem, za pługiem. To wtedy zorientowałem się, że pług trzeba ustawić prawidłowo – nie za płytko i nie za głęboko. Pług ustawiony zbyt głęboko często wyrzuca piasek i kamienie. Za czasów Polski Ludowej miałem niekiedy wrażenie, że władza dostała się nie tyle w ręce robotników, co lumpenproletariatu; przypadła nie tyle prawdziwym chłopom, co różnym cwaniakom i karierowiczom. Takie zjawiska towarzyszą głębokim przemianom zawsze i wszędzie. Nie brakło ich również po 1989 roku.

Mamy wreszcie po roku '89 państwo nie tylko w pełni suwerenne, ale – co ważne – państwo normalne. Ze wszystkimi zjawiskami pozytywnymi i negatywnymi. Ta normalność jest wielką wartością. Czasami nieuświadomioną i niedocenianą. Mamy dziś w Polsce ogromny kapitał ludzki – wykształcone społeczeństwo; mamy ziemię, których status – niepewny

po wojnie – został definitywnie uznany przez Niemcy i całą międzynarodową społeczność; i są one na trwałe zintegrowane i zagospodarowane. Na tych ziemiach urodziło się już kilka nowych polskich generacji.

Panie Profesorze, w naszej rozmowie powraca Pan uporczywie do sprawy przesunięcia polskiego terytorium na zachód. Dlaczego? Przecież ta decyzja trzech wielkich mocarstw zatwierdzona w 1945 roku w Poczdamie była jednym z kamieni węgielnych nowego ładu politycznego w Europie.

Powracam do tej sprawy, ponieważ – ku powszechnemu zaskoczeniu – Rosja, inkorporując w 2014 roku Krym, podważyła jeden z tych kamieni węgielnych porządku europejskiego, a mianowicie zasadę nienaruszalności granic. Przez długie lata Polska starała się, by decyzje Wielkiej Trójki uzyskały nie tylko potwierdzenie polityczne, ale również uznanie prawnomiędzynarodowe. W końcu – 30 lat po zakończeniu wojny – to się udało. Najpierw podpisano układ w Zgorzelcu z NRD (1950), potem układ z RFN (układ ten podpisał Willy Brandt w Warszawie – 7 grudnia 1970 roku, na tydzień przed ustąpieniem Władysława Gomułki, dla którego było to najważniejsze osiągnięcie jego politycznej aktywności). Pięć lat później podpisano Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE), który włączył zasadę nienaruszalności granic do dekalogu norm, na których opiera się porządek bezpieczeństwa w Europie. Zjednoczone Niemcy uznały ten stan polityczny i prawny za fundament pokoju w relacjach dwu- i wielostronnych.

Przez długie lata się tym zajmowałem, tłumaczyłem dokumenty, pisałem ekspertyzy, publikowałem analizy. Przez dziesięciolecia był to przedmiot badań najwybitniejszych polskich prawników, jak: Manfred Lachs i Alfons Klafkowski, Krzysztof Skubiszewski i Bolesław Wiewióra. Zajmowała się tym cała „poznańska szkoła” prawa międzynarodowego. Prof. Krzysztof Skubiszewski wydał w roku 1969 świetną książkę *Zachodnia granica Polski*. Książka ta powinna być wznawiana, ponieważ zachowuje swoją wartość naukową i nie ma sobie równych – nie tylko w Polsce.

Grymas historii sprawił, że – w ostatniej fazie wojny – wśród przywódców koalicji antyhitlerowskiej jedynym „promotorem” nowej zachodniej polskiej granicy z Niemcami wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej nie byli Roosevelt czy Churchill, tylko Stalin. Narzucił Polsce nowy rząd, ale zmienił

również granice. I zmieniał je na korzyść Polski z czterech powodów. Po pierwsze, uważał, że dla tego rządu z obcego nadania jest ważne, by mógł mieć jakąś legitymację, czy też zasługę wobec społeczeństwa. Stalin wystąpił w Teheranie, Jałcie i Poczdamie jako zwolennik ustalenia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Po drugie, w jego rozumieniu miała to być rekompensata za utracone ziemie na wschodzie. Po trzecie, Stalin uważał, że skoro Polska będzie w dominium radzieckim, to trzeba ją wzmocnić, a osłabić Niemcy, ponieważ trafnie przewidywał, że one raczej wcześniej niż później się odrodzą i odzyskają pozycję europejskiego mocarstwa. Należy zatem Niemcy na trwałe osłabić. Są to powody znane i często przytaczane. Mało znany jest inny motyw.

Zatem jaki jest ten czwarty powód?

Stalin określił go wprost w rozmowie z de Gaulle'em. Stwierdził mianowicie, że „w ten sposób wbijamy na trwałe klin między Polskę a Niemcy”. W domyśle sugerował swojemu rozmówcy, że Polska po uzyskaniu kosztownych Niemcom tak znaczących nabytków terytorialnych będzie na wieki skazana na rosyjskie gwarancje, na swoisty „rosyjski protektorat”. Nie przypuszczał bowiem, że Polska będzie mogła się z Niemcami w tej sprawie porozumieć. Popełnił błąd: to, co w jego opinii nie było możliwe, stało się rzeczywistością. Żyjemy w czasach, kiedy demokratyczne Niemcy nie tylko taki stan rzeczy uznają, ale – co niezwykle dla nas ważne i pozytywne – to właśnie pani kanclerz Niemiec, w kontekście tego, co się dzieje na pograniczu ukraińsko-rosyjskim, podkreśla, że fundamentem bezpieczeństwa Europy jest nienaruszalność granic. Dzisiejsza Rosja natomiast przyjęła program rewizjonizmu terytorialnego. Podważa to fundamenty europejskiego bezpieczeństwa.

Panie Profesorze, od mniej więcej 2009 roku mamy do czynienia z próbą otwarcia w relacjach polsko-rosyjskich i Pan jest twarzą różnych wysiłków na rzecz lepszych relacji z Rosją. Teraz mamy raczej niedobry moment. Co nam się udało osiągnąć od roku 2009 i co z tego pozostanie?

Polsko-Rosyjska Grupa do Spraw Trudnych, której współprzewodnictwo powierzono mi w 2008 roku, miała na celu wyjaśnianie kwestii wymyka-

jących się kompetencji rozmaitych innych instytucji. Nasza Grupa nie zajmuje się tym, co należy do właściwych zadań takich instytucji rządowych, jak np. ministerstwa: Spraw Zagranicznych, Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości, Skarbu, Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Otrzymaliśmy mandat, by zająć się sprawami, które pozostawiła nam w spadku historia. Powołane zostały w Polsce i w Rosji zespoły uczonych – historyków, archiwistów, socjologów, prawników, politologów – które wspólnie uzgodniły katalog zagadnień wymagających wyjaśnienia, już choćby po to, by nie utrudniały rozwiązywania bieżących bilateralnych problemów natury politycznej, gospodarczej i humanitarnej.

Z natury rzeczy w centrum uwagi znalazła się potrzeba definitywnego wyjaśnienia zbrodni katyńskiej i określenia jej sprawców. W Związku Radzieckim poświęcono o wiele więcej czasu i energii na zakłamywanie prawdy o tej zbrodni niż na próbę ostatecznego jej zbadania i osądzenia sprawców – choćby miał to być jedynie osąd historyków. Grupa do Spraw Trudnych zdecydowała się zmierzyć zarówno z tą „czarną plamą” stalinizmu, jak z innymi do tej pory niewyjaśnionymi przestępstwami z okresu międzywojennego, czasów wojny i bezpośrednio po wojnie.

Postawiliśmy sobie cel: stworzyć punkt wyjścia do kształtowania nowych polsko-rosyjskich relacji, opartych na prawdzie historycznej. Przecież tego typu zbrodniczych akcji NKWD wobec Polaków, jak: wymordowanie polskiej elity w lesie katyńskim, Starobielsku, Ostaszkowie, Charkowie i Bykowni, było więcej. Wspomnę choćby o zamordowaniu w lipcu 1945 roku – a zatem już po zakończeniu wojny z Niemcami – 592 mieszkańców wsi i okolic Puszczy Augustowskiej. Bez sądu wywożono do Rosji żołnierzy AK i polskich górników. Formacje NKWD wywoziły zresztą Polaków często bez żadnego powodu – na przykład dlatego, że w Moskwie postanowiono zbudować nową linię metra i potrzebni byli inżynierowie geolodzy. Na podstawie spisu polskich geologów pewną grupę aresztowano, „zakwaterowano” w Moskwie, a po zakończeniu budowy zwolniono na podstawie polsko-radzieckiego porozumienia.

W pracy Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych przyjęliśmy podejście systemowe i całościowe. Przedmiotem naszego zainteresowania był okres od roku 1918 (odzyskanie przez Polskę niepodległości) do roku 2008. Metodą było przedstawienie stanowiska polskich i rosyjskich badaczy na zasadzie „zwierciadlanego” odbicia – w każdym bloku tematycznym

dwa równoległe rozdziały na ten sam temat miały autorstwo polskie i rosyjskie. Fakty były te same. Interpretacje mogły być różne, ale fakty nie były kwestionowane przez żadną ze stron. Stosunkowo szybko osiągnęliśmy porozumienie i po dwóch latach doszło do wydania zbioru *Białe plamy, czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich 1918-2008*. Publikacja tego tomu w 2010 roku wyznaczyła pewną linię – niektóre tematy wreszcie zostały poruszone we wspólnej publikacji. Kropka. Od tego odwrotu już nie ma. Nie znaczy to, że nie znajdzie się kilku czy kilkuset propagandzistów, którzy będą powtarzać kłamstwo, jakoby egzekucja polskich oficerów w Katyniu była „zbrodnią niemiecką”. Niemcy popełnili dostatecznie dużo zbrodni – sto razy, a może nawet tysiąc razy więcej niż Rosjanie w stosunku do Polaków. Niemcy wymordowali miliony niewinnych ludzi, utworzyli na terytorium Polski setki gett i obozów zagłady. Mordowali mieszkańców Polski na każdym kroku. Nie ma najmniejszej potrzeby, by przypisywać im to, czego nie zrobili.

W tym kontekście może warto zauważyć, że rozwiązywanie spraw trudnych między Polską a Niemcami (a sprawy te były i są naprawdę trudne) różniło się od wyjaśniania bolesnej przeszłości z innymi narodami tym, że elity niemieckie – jakkolwiek nie zawsze z własnej woli, ale pod naciskiem zachodnich okupantów – przyjęły dla siebie fundamentalną wskazówkę metodologiczną: niekwestionowane fakty należy uznawać za podstawę dialogu. Można je interpretować na różne sposoby, ale należy je uznać. I Niemcy te fakty uznali.

Na marginesie – dygresja. Kiedy polscy biskupi zwrócili się do swoich współbraci – niemieckich biskupów ze słynnym listem, którego kluczowe zdanie brzmiało „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, to w Polsce druga część tego zdania wzbudziła ogromny opór, nie tylko ze strony władzy komunistycznej, ale również szerokich warstw społeczeństwa, w tym niektórych biskupów. Pamiętajmy, że ten list podpisało zaledwie pięciu polskich biskupów. Dziś Episkopat Polski liczy 117 osób, wtedy było to zapewne niewiele ponad połowę tej liczby – 60, a może 80 osób. Odwagę, by powiedzieć to, co powiedzieć należało, miało pięciu. Po pewnym czasie ta prawda zaczęła docierać do szerszej rzeszy wiernych; a mianowicie – prawda o tym, że są jednak sprawy wstydlive i bolesne, za które i my powinniśmy sąsiadów przeprosić. Godzi się odnotować, że reakcja na to posłanie biskupów była w Niemczech mieszana. Lepsza ze strony Kościoła

ewangelickiego niż katolickiego. Kardynał Wyszyński powiedział wtedy, że odpowiedź otrzymaliśmy, ale nie od tych, od których jej oczekiwaliśmy. Powiedziałbym, że Kościół katolicki w Niemczech ma po dziś dzień problem, jak odpowiedzieć na ten list sprzed 50 lat. Mówię o tym, ponieważ procesy wzajemnego zrozumienia i pojednania między narodami są niezwykle trudne. Nawet w kraju demokratycznym. W Niemczech – po 70 latach od zakończenia wojny – jedynie elity, i to nie w całości, zmieniły gruntownie swoją własną świadomość. Na szczęście to one ukształtowały nowe pokolenia Niemców, którzy uznali odpowiedzialność narodu niemieckiego za zbrodnie dokonane przez ojców i dziadów, którzy pozostawali na służbie III Rzeszy...

Podam Panu przykład: w ubiegłym roku byłem zaproszony przez Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie na prezentację XVI tomu poświęconego niemieckiej polityce okupacyjnej. Jest to jeden z czterech tomów dotyczących okupacji niemieckiej w Polsce. Zawiera dokumenty o niemieckich zbrodniach wobec Żydów. Innymi słowy, jest to obraz hitlerowskiej okupacji w Polsce na podstawie dokumentów pozostawionych przez sprawców, a nie przez ofiary. Do tej pory niemal wszystko, co wiemy na ten temat, oparte było głównie na świadectwach ofiar. Po raz pierwszy Niemcy – przecież od wojny minęło 70 lat! – zdobyli się na odwagę i przedstawili dokumentację własnych zbrodni. Udostępnili nieznane do tej pory akta, które pozostawały zamknięte w archiwach, co pozwalało wielu oskarżonym zbrodniarzom i ich obrońcom uciekać się do twierdzenia, jakoby nic nie wiedzieli, nie słyszeli – chociaż w tych przestępstwach uczestniczyły miliony niemieckich mężczyzn i kobiet.

Niemcy ujawnili w tym tomie takie rzeczy, których nikt do tej pory nie ujawnił. Taka otwartość budzi respekt. Moim zdaniem, ten tom powinien być przetłumaczony na język polski. Wnosi on dużo, bardzo dużo do naszej wiedzy o tamtych czasach. Ilustruje i wyjaśnia, dlaczego nasza rozmowa z Niemcami o pamięci historycznej i pojednaniu jest nieporównanie łatwiejsza niż z Rosjanami.

Z tego względu nasz opublikowany wspólnie z Rosjanami zbiór był takim ważnym krokiem – może nie tyle na drodze do pojednania (nie znajdzie Pan tam żadnych rozważań na temat „pojednania”), co w poszukiwaniach sposobu kształtowania pamięci historycznej opartej na faktach, a nie na mitach i legendach. Uczeni ze strony rosyjskiej, którzy uczestniczą

w pracach Grupy, w zdecydowanej większości są ludźmi, którzy nie tylko mają dobrą wolę, ale często dają świadectwo osobistej przyzwoitości. Niezwykle docierali do faktów, których strona polska nie znała. Drobnym przykładem, który potwierdza moją tezę, jest choćby to, że rosyjska autorka rozdziału dotyczącego lat 1939-1941 nadała mu tytuł „IV rozbiór Polski”. Jak na atmosferę dzisiejszej Rosji, jest to świadectwo odwagi cywilnej i intelektualnej uczciwości. Trzeba nie tylko szanować tych ludzi, ale też pamiętać i mieć świadomość, że to oni są przedstawicielami tego, co w Rosji jest najlepsze. Naszej opinii nie powinniśmy opierać na tym, co czytamy w propagandowych tekstach, ale odwoływać się do stanowiska i ocen tych Rosjan, którzy mają odwagę zmierzyć się z własną przeszłością i w imię prawdy narażać się na ostracyzm oportunistów i nie najlepsze traktowanie przez władzę. Jednak to oni zostaną zapamiętani przez następne pokolenia Polaków i Rosjan jako ci, którzy w czasach, gdy za odwagę trzeba było płacić wysoką cenę, stanęli z odkrytym czołem wobec historii bardzo dramatycznej, a niekiedy mrocznej i często tragicznej. Trzeba tu też przypomnieć trzy postacie po polskiej stronie, które wniosły wybitny wkład w pracę Grupy: Andrzeja Przewoźnika, sekretarza generalnego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Andrzeja Kremera, podsekretarza stanu w MSZ, i Andrzeja Saryusza-Skąpskiego, prezesa Federacji Rodzin Katyńskich. Wszyscy trzej zginęli w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem z delegacją lecącą na obchody rocznicy katyńskiej pod przewodnictwem prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Zapoczątkowany marsz do tworzenia nowego typu relacji między Polską a Rosją został przez naszą Grupę w pewnym stopniu ułatwiony. Droga została przetarta.

Dlaczego zatem prace Grupy napotkały przeszkody?

Przyczyny mają charakter zewnętrzny. I nie chodzi tu o utrudnianie prac przez ludzi, którzy mieli coś ujawnić, a nie tylko nie godzili się otwierać archiwów i udostępniać, ale na nowo postanowili archiwa zamykać. Zdarza się, że to, co kiedyś było już jawne, teraz nagle znów zostaje uznane za tajne... Otrzymywaliśmy niekiedy materiały jako *inedita* – nieznanne i nigdy niepublikowane – chociaż były już w Polsce wydane. Problemy nie wynikają też z braku dobrej woli członków Grupy ani z błędnej metodologii.

Zahamowanie w pracach nastąpiło ze względu na wewnętrzną sytuację w Rosji.

Zaletą współpracy uczonych w Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych było to, że jej działania były odpolitycznione i oparte na wzajemnym zaufaniu ludzi nauki. Ten klimat wzajemnego zaufania należałoby przywrócić. Zadbaliśmy o to, by prac Grupy nie wikłać w bieżące spory polityczne.

A jak Pan Profesor postrzega prace Grupy wobec konfliktu między Rosją a Ukrainą?

Moja interpretacja kryzysu ukraińsko-rosyjskiego nie pokrywa się bez reszty z obiegową opinią: między Rosją a Ukrainą formalnie nie było tak poważnych wzajemnych napięć i problemów, które uzasadniałyby wybuch wojny; nie było takich spraw, które nie byłyby możliwe do rozwiązania w normalnych politycznych i dyplomatycznych kontaktach. Co więcej, po dziś dzień Ukraina utrzymuje z Rosją normalne stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasadorów. Z reguły, jak wiemy, ambasadorów odwołuje się „na konsultacje” nawet z dosyć błahych powodów. Natomiast wojna z zasady prowadzi do zerwania stosunków dyplomatycznych. Zresztą na ogół zaczyna się od tego. Problemy, które doprowadziły do tej wojny, nie wynikły z napięć między Rosją a Ukrainą, ale z sytuacji wewnątrz Rosji i wewnątrz Ukrainy. Zmierzam do tego, że Ukraina jest postrzegana przez obecne władze Rosji jako problem wewnętrzny. Polityczne elity Rosji obawiają się, że jeśli na Ukrainie proces realizacji politycznych aspiracji narodu ukraińskiego się powiedzie, to będzie wyzwaniem dla sposobu sprawowania władzy w Rosji. Największy masowy ruch, jaki utworzono w Rosji po ucieczce prezydenta Janukowycza, to „Antymajdan”. Majdan w Kijowie Rosjanie uznali za zagrożenie dla władzy w Moskwie. Walki na południu Ukrainy mają zapobiec powstaniu Euromajdanu w Rosji.

Czy ma to wpływ na relacje Rosji z Polską?

I tak – i nie. Sprawy polskie znalazły się w pewnym sensie na marginesie. Dziś stosunki polsko-rosyjskie są w Rosji znacznie bardziej obciążone tym, co dzieje się na Ukrainie, niż historią. O ich stanie decyduje to, że popiera-

my Ukrainę. Gdybyśmy zajęli stanowisko takie, jakie zajmują Węgrzy, Słowacy, a nawet Czesi, to prawdopodobnie nasze relacje z Rosją byłyby lepsze. Bieg życia międzynarodowego należy przyjmować takim, jakim on jest. Nie należy opierać się na mitach, tylko na realnych faktach. Daleki jestem od dosyć powszechnego przekonania, że Ukraina ma już za sobą najtrudniejszy etap. Niestety, wciąż jeszcze jest ona w trakcie poszukiwania swojej nowej tożsamości. Trwałe rozwiązanie sprawy ukraińskiej nastąpi wtedy, gdy nie tylko Rosja przetrawi do końca – do dna – to, że Ukraina ma prawo do pełnej suwerenności; prawo do tego, by decydować, czy chce być w UE i NATO, czy woli pozostać poza tymi strukturami. To NATO i Unia podejmą decyzję, czy Ukraina dojrzała już do tego, by wejść w skład obu tych struktur euroatlantyckich, czy jeszcze nie dojrzała. Decyzje w tych sprawach są jeszcze przed nami. Nic nie jest jeszcze definitywnie rozstrzygnięte.

Jak w tej sytuacji rozwijać się będą stosunki między Rosją a Polską?

Pewne jest, że sprawy polsko-rosyjskie nie są przeszkodą w poszukiwaniu normalizacji między Ukrainą a Rosją. Interesujące było to, że w prezydenckiej kampanii wyborczej temat stosunków polsko-rosyjskich praktycznie nie był poruszany. Z całą pewnością nie był to temat centralny. Co więcej, obaj konkurenci – zarówno urzędujący prezydent, jak i prezydent elekt zachowali w tej sprawie daleko idącą powściągliwość, wypowiedali się w sposób wyważony. Obydwaj mieli poczucie odpowiedzialności. Wynika to z faktu, że graniczymy z Rosją od zawsze i będziemy z nią graniczyć również w przyszłości. Polityków nie mogą ponosić emocje, powinni dążyć raczej do takiego ukształtowania stosunków, które służy polskiej racji stanu.

Co zostanie na trwałe z tego, co Pan i Grupa do Spraw Trudnych osiągnęli w minionych latach?

Wypracowaliśmy metodologię wspólnego dochodzenia do prawdy. Istotnym elementem było odpolitycznienie prac i instytucjonalizacja dialogu. Podjęliśmy w Grupie rozmowę z Rosjanami o sprawach najtrudniejszych – jak równy z równym.

Grupa przyczyniła się do tego, że po raz pierwszy w historii doszło 17 sierpnia 2012 roku do wizyty w Polsce patriarchy Rosyjskiej Cerkwi

Prawosławnej i przyjęcia wspólnie z Kościołem rzymskokatolickim w Polsce Przesłania do narodów Polski i Rosji, podpisanego przez przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, abpa Józefa Michalika i patriarchę moskiewskiego Cyryla I.

Punktem wyjścia normalizacji stosunków Rosji z Polską jest partnerski i równorzędny ich charakter. Wcześniej czy później stosunki te staną się normalne. Zależy to w znacznej mierze od tego, jaka linia postępowania wewnątrz Rosji weźmie górę.

Nasze relacje z Rosją budzą w świecie zrozumiałe zainteresowanie. Książka *Białe plamy, Czarne plamy* została z amerykańskiej inicjatywy przetłumaczona i wydana przez Pittsburgh University Press. Amerykanie postrzegają Rosję jako trwały czynnik na mapie świata; dla nas to nie tylko olbrzymi kraj na mapie Europy i Azji, ale odwieczny sąsiad. W poszukiwaniu swojego nowego miejsca w międzynarodowej wspólnocie państw Rosja powinna uwzględniać ograniczenia wynikające ze współzależności współczesnego świata. Dotyczy to zresztą wszystkich mocarstw globalnych i regionalnych oraz państw średnich i małych.

Kluczem do zrozumienia idei organizującej nowy ład w świecie i w Europie jest uznanie, że świat XXI wieku opiera się na współzależności. Próby powrotu do przeszłości, do Metternichowskiej idei „koncertu wielkich mocarstw” i organizacji świata w formie stref wpływów globalnych mocarstw, prowadzą na bezdroża. Prowadzą do utraty poczucia rzeczywistości. Europa podzielona na strefy wpływów to polityczna koncepcja, która może wywołać – i wywołuje – skutki odwrotne do zamierzonych.

Panie Profesorze, mija dziesięć lat od czasu, gdy był Pan ministrem spraw zagranicznych. Mamy dziś inną rzeczywistość. Czy nowa rzeczywistość międzynarodowa jest lepsza czy gorsza niż ta sprzed dziesięciu lat? Czy Pan się spodziewał, kiedy obejmował ten urząd, że sprawy mogą się tak potoczyć? I dokąd zmierzamy?

Najważniejsze pytanie stawia Pan na końcu naszej rozmowy. Sprawie tej moglibyśmy poświęcić odrębną wielką debatę. Pytanie: Dokąd zmierzamy – ma charakter zasadniczy, fundamentalny. Czy spodziewałem się takiego rozwoju wypadków przed dziesięciu laty? Odpowiem tak: miałem już wtedy świadomość, że świat staje się coraz mniej stabilny i trudno

przewidywalny (zresztą pisałem o tym wcześniej). Na ogół jestem bardzo powściągliwy w przypisywaniu sobie jakiegokolwiek roli – również w formułowaniu ocen, które z czasem zyskują powszechny obieg. Uważam, że nasze role i stanowiska – jeśli nawet miały jakieś znaczenie – powinni oceniać inni. Dotyczy to również mojego udziału w opracowaniu Koncepcji strategicznej NATO na nadchodzącą dekadę (*NATO 2020: Assured Security; Dynamic Engagement*). Dokument ten – jak zapewne Pan pamięta – był wynikiem pracy dwunastu osób, którym przewodniczyła Madeleine Albright. Wyraziłem wówczas myśl, która znalazła odbicie w jego pierwszym zdaniu. Stwierdziłem wtedy, że NATO wchodzi w drugą dekadę XXI wieku jako czynnik stabilizacji w świecie niepewnym i nieprzewidywalnym (*source of stability in an uncertain and unpredictable world*).

Przewidywalność poprzedniego świata wynikała z tego, że w podziale bipolarnym kierowanym i zarządzanym przez dwa ośrodki – Waszyngton i Moskwę – wysokie prawdopodobieństwo wybuchu wojny nuklearnej sprawiało, że bardzo wysoki był też stopień stabilności. Po rozpadzie tego dwubiegunowego układu prawdopodobieństwo wybuchu wojny nuklearnej zmniejszyło się niemal do zera i odpowiednio obniżył się do zera stopień stabilności. Stało się tak z dwóch powodów.

Po pierwsze, zagrożeniu konfliktem raketowo-jądrowym w czasach zimnej wojny towarzyszyła świadomość „gwarantowanego wzajemnego zniszczenia” (*MAD – Mutual Assured Destruction*). Po drugie, świat wkroczył w okres przyspieszonej transformacji i zmiany. A zmiana jest zaprzeczeniem stabilności. System oparty na utrzymaniu terytorialno-politycznego *status quo* miał być stabilny. Skoro weszliśmy w okres szybkich zmian, to nie można było liczyć na to, że świat będzie stabilny. Rozpoczął się proces przebudowy tego świata, który wyłonił się z pożogi II wojny światowej.

Zwołany w Helsinkach w 1992 roku szczyt Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie – było to rok po rozpadzie ZSRR – miał odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: „Jak zarządzać zmianą?” (*How to manage the change?*). Tytuł dokumentu przyjętego na szczycie brzmiał: *Wyzwania zmiany (Challenges of Change)*. Zawarta w nim odpowiedź nie przyniosła skutecznego zarządzania zmianami, które odnosiły się już nie tylko do obszaru euroatlantyckiego, ale wychodziły daleko poza obszar OBWE i wzajemne relacje między Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Ogarnęły cały świat, wszystkie regiony. Objęły obszar Zatoki Perskiej, Bliski Wschód

i cały świat arabski oraz Azję Południowo-Wschodnią. Przy tym zmiany nie dotyczą – jak to często słyszymy – geopolityki i układu sił między mocarstwami. Dotyczą spraw znacznie głębszych. Są wynikiem zderzenia świata wartości liberalno-demokratycznych ze światem, w którym reguły postępowania mają określać potencjały militarne i naga siła. Jak to ujmował tytuł zorganizowanej przez Rosjan Konferencji Władajskiej z jesieni 2014 roku, z udziałem prezydenta Putina: *Porządek światowy. Nowe reguły czy gra bez reguł?* (*World Order: New Rules or Game without Rules?*, Valdai Discussion Club 2014). Na konferencji prezydent Putin oświadczył, że świat dotychczasowy, oparty na równowadze sił, już nie istnieje, więc nie obowiązują ustalone dla tego typu świata reguły. I dodał: nikt nie będzie Rosji dyktować, jak ma definiować swoją nową strategię.

Rzecz w tym, że nikt nie zamierza Rosji niczego dyktować. Rosja przyjęła jednak pewne normy postępowania, które obowiązują wszystkich sygnatariuszy. Mam na myśli choćby Kartę NZ i Akt Końcowy KBWE. Są to zobowiązania natury nie tylko politycznej, ale też – w znacznej części – prawnej. Rosja jest zobligowana do respektowania norm, które przyjęła. Są też pewne nowe zjawiska, które wymagają, rzecz jasna, nowych uregulowań.

Jak Pan wie, w grudniu 2014 roku ówczesny prezydent Szwajcarii, pełniący w tym czasie funkcję przewodniczącego OBWE, Didier Burkhalter, powołał panel, którego oficjalna nazwa brzmi: *High-Level Panel of Eminent Persons on European Security as a Common Project*. Zostałem zaproszony do udziału w pracach tego gremium. W połowie czerwca przedstawiliśmy na forum OBWE dotychczasowe uzgodnienia w formie *Interim Report*, pt. *Lessons Learned for the OSCE from Its Engagement in Ukraine*. Są to zalecenia raczej natury operacyjnej niż koncepcyjnej. Ich celem jest wzmocnienie funkcji prewencyjnych OBWE dzięki nadaniu jej sekretarzowi generalnemu większych uprawnień, a Organizacji „osobowości prawnej”, i takiemu działaniu, by po zakończeniu konfliktu zbrojnego jej obecność nie petryfikowała stanu wrogości, ale prowadziła do przywrócenia pokoju i normalności.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że reformy instytucjonalne, czy też umocnienie struktur tej czy innej organizacji mogą być podstawą nowego ładu politycznego. Nowy ład międzynarodowy w większej mierze będzie opierał się na nowych realiach niż na ideach, koncepcjach i teoriach. Świat wkroczył w taką fazę swego rozwoju, w której zmiany polityczne i czas mają większe znaczenie niż idee i przestrzeń. Walki na pograniczu Ukra-



Rozmowa Madeleine Albright z Adamem D. Rotfeldem w XXV rocznicę powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, sierpień 2005 r.

iny z Rosją nie toczą się o zdobycie nowej przestrzeni, ale o to, jaka ma być przyszłość Ukrainy i Rosji. Jakimi wartościami będą kierować się te kraje w organizacji swego ustroju i jakie będą standardy ich postępowania wewnętrznego i we wzajemnych stosunkach. Próby odpowiedzi na te pytania będą zawarte w Raporcie końcowym panelu, który zostanie przedstawiony pod rozwagę 57 państw w listopadzie 2015 roku.

Wbrew dosyć częstym próbom wyjaśniania nowej rzeczywistości za pomocą starych schematów myślowych, świat nie powraca do zimnej wojny. Dziś sprzeczności i antagonizmy mają charakter znacznie bardziej złożony. Niezależnie od tradycyjnych konfliktów i napięć, nowe technologie i cyberprzestrzeń nadały stosunkom międzynarodowym zupełnie nieznane wcześniej wymiary. W roli nowego gracza globalnego weszły na scenę światową Chiny. Niepowodzenie modernizacji sprawiło, że zmniejszyła się rola Rosji. Zmniejsza się też rola Stanów Zjednoczonych. Na naszych oczach wyłania się świat policentryczny. Rosja pretenduje do tego, by stać się jednym z centrów grawitacji, którego idea organizującą jest przeciwstawianie się zachodniej filozofii politycznej. Chciałaby stworzyć wokół siebie swoisty „anty-Zachód”. Stoi to w sprzeczności z aspiracjami narodów, które odzyskały niepodległość i pragną uzyskać też pełną – a nie ograniczoną – suwerenność.

Polska po II wojnie światowej na gruncie prawa międzynarodowego była państwem niepodległym, ale jej suwerenność została ograniczona. Państwa na wschód od Łaby i Werry należały do radzieckiej strefy wpływów i ze swojej istoty były zobowiązane do podporządkowania się interesom ZSRR. Ta rzeczywistość minęła bezpowrotnie – należy do przeszłości, jest dziś anachronizmem, ale ten anachronizm utrzymuje się jeszcze w mentalności i sposobie myślenia rosyjskich polityków.

Kilka dni temu w Berlinie na seminarium zorganizowanym z inicjatywy i z udziałem ministra spraw zagranicznych Niemiec i sekretarza generalnego NATO – z okazji 60. rocznicy przystąpienia RFN do Sojuszu Północnoatlantyckiego – rosyjski uczestnik, redaktor naczelny periodyku „Russia in Global Affairs” Fiodor Łukjanow stwierdził, że Akt Końcowy z Helsinek legitymizował rosyjską strefę wpływów w Europie.

Zareagowałem spontanicznie i nie ukrywałem swego zaskoczenia taką interpretacją przyjętych w Helsinkach zobowiązań. Powiedziałem, że w moim przekonaniu uzgodnione w Helsinkach zasady tworzyły ramy dla

przewycięzania podziału Europy, a nie do petryfikowania „stref wpływów”. Dodałem, że życie potwierdziło taką właśnie wykładnię przyjętą przed czterdziestu laty zasad i reguł.

Wierzę, że w nowych generacjach elit politycznych wszystkich globalnych mocarstw dojrzeje świadomość definitywnego porzucenia koncepcji stref wpływów lub stref „uprzywilejowanych interesów”.

Po upadku systemu totalitarnego w ZSRR i w krajach od niego zależnych przyjęto naiwne założenie, że świat wkroczył w okres, kiedy zachodnie wartości transatlantyckiej wspólnoty państw uznane będą za wartości uniwersalne. Byłaby to podstawa do kształtowania *global governance*, czyli zarządzania wspólnotą demokratycznych państw świata. Ilustracją tych oczekiwań i wysiłków było zwołanie w Warszawie w maju 2000 roku konferencji „Ku wspólnocie demokracji”. Współautorami idei tego spotkania były dwie postaci: prof. Bronisław Geremek i Madeleine Albright. Istotną rolę w jego organizacji odegrali przedstawiciele Polski, jako państwa gospodarza – profesorowie Roman Kuźniar i Henryk Szlajfer. Przed 15 laty wnieśli oni swój istotny wkład w opracowanie i przyjęcie dokumentów tej konferencji. Zapewnili też nowej instytucji pod nazwą Wspólnota Demokracji ciąg dalszy – kolejne spotkania odbyły się w Seulu, Santiago de Chile, Bamako, Lizbonie, Krakowie. Utworzono Sekretariat, Komitet Wykonawczy. Powołano w ONZ Klub Demokratyczny. Jednak od idei i instytucji do realizacji samej koncepcji jest droga daleka i wyboista. Świat nie stał się w wyniku funkcjonowania tych instytucji bardziej demokratyczny.

Nie żyjemy w świecie homogenicznym, tylko w różnorodnym – heterogenicznym. Nadal w różnych regionach narody kierują się własnymi tradycjami i wartościami. Demokratyczne wartości określa się w wielu regionach pozaeuropejskich jako „zachodnie”, a nie „uniwersalne”. Świat heterogeniczny – mimo że kieruje się różnymi wartościami – pozostaje współzależny. Ta współzależność w świecie nowych technologii ma charakter sieciowy i zacieśnia się.

Co to oznacza w praktyce?

Podam przykład: w sprawach raketowo-jądrowych nadal obowiązuje ustalona w okresie zimnej wojny zasada, zgodnie z którą równowaga raketowo-jądrowa stanowi swego rodzaju „bezpiecznik”, chroniący świat

przed katastrofą nuklearną. W sferze raketowo-jądrowej Rosja i Stany Zjednoczone zachowują równowagę. Inaczej ta równowaga kształtuje się i będzie kształtować w sferze nowych technologii, cyberprzestrzeni oraz globalnych zagrożeń. W każdej z tych sfer inny jest przedmiot równowagi i inne podmioty: w sprawach raketowo-jądrowych są to nadal Rosja i Stany Zjednoczone, w sprawach finansowej równowagi świata – głównymi partnerami są Ameryka, Chiny i Unia Europejska; w sprawach klimatu – UE, USA, Chiny, Japonia, siedem globalnych mocarstw.

Jakościowo nowym wyzwaniem jest bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni – zjawisko jeszcze nie do końca zinternalizowane przez osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo narodowe i międzynarodowe. Bronie cybernetyczne mogą paraliżować funkcjonowanie całych państw. Wymaga to pilnych uregulowań w ramach środków bezpieczeństwa i zaufania.

Na porządku dziennym staje sprawa uzgodnienia w trybie pilnym nowych kanałów i sposobów utrzymywania łączności i komunikacji między wojskowymi (*military to military*), jak również systemu wymiany informacji, który zapobiegałby przypadkowym incydentom. Potrzebny jest wreszcie system zapobiegania konfliktom lokalnym, regionalnym i globalnym.

Co w tym celu należy zrobić?

Po pierwsze, rozpoznać prawdziwe źródła choroby, która toczy dzisiejszy świat. Zrozumieć, czego obawiają się dzisiejsze państwa oraz wypracować takie odpowiedzi, które neutralizowałyby te obawy. Legitymacją systemów politycznych jest wola społeczeństw. Intencją społeczności międzynarodowej nie może być narzucanie zmiany systemu (*regime change*) – zmiany, która nie odpowiada tradycji i kulturze politycznej narodów w różnych regionach świata. Narzucanie siłą takich zmian wywołuje skutki odwrotne do zamierzonych. Przykładem jest rozwój sytuacji w Iraku i Libii.

Po drugie, należałoby wprowadzić pewien porządek do debaty na temat sprzeczności we współczesnym świecie. Często słyszymy o sprzeczności między światem zachodnim a islamem. Porównujemy tu różne porządki: skoro mówimy o świecie zachodnim, to mamy na myśli ustrój polityczny; kiedy mówimy o świecie islamu, to debata dotyczy świata religii, wartości, tradycji. Na czym polega problem? Jeśli w sprawach poli-

tycznych możemy szukać kompromisu, to religia kompromisu nie dopuszcza. Wiemy z historii średniowiecznej Europy, że nie można było wypracować kompromisu z tymi ludźmi Kościoła, którzy nie wierzyli w dogmat św. Trójcy. Dogmat ten był i pozostał niepodważalną, fundamentalną sprawą dla katolików. Spory w takich sprawach nie mogą skończyć się rozwiązaniami opartymi na kompromisie. Innymi słowy, polityka i religia – to są dwa różne porządki. Niemniej wiele wskazuje na to, że wśród analityków i mężów stanu nie ma świadomości, że mamy do czynienia z zupełnie innymi kategoriami myślenia. W poszukiwaniu wspólnych reguł należy przyjąć do wiadomości to, że nie można mieszać porządków nieporównywalnych i nieprzystawalnych oraz traktować ich jako przestrzeni do potencjalnych uzgodnień.

Po trzecie, sposób myślenia przywódców świata zachodniego, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, opiera się na założeniu, że problemy są po to, by je rozwiązywać. Innymi słowy – każdy problem jest rozwiązywalny. Tak nie jest. Są problemy nierozwiązywalne, na przykład sprzeczności między religiami. Można jedynie porozumieć się co do tego, że przedstawiciele różnych konfesji mają różne poglądy. Zaslugą Jana Pawła II było to, że próbował uświadomić przywódcom monoteistycznych religii, że mogą prowadzić dialog bez próby przekonywania siebie nawzajem o wyższości swoich racji, ze zrozumieniem, że wspólną podstawą jest wiara w Boga – istotę doskonałą, Stwórcę wszechświata. W poszukiwaniu nowego globalnego porządku trzeba brać pod uwagę to, że świat, w którym żyjemy, jest coraz bardziej złożony. I uzgadnianie nowych reguł w ramach tego porządku nie może się ograniczać tylko do spraw politycznych, wojskowych czy ekonomicznych. Jest to porządek holistyczny, całościowy. Obejmuje różne wymiary i kategorie spraw.

Po czwarte wreszcie, istotną rolę w przygotowaniu politycznych decyzji, które – wcześniej czy później – będą podjęte na najwyższym szczeblu, mogą i powinny odegrać pozarządowe ośrodki badawcze, *think tanki*, międzynarodowe grupy robocze złożone z wybitnych i doświadczonych polityków. Ich przemyślenia i postulaty z pewnością ułatwią podejmowanie stosownych decyzji. Warto w tym kontekście wspomnieć o raportach EASI (Euro-Atlantic Security Initiative, czyli Euro-Atlantyckiej Inicjatywy Bezpieczeństwa); ELN (European Leadership Network, czyli Europejskiej Sieci Przywództwa); AMF (Aspen Ministers Forum, Forum Ministerialne

w Aspen), czy też ECFR (European Council on Foreign Relations, czyli Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych).

Nowe myślenie wymaga porzucenia raz na zawsze postawy europocentrycznej i poszukania rozwiązań, które będą uwzględniać w równej mierze interesy europejskich i pozaeuropejskich aktorów globalnej sceny politycznej. Wolno przypuszczać, że osiągnięte porozumienia będą miały charakter zróżnicowany – cząstkowy i całościowy, sieciowy i funkcjonalny, globalny i regionalny – a nie tylko międzypaństwowy, jak to było przez setki i tysiące lat w przeszłości. Będą uwzględniać zmienioną naturę współczesnego świata.

Jeszcze nie wszystkie błędy zostały popełnione

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają Piotr Brysacz i Jędrzej Morawiecki

To, co się w Rosji dzieje, przypomina w pewnej mierze Austrię, która po I wojnie światowej nie pogodziła się mentalnie z rozpadem Cesarstwa i utratą terytoriów. To nie przypadek, że właśnie w Austrii na przełomie lat 20. i 30. XX wieku zrodził się faszyzm. Hitler był Austriakiem, podobnie wiele osób z jego najbliższego otoczenia, a mieszkańcy Austrii poparli w 1938 roku Anschluss – według oficjalnych danych – w 99 procentach. . . Dostrzegam tu pewną analogię: w Rosji – w miejsce imperialnej tożsamości – tworzy się właśnie nacjonalistyczny wielkoruski mit. . .

Kiedy myśli Pan o Ukrainie, to co Panu przychodzi do głowy w pierwszej kolejności?

Przed wszystkim to, że Ukraina to nasz bliski sąsiad, a kryzys polityczny i konflikt zbrojny na Ukrainie to wyzwanie i wielowymiarowy problem. Ukraina rozpościera się między Polską a Rosją, a zarazem jest to kraj, w którym wykuwa się nowa polityczna tożsamość narodu. Do tego dochodzi wymiar romantyczny – poetycka wyobraźnia o ziemiach, które w świadomości Polaków były w historycznej przeszłości częścią Rzeczypospolitej. Zmieniły to powstania i wojny z połowy XVII wieku oraz Ugoda Perejasław-

ska z 1654 roku – zresztą bardzo różnie postrzegana na Ukrainie, w Rosji i w Polsce. Przez badaczy i polityków ukraińskich krytykowana jest jako akt i działanie doraźne, któremu zabrakło strategicznego wymiaru, ponieważ Chmielnicki nie wziął pod uwagę dalekosiężnych konsekwencji. W Rosji umowa z Perejasławia jest niezmiennie oceniana jako dokument świadczący o braterstwie obu narodów i dowód na wolę Ukraińców poszukiwania bezpieczeństwa i realizacji swoich aspiracji w ramach rosyjskiego imperium – pod protektoratem Moskwy. W Polsce Ugoda Perejasławska postrzegana jest i oceniana jako instrument i sposób wyrwania się ukraińskich elit z zależności od Korony.

Jednak to nie Perejasław, a nawet nie Sienkiewicz determinują dzisiaj stosunek Polaków do Ukraińców. W większym stopniu o naszych relacjach stanowią wydarzenia, które miały miejsce po I wojnie światowej: proklamowanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, polsko-ukraińskie walki o Lwów oraz bliskie, a zarazem złożone relacje Piłsudskiego z Petłurą. Jednak tym, co najmocniej zakotwiczyło się w pamięci ciągle jeszcze żyjącego pokolenia, są dramatyczne i tragiczne wydarzenia, które miały miejsce w czasie II wojny światowej, szczególnie w 1943 roku, kiedy doszło na Wołyniu i Podolu do mordów ludności polskiej na masową skalę – do czystki etnicznej, która przeszła do historii pod nazwą „rzezi wołyńskiej”. A przecież to nie był tylko Wołyń. Działo się to na całym obszarze, który przed wojną stanowił część Rzeczypospolitej. Falę masowych mordów inspirowały, organizowały i realizowały głównie skrajnie nacjonalistyczne i radykalne ukraińskie ugrupowania (UPA i OUN).

Czy to właśnie te elementy historyczne zdeterminowały nasze dzisiejsze relacje z Ukrainą?

Nie. Cały ten konglomerat wypowiedzianych i niewypowiedzianych krzywd, nie do końca zbadanych wydarzeń, które naznaczyły w sposób niezwykle dramatyczny i bolesny wzajemne stosunki – wszystko to zeszło na plan dalszy, kiedy Ukraina w 1991 roku ogłosiła swoją niepodległość, a Polska uznała ją jako pierwszy kraj na świecie. Pozytywna reakcja Polaków na to wydarzenie stanowi swoisty fenomen. Ten dyplomatyczny akt uznania suwerenności Ukrainy poparły najszerze kręgi społeczne – nie tylko rząd i polityczne elity. Było to dla mnie niezwykle budujące doświadczenie –

a równocześnie zaskoczenie. Wtedy właśnie coś się na dobre w stosunkach polsko-ukraińskich przełamało. I trwa to po dziś dzień.

Nostalgie i resentymenty, rzecz jasna, nie znikły. Po stronie ukraińskiej popełniono wiele błędów. Jerzy Pomianowski być może napisałby, że „wszystkie błędy zostały już popełnione” (tak zatytułował swój wykład z 2014 roku poświęcony sprawie ukraińskiej). Mam na ten temat inne zdanie. Nie, nie wszystkie. W przyszłości będą jeszcze popełnione zapewne nowe błędy. Wiele spraw w naszych wzajemnych relacjach tkwi korzeniami w historii, psychologii, często ma charakter nieracjonalny. Nadal ważną rolę odgrywają emocje. Dla wielu osób w Polsce Ukraina to świat folkloru: muzyki, dumek – starych pieśni, ludowego stroju, potraw, zwyczajów i tradycji Łemków, Bojków i Hucułów...

Niewielu z nas próbuje zrozumieć, co się właściwie u naszego wschodniego sąsiada stało: że oto Polska w 1918 roku odzyskała niepodległość, a Ukraina, będąc w sytuacji zbliżonej, z takiej szansy nie była w stanie skorzystać.

Rzecz w tym, że od czasu Ugody Perejaśławskiej Ukraina wschodnia i centralna stały się integralną częścią Imperium Rosyjskiego. Natomiast Ukraina zachodnia (czyli Galicja Wschodnia ze Lwowem jako stolicą) znalazła się w tej samej sytuacji, w jakiej były polskie ziemie pod zaborem austriackim – jakkolwiek Kraków uzyskał na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku na pewien czas specjalny status Wolnego Miasta; jednak kres temu rozwiązaniu położył upadek powstania z 1846 roku.

Co ciekawe, na Ukrainie zachodniej pozostał sentyment do Austrii. Natomiast nie ma podobnego sentymentu do Polski, jakkolwiek w okresie międzywojennym Ukraińcy – mimo wszystkich błędów II Rzeczypospolitej, a zwłaszcza dyskryminacji politycznej – cieszyli się w Polsce nieporównanie większymi prawami i swobodami niż pod rządami austriackimi, czy później – bolszewickimi... Tę listę skojarzeń można byłoby kontynuować bez końca. To skojarzenia bardzo różnej natury. Bowiem ukraińskie malowidła są na płótnie, które ma wiele warstw i różne cienie, półcienie i kolory. To nie jednolity obraz ani kiczowaty landszaft, który czasem próbuje się prezentować, kiedy mowa o Lwowie czy nawet Kijowie.

W sumie, w zbiorczej pamięci Polaków wyobrażona Ukraina to znacznie więcej niż nostalgiczne obrazy i pamięć o najbardziej bolesnych wydarzeniach 1943 roku.

Czy Pan myśli o Ukrainie ze smutkiem? A może z nadzieją?

Z nadzieją. Co prawda, lata po 1991 roku w znacznej części nie zostały wykorzystane. Były zmarnowane. O przyszłości Ukrainy zdecydują jednak dwa znaczące etapy z początku nowego tysiąclecia. Mam na myśli lata 2004-2005 oraz 2013-2014 – wtedy właśnie zaszły jakościowe zmiany w politycznej tożsamości Ukraińców. To wtedy ukształtował się nowy ukraiński polityczny naród.

Pytamy o Ukrainę, ponieważ próbujemy zrozumieć, na co właściwie patrzyliśmy w 2013 i 2014 roku. Oto wchodzi obce mocarstwo, wyciąga rękę po kawałek europejskiego państwa i mówi: „to moje”. A wszyscy wkoło: „No jak to tak?! No jak to? No dobrze, nieładnie, ale na razie niech tak będzie”...

Proponowałbym jednak, żebyśmy spojrzeli na to, co się wydarzyło, bez emocji – z pewnym dystansem. To nie tak, że mocarstwo przyszło i zabrało to, na co miało akurat ochotę. Rosjanom nigdy nie przyszło do głowy, żeby uznać, że Sewastopol, Łużańsk, Donieck czy Odessa to są miasta ukraińskie. Związek historyczny Krymu z Rosją to mieszanina mitów, legend, półprawd i podbojów. W rosyjskiej narodowej wyobraźni ten półwysep jest dumą armii rosyjskiej, a nawet dumą całego narodu. Sewastopol to więcej niż miasto, to ikona w imperialnej pamięci Rosjan o własnej potędze i sławie.

Każdy incydent zakorzeniony jest w historii. Historia bywa niekiedy prostacka, a zarazem bardzo złożona. Początkowo Krym nie był przecież ani częścią Imperium Rosyjskiego, ani częścią Ukrainy – został przyłączony do imperium w wyniku wojen prowadzonych między Rosją a Turcją. Przypomnijmy: w czasach Tamerlana – a był to wiek XIV/XV – Krym zyskał status niepodległego chanatu. Wtedy było to potężne państwo, które najeżdżało Ruś Moskiewską, a nawet Polskę. Jednak w 300 lat później, w wieku XVIII został za czasów Katarzyny Wielkiej podbity i włączony do Cesarstwa Rosyjskiego. Dla pokolenia ludzi XXI wieku to, co się wydarzyło w wieku XVIII, w czasach Katarzyny, jest równie odległe, jak konflikty na Półwyspie Apenińskim w czasach, kiedy Hannibal przechodził przez Alpy. W podręcznikach historii te dwa zdarzenia może dzielić zaledwie jedna strona. Oba należą do odległej historii i dla codziennego funkcyjono-

wania oraz myślenia o świecie wydają się mało istotne. Do czasu. Od podpisania Ugody Perejasławskiej Rosja traktowała Ukrainę jako swoją integralną część i ta świadomość w rosyjskiej wyobraźni zakorzeniła się tak mocno, że ignoruje nową rzeczywistość. Dla mieszkańców Rosji – to nieważne, że Ukraina odzyskała niepodległość. Nieważne, że historia Rosji jest znacznie krótsza niż Ukrainy. Nieważne, że chrzest Rusi odbywał się w Kijowie, gdy Rosji jeszcze w ogóle nie było, a na obszarach, gdzie później powstała, były wtedy jakieś pojedyncze plemiona, słabo zorganizowane księstwa. W tym, co mówię nie ma żadnej deprecjacji: przecież zjednoczone Włochy mają historię jeszcze krótszą – rzędu 180 lat. Niemcy mają jeszcze krótszą historię swego zjednoczenia. A więc to, do czego zachęcałbym, to spróbować zrozumieć, że mimo iż rozmawiamy w drugiej dekadzie XXI wieku, to wydarzenia, które miały miejsce w XVIII i XIX wieku wywarły głębokie piętno na świadomości współczesnych narodów.

Ukraina, którą znamy dziś – proklamowała swoją niepodległą państwowość w ostatniej dekadzie XX wieku, w tych granicach, w jakich funkcjonowała jako republika w ramach Związku Radzieckiego. *De iure* Krym został włączony do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w 1954 roku – w 300. rocznicę Ugody Perejasławskiej.

Granice republik radzieckich były wyznaczane w sposób administracyjny. Decyzje miały charakter polityczny. Nie odwoływano się do kryterium historycznego czy demograficznego. Przecież po przewrocie bolszewickim nie było jeszcze Związku Radzieckiego, bo do końca 1922 roku istniała Rosyjska Federacyjna Republika Radziecka (Związek Radziecki proklamowano dopiero 30 grudnia 1922 roku). Nową narodowościową politykę bolszewików realizował Stalin. Zapożyczył koncepcję od austriackich socjaldemokratów (Karla Rennera i Otto Bauera). Była to koncepcja wielokulturowości. Próbował przeszczepić tę koncepcję na grunt Rosji. Arbitralnie wyznaczył obszary, które mają wchodzić w skład poszczególnych republik. Na przykład obszar Gorskiego Karabachu zamieszkały przez Ormian znalazł się pod rządami Azerów w ramach Azerbejdżanu; z kolei obszar zamieszkały przez Abchazów stał się częścią Gruzji. Logika nakazywała, by Krym wchodził w skład Ukrainy. Jednak stał się częścią Federacji Rosyjskiej, chociaż był zamieszkały wówczas w przeważającej mierze przez krymskich Tatarów i częściowo przez Greków, Żydów i Rosjan.

W czasie II wojny światowej niektóre narody ZSRR zostały przez Stalina uznane za zdraździeckie, bo „kolaborowały z Niemcami” i za karę były poddane masowym represjom. Dotyczyło to Tatarów, Niemców nadwołżańskich, Czeczenów, Kałmuków. W efekcie krymskich Tatarów wysiedlono, a zwolnione domy i mieszkania zostały zajęte przez Rosjan.

Po śmierci Stalina w 1953 roku władzę w ZSRR objął Chruszczow. Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego był uosobieniem zarówno władzy polityczno-imperialnej nad całym obszarem, jak również quasi-administracyjnej. Sekretarz Generalny był w istocie najważniejszą osobą w państwie. Zgodnie z obowiązującą wówczas formułą: partia kieruje, a rząd rządzi, czyli administruje, partia miała pełnię władzy, ale nie ponosiła prawnej odpowiedzialności, która spadała na urzędników. To wtedy właśnie Nikita Chruszczow, który sprawował przez długie lata funkcję I Sekretarza Komunistycznej Partii Ukrainy i ponosił współodpowiedzialność za stalinowskie zbrodnie wobec narodu Ukrainy (głód, egzekucje, represje i zesłania), po śmierci Stalina i objęciu najwyższej funkcji w państwie podjął decyzję, aby „obdarować” Ukrainę Krymem. Mocą decyzji własnej Krym administracyjnie przekazał i włączył do Republiki Ukraińskiej. Stało się to w 300. rocznicę Ugody Perejasławskiej. W przekonaniu Chruszczowa miało to w oczach Ukraińców poprawić jego reputację i wizerunek życzliwego Ukraińcom władcy na Kremlu.

Był więc Krym od 1954 do 1991 roku częścią Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Ten stan rzeczy utrzymano również po roku 1991. Podpisano w tej mierze szereg stosownych porozumień, zgodnie z którymi Rosja miała prawo do swoich baz w Sewastopolu i Symferopolu. A Krym zachował status autonomii w ramach nowego państwa ukraińskiego. Rosja w zawartych traktatach uznała status prawny Krymu i zobowiązała się do respektowania nienaruszalności nowych granic. Uznała też suwerenną władzę Ukrainy nad całym terytorium nowo proklamowanego państwa. Co więcej – potwierdziła to nie tylko w dwustronnych, ale również wielostronnych międzynarodowych porozumieniach zawartych z Ukrainą.

Aneksja Krymu była więc jednoznacznym pogwałceniem reguł?

Włączenie Krymu do Rosji w marcu 2014 roku oznaczało złamanie zasady nienaruszalności granic, o którą Związek Radziecki zabiegał w okresie



Wspólna wizyta ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec w Kijowie; od lewej: Adam D. Rotfeld, prezydent Wiktor Juszczenko (Ukraina) i minister Joschka Fischer (Niemcy), Kijów, kwiecień 2005 r.

zimnej wojny i w czasach odprężenia. Rosja złamała doniosłe porozumienie polityczne, którego była inicjatorem, a mianowicie Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Podważyła większość jego zasad – w tym pierwszą zasadę o suwerennej równości państw, drugą – o nieużyciu siły, trzecią zasadę – o nienaruszalności granic i czwartą, która zobowiązuje do respektowania integralności terytorialnej państw sygnatariuszy Aktu Helsińskiego.

W relacjach z Ukrainą wszystkie te zasady zostały pogwałcone. Co więcej, w 1994 roku podpisano z Ukrainą dwa dodatkowe porozumienia: w Moskwie – 15 stycznia 1994 roku i – zawarte pod auspicjami Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie porozumienie w Budapeszcie – 5 grudnia 1994 roku. Pierwsze porozumienie było trójstronne: amerykańsko-rosyjsko-ukraińskie. Drugie natomiast uroczyste Memorandum podpisane zostało w Budapeszcie między Ukrainą a wielkimi mocarstwami (do Rosji i Stanów Zjednoczonych dołączyła wtedy Wielka Brytania, z czasem Francja, a nawet Chiny). Porozumienie to miało zapewnić Ukrainie gwarancje bezpieczeństwa – w zamian za rezygnację z broni jądrowej. Na terytorium Ukrainy znajdowała się bowiem nie tylko największa część zakładów przemysłu zbrojeniowego Związku Radzieckiego, ale były tam rozmieszczone arsenały radzieckiej broni jądrowej. Mocarstwa atomowe zainteresowane były tym, by zapobiec proliferacji, usunąć tę broń i nie dopuścić do tego, by Ukraina stała się mocarstwem atomowym. Ukraińcy postawili wtedy szereg żądań i warunków – inaczej niż Białorusini i Kazachowie, na terytoriach których również dyslokowana była broń jądrowa. Kijów uzyskał wówczas dodatkowe gwarancje (*re-assurance*), czyli wzmocnione zapewnienia, że integralność terytorialna Ukrainy, jej suwerenność i nienaruszalność granic będą gwarantowane przez mocarstwa jądrowe. W latach 2014-2015 wszystkie te zapewnienia zostały zignorowane. Warte były tyle, ile cena papieru, na którym były zapisane...

Czy to jest rzeczywiście tak bardzo niebezpieczny precedens? A może my w Polsce ten fakt wyolbrzymiamy?

Po pierwsze, podważyło to wiarygodność tego typu zapewnień na przyszłość. Były to „gwarancje” polityczne, a nie prawne zobowiązania – jak

kolwiek forma i uroczysty charakter przypominały nie tyle memorandum, co traktat. Jednak było to porozumienie, które nie podlegało ratyfikacji. Rosja zignorowała nie tylko te zobowiązania, ale również wszystkie zasady, które sama wprowadziła do obrotu międzynarodowego. Przecież gdyby nie Związek Radziecki, to w Helsinkach nie byłaby uzgodniona zasada nienaruszalności granic. Co więcej, w ogóle nie byłoby Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, ponieważ to Związek Radziecki był inicjatorem zwołania tego forum.

Deklaracja zasad KBWE miała dla Związku Radzieckiego fundamentalne znaczenie. Porządkowała bowiem problemy, które nie były uregulowane od zakończenia II wojny światowej. Przecież po tej wojnie nie podpisano traktatu pokojowego z Niemcami. Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, uzgodniony 30 lat po zakończeniu wojny, był swoistą polityczną namiastką traktatu pokojowego. Był to polityczny dokument o wielkim znaczeniu prawnym.

Tak się składa, że uczestniczyłem w redagowaniu tego dokumentu. Mogę zatem powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że w tyle głowy wszyscy mieli to, że uznajemy ukształtowany po wojnie terytorialno-polityczny stan rzeczy. To, co się wydarzyło w 2014 roku, nie tylko przeczyło tym uzgodnieniom, ale stanowiło pogwałcenie fundamentalnych zasad prawa międzynarodowego. Było to złamanie prawa w jednoznacznie złej wierze – wbrew postanowieniom X zasady KBWE, zgodnie z którą uczestnicy są zobowiązani respektować i wykonywać w dobrej wierze normy i zasady prawa międzynarodowego.

Dlaczego Rosja na ten krok się zdecydowała?

W rok po aneksji Krymu Putin udzielił wywiadu, w którym wyjaśniał motyw swego postępowania. Na podstawie tej rozmowy można odnieść wrażenie, że jego decyzje i postępowanie były wynikiem rozwoju wypadków, którego nie przewidywał. Sens wypowiedzi Putina sprowadzał się do tego, że gdyby Wiktor Janukowycz się inaczej zachował i nie uciekł z Kijowa, nie doszłoby do interwencji. Kiedy Putina słuchałem, to dochodziłem do wniosku, że jego intencją jest przekonać Rosjan, że to właśnie z powodu Janukowycza Rosja dokonała naruszenia wszystkich zasad, norm i reguł prawa. Rosyjski prezydent jest zarazem głównodowodzą-

cym sił zbrojnych. I w tym charakterze Putin wydał rozkaz, żeby uczynić wszystko, co możliwe – w powietrzu, na lądzie i na morzach – aby uratować Janukowycza.

Zastanawiałem się, dlaczego Wiktor Janukowycz miałby być dla Putina taki bezcenny? Przecież nie był to polityk specjalnie wydarzony i wyróżniający się intelektualnie. Nie zamierzam go dyskredytować tylko dlatego, że utracił władzę, ale to naprawdę była postać dosyć mierna. Nawet w porównaniu do swoich poprzedników na stanowisku prezydenta Ukrainy. A przecież żaden z tych prezydentów nie był postacią wybitną. Poza tym Janukowycz miał nie do końca czystą przeszłość. Gdy sprawował urząd prezydenta, pogłębił oligarchizację i korupcję. Nie dotrzymywał zobowiązań. Składał nowe przyrzeczenia, których z założenia nie traktował poważnie i nie zamierzał ich realizować. Przecież do Majdanu w 2013 roku doszło z powodu niedotrzymania obietnicy w sprawie podpisania Układu Stowarzyszeniowego Ukrainy z Unią Europejską.

Dlaczego zatem Putinowi tak zależało, żeby go ratować? Nie sądzę, żeby Janukowyczowi wtedy cokolwiek groziło, szczególnie gdy był on już poza terytorium kontrolowanym przez władze centralne Ukrainy. Moje przypuszczenie sprowadza się do tego, że Putinowi na Janukowyczu zależało z dwóch powodów: po pierwsze, w Rosji żywiono przekonanie, że wydarzenia w Kijowie nie są rewolucją, ale wspieranym przez Zachód spiskiem, zamachem stanu i po drugie – prezydent Janukowycz wybrany w demokratycznych wyborach może na emigracji – w Rostowie czy w Moskwie – utworzyć nowy ośrodek „legalnej” władzy i doprowadzić ponownie Ukrainę do tego, by stała się częścią rosyjskiego imperium. W świadomości Rosjan była to perła w carskiej koronie.

Co jest kluczem dla wyjaśnienia motywów postępowania Rosji wobec Ukrainy?

By zrozumieć rosyjską politykę wobec Ukrainy, musimy uwzględnić to, że w umysłach rosyjskiej elity, włącznie z prezydentem, ale także przeważającej części Rosjan dominuje przekonanie, że Ukraina nigdy nie była, nie jest i nie powinna być suwerennym państwem. Co więcej, Rosjanie są przeświadczeni, że Ukraińcy nie są odrębnym narodem, nie mają odrębnej kultury i własnej cywilizacji. W rozumieniu Rosjan Ukraina jest po prostu częścią ruskiego świata.

Lata 2013-2015 mają z tego względu fundamentalne znaczenie dla kształtowania nowej politycznej tożsamości Ukraińców jako narodu i dlatego przejdą one do historii Ukrainy jako okres, który rozstrzygnął o tym, że Ukraińcy zaczęli wyzwalać się z myślenia o sobie jako o części ruskiego świata. To właśnie w tych latach w Rosji po raz pierwszy postawiono sobie pytanie, jak ułożyć stosunki z nową Ukrainą. Mam wrażenie, że Rosja uznała, że skoro nadszedł czas, by pogodzić się z bolesnym oderwaniem się całej Ukrainy od żywego „ciała Rosji”, to przynajmniej zostawimy sobie Krym jako swoistą „nagrodę pocieszenia”.

Aneksji Krymu nadano więc niezwykłą oprawę. Miało to w umysłach ludzi podnieść do rangi zwycięstwa to, co było w istocie rzeczą sprawą przegraną, klęską, a nawet – katastrofą. Rosja odniosła sukces taktyczny. Ale było to niepowodzenie strategiczne. Popełniła fundamentalny błąd, którego skutki będą odczuwane jeszcze bardzo długo, przez wiele generacji. Błąd polega na tym, że Rosja nie pogodziła się z nową rzeczywistością. Jej sukcesy taktyczne prowadzą na bezdroża. Jeśli w porę się nie zatrzyma, to może ten marsz zakończyć się prawdziwą katastrofą.

To, co się w Rosji dziś dzieje, przypomina w pewnej mierze Austrię, która mentalnie nie pogodziła się po I wojnie światowej z rozpadem Cesarstwa i utratą olbrzymich terytoriów. To nie przypadek, że właśnie w Austrii na przełomie lat 20. i 30. XX wieku zrodził się faszyzm. Hitler był Austriakiem, podobnie wiele osób z jego otoczenia, a mieszkańcy Austrii poparli Anschluss w marcu 1938 roku, według oficjalnych danych – w 99 procentach... Wątpliwości żywiła tylko nieliczna grupa, przede wszystkim inteligencja z Wiednia, w znacznej mierze złożona z przedstawicieli zasymilowanych żydowskich środowisk twórczych – głównie pisarzy, ludzi teatru i nauki. To nie przypadek, że w Austrii antysemityzm był silniejszy niż w Niemczech. Wspominam o tym, bo dostrzegam tu pewną analogię: w Rosji – w miejsce imperialnej tożsamości – tworzy się właśnie nacjonalistyczny wielkoruski mit...

Katastrofa grozi Rosji czy nam wszystkim? Bo analogia austriacka wydaje się bardzo niepokojąca...

Mówimy przecież o potencjalnej katastrofie wielkiego mocarstwa, które jest naszym sąsiadem. Trwoga jest uzasadniona. To zawsze musi niepokoić.

Nie znaczy to, że do tego krachu musi dojść. Znaczna część elity, która w dzisiejszej Rosji sprawuje władzę, nie jest tak bardzo zideologizowana, jak w czasach Związku Radzieckiego. Są to ludzie raczej pragmatyczni. Putin i jego otoczenie dają dowody, że są gotowi porozumieć się z każdym: zarówno z zachodnimi państwami demokracji liberalnej, jak też autorytarnymi rządami Zatoki Perskiej. Pod jednym warunkiem – że mocarstwa te uznają globalną rolę Rosji, a jej zewnętrzne relacje będą służyć utrzymaniu się nowej elity u władzy. Innymi słowy, o strategii Rosji decyduje sprawa utrzymania się u władzy, a nie jej ideologia. Do ideologii nacjonalistycznej albo wiary prawosławnej władza miesza się po to, by podtrzymywać w społeczeństwie obraz „narodu wybranego”: „My mamy jeszcze do odegrania w historii ludzkości wielką rolę, podczas gdy inne mocarstwa są w okresie schyłkowym i gniją”; „demokracje zachodnie już upadają, tak jak upadł Rzym pod ciosami barbarzyńców, a tymi barbarzyńcami XXI wieku my jesteśmy”.

Rosjanie chętnie odwołują się do zmitologizowanych formuł w rodzaju cytatu z listu mnicha Filoteusza do księcia moskiewskiego Wasyla III: „Dwa Rzymy upadły. Trzeci stoi (czyli Moskwa – dop. A. D. R.). A czwartego nie będzie”. Dziś to nic nie znaczy. Podobnie jak słowa Aleksandra III, który miał powiedzieć, że Rosja ma tylko dwóch sojuszników: armię i flotę. Nagle ta formuła jest powtarzana jako swoiste *credo*: Rosja na nikogo nie może liczyć – mamy tylko dwóch sojuszników etc. Jak można być dumnym z tego, że się nie ma przyjaciół? Skoro – jak głosi propaganda – „Rosja jest państwem szlachetnym, bezinteresownym, które niesie tylko dobre wartości”, to powinna być centrum przyciągania dla sąsiadów, a jest odwrotnie.

Rosyjska propaganda powtarza mantrę: „Świat jest pełen rusofobów, jesteśmy otoczeni przez wrogów”. Myślę, że ekipa rządząca Rosją nie wierzy w tę ideologię. Głoszą te frazesy, by galwanizować, podsycać i legitymizować potrzebę wydatków na armię i zbrojenia.

Putin na początku swoich rządów zawarł z Rosjanami niepisaną umowę społeczną: „my się zajmiemy polityką, zapewnimy wam dobrobyt, jakiego do tej pory nie znaliście – ale nie mieszajcie się do spraw państwa, do sprawowania władzy”. Realizacja tej umowy była możliwa, dopóki cena ropy wynosiła 140 dolarów za baryłkę (czerwiec 2014). Jednak w styczniu 2016 roku cena baryłki ropy spadła do 28 dolarów. Budżet Ro-

sji był oparty w ponad połowie na sprzedaży ropy i gazu. Zamiast wzrostu dobrobytu – pojawia się nowe hasło: ojczyzna w niebezpieczeństwie, każdy z nas musi zacisnąć pasa i udzielić poparcia przywódcy. Pojawia się zapotrzebowanie na ideologię nacjonalistyczną, wielkomocarstwową, militarystyczną. Co prawda, modernizacja się nie powiodła, ale militaryzacja – udała się.

Jak Ukraińcy mogą ustawić się wobec nowej polityki rosyjskiej?

Ukraińcy postawili wszystko na jedną kartę: jeżeli stracimy suwerenność – utracimy wszystko. Toczy się gra na śmierć i życie. Bez zwycięstwa Ukraina traci wszystko. Musimy zwyciężyć. Tu i teraz.

Stosunki rosyjsko-ukraińskie są bardzo specyficzne. Ukraina uznała Rosję za swego głównego wroga. Ma ku temu powody. Tyle że normalnie pierwszym aktem wojny jest zerwanie stosunków dyplomatycznych. Natomiast stosunki dyplomatyczne między Moskwą a Kijowem nie zostały zerwane. Co więcej, są one intensywniejsze niż między innymi państwami. Myślę, że żaden z ambasadorów w Kijowie nie ma tak szeroko otwartych drzwi do prezydenta jak ambasador Rosji Michaił Zurabow.

Wielu obserwatorów powtarza jak mantrę, że w istocie rzeczy „Ukraińcy niczego nie osiągnęli, wszystko przegrali, stracili przecież Krym”. Ich armia okazała się „niezdolna do stawienia oporu, reformy nie są wcielane w życie, korupcja kwitnie”... Jest to mantra fałszywa. Ukrainie udało się zrealizować wiele celów.

Po pierwsze, jakkolwiek Krym został podstępnie zawłaszczony, to nie wolno zapominać, że stacjonowała tam armia rosyjska, że przeprowadzono intensywną pracę propagandowo-wychowawczą wśród tamtejszych ukraińskich oficerów, którzy wspólnie z Rosjanami studiowali, byli zaprzyjaźnieni... Niemniej jednak Ukraina postawiła tamę, by to się nie powtórzyło na południowym wschodzie. Początkowo dominowało przeświadczenie, że po Doniecku i Łuhańsku pod rządy rosyjskich separatystów dostaną się Dniepropietrowsk, Charków, Odessa. Zakładano, że Ukraina utraci dostęp do morza.

Pamiętam, przed rokiem często zadawano mi pytanie: „Gdzie zatrzyma się Rosja?”. Odpowiadałem: „Tam, gdzie będzie zatrzymana”. Rosja na Ukrainie napotkała skuteczny opór. Jest to sukces i wielkie zwycięstwo

Ukrainy. Cena była ogromna. W tym konflikcie zginęło ponad 9 tysięcy osób. Przelana krew jest ceną kształtowania nowej tożsamości politycznej ukraińskiego narodu.

Wprowadzane są w życie niezwykle bolesne dla społeczeństwa reformy. Do wcielania tych reform zaproszono ekspertów i polityków z zewnątrz, niepowiązanych z miejscową oligarchią. Ukraina zdołała zorganizować najnowocześniejszy w Europie system zamówień publicznych, całkowicie skomputeryzowany, który zapewnia pełną przejrzystość (w Polsce możemy na razie o takim systemie tylko marzyć). Dokonała też reformy polityki energetycznej. Ceny za energię wzrosły 2,5-krotnie. Nie ma na świecie społeczeństwa, które łatwo zniesie takie reformy. W efekcie, Ukraina nie jest już zależna od dostaw rosyjskiego gazu. Udało się więcej niż czytamy o tym w gazetach. Ale jest to dopiero początek długiej drogi.

Porażką są bariery, jakie napotyka młode, dobrze wykształcone pokolenie w realizacji swoich życiowych planów. Młodzi z trudem przebijają się do polityki – do pełnienia ważnych funkcji w państwie. Osoby sprawujące władzę to postacie, które znamy od lat: Poroszenko, Tymoszenko, Jaceniuk, Miedwiedczuk.

Dlaczego ten proces transformacji jest tak powolny?

Secesje zawsze są niezwykle bolesnym procesem. Tak było, gdy Pakistan się oderwał od Indii. Po dziś dzień utrzymuje się tam zbrojny konflikt. Co pewien czas dochodzi do regularnej wojny pakistańsko-indyjskiej. Tak było też, gdy Erytrea oderwała się od Etiopii. Po dziś dzień trwa tam wojna erytrejsko-etioopska. Na tym tle sytuacja na Ukrainie rysuje się nieco lepiej. Ustały regularne walki na granicy, choć dochodzi nadal do strzelanin. Nadal giną ludzie. Jednak konieczne jest wspieranie pokojowego procesu i realizacja ustaleń z Mińska (luty 2015).

Ważnym czynnikiem jest też zrastanie się obszarów, które mają różną historię: Bukowina, Zakarpacie, Podole, Wołyń... Na Ukrainie, zwłaszcza w regionach biedy na zachodzie kraju zyskują na popularności spiskowe teorie, nacjonalizm, antypolskie resentymy. Historycznym błędem Poroszenki była heroizacja Bandery i Szuchewycza, jakkolwiek można to na różne sposoby tłumaczyć. Niemniej pewne jest to, że ideologia Bandery była bandycka, a nawet faszystowska i ludobójcza. Nie da się niczym

usprawiedliwić masowych zbrodni wobec Polaków i Żydów. Nie było tu żadnej konieczności dziejowej, ale były przejawy skrajnego barbarzyństwa wobec sąsiadów. Ukraińcy byli przez wieki upokarzani, nosili w sobie nawiść i agresję, które wyładowali na najbardziej bezbronnej ludności.

Minęło ponad 70 lat. Czas najwyższy, by obie strony powiedziały sobie prawdę. „Nikt nie był bez winy”. Te dwie różne prawdy – dwie narracje pozwoliłyby oswoić wreszcie społeczeństwo z tym, że Ukraina nie jest tylko ofiarą i szlachetnym rycerzem, który zawsze był motywowany najlepszymi pobudkami. Tego jednak nie zrobiono. Zmarnowano sposobność.

Co więcej – cofnięto się w stosunku do tego, czego dokonali poprzedni prezydenci Ukrainy: Leonid Krawczuk i przede wszystkim Leonid Kuczma. Uruchomili oni proces dwustronnych spotkań uczonych, historyków, archiwistów. Zapoczątkowano wtedy edycję wielotomowych dokumentacji, które powoli torowały drogę do powiedzenia pełnej prawdy o tym, co się wydarzyło w tym strasznym 1943 roku na Ukrainie i jaka była geneza antyukraińskiej akcji „Wisła” zarządzanej w 1947 roku przez władze komunistyczne po śmierci generała Karola Świerczewskiego w Bieszczadach.

Czego Ukraina oczekuje od Rosji?

Prezydent Leonid Kuczma opublikował ponad 10 lat temu swoje wspomnienia pt. *Ukraina to nie Rosja*. Była to ważna konstatacja. Natomiast po to, by Ukraina stała się państwem naprawdę niepodległym i suwerennym, trzeba powiedzieć coś znacznie ważniejszego. A mianowicie: Rosja powinna ukraińską niepodległość nie tylko formalnie uznać, ale jej suwerenność w pełni respektować. Rosja byłaby gotowa uznać formalnie niepodległość i suwerenność Kijowa, ale pod warunkiem, że Ukraina pogodzi się z tym, że jej suwerenność będzie ograniczona. Podobnie jak była do 1989 roku ograniczona suwerenność Polski Ludowej.

Zakres polskiej suwerenności zmieniał się. Przecież w okresie Gomułki nie było już u nas radzieckich doradców, ponieważ zażądał on, aby Związek Radziecki tych doradców z Polski wycofał. Ale ten sam Gomułka uważał równocześnie, że Polska potrzebuje radzieckiego parasola atomowego, bo – jak mówił – „jesteśmy zagrożeni przez zachodnioniemieckich rewizjonistów, rewanzystów, odwetowców i militarystów”. Po

powrocie do władzy w 1956 roku, Gomułka w rok później doprowadził do podpisania serii porozumień o regułach prawnych stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Porozumienia te na płaszczyźnie prawnej poszerzały zakres polskiej suwerenności: oficerowie i żołnierze radzieccy mieli już odpowiadać przed polskimi, a nie radzieckimi sądami za popełnione na terytorium Polski przestępstwa wobec polskiej ludności. Wielkie mocarstwa takich ograniczeń wobec własnych wojsk z reguły chętnie nie przyjmują. Z kolei państwowym zależnym od tych mocarstw doskwiera to, że muszą podporządkować się swoim protektorom.

Sytuacja Gomułka była tego klasycznym potwierdzeniem. Wiedział on, że bez tego uzależnienia – bez „radzieckiego parasola” – społeczeństwo odrzuci narzucony ustrój. Gomułka był świadom tego i w ostatecznym rachunku uważał, że musi liczyć na Związek Radziecki nie tylko ze względu na bezpieczeństwo granic, ale przede wszystkim z uwagi na to, że bez zewnętrznego wsparcia system komunistyczny w Polsce nie utrzymałby się. Rosjanie byli czynnikiem odstraszenia zewnętrznego i wewnętrznego.

Dostrzegam tu pewną analogię do sytuacji poradzieckiej Ukrainy. Kuczma patrzył na te sprawy podobnie jak Gomułka. Nie wierzył w to, że Ukraina może być w pełni niepodległa i suwerenna. Optykę zmienił dopiero Poroszenko. Ukraina dokonała na przełomie lat 2013/2014 zasadniczej reorientacji. W moim przekonaniu wielkim zagrożeniem dla przyszłości Ukrainy są – dziś jeszcze marginalne – ruchy skrajnie prawicowe. Mogą one doprowadzić Ukrainę do nieszczęścia. Podczas wyborów, co prawda, okazało się, że radykalni nacjonaliści osiągnęli nieznaczące poparcie. Niemniej sam fakt, że przegłosowano ustawy o heroizacji Bandery i Szuchewycza świadczy o tym, że nacjonaliści odgrywają rolę, ponieważ te ustawy były pisane wyraźnie „pod publiczność”. Mają one jednoznacznie antypolską wymowę. Gdy przyjmowano te ustawy, byłem w Bykowni – jednym z miejsc kaźni polskich oficerów w 1940 roku. Był to dzień oficjalnej wizyty prezydenta Bronisława Komorowskiego w Kijowie. To wtedy właśnie parlament ukraiński przyjął owe ustawy. Była to niebezpieczna gra, która potwierdza jedynie, jak bardzo ukraiński prezydent liczy się z oczekiwaniami radykalnego prawicowo-nacjonalistycznego elektoratu.

Czy ma Pan poczucie, że Europa zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby wspomóc Ukrainę w tym trudnym procesie zmian?

Odpowiem anegdotą, od której właściwie powinniśmy byli rozpocząć naszą rozmowę. Powołanie na ministra spraw zagranicznych otrzymałem 5 stycznia 2005 roku. Następnego dnia zadzwoniłem do niemieckiego ministra Joschki Fischera i zasugerowałem, żebyśmy razem pojechali na Ukrainę. Byłaby to pierwsza moja oficjalna wizyta. Joschka odpowiedział, że chętnie. Ta idea spodobała mu się. Bieżące obowiązki sprawiły, że pojechaliliśmy trzy miesiące później. W czasie tej wizyty rozmawialiśmy z prezydentem Juszczenką, przyjęła nas też pani premier Julia Tymoszenko. W pewnym momencie, kiedy już z nią się żegnaliśmy, przytrzymała mnie za rękę i powiedziała: „Mam prośbę, niech Pan zostanie jeszcze chwilę”. Po wyjściu Joschki Fischera zamknęła drzwi i zapytała: „Proszę powiedzieć, gdzie leży klucz do otwarcia dla Ukrainy drzwi do Unii Europejskiej?”. Zareagowałem: „Klucze te nie leżą w Brukseli, w Moskwie czy w Warszawie. Ten klucz leży tu, w Kijowie. Sięgnięcie po ten klucz wymaga determinacji. W Polsce to również nie było łatwe. Musieliśmy przygotować społeczeństwo do trudnych reform i wyrzeczeń”.

Unia Europejska to nie jest państwo związkowe. To jest związek państw, które mają swoje interesy. Przyjmują nowych członków, po spełnieniu przez kandydatów określonych kryteriów i warunków. Warunki te dotyczą nie tyle i nie tylko wartości, co standardów oraz przestrzegania norm i procedur w zakresie uprawiania biznesu, pozyskiwania inwestycji, szczelności systemu podatkowego. Standardy obejmują wszystko – prawa jednostki i sposób życia w państwie prawa. Żeby do Unii wejść, trzeba zmienić kodeks zachowania na co dzień.

Są pewne zachowania i formy, które stanowią część kultury. Kiedyś w Polsce częścią kultury było słowo honoru: „Słowo się rzekło – kobyłka u płota” – jeśli ktoś coś przyrzekał, to z reguły słowa dotrzymywał. Na końskim targu chłopci nie spisywali żadnej umowy, tylko uzgadniali cenę, a podanie sobie ręki na znak zgody oznaczało, że koń jest sprzedany. Nie pozostawały po tym żadne dokumenty. Akt kupna opierał się na zaufaniu. Rzadko kto kwestionował transakcję. Słowo było święte, ważniejsze niż papiery.

Otóż w wielu krajach protestanckich, ale również arabskich słowo nadal ma taką wartość. Zwłaszcza w społeczeństwach stabilnych i tradycyjnych. Spuścizną Polski Ludowej jest zwyczaj, którego odbicie stanowi zwrot nie do przetłumaczenia na języki zachodnie: „Sprawę da się załatwić”. „Zała-

twić” można wszystko: wejście do lekarza w szpitalu poza kolejką, zezwolenie na budowę domu, przyjęcie dziecka do lepszego liceum. Wszystko się da załatwić. Kiedy w Szwecji premier Göran Persson miał problemy z biodrem, to musiał w kolejce czekać blisko dwa lata na operację i nikt się temu nie dziwił. W egalitarnej i demokratycznej Szwecji taka jest norma.

Inaczej na Ukrainie. Co więcej, Ukraińcy na ogół uważają, że Europa powinna zrobić dla nich nieporównanie więcej, niż zrobiła. Jakiś czas temu Fundacja im. Bronisława Geremka zorganizowała konferencję międzynarodową na temat relacji w trójkącie Europa–Ukraina–Rosja. Uczestniczyła w tej debacie grupa ekspertów z Ukrainy. Były to osoby młode, zdolne i na wysokim poziomie zawodowego przygotowania. Mówili świetnie po angielsku, odpowiadali najwyższym standardom europejskich uczestników debat. Uderzyło mnie to, że dominującą nutą ich wypowiedzi było podejście roszczeniowe. Mieli pretensje, że świat im nie pomógł w stopniu, jakiego oczekiwali. Zastanawiałem się, dlaczego nie mówią o tym, czego oczekują od siebie, co im się nie udało? Dlaczego uważają, że mieliby być dla Zachodu oczkiem w głowie? Takie podejście występuje zresztą nie tylko na Ukrainie, również w Polsce.

Dość powszechne jest w naszych krajach przekonanie, że życie gospodarcze, poziom cywilizacyjny, wszystko wynika z podpisania jakichś umów, papierów i dokumentów. Jak się je podpisze, to stanie się światłość. A kiedy światłość się nie staje – rośnie gorycz i rozżalenie.

Ten ton rozbrzmiewa nie tylko w starszym pokoleniu, ale również u młodych. Mimo że zmienił się ustrój, państwo się zmieniło, nie jest już ani „ludowe”, ani „socjalistyczne”, ani radzieckie i autorytarne. Mimo to państwo nadal ma ponosić odpowiedzialność za wszystko – za zatrudnienie i zdrowie, za bezpieczeństwo socjalne i poziom życia. A przecież państwo to byt abstrakcyjny, to wytwór myśli i działań społeczeństwa. I przejawem słabości tego społeczeństwa są jego dysfunkcje. Jak powiedział to – w mało cenzuralnej formie – polski historyk, publicysta i polityk Bartłomiej Sienkiewicz: instytucje państwa ze sobą źle współdziałają. Zrozumiał to dopiero jako minister – szef wysokiego urzędu. Cóż z tego, że się opracuje strategię i wyda stosowne polecenie, jeśli każda z instytucji działa na swój własny ład i strój, a nie w harmonii, jak dobrze dyrygowana orkiestra? Wymaga to fundamentalnej zmiany, ale nie policyjno-kontrolnej, tylko poprzez generowanie pozytywnych impulsów i zachęt. Współpraca

z innymi powinna być premiowana, ponieważ cierpimy w Polsce na bardzo głęboki deficyt kooperatywnego podejścia. Na Ukrainie ten deficyt jest dramatycznie wysoki. Wynika to z braku wzajemnego zaufania i podejrzliwości, że gotowość do współdziałania może być nadużyta.

Czy te deficyty są charakterystyczne dla całej przestrzeni poradzieckiej? Da się je rzeczywiście wytłumaczyć syndromem postsowieckim?

Myślę, że w dużej części – tak. Mamy na tym obszarze do czynienia z powolnym wychodzeniem ze świata quasi-religijnego, z rzeczywistości zakłamannej.

Ponad 20 lat temu, jesienią 1992 roku, pewien rosyjski dziennikarz prosił, bym odpowiedział na pytanie: „Dlaczego Związek Radziecki upadł?”. Byłem wtedy dyrektorem Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem w Sztokholmie. Swemu rozmówcy powiedziałem, że ZSRR był państwem teokratycznym, które funkcjonuje tak długo, dopóki żywotna jest wiara, która takie państwo pobudza do działania. Mój rosyjski rozmówca bardzo się zdziwił: „Związek Radziecki nie mógł być państwem teokratycznym. Było to państwo ateistyczne”. W odpowiedzi stwierdziłem, że ateizm i rewolucyjna wiara były podniesione w ZSRR do rangi religii. Teoretycznie ustroj komunistyczny miał przecież prowadzić do zaniku państwa, a stało się w praktyce coś dokładnie odwrotnego. Po śmierci Lenina pełnię władzy objął Stalin, którego rozumienie świata było ukształtowane w dzieciństwie i wczesnej młodości w seminarium duchownym w Tyflisie. Poziom tego prowincjonalnego seminarium nie był z pewnością porównywalny do Eton College czy do nauczania w uniwersytetach Oxfordu, Cambridge czy Harvard. Była to peryferyjna szkółka na obrzeżach wielkiego imperium, gdzie seminarzyści uzyskiwali uproszczoną wiedzę o podstawach prawosławia. Z tymi właśnie wyobrażeniami młody fanatyk związał się z ruchem rewolucyjnym i po śmierci wodza rewolucji postanowił przeorać sposób funkcjonowania rosyjskiego mocarstwa. Za wzór i model przyjął wiedzę wyniesioną z seminarium duchownego. W jego uproszczonej wizji klasycy marksizmu – Marks i Engels – uosabiali Boga Ojca. Lenin po śmierci został podniesiony do rangi Syna Bożego – Chrystusa, który powierzył Stalinowi (jak Chrystus Piotrowi) zbudowanie na skale nowego państwa. Stalin otoczył się grupą apostołów – dawnych bliskich współpracowników Lenina, wśród któ-

rych przeważali „judasze”. Z czasem okazało się, że było ich więcej niż dwunastu apostołów. Najważniejszym „judaszem” był Lew Trocki, który w czasie, gdy Lenin żył, był osobą najważniejszą w otoczeniu wodza rewolucji. Do „judaszy” Stalin zaliczył też „ulubieńca partii” – Bucharina oraz Kamieniewa, Zinowiewa i tysiące pomniejszych działaczy partyjnych, którzy mogli podważyć jego pozycję w „zakonie”, jakim była Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia-bolszewików (WKP-b) pod jego światłym przywództwem. Swoich „judaszy” Stalin bez przerwy eliminował, a równocześnie budował państwo oparte na terrorze i strachu. „Zakon”, jakim była partia, odznaczał się tym, że można było do partii wstąpić, ale wyjście oznaczało w istocie piętno nie do wymazania. Nie było gorszej kary niż usunięcie z partii.

W totalitarnej rzeczywistości wszystkie publikacje były redagowane na wzór dzieł teologicznych: zawsze należało się odwołać do klasyków marksizmu, Lenina i Stalina – nawet jeśli były to prace na temat fizyki ciała stałego czy też książki kucharskie. Pamiętam, że jeszcze w czasie studiów trafiła do moich rąk praca na temat brytyjskiej polityki zagranicznej, której autor na wstępie pisał, że „Wielka Brytania jest monarchią” i w przypisie podał źródło dokumentujące tę informację: „J. W. Stalin, Dzieła wybrane, tom XIV...”. Gdyby Stalin nie powiedział w jakimś przemówieniu, że Wielka Brytania jest monarchią, to „uczony” nie miałby na co się powołać. A bez odwołania do klasyków nie można było stwierdzić, że woda jest mokra, a lód jest ciałem stałym.

Powiedział pan, że Związek Radziecki jako państwo teokratyczne wypalił się ideologicznie, tamtej Rosji już nie ma, wszystko się zmieniło. Wynikałoby z tego, że galwanizowanie rosyjskiej tożsamości z poradzieckiego materiału nie będzie skuteczne. Tymczasem Andrzej de Lazari zdaje się uważać, że nie zmieniło się nic, mentalność rosyjska jest stabilna...

Z faktu, że coś minęło i się wypaliło, nie wynika, że nie zostawiło trwałego śladu w mentalności wspólnoty narodowej. To, co ksiądz Józef Tischner określił jako „homo sovieticus”, nie wyparowało.

Profesor Andrzej de Lazari ma rację: w mentalności nic się nie zmieniło. Rosjanie są ciągle tacy sami. Jednak każde pokolenie tworzy swój system wartości i aspiracji na nowo. Nie tworzy go jednak w próżni. Każ-

de odchodzące pokolenie w sposób zwerbalizowany lub domyślny przekazuje następnej generacji spuściznę, której wyrazem jest sposób wychowania w domu, w szkole, kodeks zachowania w pracy... Jest to bagaż, z którym wchodzimy w życie. Bagaż ten gromadzony jest przez wieki, stulecia. Mieści w sobie zdarzenia nie tylko dwudziestowieczne, ale również dziewiętnastowieczne i znacznie wcześniejsze.

Myślenie Rosjan o Ukrainie sięga czasów Katarzyny Wielkiej, Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II, który podczas pobytu w Ems w 1876 roku wydał specjalny dekret, zakazujący publikacji i prawa do publicznego używania „małorosyjskiego narzecza”, czyli języka ukraińskiego. Kiedy dekret ten przeczytałem po raz pierwszy, to wydał mi się na tyle nieprawdopodobny, że aż śmieszny. Car przewidział każdą sytuację, każdy rodzaj publikacji. Zakaz dotyczył wszystkiego – nawet średniowiecznych nut i utworów muzycznych zawierających pieśni cerkiewne napisane w „małorosyjskim narzeczu”. Czuwać nad tym, aby przez „ucho igielne” carskiej cenzury nie przedostało się żadne ukraińskie słowo miał specjalny Wysoki Urząd. Innymi słowy, Rosjanie od dawna mieli świadomość, że trzeba włożyć wiele wysiłku w rusyfikację Ukrainy. I traktowali ukraińską kulturę jako potencjalne zagrożenie. Wspominam o tym, ponieważ te warstwy się nakładają.

Weźmy jako przykład przemiany ustrojowe. W Polsce system socjalistyczny był traktowany jako obcy, bo narzucony przez Rosjan. Jednak Rosji nikt żadnego systemu ustroju państwowego nie narzucił. System zrodził się ze społecznego buntu, niezadowolenia, potrzeby zmiany. Można tylko zastanawiać się, jak i dlaczego nielicznej grupie fanatyków udało się przejąć władzę w ogromnym państwie. Przecież na cały obszar tego wielkiego imperium przypadło niewielu członków Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji. Dodajmy, że partia ta podzieliła się na bolszewików i mienszewików, a łącznie nie liczyła w czasie zamachu październikowego więcej niż 30 tysięcy. Tymczasem Imperium Rosyjskie miało blisko 20 milionów kilometrów kwadratowych i 180 milionów mieszkańców. Zastanawia to, że na tak potężnym obszarze nieliczna grupa może narzucić społeczeństwu rządy, które trwały blisko 75 lat. Odcisnęły one na świadomości współczesnych Rosjan swoje piętno, podobnie jak wcześniejsze rządy carskie, czy też system późniejszy poradziecki, z czasów Jelcyna i jego sukcesora – Władimira Putina.

Co to oznacza w praktyce?

Ma to znaczenie ogromne. Podam przykład – Rosjanie potępiają kult Stalina, powtarzają, że nie chcą, by powtórzył się rok 1937, kiedy doszło do największych represji. A równocześnie są dumni z tego, że Stalin – który był zbrodniarzem – był też, ich zdaniem, wybitnym dowódcą, jakkolwiek rosyjscy badacze dowiedli poza wszelką wątpliwością, że to nieprawda. Podobnie Rosjanie chwala Piotra Stołypina, stawiają mu pomniki i odwołują się do jego reform, zapominając, że był znany również z lasu szubienic („krawaty Stołypina”), pogromów i masowych kar śmierci.

Współczesna rosyjska elita promuje konserwatywnych reformatorów, którzy mają Rosję unowocześnić. To się nie udaje. Po raz kolejny modernizacja okazuje się niewypałem. Unowocześnienie państwa wymaga nie tylko nowych technologii, ale modernizacji instytucji, procedur i stosunków społecznych. Wymaga respektowania godności ludzkiej, praw człowieka, tolerancji i poszanowania reguł państwa prawa. Tymczasem słyszymy: „Nikt nam nie będzie dyktował zasad, nie będzie nam tłumaczył, co to są prawa człowieka. Bo Rosja jest inna. Rosji z nikim i niczym nie da się porównać”. Pewna dziennikarka powiedziała mi niedawno, że rosyjski ambasador tłumaczył jej, że w Rosji też istnieje demokracja, ale jest to po prostu inna demokracja – taka, jakiej ludzie w Rosji chcą, a nie taka, jaką jej usiłuje narzucić Zachód.

Takie podejście określiłbym jako „demokrację przymiotnikową”. Przymiotniki demokracji nie służą. Jeśli ktoś zaczyna mi tłumaczyć, że „u nas jest demokracja, ale suwerenna”, to moje rozumowanie jest następujące: „Akceptujemy demokrację do momentu, gdy może ona prowadzić do zmiany władzy”.

Jednym z fundamentalnych elementów konstytuujących demokrację jest to, że władza może być zmieniona. Demokracja zakłada istnienie opozycji i to opozycji zarówno parlamentarnej, jak i pozaparlamentarnej. W Rosji opozycja parlamentarna została całkowicie wyeliminowana, a niezależna pozaparlamentarna jest represjonowana, prześladowana i stopniowo eliminowana. Obecnej władzy udało się stworzyć w Rosji system władzy bezalternatywnej. Taki wybór może prowadzić prostą drogą do katastrofy. Co więcej: system bezalternatywnej władzy jest gwaran-

cją, że wcześniej czy później do katastrofy dojdzie. Dlaczego? Dlatego, że w systemie alternatywnym możliwa jest korekta. Opozycja istnieje po to, by krytykować każdy przejaw nadużycia władzy, bezprawie i korupcję. Socjaldemokracja w Szwecji była u władzy blisko 75 lat, ale nigdy nie zmieniała reguł gry, by wyeliminować opozycyjną partię „umiarkowanych”. Opozycja w demokracji jest potrzebna tak samo, jak flora bakteryjna w ludzkim organizmie. W Rosji brakuje tej flory. Dopóki to się nie zmieni, nie będzie tam żadnej modernizacji. Prowadzi to do gospodarczego i społecznego załamania. Rosjanie powtarzają często frazy Puszkina o „buncie bezmyślnym i bezlitosnym”. Pamięć o chaosie lat 90. i strach przed katastrofą sprawiają, że społeczeństwo boi się zmiany. Rosjanie w swej masie zakładają, że władza jest czymś sakralnym, uświęconym, nadrzędnym – czymś, co stoi ponad państwem i społeczeństwem. Uważają, że utrzymanie władzy przez Putina jest dla Rosji optymalne. Bo ta – i tylko ta – władza gwarantuje stabilność. Z reguły każda niedemokratyczna władza tak o sobie uważa: „bez nas dojdzie do upadku”. Baszar al-Asad uważa, że jego odejście doprowadzi Syrię do upadku. Saddam Husajn sądził, że jego odejście będzie oznaczać upadek Iraku, Janukowycz był przekonany, że bez niego upadnie Ukraina. Podobnie myśli Łukaszenka na Białorusi, Nazarabajew w Kazachstanie, Alijew w Azerbejdżanie. Lista takich przywódców obejmuje blisko 60 państw świata.

W 2008 roku napisał Pan: „Na pytanie «dokąd zmierza świat» wielu intelektualistów odpowiada: «w złym kierunku». Wyznaję ze skruchą, że nie mam w tej mierze jasności”. Czy ma Pan teraz większą jasność?

Nie, nie mam. Świat, w którym żyjemy, budzi trwogę. Boimy się kryzysu społecznego, ekonomicznego, finansowego, boimy się terroryzmu i fali uchodźców, broni jądrowej i innego rodzaju broni masowego zniszczenia... Warto jednak – z drugiej strony – zastanowić się, czy świat, który opuściliśmy, był lepszy?

Świat zimnej wojny – to był przecież świat zniewolenia. Właściwsze byłoby – jak sądzę – pytanie: w jakim świecie chcielibyśmy żyć? Jakiej Polski pragniemy w przyszłości? Na tak stawiane pytania powinny odpowiadać osoby młode – ci, którzy będą tę Polskę kształtować – pokolenie dzisiej-

szych dwudziestolatków. Obowiązkiem tych, którzy przekroczyli smugę cienia jest wprowadzenie tego nowego pokolenia w złożone współzależności świata, w którym żyjemy, pomoc w jego zrozumieniu. Osoby doświadczone powinny wyposażyć młodych w bagaż wiedzy, który jest narodową spuścizną, swoistą przestrogą, a zarazem testamentem poprzednich pokoleń.

W dyskusjach na temat przyszłości często aspekt pokoleniowy, różnice generacyjne są całkowicie pomijane. Sprawa ta ma charakter kluczowy. Bowiem każde pokolenie kształtuje własne państwo na miarę swoich oczekiwań i aspiracji. W świecie przyspieszonych zmian różnice pokoleniowe mają znaczenie fundamentalne. Wyrasta generacja epoki Internetu, komunikacji sieciowej i portali społecznościowych, która traci kontakt z rodzicami i dziadkami. Sprawy doraźne i pilne odsuwają na plan dalszy to, co ważne i decydujące dla przyszłości. To klasa polityczna ponosi odpowiedzialność za to, że o przyszłości rozmowy toczą się w gabinetach polityków i uczonych, doświadczonych specjalistów i ekspertów, a nie wśród młodych ludzi, którzy przejmą za kilka lat odpowiedzialność za swoje państwo.

Stał Pan do niedawna na czele Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Dlaczego Pan zrezygnował z przewodniczenia?

Uważałam i nadal uważam, że każdy rząd po wyborach ma prawo dobrać sobie ludzi, którym ufa i z którymi chciałby współpracować. Należy nowej władzy – wybranej w demokratycznych wyborach – ułatwić proces wymiany współpracowników. To naturalne. Potrzebna jest ciągłość, ale też zmiana. Istnieje wiele instytucji międzynarodowego dialogu społecznego. Oprócz Grupy do Spraw Trudnych działa Forum Obywatelskie, któremu przewodniczy wybitny reżyser Krzysztof Zanussi. Jest również Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. W moim przypadku – dojrzał czas na zmianę. Ja pełniłem swoją funkcję od 2008 roku. W tych latach zdołaliśmy coś przełamać w relacjach z rosyjskimi partnerami. Udało się to, ponieważ odpolityczniliśmy społeczny dialog, wspólnie poszukiwaliśmy formuły rozmów na tematy trudne, drażliwe. Studia i przemyślenia opublikowaliśmy we wspólnym tomie pt. *Białe plamy* –

Czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918-2008). Książka wzbudziła zainteresowanie w świecie. Ukazała się po polsku w Warszawie, po rosyjsku w Moskwie, a w roku ubiegłym renomowane wydawnictwo amerykańskie w Pittsburghu opublikowało ten zbiór w języku angielskim. Prace naszej Grupy przyczyniły się też do podjęcia dialogu między Kościołem rzymskokatolickim w Polsce a Rosyjską Cerkwią Prawosławną.

Jak ocenia Pan relacje Rosji z Zachodem i ich perspektywę?

Stosunki Rosji z Zachodem zabrnęły w ślepią uliczkę. Dotyczy to również relacji polsko-rosyjskich. Prezydent Putin odnosi często sukcesy taktyczne, które prowadzą do strategicznych niepowodzeń. Wyjściem z powstałej sytuacji byłaby strategia zorientowana na wprowadzenie Rosji do wspólnoty państw demokratycznych i nowoczesnych, w których władza jest sprawowana zgodnie z regułami państwa prawnego oraz uniwersalnymi i europejskimi wartościami. Negatywny stosunek do tych wartości skazuje Rosję na trwałe upośledzenie. W rozmowach na temat tego, co się w Rosji i z Rosją dzieje, często odwołuję się do przypowieści biblijnej – o śnie faraona, w którym pojawiło się siedem krów tłustych i siedem chudych, wychodzących z Nilu. Biblijny Józef zinterpretował ten sen jako proroczy i wskazówkę, by w czasie siedmiu lat tłustych zgromadzić zapasy, które pozwolą przetrwać lata chude. Wspominam o tym, bo Rosja miała nie siedem, lecz dwanaście tłustych lat, w których ceny gazu i ropy były bardzo wysokie. Gdyby racjonalnie wykorzystwała tę koniunkturę, byłaby w zupełnie innym miejscu na liście rankingowej zasobnych państw świata. Tymczasem, zamiast modernizacji, doszło w Rosji do przyspieszonej militaryzacji. Wcześniej czy później obserwowany regres gospodarczy sprawi, że stagnacja będzie prowadzić do marginalizacji tego państwa, które ma największe zasoby surowców naturalnych w skali globalnej. W interesie Polski i świata – ale przede wszystkim w interesie Rosji i Rosjan – jest to, by ich mocarstwo dokonało wyboru właściwej drogi do nowoczesności. Wymaga to włączenia do procesu podejmowania decyzji całego społeczeństwa i takiego sposobu sprawowania władzy, który zapewni Rosjanom i wszystkim naro-

dom Rosji poczucie godności i respektowanie ich praw, i swobód obywatelskich. Nie znaczy to, że Rosja musi mieć ustrój oparty na demokracji liberalnej. Wystarczy, by stosowała w praktyce normy i zasady państwa prawa. Państwo prawa jest etapem w procesie kształtowania ustroju demokratycznego. Nie każde bowiem państwo prawne jest państwem demokratycznym; natomiast państwo demokratyczne musi być państwem prawa.

Pierwodruk: Rozmowa z A. D. R. w zbiorze – P. Brysacz, J. Morawiecki pt. *Ani żadnej wyspy. Rozmowy o Rosji i Ukrainie*, Wyd. Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2016, s. 232-261.

Pamięć nie jest jedna...

I

Czas na ogół weryfikuje oceny i opinie wyrażane pod ciśnieniem bieżących zdarzeń i politycznych wypadków. Emocje przesłaniają często istotę problemów. Po latach okazuje się, że sprawy błahe nierzadko były wyolbrzymiane, a istota procesów historycznych gubiła się w natłoku szczegółów i doraźnych komentarzy. Rzeczy mają się zgoła inaczej, gdy do naszych rąk trafiają eseje, które wyszły spod pióra profesor Anny Wolff-Powęskiej – wybitnej uczoney, badaczki historii idei, znawczyni stosunków polsko-niemieckich.

Powiadają – styl to człowiek. Zebrane w tym tomie eseje nie utraciły swojej aktualności. Przeciwnie – zyskały, bo upływający czas w pełni potwierdził trafność i głębię stawianych diagnoz. Teksty Autorki czytane w ponad ćwierć wieku po ich napisaniu są świadectwem zarówno odwagi intelektualnej, jak też przenikliwości i niezwykłej u nas kultury politycznej. Anna Wolff-Powęska dostrzegła bowiem w meandrach relacji polsko-niemieckich to, co uchodziło uwadze wielu komentatorów. Dla przyszłości polsko-niemieckich stosunków ważniejsze jest w oczach Autorki to, co nowe, a nie balast utrwalonych stereotypów. Przestrzega: „Kreowanie wizerunku wroga wewnętrznego i zewnętrznego w Polsce jest wyrazem niezrozumienia tego, że pewne procesy globalne są nieuchronne. Zamiast poszukiwać wspólnej odpowiedzi na obecne wyzwania, marnujemy czas na budowę szańców do obrony zagrożonej jakoby polskiej twierdzy. Tymczasem Niemcy poszukują dla siebie miejsca w no-

wym zmienionym świece”. Nawoływała do tego, by interpretacja rzeczywistości niemieckiej nie była tylko oskarżeniem, lecz także „próbą zrozumienia niemieckiego sąsiada, uwarunkowań oraz motywów jego postaw i zachowań”. I postulowała: „Nie traćmy czasu. Doświadczenie uczy bowiem, że refleksja i mądrość czerpane z historii przychodzą zwykle za późno”.

Profesor Wolff-Powęska śledzi przeobrażenia w świadomości społecznej Polaków i Niemców jako proces. Nie szuka wrogów. Opowiada się za tym, co zbliża i łączy. Ale dostrzega też to, co dzieli i różni. Nie rozdrapuje ran, by jątrzyć, lecz opowiada się za tym, by miast tzw. polityki historycznej poszukiwać prawdy historycznej. Nawołuje, by nie pouczać sąsiadów. Uczciwy dialog nakazuje, by jego uczestnicy wzajemnie się szanowali. Wykorzystywanie w stosunkach z Niemcami ich „złego sumienia wobec Polski – pisze Wolff-Powęska – nie będzie skutecznym orężem promowania naszych interesów”. Motywem przewodnim zebranych esejów jest myśl, że politykę prowadzą państwa, ale sąsiadujemy ze społecznościami.

II

Anna Wolff-Powęska jest uczoną, której głos wysłuchiwany jest w Polsce i poza jej granicami ze szczególną uwagą. Intelktualistka, która zyskała autorytet wykraczający znacznie poza środowisko zawodowych historyków idei, cieszy się wysokim uznaniem w szerokich kręgach opinii publicznej dzięki przymiotom swego pióra i umysłu, a nie poparciu tej czy innej grupy politycznej lub zajmowanemu stanowisku administracyjnemu.

Co sprawiło, że w kraju, w którym na ogół autorytety są kwestionowane, dezawuowane czy wręcz z premedytacją niszczone, Wolff-Powęska ostała się, jako jedna z nielicznych osób, których sądy i opinie przyjmowane są z atencją i respektem? Odpowiedź na to pytanie znajdzie Czytelnik w tekstach autorki zamieszczonych w tomie autorki pt. *Polacy-Niemcy. Sąsiedzi od specjalnym nadzorem*.

Eseje Wolff-Powęskiej – niezależnie od tego, czy są publikowane w poważnych naukowych periodykach, czy w prasie codziennej – odznaczają się niezależnością poglądów, oryginalnością i samodzielnością ocen. Opinie Autorki często odbiegają od głównego nurtu wyrażanego w języku po-

litycznej poprawności. Nie epatuje Czytelnika prowokacyjnymi тезami w rodzaju *Końca historii* czy też *Zderzenia cywilizacji*, lecz proponuje spojrzenie na stare zjawiska z nowej perspektywy, z uwzględnieniem nowych społecznych i historycznych realiów.

Wolff-Powęska jest zawsze myślowo zdyscyplinowana. Styl Jej wywodów jest czysty intelektualnie, logiczny, prosty i zrozumiały. Jest to umiejętność niezwykle rzadka, by sprawy trudne i złożone wyjaśniać w sposób prosty i zrozumiały. Jest tak, gdy pisze o sprawach polskich i europejskich; gdy prezentuje zawiłości niemieckiej sceny politycznej – często mało zrozumiałe nawet dla wytrawnych obserwatorów i badaczy niemieckiego życia politycznego.

Pisze głównie o Niemczech, ale myśli o Polsce, a jej opinie mają znaczenie dla zrozumienia tego, co dzieje się w Europie i poza Europą. Ma rację, gdy notuje, że polityczni liderzy bardziej dziś „dbają o formę opakowania aniżeli o charakter produktu, który oferują”. Ta prosta konstatacja odnosi się w równej mierze do Niemiec i Francji, co Polski i Stanów Zjednoczonych. Jest to reakcja zwrotna na rolę mediów w świecie polityki. Nigdy bowiem w historii środka masowego przekazu nie oddziaływały w tak znaczący sposób na politykę, na formułowanie programów i haseł, które mają być chwytliwe, proste, łatwe i przyjemne, jak reklama pasty do zębów i kremów na zmarszczki. Trafnie odnotowuje: „Za gładkim partyjnym profesjonalizmem kryje się (...) najczęściej brak wizji przyszłości. Bez wizji zaś pozostaje tylko czysty pragmatyzm. Partie, które nie dyskutują – wiadną”. Ma rację Wolff-Powęska, że w społeczeństwach zamożnych i bezpiecznych media kształtują także postawy obywateli, w których polityka pojmowana jest często jako jeszcze jeden spektakl, w którym „na oczach publiczności wyborczej następuje demontaż bohaterstwa i odsłanianie banalności ludzkich przywar”. W efekcie, na europejskiej scenie nie wielu mamy dziś polityków, którzy odpowiadają naszym wyobrażeniom o mężach stanu – z wizją i zdolnych zyskać rangę przywódców. Coraz więcej za to wysoko kwalifikowanych menedżerów, dla których państwo jest wielkim koncernem do zarządzania lub populistów, którzy schlebiają potrzebom i oczekiwaniom publiczności politycznie mało wyrobionej, która domaga się „chleba i igrzysk”. Wolff-Powęska nie moralizuje i nie lamentuje. Stwierdza trzeźwo: „Realizm codzienności nie oznacza brutalnego

amoralizmu tak długo, jak długo zachowanie polityków mieści się w regułach gry demokratycznej”.

III

Przesłanie Autorki i jej oceny dotyczące tzw. polityki historycznej mają szczególną wartość; są trudne do przecenienia. Piszę „tak zwanej polityki historycznej”, ponieważ samo określenie *polityka historyczna* uważam za niezbyt fortunne. W istocie oznacza pomieszanie różnej materii. Polityka to dążenie do realizacji idei (Platon, Arystoteles); do zdobycia, zachowania i umocnienia władzy (Machiavelli); dążenie do udziału we władzy albo do wywierania wpływu na podział władzy (Weber). Innymi słowy, polityka ze swej istoty dotyczy teraźniejszości i jest skierowana na kształtowanie przyszłości. Natomiast historia dotyczy przeszłości. Zwrot polityka historyczna implikuje wybiórcze i instrumentalne traktowanie historii. Anna Wolff-Powęska trafnie odnotowuje, że „do historii odwołują się wszystkie kraje postkomunistyczne, poszukujące po 1989 roku nowej tożsamości. (...) W emocjonalnym budowaniu więzi odwoływano się często do wspólnotowego poczucia krzywdy i doznanej zdrady ze strony obcych mocarstw. Dla Czechów i Słowaków był to układ monachijski, dla Węgrów traktat w Trianon, dla Polaków Jałta i Poczdam”. Budowanie wspólnoty narodowej opartej na wspólnej pamięci jest zrozumiałe i naturalne. Problem zaczyna się tam, gdzie historię traktuje się w sposób wybiórczy, a pamięć narodowa jest dekretowana przez polityków i powołane przez nich instytucje; tam gdzie ogranicza się dzieje narodu do elementów sławy i chwały, a pomija lub zaprzecza faktom wstydlivym, haniebnym czy wręcz zbrodniczym. Na pytanie dotyczące Niemiec i Niemców („Do jakiej przeszłości nawiązać, kiedy ta najnowsza naznaczona była zbrodnią?”) – Wolff-Powęska odpowiada: „Kłęska, wina, upokorzenie i wstyd są największymi wyzwaniem dla demokratycznej tożsamości. (...) Patriotyzm i ojczyzna są starsze od państwa narodowego. Wiążą się z wolnością. Im dojrzałszy i bardziej suwerenny naród, tym większą ma zdolność do autokrytycyzmu i dystansu wobec siebie samego”. Konstatacja ta ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia wielu trudności i przeszkód w relacjach Polski z jej sąsiadami na Wschodzie i na Zachodzie. Kompleksy narodowe – obojętne, czy są to kompleksy niższości, czy wyższości – nie ułatwiają dialogu, który zakłada przecież poszanowanie godności i wrażliwości partnera. Au-

torka słusznie przypomina w tym kontekście słowa Jana Pawła II, zgodnie z którymi „miłość ojczyzny przyznaje wszystkim innym narodom takie same prawa, jak własnemu, a zatem jest drogą do uporządkowania miłości społecznej” oraz, że „polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie”.

Niestety ani w Niemczech i Rosji, ani w Polsce takie właśnie światłe i otwarte podejście do patriotyzmu i narodowej tożsamości nie jest wśród historyków powszechne lub dominujące. Jedne narody – jak polski – noszą w sobie i kultywują pamięć ofiary; inne – np. Niemcy – mają poczucie winy za krzywdy i cierpienia wyrządzone narodom i państwom napadniętym i okupowanym (jest to jedna z przyczyn rewizjonizmu historycznego); jeszcze inne – np. Rosjanie – budują swoją narodową tożsamość i czerpią dumę z faktu, że ich przodkowie odnieśli wielkie zwycięstwo nad hitlerowską III Rzeszą. Z polskiej perspektywy koniec II wojny światowej oznaczał ocalenie milionów istnień ludzkich. Jednak zwycięstwo to nie przyniosło wyzwolenia.

Trzy sąsiadujące ze sobą europejskie narody – Niemcy, Polacy i Rosjanie – pielęgnują o tym samym okresie różne pamięci historyczne. Nowa polityczna rzeczywistość i nowe środowisko bezpieczeństwa międzynarodowego oznaczają nowe wyzwanie. Budowa narodowej tożsamości nie powinna ignorować pamięci historycznej sąsiadów. Wymogi kształtowania wspólnej polityki bezpieczeństwa państw demokratycznych – pisze Autorka – oznaczają, że to, co wyróżnia naród, musi być uzupełnione elementami uniwersalnymi, ważnymi dla moralnego usytuowania w świecie i porozumiewania z innymi: „(...) przynależność do wspólnoty narodowej i jednocześnie międzynarodowej nie są już uczuciami, które się wykluczają, lecz uzupełniają w demokratycznej kulturze politycznej”. Opinię tę można uznać raczej za postulat i istotną wskazówkę w budowie między- i ponadnarodowej wspólnoty, jaką jest Unia Europejska, niż jako opis istniejącego stanu faktycznego lub dominującego stanu umysłów różnych społeczności, które wchodzi w skład Unii. W eseju – poświęconym piętnastej rocznicy zburzenia muru berlińskiego – Autorka przytoczyła słowa Ryszarda Kapuścińskiego, który w opisie muru chińskiego przypominał, że jest on wyrazem ludzkiej kłębki i bezradności. Człowiek wznosi mur, gdy nie może porozumieć się z innym. W istocie najtrudniejsze do obalenia są mury zbudowane w umysłach ludzkich. Na obszarze Schengen zostały usu-

nięte graniczne szlabany. Zostały one jednak w świadomości ludzkiej i – jak świadczą ostatnie lata – długo jeszcze będą dzielić Europę Środkową i Wschodnią od Zachodniej.

IV

Inspiracją do pisania publikowanych esejów były konkretne zdarzenia, fakty, rocznice. Jednak myśli profesor Anny Wolff-Powęskiej z reguły mają charakter ogólny. Wykraczają poza ocenę specyficznych zdarzeń i faktów. Przypomnienie sześćdziesiątej piątej rocznicy wydania przez Hitlera rozkazu równoczesnej ofensywy na Stalingrad i Kaukaz było dla Autorki okazją do rozważań na temat kształtowania legendy i mitu. Uczynienie z klęski mitycznego projektu przyszłości miało wieloraki cel – pisze Autorka. Mit miał przesłonić kwestię odpowiedzialności, zagłuszyć codzienność wojennego barbarzyństwa. Jest też przykładem, w jak cyniczny sposób hitlerowska propaganda manipulowała świadomością niemieckiego narodu.

Honor Niemiec ratowała postawa nielicznych. Należał do nich Helmut James von Moltke, twórca opozycyjnego Kręgu z Krzyżowej. Zaiste godne podziwu jest to, jak celnie, a zarazem prosto i zrozumiale ukazuje Autorka sposoby instrumentalizowania legendy Stalingradu w czasie wojny i po wojnie – w Niemczech hitlerowskich i w NRD, w Republice Federalnej Niemiec i w Związku Radzieckim. Godna uwagi jest konkluzja: „potrzeba wyraźnego odróżnienia perspektywy sprawcy od perspektywy ofiary”. Być ofiarą – pisze Autorka w innym miejscu – nie znaczy, być zawsze po stronie dobra. Każda dyktatura bowiem zmusza do kompromisów, wystawia na próbę nasze człowieczeństwo. Nie usprawiedliwia to czynów haniebnych, donosicielstwa, a tym bardziej – zbrodni. Ale tłumaczy bierność, oportunizm, koniunkturalizm. Autorka przypomina opinię Günтера Grasa o zachowaniu Alfreda Matzeratha – bohatera jego książki *Blaszany bębenek*: „To był jego zwyczaj zawsze kiwać, gdy inni kiwali, zawsze krzyczeć, gdy inni krzyczeli, śmiać się i bić brawo, gdy inni śmiali się i bili brawo”.

W debacie historycznej na temat wojny i odpowiedzialności Niemiec za agresję i ludobójstwo powraca sprawa wzajemnych relacji między oprawcami i ofiarami. Jest to bodaj najważniejszy i najtrudniejszy wątek w rozważaniach Wolff-Powęskiej. Trwałym elementem powojennego dyskursu – notuje Autorka – była sprzeczność pomiędzy niechęcią Niemców do pamiętania o zbrodniach wojennych i ludobójstwie a ich rozległą pamięcią o wła-

snych ofiarach. Na pytanie, w jaki sposób zintegrować pamięć ofiar i sprawców, nie ma prostej odpowiedzi. Wolff-Powęska nie pretenduje do przedstawiania w swych esejach prostej recepty. Natomiast wskazuje drogi i kierunki poszukiwania takiej odpowiedzi. Autorka nie oskarża i nie wyrokuje. Nie występuje w tozde prokuratora czy sędziego. Mnoży wątpliwości i skłania do myślenia. Ostrzega przed manipulowaniem historyczną prawdą. To, że jej refleksje są nadspodziewanie aktualne i – choć niektóre z nich pisane ćwierć wieku temu – zachowują ważne przesłanie również dla dzisiejszego Czytelnika, wynika, jak się zdaje, z kilku powodów. Wolff-Powęska unika politycznego zacierzawienia, jakkolwiek nie pozostawia wątpliwości, że opowiada się jednoznacznie po stronie tych, którzy obrali drogę porozumienia i pojednania. Ten wybór przenika w istocie całe jej pisarstwo. Pojednania nie pojmuje jako aktu jednorazowej deklaracji, lecz długotrwały historyczny proces, który napotyka po obu stronach na zahamowania i różne przeszkody. Stara się zrozumieć i wyjaśnić przyczyny takich zawirowań i ułatwić ich przezwyciężanie.

Przykładem jest esej o *Pamięci wojny i wojnach pamięci*. Przywołuje w tym kontekście poezję Julii Hartwig:

Nie Pamięć nie jest jedna
 Jej siostry są liczne
 i do siebie niepodobne
 wszystkie pracowite
 i nieznające odpoczynku. (...) *Piękne siostry*

Julia Hartwig uświadamia w słowach prostych, a zarazem pełnych głębokiego sensu, że pamięć nie jest fotografią; zmienia się wraz ze świadomością ludzi i nowych pokoleń, które inaczej postrzegają odległe przeżycia własne i swoich rodziców i dziadków. Wolff-Powęska zauważa: „Nie każde zwycięstwo pozostaje zwycięstwem, klęska – klęską”. Trzeba było mieć odwagę Prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Richarda von Weizsäckera, którzy w swoim pamiętnym wystąpieniu (8 maja 1985 roku) przed niemieckim Bundestagiem powiedział, że klęska III Rzeszy i akt bezwarunkowej kapitulacji przyniosły narodowi niemieckiemu wyzwolenie. Było to wyzwolenie narodu z tyranii hitlerowskiego systemu.

Przed 15 laty Wolff-Powęska stawiała pytania: Jaki jest sens 60. rocznicy zakończenia tej wojny? Kim są społeczeństwa wspominające tamtą

katastrofę? Jaką naukę wyciągnęliśmy z nagromadzonej wiedzy i doświadczeń? W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania Autorka pokazywała na wielu przykładach, jakim przeobrażeniom podlega pamięć w zależności od czasu i miejsca, w którym jest przywoływana. W Rosji – dopiero po upadku Związku Radzieckiego – „przyjrano się ludzkiej twarzy w nie-ludzkiej wojnie”. Zmienił się też obraz wojny i okupacji we wszystkich krajach, które znalazły się pod radziecką dominacją. Z kolei w Niemczech powojennych dominowało początkowo „poczucie bezsensu historii bez narodu i państwa bez przyszłości”, które z czasem przybrało charakter amnezji. Jak pisze Autorka: „Zmagania Niemców z własną przeszłością dokonywały się w cieniu oskarżeń o zbiorową winę za niewyobrażalne zło”. W tej ucieczce od historycznej prawdy „Włochy wykreowały się po wojnie na pierwszą ofiarę faszyzmu, podobnie jak Austria na pierwszą ofiarę Hitlera” – odnotowuje sucho Wolff-Powęska. Trafnie zauważa, że „w każdym kraju naznaczonym przez wojnę interpretacja przeszłości miała ogromne znaczenie dla narodowego i politycznego samookreślenia się po wojnie”. Na zakończenie tego wywodu konstatuje: „Historia potrzebuje czasu, nie da się jej zrozumieć na skrót”.

Autorka, gdy pisze o problemach współczesnej Europy, zachowuje dystans. Kryzysy, które dotknęły Unię Europejską – finansowy i demograficzny, zmiany klimatyczne oraz problemy migracji i uchodźców – jakkolwiek poważnie nadwerężają fundamenty wspólnego europejskiego gmachu – na dłuższą metę są do rozwiązania. To, co stanowi najpoważniejsze wyzwanie, nie da się sprowadzić do materialnego wymiaru – kryzysu euro czy też równego traktowania delegowanych pracowników. Zagrożeniem jest narastający brak wzajemnego zaufania, powrót do narodowych egoizmów i etnicznych separatyzmów, fałszywe rozumienie patriotyzmu, które Sebastian Haffner określił „ślepą plamą w duchowym oku”. Wolff-Powęska przypomina, że obie wojny światowe „rozpoczęły się nie na polu bitwy”. Pisze: „Wojny zaczynają się od słów”. Przestrzega: „Nienawiści nie da się racjonalnie porządkować”.

Swój intelekt, talent i erudycję Wolff-Powęska bez reszty oddaje na rzecz takiego kształtowania umysłów i postaw moralnych, które przywracają aktualność sformułowanego ponad 50 lat temu przesłania orędzia biskupów polskich do niemieckich z wołaniem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie” i słowa arcybiskupa Kominka, by „nie rozniecać palenisk, które sięją płomie-

nie niezgody”. Wspiera swoim piarstwem ten kierunek myślenia, który nigdy nie utraci swej doniosłości. W ten sposób daje świadectwo swej kultury politycznej i moralnej odpowiedzialności oraz obowiązku intelektualisty i uczonego wobec własnego narodu i demokratycznej społeczności obywateli.

Przedmowa do: A. Wolff-Powęska, *Polacy-Niemcy. Sąsiedzi pod specjalnym nadzorem*, Wyd. Poznańskie 2018.



Konferencja prasowa po wizycie ministra spraw zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec; od lewej: minister Joschka Fischer i Adam D. Rotfeld, pałacyk Przeździeckich, Warszawa, marzec 2005 r.

Część III

Europejskie dylematy



Po wykładzie w Belwederze; od lewej: były Prezydent Republiki Federalnej Niemiec, Richard von Weizsäcker, Adam D. Rotfeld i polska europarlamentarzystka Róża Thun, wrzesień 2009 r.

Europa: wspólne wartości a pamięć historyczna

WPROWADZENIE

Dziękuję za zaproszenie do wygłoszenia wykładu na temat wspólnych europejskich wartości oraz pamięci historycznej Europejczyków i narodów Europy. Przyjąłem to zaproszenie bez wahania – choć z pokorą. Mam bowiem świadomość, że właściwym i najlepszym Autorem wykładu na ten temat byłby z pewnością Profesor Bronisław Geremek. Trudno sobie wyobrazić lepszego znawcę, mówcę i autora rozważań na temat Europy, jej wspólnych wartości i historycznych korzeni. Profesor Geremek był postacią wielowymiarową – intelektualista i opozycjonista, uczyony i polityk. Geniony był w równej mierze za swoje prace o europejskiej kulturze i społeczeństwie wieków średnich, jak też o Europie nowożytnej i czasach nam współczesnych. Jego dzieła o grupach marginalnych w mieście średniowiecznym, o ludziach marginesu w średniowiecznym Paryżu, o życiu codziennym w czasach Franciszka Villona i wiele innych publikacji cieszyło się zasłużoną sławą i popularnością wśród czytelników Polski, Francji i wielu innych państw Europy i świata¹. Wielką popularność zyskała jego

¹ Wybrana polska bibliografia prac Bronisława Geremka w książce *Bronisław Geremek. Głos w Europie*, tłum. A. Rosińska-Bóbr, Universitas, Kraków 2010, s. 182-184.

monografia *Litość i szubienica. Dzieje nędzy i miłosierdzia*². Już za życia Autor miał rangę najwyższą wśród zawodowych historyków. Prace te szeroko znane i uznane odznaczały się profesjonalizmem, humanizmem, ale też empatią w stosunku do ludzi „wykluczonych” w wiekach minionych.

Znacznie mniej znane jest przemówienie Bronisława Geremka wygłoszone 28 stycznia 2002 r. w niemieckim Bundestagu. Przeczytałem je najajutrz po wygłoszeniu – w oryginale napisanym po niemiecku. Byłem poruszony. Zadzwoiłem do Profesora, podziękowałem i powiedziałem, że było to wystąpienie, jakiego posłowie do Bundestagu jeszcze nie słyszeli, choć powinni je usłyszeć wszyscy Europejczycy – nie tylko Niemcy. W istocie mogłaby to być lektura obowiązkowa uczniów szkół gimnazjalnych i liceów całej Europy. Lektura bodaj ważniejsza niż różne podręczniki i informatory. Wyjaśnia bowiem historyczne korzenie i podstawy, na których budowany jest gmach wspólnej Europy i wartości, którymi kierują się europejskie narody.

Bronisław Geremek mówił w styczniu 2002 roku w niemieckim Bundestagu: „Chcę mówić o zbrodniach ustroju totalitarnego na przykładzie jednego jedyne go miasta – mojego miasta Warszawy, na przykładzie jednego jedyne go życia – mojego życia”³. Przywołuję dziś te słowa, ponieważ od tamtej Wielkiej Wojny minęło już blisko 70 lat. Wyrosły nowe pokolenia, dla których II wojna światowa jest zamierzczłą przeszłością, a ich wiedza została nabyta głównie z filmów, książek i podręczników szkolnych. Coraz rzadziej – z przekazów rodzinnych. Bo coraz mniej jest ludzi, którzy mogą poświadczyć, że przeżył Profesor Bronisława Geremka pokrywają się z ich osobistymi doświadczeniami.

Wystąpienie Bronisława Geremka w Bundestagu można nazwać Topografią Zbrodni. Jest to ilustracja – na przykładzie jednego miasta Środkowej Europy – tego, co się działo tu, w okupowanej Warszawie, której ludność wymordowano, a budynki i domy modlitwy, kościoły i gmachy publiczne zrównano z ziemią. „Wspominam o tym nieszczęściu i o tej zbrodni – mówił Geremek – obciążającej ustrój narodowosocjalistyczny,

² B. Geremek, *Litość i szubienica. Dzieje nędzy i miłosierdzia*, Wyd. Czytelnik, Warszawa 1989.

³ Fragmenty tekstu przemówienia były opublikowane dopiero po śmierci Bronisława Geremka, zob. „Duży Format” nr 28, dodatek do „Gazety Wyborczej” nr 169 z 21 lipca 2008 r., s. 6.

nie wchodząc w rolę księgowego spisującego bilans strat albo sędziego wymierzającego sprawiedliwość. To jest raczej niepełne spojrzenie na fenomen zła ogromnych rozmiarów widziany przez pryzmat doświadczeń jednego miasta i jednego życia. To jest też próba zastanowienia się nad wspólną pamięcią i jej genezą⁴.

PAMIĘĆ

Bronisław Geremek uważał zatem, że jest coś takiego jak wspólna europejska pamięć. Czy rzeczywiście? Z całą pewnością w zbiorowej pamięci Europy i Europejczyków ważne miejsce zajmuje doświadczenie dwóch zbrodniczych totalitaryzmów – hitleryzmu i stalinizmu. Jednak pamięć ta – choć wspólna na poziomie ogólnej refleksji uczonych i intelektualistów, pisarzy – tej miary, co Bronisław Geremek w Polsce, Sándor Márai na Węgrzech, Raymond Aron we Francji, Wasilij Grossman w Rosji czy Tomasz Mann lub Günter Grass w Niemczech – różni się znacznie od tego, co przekazały swoim dzieciom i wnukom miliony Polaków, Węgrów, Francuzów, Rosjan czy Niemców.

Sprawą odrębną, do której jeszcze powrócę, jest to, co kształtuje zbiorową pamięć i nową tożsamość współczesnych Rosjan, Ukraińców czy Białorusinów.

Jeśli zastanowimy się – w ślad za często przywoływanym pytaniem Cyserona: „Czy historia jest nauczycielką życia?” (*Historia est magistra vitae?*) – to odpowiedź wypadnie negatywnie. Jednak pytanie to – wyjęte z traktatu *O mówcy* (*De Oratore*) – w całości brzmi nieco inaczej. Cyseron pytał: „A historia, świadek czasów, światło prawdy, pamięć żyjąca, nauczycielka życia, zwiastunka przyszłości, czyj głos, jeżeli nie mówcy ją unieśmiertelnia?”⁵. Zatem w rozumieniu Cyserona pamięć historyczna obejmuje świadectwo czasu i docieranie do prawdy. Ma to być pamięć żyjąca, a nie tylko nauczycielka życia. Często współcześni nam politycy i publicyści – w ślad za konserwatywnym niemieckim historykiem-rewizjonistą Ernstem Noltem – opowiadają się za tzw. „polityką historyczną”. Mówię o tak zwanej

⁴ Tamże.

⁵ M. T. Cysero, *Mowy*, tłum. E. E. Dykaczewski, Paryż 1879, t. I, ks. II, rozdz. 9, s. 92. Cyt. za: G. Labuda, *Rozwój metod dziejopisarskich od starożytności do współczesności*. Część I – do schyłku XIX wieku, Forum Naukowe, Poznań 2003, s. 185.

„polityce historycznej”, ponieważ samo określenie polityka historyczna uważam za niezbyt fortunne. W istocie jest to pomieszanie różnej materii. Polityka bowiem to dążenie do realizacji idei (jak definiowali ją Platon i Arystoteles); do zdobycia, zachowania i umocnienia władzy (tak uważał Machiavelli); dążenie do udziału we władzy albo do wywierania wpływu na podział władzy (według rozumienia Webera).

Innymi słowy, polityka ze swej istoty dotyczy teraźniejszości i jest skierowana na kształtowanie przyszłości. Natomiast historia dotyczy przeszłości. Zwrot „polityka historyczna” implikuje wybiórcze i instrumentalne traktowanie historii. Anna Wolff-Powęska w jednym ze swych esejów trafnie odnotowuje, że „do historii odwołują się wszystkie kraje postkomunistyczne poszukujące po 1989 roku nowej tożsamości. (...) W emocjonalnym budowaniu więzi odwoływano się często do wspólnotowego poczucia krzywdy i doznanej zdrady ze strony obcych mocarstw. Dla Czechów i Słowaków był to układ monachijski, dla Węgrów traktat w Trianon, dla Polaków Jałta i Poczdam”⁶.

Budowanie wspólnoty narodowej opartej na wspólnej pamięci jest zrozumiałe i naturalne. Problem zaczyna się tam, gdzie historię traktuje się w sposób wybiórczy, a pamięć narodowa jest dekretowana przez polityków i powołane przez nich instytucje; tam, gdzie ogranicza się dzieje narodu do elementów sławy i chwały, a pomija lub zaprzecza faktom wstydlivym, haniebnym czy wręcz zbrodniczym. Na pytanie dotyczące Niemiec i Niemców („Do jakiej przeszłości nawiązać, kiedy ta najnowsza naznaczona była zbrodnią?”) – Wolff-Powęska odpowiada: „Kłęska, wina, upokorzenie i wstyd są największymi wyzwaniem dla demokratycznej tożsamości. (...) Patriotyzm i ojczyzna są starsze od państwa narodowego. Wiążą się z wolnością. Im dojrzałszy i bardziej suwerenny naród, tym większą ma zdolność do autokrytycyzmu i dystansu wobec siebie samego”⁷.

Podobny pogląd zaprezentował Karol Modzelewski – wybitny polski intelektualista, badacz średniowiecza – autor doskonałej monografii *Barbaryjska Europa*. W swej autobiografii Modzelewski pisze: „Wstyd należy

⁶ A. Wolff-Powęska, *Polacy-Niemcy. Kultura polityczna. Kultura pamięci*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2008, s. 99.

⁷ Tamże, s. 104-105.

do kategorii uczuć wyższych. Wstyd za haniebne czyny rodaków (...) jest nieomylną oznaką więzi narodowej. W kręgu europejskiej kultury nie wierzymy w odpowiedzialność zbiorową. Uważamy, że sprawcy czynów, które potępiamy, powinni sami za nie odpowiadać. Jeżeli jednak naprawdę poczuwamy się do wspólnoty narodowej, to siłą rzeczy odczuwamy też wstyd za haniebne czyny popełnione przez jej uczestników i w jej imieniu”⁸.

Konstatacja ta ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia wielu trudności i przeszkód w relacjach Polski z jej sąsiadami na Wschodzie i na Zachodzie. Kompleksy narodowe – obojętne, czy są to kompleksy niższości, czy wyższości – nie ułatwiają dialogu, który zakłada przecież poszanowanie takich wartości, jakimi są godność i wrażliwość partnera. Wolff-Powęska słusznie przypomina w tym kontekście słowa Jana Pawła II, zgodnie z którymi „miłość ojczyzny przyznaje wszystkim innym narodom takie same prawa, jak własnemu, a zatem jest drogą do uporządkowania miłości społecznej” oraz że „polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie”⁹.

Niestety ani w Niemczech i Rosji, ani w Polsce takie właśnie światło i otwarte podejście do patriotyzmu i narodowej tożsamości nie jest wśród historyków powszechne lub dominujące. Jedne narody – jak polski – noszą w sobie i kultywują pamięć ofiary; inne – np. Niemcy – mają poczucie winy za krzywdy i cierpienia wyrządzone narodom i państwom napadniętym i okupowanym (jest to jedna z przyczyn rewizjonizmu historycznego); jeszcze inne – np. Rosjanie – budują swoją narodową tożsamość i czerpią dumę z faktu, że ich przodkowie odnieśli wielkie zwycięstwo nad hitlerowską III Rzeszą. Z polskiej perspektywy koniec II wojny światowej oznaczał – to prawda – ocalenie milionów istnień ludzkich. Jednak zwycięstwo to nie przyniosło wyzwolenia. Jak pisał Sándor Márai, żołnierz radziecki oswobodził nasze ziemie, ale nie mógł przynieść wolności, bo sam jej nie miał.

Trzy sąsiadujące ze sobą europejskie narody – Niemcy, Polacy i Rosjanie – pielęgnują o tym samym okresie różne historyczne pamięci. Nowa polityczna rzeczywistość i nowe środowisko bezpieczeństwa międzynarodowego oznaczają nowe wyzwanie.

⁸ K. Modzelewski, *Zajęździśmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca*, Iskry, Warszawa 2013, s. 48.

⁹ A. Wolff-Powęska, dz. cyt., s. 101.

Zwolennicy „polityki historycznej” zapewne nie zawsze są pomni tego, że praca Ernesta Noltego zapoczątkowała w Niemczech tzw. spór historyków – *Historikerstreit*. Jej autor bowiem podjął próbę nie tylko relatywizacji osądu hitleryzmu jako systemu zbrodniczego, ale również – co było i pozostaje szokujące – swoistego usprawiedliwiania „ostatecznego rozwiązania” (*Endlösung*), czyli Zagłady Żydów przez niemiecki reżim narodowosocjalistyczny.

Między „pamięcią historyczną” a „polityką historyczną” jest taka różnica, jak między prawdą a półprawdą, między dociekaniami prawdy historycznej a próbami jej instrumentalizacji i wykorzystywania do określonych celów politycznych przez różne grupy, partie i państwowe instytucje. Z tą myślą ustanawia się obowiązujące standardy podręczników historii, nadaje nazwy miast i ulic, buduje pomniki, tworzy nowe muzea. Byłoby pożądane, by instytucje te i muzea inspirowały do myślenia i do zadawania pytań, a nie oferowały uproszczonych i stronniczych odpowiedzi.

Spór historyków niemieckich uświadomił, jak różne są pamięci historyczne o tych samych dramatycznych wydarzeniach, których świadkowie jeszcze żyją. Dotyczy to linii dzielących społeczeństwa wewnątrz państw, a nie tylko różnych pamięci kultywowanych w różnych państwach. Tym większa odpowiedzialność spoczywa na zawodowych historykach, by pozostawić w spadku następnym pokoleniom prawdziwy obraz tego, co się wydarzyło i ułatwić skuteczne zapobieganie temu, by nie doszło na naszym kontynencie do „powtórki z historii”.

CIĄGŁOŚĆ I ZMIANA

Europa pobrała lekcję historii i zapłaciła wysoką cenę. Doświadczenie uczy jednak, że nie ma rozwiązań wiecznych – nie ma spraw załatwionych i zamkniętych raz na zawsze.

Proces historyczny ze swej istoty oznacza ciągłość i zmianę. Można to zilustrować na przykładzie najpierw procesu normalizacji, a następnie pojednania między Polską a Niemcami. List polskich biskupów wystosowany w 1965 roku do biskupów niemieckich, którego istotę wyrażały słowa „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, nie spotkał się początkowo ze zrozumieniem wielu hierarchów Kościoła Katolickiego w Niemczech ani znacznej części duchowieństwa i katolików w Polsce. Był to akt odwagi

i rozumu politycznego, który wyprzedził swój czas. Dopiero z perspektywy blisko 50 lat akt ten w Polsce i w Niemczech oceniany jest jako przełomowy. Podobnie było z utrwalonym na wielu fotografiach gestem Willy'ego Brandta, który z potrzeby serca ukląkł 7 grudnia 1970 roku przed Pomnikiem Bohaterów Getta.

Ówczesne władze w Polsce ten akt skruchy, pokory i wstydu przemilczały. Były głosy, że to teatralny gest – na pokaz; byli też tacy, którzy uważali, że „Brandt ukląkł pod niewłaściwym pomnikiem”. Z kolei w Niemczech wiceprzewodniczący Związku Wypędzonych Friedrich Walter uznał, że „takie uklęknięcie w obcym kraju zaprzecza wszelkim międzynarodowym normom. Według chrześcijańsko-zachodnich wyobrażeń człowiek klęka tylko przed Bogiem”. Znaczna część niemieckiej opinii publicznej uznała gest Brandta za poniżający. Willy Brandt nie wiedział wówczas, jak będzie oceniany. Nie spotkał się w swojej ojczyźnie ze zrozumieniem. Co więcej – padały inwektywy, oskarżenia, że kanclerzowi zabrakło poczucia patriotyzmu, że jest wyobcowany albo po prostu – że jest zdrajcą. Dziś ten zwykły ludzki odruch człowieka, który nie ponosił przecież żadnej winy, bo walczył z hitleryzmem w Niemczech i poza jego granicami, jednak miał moralną busołą i uczynił to, czego wolno było oczekiwać od milionów jego rodaków – sprawił, że klęczący w Warszawie Willy Brandt stał się „jedną z najbardziej poruszających politycznych ikon drugiej połowy XX wieku”¹⁰. W 40 lat później były prezydent Niemiec Christian Wulff, wywodzący się z opcji, która Brandta krytykowała, na Zamku Królewskim w Warszawie tak charakteryzował ten akt skruchy, a zarazem odwagi: „W ten sposób wytworzył się obraz innego Niemca, innych Niemiec – Niemiec wolnościowych, demokratycznych i pokój miłujących, poszukujących porozumienia ze swoimi sąsiadami”¹¹. Sam Brandt w swoich wspomnieniach odnotował: „Nad otchłanią niemieckiej historii i pod brzemieniem milionów pomordowanych uczyniłem to, co czynią ludzie, gdy język zawodzi”¹².

Ta ewolucja stanowiska Niemiec i Niemców ilustruje dynamikę zjawiska, które określamy jako pamięć zbiorową. Najpierw dosyć powszechna jest potrzeba negocjowania prawdy, zaprzeczania faktom, wypierania ich

¹⁰ A. Krzemiński, *Przyklęk pokoju*, „Polityka”, nr 49 z 4 grudnia 2010 r., s. 68-70.

¹¹ Ch. Wulff, *Dla Niemiec i Polski przyszłość leży w Europie* [w:] *Europa kontynent pojednania?*, Friedrich Ebert Stiftung i CSM, Warszawa 2012, s. 83.

¹² Tamże.

z pamięci. Odważna postawa przywódców i autorytetów moralnych napotyka na społeczny opór. Ale w demokratycznym społeczeństwie z czasem zyskuje akceptację i jest przyjmowana przez następne pokolenie w sposób naturalny. „Ale – jak pisał Eustachy Rylski – dobra pamięć od siebie nie zależy. Niepodtrzymywana ginie, w przeciwieństwie na przykład do złej sławy, infamii, które żywią się czym popadnie, same. Dobra pamięć bywa wybredna. Z nią jest jak z urodą. Niechroniona przemija, ani się obejrzysz. A brzydota trwa niewzruszona jak głąz”¹³.

Wszystkie narody – bez wyjątków – mają prawo do własnej pamięci. Nikt nikomu nie może narzucić tego, co jest stopem – swoistym amalgamatem – opowieści rodzinnych, przeczytanych książek, obejrzanych filmów i widowisk teatralnych, lekcji wysłuchanych w szkole, wykładów uniwersyteckich oraz rezultatów badań historycznych. Wolno jednak oczekiwać, że uczeni – zawodowi historycy i badacze, pisarze, dziennikarze i publicyści nie będą świadomie prawdy o faktach i wydarzeniach zatajać, przeinaczać i dopasowywać do koniunkturalnych potrzeb bieżącej polityki.

Rację ma prof. Wolff-Powęska, gdy pisze: „Prymitywnie upolityczniona pamięć historyczna nie integruje, lecz dzieli, nie edukuje, lecz każe powielać historyczne błędy (...). Nie uczy odpowiedzialności za państwo, nie buduje więzi społecznych, niesie destrukcję i budzi lęk przed wyimaginowanym zagrożeniem”¹⁴. Kształtowanie i narzucanie mitów lub wyrwanych z kontekstu historycznego zdarzeń i faktów interpretowanych na potrzeby bieżącej polityki niewiele ma wspólnego z przywracaniem obrazu dziejów wspólnoty narodowej. Jest to raczej plaster na kompleksy, który umacnia stereotypy – z jednej strony o wyjątkowości własnego szlachetnego narodu, który był zawsze po jasnej stronie mocy – po stronie dobra i sprawiedliwości, a z drugiej – o tym, że zawsze był ofiarą sił „obcych” i wrogich, które są emanacją samego zła.

W Europie – i to nie tylko w Europie Środkowo-Wschodniej – jest to dość powszechna praktyka, której rewitalizację obserwujemy w czasach niepewności i kryzysu. Nagle okazuje się, że znaczna część opinii państw demokratycznych, które przez lata wspierały potrzebę budowy wspólnej Europy – wolnej od ksenofobii, populizmu i skrajnego nacjonalizmu – ule-

¹³ E. Rylski, *Warunek*, Świat Książki, Warszawa 2005, s. 246.

¹⁴ A. Wolff-Powęska, *Historia z recyklingu*, „Gazeta Wyborcza” nr 262 z dn. 9-11 listopada 2013 r., s. 28.

ga prymitywnej demagogii sprowadzającej się do haseł: „Francja dla Francuzów”, „Finlandia dla Finów”, a „Niderlandy – dla Holendrów”. Listę przykładów można mnożyć. Świadomie wymieniałem kraje, które w opinii Europejczyków były do niedawna ikoną tolerancji i otwartości.

WARTOŚCI A PRAWO

Rzecz w tym, że żaden naród ani społeczeństwo nie jest immunizowane na te zjawiska. Przeciwdziałanie i zapobieganie populizmowi i ksenofobii uznane zostały w Unii Europejskiej za zobowiązanie nie tylko natury moralnej i politycznej, ale również zyskały rangę obowiązującego prawa (art. 2 i art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej oraz Karta Praw Podstawowych)¹⁵. Prawo unijne określa przestrzeń, na której obowiązuje poszanowanie godności ludzkiej, praw człowieka, wolności, demokracji, równości i respektowania norm państwa prawa. Nie ulega wątpliwości, że zobowiązania te wyrastają z pamięci o przeszłości totalitarnych reżimów, które opierały się na bezprawiu, strachu, terrorze i podeptaniu godności ludzkiej.

Unia Europejska stworzyła w istocie nie tylko prawne, ale również materialne przesłanki, które skutecznie eliminują możliwość wybuchu wojny między państwami członkowskimi i przeciwdziałają konfliktom zbrojnym w państwach z Unią stowarzyszonych. Dosyć powszechny jest pogląd, jakoby Unia była przede wszystkim formą i strukturą integracji gospodarczej. Sfery gospodarczej dotyczyła bowiem Wspólnota Węgla i Stali, Wspólny Rynek, Europejska Wspólnota Gospodarcza i wreszcie w znacznej mierze sama Unia Europejska jako taka. W efekcie, w odczuciu wielu obywateli państw unijnych o randze i skuteczności tej instytucji stanowią sprawy finansowe i gospodarcze, podczas gdy w rzeczywistości o zupełnie wyjątkowym miejscu, jakie Unia zajmuje w historii Europy, decydują nie tyle i nie tylko pieniądze, ale to, że po raz pierwszy w dziejach kontynentu powstał związek państw, które zobowiązały się do respektowania wspólnych wartości.

Siłą Unii są nie tyle i nie tylko traktaty, normy, procedury i mechanizmy, ale to, że całe instrumentarium tej instytucji zorientowane jest

¹⁵ Traktat o Unii Europejskiej. Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Karta Praw Podstawowych Unii Europejskiej (Stan prawny: luty 2013 roku), Lexis Nexis, Warszawa 2013.

na skuteczne wcielenie w życie zobowiązań, które dotyczą obywateli unijnych państw. Jednostka i poszanowanie jej prawa i bezpieczeństwa znalazła się w centrum uwagi unijnego prawa¹⁶. Oznacza to, że obowiązkiem Unii i jej państw członkowskich jest respektowanie godności osoby ludzkiej, równości i solidarności. Po raz pierwszy w historii państwa europejskie stworzyły przestrzeń wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości jednostki i stanęły na straży tych wartości.

Osoba ludzka stała się podmiotem. Jest to rozwiązanie nowe – nie tylko na gruncie polityki i moralności, ale na gruncie prawa. Bezpieczeństwo jednostki zyskało rangę, która stanowi wyzwanie dla dotychczasowej pozycji państwa jako jedyne podmiotu prawa międzynarodowego. Jednostka zyskała prawo do wpływania na bieg spraw europejskich. Równocześnie bezpieczeństwo państw, które w dotychczasowej kulturze prawnej było wartością nadrzędną, znajduje się coraz częściej w kolizji z poszanowaniem praw osoby ludzkiej – z prawami obywateli do poszanowania ich prywatności, godności i wolności.

Najlepiej pogląd ten potwierdza szok i wzburzenie, z jakim spotkały się w Europie ujawnione przez Edwarda Snowdena – niezależnie od tego, jakimi kierował się motywami – praktyki amerykańskich służb bezpieczeństwa, które nadały podsłuchowi obywateli innych państw, w tym przywódców zaprzyjaźnionych krajów – charakter systemowy i instytucjonalny. A przecież były to działania sprzeczne z prawem. Praktyki te naruszają bowiem poczucie godności jednostek i ich prawo do zachowania prywatności, które w Europie mogą być ograniczone jedynie wyjątkowo – w uzasadnionych wypadkach, na wniosek prokuratury i za zgodą sądów. Z całą pewnością w żadnym wypadku nie może być to działanie obcych służb na terytorium innych państw bez zgody i współdziałania konstytucyjnych organów krajów, których obywatele są podejrzani o działalność terrorystyczną lub kryminalną. Do takich działań nigdy nie były uprawnione żadne mocarstwa. Takie bezprawne praktyki nie mogą być tolerowane dziś, gdy – jak dostrzegł to inteligentnie jeden z analityków – „ta nowa podmiotowa rola jednostki w polityce międzynarodowej jest naj-

¹⁶ J. Barcz, *Traktat z Lizbony. Wybrane aspekty prawne działań implementacyjnych*, Lexis Nexis, Warszawa 2012, s. 329-380.

¹⁷ P. A. Świtalski, *Emocje, interes wartości. Przemiany paradygmatów polityki międzynarodowej*, Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2013, s. 10.

istotniejszym czynnikiem transformującym stosunki międzynarodowe i ich tradycyjne paradygmaty. Napięcie między jednostką a państwem jest prawdopodobnie najistotniejszym procesem podważającym istniejący system międzynarodowy¹⁷. Problem jest szerszy. Dotyczy bowiem napięcia między narodem i państwem – z jednej strony – a wspólnotą i społeczeństwem (w tym społecznością międzynarodową) – z drugiej¹⁸.

Nowoczesne technologie sprawiły, że państwo na trwałe utraciło kontrolę nad obiegiem informacji. Stało się to w momencie, gdy świat wszedł w epokę rewolucji informatycznej, która obejmuje dziś nie tylko sferę usług, ale stała się siłą produkcyjną i rządzi się w cyberprzestrzeni własnymi prawami, na którą państwa mają coraz mniejszy wpływ. W zderzeniu z nową rzeczywistością stajemy w państwach demokratycznych przed pytaniami, na które nie odnajdujemy odpowiedzi w doświadczeniach przeszłości. Pytanie brzmi: jak – nie ograniczając swobód jednostki i jej prawa do życia w państwie respektującym takie wartości jak: godność, wolność, równość, sprawiedliwość i solidarność – zapobiegać skutecznie nowym ryzykom i zagrożeniom, które niesie współczesny świat? Świat polityki stoi wobec nowych dylematów: jak szanować podmiotowość jednostek bez uszczerbku dla bezpieczeństwa zbiorowości? Jak można w nowej rzeczywistości skutecznie zwalczać zorganizowany terroryzm oraz przestępczość narodową i międzynarodową, szanując osobę ludzką i jej nową rolę we wspólnocie międzynarodowej? Sprawy te w krajach demokratycznych od lat znajdują się w centrum debaty publicznej¹⁹.

Inaczej sprawy się mają w państwach niedemokratycznych. Rządy tych państw podejmują różne działania, aby poddać pełnej kontroli obieg informacji – zarówno wewnątrz terytoriów podlegających ich suwerenności, jak też transgraniczny przepływ informacji. Jest to jeden z tych obszarów, gdzie świat ludzi wolnych jest konfrontowany z anachronicznym wyobrażeniem, że ten, kto jest stanie kontrolować obieg informacji, może w istocie decydować o sposobie myślenia poddanych. Tak było w sta-

¹⁸ Por. szerzej: P. Hassner, *Koniec pewników. Eseje o wojnie, pokoju i przemocy*, Sic!, Warszawa 2002, s. 39.

¹⁹ W tym kontekście na odnotowanie zasługuje zorganizowana w Warszawie konferencja międzynarodowa z udziałem wybitnych intelektualistów świata, której materiały ukazały się w tomie pt. *Globalization, Power and Democracy*. Ed. by M. F. Plattner, A. Smolar, Wyd. John Hopkins University Press, Baltimore and London 2000.

rożytnym Egipcie, tak wspaniale opisanym w powieści Bolesława Prusa²⁰, który w sposób niezwykle wnikliwy przedstawił mechanizmy władzy i zależność faraona od kapłanów kontrolujących dostęp do informacji. Tak było w XX wieku, gdy dwa totalitarne systemy – hitleryzm w Niemczech i w okupowanej przez III Rzeszę Europie, a stalinizm w Rosji i w tej części świata, która była pod radziecką dominacją – uznały, że informacja (na równi z państwowym terrorem i przestępczym represyjnym reżimem) jest głównym narzędziem zniewolenia narodów. Rudymetarnym śladem takiej „polityki informacyjnej” – swoistą skamieliną zbrodniczej przeszłości w skali globalnej – jest reżim północnokoreański. Nie znaczy to, że w pozostałych krajach świata swoboda dostępu do informacji jest powszechna i nie napotyka na żadne ograniczenia.

Częścią wybiórczego, selektywnego podejścia do informacji jest swoście pojmowana „polityka historyczna”. Pod tym względem pouczające są dwa procesy pojednania: między Polską a Niemcami oraz Polską a Rosją.

PROCESY POJEDNANIA – DWA DOŚWIADCZENIA

Przypomnijmy: proces polsko-niemieckiego pojednania umożliwiły przede wszystkim zmiany, jakie dokonały się w Niemczech jako państwie oraz wewnątrz społeczeństwa niemieckiego. W wyniku transformacji radykalnie zmieniła się również Polska i sami Polacy. Była to zmiana o charakterze jakościowym. Jednak po to, by zmiany przybrały charakter nieodwracalny, zdecydowano, by nadać całemu procesowi formę instytucjonalną. Przy tym podejmowano stosowne wysiłki we wszelkich obszarach aktywności społecznej, politycznej, kulturalnej i duchowej.

Premier Rosji Władimir Putin podczas swej pamiętnej wizyty w Gdańsku – w 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej (1 września 2009 roku) – stwierdził: „Powojenne pojednanie historyczne Francji i Niemiec utorowało drogę do powstania Unii Europejskiej. Z kolei mądrość i wielkoduszność narodów rosyjskiego i niemieckiego oraz przezorność działaczy państwowych obu krajów pozwoliły uczynić zdecydowany krok w kierunku budowy Wielkiej Europy. Partnerstwo Rosji i Niemiec stało się przykładem wychodzenia sobie naprzeciw, patrzenia w przyszłość przy zachowaniu

²⁰ B. Prus, *Faraon*, Warszawa 1897 (wyd. pierwsze).

troskliwego stosunku do pamięci o przeszłości (...). Jestem pewien, że również stosunki rosyjsko-polskie wcześniej czy później osiągną tak wysoki, z prawdziwego zdarzenia partnerski poziom. Leży to w interesie naszych narodów, całego kontynentu europejskiego”²¹.

Częste odwoływanie się do procesu pojednania między Niemcami a Francją (czy też Niemcami a Rosją) w kontekście relacji z Polską może prowadzić do błędnego wniosku, że Niemcy wraz z Francją i Rosją wypracowały swoisty model pojednania, swego rodzaju uniwersalny wzór dla całej Europy. Tak nie jest. Charakter stosunków między Niemcami a Francją oraz Rosją a Polską jest zróżnicowany i specyficzny. W każdym z tych przypadków odmienny. Relacje te są wypadkową, a zarazem wynikiem różnych kolei dziejowych naszych narodów i państw, różnej mentalności ludzi zamieszkujących nasze państwa i zupełnie różnych współzależności występujących między poszczególnymi krajami.

Niemcy – jako kraj i naród – w swoich relacjach z Francją mają *sui generis* kompleks niższości. Nie ukrywają swej fascynacji cywilizacją francuską oraz historią i kulturą Francji. Przyczyny tej fascynacji mają swoje korzenie w przeszłości i wiązały się z dominacją języka francuskiego jako środka porozumiewania się wyższych sfer i dyplomacji oraz wpływem francuskiego stylu życia, literatury, a nawet wykwintnej francuskiej kuchni. Jakkolwiek Niemcy górowały nad Francją w takich dziedzinach jak: nauka i technika, wydajność pracy, dyscyplina społeczna czy kultura prawna, to zarówno niemieckie elity, jak i ogół niemieckiego społeczeństwa odczuwały ogólnie wobec Francji respekt i uznanie, zwłaszcza w sferze kultury.

Inaczej było ze stosunkiem Niemiec do sąsiadów na wschodzie, a zwłaszcza do Polski. W języku niemieckim były i są utrwalone pewne negatywne stereotypy dotyczące Polaków. Ich odzwierciedleniem są takie zwroty jak *polnische Wirtschaft* – synonim niegospodarności, czy też *polnischer Reichstag* – określenie, które opisuje anarchię i skłonność do pieństwa i kłótni.

Nowym powodem częstych zadrażnień w relacjach polsko-niemieckich po II wojnie światowej było nie tylko przemilczanie odpowiedzialności

²¹ Tekst przesłania premiera Władimira Putina został opublikowany pod tytułem *Karty historii – powód do wzajemnych pretensji czy podstawa pojednania i partnerstwa?* na łamach dziennika „Gazeta Wyborcza”, nr 203 z 31 sierpnia 2009 r.

za zbrodnie niemieckie, ale próby swoistego „dzielenia się” tą odpowiedzialnością. Wyrazem tego były np. używane przez niemieckie środki masowego przekazu zwroty typu „polskie obozy śmierci” w odniesieniu do hitlerowskich obozów koncentracyjnych i zagłady na terenie okupowanej Polski (znamienne, że obozy mieszczące się w Austrii lub Niemczech były określane jako *Nazi-Konzentrationslager* bez przymiotnika wskazującego na ich położenie geograficzne)²². W efekcie nowe pokolenia Niemców mogły nabierać błędnego przekonania, że podczas II wojny światowej rzeczywiście istniały jakies „polskie” obozy śmierci. Nie są to jedyne przykłady ignorowania wrażliwości polskiej opinii publicznej.

Szczęśliwie jednak nie stały się one istotną przeszkodą na drodze polsko-niemieckiego pojednania. Z czasem bowiem kwestie winy i odpowiedzialności Niemiec za zbrodnie popełnione przez nazistowski reżim nie podlegały już żadnej wątpliwości i dyskusji. W tej mierze fakty były jednoznaczne. Trzecia Rzesza przegrała wojnę, a zwycięskie mocarstwa narzuciły Niemcom proces denazyfikacji życia publicznego. Odpowiedzialne siły polityczne w Niemczech współpracowały ze sobą w celu przezwyciężenia hitlerowskiej przeszłości i doprowadzenia zbrodniarzy przed oblicze sprawiedliwości oraz nawiązania dobrych stosunków ze wszystkimi sąsiadami na Wschodzie i Zachodzie. Rezultatem procesu politycznego opartego na tych założeniach oraz w wyniku działania wielu instytucji życia społecznego jest to, że Polska ma dziś tak dobre relacje z Niemcami, jakich nigdy wcześniej nie miała. Przełomowe było poparcie Polski dla zjednoczenia Niemiec i poparcie Niemiec dla wejścia Polski do euro-atlantyckich struktur bezpieczeństwa – NATO oraz Unii Europejskiej.

Zupełnie inny był punkt wyjścia do budowania nowego typu dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Rosją. Inne są też kryteria wartościowania wzajemnych relacji. Związek Radziecki nie przegrał wojny. Przeciwnie – był nie tylko jednym z wielkich zwycięskich mocarstw, ale poniósł największe ofiary w wojnie z hitlerowską Trzecią Rzeszą. Dla milionów Rosjan to zwycięstwo było nierozzerwalnie związane z osobą Józefa Stalina, który – z jednej strony był dyktatorem odpowiedzialnym za niezliczone zbrodnie popełnione przed wojną, w czasie jej trwania i bezpośrednio

²² Szerzej na ten temat por. A. D. Rotfeld, *Suche nach der Identität. Über Polens Umgang mit der Geschichte*, „Der Spiegel”, 2009, nr 23, s. 92.

nio po jej zakończeniu, a z drugiej – był uosobieniem i symbolem największego triumfu rosyjskiego oręża. Przy tym to właśnie Rosjanie – a także liczni przedstawiciele innych narodowości zamieszkujących Związek Radziecki – byli główną ofiarą popełnianych na masową skalę zbrodni stalinowskich, choć były one wymierzone również w obywateli wielu innych państw.

Innymi słowy, naród rosyjski ma głębokie przeświadczenie, że był raczej ofiarą niż sprawcą. Nie jest dla współczesnych Rosjan zrozumiałe, dlaczego narody Europy Środkowo-Wschodniej nie mają poczucia wdzięczności – chociaż za ich wyzwolenie miliony radzieckich żołnierzy poświęciło swoje życie²³. Poza tym – nie ma żadnej analogii między stosunkiem Niemców do Hitlera i NSDAP a stosunkiem Rosjan do Stalina i partii bolszewickiej. Z psychologicznego punktu widzenia są to sytuacje nieporównywalne.

Żaden z rosyjskich przywódców ani przed, ani po rozpadzie Związku Radzieckiego nie zdobył się na to, by wyjaśnić własnemu narodowi to, co napisał już w 1960 roku Wasilij Grossman w swej wspaniałej powieści *Życie i los*. Miał odwagę, by bez zastrzeżeń i ogródek ukazać zbrodniczą naturę obu totalitaryzmów – hitlerowskiego i stalinowskiego. Grossman pisał: „Pierwsza połowa wieku dwudziestego przejdzie do historii jako epoka totalnej, usankcjonowanej teoriami społecznymi i rasowymi likwidacji olbrzymich warstw ludności Europy. Współczesność ze zrozumiałą skromnością milczy na ten temat”²⁴. Rosyjski pisarz stawia pytanie: „Czy natura ludzka ulega zmianie, czy staje się inna w tyglu przemocy? Czy człowiek wyzbywa się właściwego sobie pragnienia wolności? Odpowiedź na to pytanie – stwierdza Grossman – zdecyduje o losie człowieka i o losie państwa totalitarnego. Zmiana bowiem natury ludzkiej zapowiada powszechny i ostateczny triumf dyktatury państwa, niezmiennosc zaś ludzkiego dążenia do wolności jest wyrokiem na państwo totalitarne”²⁵.

Były to słowa prorocze! Dążenie do godności i wolności jednostki stało się zaiste przyczyną upadku obu zbrodniczych totalitarnych reżimów.

Warto przy tej sposobności zauważyć, że zapoczątkowany między Polakami a Rosjanami dialog na temat spraw trudnych ułatwił obecnym wła-

²³ Mówił o tym na polsko-rosyjskim Forum Mediów w Królewcu (15 listopada 2013 r.) szef Federalnej Agencji Archiwów Państwowych, Andriej Artizow.

²⁴ W. Grossman, *Życie i los*, tłum. J. Czech, Wyd. W.A.B., Warszawa 2009, s. 215.

²⁵ Tamże, s. 217.

dzom współczesnej Rosji krytyczną ocenę zbrodni popełnionych przez reżim stalinowski nie tylko wobec Polaków, ale również wobec narodów ich własnego państwa. Polacy przecież od dawna wiedzieli, kto w Lesie Katyńskim, Starobielsku i Ostaszkowie oraz w innych obozach wymordował blisko 22 tys. polskich oficerów internowanych w ZSRR. Zbrodni tej dokonano w dniach od 3 kwietnia do 19 maja 1940 roku – po inwazji Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 roku w ramach najazdu skoordynowanego z hitlerowskimi Niemcami. Od tego momentu Stalin uruchomił całą propagandową maszynę zacierania śladów tej zbrodni, fałszowania dokumentów, matactw i zaprzeczeń. „Kłamstwo katyńskie” stało się jedną z głównych przeszkód w kształtowaniu nowego typu stosunków między Polską a Rosją. Kłamstwo to obejmowało wiele innych zbrodni, które nadal zatruwają wzajemne relacje (jak choćby Obława Augustowska). Oczekują one na oficjalne wyjaśnienie strony rosyjskiej i jednoznaczny osąd polityczny i moralny.

Prace powołanej na nowo w 2008 roku Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych nie skupiały się jedynie na faktografii i opisie wydarzeń. Bowiem dane te – fakty i daty – były znane od lat. Nowym doświadczeniem i osiągnięciem Grupy było to, że zdołano przedstawić polską i rosyjską perspektywę i ocenę tych samych faktów oraz zaprezentować we wspólnym tomie różnice dotyczące różnych percepcji i pamięci historycznej obu narodów²⁶. Rzetelne podejście uczonych z obu stron sprawiło, że wyniki ich badań okazały się zbieżne. Polscy i rosyjscy eksperci zaprezentowali zaskakująco zbliżone poglądy na temat spraw najtrudniejszych i najbardziej delikatnych (np. zbrodni katyńskiej, genezy Paktu Ribbentrop–Mołotow, inwazji Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 roku, aneksji Kresów Wschodnich itd.). Znacznie trudniejszym zadaniem było to, by – wydobyta po 70 latach na światło dzienne – prawda dotarła do milionów Rosjan. Jednak zmiana polityki informacyjnej i oświatowej wykracza poza kompetencje Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Postulaty i opinie uczonych mogły stanowić jedynie inspirację i podstawę do podejmowania operatywnych i wykonawczych decyzji na najwyższym szczeblu przez prezydentów i premierów Rosji i Polski.

²⁶ *Białe Plamy – Czarne Plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918-2008)*, red. nauk. A. D. Rotfeld i A. W. Torkunow, PISM, Warszawa 2010.

Na postawy dzisiejszych Rosjan ogromny wpływ miał film Andrzeja Wajdy *Katyń*, którego emisja na kanale pierwszym rosyjskiej telewizji sprawiła, że prawda o zbrodni katyńskiej dotarła do milionów ludzi. Bezpośrednio po katastrofie smoleńskiej (10 kwietnia 2010 roku) podjęto szereg innych kroków i decyzji, które zapowiadały radykalną zmianę w przedstawianiu prawdy o stalinowskim reżimie zbrodni i bezprawia.

Niestety, jak wiemy, na rozbudzone oczekiwania położyła się cieniem sprawa smoleńskiej katastrofy.

Na wniosek współprzewodniczących Grupy do Spraw Trudnych polsko-rosyjskiemu dialogowi i poszukiwaniom porozumienia nadano charakter instytucjonalny. W Warszawie i Moskwie powołano do życia dwa centra, które stymulują kontakty między uczonymi i intelektualistami, wymianę młodzieży, tłumaczenie arcydzieł polskiej literatury w Rosji i rosyjskiej w Polsce. 17 sierpnia ubiegłego roku (tj. 2012 – przyp. red.) doszło do pierwszej wizyty Patriarchy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej w Polsce. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, abp. Józef Michalik i Patriarcha Cyryl I podpisali na Zamku Królewskim w Warszawie *Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji*, w którym wezwali do „wybaczenia krzywd, niesprawiedliwości i wszelkiego zła wyrządzonego sobie nawzajem”. Autorzy tego *Przesłania* odnotowali, że „przebaczenie nie oznacza oczywiście zapomnienia. Pamięć stanowi bowiem istotną część naszej tożsamości (...). Przebaczyć oznacza jednak wyrzec się zemsty i nienawiści, uczestniczyć w budowaniu zgody i braterstwa między ludźmi, naszymi narodami i krajami, co stanowi podstawę pokojowej przyszłości”²⁷.

Sprawa ta była również przedmiotem mojej niedawnej rozmowy z Patriarchą w Królewcu. W dniu 16 listopada bieżącego roku (tj. 2013 – przyp. red.) Cyryl I w czasie spotkania – zwracając się do mnie – powiedział na temat wspólnego dokumentu z sierpnia 2012 roku: „Droga, która prowadziła do tego wydarzenia, nie była prosta. Było wiele problemów natury politycznej i psychologicznej. Z obu stron zmierzałyśmy do celu z pełnym zrozumieniem odpowiedzialności i z pełnym zrozumieniem tego, że innej

²⁷ *Wspólne Przesłanie do Narodów Polski i Rosji Przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski Arcybiskupa Józefa Michalika, Metropolity Przemyskiego i zwierzchnika Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchy Moskiewskiego i C całej Rusi, Cyryla I, Warszawa, 17 sierpnia 2012 r.*

drogi nie ma. I niezależnie od tego, na jakie trudności napotkamy, nic nie powinno przeszkodzić naszemu posuwaniu się do przodu.

Jesteśmy dwoma narodami, które żyją obok siebie. To Bóg tak sprawił...”.

Innymi słowy, drogi procesu pojednania między Polakami a Niemcami przebiegają inaczej niż dialog i porozumienie między Polakami a Rosjanami. W obu przypadkach jednak zasadnicze znaczenie miało uznanie uniwersalnych wartości moralnych i etycznych, a także przyjęcie zasady, że w myśleniu o przyszłości podstawą dialogu powinna być prawda o przeszłości i uznanie pewnych wspólnych wartości. Istotna różnica między dialogiem a rokowaniami międzynarodowymi polega na tym, że dialog dotyczy myśli, idei i wartości, natomiast rokowania dotyczą równowagi interesów.

Prawda nie jest i nie może być przedmiotem rokowań. Co więcej, prawda nie tylko nigdy nie utrudnia porozumienia ani nie zaognia wzajemnych stosunków, lecz przeciwnie – oczyszcza je z fałszów, zakłamania i szkodliwych stereotypów. Bez powiedzenia pełnej prawdy – bez niedomówień i matactwa – proces pojednania nie może być trwały i skuteczny.

UWAGI KOŃCOWE

31 października 1958 roku w swoim wykładzie inauguracyjnym na Uniwersytecie w Oxfordzie Isaiah Berlin przywołał o sto lat wcześniejszą opinię, w której Heinrich Heine przestrzegał Francuzów przed niedocenianiem potęgi idei: „koncepty filozoficzne pielęgnowane w zaciszu profesorskich gabinetów mogą zniszczyć cywilizację”. Mówił o *Krytyce czystego rozumu* Kanta jako o mieczu, którym ścięto głowę europejskiemu deizmowi, a dzieła Rousseau opisał jako splamioną krwią broń, która posłużyła Robespierre’owi do zniszczenia starego porządku; przepowiedział, że romantyczna wiara Fichtego i Schellinga – ze straszliwym skutkiem za sprawą ich fanatycznych niemieckich uczniów – zwróci się któregoś dnia przeciwko liberalnej kulturze Zachodu²⁸.

²⁸ I. Berlin, *Cztery eseje o wolności*, tłum. D. Grinberg, D. Lachowska, J. Łoziński, Zysk i S-ka, Poznań 2000, s. 184.

Isaiah Berlin ironicznie podsumował ten wywód uwagą, że „fakty nie w pełni potwierdziły tę przepowiednię. Jeśli jednak – ciągnął Berlin – profesorowie naprawdę dzierżą tak porażającą władzę, to czyż nie oznacza to, że tylko inni profesorowie lub przynajmniej inni myśliciele (a nie rządy czy komisje parlamentarne) są w stanie ich rozbroić”?²⁹

Profesor Bronisław Geremek bez wątpienia należał do tych myślicieli i polityków, którzy w porę dostrzegli zagrożenia. Podjęli też trud teoretycznego i praktycznego wypracowania koncepcji „ludzkiego bezpieczeństwa” (*human security*). Swoim myśleniem wyprzedzili epokę.

Rozważania na temat wartości i pamięci historycznej prowadzą nas do kilku wniosków:

Po pierwsze, trafna wydaje się konkluzja, że poglądy ludzi, ich przekonania są równie ważne jak to, w jaki sposób ludzie zachowują się i postępują³⁰.

Po drugie, oznacza to, że wartości oraz ideologie i zasady moralno-etyczne mają w polityce istotne znaczenie.

Po trzecie, żyjemy w czasach, gdy zaciera się granica między polityką wewnętrzną a zagraniczną; to, co wewnętrzne przenika się z tym, co zewnętrzne. Liczą się nie tylko koncepcje i strategie, ale też sposoby sprawowania władzy wewnątrz państw.

Co więcej – i to jest moja czwarta uwaga – polityka zagraniczna traci na znaczeniu; przestaje być funkcją polityki wewnętrznej, ale staje się jej instrumentem i narzędziem.

Po piąte – wreszcie – w polityce państw demokratycznych znaczenie kluczowe mają wartości tak istotne dla ludzkiej godności i wolności. Wymaga to przewartościowania naszego sposobu myślenia o polityce zagranicznej i zmiany w podejściu zarówno do tego, jak formułować cele, jak też jakimi środkami wolno posługiwać się do osiągnięcia tych celów, do ich realizacji.

Ale – jak powiedziała Kipling – to już zupełnie inna historia...

Wykład Adama Daniela Rotfelda Europa: wspólne wartości a pamięć historyczna, wygłoszony w Warszawie, 25 listopada 2013.

²⁹ Tamże.

³⁰ Por. J. L. Gaddis, *On Moral Equivalency and Cold War History*, „Ethics and International Affairs”, 1996, vol. 10, s. 147-148.



Wizyta w Departamencie Stanu USA, rozmowa z sekretarzem stanu USA Condoleezzą Rice, Waszyngton, 31 maja 2005 r.

Życie wymusza zmianę

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Piotr Kubasiak

PIOTR KUBASIAK: *Pan Profesor wskazuje często na dwie główne zasady – swoje filary bezpieczeństwa europejskiego w XXI w.: nienaruszalność granic i poszanowanie prawa narodów do swobodnego stanowienia o własnym porządku politycznym. Czy po zajęciu przez Rosjan Krymu widzi Pan Profesor możliwość dialogu z Rosją?*

ADAM DANIEL ROTFELD: Dialog jest nie tylko możliwy, ale i konieczny. Rosja nie zniknie. O jej stosunku do Ukrainy decyduje nie tyle układ sił czy zagrożenie wojskowe, ile postrzeganie miejsca i roli Ukrainy w procesie odbudowy rosyjskiego imperium. Wśród rosyjskich elit politycznych dominuje przekonanie, że większe niebezpieczeństwo grozi ich krajowi w wyniku potencjalnego rozpadu wewnętrznego niż napaści zewnętrznej.

Nie ma dziś żadnego państwa, które chciałoby prowadzić wojnę z Rosją. Kraj ten nigdy w historii nie miał równie bezpiecznych zachodnich granic jak dziś – w drugiej dekadzie XXI w. Poczucie zewnętrznego zagrożenia ma służyć konsolidacji społeczeństwa wokół prezydenta Rosji, który skupił w swoim ręku pełnię władzy i sprawuje ją w sposób autorytarny i niekontrolowany. Rosyjscy przywódcy wiedzą, że wojska NATO nie zaatakują ich kraju. Obecność tych wojsk na terytoriach państw członkowskich jest elementem strategii odstraszenia, a nie zastraszania. Two-

zenie klimatu ciągłego zagrożenia jest częścią składową cynicznej gry i propagandy, a nie odpowiedzią na zewnętrzne niebezpieczeństwa, które – jeśli nawet są – to tylko na południu Rosji i Dalekim Wschodzie.

Rzeczywiste zagrożenia mają charakter wewnętrzny. Składają się na nie: niedorozwój, słaba infrastruktura oraz potencjalny rozkład państwa. Prezydent Władimir Putin boi się powtórzenia sytuacji, kiedy w wyniku słabości wewnętrznych rozpadł się Związek Radziecki. Rozumowanie Putina i jego otoczenia opiera się na założeniu, że coś, co raz już się wydarzyło, może zdarzyć się ponownie. Strategia obłożonej twierdzy sprowadza się do tego, by temu zapobiec. Rozpadowi można przeciwdziałać na dwa sposoby: rozpoznać przyczyny choroby państwa, postawić właściwą diagnozę i rozpocząć kurację, czyli reformy. Druga możliwość – nie zajmować się prawdziwymi przyczynami, ponieważ są one znane i kontynuować kurs, który zapewnił obecnym elitom monopol władzy. Autorytaryzm – ukształtowany w Rosji po upadku Związku Radzieckiego – eliminuje ze swej istoty alternatywę władzy. Jeśli takiej alternatywy nie ma, to wcześniej czy później władza ulega demoralizacji. Taki system może trwać długo, nawet 50 czy – jak to się stało po bolszewickim przewrocie – 70 lat. Niemniej jednak wcześniej czy później dojdzie do upadku. Historia pokazuje, że to nie zewnętrzni ani wewnętrzni wrogowie, ale życie wymusza zmianę.

Zapewne pamięta Pan, że obecny przywódca Rosji po objęciu władzy ciągle operował słowem „modernizacja”. Jednak ten plan nie został zrealizowany – i to nie dlatego, że Putin był mu przeciwny, ale dlatego, że warunkiem powodzenia była radykalna zmiana systemu. A tego Putin nie chciał. W miejsce demokracji nowo mianowany prezydent postulował ustanowienie w Rosji „dyktatury prawa”. W praktyce okazało się, że łatwiej ustanowić dyktaturę niż rządy prawa. Zbrojenia dają iluzję siły. Prezydent Putin ma też świadomość, że swoją polityką i propagandą zyskał poparcie społeczne. Gdyby w Rosji zorganizowano całkowicie swobodne wybory, to z całą pewnością wygrałby je Władimir Putin. Jednak samo prawo wyboru ze swej istoty byłoby początkiem zmiany systemu. Zatem potrzebne jest tworzenie iluzji zagrożenia i wszechobecnej w świecie rusofobii. Cokolwiek się dzieje złego, to wyjaśnienie sprowadza się do tego, że jest to wynik spisku wrogich Rosji sił. Dotyczy to praktycznie wszystkiego: spadku cen na ropę i oskarżenia rosyjskich sportowców o zażywanie niedozwolonych środków dopingowych. Przy tym ciekawa jest

argumentacja: „Przecież doping biorą wszyscy, a atakują tylko naszych, rosyjskich sportowców – dlaczego? Bo my jesteśmy najuczciwsi. Jesteśmy wzorem cnót. Nigdy nie podbijaliśmy cudzych terytoriów. Nigdy nie ponieśliśmy też żadnej klęski”. Za wszystko, co złe we współczesnym świecie, odpowiada Zachód, a zwłaszcza Stany Zjednoczone. Nowa „rosyjska idea” budowana jest w opozycji do Zachodu i systemu wartości liberalnej demokracji.

Jaki jest w tym kontekście związek między tym, co się dzieje w Rosji, a tym, co wydarza się na Ukrainie?

W przewrocie na Majdanie w Kijowie Rosja dostrzegła dwa niebezpieczeństwa. Po pierwsze, gniew ludu może doprowadzić do zmiany władzy. Po drugie, jeśli reformy na Ukrainie powiodą się, to dla milionów Rosjan będzie to dowodem, że mogą one również powieść się w Rosji. W efekcie jedyny ruch, który w Rosji powstał po wydarzeniach na Ukrainie, to Antymajdan. Myśl przewodnią była czytelna: „nie pozwolimy na to, żeby na placu Czerwonym doszło do podobnych wydarzeń”. Jeśli na Ukrainie powiodą się reformy, które mają charakter antykorupcyjny, modernizacyjny i reformatorski, to takim przemianom należy postawić tamę. Należy zdusić w zarodku to, co się dzieje na Ukrainie, bo – jak głosiła rewolucyjna pieśń – „z iskry rozgorzeje płomień”.

Polska upadła w XVIII w. nie dlatego, że stanowiła dla zewnętrznych ościennych mocarstw zagrożenie, ale dlatego, że zakres swobód demokratycznych był u nas znacznie większy niż w przypadku mocarstw, które wzięły udział w rozbiorach. Był też drugi, ważniejszy czynnik: Polska była państwem słabym. Gdyby ówczesne elity były zjednoczone wokół króla, wsparły go politycznie i materialnie, pozwoliły na utworzenie 100-tysięcznej armii, to zapewne nie doszłoby do rozbiorów. Między wolnością a anarchią jest cienka granica. To z tamtych czasów datuje się powiedzenie „Musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce”. Gdyby Rosja była państwem silnym, nie trzeba byłoby tworzyć iluzorycznych zagrożeń i mitów. Narody silne, bez kompleksów, nie stawiają sobie codziennie pytań typu: „Dlaczego świat nas nie lubi?”. Społeczeństwa potrzebują takich państw, które dają im poczucie bezpieczeństwa – zewnętrznego i wewnętrznego (socjalnego, tożsamościowego, kulturowego etc.).

Ukraina i jej sprawy traktowane są w Rosji jako jej problem wewnętrzny. Niepowodzenie procesu reform i destabilizacja Ukrainy mają zapobiec przemianom wewnętrznym i demokratyzacji Rosji. Tymczasem od ucieczki Wiktora Janukowycza, od marca 2014 roku Ukraina przeprowadziła więcej skutecznych reform niż w ciągu poprzednich 25 lat. W mentalności Rosjan Ukraina to Małoruś i podobnie jak Białoruś jest historyczną częścią składową Wielkiej Rusi, która – jak głosił radziecki hymn – „złączyła je na wieki”. W tym głęboko zakorzenionym w rosyjskiej mentalności rozumowaniu Ukraina jest częścią wspólnoty określanej jako *russkij mir*. Wyjaśnijmy przy tej sposobności, że słowo „*russkij*” pochodzi od Rusi, a Rusie były przecież różne: Moskiewska Ruś chciała sobie podporządkować inne ziemie i je podporządkowała. Ruś Kijowska czy Ruś Halicka nie były częścią Rusi Moskiewskiej, ale w opinii wielu Rosjan powinny do Rosji należeć. Rosyjskie elity i znaczna część społeczeństwa nie uznają prostej prawdy, że Ukraina ma prawo do decydowania o swoim ustroju wewnętrznym i sposobie organizacji bezpieczeństwa zewnętrznego. Formalnie Rosja uznała te zasady w Akcie Końcowym Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie z Helsinek (1975 rok), w Memorandum Budapeszteńskim (1994 rok) i wreszcie – w porozumieniu o rosyjsko-ukraińskiej granicy (28 styczeń 2003 rok). Jednak gwarancje, które mocarstwa nuklearne (Rosja oraz USA, Wielka Brytania, Francja, a nawet Chiny) potwierdziły wobec Ukrainy w Budapeszcie – w praktyce traktowane są jako werbalna deklaracja bez żadnego znaczenia.

Punktem wyjścia do sensownego rozwiązania konfliktu między Rosją a Ukrainą byłoby poważne potraktowanie uroczyste przyjętych zobowiązań. Bez tego nie będzie możliwe nie tylko rozwiązanie konfliktu, ale nawet nie będzie rzeczowego rosyjsko-ukraińskiego dialogu. Myślę, że wcześniej czy później do tego dialogu dojdzie. W kontekście podstawowych filarów bezpieczeństwa, o których już tutaj była mowa, można zastanowić się nad dostosowaniem zasad Aktu Końcowego KBWE do nowej rzeczywistości politycznej. Na obszarze transatlantyckim – od San Francisco do Władywostoku – jedynie w ramach Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) obowiązuje wspólny kodeks zachowania państw we wzajemnych relacjach. Przypomnijmy: VIII zasada Aktu Końcowego z Helsinek dotyczy równouprawnienia i prawa narodów do samostanowienia. Na mocy tej zasady „wszystkie narody mają zawsze

prawo, w warunkach pełnej wolności, określać, kiedy i jak sobie życzą, swój wewnętrzny i zewnętrzny status polityczny, bez ingerencji z zewnątrz”. Rzecz jasna, nic na tym świecie nie jest niezmiennie. Również ustroje i systemy społeczno-polityczne mogą, a nawet muszą ulegać zmianie. Ale powinno to następować wyłącznie w wyniku woli członków narodu i obywateli państwa, którego te zmiany dotyczą. Odnosi się to w równej mierze do Rosji, co Ukrainy.

Czy znaczy to, że Rosjanie po prostu zapomnieli o ósmej zasadzie Aktu Końcowego KBWE z Helsinek?

Oczywiście Rosjanie o niczym nie zapomnieli. Jedynie zmienił się ich stosunek do tego dokumentu i do roli całego procesu, którego inicjatorem był zresztą ZSRR. Dla Rosji sprawą kluczową jest unieważnienie decyzji kijowskiego Majdanu. Rosyjska interpretacja jest z grubsza taka: Majdan był realizacją amerykańskiej koncepcji George’a W. Busha, którą reprezentował również jego następca Barack Obama, a mianowicie – promowanie „zmiany reżimów” (*regime change*). Stany Zjednoczone – twierdzą Rosjanie – uznały siebie za „światowego policjanta”, który ma prawo do narzucenia swojej wersji demokracji w innych państwach świata, zwłaszcza w tych, które USA uznają za niedemokratyczne. Skoro np. Saddam Hussajn nie był demokratyczny, to wolno im było wkroczyć do Iraku. Podobnie było z Libią czy z Afganistanem. Rosjanie uznali, że takie postępowanie było przejawem spisku międzynarodowego imperializmu, którego hegemonem są Stany Zjednoczone. Dowodem na to miał być festiwal „kolorowych rewolucji”, z arabską wiosną włącznie. Kolejnym etapem realizacji tej polityki była Ukraina.

Rosjanie nie przyjmują do wiadomości tego, że to Ukraińcy sami uznali rządy Janukowycza za przegnięte i skorumpowane. Ukraińcy byli też przekonani, że Janukowycz jest wykonawcą woli Rosji. Rok po zmianie prezydent Putin potwierdził w wywiadzie dla publicznej rosyjskiej telewizji, że w 2014 roku, gdy dokonano – jak on to powiedział – zamachu i odwołania od władzy prawowicie wybranego prezydenta Ukrainy, czyli Janukowycza, to on – jako prezydent Rosji – wydał rozkaz wszystkim rodzajom sił zbrojnych – na lądzie, w powietrzu i na wodzie – by go ratowały. Można sobie postawić zasadne pytanie: dlaczego dla ratowania

jednego człowieka postawiono na nogi całą potęgę sił zbrojnych wielkiego rosyjskiego mocarstwa? Zapewne dlatego, że był on „człowiekiem Putina” i – co równie ważne – mógł on jeszcze okazać się potrzebny, gdyby udało się przywrócić na Ukrainie system od Rosji zależny. Moskwa nie przyjęła do wiadomości, że Ukraińcy postanowili pójść o krok dalej i zmienić porządek polityczny na taki, w którym dla Janukowycza i jego „drużyny” nie było już miejsca. W miarę rozwoju wypadków scenariusz powrotu Janukowycza na ukraińską scenę polityczną tracił na aktualności: jest on na tyle zdyskredytowany, że dziś zapewne trwają poszukiwania nowego, młodego przywódcy, który mógłby stanąć na czele prorosyjskiej opozycji w Kijowie. Strategia wobec Ukrainy sprowadza się do tego, żeby obecną władzę destabilizować, a po jej obaleniu ustanowić tam reżim „o ograniczonej suwerenności”. Innymi słowy, polityka Ukrainy musiałaby odpowiadać strategicznym celom polityki rosyjskiej. Przy takich założeniach zachowana byłaby fasada suwerennego i niezależnego państwa. Podstawowy warunek i wymóg: państwo to powinno być od Rosji zależne. Natomiast może zachować wszystkie narodowe atrybuty: flagę, herb, mundury, a nawet język – przy założeniu, że status języka ukraińskiego i rosyjskiego będą zrównane i oba będą uznane za języki państwowe. Inny scenariusz – to inspirowany rozpad Ukrainy na swoiste „udzielne ruskie księstwa”, które mogłyby tworzyć konfederację zależną od Moskwy. Początkiem takiego „rozwiązania” jest dekret prezydenta Putina z połowy lutego br. (tj. 2017 – przyp. red.) o uznaniu przez Rosję paszportów wydawanych przez dwie samozwańcze republiki – Doniecką i Ługańską (DNR i ŁNR).

Jednak Rosjanie na Ukrainie mają swoich zwolenników.

To naturalne. Narody zamieszkujące Ukrainę nie były nastawione wobec Rosji wrogo. To dopiero stosunek Rosji do Ukrainy zmienił ten stan rzeczy. Paradoks polega na tym, że żaden kraj nie wniósł tyle do ukształtowania nowej narodowej i państwowej świadomości Ukraińców, co Rosja swoimi działaniami na przełomie lat 2013 i 2014. Powiem ironicznie, że Ukraińcy powinni stawiać Putinowi pomniki za to, co wniósł do pobudzenia ich poczucia wspólnoty narodowej. Nastroje antyrosyjskie były na Ukrainie centralnej i południowo-wschodniej sprawą marginalną. Te-

raz stały się dominujące. I to jest niewątpliwa „zasługa” Rosji. Gdyby pozostawiła ona mieszkańcom Ukrainy pełną swobodę, to kraj zapewne byłby podzielony na zwolenników bliskiej współpracy z Rosją oraz integracji z Unią Europejską. Co więcej, Rosja mogła udzielić Ukrainie pomocy przez rozwijanie stosunków gospodarczych, które nie byłyby warunkowane politycznym uzależnieniem. W czasach ZSRR Ukraina była zbrojownią radzieckiej armii, wyposażoną w nowoczesne technologie do produkcji samolotów i rakiet na światowym poziomie. Rosja mogła importować tę produkcję i w ten sposób połączyć ze sobą Ukrainę gospodarczo. Warunkiem rozwiązania konfliktu jest uznanie prawa Ukrainy do swobodnego stanowienia o swoim losie. Przywódcy Rosji – gdyby traktowali istotę państwa prawa na serio – mogliby ułożyć z Ukrainą relacje nowego typu. Myślę, że wcześniej czy później do tego dojdzie, jakkolwiek droga do tego celu będzie wyboista i długa. Nasuwa mi się tu pewna analogia z relacjami polsko-niemieckimi po I wojnie światowej. Niemiecki minister spraw zagranicznych w Republice Weimarskiej Gustav Stresemann domagał się rewizji granic, twierdząc, że zachodnie granice Polski są *unerträglich* (nie do zniesienia); że są to „granice krwawiące i płonące” (*blutende und brennende Grenzen*). Tak samo dzisiaj dla Rosji granice na południowym wschodzie z Ukrainą są nie do zniesienia. Rosja inspirowała i wspiera separatystów z Ługańska i Doniecka. W efekcie wraz z zakończeniem rządów Jelcyna Rosja porzuciła politykę respektowania *status quo* i nienaruszalności istniejących granic, stając się *de facto* państwem rewizjonistycznym.

Pan Profesor przedstawił kiedyś tezę, że współcześnie w relacjach międzynarodowych nie należy oczekiwać wielkich przełomów. Dzisiaj dialog pomiędzy narodami odbywa się na różnych szczeblach i jest żmudnym długotrwałym procesem. Czy można zatem oczekiwać przełomu na linii Rosja–Ukraina?

Przełomu nie będzie. Można oczekiwać poważnego dialogu i stopniowej normalizacji wzajemnych stosunków. Jest to wariant optymistyczny. Możliwe są też mniej optymistyczne scenariusze, np. utrzymywanie się przez długie lata stanu „ani pokój, ani wojna”, jak to się dzieje na Bliskim Wschodzie; nie można też wykluczyć inspirowanych z zewnątrz prób zamachu przy biernym przyzwoleniu na taki wariant nowej amerykańskiej admini-

stracji. Można sobie wyobrazić, że nowy prezydent Stanów Zjednoczonych nie uzna inkorporacji Krymu do Rosji *de iure*, ale pogodzi się z tym *de facto*. Przed wyborami sygnalizował uznanie tego, że Krym jest już częścią Rosji, a po dymisji szefa Narodowej Rady Bezpieczeństwa USA ogłosił, że Rosja powinna zwrócić Krym Ukrainie. Dla bezpieczeństwa Ukrainy sprawą kluczową na dłuższą metę jest kształtowanie się nowej tożsamości politycznej narodu, który w sposób suwerenny będzie mógł podejmować decyzje o relacjach z sąsiadami, zgodnie z zasadą „nic o nas bez nas”.

Jednym z celów mojego pobytu w wiedeńskim Instytucie Nauk o Człowieku było zdefiniowanie i zapoczątkowanie trójstronnego projektu, którego efektem byłoby studium porównawcze o kształtowaniu się tożsamości politycznej narodów w procesie transformacji: w Polsce, Rosji i na Ukrainie. Inicjatywa ta była przedmiotem wstępnych dyskusji między uczonymi z tych trzech państw. Powstał katalog pytań, na które badacze mogliby przedstawić odpowiedzi z własnej perspektywy opartej na doświadczeniach swoich narodów. Należałoby wspólnie zastanowić się nad tym, co jest istotą kształtowania się tożsamości politycznej. Czy jest to głównie kultura i język oraz mentalność i religia, czy też jest to specyficzny stosunek do własnej historii, do historii sąsiadów i określanie swojej tożsamości w opozycji do innych? Warto zastanowić się nad tym, czy modernizacja wymaga zmiany postaw, w jaki sposób poszukiwać sposobów sprostania wyzwaniom, które niosą ze sobą przyspieszone zmiany współczesnego świata, a także nowe postawy i oczekiwania własnego społeczeństwa.

Pamięć historyczna w relacjach polsko-ukraińskich nie jest tematem łatwym. Wystarczy wspomnieć o skrajnych emocjach, jakie jeszcze dzisiaj wywołuje Wołyń.

W kontekście projektu, o którym mówiłem, nasuwa się pytanie: w jakiej mierze pamięć o Wołyniu wpływa na kształtowanie się tożsamości współczesnych Polaków i Ukraińców? Czy sprawę tę należy wyciszyć, czy też powiedzieć prawdę – i to niezależnie od tego, czy jest ona wygodna i politycznie poprawna? Pewne jest to, że należy uznać prawo Ukraińców i Polaków do własnej pamięci historycznej. Ani Polska, ani Ukraina nie mogą i nie powinny narzucać sobie jakiejś wspólnej „kanonicznej” wersji histo-

rii. Przedmiotem pracy badaczy mogą być wysiłki zmierzające do ustalenia faktów i wydarzeń. Interpretacje są i będą różne. Tak się składa, że oddziały i dowództwo UPA pozostawiły po sobie znaczną liczbę dokumentów, które mogą być konfrontowane z dokumentami NKWD i polskimi archiwami. Grzegorz Motyka, dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN, opublikował kilka monografii, które są próbą zobiektywizowania tych wydarzeń. Jednak myślą się ci, którzy sądzą, że publikacje te mają zasadniczy wpływ na pamięć historyczną. Jest ona zjawiskiem zupełnie specyficznym, autonomicznym i niezależnym. Polscy badacze wspólnie z Ukraińcami kilkanaście lat temu utworzyli wspólne zespoły historyczno-badawcze. Pod auspicjami Ośrodka „Karta” ukazało się ponad 10 tomów w ramach serii *Polska–Ukraina: trudne pytania*. To nie pytania były trudne, ale odpowiedzi. Trudność powiedzenia naukowej prawdy polega często nie na braku dostępu do dokumentów, ale na tym, że mamy do czynienia ze sferą psychologii, emocji i mieszaniną wzniosłych ideałów i proklamacji – z jednej strony, a z drugiej – z brutalnymi aktami, haniebnymi i zbrodniczymi działaniami. Mitologia i pamięć historyczna opierają się na wzniosłych słowach, a usuwają w cień to, co było wstydlive, nieludzkie i podłe.

Jak zdaniem Pana Profesora będą układać się relacje między Ukrainą a Unią Europejską? Wygląda na to, że solidarność z Ukrainą zaczyna słabnąć. Prawie każdy szczyt UE poprzedza niepewność, czy sankcje stosowane wobec Rosji będą przedłużone.

Punktem wyjścia w odpowiedzi na tak postawione pytanie jest uświadomienie sobie prostej prawdy: problemy dzisiejszego świata rodzą się wewnątrz państw, a nie między nimi. Nie ma fundamentalnych problemów między Ukrainą a Unią Europejską. Każde z państw członkowskich UE określa swój stosunek do Ukrainy w zupełnie inny sposób. W Niemczech i w Austrii jest więcej zrozumienia dla sprawy ukraińskiej niż na Południu: w Hiszpanii, Włoszech, Portugalii czy Grecji. Kraje te nie mają do Ukrainy stosunku negatywnego, ale raczej obojętny. Pamiętam, że ponad 10 lat temu podczas nieformalnej unijnej debaty o sprawach Ukrainy jeden z ministrów spraw zagranicznych z południowej Europy wyraził pogląd, że Ukraina historycznie nigdy nie była państwem ani odrębnym narodem.

„Wiedza” tego polityka oparta była na wydanym przez Akademię Nauk ZSRR w latach 50. ubiegłego wieku podręczniku historii Ukrainy, który ukazał się *notabene* w języku rosyjskim. W czasach radzieckich nie ukazał się żaden podręcznik historii Ukrainy po ukraińsku. Podręcznik ten wyrażał – jak byśmy to dziś określili – stalinowską wersję „polityki historycznej”.

Nie wiemy, jak będą się układać sprawy wewnątrz Ukrainy, wewnątrz Rosji czy Unii Europejskiej. Unia z natury rzeczy zainteresowana jest uregulowaniem relacji ukraińsko-rosyjskich w sposób korzystny dla Ukrainy i Europy. Nie bez znaczenia w najbliższej przyszłości będzie obrona wobec Rosji nowa strategia obecnego prezydenta USA. Nieukrywana przez Donalda Trumpa fascynacja osobowością prezydenta Putina i zapowiedź poprawy stosunków z Rosją mogą ulec z biegiem czasu istotnej modyfikacji. Bowiem relacje te zależą nie tylko od uregulowania „sprawy ukraińskiej”, ale również od sposobów wzajemnego ograniczenia zbrojeń raketowo-jądrowych i ułożenia stosunków w trójkącie Waszyngton–Pekin–Moskwa.

Sprawy ukraińskie znajdują się głównie w centrum uwagi OBWE, w której – na zasadzie rotacji – przewodnictwo przejęła Austria. Wcześniej – bo jeszcze w 2014 roku – powołano z inicjatywy Szwajcarii i Niemiec grupę pod nazwą *Panel of Eminent Persons on European Security as a Common Project*. Uczestniczyłem w pracach tej grupy, która przedstawiła dwa raporty: pierwszy dotyczył wyłącznie Ukrainy, a drugi, całościowy – bezpieczeństwa europejskiego opartego na współpracy. Uczestnikiem Panelu był również Rosjanin, którego stanowisko sprowadzało się do tego, że Ukraina oczywiście może być państwem suwerennym, wszakże pod warunkiem, że jej polityka będzie zbieżna z rosyjską strategią bezpieczeństwa. Innymi słowy, byłaby to „ograniczona suwerenność”. Z takim podejściem nie mogli pogodzić się pozostali uczestnicy Panelu. Rosjanin zdystansował się od stanowiska większości w formie listu załączonego do Raportu. Po zakończeniu prac Panelu Siergiej Karaganow przedstawił koncepcję „triumwiratu” (USA–Rosja–Chiny), który rozładowałby napięcia, jakie powstają w stosunkach bilateralnych. Ta nowa „Trojka” czy też „Koncert Mocarstw” miałyby uzgodnić między sobą nowe wspólne podejście do kontroli zbrojeń, a w szczególności do wypracowania „wielostronnego wzajemnego odstraszania nuklearnego”. Innymi słowy, byłoby to swoiste nowe „Święte Przymierze” na XXI wiek, w którym Rosja powróciłaby do roli światowego gracza – z Ukrainą w ramach jej strefy wpływów.



Spotkanie z premier Ukrainy Julią Tymoszenko podczas wizyty ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec w Kijowie, kwiecień 2005 r.

Na pozycję Ukrainy wpłyną też wyniki wyborów we Francji i w Niemczech. Jednak decydujące znaczenie będą miały reformy wprowadzane na samej Ukrainie. Od ich sukcesu lub niepowodzenia zależy więcej niż od relacji Ukrainy z Unią.

Powracam do swojej głównej tezy: sytuacja w dzisiejszym świecie zależy w większej mierze od zmian zachodzących wewnątrz państw niż relacji między nimi. Jeśli reformy państwa ukraińskiego okażą się skuteczne i wypracowany system antykorupcyjny – choćby w istotnej mierze – wyeliminuje korupcję z życia publicznego, to będzie to miało dla przyszłości tego państwa znaczenie większe niż dziesiątki deklaracji i rezolucji. W tym kontekście opowiem Panu pewną anegdotę: w styczniu 2005 roku, kiedy zostałem mianowany ministrem spraw zagranicznych, zadzwoniłem do Joschki Fischera, ministra spraw zagranicznych Niemiec. Zaproponowałem, abyśmy wybrali się wspólnie z krótką wizytą do Kijowa. Byłoby to – powiedziałem do Joschki – demonstracją naszego wspólnego poparcia dla nowo wybranych władz Ukrainy. Joschka uznał, że jest to dobra inicjatywa i na wiosnę 2005 roku poleciliśmy do Kijowa. Zostaliśmy przyjęci najpierw przez prezydenta Wiktora Juszczenkę, a potem przez panią premier Julię Tymoszenko. Po zakończonej rozmowie, kiedy wstaliśmy od stołu, pani premier odprowadziła nas do drzwi, przytrzymała mnie za rękę i poprosiła, abym na chwilę się zatrzymał. Kiedy zostaliśmy sam na sam, pani Julia Tymoszenko zapytała: „Czy może mi Pan powiedzieć, gdzie leży klucz, który otwiera drzwi do Unii Europejskiej?” Odpowiedziałem: „Pani Premier, z całą pewnością klucz ten nie leży w Berlinie ani w Warszawie. Nie leży też w Brukseli. Ten klucz leży tutaj, w Kijowie. Nie mam wątpliwości, że Pani wie lepiej, jak i gdzie go znaleźć”.

Między Wschodem a Zachodem? Miejsce Polski w Europie

I

W powszechnej świadomości utrwalone jest przekonanie, że Polska jest położona między Wschodem a Zachodem. W sensie geograficznym jest to prawda. Punkt, w którym przecinają się w Polsce linie równoleżników i południków, znajduje się na trasie Łódź–Kutno, w miejscowości Piątek, co dokumentuje postawiony na ryneczku stosowny pomnik z napisem: „Geometryczny środek Polski”. Jednak do centrum Europy pretenduje wiele innych stolic naszego regionu. Wiedeń i Berlin, Praga i Budapeszt, Bratysława i Bukareszt, Kijów i Wilno – wszystkie te miasta zapewniają przyjezdnych, że to one właśnie są położone w środku Europy. Jednak to nie geografia ani geometria, ale polityka, historia i kultura wyznaczają miejsce szczególne naszemu regionowi, w tym również i Polsce. W Austrii odradza się pojęcie „Mitteleuropa”, a różne środowiska z nostalgią wspominają specyficzną kulturę mieszkańców Europy Środkowej.

Miejsce Polski na mapie Europy w ciągu ostatniego stulecia zmieniało się. Granice ustalone decyzjami Konferencji Wersalskiej (1919) i późniejszego rozwoju wypadków określiły inaczej terytorium II Rzeczypospolitej niż ten obszar, które zwycięskie mocarstwa poddały polskiemu zwierzchnictwu terytorialnemu po II wojnie światowej – na podstawie Układu Pocz-

damskiego (1945) i dwustronnych traktatów podpisanych przez Polskę ze wszystkimi sąsiadami. Jakkolwiek po nowej Wiośnie Ludów końca XX wieku (1989-1991) geograficznie miejsce Polski na mapie Europy i jej granice pozostały niezienne, to radykalnie zmieniło się jej otoczenie międzynarodowe. Zamiast trzech graniczących z Polską państw (ZSRR na Wschodzie, NRD – na Zachodzie i Czechosłowacja – na Południu) – pojawiło się siedmiu nowych sąsiadów: na granicy północno-wschodniej – Federacja Rosyjska i Litwa; na Wschodzie – Białoruś i Ukraina; na Południu – Czechy i Słowacja, i na Zachodzie – Republika Federalna Niemiec.

Władze III Rzeczypospolitej stanęły wobec konieczności określenia nowych priorytetów i nowych zadań polityki zagranicznej. Dotyczyło to przede wszystkim Niemiec i Rosji, jak również wszystkich pozostałych sąsiadów.

II

Nowe relacje z Niemcami opisane zostały – jeszcze przed wejściem Polski do Unii Europejskiej – we wspólnym liście, który sygnowali ministrowie spraw zagranicznych RP w rządach niepodległej Polski z lat 1989-2004. W liście tym czytamy: „Podstawą stosunków między naszymi państwami jest traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy; obejmuje on różne płaszczyzny współpracy – polityczną, społeczną, prawną, gospodarczą, kulturalną i cywilizacyjną. Umożliwia też – po wejściu Polski do Unii Europejskiej – przejście w dwustronnych stosunkach do nowej formuły partnerstwa i wspólnego kształtowania polityki europejskiej i globalnej (...). Jest to dzieło i zasługa wszystkich kolejnych rządów. Traktujemy je jako dorobek i wielką wspólną szansę oraz zobowiązanie do nowego otwarcia w stosunkach między Polską a Niemcami, bez wzajemnych uprzedzeń i roszczeń, z myślą o wspólnej europejskiej przyszłości”. List ten był zamieszczony w publikacji pt. *Problem reparacji, odszkodowań i świadczeń w stosunkach polsko-niemieckich 1944-2004*, t. I (w: *Studia*, red. nauk. W. M. Góralski, Warszawa 2004, s. 2-3).

Przesłanie zawarte w tekście podpisanym przez osoby o tak różnym rodowodzie politycznym jak: Władysław Bartoszewski i Włodzimierz Cimoszewicz, Bronisław Geremek i Andrzej Olechowski, Dariusz Rosati i Krzysztof

Skubiszewski miało już wtedy – w 2004 roku – swoją wartość i znaczenie. I zachowuje je po dziś dzień.

Po transformacji ustrojowej dla nowej Polski sprawą kluczową było definitywne potwierdzenie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Natomiast dla Niemiec taką sprawą było przywrócenie jedności narodu niemieckiego. Ważnym krokiem na tej drodze był polski udział w rozmowach dwóch państw niemieckich i czterech wielkich mocarstw („dwa plus cztery”), które uzgodniły formułę pokojowego zjednoczenia Niemiec. Dla polskiego ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego i premiera Tadeusza Mazowieckiego było oczywiste, że Polska, jako pierwsza ofiara hitlerowskiej polityki agresji powinna być obecna przy stole, gdzie zapadną decyzje o ostatecznych politycznych rozwiązaniach likwidujących skutki drugiej wojny światowej. Udział Polski w tej części konferencji, która miała znaczenie dla naszych relacji z zachodnim sąsiadem, był wyrazem nowej politycznej filozofii. Można ją sprowadzić do prostej formuły: „nic o nas bez nas”.

III

Po odrzuceniu koncepcji „ograniczonej suwerenności” demokratyczna Polska obrała kurs na ścisłe powiązanie z demokratyczną wspólnotą państw zachodnich, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi i z instytucjami integracji europejskiej, i Sojuszem Północnoatlantyckim. Punktem wyjścia do formułowania nowych priorytetów polskiej polityki zagranicznej były kryteria, które minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski zdefiniował na forum Sejmu (29 kwietnia 1993 roku) w sposób następujący:

- po pierwsze, utrzymanie i intensyfikacja integrowania się Polski z instytucjami europejskimi i euroatlantyckimi;
- po drugie, umacnianie bezpieczeństwa Polski;
- po trzecie, zacieśnienie dwustronnej politycznej i gospodarczej współpracy z państwami zachodnimi;
- po czwarte, rozwój stosunków z państwami sąsiedzkimi, w tym aktywna polityka wschodnia;

- po piąte, budowanie pozycji Polski w Europie Środkowej również w ugrupowaniach regionalnych.

Tak zarysowany program i kierunki działania były konsekwentnie realizowane, jakkolwiek w tym czasie wojska radzieckie nadal stacjonowały na polskiej ziemi. Ostatni żołnierz radziecki opuścił Polskę 17 września 1993 roku. Była to symboliczna data: 54 lata wcześniej – 17 września 1939 roku – Armia Czerwona w porozumieniu z hitlerowską III Rzeszą dokonała inwazji na Polskę. I w ten sposób wzięła udział w IV rozbiórce, zgodnie z tajnym protokołem do Paktu Mołotow–Ribbentrop, który podpisany został w Moskwie 23 sierpnia 1939 roku.

Innymi słowy, w historycznie krótkim czasie demokratyczna Polska zerwała ze statusem państwa satelickiego i zależnego. Dokonała wyboru na rzecz Europy zjednoczonej, opartej na wspólnych wartościach, na respektowaniu przyjętych zasad, norm i zobowiązań. Z jednej strony polityka ta oznaczała fundamentalną zmianę, ale z drugiej – była też wyrazem ciągłości – powrotu do korzeni i tradycji państwa, które od wieków powiązane było z europejską cywilizacją i stanowi jego integralną część.

IV

Nie byłoby nowego typu relacji z sąsiadami opartych na poszanowaniu zasad suwerenności i integralności terytorialnej bez wcześniejszej ogólnoeuropejskiej konferencji w Helsinkach (1975), bez dwustronnych traktatów Niemiec z Moskwą (12 sierpnia 1970) i Warszawą (7 grudnia 1970), bez porozumień między oboma państwami niemieckimi i bez wielu innych uzgodnień, które otwierały drogę do wielostronnego budowania fundamentów europejskiego systemu bezpieczeństwa. Początkowo w ramach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) uczestniczyły 33 państwa Europy oraz USA i Kanada. Z czasem utworzono stałą instytucję OBWE – Organizację Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie – z udziałem 57 państw Europy, Azji Środkowej i Ameryki Północnej.

Przywódcy na Kremlu – inicjatorzy tego procesu – stawiali sobie początkowo za cel uzgodnienie dokumentu, który stanowiłby swoistą namiastkę traktatu pokojowego z Niemcami, a zarazem zapewniał Związkowi Radzieckiemu formalno-prawne potwierdzenie swojej strefy wpływów na ob-



Zakończenie szczytu Rady Europy w Warszawie i przekazanie przez ministra spraw zagranicznych RP Adama D. Rotfelda przewodnictwa w Radzie Dmitrijowi Rupelowi, ministrowi spraw zagranicznych Słowenii, w środku – sekretarz generalny Rady Europy, Terry Davis, Zamek Królewski, Warszawa, 17 maja 2005 r.

szarze poddanym radzieckiej dominacji zgodnie z decyzjami Wielkiej Trójki – Churchilla, Roosevelta i Stalina – podjętymi podczas konferencji w Jałcie (1945). Natomiast demokratyczne państwa Zachodu pojmowały proces zapoczątkowany w Helsinkach jako punkt wyjścia do dynamicznych przemian ustrojowych w Europie Środkowej i Wschodniej.

O nowym miejscu Polski w Europie zdecydowało to, że to wielomilionowy ruch „Solidarności” zapoczątkował demokratyczne procesy przemian w całym regionie. Dwaj przywódcy – Lech Wałęsa w Polsce i Michaił Gorbaczow w ZSRR – uosabiali siły, które podważyły stary porządek.

Zmiany w relacjach Polski z sąsiadami na wschodnie nawiązywały do koncepcji określanej skrótowo jako UBL (Ukraina, Białoruś, Litwa), której autorami byli Juliusz Mieroszewski i Jerzy Giedroyc z paryskiej „Kultury”. Ich wizja zakładała również ułożenie nowego typu stosunków Polski z Niemcami i Rosją. Miały się one opierać na przyjęciu zasad suwerennej równości i wspólnych europejskich wartości oraz poszanowania wzajemnych interesów.

W stosunkach z Niemcami odbiciem nowej rzeczywistości są dwa fundamentalne porozumienia, jakie Polska zawarła z Niemcami po zjednoczeniu: Układ graniczny z 14 listopada 1990 roku i Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 17 czerwca 1991 roku. W tej formie dwa demokratyczne, niepodległe i suwerenne państwa – Polska i Niemcy – uregulowały w sposób dobrowolny swoje złożone i obciążone tragiczną historią stosunki. Zapowiadało to – by użyć słów Krzysztofa Skubiszewskiego – tworzenie polsko-niemieckiej „wspólnoty interesów”. Niemcy z państwa tradycyjnie wrogiego – stały się dla Polski bramą do Europy. Ich kolejne demokratycznie wybierane rządy podejmowały ponadpartyjne strategiczne decyzje, które otwierały Polsce perspektywę wejścia do transatlantyckich struktur. Wyrazem jakościowej zmiany miejsca Polski w transatlantyckiej wspólnotcie demokratycznych państw było przyjęcie naszego kraju do NATO w 1999 roku, a w pięć lat później – 1 maja 2004 roku – do Unii Europejskiej. W ten sposób ukształtowana została nowa przestrzeń polityczno-prawna i kulturowo-gospodarcza, której Polska stała się integralną częścią składową. Cementują ją takie wartości jak: respektowanie rządów prawa, wolny rynek, poszanowanie demokracji, wolność wypowiedzi, system wielopartyjny i przestrzeganie praw człowieka.

V

W relacjach z sąsiadami historia i pamięć historyczna mają istotne znaczenie. Stosunki polsko-niemieckie są przykładem, że przewyciężanie odwiecznych stereotypów, resentymentów i wrogości jest możliwe i skuteczne, jeśli prawda historyczna nie jest zakłamywana lub przemilczana. W efekcie, Polska i Niemcy wykorzystały niepowtarzalną szansę, aby wyjść z zakłętego kręgu wrogości i napięć. Inaczej ułożyły się relacje z Rosją. Z polskiej perspektywy najbardziej pożądanym byłoby takie ułożenie stosunków w trójkącie Polska–Niemcy–Rosja, aby relacje między Warszawą a Berlinem i Moskwą były równie dobre jak te, które łączą Niemcy i Rosję. Byłoby to możliwe, gdyby Rosja w swej strategii stanęła na gruncie respektowania uniwersalnych wartości i weszła na drogę demokratyzacji wewnętrznej i bezpieczeństwa opartego na współpracy, a nie zastraszaniu sąsiadów i próbach ustanawiania nowych stref wpływów.

W sumie, bieg historii sprawił, że odwieczny polski dylemat: czy kształtować bezpieczeństwo wspólnie z Rosją przeciwko Niemcom, czy z Niemcami przeciw Rosji, czy też – jak w okresie międzywojennym – balansować między Rosją a Niemcami, przestał istnieć. Polska nie stoi dziś wobec konieczności dokonywania takich wyborów. Zagrożenia i ryzyka w drugiej dekadzie XXI wieku mają inną naturę niż te, które określały środowisko bezpieczeństwa Polski w okresie międzywojennym czy też w powojennym półwieczu.

Dziś „jabłkiem niezgody” w relacjach między Polską a Rosją jest jej stosunek do Ukrainy i prawa narodu ukraińskiego do podejmowania suwerennych decyzji w sprawie wyboru drogi rozwoju wewnętrznego. W odpowiedzi na nowe zagrożenia umocniona została północno-wschodnia flanką Sojuszu, która obejmuje terytoria Polski oraz trzech państw bałtyckich – Estonii, Litwy i Łotwy. Oryginalnym polskim wkładem do wspólnej polityki obrony przestrzeni powietrznej państw bałtyckich – w ramach unijnej akcji Air Policing – była misja Orlik. Stanowiła ona element polskiego wojskowego zaangażowania na rzecz bezpieczeństwa całego regionu. Polska należy – obok Stanów Zjednoczonych, Kanady, Francji i Niemiec oraz Wielkiej Brytanii – do grupy państw, które aktywnie przeciwdziałają próbom eskalacji konfliktu w Ukrainie. Głównym wyzwaniem dla demokratycznej wspólnoty państw europejskich w długofalowej perspektywie jest umacnianie podjętych na

Ukrainie reform i neutralizowanie rosyjskich prób uczynienia z Ukrainy państwa słabego, dysfunkcjonalnego, zdestabilizowanego i upadającego.

Powrót w drugiej dekadzie XXI wieku do starej koncepcji Metternicha tworzenia nowego „koncertu mocarstw” i stref złożonych z państw wasalnych świadczy o tym, że w dzisiejszej Rosji o polityce, która powinna być skierowana ku przyszłości, czynnikiem decydującym jest nostalgia za przeszłością.

Z tej perspektywy dla bezpieczeństwa Polski istotne były dwa jakościowo nowe aspekty. Pierwszy sprowadzał się do uwzględnienia faktu, że o bezpieczeństwie państw decydują w dzisiejszym świecie w coraz większej mierze ryzyka i zagrożenia wewnętrzne, a nie tylko groźba napaści zewnętrznej. Jakkolwiek tradycyjnych zagrożeń nie należy ignorować. Ich skrajnym przejawem jest agresywna polityka sąsiadów, której ilustracją jest powrót Rosji do imperialnej koncepcji narzucania państwom małym i średnim „stref wpływów”, czy też traktowania interesów wielkich mocarstw w sposób uprzywilejowany. Jednak głównym czynnikiem, decydującym o pozycji państw w dzisiejszym świecie, jest ich potęga i potencjał – pojmowany w sposób bardzo szeroki: innowacyjność, nowe technologie, gospodarka; wewnętrzna stabilność i optymalne wykorzystanie zasobów – nie tylko surowcowych, ale przede wszystkim kapitału ludzkiego (potencjału intelektualnego) – oraz rola, jaką państwa te odgrywają w międzynarodowym podziale pracy.

Drugim, istotnym czynnikiem determinującym pozycję państw jest współzależność, co w przypadku Polski i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej oznacza trwałe zakotwiczenie w strukturach i instytucjach wspólnoty transatlantyckiej. Jednak bezpieczeństwa narodowego czy międzynarodowego nie należy utożsamiać z instytucjami. Są one istotne o tyle, o ile państwa umieją wykorzystać ich siły motoryczne, mechanizmy instytucjonalne oraz energię i potencjał integracyjny. Struktury i instytucje w oderwaniu od polityki państw są jak wirnik w silniku, który w stanie spoczynku nie wytwarza prądu. Instytucje, które nie spełniają oczekiwań i przestają być skutecznym instrumentem realizacji celów, do jakich zostały powołane, są stopniowo marginalizowane i obumierają.

Z polskiego punktu widzenia obie transatlantyckie instytucje spełniły pokładane w nich nadzieje: nie tylko wykluczyły użycie siły w stosunkach między sobą, ale zapobiegły wielkiej wojnie w Europie oraz poza obszarem

państw, które należą do NATO i Unii. W odróżnieniu od znanych z przeszłości aliansów, instytucje transatlantyckie łączą elementy sojuszu polityczno-wojskowego i organizacji bezpieczeństwa zbiorowego. Powiększanie liczby członków tych instytucji i ich rozszerzanie na Wschód przyczyniło się skutecznie do zwiększenia funkcji prewencyjnej i stabilizacyjnej.

VI

Wbrew obiegowej opinii – to nie tylko przeszłość i teraźniejszość kształtują przyszłość. To nasze wizje i wyobrażenia o przyszłości wpływają w znacznej mierze na nasze myślenie i proces podejmowania decyzji. Od tego, jak wyobrażamy sobie przyszłe relacje z bliższymi i dalszymi sąsiadami, zależy nasza dzisiejsza polityka wobec tych państw. Prezydent Stanów Zjednoczonych, gen. Dwight Eisenhower – na podstawie swoich doświadczeń dowódcy w czasie II wojny światowej – mówił, że „plany są niczym, ale planowanie jest wszystkim” (*Plans are worthless, but planning is everything*). Głębsza myśl zawarta w tej skrótowej formule sprowadza się do tego, że wielkie projekty mają często charakter abstrakcyjny, oderwany od życia i nie mają wielkiego znaczenia w procesie podejmowania decyzji. Natomiast realna polityka wymaga połączenia pragmatyzmu z wyobraźnią i racjonalizmu z elastycznością. Pozwala to reagować na zmiany, jakie przynosi życie. Planowanie to stąpanie po ziemi z poczuciem odpowiedzialności i świadomością celu oraz kierunku. Takie pojmowanie aksjologii sprawia, że polityka jest nie tyle reaktywna, co aktywna, twórcza i skuteczna.

W stosunkach z naszymi wielkimi sąsiadami – Niemcami i Rosją – trzy czynniki odgrywają zasadniczą rolę: potencjały; pamięć historyczna i wartości; wreszcie – interesy narodowe powiązane z poszanowaniem poczucia godności partnera. W ciągu minionych 27 lat Polska umiejętnie zagospodarowała „przestrzeń wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości”, jaką stworzyła dla swoich członków Unia Europejska i Sojusz Północnoatlantycki. Podobnie jak inne państwa regionu Europy Środkowej, Polska miała w minionym ćwierćwieczu wyjątkową szansę budowania nowych relacji opartych na zaufaniu, wyzbytych kompleksów wyższości i niższości.

Tej szansy Polska nie zmarnowała.

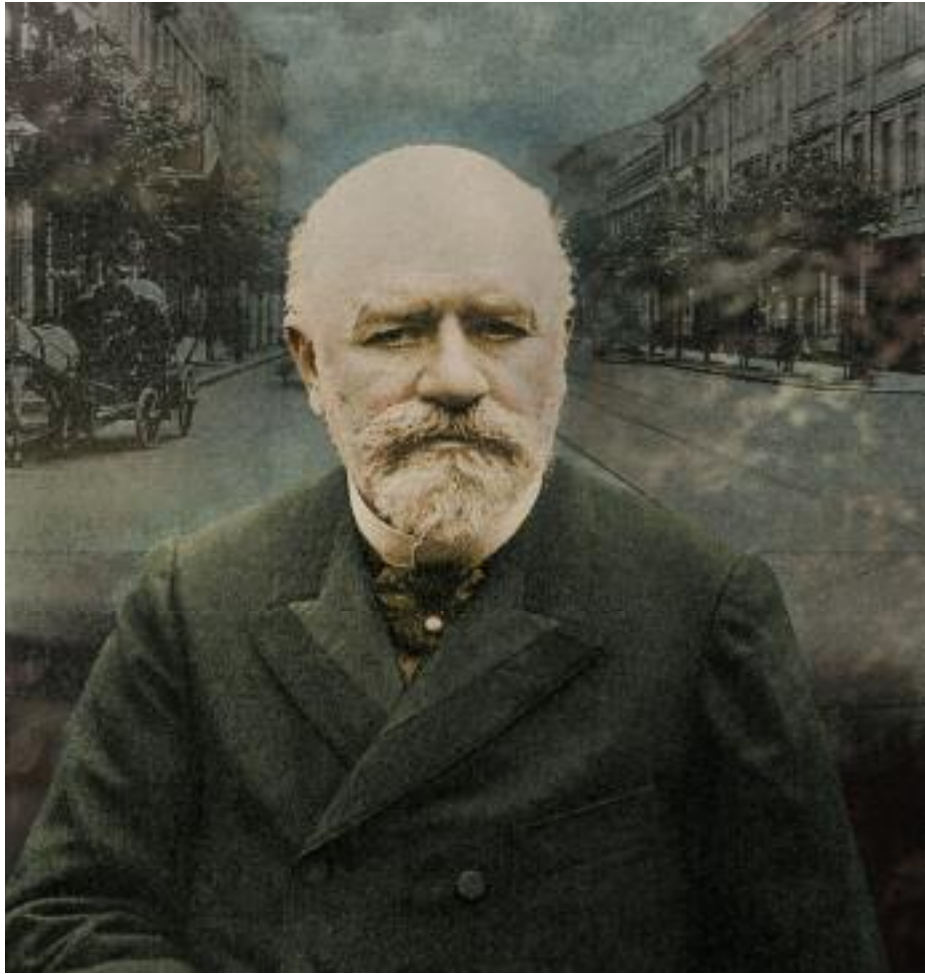
Miejsce Polski we wspólnocie narodów zmienia się. Nie kosztem sąsiadów – w wyniku wojen napastniczych, nie w wyniku ruchów tektonicznych

skorupy ziemskiej. Zmienia się w wyniku mądrego i odpowiedzialnego postępowania coraz to nowych pokoleń, które swoją codzienną pracą i kreatywnym podejściem do rozwiązywania nowych wyzwań i problemów pomnażają potencjał, jaki otrzymali w spadku od swoich przodków. Świat wkroczył nieodwołalnie w postindustrialne czasy robotyzacji i nowych technologii informatycznych. O naszym miejscu w świecie zdecyduje to, co jest największym bogactwem Polski – kapitał ludzki, „szare komórki” i zdolności do wypracowania rozwiązań, których jeszcze nikt nigdy nie wypróbował, pójścia drogą, po której jeszcze nikt nie stąpił. Wymaga to od przywódców politycznych zrozumienia, że nauka w XXI wieku stała się główną siłą napędową rozwoju, a uczeni nie mogą być traktowani w kategorii mędrców zamkniętych w wieży z kości słoniowej.

Miejsce Polski w świecie zależy od nas samych. To, czy i w jakiej mierze nowe pokolenia Polaków zdołają wykorzystać złożone w ich ręce przysłowiowe biblijne talenty – będzie zależać od nadchodzącej generacji, która przejmie odpowiedzialność za Polskę.

Część IV

Ludzie i idee



Jan Gottlieb Bloch

Jan Gottlieb Bloch (1836-1902)

Pozytywista i wizjoner

Ponad 30 lat temu jeden z wybitnych brytyjskich historyków, Sir Michael Howard opublikował na łamach „International Security” – najpoważniejszego naukowego periodyku o problematyce bezpieczeństwa międzynarodowego wydawanego przez Uniwersytet Harvarda – esej pt. *Men Against Fire. Expectations of War in 1914*. Rozważania profesora Howarda, które w wolnym tłumaczeniu mogłyby brzmieć „Ludzie przeciwko pożodze”, rozpoczyna następujące zdanie: „W 1898 roku opublikowano w Paryżu sześciotomowe dzieło pod tytułem *La Guerre Future; aux points de vue technique, economique et politique*”. Autor wyjaśnia dalej: „Było to tłumaczenie serii artykułów, które ukazały się w Rosji, jako rezultat zaplanowanych badań zbiorowych, które były jednak wyrazem myśli i autorstwa jednej z czołowych postaci świata rosyjskich finansów i przemysłu – Iwana (czy też Jean de) Blocha (1836-1902). Niekiedy określany jako „polski bankier”, Bloch w istocie był przedsiębiorcą na miarę Rotschildów w Europie Zachodniej lub Carnegie w Stanach Zjednoczonych” (por. „International Security”, Summer 1984, vol. 9, no 1, str. 41).

Te słowa znakomitego brytyjskiego uczonego były w istocie hołdem i wyrazem uznania dla pionierskiego dzieła Jana Blocha. Jednak sugestia Howarda była czytelna: autorem śmiałych tez o przyszłej wojnie był w jego

ujęciu wybitny rosyjski przemysłowiec, budowniczy kolei i myśliciel – Iwan Bloch. Jego wiedza o autorze *Przyszłej wojny* opierała się na francuskiej edycji tłumaczonej z języka rosyjskiego. W rzeczywistości oryginał dzieła był pisany po polsku w Warszawie. Początkowo publikowany we fragmentach w „Bibliotece Warszawskiej”, a następnie ukazał się w wydaniu książkowym. Dla brytyjskiego historyka nie miało to istotnego znaczenia. Polski nie było wówczas na mapie Europy. Myśli Blocha – nawet jeśli miały odegrać pewne znaczenie, już choćby w zwołanej również z jego inspiracji Pierwszej Konferencji Haskiej (1899) – to tylko dlatego, że dzięki swoim znajomościom i stosunkom mógł dotrzeć do cara i wpłynąć na stanowisko polityczne Rosji w tej sprawie. Z brytyjskiej czy też amerykańskiej perspektywy Bloch był postrzegany po prostu jako poddany cara Wszechrosji.

Kluczową myśl sześciotomowego dzieła Blocha można sprowadzić do następującej tezy: nadciągająca wojna między wielkimi mocarstwami będzie tak wyniszczająca, że należy ją uznać za samobójczą. W opinii Howarda „było to w istocie pierwsze dzieło prezentujące nowoczesną analizę operacyjną i nic, co było później napisane, nie dorównuje jej sposobem połączenia dyscypliny i zakresu (analizowanych spraw – dop. A .D. R.)” (tamże, str. 41).

W 2012 roku na zaproszenie władz Lucerny wygłosiłem w tym mieście wykład na temat kształtowania się nowego porządku międzynarodowego. Gospodarze pytali, czy mam jakieś życzenia, czy coś szczególnego chciałbym w Lucernie – oprócz Sali Koncertowej, w której mieści się ponad 1000 słuchaczy – zwiedzić lub zobaczyć. Poprosiłem, aby pokazali mi Muzeum Wojny i Pokoju, założone i niemal w całości sfinansowane przez Jana Blocha. Tak się złożyło, że założyciel nigdy muzeum nie zobaczył: zostało ono otwarte w czerwcu 1902 roku – w kilka miesięcy po jego śmierci (zmarł 6 stycznia 1902 roku). W rok po zakończeniu I wojny światowej muzeum – z braku funduszy – zostało zamknięte. Jednak miejscowe władze umożliwiły mi obejrzenie kilku pudeł dokumentacji przechowywanej w miejskim archiwum. Świadczą one, z jaką determinacją Bloch dążył do otwarcia pierwszej tego typu wystawy w skali światowej, której sam już nie mógł obejrzeć. Wśród dokumentów jest również adresowana do Rady Miasta Lucerna i podpisana własnoręcznie rekomendacja cesarza Rosji, który poświadczył, że Bloch jest osobą majątną i „godną zaufania”...

W rosyjskich encyklopediach i leksykonach zasługi „Iwana” Blocha są odnotowywane zarówno w kontekście jego działalności gospodarczej,

a zwłaszcza budowy kolei żelaznych, jak też aktywności pacyfistycznej, której celem było zapobieżenie wybuchowi I wojny światowej. Na marginesie: wielu polskich uczonych, architektów i twórców zostało „zawłaszczonych” po prostu dlatego, że byli poddanymi cesarza Rosji. Tak np. Henryk Siemiradzki, znany w Polsce głównie ze względu na akademickie obrazy męczeństwa pierwszych chrześcijan i kurtynę w Teatrze Słowackiego w Krakowie, figuruje w rosyjskich encyklopediach jako „wybitny rosyjski malarz”. Dotyczyło to również zesłanych na Sybir polskich powstańców. Niektórzy spośród nich zajęli się badaniem kultury i przyrody Syberii wschodniej i zapisali się złotymi zgłoskami w historii tamtejszych narodów. Ilustrują to życiorysy rówieśników Blocha – uczonych tej miary co Wacław Sieroszewski (autor fundamentalnej pracy o kulturze Jakutów), Edward Piekarski – autor pierwszego słownika języka jakuckiego, czy też Jan Czerski – geograf i kartograf, którego dokonania odcisnęły ślad w nadanej masywowi nazwie – Góry Czerskiego.

Nazwiska ludzi o postawach buntowniczych i romantycznych znacznie mocniej utrwaliły się w pamięci narodowej niż pozytywistów – ludzi biznesu, przedsiębiorców, organizatorów życia gospodarczego, a równocześnie lojalistów i ugodowców. W efekcie na Zachodzie bezrefleksyjnie powtarzany jest pogląd jakoby Bloch był rosyjskim przemysłowcem, a jego najbardziej znane dzieło *Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym* ukazało się w oryginale po rosyjsku. Wielokrotnie stykałem się z takim poglądem.

W ostatniej dekadzie minionego stulecia otrzymałem – jako dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) – zaproszenie z Holandii do udziału w wielkiej międzynarodowej konferencji organizowanej w Petersburgu dla upamiętnienia Jubileuszu – 100. rocznicy ukazania się pracy o przyszłej wojnie. Holenderski badacz zachęcał mnie do udziału w tej konferencji, która – jak pisał – przywróci „należną pamięć o osobie rosyjskiego myśliciela Iwana Blocha”. Odpisałem kurtuazyjnie, że nie znam żadnego dzieła Iwana Blocha. Z tego względu nie jestem właściwym adresatem tego zaproszenia. W wyniku dalszej wymiany korespondencji, w której holenderski uczyony sumitował się i sugerował, abym wyjaśnił zebranym na konferencji w Petersburgu, że bohater tego spotkania ma polskie korzenie i że pierwodruk jego wielotomowego dzieła ukazał się po polsku na łamach „Biblioteki Warszawskiej” w latach 1893-1894,

wyprzedzając o pięć lat wydania książkowe w kilku innych kongresowych językach. Ostatecznie polskim uczestnikiem tej konferencji był Andrzej Werner, który stał się też niestrudzonym promotorem osoby oraz inicjatorem i współzałożycielem Towarzystwa Jana Gottlieba Blocha.

Wielkie zasługi w popularyzacji osoby i dzieła Jana Blocha w Polsce ma założona w 2005 roku fundacja jego imienia, której przewodniczy Krzysztof Szwarz. Nakładem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych ukazał się wybór oparty na 6-tomowym dziele Blocha (*Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym*, Warszawa 2005). Wyboru tekstów dokonał oraz zaopatrzył książkę w erudycyjny wstęp i przypisy Grzegorz P. Bąbiak. Wcześniej dobrze udokumentowaną monografię opublikował Ryszard Kołodziejczyk (*Jan Bloch 1836-1902. Szkic do portretu Króla polskich kolei*, Warszawa 1983). Pod auspicjami Towarzystwa Jana G. Blocha ukazało się opracowanie Anny Maleckiej pt. *Jan Bloch. Niezwykły warszawiak. Bankier – magnat kolejowy. Działacz i myśliciel* (Warszawa 2002) oraz biografia pióra Andrzeja Żora: *Figle historii* (Toruń 2005). Pod jego redakcją ukazała się też w 2014 roku praca zbiorowa pt. *Kapitalista, pacyfista, filantrop. Jan Bloch (1836-1902)*.

Na podstawie tych i wielu innych polskich oraz zagranicznych publikacji rysuje się postać niezwykła: budowniczy kolei żelaznych w Królestwie Polskim i Cesarstwie Rosyjskim, autor wielu memoriałów, ekspertyz, broszur i esejów. Wyłania się z tej literatury człowiek o renesansowych zainteresowaniach polityczno-społecznych, ekonomicznych, kulturalnych. Pisał o Rosji, Chinach i Niemczech. O zachodnich guberniach Cesarstwa Rosyjskiego, czyli Królestwie Polskim. Bezsprzecznie był to człowiek nietuzinkowy. Odnosił niezwykle sukcesy jako przedsiębiorca i organizator życia gospodarczego. Zajmował się działalnością filantropijną. Był kolekcjonerem sztuki. Jego kolekcja rysunków ma po dziś dzień wartość zupełnie wyjątkową. Nie były to zbiory dyletanta (por. szerzej: Justyna Guze, *Jan Gottlieb Bloch – kolekcjoner rysunków na skalę europejską. W stulecie daru Emilii z Kronenbergów Blochowej*. W pracy pod red. A. Żora: *Kapitalista, pacyfista, filantrop...*). Jednak o jego miejscu w naszej pamięci zdecydowała przede wszystkim aktywność i zaangażowanie w promowaniu pokojowego rozwiązywania sporów i zapobiegania wybuchowi wojny w Europie.

Był postacią aktywną i twórczą. Odnosił sukcesy. Budził też zawiść i niechęć. Stał się bohaterem kilku powieści-paszkwili. Jedną z nich – na zamó-

wienie Leopolda Kronenberga – napisał Józef Ignacy Kraszewski (*Roboty i prace*), którą publikował w odcinkach na łamach „Gazety Warszawskiej”. Autorem innej był Waclaw Gąsiorowski (*Zginęła głupota*). Kolejny paszkwil to powieść Mariana Gawalewicza (*Mechesy*). Łączy je nie tylko niechęć do głównego „bohatera” – postaci odrażającej, która jest uosobieniem wszystkich negatywnych stereotypów o pazernych Żydach–krwiopijcach, ale są one też wyrazem programowego antysemityzmu i ukazywania wspólnoty żydowskiej jako głównego źródła zła, podstępów i moralnej degrengolady.

Na tym tle wyróżniają się opinie Bolesława Prusa, który w swoich „Kronikach Tygodniowych” wielokrotnie wystawiał Blochowi świadectwo najwyższego uznania i podziwu. Można jedynie żałować, że nie uczynił Blocha jednym z bohaterów *Lalki*, choć pasowałby do tej powieści wyjątkowo dobrze. „Mamy (...) – pisał Prus w jednej z „Kronik Tygodniowych” w 1900 roku w obronie atakowanego Blocha – „dwie grupy ludzi bogatych. Jedni powiększają zdobyty lub trwonią odziedziczony majątek, ani myśląc o obowiązkach społecznych; drudzy jakąś część swego mienia ofiarują na cele publiczne. Otóż dziwna rzecz: nasza opinia publiczna pozwala pierwszym żyć spokojnie, a nawet wesoło, ale za to nad drugimi rozciąga bardzo podejrzaną kontrolę. Za ledwie półgębkiem ocenia ich ofiary i zalety, lecz za to całą gębą wymyśla im za rzeczywiste lub urojone grzechy...”. Nie wykluczam, że niektóre cechy głównego bohatera *Lalki* podpatrzył pisarz u Blocha, którego dobrze znał.

W Polsce drugiej połowy XIX w. obowiązywały inne kryteria oceny ludzi czynu niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie *self-made man* był ikoną i wzorcem cieszącego się szacunkiem społecznego awansu. Biografia Blocha – jak pisał Żor, autor wielu publikacji poświęconych naszemu bohaterowi – „to ścieżka od przysłowiowego pucybuta (zaczynał jako goniec w kantorze bankowym) do milionera (...). W oczy kłuły osiągnięcia (Blocha – dop. A. D. R.) poza biznesem. Radca Stanu w rosyjskim Ministerstwie Skarbu, wpływowy polityk na cesarskim dworze, jeden z pomysłodawców I Międzynarodowej Konferencji Pokojowej w Hadze (...), twórca „biblii pacyfizmu”, jak nazywano Przyszłą wojnę... Pierwszy polski kandydat do pokojowej Nagrody Nobla (...). Filantrop, twórca jednego z najbardziej popularnych salonów towarzyskich Warszawy. A do tego Żyd i parweniusz!”. Co więcej, aktywnie bronił mniejszości żydowskiej i domagał się uznania jej praw (por.

cyt. pracę zbiorową: *Kapitalista, pacyfista, filantrop. Jan Bloch (1836-1902)*, pod red. A. Żora, Warszawa 2004, s. 7).

Od śmierci Blocha minęło 115 lat. Norweski Instytut Nobla – w stulecie przyznania pierwszej pokojowej Nagrody Nobla – wydał tom pt. *Jan Bloch and the Inaugural Nobel Peace Prize (1901)* (Oslo 2003, t. 3, nr 2). Jedną z instytucji, które wysunęły kandydaturę Jana Blocha do pierwszej pokojowej Nagrody Nobla, była Polska Akademia Umiejętności w Krakowie. W wielu krajach ukazały się setki publikacji, które przypominały zasługi Blocha w trafnym rozpoznaniu zagrożeń, jakie przyniesie nadciągająca Wielka Wojna. Na różne sposoby próbował tej katastrofie zapobiec. Napisał dzieło o przyszłej wojnie, które – po zakończeniu I wojny światowej – uznane zostało przez wielu za prorocze. Nakłonił cara, by wspólnie z Holandią zainicjował Pierwszą Konferencję Haską, uwieńczoną zawarciem Konwencji o pokojowym rozstrzygnięciu sporów międzynarodowych i utworzeniu Stałego Trybunału Rozjemczego. Powołał do życia i sfinansował pierwsze na świecie Muzeum Wojny i Pokoju w Lucernie.

Wojnie nie zdołał zapobiec. Ale kolejne generacje powracają do jego myśli, inicjatyw i czynów. W sposób naturalny nasuwa się zatem pytanie – dlaczego Jan Bloch był i pozostaje postacią bardziej popularną w świecie niż w Polsce? Dlaczego jego monumentalne dzieło życia jest na nowo odczytywane w Stanach Zjednoczonych, Holandii i Szwajcarii, a nie w Polsce? Mimo zabiegów i starań Fundacji im. Jana Blocha i autorów prac poświęconych jego życiu i twórczości – jego dokonania szerszemu ogółowi nie są znane. Złożyło się na to zapewne wiele przyczyn.

Co prawda odnosił sukcesy, zdobył fortunę i hojnie się nią dzielił, ale nie należał do warstwy ziemiańskiej. Klimat i atmosferę Warszawy tamtych czasów odnajdujemy w *Lalce* Prusa. Stanisław Wokulski nie mógł liczyć na względy Izabelli Łęckiej, która bez oporów akceptowała wsparcie materialne z jego strony, ale było jej trudno pogodzić się z myślą, że może związać swoje życie z człowiekiem z „innej sfery”. W oczach elit towarzyskich Warszawy Bloch był użyteczny w konkretnych poczynaniach: wspieraniu edukacji – finansowaniu szkół i warsztatów, budowie kolei i szpitali, dobroczynności – budowie domów opieki dla osób starszych i sierocińców oraz inicjowaniu różnych innych form filantropii. Był użyteczny, ale „obcy”.

Co prawda w wieku lat 15 – w rok po opuszczeniu domu rodzinnego w Radomiu, kiedy podjął samodzielne życie i pracę w kantorze bankowym

Toeplitzów w Warszawie – przyjął wyznanie ewangelicko-reformowane. Niemniej postrzegany był jako typowy przedstawiciel tej części społeczności żydowskiej, dla której zmiana wyznania była raczej wyrazem postawy asymilatorskiej i dążeniem do wtopienia się bez reszty w społeczność polską niż sprawą wiary. Wystawia dobre świadectwo Blochowi również to, że ogromne środki, które przeznaczał na cele dobroczynne, dzielił sprawiedliwie między ludzi potrzebujących, bez względu na ich przynależność religijną czy narodowość.

Do wszystkich spraw, którymi się zajmował, Bloch przed podjęciem decyzji stosował podejście systemowe oparte na badaniach statystycznych i analizie. Dotyczyło to w równej mierze jego aktywności zawodowej – budowy kolei i bankowości, rozmaitych inicjatyw produkcyjnych – co działalności filantropijnej czy wreszcie zaangażowania na rzecz pokoju międzynarodowego. Uważał, że podejmowane decyzje powinny opierać się na faktach, a nie tylko na intuicji. W tym celu powołał Biuro Statystyczne, w którym zatrudnił zespół kompetentnych ekonomistów. W tej instytucji pracował również Aleksander Głowacki, pisarz znany szerszej publiczności jako Bolesław Prus.

Przygotowywał analizy, dane statystyczne, pisał memoriały. Oceniał stan finansów Rosji i pozycję Chin, pisał o transwalskiej wojnie Burów i wnioskach z niej płynących dla Niemiec, o zadłużeniu właścicieli ziemskich w Królestwie Polskim, o problemach kanalizacji Warszawy... Kwestionował proponowane przez Sokratesa Starynkiewicza nowoczesne rozwiązania.

Niektóre z publikacji Blocha zachowały swoją wartość. W sprawach szczegółowych niekiedy mylił się gruntownie, choćby postulując, aby nieczystości spływały kanałami otwartymi, a nie podziemnymi. Pozostawił po sobie nie tylko dzieło o *Przyszłej wojnie*, ale wielotomowe prace o budowie, eksploatacji i wpływie dróg żelaznych na stan ekonomiczny Rosji. Doskonałą monografię o tym aspekcie aktywności Blocha opublikował przed laty Ryszard Kołodziejczyk.

Był samoukiem. Środowisko zawodowych badaczy wytykało Blochowi błędy metodologiczne w stawianych tezach i amatorskie podejście. Jednak to, co wyróżniało jego propozycje, postulaty i projekty wynikało nie tyle z przyczynkarskiej skrupulatności w zbieraniu materiałów – bo właśnie oryginalne dane statystyczne były silną stroną jego twórczości – co ze śmiało-

ści idei i wizjonerstwa. We wnioskach do swej najważniejszej pracy (*Przyszła wojna...*, t. VI. Warszawa 1899, s. 209) Bloch postulował utworzenie instytucji, która zapewniłaby Europie pokojowy rozwój. „Nie można tego uważać za niewykonalne dla tej przyczyny, że do tej pory wykonaniem nie zostało” – pisał Bloch (tamże, s. 314). Innymi słowy, postulował, by iść drogą, którą inni jeszcze nie stąpali. To też budziło niechęć do autora takich projektów. Z dostępnych dziś danych archiwalnych wiemy, że sztaby generalne Rosji i Prus dezawuowały kompetencje Blocha w sprawach przyszłej wojny. Choć, jak się okazało, to jemu historia przyznała rację...

Jednak główną przyczyną tego, że w Polsce Bloch nie cieszył się szczególną estymą za życia – a tym bardziej po śmierci – było to, że w społeczeństwie podzielonym z jednej strony na romantyków, którzy w nadchodzącej wojnie upatrywali szansy wybicia się na niepodległość, a z drugiej – pozytywistów, co więcej, ugodowców i lojalistów – Bloch, podobnie jak hr. Aleksander Wielopolski i Dezydery Chłapowski, stawiał nie na powstania i bunt, ale na „pracę organiczną” i „pracę u podstaw”.

Sto lat, które mijają od dnia odzyskania przez Polskę państwowości, dowiodły bezsprzecznie, że dla długiego trwania narodu potrzebny był w równej mierze sprzeciw wobec zaborcy i kultywowanie ducha wolności i niepodległości, co rozwój gospodarczy, przygotowanie własnej armii uczonych, inżynierów, architektów, lekarzy i nauczycieli, którzy zapewnili niepodległemu państwu należne miejsce w rodzinie europejskich narodów.

Na zakończenie swego przenikliwego eseju *Men Against Fire* Howard z uznaniem odnotował: „Bloch zmarł w 1902 roku, ale miałby satysfakcję z przebiegu wojny rosyjsko-japońskiej. Jej bitwy były zbyt długie, kosztowne i bez rozstrzygnięć. To wyniszczenie przyniosło zwycięstwo; a klęskę Rosji przyniosła rewolucja”. Howard – historyk wojskowości – dodaje: „Jednak krytycy Blocha mogliby z równym powodzeniem dowodzić, że jego główna teza nie potwierdziła się. Wojna – jak się okazało – nie była ani niemożliwa, ani nie była samobójstwem”. Zgoła inne rozumienie tego, co się wydarzyło w Europie w latach 1914-1918 wyraża sam tytuł fundamentalnej monografii Andrzeja Chwalby: *Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914-1918* (Kraków 2014), wydanej w stulecie wybuchu I wojny światowej.

Michael Howard mylił się w swej ocenie: proroctwo Blocha sprawdziło się. Trzy zaborcze mocarstwa – Niemcy, Austria i Rosja – poniosły w tej

wojnie klęskę. Zmieniła się mapa Europy. Polska odzyskała niepodległość. Jednak straty narodów europejskich – w ludziach i w zniszczonych wojną miastach – były ogromne. Co więcej, wielu badaczy nie bez racji uważa, że okres międzywojenny, który trwał zaledwie 20 lat, był krótką przerwą w historii Wielkiej Wojny. Jej początkiem były sierpniowe dni 1914 roku, kiedy II Rzesza Niemiecka wypowiedziała wojnę Rosji (1 sierpnia), a w dwa dni później – Francji (3 sierpnia). Ciągłem dalszym była remilitaryzacja Niemiec, próby „upokojuwienia” III Rzeszy, Konferencja Monachijska (1938) i zmowa Hitlera ze Stalinem z 23 sierpnia 1939 roku, która przeszła do historii pod nazwą Paktu Ribbentrop–Mołotow. Pakt ten podzielił Europę między dwie totalitarne potęgi i otworzył III Rzeszy drogę do napaści na Polskę.

Nadciągnęła katastrofa europejskiej cywilizacji, przed którą bezskutecznie przestrzegał Jan Bloch. Reakcją na ten straszliwy wstrząs i doświadczenia II wojny światowej było powołanie do życia Organizacji Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości i wielu innych instytucji, które były częścią wizji Blocha. Krytykowany za życia, bo wyprzedzał swój czas. Niedoceniany po śmierci, bo praca organiczna i pozytywizm, a zwłaszcza pacyfizm, nie wpisały się – ze względu na naszą historię – do kanonu narodowych i kulturowanych wartości.



Od lewej: kardynał Marian Jaworski, rzymskokatolicki arcybiskup Lwowa, Adam D. Rotfeld, kardynał Lubomyr Huzar, zwierzchnik i patriarcha cerkwi greckokatolickiej na Ukrainie, Uniów, sierpień 2005 r.

Szeptyccy: metropolita Andrzej (1865-1944) i archimandryta Klemens (1869-1951)

Obcy wśród swoich

Bracia Szeptyccy – metropolita Andrzej i archimandryta Klemens – stali się rzecznikami kształtującej się tożsamości wspólnoty ukraińskiej we Wschodniej Galicji. Andrzej Szeptycki był nie tylko wielkim kapłanem i duchowym nauczycielem, ale jednym z ojców założycieli nowoczesnego narodu ukraińskiego.

Pojęcie narodu wyraża dziś zupełnie inny zakres znaczeniowy niż 100 czy 150 lat temu. Wówczas, ale też wcześniej przez tysiące lat, nie było na naszym kontynencie granic na podobieństwo dzisiejszych zapór, drutów kolczastych i pól minowych. Nie było też paszportów. Pojęcie narodu zostało zdefiniowane w istocie w drugiej połowie XIX wieku w procesach jednoczenia się Włoch i Niemiec. W praktyce realizowali je Giuseppe Garibaldi i Otto von Bismarck. Inaczej sprawy się miały w Cesarstwie Austro-Węgier, które bodaj jako pierwsze wypracowało model wielokulturowości. Autorami tej koncepcji byli znani austriaccy socjaldemokraci: Karl Renner i Otto Bauer. Nieporozumieniem jest dość powszechna opinia, jakoby idea „multi-kulti” była owocem ruchów społecznych lat 60. XX wieku. Historia rodziny Szeptyckich jest swoistym zwierciadłem, w którym koncepcje multikulturalizmu znajdowały swoje odbicie, chociaż byli oni najdalsi od idei austromarksizmu, z którego ona wyrastała.

DROGA DO DUCHOWEGO PRZEWODNICTWA

Szeptyccy byli arystokratami – w najlepszym tego słowa znaczeniu – nie tylko z urodzenia, ale też z ducha. Matka i ojciec metropolity Andrzeja i archimandryty Klemensa Szeptyckich pochodzili z rodów hrabiowskich. Matka – Zofia, była córką Aleksandra hr. Fredry, a ich ojciec Jan Kanty Szeptycki wywodził się z rodu, którego genealogia sięga początków XIII wieku, czasów Księstwa Halickiego. Pierwsze wzmianki o rodzinie Szeptyckich były sporządzone w okresie, gdy Rusią Halicką rządził Daniel (Danyło), jedyny koronowany król na ziemiach późniejszej Ukrainy. To właśnie król Daniel Halicki zbudował dla swego syna Lwa Daniłowicza gród, który nosił łacińską nazwę Leopolis, po polsku Lwów, po ukraińsku Łwiv, a pod zaborem austriackim stolica wschodniej Galicji otrzymała niemiecką nazwę Lemberg.

Zofia i Jan Kanty mieli siedmiu synów (dwaj zmarli w dzieciństwie). Metropolita Andrzej Szeptycki, ochrzczony jako Roman, przyjął w zakonie bazylianów imię Andrzej. Jego młodszy brat Kazimierz po ukończeniu studiów rozpoczął w Wiedniu błyskotliwą karierę polityczną: był nie tylko członkiem austriackiego parlamentu – najpierw izby niższej, a potem wyższej (Herrenhaus) – w powoływanej przez cesarza Radzie Państwa. W wieku ponad 40 lat wstąpił do klasztoru i przybrał monastyczne imię Klemens. Trzeci brat – Stanisław obrał w Austrii karierę wojskowego, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został generałem Wojska Polskiego. Wreszcie, Aleksander i Leon byli właścicielami ziemskimi, mieszkającymi wraz z licznymi rodzinami w Łaszczowie i Łabuniach (Aleksander) oraz Przyłbicach (Leon). Do 1939 roku te domy były swoistymi gniazdami rodzinnymi. Tam się wszyscy spotykali w czasie rozmaitych uroczystości, tam też spędzano wspólnie święta.

Roman i Kazimierz uczęszczali w Krakowie do wówczas najlepszego i najstarszego krakowskiego Gimnazjum św. Anny (dzisiaj Liceum Nowodworskiego), następnie podjęli studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studiowali również we Wrocławiu, Innsbrucku, Wiedniu, Monachium, Paryżu i w innych miastach. Od najwcześniejszych lat przywiązywali wielką wagę do swego rozwoju duchowego i intelektualnego. Bezsprzecznie należeli do polskiej elity w każdym rozumieniu tego

słowa – ze względu na swe arystokratyczne koligacje, sytuację materialną, staranne wychowanie w domu i wysoki poziom wiedzy wyniesionej z najlepszych europejskich uczelni.

Ich decyzje, aby wstąpić do zakonu, a w szczególności w obrządku greckokatolickim, nie spotkały się w rodzinie ze zrozumieniem. Zwłaszcza ojciec nie mógł pogodzić się z tym, że jego synowie postanowili nie tylko prowadzić życie monastyczne, ale związać się z Rusinami, prostym ludem, czyli galicyjskim chłopstwem.

Andrzej i Klemens Szeptyccy napisali na nowo regułę zakonu studytów, który wyodrębnili w pierwszej dekadzie XX wieku z zakonu bazylianów. Zakon ten w XVIII wieku – po rozbiorach Polski – został skasowany przez Austriaków. Klasztory studytów miały odgrywać i z czasem odegrały rolę ośrodków promieniujących oświatą, kulturą duchową i materialną – sposobami nowoczesnej uprawy roli i prowadzenia gospodarstwa w istocie swej autarkicznego (z własnymi warsztatami i maszynami, siewczarnią, młynem, garbarnią do produkcji skór i własnymi wyrobami płótna, olejów, soków i ziołolecznictwa).

Rodzice obu braci mieli świadomość, że ich synowie obierają drogę, która nieuchronnie będzie prowadzić do ich wyobcowania. W środowiskach polskiej elity zostaną uznani za zdrajców „sprawy polskiej”, nie znajdą też zrozumienia wśród ukraińskich chłopów, już choćby z powodu arystokratycznego pochodzenia, ale również po prostu dlatego, że byli Polakami i rzymskimi katolikami. Wbrew wszystkim i wszystkiemu podjęli decyzję o przejściu na obrządek greckokatolicki. Jako dorośli ludzie nauczyli się języka ukraińskiego – nie tylko z potrzeby serca, ale też po to, aby mieć kontakt z wiernymi i ukraińskim duchowieństwem. Choć nigdy nie wyzbyli się silnego polskiego akcentu i do końca życia wtrącali w rozmowach słowa polskie, stali się autentycznymi przewodnikami duchowymi Rusinów.

Na przełomie XIX i XX wieku określenie „Rusini” – a nie Ukraińcy – było bardziej popularne. Szeptyccy stali się rzecznikami kształtującej się tożsamości wspólnoty ukraińskiej we Wschodniej Galicji. Zyskali sobie niepodważalny autorytet i respekt wśród elit politycznych (ukraińskich, polskich i żydowskich), a nawet okupantów – najpierw radzieckich, a potem niemieckich. Część skrajnych faszystujących nacjonalistów ukraiń-

szych traktowała ich jako obcych – nasłanych z Polski lub Rzymu, by realizowali interesy Watykanu. Niechętnie nastawienie dotyczyło głównie metropolity, ponieważ jego brat nie był osobą publiczną.

Nie znaczy to, że Andrzej Szeptycki nie popełniał błędów. Jednak często krytyczne oceny formułowane przez dzisiejszych badaczy mają charakter prezentystyczny – całkowicie oderwany od ówczesnych realiów.

WOBEC ZAGŁADY

W okresie międzywojennym Andrzej Szeptycki utrzymywał dobre relacje ze społecznością żydowską. W czasie spotkań świątecznych zwracał się do zgromadzonych w języku hebrajskim. Były to kontakty z różnymi środowiskami: prawnikami i ekonomistami, jak również – a może przede wszystkim – z rabinami, zwłaszcza z rabinem Synagogi Postępowej Jecheskielem Lewinem oraz głównym rabinem Katowic Kalmanem Chameidesem, który znalazł się we Lwowie po niemieckiej agresji na Polskę i inkorporacji Galicji Wschodniej do ZSRR.

Synowie obu tych duchownych uratowali się w klasztorach studytów dzięki osobistemu zaangażowaniu Szeptyckich. Dali świadectwo prawdzie w wydanych wspomnieniach, które mają wielką wartość dokumentacyjną, będąc hołdem i wyrazem wdzięczności dla obu braci. Podobnie metropolitę Szeptyckiego wspomina Lili Pohlmann, którą początkowo ukrywała we Lwowie wraz z matką i trzema innymi osobami (był to farmaceuta Podoszyn z żoną i małą córeczką) niemiecka urzędniczka Irmgard Wieth. Podoszyn przed wojną dostarczał lekarstwa dla metropolity. Nawiązał kontakt z ludźmi z jego otoczenia. Lili Pohlmann opowiada: „Metropolita tego Kościoła, arcybiskup Andrzej hrabia Szeptycki przyjął nas w swoim Pałacu, siedząc na wózku inwalidzkim”. Przytulił Lili, pogłaskał po głowie i powiedział: „Nie bój się, dziecko, żadna krzywda ci się nie stanie”. Matka i córka trafiły do klasztoru na Uboczu, za rogatekami łyczakowskimi.

Zakopiański lekarz Leszek Allerhand, syn wybitnego uczonego Maurycego Allerhanda, profesora prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie dedykował swemu ojcu księgę, z której przytoczę krótki *passus*: „W chwili wkroczenia wojsk niemieckich do Lwowa miasto zamieszkiwało około 165 tysięcy Żydów”. W innym miejscu autor sucho odnotowuje:

„W mieście Lwów przeżyło 874 Żydów, w tym 4 małżeństwa z dziećmi. Jednym z tych małżeństw byli moi rodzice ze mną”. Te dane statystyczne dają wierniejszy obraz tego, co się wydarzyło we Lwowie od czerwca 1941 roku do czerwca roku 1944 roku niż różne opisy, analizy i oceny. Szeptyccy w tym czasie zaangażowali się czynnie i w sposób zorganizowany w ratowanie Żydów. W okupowanej Galicji Wschodniej prześladowani byli wszyscy mieszkańcy tych ziem – nie tylko Żydzi – również Polacy i Ukraińcy. Z tą jednak różnicą, jak to ujął Władysław Bartoszewski, że „każdy Polak był zagrożony śmiercią, natomiast każdy Żyd był skazany na śmierć”.

Bracia Szeptyccy udzielali pomocy, ryzykując własnym życiem. Jedną z uratowanych przez nich osób był późniejszy naczelny rabin sił powietrznych Izraela, a następnie naczelny rabin Argentyny David Kahane, który w czasie wojny – w sutannie mnicha wspólnoty zakonnej studytów – pracował jako brat Mateusz w bibliotece metropolity. Oprócz codziennych obowiązków bibliotekarza Szeptycki powierzył mu tłumaczenie psalmów i innych fragmentów Biblii z języka hebrajskiego czy też aramejskiego na ukraiński, ponieważ wcześniejsza edycja Biblii była tłumaczeniem z Wulgaty na starocerkiewny. Swoją inicjatywą Andrzej Szeptycki niejako torował drogę do decyzji podjętych w Kościele powszechnym dopiero po II Soborze Watykańskim. W Cerkwi greckokatolickiej – podobnie jak w prawosławnej – zarówno liturgia, jak i Pismo Święte były już wcześniej dostępne w języku starocerkiewnym – narodowym, zrozumiałym dla wiernych. Jednak ze zrozumieniem przesłania Pisma Świętego bywało różnie...

Przed wiekami w cerkwiach w obrządku wschodnim Pismo Święte było przetłumaczone na język, który dzisiaj niewiele osób rozumie. Mam w tej mierze pewne osobiste doświadczenia. Jako dziecko trafiłem w czasie wojny do klasztoru studytów w Uniowie koło Przemyśla, jednej z najstarszych wspólnot zakonnych na Ukrainie Zachodniej, której początki sięgają XIII wieku. Przeorem (ihumenem) tego klasztoru był wówczas Klemens Szeptycki – późniejszy archimandryta całego zakonu. Miałem wtedy niespełna cztery lata. Z natury rzeczy dojrzywałem szybciej, ale do szkoły jeszcze nie mogłem chodzić. Mój opiekun ojciec Danył miał pomysł, abym codziennie opanował pięć słów w języku starocerkiewnym. Stwierdziłem z czasem, że ułatwiło mi to najpierw swobodne czytanie w języku ukraińskim i rosyjskim, a potem rozmowę – bez polskiego akcentu – w obu tych językach.

RELACJE Z PRAWOSŁAWIEM

Głównym motywem aktywności obu braci była żarliwa wiara i poczucie misji. Zarówno Andrzej, jak i Klemens podjęli decyzje samodzielnie – wbrew otoczeniu, a nie z namowy czy też inspiracji politycznych. Byli świadomi oporów i trudności, na jakie napotkają, oraz tego, że staną się „obcymi wśród swoich”.

Klemens Szeptycki dorastał i długie lata pozostawał w cieniu Andrzeja. W wieku 42 lat, u szczytu kariery politycznej podjął w 1911 roku decyzję o wstąpieniu do klasztoru. W wyniku zaangażowania duchowego, organizacyjnego i materialnego obu braci Szeptyckich powstała sieć klasztorów należących do zakonu Studytów, które – obok Bazylianów – stały się najbardziej wpływowymi ośrodkami kształtowania duchowości Rusinów w Galicji. Bezsprzecznie najważniejszy był monastyr w Uniowie. Jest to jedna z najstarszych wspólnot zakonnych na Ukrainie Zachodniej, której początki sięgają XIII wieku. Od 1596 roku był głównym ośrodkiem unickim na obszarze rusko-halickim. W XVIII wieku w zabudowaniach klasztornych mieścił się zakon Bazylianów – do czasu kasacji tego zakonu przez Austriaków (po pierwszym rozbiórze Polski).

W 1919 roku Andrzej Szeptycki przekazał klasztor Studytom, którego ihumenem (przeorem) mianował swego brata Klemensa.

W mojej ocenie głównym życiowym celem obu braci Szeptyckich była nie tylko działalność oświatowa, ale zapoczątkowanie procesu przywracania na Ukrainie jedności chrześcijan – katolików i prawosławnych. Ich rola i znaczenie w tym względzie nie są doceniane. Swoim myśleniem wyprzedzali epokę. Uważali, że Cerkiew greckokatolicka nie może być traktowana jak cierń wbity podstępnie przez Watykan w prawosławie. Byli przekonani, że ich Kościół może pełnić rolę pośrednika w przywracaniu jedności chrześcijan – z zachowaniem ich pełnej autonomii.

Arcybiskup Andrzej Szeptycki odnosił się do prawosławia z respektem i podejmował teologiczny dialog z hierarchami Cerkwi prawosławnej. Z kolei Klemens Szeptycki – po śmierci Andrzeja – w radykalnie zmienionej sytuacji politycznej, po ponownym wejściu Armii Czerwonej na terytoryj Galicji Wschodniej usiłował znaleźć *modus vivendi*, które pozwoliłyby chronić Cerkiew greckokatolicką i jej autonomię w swoistej koegzystencji z prawosławiem, dominującym w Rosji i na Ukrainie. Jednak władza



W czasie wizyty w Ławrze Uniowskiej; od prawej: przeor klasztoru ojciec Wenedykt, Adam D. Rotfeld, Uniów, sierpień 2005 r.

radziecka miała w tej materii inne cele: z założenia nie akceptowała Cerkwi greckokatolickiej, już choćby dlatego, że podlegała ona papieżowi. Ale też dlatego, że związana była i wspierała duchowo poprzez swoich kapelanów ukraińskie podziemie niepodległościowe. Stąd też po śmierci Andrzeja Szeptyckiego w listopadzie 1944 roku radzieckie służby specjalne otrzymały zadanie, by doprowadzić do unieważnienia unii brzeskiej i podporządkowania Cerkwi greckokatolickiej Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Nowy metropolita Josyf Slipyj oraz Klemens Szeptycki i wielu innych biskupów Kościoła unickiego odmówiło współdziałania w realizacji tych zamiarów. W efekcie wielu duchownych aresztowano. W 1946 roku władze radzieckie formalnie zdelegalizowały Kościół greckokatolicki, a świątynie przekazano Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

Jednym z pierwszych aktów niepodległej Ukrainy było przywrócenie warunków do uznania prawa Kościoła greckokatolickiego do wyznawania wiary w obrządku wschodnim. Było to tym bardziej zasadne, że Kościół ten w podziemiu istniał przez wszystkie te lata (1946-1991). Uznaniem roli, jaką odegrał Klemens Szeptycki w najnowszej historii tego Kościoła, była jego beatyfikacja przez Jana Pawła II ogłoszona w czasie pamiętnej pielgrzymki papieża na Ukrainę w 2001 roku. Było to ukoronowanie długiej i trudnej drogi, jaką obrali bracia Szeptyccy.

Ich ofiara torowała drogę dla przyszłych pokoleń niepodległej Ukrainy. W efekcie Cerkiew greckokatolicka odgrywa dzisiaj ważną rolę nie tylko w Ukrainie Zachodniej, ale w całym państwie. Nie wykluczałbym, że w przyszłości będzie postrzegana nie jako przeszkoda na drodze zjednoczenia chrześcijaństwa wschodniego (prawosławia) z zachodnim (łacińskim), ale jako pomost i dowód na to, że to, co dzieli chrześcijan Europy Wschodniej i Zachodniej, nie wynika z różnic w pojmowaniu dogmatów wiary, ale w większej mierze jest wynikiem ambicjonalnych sporów, które często niewiele mają wspólnego z wiarą i religią.

W wielu publikacjach, poświęconych osobie metropolity Andrzeja, sprawą centralną są rozważania na temat ideałów i wartości – z jednej strony – oraz realiów, czyli prozy życia i wymogów czasu, w którym przypadło Szeptyckim żyć i działać – z drugiej strony. Mniej wiadomo o o. Klemensie, który przez dziesięciolecia pozostawał w cieniu swego brata. Dla szerszego ogółu był w istocie nieznanym. Ale to jego właśnie wyniósł na ołtarze Jan Paweł II wraz z innym ukraińskim księdzem, Omelanem Kowczem, który

w czasie wojny ratował zarówno Polaków, jak i Żydów przed Ukraińcami i Niemcami – za tę działalność został zesłany do niemieckiego obozu koncentracyjnego Majdanek koło Lublina. I choć w wyniku starań duchownych i zakonników niemieckich mógł opuścić obóz, pod warunkiem, że nie będzie się zajmował sprawami politycznymi, on zdecydowanie odmówił. Napisał znany list do tych, którzy starali się o jego uwolnienie, w którym wyjaśniał, że więźniowie potrzebują go bardziej w obozie niż ci, którzy pozostali poza jego drutami. Sensem życia Omelana Kowcza była pomoc tym, którzy byli w potrzebie. Zmarł z wycieńczenia i chorób na kilka tygodni przed wyzwoleniem obozu. Papież uznał Klemensa Szeptyckiego oraz ojca Omelana Kowcza za męczenników za wiarę.

Władze radzieckie proponowały Klemensowi, aby po zmarłym bracie Andrzeju stanął na czele Kościoła greckokatolickiego, zerwał Unię i doprowadził do wcielenia metropolii kijowskiej do rosyjskiego prawosławia. Klemens Szeptycki odmówił. Został aresztowany. W 1951 roku zmarł w więzieniu w miejscowości Włodzimierz nad Kłazmą. Było to miejsce odosobnienia, którego „pensjonariuszami” były ważne politycznie postacie z różnych krajów. Pozostawał w cieniu swego brata nie tylko za życia, ale również po jego śmierci. Dopiero beatyfikacja częściowo przywróciła należną mu pamięć.

KONTROWERSJE W OCENIE METROPOLITY ANDRZEJA

Szeptyccy podjęli swoje działania w niezwykle burzliwych czasach. Dwie wojny światowe zmieniły polityczny krajobraz nie do poznania. Znikły Austro-Węgry i Carska Rosja, na miejsce której proklamowano najpierw Rosyjską Federację, a z początkiem 1923 roku – ZSRR. Na obszarze dawnego Cesarstwa powstało wiele nowych państw. Nie obeszło się bez walk bratobójczych – choćby polsko-ukraińskiej wojny o Lwów. W Galicji Wschodniej zmieniały się rządy, a następnie okupanci, jak w kalejdoskopie: po I wojnie światowej – po Austriakach – Lwów stał się częścią Rzeczypospolitej, jakkolwiek pretensje do Lwowa zgłaszała Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa. Zgodnie z ustaleniami tajnego protokołu do Paktu Mołotow–Ribbentrop (23 sierpnia 1939 roku) – Galicję Wschodnią inkorporowano do ZSRR. Władza radziecka – internacjonalistyczna z ideologicznego założenia – wykorzystywała nacjonalizm ukraiński głównie przeciwko Polakom. Świadomie

i instrumentalnie rozbudzano nastroje antypolskie i antysemickie, co doprowadziło do pogromów na wielką skalę, których ofiarami byli zarówno Żydzi, jak i Polacy. Do tego dochodziły podsycane przez władze radzieckie konflikty chłopów z właścicielami ziemskimi. NKWD zamordowało Leona Szeptyckiego i jego żonę – właściciele dworu Szeptyckich w Przyłbicach, a miejscowi chłopci przez blisko tydzień nie mieli odwagi zabrać z przydomowego parku i pochować szczątków pomordowanych. Dla pozostałych przy życiu braci – Andrzeja i Klemensa – był to wstrząs psychiczny, świadectwo skrajnego barbarzyństwa, któremu – zdawało się – już nic nie może dorównać.

Prymitywizm myślenia nowej władzy najlepiej dokumentują tajne zapiski – swoisty „dziennik” Iwana Sierowa, ówczesnego szefa NKWD na Ukrainie i pierwszego przewodniczącego KGB. Pisał on: „podłą rolę duchowego przywódcy odegrał metropolita Andrzej Szeptycki, który w roku 1930 zorganizował unicką cerkiew, to znaczy wymieszał religię prawosławną z katolicką (unia), podporządkował ją Watykanowi i błogosławił tych odszczepieńców na walkę z ZSRR. Jednak głównym jego celem była polonizacja Ukraińców”. Mam wrażenie, że nawet wydawane w tamtych czasach „notatniki agitatora” nie zawierały takich bredni, które miały uzasadniać represje i likwidację Cerkwi greckokatolickiej i jej przywódców.

Zachowanie metropolity Andrzeja w czerwcu 1941 roku wobec Niemców – po ich wkroczeniu do Lwowa – było swoistą reakcją na to, czego doświadczył pod okupacją radziecką. Witał Wehrmacht jako armię, która – jak sądził – będzie reprezentować europejską cywilizację. Obaj bracia Szeptyccy znali Austrię i Niemcy. Studiowali w ówczesnym Breslau, Innsbrucku, Monachium i w Wiedniu. Mieli niemieckich i austriackich przyjaciół. Nie mogli sobie wyobrazić, że po bolszewikach może przyjść jeszcze coś gorszego. Wkroczeniu Niemców do Lwowa towarzyszyła nadzieja, że III Rzesza uzna *samostijną*, czyli niepodległą Ukrainę.

Metropolicie wypomina się ten entuzjazm. Natomiast tylko nieliczni badacze odnotowują fakt, że jako jedyny spośród znaczących hierarchów katolickich napisał w 1942 roku list do Piusa XII, w którym informował papieża, że „władza niemiecka jest zła, prawie diabelska i w stopniu chyba jeszcze wyższym niż władza bolszewicka. (...) Co najmniej już od roku nie ma dnia, w którym nie byłyby dokonywane najohydniejsze zbrodnie, morderstwa, kradzieże i grabieże, konfiskaty i wymuszenia. Pierwszymi ofiarami są Ży-

dzi. Liczba Żydów zamordowanych w naszym małym kraju z pewnością już przekroczyła dwieście tysięcy. W miarę posuwania się armii na Wschód liczba ofiar rosła. W Kijowie, w ciągu kilku dni, wymordowano do stu trzydziestu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszystkie małe miasteczka na Ukrainie były świadkami podobnych masakr, a trwa to już od roku”.

Kanadyjska badaczka Iroida Winnicka przeprowadziła w 1981 roku rozmowę z furtianem uniowskiego monasteru, Ławrentym Kuzikiem (pierwszą osobą, którą zobaczyłem, kiedy znalazłem się w klasztorze). Był to prosty chłop, który – jak wynika z jego relacji – miał wrodzoną wrażliwość na krzywdę ludzką. Opowiadając o swoim burzliwym i trudnym życiu, Ławrenty najwięcej miejsca poświęcił ratowaniu żydowskich dzieci w czasie drugiej wojny światowej. W pewnym miejscu zdaje sprawę ze spotkania zakonników, w czasie którego o. Klemens Szeptycki – wtedy jeszcze ihumen – zadał pytanie: „Kto pomoże Żydom?”. „Było tam 120 mnichów – relacjonuje brat Kuzik. – Wszyscy wstali”. Nie znaczyło to, że wszyscy byli zaangażowani w pomoc. Świadczyło jednak o tym, jaki był nastrój i atmosfera. Skoro ten, którego uważają za najwyższy autorytet, oczekuje od nich pomocy, to wszyscy deklarują swoją gotowość. Z pewnością byli wśród nich i tacy, którzy żywili wobec Żydów uczucia niechętnie, bo przecież zakonnicy nie różnili się od swego otoczenia, byli z reguły synami z biednych galicyjskich wsi. Spośród tych, którzy wyrazili swoją gotowość udzielenia pomocy, o. Klemens wybrał tylko kilku najbardziej zaufanych. Niektórzy z nich – np. ks. Marko Stek czy mój wychowawca brat Danył (Tymczyna), podobnie jak o. Klemens – wyróżnieni zostali pośmiertnie medalami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Aktywność w ratowaniu ludzi była nie do pomyślenia bez osobistego zaangażowania, oparcia duchowego i wsparcia materialnego ze strony metropolity. A mimo to w tej sprawie Andrzej Szeptycki nie znalazł należnego uznania nawet 70 lat po swojej śmierci. W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało i dlaczego uznanie jego zasług nadal wywołuje opory zarówno w procesie beatyfikacyjnym, jak i w sprawie uznania go za Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, należałoby zwerfikować rozmaite dokumentacje podrzucone Stolicy Apostolskiej i Yad Vashem przez radzieckie służby specjalne – NKWD i KGB oraz służby innych państw komunistycznych.

Jak każda nieprzeciętna postać, również Andrzej Szeptycki popełniał błędy. Skoro jednak można było uznać zasługi Oskara Schindlera, który był wy-

różniony Złotą Odznaką NSDAP, co z całą pewnością ułatwiło mu uzyskanie koncesji na zakładanie fabryk, gdzie zatrudniano Żydów i w ten sposób zapobiegano ich nieuchronnej śmierci, to zasadne jest pytanie: czemu odmawia się podobnego uznania Andrzejowi Szeptyckiemu? Mundur i odznaka NSDAP chroniły Schindlera, dawały swoisty glejt bezpieczeństwa. Metropolita narażał życie swoje i swoich pomocników, których można było po prostu zabić bez żadnych sądów, jak doświadczyły tego tysiące ludzi, którzy kierowali się chrześcijańskimi wartościami – współczuciem i miłosierdziem.

Andrzej i Klemens Szeptyccy ryzykowali znacznie więcej niż Schindler. Ratowali niewinnych ludzi za własne pieniądze, z własnej woli i czynili to bezinteresownie. Ten opór i sprzeciw wobec uznania zasług metropolity Andrzeja Szeptyckiego zapewne minie. O ocenie spraw publicznych z przeszłości decydować będą nowe pokolenia. Nowe generacje, nowi badacze spojrzą na rzecz całą z dystansu, będą osądzać ludzi i sprawy bez zacietrzewienia, z większym obiektywizmem. Eustachy Rylski napisał w *Warunku*: „Dobra pamięć od siebie nie zależy. Niepodtrzymywana ginie, w przeciwieństwie na przykład do złej sławy, infamii, które żywią się czym popadnie, same”. Niekiedy ludzie mają potrzebę, by czuć się lepszymi, wyższymi moralnie i nie dbają o to, że „fakty” o kimś mogą być całkowicie zmyślane. Miały służyć złej sprawie – pohańbieniu i zniesławieniu. I nadal są powtarzane – bezrefleksyjnie i bezkrytycznie.

WOBEC UKRAIŃSKIEGO NACJONALIZMU

Nacjonalizm ukraiński nie był przez Rosjan stworzony, ale był przez nich wykorzystany. Na polsko-ukraińskim pograniczu był w znacznym stopniu budowany w opozycji do Polaków. W ukraińskiej narodowej mitologii i tradycji Polacy byli narodem panów. W pewnym sensie to nie był mit, ale rzeczywistość. Pod Kijowem Polaków było niewielu, ale polskich dworów dużo.

Tożsamość narodowa Ukraińców kształtowała się też w opozycji do rosyjskiego imperium. Taras Szewczenko nie był gnębiony przez Polaków, ale zesłany na katorgę przez carski reżim za to, że swoją poezję tworzył w języku ukraińskim. W 1876 roku car, który przebywał na leczeniu w uzdrowisku Ems (Bad Ems), wydał ukaz, który nie tylko zakazywał używania „małorosyjskiego narzecza”, czyli języka ukraińskiego, ale nawet użycia słowa „Ukraina”. Dopuszczał jedynie używanie tego „narze-

cza” w starych utworach religijnych, czyli w języku starocerkiewnym, co paradoksalnie świadczyło – wbrew intencji cara – o tym, jakie są korzenie ruskiej kultury, prawosławia i języków wschodniosłowiańskich.

Nacjonalizm ukraiński budził się w tym samym czasie, gdy budziły się w Europie inne nacjonalizmy – w Niemczech i Włoszech, w Czechach i w Polsce, na Litwie i Łotwie oraz w wielu innych regionach naszej części Europy. Skoro car zakazał używania ukraińskiego, a wielka poezja Szewczenki i innych twórców były pisane po ukraińsku, to literatura, poeci i pisarze zyskali na Ukrainie rangę wieszczów – duchowych przywódców kształtującego się nowoczesnego narodu. W efekcie ukraińska poezja była w XIX wieku drukowana w Genewie i przerzucana w konspiracji – w opakowaniach do bibułek na papierosy firmy Awadi, których mały format (55x85 mm) ułatwiał przemyt do Kijowa i rozprowadzania dalej na całą Ukrainę. Po rewolucji władza bolszewicka zniosła te dekrety. Po krótkim okresie ukrainizacji Stalin, który sam siebie uważał za wybitnego znawcę spraw narodowościowych, dostrzegł w odradzaniu się ukraińskiej kultury zagrożenie dla swego imperium i ponownie wprowadził rusyfikację. Ukraińską elitę rozstrzeliwano lub zsyłano na Sybir.

Jednak między budzeniem się świadomości narodowej a nacjonalizmem i szowinizmem jest fundamentalna różnica. Nacjonalizm wszędzie i zawsze szuka wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, jest zorientowany przeciwko obcym. Na Ukrainie wrogiem zewnętrznym była Rosja i Polska, wrogiem wewnętrznym byli Żydzi.

Metropolita Andrzej Szeptycki w swoim kazaniu z 1942 roku, które polecił odczytać we wszystkich cerkwiach greckokatolickich, przedstawił egzegezę piątego przykazania. W czasach, gdy deptane były wszystkie prawa ludzkie i boskie, Andrzej Szeptycki mówił: „W dziwny sposób oszukują samych siebie i ludzi ci, którzy zabójstwa z przyczyn politycznych nie uważają za grzech, jakoby polityka zwalniała człowieka od obowiązku przestrzegania Bożego prawa i usprawiedliwiała przestępstwo przeciwne naturze ludzkiej. Tak nie jest (...)”. Metropolita rzucił na ukraińskich zabójców kłątwe. Miał odwagę głośno potępiać szerzące się zło, zbrodnie i zbrodniarzy, gdy inni ze strachu milczeli. Nie szczędził też gorzkich słów pod adresem własnego społeczeństwa.

Od tych listopadowych dni 1942 roku, gdy pisał listy i wygłaszał swoje odważne homilie, gdy przeciwstawiał się ludobójstwu i narażał wła-

sne życie i bezpieczeństwo całej wspólnoty, ratując niewinnych ludzi, mi-
nęło 75 lat. Wielu Polaków – i, jak myślę, także Ukraińców – zadaje sobie
pytanie, dlaczego jego wołanie nie było skuteczne? Dlaczego mimo jego
gniewnych słów doszło na Podolu i na Wołyniu do masowych mordów?
W tej sprawie nie mam prostej odpowiedzi. Jedną z przyczyn jest zapew-
ne to, że autorytety są słuchane na ogół wtedy, gdy mówią to, co ludzie
chcą słyszeć. Gdyby wystąpił wtedy z płomiennym, nacjonalistycznym
apelem, zostałby uznany za narodowego bohatera. Pewne jest to, że
w czasie wojny mówił rzeczy niepopularne.

Klemens uznawał autorytet swego brata, był jego pomocnikiem, wyko-
nawcą jego woli – nie pretendował jednak do roli duchowego przywódcy
greckokatolickiej wspólnoty. Po śmierci Andrzeja nie przyjął sugestii
władz radzieckich, aby zając metropolitalny tron we Lwowie i jedno-
znacznie poparł kandydaturę Josyfa Slipyja, którego Andrzej wskazał
jeszcze przed II wojną światową jako swego następcę i uzyskał w tym
względzie aprobatę papieża w formie specjalnej bulli.

Borys Strugacki opublikował ponad 20 lat temu esej pt. *Uwaga, zara-
za*, w którym ostrzegał: „Żyjemy w niebezpiecznych czasach, czasach sza-
lejącej dżumy. (...) Czy można zawrócić bieg historii? Pewnie można,
jeżeli zechcą tego miliony”. Bracia Szeptyccy podejmowali próby, aby
wpłynąć na miliony. Mieli odwagę stawiać czoła złu, które panoszyło się
nie tylko wśród okupantów. Za wierność swoim przekonaniom płacili wy-
soką cenę – za życia i po śmierci. W dzisiejszej Ukrainie ich pełne poświę-
cenie życie stawiane jest za przykład i wzór do naśladowania, że nawet
w trudnych i dramatycznych czasach można i warto być przyzwoitym.

Rafał Lemkin (1900-1959)

Ludobójstwo w koncepcji Lemkina

I

Samantha Power, stała przedstawicielka USA przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, opublikowała monografię zatytułowaną *Problem z piekła rodem*. W rozdziale *Zbrodnia*, która ma swoją nazwę napisała:

Lemkin, który wcześniej studiował filologię, wiedział, że dokonany przez niego wybór terminu będzie miał ogromne znaczenie¹.

W swojej książce *Rządy państw Osi w okupowanej Europie* Rafał Lemkin stwierdził:

Ludobójstwo ma dwie fazy: pierwsza – zniszczenie narodowych wzorów życia grupy poddanej opresji; druga – narzucenie narodowych sposobów życia opresora. Drugi z tych czynów może dotyczyć grupy represjonowanej, której pozwolono zostać na danym terytorium lub na całości terytorium, po usunięciu z niego dotychczasowej ludności i jego kolonizacji jednostkami przynależącymi do narodu opresora².

¹ S. Power, *A Problem from Hell. America and the Age of Genocide*, Basic Books, New York 2013, s. 41. Lemkin wcześniej nie studiował filologii, jak pisze autorka. Wartościowa praca S. Power zawiera wiele innych błędnych informacji dot. życia Lemkina.

² R. Lemkin, *Axis Rule in Occupied Europe*. (R. Lemkin, *Rządy państw Osi w okupowanej Europie*, Wyd. Naukowe Scholar, Warszawa 2013, s. 79).

Dziś tak często posługujemy się terminem „ludobójstwo”, że trudno nam wyobrazić sobie, że przez wieki – może nawet od samego zarania ludzkości – obywaliliśmy się bez niego. Dopiero Lemkin wprowadził go do użycia.

Początkowo, w okresie międzywojennym, Lemkin skłaniał się ku określeniom „barbarzyństwo” i „wandalizm”. Skala zbrodni popełnianych w Europie przez Trzecią Rzeszę, a zwłaszcza wdrażanie koncepcji „ostatecznego rozwiązania” (*Endlösung*) – czyli planowanego, systematycznego mordu ludności żydowskiej – była tak wielka, że przywódcy alianccy zmuszeni byli stworzyć definicję prawną zbrodni dokonanych przez instytucje i organy państwa niemieckiego w jego imieniu i z polecenia jego najwyższych władz.

Deklaracja moskiewska, podpisana przez koalicję antyhitlerowską 30 października 1943 roku, stanowiła, że ci, którzy ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie, nie wymkną się z rąk sprawiedliwości i będą ścigani „aż po krańce ziemi”. W rezultacie 8 sierpnia 1945 roku powołano Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze, który przyjął definicje trzech typów zbrodni: zbrodni przeciwko pokojowi, zbrodni wojennych oraz zbrodni przeciwko ludzkości.

Kolejnym krokiem była rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 11 grudnia 1946 roku. Rezolucja ta stanowiła, że ludobójstwo stanowi zbrodnię w świetle prawa międzynarodowego. Dwa lata później definicja ludobójstwa znalazła się w Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa, uchwalonej w Paryżu 9 grudnia 1948 roku.

W Artykule I Konwencji państwa – będące jej stronami – potwierdziły, że „ludobójstwo, popełnione zarówno w czasie pokoju, jak podczas wojny, stanowi zbrodnię w obliczu prawa międzynarodowego” oraz zobowiązały się zapobiegać tej zbrodni i ją karać.

Konwencja ta, powstała ponad 65 lat temu, definiuje ludobójstwo zgodnie z głównymi założeniami filozoficznymi Lemkina. Określenie to obejmuje „którykolwiek z następujących czynów, dokonany w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych, jako takich:

- a) zabójstwo członków grupy,
- b) spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała lub rozstroju zdrowia psychicznego członków grupy,

c) rozmyślne stworzenie dla członków grupy warunków życia, obliczonych na spowodowanie ich całkowitego lub częściowego zniszczenia fizycznego,

d) stosowanie środków, które mają na celu wstrzymanie urodzin w obrębie grupy,

e) przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy³.

Nie ma cienia wątpliwości, że postępowanie władz niemieckich na terytoriach okupowanych spełniało wszystkie bez wyjątku kryteria ujęte w Konwencji, zwłaszcza w stosunku do ludności polskiej i żydowskiej. Różnica była taka, że Polacy – zgodnie z obowiązującymi przepisami niemieckimi – mogli zginąć, a Żydzi i osoby pochodzenia żydowskiego musiały zginąć. Profesor Władysław Bartoszewski ujął tę różnicę lapidarnie, pisząc:

Każdy Polak był zagrożony śmiercią, natomiast każdy Żyd był skazany na śmierć.

Niemiecka okupacja Polski była działaniem niezwykłym i bezprecedensowym. Wyróżniała się swoim szczególnym okrucieństwem nie tylko na tle niemieckiego postępowania we Francji, Belgii czy Norwegii. Była też o wiele bardziej represyjna niż w Protektoracie Czech i Moraw, na Słowacji czy nawet na Ukrainie. Raz jeszcze zacytuję Bartoszewskiego, jednego z pierwszych polskich więźniów obozu śmierci w Auschwitz-Birkenau, a jednocześnie człowieka czynnie zaangażowanego w pomoc Żydom.

W publikacji zatytułowanej *Polscy Sprawiedliwi – Przywracanie Pamięci*, Bartoszewski pisze:

W okupowanej Polsce od początku wojny uderzono w elity społeczeństwa. Zsyłano do obozów koncentracyjnych, wieszano na szubienicach albo mordowano w lasach nauczycieli, księży, oficerów rezerwy, adwokatów, lekarzy, pisarzy, dziennikarzy. I tak było wszędzie: na Pomorzu, na Śląsku, w Wielkopolsce, w Łodzi, w Warszawie, w Krakowie. Natomiast Żydzi nie byli wybiórczo traktowani jako obiekt do prześladowań, albowiem oni wszyscy skazani byli na śmierć. Wobec nich zastosowano przemysłową metodę mordowania.

³ *United Nations Treaty Series* nr 1021, t. 78 (1951), s. 277.

Nie bez powodu przywołuję te znane fakty w kontekście wkładu Rafała Lemkina w rozwój prawa międzynarodowego. Lemkin był wrażliwym człowiekiem. Po lekturze *Quo Vadis* Henryka Sienkiewicza był poruszony opisami prześladowań i męczeństwa pierwszych chrześcijan w starożytnym Rzymie⁴. Jego zainteresowania badawcze i wystąpienia na forum Ligi Narodów były reakcją na informacje o rzezi Ormian podczas pierwszej wojny światowej i bezkarność tych, którzy popełnili tę zbrodnię. Uważał, że skoro cywilizowane państwa karzą obywateli za przestępstwa przeciwko godności, integralności fizycznej i życiu jednostki, to te same przestępstwa na skalę masową popełniane w imię państwa przez jego organy nie powinny uchodzić bezkarnie. Było to odważne i innowacyjne podejście, wynikające z wrażliwości moralnej. Stanowiło ono odejście od dominującego wówczas przekonania, że suwerenność i nieingerencja w wewnętrzne sprawy państwa stanowią wartości absolutne. Lemkin apelował o przyjęcie nowych zasad, które miałyby zastosowanie uniwersalne i były adresowane *erga omnes*.

Donna-Lee Frieze słusznie odnotowuje we wstępie do *Autobiografii* Lemkina:

Lemkin, młody student prawa, odczuwał głęboką niezgodę na myśl o tym, że osoba prywatna miałaby być postawiona przed sądem za morderstwo innej osoby, ale rząd mógłby bezkarnie podejmować działania nastawione na zniszczenie całej grupy narodowościowej⁵.

Był bardzo poruszony procesami Soghomona Tehliriana, który dokonał zabójstwa Talaata Paszy (tureckiego ministra spraw wewnętrznych, naczelnego planisty rzezi Ormian) i Szolema Szwarcbarda, który w 1926 roku w Paryżu zabił Symona Petlurę w zemście za śmierć swoich rodziców w pogromie na Ukrainie pod rządami Petlury. Po procesie Szwarcbarda Lemkin napisał w 1927 roku artykuł, w którym potępił „brak praw ujednoczających standardy moralne w stosunku do wyniszczania grup narodowych, rasowych i religijnych”⁶.

⁴ Zob.: *Totally Unofficial. The Autobiography of Raphael Lemkin*, red. D.-L. Frieze, Yale University Press, New Haven–London 2013 (rozdz. *Early Years*, s. 3-24).

⁵ Op. cit., s. XI.

⁶ Ibidem, s. XII.

W lemkinowskiej koncepcji ludobójstwa czynnikiem decydującym była intencja zniszczenia takiej właśnie grupy.

II

Jak wiadomo, po niemieckiej napaści na Polskę Lemkin zdołał wydostać się z kraju. Na krótko zatrzymał się w Szwecji, gdzie władze pozytywnie odniosły się do jego apelu, by konsulaty szwedzkie zaczęły zbierać dokumenty – zarządzenia administracyjne i inne przepisy – w okupowanej Europie. W oparciu o te dokumenty Lemkin stworzył swoje najważniejsze dzieło. Nic bowiem tak nie przemawia do wyobraźni prawnika jak dokumentacja procedur i norm prawnych.

Gromadzone stopniowo przez Szwedów materiały dokumentujące kryminalne przepisy i praktyki Trzeciej Rzeszy były podstawą działalności naukowej Lemkina podczas jego pobytu w USA. Myśl o konieczności penalizacji takich zbrodni dojrzała jednak w jego umyśle już wcześniej. Wieści z Polski stanowiły jedynie dodatkowy argument za takim rozwiązaniem. Czas naglił. Po raz kolejny okazało się, że skuteczność starań zależy nie tylko od intencji, oczekiwań i postulatów, ale także od tego, czy uda się znaleźć we właściwym miejscu i czasie oraz przedstawić je właściwym osobom czy instytucjom. Działania Lemkina zakończyły się sukcesem, ponieważ w czasie wojny znalazł się on w Stanach Zjednoczonych i zyskał dostęp do właściwych osób we właściwym czasie.

Minęło już niemal 65 lat od czasu, gdy Rafał Lemkin napisał *Rządy państw Osi w okupowanej Europie*. Książka ta ukazała się w Polsce w 2013 roku, opatrzona znakomitą przedmową autorstwa prof. Romana Kuźniara. Termin ludobójstwo jest bardzo często używany, a czasami nadużywany. Zbrodnie w różnych rejonach świata – w Biafrze i Rwandzie, Sudanie i Demokratycznej Republice Konga, w Tybecie, na Bałkanach, na Kaukazie i w wielu innych miejscach zarówno obserwatorzy, jak i komentatorzy opisują jako zbrodnie ludobójstwa. O ludobójstwie mówią Palestyńczycy, mieszkańcy Osetii, Albańczycy i Serbowie. Przeczytać można, że zrzucenie pierwszych bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki w sierpniu 1945 roku, czystki etniczne na Wołyniu w 1943 roku czy masowe mordy w rozmaitych częściach Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej to przykłady ludobójstwa. W naszej części świata wielkie emocje wywołuje kwestia właściwej kwalifi-

kacji (w świetle prawa międzynarodowego) stalinowskiej zbrodni Wielkiego Głodu na Ukrainie, a także zbrodni Mao Zedonga w Chinach czy Pol Pot w Kambodży.

Czy przymusowa kolektywizacja na Ukrainie w latach trzydziestych XX wieku i klęska głodu, która była jej wynikiem (Hołodomor, Wielki Głód) i która pochłonęła miliony istnień ludzkich, kwalifikuje się jako ludobójstwo w rozumieniu Lemkina? Czy zamordowanie z zimną krwią ponad 22 000 polskich oficerów w niewoli sowieckiej jest zbrodnią wojenną czy ludobójstwem? Czy terror i represje pod wodzą Lenina, Stalina i Berii, a także ich poprzedników i następców, kwalifikują się jako ludobójstwo, czy też stanowią po prostu zbrodnię przeciwko ludzkości? Takie pytania w wielu krajach wywołują wiele emocji. Nie jest jednak moim zamiarem wdawać się tu w tego rodzaju polemiki.

Jedno jest pewne: głównym, jeśli nie jedynym motywem tych zbrodni było dążenie do utrzymania się przy władzy. Hitler i naziści skazali miliony ludzi na śmierć kierując się głównie kryterium ich pochodzenia etnicznego, narodowego czy rasowego. Stalin, Mao Zedong i inni przywódcy komunistyczni w swoich decyzjach o tym, czy miliony ludzi będą żyć, czy też zginą, nie zważali w takim stopniu na rasę, lecz kierowali się kryterium klasowym i ideologicznym. Doprowadziło to do masowych mordów milionów ludzi uznanych arbitralnie za „wrogów ludu”.

Znane dziś powszechnie fakty i dokumenty, a także niezliczone wspomnienia naocznych świadków, powodują, że w żaden sposób nie można dziś kwestionować jednoznacznie kryminalnego charakteru reżimów komunistycznych.

Nie można jednak uznać tego za czynnik usprawiedliwiający relatywistyczne podejście do zbrodni nazistowskich i odpowiedzialności nazistów za zniszczenie europejskiej społeczności Żydów podczas Holokaustu. Ponad 20 lat temu, 6 czerwca 1986 roku, niemiecki historyk Ernest Nolte napisał na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”:

To, co stało się w Auschwitz, nie było wynikiem jedynie tradycyjnego antysemityzmu i nie stanowiło po prostu ludobójstwa. Była to przede wszystkim wywołana lękiem reakcja na eksterminacyjne praktyki rosyjskiej rewolucji.

Twierdzenie to wywołało poruszenie i oburzenie. Do dziś budzi liczne wątpliwości i zastrzeżenia. Jest próbą relatywizacji zbrodni Trzeciej Rzeszy, a jego intencją jest nie tylko wyjaśnienie, ale też do pewnego stopnia usprawiedliwienie zbrodni popełnionych przez nazistów i tych, którzy z nimi kolaborowali.

Mein Kampf Hitlera nie było reakcją na rewolucję w Rosji. Decyzje podjęte w Wannsee w 1942 roku i obozy zagłady z czasów wojny nie były odpowiedzią na działalność Dzierżyńskiego, Jagody, Jeżowa czy Berii. Oba te totalitarne systemy potrzebowały wewnętrznych i zewnętrznych wrogów oraz zagrożeń, by utrzymać się u władzy. Hitler wskazywał wroga, biorąc pod uwagę przynależność rasową („zaraza żydowska”), Stalin – klasową („zaraza burżuazyjna”). Dla Lenina i Stalina wrogiem zewnętrznym był międzynarodowy imperializm. Hitler, w zależności od momentu, uznawał za wroga „międzynarodowy spisek żydowski”, plutokrację, demokrację, a także – i przede wszystkim – Żydów, Słowian i inne narody nie-germańskie, które określał jako *Untermenschen* i które miały służyć „germańskiej rasie panów” (*Übermenschen*). Metodą wprowadzenia obu modeli „nowego globalnego porządku” miała być – i rzeczywiście była – pseudo-ideologia, w imię której usprawiedliwione było pozbawienie całych narodów i innych grup prawa do życia.

Aksjologicznie, koncepcja Lemkina miała łączyć międzynarodową moralność i międzynarodowe prawo tak, aby raz na zawsze wykluczyć ludobójstwo.

Zbrodnia, której definicję stworzył Lemkin, znana jest z kart Starego Testamentu, z wydarzeń historycznych opisywanych przez Flawiusza i Tukidydesa. Podboje Czyngis-chana i Tamerlana, dzieje Chazarów na obszarach dzisiejszej Rosji, podbój Ameryki Południowej przez Hiszpanów, eksterminacja rdzennej ludności Ameryki Północnej i Australii – wszystkie te wydarzenia z pewnością spełniają wszystkie kryteria definicji zawartej w Konwencji w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Lista narodów, które zostały starte z powierzchni ziemi jest o wiele dłuższa. W naszej ocenie – z perspektywy XXI wieku – były to czyny nieludzkie, kryminalne, sprzeczne z naszą etyką i moralnością. Przez wieki całe nie było norm, które stawiałyby takie działania poza prawem. Prawo z samej swej natury jest zachowawcze. Nadaje charakter wiążący i obowiązkowy

normom politycznym, etycznym i moralnym. Głęboki kryzys, podczas którego moralne i etyczne normy stanowiące podstawę cywilizacji europejskiej uległy załamaniu, skłonił przywódców demokratycznych państw do podjęcia kroków, które miały w przyszłości zapobiec katastrofom takim jak ta, której ludzkość doznała podczas drugiej wojny światowej. Postanowiono zbudować tamę raz na zawsze wykluczającą możliwość ludobójstwa. Na płaszczyźnie prawnej architektem tej tamy był Rafał Lemkin.

Pierwodruk: *Rafał Lemkin, Autor definicji ludobójstwa* (w tomie *Civilian in contemporary armed conflicts* pod red. A. Bieńczyk-Missali, 3 wersje językowe), Wyd. UW, Warszawa 2017.

Jan Karski (1914-2000)

Bohater naszych czasów

Jan Karski jest uosobieniem moralności w polityce. O jego miejscu w pantheonie wielkich Polaków stanowi to, że w miarę upływu czasu coraz bardziej dostrzegamy czystość i szlachetność jego niezłomnej postawy. Był zaprzeczeniem cynizmu i hipokryzji, które towarzyszą polityce od wieków. W czasie wojny miał odwagę nazywać rzeczy po imieniu. Mówił prawdę i wzywał do przeciwdziałania ludobójstwu, kiedy inni milczeli. Po wojnie, kiedy odwaga staniała, milczał. Nigdy nie zabiegał o zaszczyty i ordery. Ta jego wierność fundamentalnym wartościom naszej cywilizacji sprawiła, że prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama wyróżnił Jana Karskiego Medalem Wolności. Było to wyróżnienie pośmiertne. Przyjął mi w udziale zaszczyt – 29 maja 2012 roku – by odebrać w Białym Domu to najwyższe odznaczenie przyznane Janowi Karskiemu.

Był Jan Karski postacią niezwykłą. Mówił o sobie: „Sam nie znaczyłem nic. Najważniejsza była moja misja”. Jego postawa symbolizuje dobrą i szlachetną twarz Polski – Polski bezkompromisowej wobec zbrodni i zła, a zarazem przyjaznej i życzliwej wobec swoich obywateli.

Władysław Bartoszewski powiedział kiedyś: „Kościół katolicki oczekuje od swych wiernych świętości, ale jaki procent spełnia to oczekiwanie?”. Nie ma żadnych wątpliwości, że Jan Karski spełniał te oczekiwania. Był wiernym synem Kościoła. W całym swoim życiu kierował się etyką chrze-

ścijańską. Surowo osądzał zło i głosił prawdę. Nawet wtedy, a może – zwłaszcza wtedy, gdy była to prawda niewygodna i możni tego świata nie chcieli jej słuchać.

Jan Karski był żołnierzem Polski Podziemnej, ale był też intelektualistą – dyplomata, nauczycielem akademickim, historykiem. Nade wszystko był głosem sumienia w czasie pogardy, gdy deptane były wszystkie prawa boskie i ludzkie.

Miał rzadki dar wnikliwej, trzeźwej oceny sytuacji, ale też, co u takich ludzi nie jest częste – gotowość do poświęcenia siebie w imię poczucia obowiązku i solidarności z drugim człowiekiem, w imię honoru. Nawet wtedy, kiedy wiedział, że sytuacja jest beznadziejna, a ofiara zapewne okaże się daremna.

Pamięć, niemal fotograficzną, łączył Karski zarówno z inteligencją i chłodnym, analitycznym umysłem, jak też – co istotne – z idealizmem.

Po dramatycznej ucieczce z rąk Gestapo, po torturach i próbie samobójczej dostaje stosunkowo bezpieczną pracę, polegającą na sporządzaniu przeglądu prasy podziemnej. Po paru tygodniach rezygnuje z niej: „Jestem na skraju wyczerpania nerwowego od czytania bzdur, które wypisuje się w podziemnych gazetkach” – mówi przełożonemu. „Przez te majaki giną młodzi chłopcy, młode dziewczyny, kolporterzy Polski Walczącej. Ja tego dłużej nie wytrzymam...”

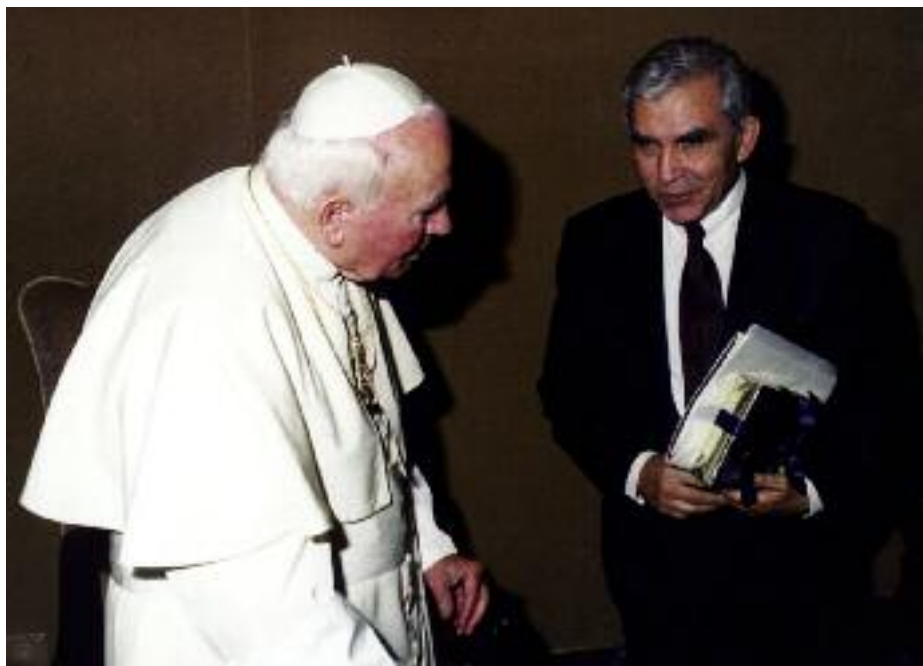
Wbrew obawom swoich przełożonych podejmuje się jeszcze raz roli kuryera polskiego państwa podziemnego i wyrusza w swoją ostatnią, historyczną misję na Zachód. Jako wysłannik Polski Podziemnej i Polskiego Rządu na Uchodźstwie Karski dociera do celu. Spotyka się z przywódcami wielkich mocarstw w Londynie i Waszyngtonie, w Nowym Jorku i Los Angeles. O tym, co widział na własne oczy, informuje wpływowych polityków i publicystów wolnego świata. Przekazuje postulaty i wołanie o pomoc przywódców ginącego narodu żydowskiego w chwili, kiedy można jeszcze było uratować miliony. Głos Karskiego był wysłuchany, ale nieusłyszany. Był to głos wołającego na puszczy...

Wolny świat nie przyszedł Żydom z pomocą. Po latach Karski nazywa to zaniechanie drugim grzechem pierworodnym ludzkości. „I ten grzech – mówił po latach – będzie nas prześladował do końca czasu. W każdym razie mnie prześladowuje. I chcę, żeby tak było”. Jest to głos człowieka su-

mienia. Jan Karski pragnął, by to, co się w Europie wydarzyło, nie było spychane w niepamięć.

To od nas zależy, jak długo zachowamy pamięć o Janie Karskim i prześladującym go niepokoju sumienia. Polski pisarz, Eustachy Rylski trafnie zauważył: „...dobra pamięć od siebie nie zależy. Niepodtrzymywana ginie... Z nią jest jak z urodą. Niechroniona przemija, ani się obejrzysz. A brzydota trwa niewzruszona jak gład”.

Wierzę głęboko, że dobra pamięć o Janie Karskim nie przeminie. Całe Jego życie było bowiem swoistą latarnią morską, która rozświetlała mrok. Jest to zarazem drogowskaz dla nas i następnych pokoleń, jak postępować w czasach, kiedy obrona prawdy i ludzkiego życia wymagają odwagi, poświęcenia i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.



Rozmowa z papieżem Janem Pawłem II w czasie audiencji prywatnej w Bibliotece Watykańskiej, grudzień 1999 r.

Jan Paweł II (1920-2005)

„Ile dywizji ma papież?”

z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Marcin Wojciechowski

MARCIN WOJCIECHOWSKI: *Papież jest najwyższym zwierzchnikiem Kościoła rzymskokatolickiego i zarazem głową państwa watykańskiego. Wypowiada się w sprawach moralnych, ale także politycznych, zwłaszcza dotyczących pokoju, konfliktów i niesprawiedliwości w różnych regionach świata. Czy taki głos jest potrzebny we współczesnym świecie, czy to anachronizm?*

ADAM DANIEL ROTFELD: Jest potrzebny – i to coraz bardziej. Już choćby dlatego, że tej miary światowych autorytetów jest coraz mniej. Odczuwany jest powszechnie brak przywództwa – zwłaszcza przywództwa duchowego, moralno-etycznego.

W 1997 roku, gdy byłem jeszcze dyrektorem sztokholmskiego instytutu SIPRI (Stockholm International Peace Research Institute – przyp. red.), zadzwonił do mnie dziennikarz z Agencji Reutera z pytaniem: kto – moim zdaniem – powinien otrzymać w tym roku Pokojową Nagrodę Nobla? Powiedziałem, że nie wiem, kto otrzyma nagrodę, ale wiem, że na pewno nie otrzyma jej osoba, która na to najbardziej zasługuje. Mój rozmówca nalegał, abym ujawnił swego kandydata. Powiedziałem, że ponad wszelką wątpliwość na takie wyróżnienie od lat zasługuje Jan Paweł II. Co więcej, przyznanie mu pokojowego Nobla przywróciłoby rangę i autorytet moralny tej nagrodzie.

Jan Paweł II odegrał przełomową rolę we wcielaniu postanowień Soboru Watykańskiego II, którego dynamika powoli wytracała impet. Papież wydobyl z Soboru to, co najważniejsze, ale nie łamał tradycji, która dla Kościoła jest swego rodzaju strażą przednią czy też wałem ochronnym.

Wymieniłem wówczas spontanicznie w rozmowie z tym dziennikarzem pięć powodów, dla których Norweski Komitet Pokojowych Nagród Nobla powinien bezapelacyjnie uznać, że taki kandydat jak Jan Paweł II w istocie nie ma konkurencji. Po pierwsze – powiedziałem – przywrócił rangę czynnika etycznego i porządku moralnego w podejmowaniu decyzji politycznych. Po drugie, nadał osobie ludzkiej i respektowaniu jej godności znaczenie, które w tej mierze w przeszłości nie było brane pod uwagę. Po trzecie, jak żaden inny papież otworzył się na dialog międzyreligijny, a ekumenizm stał się w czasie jego pontyfikatu praktyką, a nie tylko retoryką. Po czwarte, był w istocie inicjatorem duchowym pokojowej transformacji ustrojowej w Polsce i w naszej części Europy. Po piąte wreszcie, Jan Paweł II osobiście odegrał wielką – choć dyskretną – rolę w regulowaniu konfliktów międzynarodowych w różnych regionach świata, zwłaszcza w Ameryce Środkowej.

Papież miał też odwagę bronić – wobec wielkich tego świata – zasady nieużywania siły. W efekcie zbrojna interwencja USA w Iraku w czasach prezydentury George’a Busha seniora nie była postrzegana jako konflikt chrześcijaństwa i islamu, ale jako wojna między państwami.

Papież zmienił też stosunek Stolicy Apostolskiej i katolicyzmu do judaizmu. Jako pierwszy papież w dziejach przestąpił progi synagogi w Rzymie. Sprawił, że „starsi bracia w wierze” uwolnili się od stygmatu, który przez wieki utrudniał równorzędny dialog katolicyzmu z judaizmem. To użyte przez Jana Pawła II określenie – „starsi bracia w wierze” – spotkało się ze znacznym rezonansem.

Czy idea Jana Pawła II, by przywrócić jedność Kościołów chrześcijańskich, była utopią?

Żaden z chrześcijańskich Kościołów nie jest przeciwny jedności. Jednak wszyscy chcieliby doprowadzić do niej na własnych warunkach. Zainteresowanie Jana Pawła II dialogiem z rosyjską Cerkwią prawosławną spotkało się z powściągliwością, jeśli nie oporem poprzedniego zwierzchnika rosyjskiej Cerkwi Aleksija II. Ten nieufny stosunek miał zapewne różne źródła: Kościół katolicki postrzegany był przez duchowieństwo prawo-

sławne jako zbyt silny, a osobowość Papieża zbyt atrakcyjna dla chrześcijan na całym świecie, zwłaszcza w Rosji.

Były też – jak sądzę – obawy, że zbliżenie może doprowadzić do odpływu wiernych. Prozelityzm, czyli promowanie konwersji i przechodzenia na katolicyzm, uznano w Rosji za jeden z głównych problemów w stosunkach prawosławia ze Stolicą Apostolską. Głośny był też spór dotyczący relacji Kościoła grekokatolickiego z prawosławiem na Ukrainie. Rzecz dotyczy Kościoła obrządku wschodniego, który uznaje zwierzchność papieża. Kościół ten – nazywany też „unickim” (od unii brzeskiej zawartej w 1596 roku) – powstał, kiedy ruscy hierarchowie pod rządami Rzeczypospolitej Obojga Narodów obrali jedność części podlegającego im prawosławia z Rzymem. Podjęli decyzję tę w czasach, gdy obowiązywała zasada *cuius regio eius religio* (czyj kraj, tego religia). Ukraina znajdowała się wtedy pod zwierzchnictwem polskiego króla. Wierni niemal nie odczuli tej zmiany – obrządek wschodni został zachowany. Był to krok w przywracaniu jedności chrześcijaństwa. Rozłąmy i podziały religijne najczęściej zaczynają się od spraw drugorzędnych – znaczną rolę odgrywają ambicje i sprawy personalne. Z czasem obrastają one doktrynalnymi uzasadnieniami.

Warto pamiętać, że nie tylko w XVI wieku, ale jeszcze zupełnie niedawno religia – nie tylko wśród muzułmanów czy żydów, ale również we wspólnotach chrześcijańskich – regulowała praktycznie wszystkie sfery życia. Obserwowałem to, ponieważ ten porządek zaczął załamywać się dopiero za mojej młodości. Pamiętam z dzieciństwa, że we wschodniej Galicji kalendarz religijny wyznaczał rytm życia zgodny z porami roku. Chałty odnawiano i malowano „sinką” na niebiesko przed Wielkanocą, posiłki w środy i piątki sporządzano postne, a niepostne – w pozostałe dni tygodnia. Reguły religijne miały wpływ na higienę, jadłospis, sposób życia.

(...)

Jan Paweł II jest często krytykowany za konserwatyzm.

Postulował zmiany, ale dbał o to, by nie były destrukcyjne dla Kościoła katolickiego. Swoją osobą symbolizował zmianę: był pierwszym od wieków wybranym papieżem nie-Włochem. Był myślicielem, a zarazem pielgrzymem, który chciał mieć i miał bliski kontakt z ludźmi. Szukał tego kontaktu – nawet wówczas, gdy cierpiał. Jego postawa przyczyniła się do pozytywnej zmiany w postrzeganiu Kościoła katolickiego w świecie.

Był apostołem przywrócenia moralno-etycznych wartości w podejmowaniu politycznych decyzji i przyczynił się do zmiany mentalności w tej mierze w skali globalnej. Jest to rzadka zdolność, którą odznaczają się ludzie wybitni i nieprzeciętni, gdy obejmują najwyższe stanowiska. Niejako na oczach świata dorastają oni do zadań i wyzwań, ukazują swoją wielkość, której mało kto by się po nich spodziewał. Z perspektywy wielkich metropolii oto prowincjonalny wikary, urodzony gdzieś na końcu świata, w małych Wadowicach, a później młody biskup z Krakowa, nagle został wyniesiony na tron papieski, znalazł się w centrum spraw światowych. Jednak nie zmienił swego stosunku do ludzi.

Z tych i wielu innych względów uważałem, że Jan Paweł II – jak rzadko kto – zasługuje na Pokojową Nagrodę Nobla.

Dlaczego jej nie otrzymał?

Tak samo jak dla mnie było oczywiste, że powinien zostać laureatem tej nagrody – tak dla Norwegów było oczywiste zupełnie przeciwne stanowisko. W skład Komitetu Pokojowych Nagród mianowanego przez parlament Norwegii wchodzi między innymi biskup luterański Oslo. W Norwegii nastroje antypapieskie są nadal bardzo silne. Przyznanie nagrody papieżowi byłoby wyzwaniem i wymagałoby odwagi, której Komitetowi najzwyczajniej zabrakło. Powtórzę, że nagroda byłaby nie tyle wyróżnieniem i honorem dla Jana Pawła II, co umocniłaby nadszarpnięty prestiż Komitetu.

Komitet Noblowski na taką decyzję się nie zdobył.

Natomiast moja kilkuminutowa wypowiedź dla Agencji Reutera miała dla mnie nieoczekiwany skutek. Byłem zdumiony, jak rozeszła się po świecie. W internecie były dziesiątki tysięcy notowań. Spontaniczną wypowiedź przetłumaczono na wiele języków. Nigdy wcześniej ani później moja opinia nie budziła tak wielkiego zainteresowania.

Jan Paweł II zostanie w historii Kościoła. Zapisał się też w historii świata jako postać, która wpłynęła na jego dalsze dzieje.

Jan Paweł II zaimponował swoim zachowaniem przed rozpoczęciem wojny w Iraku i po nim. Był jedynym przywódcą konsekwentnie przeciwnym tej woj-

nie z powodów moralnych, kimś, komu nie sposób zarzucić hipokryzji. Czy nie za mało wsłuchiwaliśmy się w jego argumenty?

Politykę zagraniczną państw określają trzy determinanty: wartości, interesy i siła. W polityce USA wszystkie te elementy – choć w nierównej mierze – wpływają równocześnie na proces podejmowania decyzji. Dla Stolicy Apostolskiej najważniejsze są wartości. Inaczej jest w państwach dyktatorskich. W 1945 roku na konferencji w Poczdamie, w reakcji na uwagę Churchilla, że papieżowi nie podoba się przejęcie władzy w Europie Wschodniej przez komunistów, Stalin miał zapytać: „Papież? A ile on ma dywizji?”. Dyktatury kierują się głównie, jeśli nie wyłącznie, logiką siły.

Jan Paweł II kierował się w sprawie Iraku wartościami. I miał rację.

Polska stała wtedy przed poważnym dylematem. Hipotetycznie: gdybyśmy mieli wpływ na politykę amerykańską, należałoby przekonywać naszego sojusznika, że lepszy byłby inny sposób postępowania w sprawie Iraku. Jednak decyzja była już podjęta. Poparcie dla Amerykanów traktowaliśmy jako inwestycję na przyszłość. Powtórzę to, co już mówiłem: w narodowym interesie Polski było takie postępowanie, byśmy w sytuacji najgorszego scenariusza mogli liczyć na wzajemność ze strony Amerykanów, gdyby – nie daj Boże – Polska kiedykolwiek potrzebowała amerykańskiej zbrojnej pomocy. Tak uważałem wtedy i nadal tak uważam.

Innymi słowy, podzielałem pogląd Jana Pawła II, że zbrojna interwencja w Iraku była decyzją niesłuszną. Jednak w naszym interesie było udzielenie Amerykanom poparcia w tej niesłusznej sprawie.

Dlaczego?

Budowaliśmy dopiero naszą pozycję w świecie euroatlantyckim. Należało zadbać o to, by w Stanach Zjednoczonych powstało trwałe przekonanie, że Polska jest ich lojalnym i niezawodnym sojusznikiem w Europie. Takim, jakim przez ostatnie 150 lat była i jest Wielka Brytania. To nie przypadek, że Brytyjczycy również poparli czynnie Amerykanów.

Byłoby z naszego punktu widzenia lepiej, gdyby w sprawie Iraku George W. Bush kierował się zaleceniami Jana Pawła II i Stolicy Apostolskiej. W 2004 i 2005 roku uczestniczyłem w kilku rozmowach prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego z prezydentem Bushem juniorem. Odnosiłem wrażenie, że miał on poczucie, iż działa zgodnie z wolą Boga. Sprawa wia-

ry odgrywała w jego decyzjach politycznych wielką rolę. Bush nie był cynikiem. Miał głębokie przeświadczenie, że jego polityka zgodna jest z wyznawanymi przez niego poglądami religijnymi.

Jan Paweł II odegrał istotną rolę przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Być może dzięki niemu udało się odsunąć groźbę interwencji sowieckiej.

Doradcą prezydenta USA Jimmy'ego Cartera do spraw bezpieczeństwa był Zbigniew Brzeziński. Porozumiał się telefonicznie z Janem Pawłem II, gdy uzyskał potwierdzone informacje, że Związek Radziecki zamierza w grudniu 1980 roku przeprowadzić w Polsce wielkie manewry Układu Warszawskiego. Do Polski miały wkroczyć dywizje ze wschodu, zachodu i południa. Oznaczałoby to sparaliżowanie polskiej armii i faktyczną okupację Polski. W swoich wspomnieniach Brzeziński pisał, że gdyby ktoś podsłuchiwał jego rozmowę z papieżem, byłby zdziwiony, że głowa Kościoła i doradca amerykańskiego prezydenta rozmawiają po polsku. Zdecydowana reakcja i postawa USA zapobiegły wówczas interwencji. Amerykański prezydent wysłał do Moskwy sygnał, że interwencja radziecka w Polsce będzie miała bardzo poważne konsekwencje.

Tak się złożyło, że w grudniu 1980 roku byłem na spotkaniu przeglądowym KBWE w Madrycie. Nie miałem żadnej wysokiej funkcji. Byłem włączony do prac polskiej delegacji ze względu na to, że od blisko dwudziestu lat zajmowałem się problematyką bezpieczeństwa europejskiego. Nie bez znaczenia były też moje wcześniejsze doświadczenia z Genewy i Belgradu. Ówczesny szef amerykańskiej delegacji Max Kampelman i jego zastępca z Kongresowej Komisji do spraw KBWE, Spencer Olivier, dwukrotnie rozmawiali ze mną prywatnie i prosili, bym przekazał do Warszawy informację o nadciągającym zagrożeniu. Paradoks polegał na tym, że Amerykanie ostrzegali Jaruzelskiego przed niebezpieczeństwem, które mu grozi ze strony „przyjaciół”...

Ostatecznie wojska radzieckie oraz innych państw Układu Warszawskiego zatrzymały się na naszych granicach, a w kilka tygodni później się cofnęły. Dziś o szczegółach tej operacji wiemy o wiele więcej – ukazały się na ten temat tomy dokumentów oraz wspomnień polskich i radzieckich dyplomatów i wojskowych.

(...)

Pana doświadczenie życiowe skupia się wokół kilku religii i tradycji. Urodził się Pan w rodzinie żydowskiej, z której we wczesnym dzieciństwie trafił Pan do klasztoru grekokatolickiego. A po przyjeździe do Polski znalazł się Pan w nowym środowisku. Z latami nawiązał Pan zawodowe kontakty z ludźmi Kościoła rzymskokatolickiego i środowiskiem inteligencji katolickiej. Jak to wpłynęło na Pana życie?

Mam wrażenie, że mój stosunek do religii i Kościoła jest nieco inny niż wielu ludzi z mojego środowiska. Doceniam jej rolę i znaczenie zarówno dla osób wierzących, jak też dla całego narodu. Religia jest odpowiedzią na potrzeby duchowe ludzi wierzących, ale też ma istotne znaczenie dla całego społeczeństwa, włącznie z tymi, którzy dystansują się od Kościoła instytucjonalnego lub określają samych siebie jako agnostyków. Pozytywne oddziaływanie religii dostrzegam przede wszystkim w określaniu i obronie fundamentalnych zasad moralno-etycznych, w wyraźnym różnieniu dobra i zła oraz odrzucaniu relatywizmu moralnego, w ułatwianiu ludziom poszukiwania drogi do pojednania się – ze sobą samym i z innymi.

Ze wszystkich swoich kontaktów z ludźmi Kościoła wyniosłem jak najlepsze wrażenia. Spotykałem się z prymasem arcybiskupem Józefem Kowalczykiem, z krakowskimi kardynałami Franciszkiem Macharskim i Stanisławem Dziwiszem, ze zmarłym niedawno metropolitą lubelskim arcybiskupem Józefem Życińskim, z arcybiskupem Henrykiem Muszyńskim, dotychczasowym sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskupem Stanisławem Budzikiem (mianowanym ostatnio metropolitą lubelskim) i z wieloma innymi hierarchami i księżmi. Prawdziwą przyjemność sprawiły mi rozmowy z księdzem Adamem Bonieckim, którego poznałem jako redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, i biskupem profesorem Grzegorzem Rysiem. Imponowała mi ich erudycja, inteligencja i poczucie humoru. Bez względu na to, czy rozmowy dotyczyły spraw historycznych, czy wydarzeń bieżących, moi interlokutorzy okazywali mi życzliwość i demonstrowali szerokie spojrzenie. Brali pod uwagę międzynarodowe uwarunkowania. Dążyli do pojednania z naszymi sąsiadami na wschodzie i na zachodzie.

Byłem też przyjęty na audiencjach prywatnych przez Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Moja prywatna audyencja u Jana Pawła II 3 grudnia 1999 roku miała trwać piętnaście minut, a trwała blisko godzinę. Zabawny był początek. Papież po powitaniu zwrócił się do mnie po angielsku. Zapytałem, czy mogę mówić po polsku. Jan Paweł II zdziwił się, skąd znam tak dobrze polski. Spojrzał do teczki przygotowanej przez sekretariat i powiedział: „Mam tu notę: »Illustrissimo Signore Professore Dottore della Svezia«...”. Zostałem bowiem zaprezentowany w tej nocie jako dyrektor SIPRI ze Sztokholmu. Wyjaśniłem, że na czele tej instytucji zawsze stoją cudzoziemcy. Jestem pierwszym Polakiem wybranym na to stanowisko. Papież spojrział na mnie i zapytał: „Skoro tak, to dlaczego ma pan taki dziwny akcent?”. Odpowiedziałem: „Potwierdzam w ten sposób powszechne doświadczenie, że człowiek, który emigruje lub z innych powodów opuszcza swoje strony rodzinne, traci w istocie wszystko – zostaje mu tylko akcent”. Papież ożywił się i dodał, że taką melodię kresowej polszczyzny pamięta z dzieciństwa. Potem rozmawialiśmy krótko o moim dzieciństwie. Podczas swej wizyty na Ukrainie Papież beatyfikował archimandrytę Klemensa Szeptyckiego, przeora klasztoru w Uniowie, w którym ukrywałem się podczas okupacji.

Pana losy nie są zwykłe.

Tak nie jest. Rodzin z takimi losami są w Polsce miliony. Dziś trudno sobie nawet uświadomić, jak straszne były przejścia setek tysięcy i milionów ludzi, mieszkających na Kresach Wschodnich. Najpierw przeżyli okupację radziecką, potem niemiecką, która była często bardziej brutalna niż w innych częściach Polski. Była nieporównywalnie bardziej okrutna od tego, czego doświadczyły narody Europy Zachodniej. Setki tysięcy doświadczyły też okrucieństw ze strony Ukraińców – w czasie „rzezi wołyńskich” oraz pogromów w całej Galicji Wschodniej.

(...)

Wracam do pańskiego pytania i powtórzę: mam znacznie więcej respektu dla religii niż wielu ludzi z mojego otoczenia. W naturze człowieka tkwi potrzeba i przywiązanie do trwałych wartości i form – tych, do których odwoływały się poprzednie pokolenia. Jan Paweł II nie zamykał różnic, ale trafnie wyczuwał, że wspólne wartości są obecne w trzech wielkich monoteistycznych religiach świata – judaizmie, chrześcijaństwie i islamie. Człowiek w naszych czasach – podobnie jak w prze-



Od prawej: arcybiskup Józef Michalik, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski i arcybiskup Józef Kowalczyk, nuncjusz apostolski w Polsce, Adam D. Rotfeld i prezydent Aleksander Kwaśniewski – w czasie uroczystości pogrzebowych papieża Jana Pawła II, Watykan, kwiecień 2005 r.

szości – potrzebuje takiego fundamentu i kodeksu moralno-etycznego, które te religie przeniosły przez wieki.

Co dla Pana jest takim kodeksem?

Po pierwsze – niejako z natury rzeczy – poszanowanie godności istoty ludzkiej. Każdego człowieka. Skoro oczekujemy tego od innych, musimy sami okazywać taką postawę wobec innych („Kochaj bliźniego, jak siebie samego”). Zakłada to tolerancję dla innych ludzi, ich poglądów, innego koloru skóry, innej rasy.

Po drugie, należy przyjąć założenie, że nic tak się w życiu nie opłaca, jak bezinteresowna życzliwość. Ludzie są ludźmi. Każdemu z nas zdarza się przecież postąpić nie tak, jak byśmy tego chcieli. Trzeba zatem być wyrozumiałym dla słabości – nie tylko własnych, ale również innych osób.

Jan Paweł II przywiązywał wielką wagę do nadania szczególnej rangi moralnej kategorii miłosierdzia. Uważał bowiem, że tego właśnie w Polsce Polakom brakuje. Wystarczy przyjrzeć się publicznym debatom, by dostrzec pokłady wzajemnej niechęci, nieufności, pieniactwa i swarliwości, które odcisnęły piętno na naszych dziejach. Papież bolał nad tym. Myślę, że Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w krakowskich Łagiewnikach jest swoistym testamentem Jana Pawła II dla polskiego narodu i innych społeczności świata.

Po trzecie wreszcie, każdy z nas powinien umieć pogodzić się z sobą. Nosimy w sobie busolę, która wyznacza to, co profesor Władysław Bartoszewski tak trafnie i lapidarnie ujął w odpowiedzi na pytanie, jak być przyzwoitym. Jego życie jest przykładem tego, że nawet w sytuacjach skrajnych i w ekstremalnych warunkach można zachować się jak przyzwoity człowiek.

Powrócił Pan po wojnie do swego nazwiska. Interesuje mnie sprawa roli i znaczenia tożsamości w naszych czasach.

Całe życie uczymy się, jak być sobą. Mogłem pozostać przy nazwisku przybranym w czasie wojny – Czerwiński. Intuicyjnie wyczuwałem, że będę się z tym źle czuł. Uważałem, że jest to elementarny obowiązek pamięci i respekt wobec własnej rodziny wymordowanej przez Niemców. Nie chciałem udawać kogoś innego. Miałem przekonanie, że ten paroksyzm zbrodni i niewiści nigdy się nie powtórzy. Uważałem i nadal uważam, że człowiek ma prawo być sobą i nie powinien czuć się zmuszony, by udawać kogoś innego.

To nie znaczy, że osoby, które pozostały przy przybranych nazwiskach, popełniły jakiś błąd, nietakt, czy też postąpiły w sposób niewłaściwy. Każdy ma swoją własną wrażliwość, własne doświadczenia i należy to uszanować.

Problem tożsamości jest znacznie bardziej złożony niż sprawa nazwiska. Wielu amerykańskich, argentyńskich czy francuskich Żydów określa się jako Amerykanie, Argentyńczycy czy Francuzi lub też – jeśli wyjechali z Polski – jako Polacy ze względu na miejsce swego pochodzenia. Zbigniew Brzeziński pozostał przy własnym nazwisku, choć dla Amerykanów jest ono trudne do wymówienia. Każdy, kto je wymawia, wie, że Brzeziński jest Amerykaninem polskiego pochodzenia. Henry Kissinger opuścił wraz z rodziną Niemcy jako trzynastoletni chłopiec ze względu na antysemityzm w III Rzeszy. W publicznych wypowiedziach nawiązuje do tego, że jest niemieckim Żydem. Wyraża zadowolenie z tego, że jego kraj się zmienił – że Niemcy stały się po II wojnie państwem prawa i demokracji. Podjęły trudny proces rozliczenia z własną przeszłością. Również pani Madeleine Albright demonstruje satysfakcję z przemian, które zaszły w Czechach.

Na wielki szacunek zasługują w Polsce te osoby pochodzenia niemieckiego, które w czasie II wojny demonstrowały swą polskość, walczyły z III Rzeszą. Dokonały świadomego wyboru na rzecz polskości i często płaciły za to cenę życia. Ci, którzy przeżyli, często zachowali po wojnie przybrane polskie nazwiska. Wielu polskich uczonych, wybitnych myślicieli i intelektualistów zachowało oryginalne nazwiska niemieckie, choć dali bezsprzeczne dowody przywiązania do narodu polskiego. W Warszawie Tadeusz Manteuffel i profesorska rodzina Manteuffel-Szoega, w Krakowie Roman Ingarden, rodziny Estreicherów, Birkenmajerów, Schreyerów. Nauka polska szczeni się nazwiskami takich światowej sławy uczonych jak Hugo Steinhaus, Leopold Infeld, Ludwik Hirschfeld, Henryk Elzenberg. Myślę, że lista uczonych, pisarzy, artystów, którzy nosili obce nazwiska, ale byli Polakami, obejmuje dziesiątki tysięcy.

W trakcie naszych rozmów zauważyłem, że używa Pan słowa „naród”, które nie jest dziś zbyt popularne. Raczej mówi się o „społeczeństwie” na określenie grupy żyjącej na danym terenie, by unikać określeń nacechowanych etnicznie.

To ważne pytanie. W moim przekonaniu, społeczeństwo to naród polityczny. Fundamentalnym wyzwaniem naszych czasów jest antynomia między społeczeństwem a narodem – z jednej strony oraz państwami

i organizacjami międzynarodowymi – z drugiej. Jest to problem na dziś i na jutro.

O przynależności do narodu decyduje wola i świadomość jednostek i grup społecznych, a nie pochodzenie etniczne. Sprawa ta wygląda inaczej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii i Nowej Zelandii niż w Europie. Tam wielokulturowe społeczeństwa powstały z wyboru jednostek, które przybyły do tych krajów. Nowa europejska tożsamość dopiero się kształtuje. Stąd znaczenie tożsamości narodowej, która nie zawsze jest tożsama z pochodzeniem etnicznym. W Europie pochodzenie narodowe i etniczne nadal ma znaczenie.

Społeczność międzynarodowa to nie tylko międzynarodowe organizacje, które łączą państwa. To pojęcie szerokie, którego zakres znaczeniowy zmienia się w zależności od kontekstu. W czasach globalizacji pojęcie to zyskuje na znaczeniu.

Unia Europejska jest chyba bliska tego, by jej mieszkańców uznać za społeczność, a nie tylko organizację międzynarodową.

To prawda. Unia to coś znacznie większego niż organizacja, a zarazem coś innego niż państwo. Wiele nieporozumień wynika z faktu, że jesteśmy zakładnikami czy też niewolnikami pojęć, które sami tworzymy. Unia to nie są – i nie będą – Stany Zjednoczone Europy. To nie znaczy, że nie będzie w Europie tożsamości europejskiej. Jej formowanie się trwa od wielu lat. Ale myli się ten, kto sądzi, że tożsamość europejska będzie wypierać czy też zastępować przynależność do konkretnego narodu. Zjednoczyć Francuzów i Niemców, Włochów i Brytyjczyków, Polaków i Hiszpanów nie jest sprawą łatwą. Dla Francuza to, co francuskie, jest w sposób naturalny i oczywisty również europejskie. Już mniej oczywiste, gdy o swoim kraju mówi tak Niemiec czy Polak. W Europie były autentyczne obawy, że deklarowana europeizacja Niemiec w ramach integracji będzie prowadzić w istocie do germanizacji Europy.

Te obawy okazały się bezzasadne. Niemcy postawiły na europejskość jako integralny element nowej tożsamości. Obawy, że Europę Niemcy zdominują ze względu na swą potęgę gospodarczą, nie potwierdziły się. Jeden z brytyjskich ministrów w rządzie Margaret Thatcher publicznie oświadczył, że marka niemiecka osiągnie to, co nie udało się Hitlerowi. Przyplącił to dymisją, ale jego wypowiedź sygnalizowała rozmaite lęki



Wykład Henry'ego Kissngera w Akademii Dyplomatycznej MSZ; od lewej: prof. Roman Kuźniar, Henry Kissinger, były sekretarz stanu USA, Adam D. Rotfeld, Belweder, Warszawa, 2004 r.

obecne nie tylko na wyspach brytyjskich, ale również na kontynencie. Niedawno Silvio Berlusconi wyraził podobne obawy. Wspominam o tym, ponieważ kształtowanie się wspólnotowej Europy jest na wstępnym etapie. Nic nie jest przesądzone, ale według mnie w zjednoczonej Europie koncepcja narodu nie powinna być i nie będzie utożsamiana z etnicznością. Jednak narody europejskie zachowują swoją odrębność. Ilustracją tego, jak złożone są to procesy, jest Belgia. Państwo to istnieje od 180 lat, ale jego mieszkańcy nie określają siebie jako Belgów, lecz jako Walonów i Flamandów. I nie jest to tylko sprawa semantyki.

W takim razie co ze społeczeństwem?

Obywatelskie społeczeństwo to upolityczniony, demokratyczny naród, świadomy swoich praw i obowiązków oraz odpowiedzialności za własne państwo. Byliśmy świadkami takiego procesu upolitycznienia mieszkańców Ukrainy. Pamięta pan pomarańczową rewolucję. Niezależnie od tego, co zrobili z dorobkiem tego obywatelskiego ruchu ukraińscy politycy – obaj prezydenci, Wiktor Juszczenko i Wiktor Janukowycz oraz premier Julia Tymoszenko – nie ulega wątpliwości, że Ukraińcy po 2004 roku stali się Społeczeństwem. Narodem politycznym.

Gdy mówimy o narodzie, nie należy fetyszyzować pochodzenia etnicznego. Ale byłoby błędem zaniedbywanie lub pomniejszanie znaczenia wspólnot narodowych. Rzecz w tym, że jeśli Unia Europejska ma przetrwać, musi zaakceptować fakt, że narody w Europie są historycznymi wspólnotami, dla których korzenie, kultura i tożsamość mają znacznie większe znaczenie, niż sądzą o tym niektórzy intelektualiści.

Dla wielu europejskich narodów religia jest ważnym składnikiem ich duchowości, tradycji i kultury. Jest nawiązaniem do tożsamości rodzinnej i do budowania wspólnoty. Jan Paweł II był orędownikiem pojednania i pokoju między narodami. Nie demonstrował tego tylko w słowach, homiliach, encyklikach i innych dokumentach, ale dawał temu świadectwo całym swoim życiem.

Pierwodruk: *Jan Paweł II: Ile Papież ma dywizji*, w zbiorze pt. *Adam Daniel Rotfeld. W cieniu, 12 rozmów z Marcinem Wojciechowskim*, Wyd. Agora, i PISM Warszawa 2012, s. 210-227.

Jerzy Pomianowski (1921-2016)

Pragmatyczny romantyk

Był wykonawcą testamentu politycznego Jerzego Giedroycia, założyciela i niezmiennego redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”. To z jego inspiracji prof. Jerzy Pomianowski doprowadził do powstania w Warszawie periodyku „Nowąją Polska” adresowanego do rosyjskiej inteligencji – na wzór założonej po wojnie w Paryżu „Kultury”, adresowanej do polskiej inteligencji. Oba te pisma łączyła wierność takim wartościom jak: prawda, wolność, niezależność, prawość i tolerancja.

Był człowiekiem teatru. Tłumaczył sztuki Antoniego Czechowa, Michaiła Bułhakowa i Jewgienija Szwarca, dzieła Lwa Tołstoja i Aleksandra Sołżenicyna, poezję Aleksandra Puszkina, Anny Achmatowej i Osipa Mandelsztama, eseje Andrieja Sacharowa i Michaiła Hellera. Faworytem i ulubionym pisarzem Pomianowskiego był Izaak Babel. Jego utwory zostały przyswojone polszczyźnie przez prof. Pomianowskiego tak doskonale, że wiele zwrotów weszło na trwałe do polszczyzny, do języka obiegowego.

We wprowadzeniu do szkicu Jerzego Pomianowskiego pt. *Co literatura zawdzięcza medycynie?* Piotr Mitzner trafnie zauważył: „Kiedy Jerzy Pomianowski zabiera głos, słyszymy szczególną melodię frazy. Dobór słów i inwencja językowa opiera się bylejakości współczesnej polszczyzny. Zdania dobrej przedwojennej roboty (...). Jest pisarzem. Jako pisarz oddaje hojną ręką swój talent przekładom, publicystyce, wykładom, wypowiedziom”

dziom w dyskusjach i wywiadach, korespondencji. W tych wszystkich tekstach jest jego osobowość, jego charakter, styl”. A przecież styl – to człowiek. Znalazło to wyraz w tak różnych i licznych tekstach, że zdumienie ogarnia, iż wyszły one spod ręki jednego człowieka.

Zetknąłem się z nazwiskiem Jerzego Pomianowskiego blisko 60 lat temu. Jednak poznałem osobiście Profesora dopiero w pierwszej dekadzie XXI wieku. W październiku 2006 roku redaktor naczelny „Nowej Polszy” napisał do mnie list: „Sądzę, że powinien zainteresować Szanownego Pana artykuł Andrieja Jermonskiego, wydrukowany w ostatnim numerze „Inostranej Literatury” (8/2006) – wychodzącego w Moskwie znanego i cenionego miesięcznika. Poświęcony jest w całości literaturze i kulturze polskiej”. Esej Andrieja Jermonskiego pt. *Magiczne właściwości słowa pisanego – o miesięczniku „Nowaja Polsza” i nie tylko...* zainteresował mnie zarówno dlatego, że wystawiał najwyższą ocenę polskiemu periodykowi, jak też dlatego, że zetknąłem się z Andriejem Jermonskiem blisko pół wieku wcześniej, kiedy pracował on w moskiewskim miesięczniku „Miedzynarodnaja Żyżń”, a ja gościłem go w Warszawie jako sekretarz redakcji miesięcznika „Sprawy Miedzynarodowe”. Zamieścił wówczas reportaż ze swej podróży do Polski, który zapamiętałem nie tylko dlatego, że odbiegał stylem od sztywnej propagandowej formuły oficjalnego organu radzieckiego MSZ, ale też z uwagi na nieklamany zachwyt nad Polską i jej kulturą. Nie dziwię się, że w pół wieku później autor sprawił przyjemność redaktorowi „Nowej Polszy”, kiedy pisał o jego periodyku: „(...) czasopismo to nie ma nic wspólnego z niesławnej pamięci «eksportowymi» wydaniem, sowieckimi i polskimi, w których okruchy prawdy tonęły w morzu propagandowego kłamstwa i pustosłowia”. Trudno było sprawić większą satysfakcję Pomianowskiemu niż opublikować na łamach respektowanego w świecie rosyjskiego pisma hołd złożony Giedroycowi i jego „Kulturze”. Jermonski przypomniał słowa Jerzego Giedroycia, że pojawienie się „Nowej Polszy” było „wydarzeniem, którego nie da się przecenić”. Miał rację.

W rok po opublikowaniu tego listu, kiedy powierzono mi współprzewodnictwo Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, pierwszą osobą, do której zwróciłem się z propozycją wejścia w skład tego zespołu był prof. Pomianowski. Wiedziałem, że jeśli wyrazi zgodę, to jego decyzja ułatwi mi pozyskanie innych członków, którzy w Polsce i w Rosji cieszą się zasłużoną opinią osób zaufania publicznego. Tak też się stało. Aktywny

udział Profesora w pracach Grupy podnosił jej prestiż w oczach środowisk intelektualnych Polski i Rosji. Do spotkań naszej Grupy odnosił się z powagą i odpowiedzialnością. Podejmowane decyzje nie były mu obojętne. Wtrącał się.

W pewnym miejscu prof. Pomianowski napisał: „Otóż odruch wtrącania się uważam za niezwykle ważny i cenny – także w literaturze. Za literaturę społecznie użyteczną albo w ogóle – potrzebną ludziom i chętnie czytana, uznać bowiem można tylko taką, która porusza problemy jeszcze niezalążnione, niezadekretowane, nierozstrzygnięte gdzie indziej. Dotyczy to wszelkiej literatury, która pragnie być współczesną”. Przytoczony cytat ilustruje postawę życiową Autora – lekarza z wyuczonego, choć niepraktykowanego zawodu, który łączył postulat Hipokratesa (*Primum non nocere!*) z potrzebą niesienia ludziom pomocy. Była to postawa intelektualisty aktywnego i życzliwego. Prof. Pomianowski dał tego liczne dowody całym swoim życiem twórcy i komentatora, eseisty, publicysty i redaktora. Jednak przede wszystkim i zawsze myśliciela – życzliwego ludziom i światu, gotowego nieść pomoc wszystkim, którzy jej potrzebują. Należał do pokolenia ostatnich Mohikanów, którzy – jak latarnie morskie zbudowane na fundamencie trwałych wartości – wskazują kierunki żeglowania na wzburzonych falach współczesnego świata.



Adam D. Rotfeld i Zbigniew Brzeziński, Centrum Międzynarodowych Studiów Strategicznych (CSIS), Waszyngton, listopad 2015 r.

Zbigniew Brzeziński (1928-2017)

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Paweł Smoleński

PAWEŁ SMOLEŃSKI: *Poznał pan Zbigniewa Brzezińskiego kilka dekad temu.*

ADAM DANIEL ROTFELD: W latach 60. pracowałem w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Brzeziński przyjechał wówczas z wykładem do Warszawy. Podszedłem do niego i zapytałem, jak w Stanach Zjednoczonych postrzegane jest jego tak bardzo polskie imię i nazwisko? Przecież wielu Amerykanów pierwszego pokolenia często amerykanizuje słowiańskie nazwiska. Chciałem się też dowiedzieć o jego związki z Polonią.

Odparł, że funkcjonuje jak Amerykanin i między Amerykanami, bo gdyby trzymał się Polonii, do niczego by nie doszedł ze względu na kłótniowość i pieniactwo tego środowiska.

A przecież nigdy nie zaprzeczał, że jest Polakiem, a dla naszego kraju zrobił tak wiele, jak niewielu innych. Na tle swego pochodzenia nie miał kompleksów – ani wyższości, ani niższości. Ze swoich korzeni był dumny. Zachował do końca piękną polszczyznę i w Polsce swoje wykłady wygłaszał po polsku, bez kartki.

Później spotykałem się z nim w rozmaitych grupach roboczych wysokich szczebli. Poza Waszyngtonem ostatni raz uczestniczyliśmy wspólnie w posiedzeniu Euro-Atlantic Security Initiative w Moskwie. Konferencja się skończyła, wymeldowuję się z hotelu, a tu nagle Wolfgang Ischinger

proponuje, bym odłożył wyjazd, bo kilku z nas jest zaproszonych przez ówczesnego prezydenta Rosji, Dimitrija Miedwiediewa, na nieformalne spotkanie.

Pojechaliśmy – Zbigniew Brzeziński, Ischinger, McFaul i ja – pod Moskwę, do miejscowości Gorki, gdzie swoje drugie rezydencje i gabinety mają notable rosyjskiej elity politycznej. Miedwiediew przyjął nas w otoczeniu swoich doradców i ministra spraw zagranicznych, Siergieja Ławrowa. Była to długa, merytoryczna rozmowa o tym, co można zrobić we wzajemnych stosunkach USA, Europy i Rosji.

Jak Rosjanie reagowali na Brzezińskiego?

Ich stosunek do profesora był bardzo ambiwalentny. Brzeziński był w ZSSR i w Rosji bardzo rozpoznawalną, silną figurą. Z jednej strony obrzucali go w prasie inwektywami i mieli za antysowieckiego, a potem za antyrosyjskiego jastrzębia, upatrując jego krytycznej postawy w polskim pochodzeniu.

Z drugiej strony słuchali go bardzo uważnie, z wielkim szacunkiem. Nie tylko nie ignorowali jego słów, lecz uważali, że zasługują na to, by je dogłębnie przemyśleć. Miałem wrażenie, że Rosjanie również po to rozmawiali z Brzezińskim, żeby lepiej zrozumieć nie tylko świat, lecz przede wszystkim samych siebie. Brzeziński znał się na ZSSR i Rosji jak rzadko kto.

Wiele lat temu w stosunku do ZSSR i Rosji Brzeziński postawił kilka fundamentalnych tez, na początku samotnie, aż jego myślenie okazało się nieledwie profetyczne. Np. uważał, że kluczem do Rosji, jej pozycji w świecie i imperialnych ambicji jest Ukraina. Gdy wiele później inni politycy tak stawiali sprawy, Rosjanie im tego nie wybacжали; prezydent Kwaśniewski nie pełni żadnych znaczących funkcji, np. Sekretarza Generalnego ONZ, ponieważ tam potrzebna jest zgoda mocarstw, a jego nazwisko wywołuje opór Moskwy, bo na przełomie 2004/2005 roku powtórzył myśl Brzezińskiego, że „bez Ukrainy Rosja nie będzie imperium”.

Profesor nie był rusofobem. Zgoda – był przekonany antykomunistą i przeciwnikiem rosyjskiego autorytaryzmu, ale nigdy nie twierdził, że Rosja nie może być demokratyczna. Jego antykomunizm, wynikający z politycznego realizmu, nie ograniczał politycznej wyobraźni.

Zresztą – znów jako jeden z pierwszych – postawił tezę, że światowy ład i porządek w większej mierze zależy od sytuacji wewnątrz kluczowych mocarstw niż od relacji między nimi i od konfliktów międzynarodowych, które stopniowo przesuwają się do regionów peryferyjnych. Świat się zmienia wraz z kolejnymi generacjami kierującymi się kompletnie nowym rozumieniem zachodzących procesów. Brzeziński znakomicie to rozumiał w przeciwieństwie do wielu polityków, był elastyczny w myśleniu, umiał weryfikować i korygować własne sądy.

W 1987 r. zostaje w administracji prezydenta Jimmy'ego Cartera szefem Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Był wtedy głównym doradcą do spraw międzynarodowych. Dwa lata wcześniej został podpisany w Helsinkach Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w nim zasada respektowania praw człowieka i swobód politycznych oraz tzw. „trzeci koszyk”, czyli również obietnica swobodnego obiegu myśli, idei oraz kontaktów między ludźmi – także w krajach bloku sowieckiego.

Brzeziński – podobnie jak jego poprzednik w administracji prezydentów Nixona i Forda, Henry'ego Kissingera – początkowo nie przypisywał wielkiego znaczenia do uzgodnień KBWE. Sądził, że głośne mówienie o prawach człowieka to element „dyplomacji publicznej” i walki propagandowej. Tego zdania był Kissinger, jako zwolennik „Realpolitik” w stylu Metternicha i konserwatysta wierzący w gabinetowe dogadywanie się wielkich mocarstw. Jednak Brzeziński zmienił zdanie. Szybko dostrzegł, że „trzeci koszyk” to parasol ochronny dla dysydentów w krajach bloku sowieckiego, że warto o tym mówić i tego bronić, by wpływać na pokojowe zmiany reżimów. Gdy w 1968 roku wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji, na Placu Czerwonym protestowało 5 osób i nie wiedział o tym prawie nikt. Po konferencji w Helsinkach, czego Brzeziński szybko się domyślił, taka sytuacja byłaby niemożliwa. W efekcie protesty w krajach zależnych od Moskwy i emancypacja narodów zdominowanych przez ZSSR stały się niejako jedną z kluczowych spraw wspólnej polityki Europy i USA. Okazało się, że moralność i etyka to w polityce oręż równie potrzebny, co skuteczny. Pokazała to pierwsza „Solidarność” w 1980 roku.

Gdy Carter w 1981 roku przegrał wybory, Brzeziński odchodzi z czynnej polityki.

Ale w dalszym ciągu należy do ludzi bardzo wpływowych w Waszyngtonie. O rady prosili go zarówno demokraci, jak republikanie, np. w sprawie stanowiska Zachodu wobec stanu wojennego w Polsce. W czasach rządów demokracji Billa Clintona stał się jego nieformalnym doradcą – ze względu na swój ogromny autorytet. Sekretarz stanu Madeleine Albright z dumą podkreślała publicznie, że wyszła z jego szkoły, była studentką profesora Brzezińskiego. Gdy profesor był szefem Rady Bezpieczeństwa Narodowego, narzucił sobie pewne granice w wypowiedziach ze względu na pełnione stanowisko, więc czasami milczał. Z czasów Clintona mógł powiedzieć o wiele więcej, był wobec nowego prezydenta życzliwy, ale też krytyczny.

Zaangażował się bez reszty w przyjęcie Polski i innych krajów regionu do NATO. Taka postawa nie była w amerykańskim establishmentie wcale oczywista, zwłaszcza ze względu na artykuł 5 Traktatu NATO Północnoatlantycki, w którym atak na jeden kraj uznaje się za atak na cały Sojusz. Albright, wzorem Brzezińskiego, upierała się skutecznie, by takie same gwarancje bezpieczeństwa jak Francja lub Niemcy miały w NATO Czechy, Polska, Litwa i wszystkie pozostałe nowe kraje, choć wielu amerykańskich doradców w sprawie nowej strategii Sojuszu po jego rozszerzeniu wcale tego automatycznie nie zakładało. Wpływ i autorytet, jakimi cieszył się Brzeziński, miały w tej mierze posłuch i znaczenie, które naprawdę trudno przecenić.

Był za to bardzo krytyczny wobec George'a Busha juniora i drugiej wojny w Zatoce Perskiej.

Ze względu na Iran i rewolucję islamską z 1979 roku oraz kryzys z zakładnikami pojmanymi w ambasadzie amerykańskiej w Teheranie. To były największe porażki Brzezińskiego.

Ale też z lekcji irańskiej Brzeziński wyciągnął wnioski. W swoim myśleniu nigdy nie trzymał się raz wypracowanych pomysłów. Gdy zbuntowany Iran obalił szacha, Brzeziński ufał, że społeczeństwo nie ulegnie dyktatowi ajatollahów i choć się pomylił, to dla jego rozumowania były solidne przesłanki. Wszak Reza Pahlavi stracił tron i wyemigrował do USA w wyniku rewolucji, którą przeprowadziły nie tylko fanatycznie religijne tłumy, ale też cała irańska lewica, mudżahedini, fedaini.

Na to wszystko nałożył się wyjątkowy pech, czyli nagła, silna burza piaskowa, która uniemożliwiła odbicie zakładników z ambasady przez amery-

kańskie siły specjalne. Dwa helikoptery z komandosami zabłądziły, jeden lądował nie tam, gdzie powinien. Operację odwołano, a podczas odwrotu doszło jeszcze do katastrofy dwóch kolejnych maszyn. Dla USA była to kompromitacja, która musiała Brzezińskiego jakoś naznaczyć.

Zapewne był to jeden z powodów, dla których Brzeziński wyrażał się krytycznie o drugiej wojnie w Zatoce. Ale doskonale rozumiał polskie stanowisko, zgodnie z którym Polska – jako nowy sojusznik USA – powinna zademonstrować sojuszniczą lojalność i traktować swoje zaangażowanie w realizacji strategii Waszyngtonu w Iraku jak swoistą polityczno-wojskową inwestycję na przyszłość, która pozwoli jej oczekiwać wzajemnej lojalności USA wobec siebie, gdyby powstała taka konieczność. Wtedy usłyszałem od Brzezińskiego w Waszyngtonie: „Ameryka błądzi, ale Polska postępuje słusznie”.

Dopiero stosunkowo niedawno Brzeziński zwrócił uwagę na Chiny.

Był przede wszystkim sowietologiem i specjalistą zorientowanym na obserwowanie procesów zachodzących w Rosji, na dodatek w czasach, gdy ZSSR – a nie Chiny – był największym przeciwnikiem USA.

Na Chiny pierwszy zwrócił uwagę Henry Kissinger – nie powiem, że rywal Brzezińskiego, ale z pewnością obaj panowie bardzo się różnili. Kissinger związał swoje polityczne zaangażowanie z Republikanami, a Brzeziński – z Demokratami. To Kissinger namówił prezydenta Nixona na cichą dyplomację, a potem uznanie Chińskiej Republiki Ludowej.

Brzeziński szybko dostrzegł, że ciężar polityki światowej przesuwa się z Europy i Atlantyku na Pacyfik i Daleki Wschód. Był znakomitym analitykiem, nie tylko błyskotliwym, ale też niezwykle logicznym. To właśnie logika doprowadziła go do wniosku, że Chiny stają się w amerykańskiej polityce priorytetem priorytetów i trzeba wyjątkowo uważnie budować wobec nich strategię.

Był bardzo nieszablonowy w myśleniu. W połowie lat 80. napisał w „Foreign Affairs” tekst pt. *Przyszłość Jałty*, którego pierwsze zdanie brzmiało „Jałta nie jest sprawą zamkniętą”. Pamiętam ten artykuł, bo szedł w poprzek utartemu myśleniu. W Polsce Jałta to symbol zdrady, odrzucenia przez Zachód, zmywy przeciwko Polsce. Brzeziński wyrażał inny punkt widzenia. Dla niego zobowiązania z Jałty oznaczały, że w Polsce i w in-

nych krajach przyszłego bloku sowieckiego powinny się odbyć wolne wybory, kraje te miały otrzymać pełną niepodległość i miała tam zapanować demokracja. Dojrzeła – pisał – moment, by nacisnąć na wykonanie jałtańskich postanowień, a więc na wybory i demokratyzację centralnej i wschodniej Europy.

Wszystkie jego teksty i książki kończyły się scenariuszami i zaleceniami na przyszłość. Imponowała mi w nich precyzja, konsekwencja myślenia i właśnie logika. Jego pisanie to zbiór rad i rekomendacji dla osób sprawujących władzę. Gdy zajmował się krytyczną, głęboką analizą, uważał, że powinien również sugerować sposoby rozwiązywania trudnych, kryzysowych sytuacji.

Pierwodruk: *Zbigniew Brzeziński: Strateg, myśliciel, autorytet*. Specjalne wydanie dodatku do „Gazety Wyborczej” – „Na jeden temat” pt. *Zbigniew Brzeziński – „Ale Historia”*, lipiec 2017, nr 1 (rozmowa A. D. R. z Pawłem Smoleńskim), s. 37-41.

Jerzy Bahr (1944-2016)

Ambasador

Jesteśmy warci tyle, ile dajemy z siebie innym. Swoim najbliższym, ludziom w potrzebie, społeczeństwu. Z tej perspektywy życie Ambasadora Jerzego Bahra można uznać za swoisty metr z Sévres. Jego życiowa postawa w służbie publicznej stanowić może punkt odniesienia w ocenie osób pełniących ważne funkcje, a w szczególności tych, którzy działają w służbie dyplomatycznej.

Był Jurek człowiekiem skromnym, wyciszonym, powściągliwym i wrażliwym na ludzką krzywdę i niesprawiedliwość. Stawiał sobie wysokie wymagania i był wyrozumiały wobec innych.

Jurka Bahra poznałem w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, na genewskiej (roboczej) fazie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podczas której przygotowywaliśmy Akt Końcowy KBWE. Dokument ten został podpisany w Helsinkach, na najwyższym szczeblu, 1 sierpnia 1975 roku Jerzy Bahr wspominając ten okres (w książce Jerzego Sadeckiego pt. *Ambasador*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Warszawa 2013) powiedział, że do pracy w MSZ trafił z namowy ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych – Jana Bisztygi. Z czasem został asystentem innego wiceministra – Romualda Spasowskiego, który sugerował Jurkowi wspólny wyjazd na placówkę dyplomatyczną do Waszyngtonu. Jurek podziękował. Zapytał przy tej sposobności, czy mógłby prosić o pomoc w staraniach o wyjazd na placówkę do Bukaresztu. Spasowski spojrział na swego asystenta z rozbawieniem i powiedział: „Panie Jurku, jest

Pan chyba jedyną osobą w tym gmachu, która woli pracować w Rumunii niż w Stanach Zjednoczonych. Cóż, Pański wybór”.

Wcześniej kadry MSZ proponowały Jurkowi wyjazd na placówkę do Wenezueli. Uzasadnienie było proste: „Skoro znacie rumuński, to szybko nauczycie się hiszpańskiego – bo te języki są do siebie podobne”. Jurek uparł się. W końcu otrzymał swoją „wymarzoną” nominację – I Sekretarza polskiej ambasady w Bukareszcie... Odwiedził go tam jeden z naszych wspólnych przyjaciół. Ambasada w Bukareszcie była pierwszą placówką Jerzego Bahra. Kierował wówczas ambasadą pewien pułkownik. „Słyszałem – powiedział mój przyjaciel – że Pański szef wprowadził tu maniery oficerskie”. W odpowiedzi Bahr uśmiechnął się: „Raczej podoficerskie...”.

Takie były początki. Wspominam o nich, ponieważ dla Bahra – później szego Konsula Generalnego w Królewcu, ambasadora w Kijowie, Wilnie, Moskwie i Aszchabadzie – zawsze priorytetem były interesy państwa – Rzeczypospolitej – oraz motywy poznawcze i zainteresowania intelektualne, a nie wartości i korzyści materialne – „mirra, kadzidło i złoto”.

Znał się na sprawach Europy Środkowo-Wschodniej, jak mało kto. Interesował się od wczesnego dzieciństwa językami, kulturą i cywilizacją narodów naszego regionu. W 2005 roku złożyłem oficjalną wizytę na Litwie. Jurek był wówczas naszym ambasadorem w Wilnie. W pewnym momencie przeprosił mnie, że musi wyjść, bo ma umówione spotkanie z nauczycielką języka czeskiego. Odruchowo poprawiłem go: „Chyba litewskiego”. Jurek wyjaśnił, że zrozumiałem prawidłowo – czeskiego. „Koledzy z MSZ sądzą, że szykują się do pracy w Pradze. Nie mam takich planów. Po prostu interesuje mnie czeska kultura i literatura, a język jest kluczem do duchowości narodu”. Swoje pasje i fascynacje w tej mierze zawdzięczał domowi rodzinnemu, a zwłaszcza matce, która „wniosła do rodziny atmosferę czterokulturowej Łodzi, z której pochodziła”. W książce *Ambasador* wspominał: „Mama nadała koloryt mojej fascynacji sąsiadami. Dzięki niej istniałem troszeczkę w każdej z czterech kultur”. Z domu wyniósł też bezinteresowną dobroć i życzliwość dla ludzi. Mówił, że wyprzedaje dobro, które wyniósł z domu.

Przejęty losem bezdomnych dzieci w Królewcu przeznaczył ponad połowę swego uposażenia Konsula Generalnego RP na systematyczne wspieranie domu rosyjskich sierot. Trwałymi śladami obecności Jerzego Bahra na Ukrainie, Litwie i Rosji, są pozostawione – w świątyniach Wilna, Kijowa i Moskwy – ikony i obrazy.



Od lewej: ambasador Jerzy Bahr i Adam D. Rotfeld podczas rozmowy z ministrem spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Siergiejem Ławrowem (tyłem) przed posiedzeniem kolejnej sesji Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych, Moskwa, wrzesień 2009 r.

Sam doświadczyłem Jego ujmujących gestów przyjaźni. Na Litwie szukałem w antykwariatach kopii starej ikony, którą chciałem przywieźć z podróży swojej Żonie Basi – wtedy już ciężko chorej. Jurek towarzyszył mi w tych poszukiwaniach. Po kilku miesiącach przywiózł nam XVIII-wieczną kopię Obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Innym razem podarował mi kafel z regionalnego ukraińskiego pieca, dekorowanego ludowymi motywami Huculszczyzny. Są to dziś jedne z najcenniejszych dla mnie pamiątek – trwałych znaków obecności Jurka w moim mieszkaniu.

Jurek Bahr miał wrodzone poczucie godności. Nie zabiegał o względy i stanowiska. Nie demonstrował wymyślonej wyższości. Z partnerami zagranicznymi rozmawiał bez kompleksów – jak równy z równymi. I to niezależnie od tego, czy byli to Niemcy lub Rosjanie, czy też Litwini, Rumuni lub Ukraińcy. Budził zaufanie, które partnerzy odwzajemniali.

Na uroczystość złożenia urny z prochami do rodzinnego grobowca, na stary historyczny cmentarz w Imbramowicach przyjechali przyjaciele, współpracownicy, dyplomaci. Był poczet sztandarowy. Wystawiony przez V Liceum Ogólnokształcące im. Augusta Witkowskiego w Krakowie, do którego i ja uczęszczałem. Dobrze to świadczy o tej starej szkole z tradycjami, w której ponad 100 lat temu zdawał maturę Józef Beck.

Mszę koncelebrował biskup Tadeusz Pieronek. Ksiądz infułat Jerzy Bryła, znajomy Jurka, powiedział w ostatnim słowie, że Jerzy swoim życiem chciał służyć tylko Rzeczypospolitej. Tak było w istocie. Swoim życiem potwierdzał rzymską dewizę: *Salus rei publicae suprema lex esto*. Służba Ojczyźnie była dla niego prawdziwym zaszczytem i najwyższym prawem.

Część V
**Przesiane
przez pamięć**



Rozmowa z Teresą Torańską w czasie prezentacji tomu rozmów jej autorstwa –
Sq. Rozmowy o dobrych uczuciach

Śmierć spóźnia się o minutę

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawia Teresa Torańska

ADAM DANIEL ROTFELD: Jestem w czepku urodzony. Wiedziałem, że mam na imię Adaś. Wiedziałem, że kiedy rozstawałem się z rodzicami, miałem trzy i pół roku.

TERESA TORAŃSKA: *Inne dzieci nie wiedziały?*

Nie. W domach dziecka po wojnie patrzono mniej więcej na wzrost i starszym do metryki urodzenia wpisywano 1 stycznia 1937, a młodszym 1 stycznia 1939.

Kilka lat temu próbowałem to opisać. Zacząłem. I nagle pomyślałem: ale jak? Jakim językiem? Czy są słowa, którymi da się opowiedzieć o dzieciach zamykanych do szafy lub trzymanyh latami w chlewie?

Co pamięta trzyipółtroczone dziecko?

Oderwane sceny. Łapanki pomieszane z pogromami. Niemcy szli rabować i strzelali. Ciotka upadła na progu domu. Nie wstała.

Schówek. Siedzieliśmy w schowku, rodzice byli zdenerwowani. Staralem się nie oddychać.

Przyjazd zakonnika.

Z klasztoru w Uniowie?

Grekokatolickiego zakonu studytów. Oddalonego od Przemyślan o siedem kilometrów. Odwiózł moich starszych kuzynów oddanych im wcześniej pod opiekę. Nie chcieli tam zostać. Chłopcom z zamożnych domów nie podobało się surowe życie klasztorne.

Zginęli?

Wszyscy.

Zakonnik spytał ojca, ten moment pamiętam dokładnie, wielokrotnie odtwarzałem go sobie w myślach. „Panie doktorze, a może pan oddałby swego syna pod naszą opiekę?”

Mój ojciec był adwokatem. Miał dużą kancelarię adwokacką w Przemyślanach. Czułem, że wszyscy na mnie patrzą. Wstałem. Gotowy do wyjścia.

To było w grudniu 1941 roku. Na podwórzu czekał zaprzężony wóz. Po raz ostatni widziałem rodziców.

Pamięta Pan ojca?

Oczywiście.

Matkę?

Kiedy wydrukowałem w tygodniku „Polityka” fragment swoich wspomnień, odezwała się starsza pani z Katowic, Janina Hrycekowa. Jej syn jest tam znanym lekarzem. Napisała przepiękny list. Ten list przyszedł do mnie jakby z innego świata. Prawie siedemdziesiąt lat temu – miała wówczas osiemnaście lat – spotkała moją matkę na balu prawników w sali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Przemyślanach. Rozmawiała z nią. Moja matka była w seledynowej sukience.

Kilka osób do mnie wtedy się odezwało.

Zadzwoił jeden z dyrektorów departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był wzruszony. Wcześniej go nie znałem. Opisałem jego ojczyma, Franciszka Pawułę, dyrektora departamentu opieki nad dzieckiem w Ministerstwie Oświaty, który w 1951 roku wiózł mnie pociągiem repa-



W sadzie koło domu rodzinnego w Przemyślanach, od prawej: w wózczyku roczny Adaś, za nim stoi starsza siostra Alina (w białej sukience), 1939 r.

triacyjnym z Ukrainy do Polski. „Pan nie ma nawet pojęcia – powiedział – jaką przyjemność pan sprawił mojej mamie. Że ktoś o nim pamięta”.

Inna pani, Hanna Józefiak, przysłała mi kserokopię kalendarza sądowego z 1939 roku z wykazem adwokatów z Warszawy oraz Lwowa i okolic. W Izbie Adwokackiej we Lwowie odnalazłem nazwisko mojego dalekiego kuzyna Adolfa Rothfelda.

Pisanego przez „th”.

Nieme „h” zgubiło mi się w czasie wojny, w trakcie wielokrotnego tłumaczenia dokumentów z polskiego na rosyjski i ukraiński.

W wykazie warszawskich adwokatów znalazłem nazwisko Maurycego Wilhelma Rothfelda – mego stryja, brata ojca, który był także posłem na Sejm Rzeczypospolitej z Równego. A w wykazie adwokatów z Przemysłań znajduje się nazwisko ojca – Leon Rothfeld. I data założenia kancelarii. Rok 1921.

Trzeci z braci Rothfeldów, Józef, był lekarzem w Brzeżanach, a czwarty, Adolf – dyrektorem gimnazjum w Warszawie.

Zginęli?

Tylko Józef miał szczęście. Umarł przed wojną.

A wie Pani, ilu adwokatów było w Przemysłańach? Osiemnastu! A mnie się wydawało – do czasu otrzymania tego spisu – że ojciec był jedynym.

Przemysłań to małe miasteczko, wtedy ponad pięć tysięcy mieszkańców.

Ludziom, gdy pytają, skąd pochodzę, nie mówię, że z Przemysłań. Mówię, że z Podola albo spod Lwowa, bo Przemysłań mylą się im z Przemysłem. Znają Drohobycz, Stryj, Stanisławów, ale kto pamięta, że były w Polsce Przemysłań, Brzeżany, Gliniany, Dublany, Chaliwczany, Brzuchowice. Piękne nazwy, prawda?

W1999 roku byłem na audiencji u Jana Pawła II. Przyjechałem do niego jako dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem. Papież powitał mnie po angielsku.

Czy mogę – zapytałem go – mówić po polsku?



Od lewej: ojciec Danyił (Tymczyna) – wyróżniony pośmiertnie przez Instytut Jad Waszem medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata; w drugim rzędzie trzeci od lewej – Adam D. Rotfeld, monastyr w Uniowie, 1943 r.

„A skąd pan zna polski?”

Jestem z Polski – powiedziałem – a dyrektorem międzynarodowej instytucji, jaką jest SIPRI, zostałem dlatego, że wygrałem konkurs.

To niesamowite, proszę Pani, że tak ułożyło mi się życie. W tym konkursie startowało sześćdziesięciu ośmiu kandydatów, wybitnych naukowców z całego świata, mnie dopisano w ostatniej chwili, na sześćdziesiąte dziewiąte miejsce, i wygrałem. Naprawdę od życia – bez żadnych zabiegów z mojej strony – dostałem więcej, niż oczekiwałem.

Jan Paweł II wsłuchiwał się uważnie, jak mówię, i nagle: „Dlaczego pan ma taki dziwny akcent?” – zapytał.

Przedniojęzykowe „ł” oraz twarde „h”. Herbata i hałas, a nie cherbata i chałas.

Bo jestem – odpowiedziałem mu – potwierdzeniem tezy, że człowiek, który traci swoją ojczyznę, zwłaszcza małą ojczyznę, traci wszystko z wyjątkiem akcentu.

Uśmiechnął się. „Znaczy jest pan z okolic Lwowa” – rozpoznał bezbłędnie. Powiedział: nie ze Lwowa, ale z okolic Lwowa. On też był z innego świata. Tego, który nie istnieje.

Jak Pana rodzice?

Moi rodzice kończyli studia w Wiedniu i w Niemczech. Znali niemiecki i wydawało im się – chyba, bo tego nie wiem, domyślam się tylko – że znają Niemców. Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej nie uciekli do Rosji, zostali w Przemyślanach. Prawdopodobnie uważali, że cywilizacja niemiecka, racjonalny świat, który Niemcy stworzyli, wyklucza zbrodnię. Prawdopodobnie nie przyszło im do głowy, że Niemcy są zdolni do zbrodni. Rosjanie, bolszewicy – tak, ale nie Niemcy.

Jan Karski, zanim zjawił się u Roosevelta, prezydenta Stanów Zjednoczonych, rozmawiał wcześniej z jego przyjacielem Felixem Frankfurterem, sędzią Sądu Najwyższego, który był Amerykaninem żydowskiego pochodzenia, emigrantem z Austrii. Karski opowiedział mu o strasznych rzeczach, które widział w getcie warszawskim, opowiedział, co Niemcy robią z Żydami. I Frankfurter powiedział mu: „Prezydentowi nie radzę o tym mówić, on nie uwierzy. Nikt w to nie uwierzy, w to nie można uwierzyć”.

Znalazłem się w klasztorze. Klasztor w Uniowie wybudowali mnisi belgijscy w XIII wieku. Na kompletnym pustkowiu. Daleko za nim była wieś, bardzo biedna, z chałupami krytymi słomą. W tym klasztorze w czasie wojny mnisi ukrywali trzech chłopców z rodzin żydowskich. I nikt nie doniósł! Choć wszyscy w klasztorze wiedzieli zapewne, kim jesteśmy. Musieli wiedzieć.

Pan... wiedział?

Ja – wiedziałem.

Wiedział Pan, że jest Żydem?

Oczywiście.

Skąd?!

Nie mam pojęcia. Chyba z powietrza.

Może z nazwiska?

Nie, ja swego nazwiska nie znałem. Tylko imię. O swoich rodziców też nikt nie pytałem. W zakonie obowiązywała reguła, że jeden o drugim nic nie mówi i niczego nie stara się dowiadywać. Bo to niebezpieczne. Że najlepiej jest milczeć. Że z nikim – oprócz spraw codziennych – nie należy rozmawiać.

Rozmawiał Pan z kobyłą.

Ale przez sen! Nie na jawie, tylko przez sen. Widocznie tak silna była we mnie potrzeba rozmowy, potrzeba podzielenia się swoimi myślami.

Byłem pastuchem, pod opieką miałem trzynaście krów i trzydzieści owiec. Oraz kobyłę. Śniło mi się, że z nią rozmawiam. Śniło mi się, że jestem pewny, iż cokolwiek bym jej powiedział, nikomu nie powtórzy. Że czuję się przy niej bezpieczny.

Swoją trzódkę pasłem na pastwisku. Pastwisko znajdowało się niedaleko szkoły. To była wiejska szkoła. Stała na wzgórzu, na zakręcie drogi. Była jedynym budynkiem z cegły w całej wsi.

I nagle, niedawno, otrzymuję faks z Cornell University ze Stanów Zjednoczonych. Pisze do mnie profesor Roald Hoffmann, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii, poeta, dramaturg. Ktoś z jego współpracowników wyczytał w polskiej gazecie, że polski minister spraw zagranicznych odwiedził klasztor w Uniowie, w którym był ukrywany, i ufundował dla klasztoru tablicę poświęconą braciom Szeptyckim. Profesor Hoffmann natychmiast postanowił mnie zawiadomić, że on też tam był. Obok! Razem z rodziną. Jacys przyzwoici ludzie ukrywali ich na strychu w budynku szkoły, obok której codziennie ze swoimi owcami i krowami przechodziłem!

Jeżeli kiedyś wrócę do pisania wspomnień, na końcu zamieszczę indeks nazwisk ludzi przyzwoitych, których spotkałem w życiu. Będzie ich dużo, bardzo dużo.

Bracia Szeptyccy?

Klemens, młodszy, był przeorem klasztoru Studytów w Uniowie, potem moim spowiednikiem.

Nikt, kto nie przeżył tamtych czasów, nie jest w stanie docenić, jak wiele odwagi i bezinteresownej życzliwości okazywały klasztory i ludzie Kościoła, pomagając prześladowanym, głodnym, biednym, bezradnym.

Andrzej Szeptycki, lwowski metropolita Kościoła greckokatolickiego, wezwał wszystkie podległe sobie klasztory, by wśród ukraińskich i polskich sierot ukryć również dzieci żydowskie. Choć miał świadomość, że naraża na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale całą wspólnotę. W klasztorach greckokatolickich uratowano sto pięćdziesięcioro dzieci. A wokół świat szalał z nienawiści.

Na górze znajdował się staw hodowlany. Przed wielkimi świętami wyciągaliśmy z niego ryby. Spuszczało się wodę z górnego stawu i kiedy spłynęła do dolnego, z mułu wybieraliśmy ryby do wiader. Któregoś razu poszedłem wyciągać ryby sam. Piekły mnie nogi, miałem stopy popękane od słońca i brudu. Nagle zaczęła się strzelanina. Po jednej stronie stawu strzelali banderowcy, po drugiej jakaś inna grupa bojowników. Staw miał nie więcej niż pięćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów szerokości. Byłem w środku. Kule świ stały mi nad głową. Podbiegłem do krawędzi stawu, przytuliłem się, przeczekałem. Kiedy się uspokoiło, wstałem. Wokół stawu leżało kilku zabitych. Z mnichami wykopaliśmy rów i pochowaliśmy ich w jednym grobie.

Innym razem poszliśmy zbierać jeżyny. Natknęliśmy się na obozowisko. W palenisku żarzył się jeszcze ogień, a wokół leżało ponad pięćdziesiąt trupów. Zostali zabici z zaskoczenia. W trakcie wykonywania porannych czynności. Jedni się myli, inni trzymali łyżki w ręku, ktoś właśnie wstawał z barłogu. Wróciliśmy do klasztoru po łopaty. Wykopaliliśmy rowy.

Pan miał wtedy pięć-sześć lat?

Mniej więcej. Do dziś nie wiem, kim byli ci ludzie, dlaczego zostali zabici, przez kogo. Modliliśmy się za nich w klasztorze.

Zakonnicy ochrzcili mnie. Nadali mi imię Daniel. Przez długi czas myślałem, że dlatego, iż mój wychowawca, mnich, miał na imię Danyło. I nagle po przeszło dwudziestu latach, kiedy żeniłem się z Basią i potrzebowałem oryginalnej metryki urodzenia, w Archiwum Akt Zabuzzańskich odkryłem, że rodzice dali mi dwa imiona: Adam Daniel. Czy mnisi o tym wiedzieli? Czy był to tylko zbieg okoliczności? Nie wiem. Nazywałem się Daniel Czerwiński.

Wierzył Pan w Boga?

Wierzyłem w bardzo konkretnego, z którym można porozmawiać. Który reaguje na moje słowa. Wierzyłem, że nic nie dzieje się bez Jego woli, że Pan Bóg pomaga w nieszczęściu.

I nie rozumiałem, coraz bardziej nie rozumiałem, dlaczego Bóg pozwala na masowe mordy, powszechne bestialstwo. Na żołnierskich pasach Niemcy mieli wypisane: *Gott mit uns*, Bóg jest z nami. I myślałem, coraz częściej, że jeśli Bóg jest rzeczywiście z nimi, to ten Bóg jest niewrażliwy na ludzką krzywdę.

Zwątpił Pan?

Zwątpiłem, że można się do Niego odwołać i o coś prosić.

I zaczął Pan nienawidzić?

Zastanawiałem się, jak ukarać Hitlera. Później, po wojnie. Bo to zło wokół było jego winą, jego osobistą – uważałem. On je w ludziach uruchomił.

Chciał go Pan zabić?

Nie, nie. Zabicie to moment. Hitlera należy zamknąć w klatce – wymyśliłem – i obwozić po świecie jako monstrum.

Kiedy w 1944 roku wkroczyli Rosjanie, sądziłem, że będzie inaczej. Poszedłem do szkoły.

Za czasów niemieckich rozdawano nam podręczniki, w których na pierwszej stronie wydrukowane było ogromne zdjęcie pana z wąsikami otoczonego dziećmi. W kolorze brązowym. Stał i gładził je po głowach. To był Hitler.

W szkole sowieckiej dostaliśmy podręczniki z innym zdjęciem. Czarno-białym. Ale w podobnej scenerii. Jakiś pan z wąsami także stał wśród dzieci i też gładził je po głowach. To był Stalin.

W niemieckich podręcznikach pisano, że Sowietci są komunistami, bolszewikami i zbrodniarzami, a Niemcy – wyzwolicielami. W rosyjskich było odwrotnie. Że Niemcy to faszyci, hitlerowcy i ludobójcy, a Rosjanie nas wyzwolili. Co było zresztą prawdą.

Nie widzi Pan różnicy?

Dziennikarze z tygodnika „Spiegel” zapytali mnie, wiele lat później, jak tłumaczę sobie ten rozmiar horrendalnych zbrodni, których dopuścili się Niemcy. Odpowiedziałem im, że nie rozumiem. Zajmowałem się kwestią niemiecką zawodowo przez siedemnaście lat. Po to, by zrozumieć. I rzucałem to, ponieważ wszystkie socjologiczne czy ekonomiczne wyjaśnienia mogą wytłumaczyć zjawisko, ale nie tłumaczą zachowań poszczególnych ludzi. Jak to się dzieje, że człowiek, któremu wpojono zasady etyczne, wychowano go na Dekalogu, nagle zaczyna akceptować ludobójstwo? Bo różnica między stalinizmem a hitleryzmem polega na tym, że stalinizm obiecywał świetlaną przyszłość, za którą należy zapłacić jakąś nieprawdopodobnie wysoką cenę. I jeżeli ktoś był fanatykiem komunizmu, gotów był wierzyć, że osiągnięcie tego celu warte jest poświęcenia ludzkiego życia. „Jednostka niczym, jednostka zerem”. Wielu przyzwoitych ludzi w tę świetlaną przyszłość, niestety, uwierzyło. Co im zresztą – dorzucę na marginesie – do dzisiaj się wytyka. Kiedy jednak zorientowali się, że popełnili błąd, stawali się najostrzejszymi krytykami komunizmu.



W rozmowie z ambasadorem Sławomirem Dąbrową po zakończeniu jego działalności dyplomatycznej i przejściu do pracy naukowo-dydaktycznej.

Hitler zaś od początku mówił otwarcie, że zamierza mordować. On nikogo nie oszukiwał. Mówił, że naród niemiecki ma prawo być narodem panów i że gorszą – według niego – rasę należy zlikwidować: Żydów, częściowo Słowian. Niemcy więc, akceptując faszyzm, akceptowali zbrodnię. W Niemczech nie było rodziny, w której by jakiś jej członek nie był zaangażowanym nazistą. Tak jak w ZSRR trudno jest znaleźć rodzinę niedotkniętą prześladowaniami.

Był rok 1944 i do naszego klasztoru w Uniowie zaczęły przyjeżdżać rodziny. Zabierały swoje dzieci. Czekałem. Każdego dnia ich wyczekiwałem.

Przeżyła Pana starsza siostra.

Nie wiedziałem. Długo nie wiedziałem. Po mnie nikt się nie zgłaszał. Dlaczego?! Może...

Słyszałem, jak zakonnicy między sobą mówili, że gdzieś na szosie zamordowano jedenastu Żydów. Cudem przetrwali wojnę i szli odebrać swoje dzieci.

Raptem z klasztoru w Uniowie zniknęli nasi dwaj żydowski chłopcy. Rano zobaczyłem, że ich nie ma. Rodziny zabrały ich w nocy, po kryjomu. Nie znałem ich prawdziwych imion i nazwisk.

I nagle w 1989 roku zadzwonił w moim domu telefon. To naprawdę zupełnie nieprawdopodobna historia, proszę Pani. Na świecie jest przecież sześć miliardów ludzi! Telefon odebrała moja żona Basia. Dzwonił ktoś mówiący po polsku z obcym akcentem. Pytał o mnie. Spotkaliśmy się. Opowiedział – w telewizji francuskiej wyświetlono film *Au revoir les Enfants* Louisa Malle'a.

Do zobaczenia, chłopcy, *pokazywany też w Polsce.*

Tak, tak, ale go wtedy jeszcze nie widziałem.

Po projekcji filmu odbyła się dyskusja. Wystąpili w niej dwaj mężczyźni, uratowani w czasie wojny w klasztorze niedaleko Lwowa. Jeden mieszkał w Ameryce, w stanie Connecticut, drugi osiedlił się w Izraelu. Powiedzieli, że szukają trzeciego. Jego nazwisko – pamiętali – „miało coś wspólnego z czerwienią”. Ktoś z Przemysłań mieszkający we Francji sko-

jarzył je ze mną. Jechał do Polski i postanowił mnie odnaleźć. „Może to chodzi o pana?” – zapytał nowy znajomy.

Szukali mnie: Oded Amarant, na którego w klasztorze wołaliśmy Doroko, i Leon Chameides, dla mnie Łewko Chamiński. Mam ich na zdjęciu. Stoimy w grupie chłopców z mnichem Danyłą. Ta fotografia z 1943 roku to jedyna rzecz, która zachowała mi się z pobytu w Uniowie. Oni też ją mają. Nawiązaliśmy korespondencję. A potem z Łewkiem się spotkaliśmy. W 1994 roku, dokładnie po pięćdziesięciu latach. Mieszka w West Hartford, w stanie Connecticut. Jest znanym pediatrą kardiochirurgiem.

Kiedy zobaczył Pan siostrę?

W 1946 roku chyba. Pojawiła się w klasztorze z eskortą. Byli z nią dwaj żołnierze. Bała się sama przyjechać. Nie poznałem jej.

A ona Pana?

Przyprowadzono ją do mnie, to poznała. Na pewno bardzo chciała mnie poznać. Była ode mnie starsza o jedenaście lat. Opowiedziała: rodzice uciekli z getta do lasu. Sto pięćdziesiąt rodzin żydowskich ukrywało się w lesie. Nasz ojciec kupował im żywność u okolicznych chłopów. Zimą 1942 roku kierownik jednej z wiejskich szkół, Ukrainiec, zaproponował, by rodzice na czas świąt Bożego Narodzenia przenieśli się do niego do stodoły. Żeby się trochę wzmocnili. Rodzice byli wycieńczeni. Ktoś ze wsi zauważył, że ten kierownik nosi do stodoły jedzenie. Doniósł ukraińskiej policji. Rodziców odstawiono do więzienia w Przemyślanach. Mieściło się w podziemiach sądu, w którym ojciec występował przed wojną jako obrońca. Strażnikiem więzienia był dawny woźny sądowy. Podszedł do ojca, znał go. Powiedział: „Nie wiadomo, co się z panem stanie, panie doktorze, ale jeżeli chce pan zostawić jakąś wiadomość swoim dzieciom, to proszę napisać, ja im ten list po wojnie przekażę”.

Rodziców stracono. Siostra – do wejścia Rosjan, czyli do lata 1944 roku – przetrwała w lesie, wyszła z lasu w koszuli nocnej. Nie wiedziała, gdzie jestem. Wiedziała tylko, że gdzieś zostałem oddany na przechowanie. Miała siedemnaście lat. Wróciła do Przemyślan. Strażnik ją odnalazł, oddał list ojca.

Był w nim Pana adres?

Może niedokładny, może jakoś zakamufLOWany. A może tylko ze wskazówką, by po informacje o mnie poszła do tego czy innego. Nie widziałem tego listu. Siostra od dawna nie żyje. Mam do siebie pretensję. Za mało ją wypytałem.

Nie mogła mnie zabrać z klasztoru. Nie byłyby w stanie mnie utrzymać. Pracowała w fabryce spirytusu, zarabiała grosze, uczyła się w technikum chemicznym. Zostałem w Uniowie.

Do klasztoru przyjechało NKWD. Byłem przy tym, jak archimandrytę, a zarazem ihumena, czyli przeora Klemensa Szeptyckiego wsadzano do samochodu. Był prawie niewidomy, bardzo stary. Z ledwością się poruszał. Długa broda, wysuszona, szlachetna twarz, bardzo wysoki. Wszyscy Szeptyccy byli niezwykle wysocy. Andrzej, metropolita Lwowa, miał ze dwa metry, Klemens – ponad metr dziewięćdziesiąt.

Nosiłem mu paczki z klasztoru do więzienia w Przemyslanach. Więzienie mieściło się w gmachu NKWD. Przed wejściem wisiało dwóch młodych mężczyzn z opuszczonymi spodniami. Z genitaliami na wierzchu. Nigdy tego nie zapomnę. Zabili ich i powiesili. Spuścili im spodnie, żeby ich po śmierci poniżyć. Na koszulkach mieli przyczepione karteczki: „Walczyłem przeciwko władzy radzieckiej”.

Po ukraińsku?

Nie, po rosyjsku. Ludzie omijali tę ulicę, by na nich nie patrzeć.

Pewnego dnia paczki nie przyjęto. W klasztorze podejrzewano, że ihumen Szeptycki zmarł w więzieniu albo że go zabito.

Co z nim się stało naprawdę, dowiedziałem się po latach od Szwedów, szukających śladów Raoula Wallenberga – dyplomaty, który jako sekretarz poselstwa szwedzkiego na Węgrzech uratował wiele tysięcy Żydów przed zagładą i aresztowany przez Armię Czerwoną w Budapeszcie w styczniu 1945 roku, zaginął. Szwedzi odkryli, że Wallenberg siedział z Klemensem Szeptyckim we Włodimirze nad Kłazmą w jednej celi i ustalili, że Klemens zmarł 1 maja 1951 roku.

Jego starszy brat Andrzej miał więcej szczęścia. Umarł 1 listopada 1944 roku i nie zdążył doświadczyć prześladowań. Od lat ciężko chorował, był spa-

ralizowany. Cały Lwów wyległ na jego pogrzeb. Przybył nawet Nikita Chruszczow, pierwszy sekretarz Ukrainy. Z takimi honorami nie żegnano w Związku Radzieckim żadnego hierarchy Kościoła. Stalin nie powziął jeszcze decyzji o likwidacji Cerkwi grekokatolickiej. Kilka miesięcy później decyzja już była. Podjęto na wielką skalę operację zniesławienia i fizycznej eliminacji hierarchów tego Kościoła. Opisana jest ona w wydanych kilka lat temu dokumentach z archiwum NKWD, przysłał mi je kardynał Lubomyr Huzar, głowa Kościoła grekokatolickiego. Przerażający obraz kłamstwa i zbrodni. I zarazem świadectwo szlachetności, bohaterstwa i męczeństwa braci Szeptyckich.

Cerkiew grekokatolicką zdelegalizowano w 1946 roku.

Rok później rozwiązano mój klasztor. Mnichom pozwolono jeszcze zostać, a dzieci przewieziono do Domu Dziecka w Złoczowie. Kierownik spojrział na mnie i zapytał: imię, nazwisko, imię ojca.

Daniel Czerwiński.

„A otczestwo?”

Nie znam.

„Nu, ładno – powiedział – ja Borys, to ty będziesz Borysowicz”.

Zrobił to spontanicznie. Dał mi w ten sposób – tak myślę – do zrozumienia, że w razie problemów mogę na niego liczyć. Jego też – jeśli kiedyś spiszę swoje wspomnienia – wciągnę na listę tych przyzwoitych.

A z nieprzyzwoitymi co Pan robi?

Wie Pani, to może dziwne. Ale ja chyba ich nie spotykałem.

Musieli być!

To widocznie wyeliminowałem z pamięci. Nie pamiętam złych ludzi.

Nie chce ich Pan pamiętać, prawda?

Nie chcę. Osądzanie ludzi rzuconych w ekstremalne warunki jest zbyt łatwe.

W Domu Dziecka w Złoczowie nie podobało mi się. Czuję, jakby przetrzucono mnie ze świata normalnego do sztucznego.

Co było sztuczne?

W klasztorze nie było elektryczności. Chodziło się wcześniej spać i wcześniej się wstawało. Czytało się przy świetle dziennym lub przy lampie naftowej. Lampy były odrutowane. To ochraniało szkło przed zbiciem i można było z nimi wejść do obory czy stajni bez obawy, że od płomienia zajmie się słoma lub siano.

Czas zorganizowany był według pór roku. W marcu szło się do lasu nacinać korę brzoź, by zebrać sok. W lecie był zbiór kwiatów lipowych, w czerwcu i sierpniu zbierało się jeżyny i maliny. Setki kilogramów. Na sok i konfitury. W lipcu, sierpniu żęto się zboże, proso, grykę. Potem zbierało się jabłka. Z jabłek robiło się susz (były do tego specjalne piece) oraz kisilo się je w beczkach, przekładając kapustą. Jesienią zaczynały się wykopki.

A w Domu Dziecka w Złoczowie prowadzano nas do łaźni w szortach czwórkami i trzeba było chodzić na wieczorne apele. Na apelach śpiewaliśmy po rosyjsku hymn „Naprzód młodzieży świata”. Ten hymn wydawał mi się okropny. To ja mam codziennie go śpiewać? No, nie – pomyślałem. Po kilku dniach stwierdziłem, że nie wytrzymam. Zmówiłem się z dwoma kolegami, że wracamy do Uniowa.

Kiedy wszystkie dzieci czwórkami szły do szkoły, urwaliśmy się. Był styczeń 1947 roku. Nie mieliśmy butów. Tylko kilka par kapci z wołoku. Musieliśmy pokonać sześćdziesiąt kilometrów. Odmroziłem sobie nogi.

Swędzą?

Zostały blizny.

Szliśmy drogą zasypaną śniegiem. Pamiętam śpiew drutów telegraficznych. Przy silnym mrozie i wietrze zawodzą i świszczą. Gdy na drodze pojawiała się ciężarówka, kryliśmy się w rowach. Baliśmy się, że po nas.

Zakonnicy, gdy nas zobaczyli – zgłodniałych, z ranami na nogach – byli wniebowzięci. Jak właściciele, którym zagubił się pies i nagle odnalazł.

W klasztorze mnisi już nie chodzili w sutannach i habitach, ale w prostym, chłopskim odzieniu.

Potem wywieziono ich na Syberię?



Wieczór sylwestrowy w domu Aliny i Ryszarda Kapuścińskich; od prawej:
Barbara Sikorska-Rotfeld, Iza Nowak, Ryszard Kapuściński, Alina Kapuścińska i Adam D. Rotfeld,
Warszawa, 31 grudnia 2000 r.

Wielu. Znowu był strach. Klasztor – nie mówiono o tym, ale domyślałem się – sympatyzował z banderowcami i potajemnie im pomagał. Być może drukował także ich wydawnictwa. W podziemiach cerkwi była drukarnia, widziałem ją. Oficjalnie drukowało się w niej Biblię, modlitewniki, psalmy.

Zaczęła się akcja wywożenia ludzi na Syberię. Jedyna forma przetrwania, myślałem, to wtopić się w otoczenie, stać się niewidocznym.

Ludzi ładowano do ciężarowych samochodów. Później rodziny zesłanych przychodziły do klasztoru, by odczytywać im listy nadchodzące z Syberii i Azji Środkowej. Miejscowi chłopcy byli przeważnie niepiśmienni. Pełniłem funkcję pisarza. Czytałem te listy i odpisywałem.

Jesienią, po wielkiej suszy, napłynęła do Uniowa ogromna fala głodujących uciekinierów. Stali pod klasztorem w ponadkilometrowej kolejce po miskę zupy z bobu i warzyw. Byli opuchnięci z głodu, nie mieli siły stać. Jeden poprosił mnie o kromkę chleba w zamian za jajko. Jajko było dla mnie atrakcją. Postanowiłem zjeść je w stodole, obierałem delikatnie, było dziwnie miękkie. Takich nie znałem. W klasztorze dostawaliśmy jajka na twardo raz w roku, przy okazji świąt wielkanocnych. Uznałem, że jest zepsute. Cisnąłem w belkę stodoły. Rozprysło się. Miałem poczucie, że zostałem nabrany.

Z końcem 1949 roku odwiedziono mnie do siostry, do Przemyślan. Wyszła za męża. Za powracającego z Niemiec żołnierza, sierżanta Armii Czerwonej, był Jakutem. Oboje pracowali w fabryce spirytusu, on jako księgowy, ona – laborantka.

Siostra powiedziała mi, jakie jest moje prawdziwe nazwisko. Jakie imiona nosili nasi rodzice. Zastanawiałem się kilka dni i podjąłem decyzję: wrócę do swego prawdziwego nazwiska. Przy najbliższej okazji.

Dla... nich?

Nie. Wtedy o tym nie pomyślałem. Uznałem tylko, że to bez sensu udawać kogoś innego.

Wielu swoje nazwiska właśnie zmieniało.

Wiem. W tym samym czasie dużo ludzi w Polsce dokonywało zabiegu odwrotnego. Ja ich rozumiem. Oni mieli straszne przeżycia wojenne, chcieli się od nich odciąć. Uważali, że jak zmienią nazwisko, przestaną się

wyróżniać. Wtopią się w otoczenie, staną się częścią polskiego społeczeństwa i pozbędą się wszystkiego, co ich wyróżnia, wszystkiego, co stanowi zagrożenie.

Dobrze zrobiłem. Do dziś uważam, że była to bardzo słuszna decyzja.

Znowu był głód. Żywiliśmy się głównie pokrzywą. Poszedłem do szkoły. Pamiętam sympatycznego dyrektora. Nazywał się bodaj Petrenko. Został aresztowany i skazany na dwadzieścia pięć lat łagru. Mówiono, że za nacjonalizm i kolaborację z Niemcami w czasie wojny.

Aresztowano męża mojej siostry. Z fabryki wynoszono spirytus, więc wsadzono wszystkich jak leci, winnych i niewinnych. Nosilem mu do więzienia papierosy. Zarabiałem też jakieś grosze, roznosząc mleko. Kiedy je przynosiłem do żony dyrektora fabryki (uśmiech), zapraszała mnie na śniadanie.

Skąd uśmiech?

Bo codziennie rozgrywała się taka sama scena. Ona mnie zapraszała, a ja broniłem się grzecznie przed zaproszeniem. Uważałem, że mój honor i godność nie pozwalają mi korzystać codziennie z jej gościnności. Potem ulegałem jej namowom, siadałem i jadłem (śmiech). Widzę tę scenę. Różne sceny mi się teraz przypominają.

A tamta?

Ona w szlafroku. Bardzo to było zabawne – lekko rozchylonym. Miała dość kokieteryjny sposób bycia. A ja byłem strasznie głodny.

Miał Pan dwanaście lat?

Mniej. Może jedenaście.

Jak o tym teraz myślę, to jakbym myślał o innej cywilizacji. Tamta rzeczywistość była tak totalnie różna od obecnej, że łapię się często na tym, iż nie sposób jej opisać. Jest dzisiaj niezrozumiała. Brakuje języka adekwatnego do zjawisk, o których chce się opowiedzieć.

Pewnego dnia pojawili się u nas w domu dwaj oficerowie NKWD. Wciąż jeszcze oficjalnie nazywałem się Daniel Czerwiński. Powiedzieli, że mnie

– Adama Rotfelda – poszukuje polska ambasada w Moskwie. Zapytali, czy zgadzam się wyjechać do Polski. Odpowiedziałem: tak.

Od razu?

Tak.

Bez namysłu?

Bez.

Jak wtedy, gdy przyszedł mnich i Pan wstał?

Ogromną liczbę decyzji, jakie podjąłem w życiu, podejmowałem odruchowo, bez zastanowienia. Gdybym poddawał je chłodnej analizie, prawdopodobnie moje życie potoczyłoby się inaczej. Chyba gorzej.

Ale że Pana odnaleźli?

No właśnie. To ciekawe.

Wiele lat później, w latach siedemdziesiątych, byłem w Moskwie na konferencji naukowej. Z zaprzyjaźnionym profesorem, Rosjaninem, wyszliśmy na ulicę, żeby spokojnie porozmawiać. Spacerowaliśmy i on nagle rzekł:

„Ten system musi upaść”. To powiedział Rosjanin. Byłem zszokowany, że miał odwagę. Pomyślałem: skoro tak uważa, może powinienem mu uwierzyć?

„Tutaj nic dobrze nie funkcjonuje” – powiedział. Wyjaśnił dlaczego: „Tu wszystko jest dysfunkcjonalne”.

No, wiesz – zaprotestowałem – znam instytucje...

„Tylko nie mów – przerwał mi – że metro dobrze funkcjonuje”.

Przechodziliśmy obok Łubianki. KGB – pokazałem.

„To jest mit” – powiedział.

Nie, to nie jest mit. Opowiedziałem mu. W 1950 roku miałem dwanaście lat, nazywałem się Daniel Czerwiński, mieszkałem z siostrą w Przemyślanach. Tereny te były świeżo inkorporowane do Związku Radzieckiego.

Oni nie mieli, bo nie mogli jeszcze mieć, rozbudowanej sieci informatyków czy konfidentów. I nagle przychodzą do naszego mieszkania i pytają o Adama Rotfelda.

Bo siostra jak się nazywała?

Po wyjściu za mąż – Alina Łobanow. Oni do mnie doszli jak po nitce do kłębka – powiedziałem temu rosyjskiemu profesorowi. Oni odnaleźli jak igłę w stogu siana.

Jeden z nich, wychodząc od nas, był już w drzwiach, przystanął i zapytał: „A ty właściwie dlaczego chcesz jechać do Polski?”. Zapytał prawdopodobnie przez ciekawość. Jego zaintrygowało, że dziecko, które żyje w najlepszym ze światów – bo tak oni uważali, naprawdę tak uważali – że to dziecko, żyjące w raju po prostu, samo dobrowolnie chce ten raj opuścić.

Odpowiedziałem, że nigdy w Polsce nie byłem, chcę ją zobaczyć i jak nie będzie mi się tam podobać, to wrócę.

Z dzisiejszej perspektywy ta odpowiedź brzmi ironicznie. Bo nie jest przecież prawdą, że w Polsce nigdy nie byłem. Byłem. I to nie ja Polskę opuściłem, tylko Polska odjechała ode mnie. Z Przemyslan do nowej granicy jest bodaj siedemdziesiąt kilometrów.

Siostra zostawała?

Tak, miała już dziecko, córkę. Dopiero po 1956 roku rozwiodła się z mężem i sprowadziłem je obie do Polski, kilka lat później umarła.

W Przemyslanach więc Pana nie zatrzymywała?

Nie. I ona, i ja wiedzieliśmy, że dla mnie ten wyjazd jest szansą. Szansą na zmianę środowiska, na uczenie się. W Związku Radzieckim moja edukacja skończyłaby się na przyfabrycznej szkole zasadniczej – *fabryczno-zawodskoje obuczennije*.

Wsadzili mnie do pociągu. Zatrzymywaliśmy się w różnych miastach. Na kilka dni. Do pociągu wsiadały kolejne dzieci. Wczesną wiosną 1951 roku dotarłem do Grodna. W Grodnie nas umyto oraz przebrano w nowe ubrania i ciężkie zimowe płaszcze. Do Polski jechało ponad trzy tysiące

dzieci. Pozbieranych z całego Związku Radzieckiego. Na murach miasta wisiały ogromne napisy: „Dziękujemy Drogiemu Stalinowi za szczęśliwe dzieciństwo”.

Jeśli kiedyś napiszę autobiografię, zatytułuję ją „W czepku urodzony”, a pierwszy rozdział będzie się nazywał „Szczęśliwe dzieciństwo”.

Żeby zabrzmiał jak ironia?

Nie, proszę Pani. Ja naprawdę uważam, że nie miałem najgorszego. W moim pokoleniu miliony ludzi doświadczyło przeżyć dużo bardziej dramatycznych. Bo co bym na przykład czuł, gdyby moich rodziców aresztowano i torturowano, a mnie nakazano wstydzić się za nich? I ja wbrew sobie musiałbym ich publicznie potępić, żeby im nie zaszkodzić?

Albo co stałoby się ze mną, gdybym trafił – jak jeden z moich przyjaciół – do pracy w kopalni? Jego matkę zamknięto w więzieniu, a jego zesłano zamiast do domu dziecka, do kopalni. Miał dwanaście, trzynaście lat!

Nie, nie, ja wtedy w tych radzieckich napisach nie widziałem żadnej ironii. Napis jak napis. Oznaczał dla mnie tyle co nazwa stacji czy „zakaz palenia”. Nie czułem też śmieszności, gdy podczas wyborów pisało się tam: blok bolszewików i bezpartyjnych (śmiech).

Dojechaliśmy do Dusznik-Zdroju. Przez dwa miesiące do Państwowych Domów Wczasów Dziecięcych – Odra, Nysa i Bałtyk – zgłaszały się rodziny. Nie odebrano tylko mnie oraz Adama Seinfelda i Litwina z malutką siostrzyczką.

Kto się więc o Pana upomniał?

Odszukałem ich później. To byli starsi ludzie, przed wojną znali moich rodziców. Wiedzieli, że ojciec mnie gdzieś ukrył. Przypuszczali, że dzięki temu przeżyłem i napisali do ambasady polskiej w Moskwie, by mnie odnaleźć. On wykładał na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Byli bardzo biedni, stracili wszystko na Wschodzie, mieszkali w jednym pokoiku. Zawiadomiono ich – dali mi to pismo – że „dzięki przychylnemu ustosunkowaniu się rządu radzieckiego (...) i na skutek starań ambasady RP w Moskwie odnalezione zostało i repatriowane do Polski dziecko Daniel (Adam) Rotfeld i może być w każdej chwili przekazane rodzinie”.



Wręczenie Nagrody Pojednania Polsko-Ukraińskiego, kardynał Stanisław Dziwisz, Łagiewniki 2007 r.

Oni strasznie się ucieszyli, że jestem w Polsce, że im udało się mnie do Polski sprowadzić. Ale nie byli w stanie się mną zająć. Mieli zresztą własne dziecko.

Naszą czwórkę przewieziono do Domu Dziecka w Krakowie. Były w nim sieroty wojenne, głównie żydowskie. Zmartwiłem się. Nie chciałem być w żydowskim sierocińcu. Co za pech – myślałem. Zaczęły się kłopoty. Czuliłem się nieszczęśliwy. Ale trudno, nie mam innego wyjścia – doszedłem do wniosku. Jest nowa sytuacja, muszę zostać, na razie trzeba się rozejrzeć, co z tego wyniknie.

Stałem spokojnie razem z Adamem Seinfeldem oraz Litwinem i jego siostrzyczką. On był wysoki, miał ze czternaście lat, a ona malutka – z siedem. Cały czas trzymał ją za rączkę. Nagle wyszli do holu i my z Adamem zostaliśmy sami. Spojrzał na mnie i zapytał: „Zostajesz tutaj?”.

A co mam robić? – odpowiedziałem. A on, że nie, że tutaj nie zostanie. Nie? Dlaczego nie?

„Tu są Żydzi” – powiedział.

Przecież ty też jesteś Żydem, nie udawaj.

„Nie – rzucił się na mnie – ja nie jestem Żydem. Ja jestem katolikiem, ja wierzę w Pana Jezusa”. I zaczął mnie bić. Adama w czasie wojny wychowywała katolicka rodzina w Drohobyczu.

Kiedy weszła kierowniczka Domu Dziecka, pani Eugenia Gostyńska, turlaliśmy się pod stołem. „Chłopcy – była przerażona – co wy tam robicie?!”.
Wyczołgaliśmy się spoceni, było gorąco, lipiec, a my w ciężkich grubych zimowych płaszczach. I Adam ze łzami w oczach zaczął jej tłumaczyć: „Ja nie chcę tu zostać, tu są Żydzi, ja nie jestem Żydem, ja z Żydami nie chcę mieć nic wspólnego, ja wierzę w Jezusa Chrystusa!”.

„Chłopcze – uspokajała go pani Gostyńska – nikt ci tutaj nie zabrania wierzyć w Pana Jezusa. Możesz wierzyć, jak chcesz i w kogo chcesz, masz prawo”.

„Chłopcze – uspokajała go pani Gostyńska – nikt ci tutaj nie zabrania wierzyć w Pana Jezusa. Możesz wierzyć, jak chcesz i w kogo chcesz, masz prawo”.

To było w 1951 roku, a w 1955 Adam jako jeden z pierwszych wyjechał do Izraela, zmienił nazwisko na Nir, by brzmiało po hebrajsku, wstąpił do wojska i stał się gorącym izraelskim patriotą.

Znał Pan polski?

Troszeczkę. Z siostrą rozmawialiśmy mieszaniną ukraińsko-polską. Ale to nie był problem. Po dwóch miesiącach swobodnie się porozumiewałem.

Język, jak się go znało w bardzo wczesnym dzieciństwie – a ja znałem, bo rodzice przecież rozmawiali ze mną po polsku – szybko wraca. Popęniałem tylko masę błędów, na fabrykę mówiłem „zawod”, o synach króla powiedziałem raz „króliki” i cała klasa się wtedy śmiała.

Przykre?

Nie, nie. Z polskiego i historii po kilku miesiącach nie miałem sobie równych.

Dom Dziecka w Krakowie był piękny, bogato wyposażony przez amerykańskie organizacje charytatywne. W tamtej biedzie, dzisiaj niewyobrażalnej, dzieci w domach sierot znajdowały się często w dużo lepszej sytuacji bytowej niż te w normalnych rodzinach. W naszym domu magazyny były pełne nowych ubrań. Mogłem wybierać, co chciałem. Mogłem być najlepiej ubranym chłopcem z całej szkoły.

I szpanować?

Ale nie chciałem, mnie to nie interesowało. Nam, sierotom, naprawdę w tamtych realiach niczego nie brakowało. Ani jedzenia, ani ubrania.

Tylko rodziny?

No tak. Ale dzieci miały poczucie wspólnoty. Wynikające z przekonania, że poza sobą nikogo nie mają. I była pani Gostyńska, nasza kierowniczką. Kobieta nieskończenie dobra. W pewnym momencie chciała mnie nawet zaadoptować.

W czasie lekcji ktoś wszedł z dyrektorem do klasy i powiedział, że jestem wezwany do sądu dla nieletnich. Nie kojarzyłem, o co chodzi. Sprawa o adopcję. Pani sędzia pyta: „Czy małoletni się zgadza?”. Mówię: – Nie.

Nie chciał Pan mieć rodziny?

Nie. Sam chciałem o sobie decydować.

„Dlaczego nie?” – pyta pani sędzia. Była zaskoczona. Myślała, że sprawa jest uzgodniona. Mówię: – Jestem za duży, adoptować można dzieci niemające świadomości. Pani Gostyńska została moją opiekunką prawną.

Wkrótce, chyba w 1952 roku, połączono dwa domy sierot wojennych. Dzieci ze Śródborowa koło Warszawy przywieziono do Krakowa. Z dyrektorem i dyrektorem. Uznaliśmy, że wieś zjechała do miasta. Panią Gostyńską odsunęto, a dyrektor ze Śródborowa został dyrektorem całego Domu. Był pedagogiem z ambicjami. Dyscyplina, posłuszeństwo, narzucanie swoich wyobrażeń, jak żyć. I metody wychowawcze, których my, dzieci krakowskie, nie chcieliśmy zaakceptować.

Komunista?

Nie. Ale jak wielu uważał, że wszystko, co przychodzi ze Związku Radzieckiego, jest postępowe. Wierzył więc w Antona Makarenkę, najslawniejszego wówczas radzieckiego pedagoga, tego od *Poematu pedagogicznego* który wymyślił system wychowania kolektywnego.

Pewnego razu – by nas zdyscyplinować – nasz dyrektor postanowił za niesubordynację ukarać dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Karą miało być odesłanie ich na jakiś czas do innego domu dziecka. Byłem wiceprzewodniczącym rady dziecięcej. Żona dyrektora poprosiła mnie – ona była kierowniczką pedagogiczną – bym poparł tę decyzję i zakomunikował dzieciom, że jest to decyzja kierownictwa Domu Dziecka i samorządu. Rozmowa odbywała się w ich mieszkaniu. Powiedziałem, że tego nie zrobię. Miałem trzynaście lat. Kierowniczka się obruszyła: dlaczego?

To byli przyzwoici ludzie. Zebrali sieroty z Azji Środkowej, często bezimiennie, po rodzicach zesłanych na Syberię lub rozstrzelanych, przywieźli je do Polski, opiekowali się nimi. Ale byli zideologizowani.

Odpowiedziałem, że tego nie zrobię, ponieważ uważam, że kara jest niesprawiedliwa. Ta czwórka dzieci została okrutnie doświadczona przez los i wydalanie ich z domu dziecka, w którym czują się dobrze i bezpiecznie, jest najgorszą, najbardziej poniżającą karą, jaka może ich spotkać. I wtedy pani kierowniczka powiedziała do męża: „Mówiłam ci, że on jest oportunistą”.

Czyli?

Nie znałem tego słowa. Zajrzałem do *Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej*, polskiej jeszcze nie było. Pod hasłem „oportunizm” przeczytałem, że jest to

odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne w ruchu robotniczym z czasów II Międzynarodówki Komunistycznej. I że oportunistą jest ten, kto nie przyjmuje radykalnej leninowskiej linii partii. Nie przyjmuje zaś dlatego, że ulega nastrojom swojego środowiska, w tym wypadku klasy robotniczej. A ulega po to, by się tej klasie robotniczej przypodobać.

A kto oportunistą nie jest?

To bolszewik, który realizuje linię partii wbrew tym robotnikom. Dlatego według kierowniczkii Domu Dziecka powinienem wystąpić przeciwko dzieciom. Jak bolszewik.

Bo według niej bronił ich Pan, by się im przypodobać?

Wyłącznie. Innej możliwości nie dostrzegała.

Ten termin zresztą w tym znaczeniu funkcjonował do końca Polski Ludowej. Oportunistami stawali się wszyscy, którzy zawiedli partię, zeszedli z pozycji partyjnych.

Do ZMP Pan należał?

Krótko. W liceum imienia Augusta Witkowskiego w Krakowie. Ale usunięto mnie. Za opowiadanie politycznych dowcipów.

No, no, jakich?

Nie, nie, pamiętam tylko jeden, prymitywny, głupawy i antysemitowski w gruncie rzeczy.

A może...

Pan Bóg nie miał wiadomości, co się dzieje w Polsce, i wysłał tam Świętego Piotra. Nadeszła do niego depesza: *wsio choroszo, komandir Pietrow*.

Pan Bóg się zirytował, że nie ma w niej żadnych konkretów, i wysłał do Polski Mojżesza. Mojżesz napisał: *ledwim stąpił na polskim łądzie, jużem w rządzie*.

Skąd Pan znał takie dowcipy?

Z krakowskiej ulicy.

Koledzy z klasy stanęli w mojej obronie. Liceum Witkowskiego to było jednak liceum z dobrymi tradycjami. Ukończył je przed wojenny minister spraw zagranicznych Józef Beck i nie ukończył, bo przed maturą został relegowany, PRL-owski premier Józef Cyrankiewicz.

To, proszę Pani, niesamowite, miałem dziesiątki przeprowadzek w życiu, pogubiłem masę rzeczy, a te pisma szkolnych kolegów – wystukane na maszynie niezdarną polszczyzną – zachowały się. „Koło ZMP X klasy było mocno wzruszone (poruszone – chcieli napisać) po usunięciu z ZMP kolegi Rotfelda, naszego przewodniczącego, i... prosi Zarząd Miejski uchylić decyzję konferencji”.

Inna grupa kolegów wystąpiła „z wnioskiem o ponowne rozpatrzenie sprawy kolegi Daniela Rotfelda”.

Do ZMP mnie nie przywrócono, ale zostałem w szkole wybrany – także dzięki życzliwości dyrektora liceum – na V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów do Warszawy. Dostałem kartę uczestnika.

W 1955 roku.

Dzięki niej także dostałem się na studia.

No, no?

Dokonałem wybiegu. W kwestionariuszu, który trzeba było wypełnić, w rubryce „przynależność organizacyjna” nie napisałem, że nie należę do ZMP, bo mnie wyrzucono, ale wpisałem: „uczestnik Światowego Festiwalu Młodzieży”, dając komisji do zrozumienia, że jestem prawomyślny. Z tego powodu nikt mnie o ZMP już nie pytał. A po 1956 roku Związek Młodzieży Polskiej rozwiązano.

Ukończył Pan elitarną uczelnię – Wydział Dyplomatyczno-Konsularny Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie.

Po studiach ubiegałem się o pracę w MSZ. Przystąpiłem do egzaminów kwalifikacyjnych. Zdawałem razem ze Sławkiem Dąbrową, naszym póź-



Od lewej: Barbara Sikorska-Rotfeld, Adam D. Rotfeld w czasie uroczystości w Pałacu Ślubów, Warszawa, 15 stycznia 1970 r.

niejszym ambasadorem, kolejno w Sztokholmie, Belgradzie i Sofii. Zadało mu kilka pytań. Odpowiedział. Czekałem na swoją kolej.

Nagle zorientowałem się, że komisja chce mnie z egzaminu wyeliminować. Zapytano wcześniej Sławka, jakie obywatelstwo mają mieszkańcy Watykanu. Powiedział: obywatelstwo Stolicy Apostolskiej. „Nie – odrzekli – błędna odpowiedź”.

I z tym samym pytaniem zwrócili się do mnie. Powiedziałem: kolega udzielił poprawnej odpowiedzi.

Wtedy przewodniczący komisji, kierownik kadr w ministerstwie, rzucił w moją stronę uwagę: „Po co się pan w ogóle zgłosił na egzamin? Pański kolega – wskazał na Dąbrowę – na wszystkie pytania odpowiedział bez zarzutu, a pan nie potrafi na żadne”.

Nikt z komisji nie zareagował, wszyscy milczeli. I wtedy Dąbrowa, któremu też bardzo zależało na zdobyciu pracy w ministerstwie, a na tym egzaminie byłem dla niego konkurentem, rzekł: „Panie przewodniczący, mój kolega na zadane pytanie odpowiedział dokładnie jak ja, a innych pytań do tej pory nie otrzymał”.

Komisja zorientowała się, że chamskie numery nie przejdą, i zaczęła mnie pytać. Zdałem celująco. Byłem szczęśliwy. Na dwudziestu czterech kandydatów tylko trzy osoby zdały celująco. Jerzy Nowak, nasz późniejszy ambasador przy NATO, Sławomir Dąbrowa i ja.

Nowak był Pana przyjacielem.

Jest, od czasów studenckich. Mieszkał jak ja w akademiku. I był chyba jedynym, który zainteresował się tym, dlaczego na święta zostaję w akademiku i nie wyjeżdżam do rodziny. Nie mam rodziny – powiedziałem mu.

„I co tutaj sam będziesz robił?” – zapytał.

Nic – mówię. Więc on: „To jedź ze mną do moich rodziców”.

Jego rodzice byli nauczycielami pod Grójcem. Jeździłem do nich potem wielokrotnie.

Jurka i Sławka powiadomiono, że zostali przyjęci do pracy, a mnie nie zawiadomiono. Poszedłem do kadr zapytać, co się stało.

Naczelnik wydziału spojrzał na mnie: „Sądziłem, że jest pan bardziej inteligentny. Przecież od początku – powiedział – było oczywiste, że pana nie przyjmujemy”.

Dlaczego? – zapytałem. A on: „Niech się pan domyśli”.

Czego?

No, wie Pani, nie domyśliłem się tego, czego Pani się domyśla.

Już w 1961 roku?

Akcja eliminowania Polaków żydowskiego pochodzenia z urzędów centralnych została podjęta wcześniej, po Październiku '56. Oczywiście nie na zasadzie oficjalnie zadeklarowanej polityki, ale cichych decyzji. Nikogo z pracy jeszcze nie wyrzucano, ale nie należało przyjmować nowych. Chyba że dzięki szczególnym znajomościom. Ja ich nie miałem.

Kadry MSZ mieściły się na czwartym piętrze. Zszedłem na dół. Byłem zszokowany i załamany. Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. W holu natknąłem się na swego profesora z uczelni Stefana Boratyńskiego, autora monografii o dyplomacji wielkich mocarstw w czasie drugiej wojny światowej.

„Dlaczego pan taki ponury?” – pyta. Opowiadam.

Machnął ręką: „Niech się pan nie przejmuj, niech pan przyjdzie do mnie w poniedziałek – to był piątek – coś panu znajdziemy”.

On pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Załatwił mi prace zlecone na zrobienie kwerendy o polskiej polityce zagranicznej w okresie międzywojennym na podstawie dwóch dzienników: rządowej „Gazety Polskiej” i endeckiego „Warszawskiego Dziennika Narodowego”. Przeczytałem je od deski do deski. Od listopada 1918 do września 1939 roku. Była to dla mnie bardzo ważna lekcja historii Polski. Po paru miesiącach otrzymałem etat.

Znowu miałem szczęście. Praca w PISM-ie uchroniła mnie od wielu przykrych doświadczeń, jakich na pewno doznałbym w MSZ.

W PISM-ie ich nie było?

Było różnie, *up and down*. Ale – powiedziałbym – miałem je na własne życzenie.

Czyli...?

Za nic nie chciałbym, broń Boże, uchodzić za kombatanta. Albo za ofiarę. Nie jestem ani kombatantem, ani ofiarą. Miałem normalne życie, może trochę ciekawsze od innych, ale suma przykrości, jakich doświadczyłem, trzyma się przeciętnej krajowej.

Chodzi o fakty. Po kolei.

Ubiegałem się o stypendium zagraniczne. Oczywiście za zgodą dyrektora Instytutu.

Trudno zostać dobrym naukowcem – a takie miałem ambicje – żyjąc w oderwaniu od świata, od najważniejszych ośrodków naukowych.

4 marca 1968 roku, w swoje trzydzieste urodziny, zdawałem egzamin z angielskiego w ambasadzie amerykańskiej. Poszedł mi dobrze. Po kilku dniach ambasada powiadomiła, że uzyskałem stypendium Fundacji Fulbrighta. Byłem wniebowzięty. Bardzo chciałem porządnie nauczyć się angielskiego. Złożyłem podanie o paszport.

A kilka dni później był 8 marca i rozpoczęły się tak zwane wypadki marcowe.

W Instytucie odbyło się zebranie partyjne.

Zaprzyjaźniony ze mną dyrektor Instytutu Adam Kruczkowski powiedział: „Dzisiaj odbędzie się zebranie, które nie będzie seminarium naukowym, ale na którym będziesz musiał się określić”.

Adam był synem znanego pisarza Leona Kruczkowskiego. Już nie żyje. Znałem go ze Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Ja byłem współzałożycielem tego stowarzyszenia, a Adam został jego pierwszym przewodniczącym. Namawiał mnie wtedy, bym wstąpił do partii. Nie, Adam, nie, tam jest tylu łajdaków, tyle błota, ja się tym po prostu brzydzę. A on mi tłumaczył: „Jeśli w partii, w jej środku, będą ludzie tacy jak ty i ja, to ją zmienimy”. Odpowiedziałem: Adam, przecież ty sam nie wierzysz w to, co mówisz.

„Nie można – powiedział mi w marcu 1968 roku – siedzieć okrakiem na barykadzie. Trzeba się określić, po jakiej stronie się jest”.

Kruczkowski awansował właśnie na stanowisko wiceministra spraw zagranicznych.

Był w gwardii młodych promoczarowców.

Czego ty ode mnie oczekujesz? – zapytałem go.



Powitanie szwedzkiej pary królewskiej w Sztokholmskim Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI); od lewej: królowa Sylwia i Karol XVI Gustaw, Adam D. Rotfeld, dyrektor SIPRI, Sztokholm

Powiedział: „No wiesz, chodzi mi o to, żebyś na zebraniu potępił Leszka Kołakowskiego i Zygmunta Baumana”.

Ja? Przecież ja ich nie znam, na oczy ich nigdy nie widziałem!

Na marginesie, Leszkowi Kołakowskiemu po raz pierwszy uścisnąłem dłoń w 2005 roku, gdy będąc ministrem spraw zagranicznych, wręczałem nagrodę za wybitne zasługi w promowaniu Polski w świecie.

Nie mogę ich potępić – powiedziałem. – Ja ich naprawdę nie znam.

„Nie szkodzi – rzekł. – Pokażę ci materiały”.

Podszedł do szafy pancерnej, otworzył sejf i wyjął poufny teleks, który minister spraw wewnętrznych rozesłał do instytucji centralnych. Było w nim, że Kołakowski i Bauman po zwycięstwie Izraela nad państwami arabskimi w czerwcu 1967 roku poszli z kwiatami do ambasadora Izraela złożyć mu gratulacje.

Mówię: Słuchaj, to jest nieprawda. A on: „Przecież twierdziłeś, że ich nie znasz”.

Powiedziałem: Nie znam, ale ta scena z kwiatami nie może być prawdziwa. Ona oddaje myślenie człowieka z prowincji, bardzo pretensjonalne, który wyobraża sobie, że jeśli chce się komuś okazać sympatię czy uznanie, idzie się do sklepu i kupuje kwiaty. Otóż Kołakowski i Bauman to ludzie wykształceni, intelektualści i w ten sposób by się nie zachowali. Oni, oczywiście, mogliby pójść do ambasadora, żeby porozmawiać, mogliby nawet iść do niego z gratulacjami, ale bez kwiatów. Adam, oni nie pobiegliby do kwaciarni kupować kwiaty!

„Zrobisz, jak uważasz – powiedział. – Pamiętaj jednak, że cię ostrzegałem jak przyjaciel i jeśli mnie nie posłuchasz, poniesiesz tego konsekwencje”.

O czym myślał?

Adam życzył mi – jestem o tym przekonany – jak najlepiej.

Może myślał o Pana stypendium zagranicznym?

Nie wiem.

Że może je Pan stracić.

Nie zastanawiałem się nad tym.

Na zebraniu była pełna sala. Ludzie siedzieli wokół stołu i pod ścianami. Wstawali i potępiali. Kołakowskiego, Baumana oraz dwóch naszych pracowników z PISM-u.

Kogo?

Marka Thee, który był przedwojennym działaczem lewicowym, siedział za to w więzieniu i w czasie wojny walczył w ruchu antyfaszystowskim. Drugim był Jerzy Sztucki. Wątpię, czy ci potępiający wierzyli w to, co mówili.

Bo co mówili?

Że przed wojną, w czasie wojny i po wojnie szkodzili oni partii. W zebraniu uczestniczył dyrektor kadr z MSZ. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Cias. Przyniósł ze sobą jakieś teczki, nie tylko na Marka Thee, ale także na jego żonę, Czeszkę z pochodzenia. Wyciągał z nich różne sprawy z ich życia, co robili przed wojną, w czasie wojny, po wojnie. Dotarło do mnie, że za tą akcją stoi albo SB, albo jakieś służby specjalne, centralnie sterowane. I że żyjemy w państwie policyjnym, więc jutro czy pojutrze może dojść do aresztowań.

Zastanawiałem się, co zrobić. Jak się zachować. Mogłem się, oczywiście, nie odzywać, tak byłoby dla mnie lepiej. Ale czy warto ułatwiać sobie życie?

Nie mogę milczeć – myślałem – bo nie mogę sam sobie napluć w twarz, przecież ja w tym środowisku będę musiał funkcjonować. A z drugiej strony wiedziałem, że nie jestem typem rewolucjonisty, nie mam natury buntownika, który obala ustalone porządki. I choć uważałem, że system jest irracjonalny, nieefektywny – mówiłem o tym czasem kolegom – i nie będzie trwać wiecznie, w końcu kiedyś musi wyczerpać się wewnątrz, to jednocześnie nie było we mnie wiary, że da się go zmienić czy obalić. Byłem pewny dwóch rzeczy: ustrój ten nie padnie za mojego życia. I nie ja – nawet najbardziej spektakularnym sprzeciwem – przyczynię się do jego upadku.

Żona dyrektora z Domu Dziecka miała rację. Byłem jednak oportunistą.

Marksistowskim?

Nie, nie. Życiowym (śmiech).

Myślałem: mam jedno życie, chcę je jakoś przeżyć. Ale nie robiąc świństw. Więc muszę znaleźć jakąś niszę, jakiś sposób, by przetrwać. Zachowując przyzwoitość.

Da się to pogodzić?

Postanowiłem, że nigdy nie zrobię czegoś, co zaszkodziłoby drugiemu człowiekowi. Nawet jeśli go nie lubię.

Zabrałem głos. Była już chyba druga w nocy. Powiedziałem: tak się składa, że piszę pracę doktorską o prawie narodów do samostanowienia. To prawo narody realizują nie w formie pustych deklaracji, frazesów czy sloganów. Naród, który chce uzyskać niepodległość, walczy niezależnie od tego, czy to się opłaca, czy nie opłaca. My tu dzisiaj potępiamy człowieka, który w okresie międzywojennym i w czasie wojny związał się z lewicą (myślałem o Marku Thee). On – mówiłem – nie liczył, że kiedykolwiek skorzysta z owoców swej walki. Więcej, on – gdy doszło do zwycięstwa lewicy w Polsce – znalazł się na zupełnie bocznym torze. Powiedzmy bowiem uczciwie, praca w PISM-ie to nie jest miejsce, które daje jakiegokolwiek przywileje. Dlatego tacy ludzie są dla mnie niepomernie bardziej wiarygodni niż ci, którzy ich potępiają. A mówię to nie po to, bym chciał wywołać jakąś pozytywną dla nich reakcję, bo wiem, że nie wywołam, tylko dlatego, że codziennie muszę się golić przed lustrem i chcę na siebie patrzeć bez zawstydzienia do końca moich dni.

Powiedziałem to i wyszedłem.

Wtedy dobrano się do Stefana Mellera, ambasadora we Francji i w Rosji w naszej III Rzeczypospolitej, a wtedy praktykanta w bibliotece PISM-u.

Wiem. Żądano od niego, by potępił swego ojca, komunistę – byłego ambasadora w Genewie.

Nie potępił.

Pojęcia nie miałem, że zajmą się Stefanem. Stefan był bardzo młodym człowiekiem, ledwo ukończył wydział historii, dopiero od kilku miesięcy pracował w PISM-ie.

Po tym zebraniu wyrzucono go z pracy i z partii.

Za parę dni odbyło się kolejne zebranie, na które nie zostałem już zaproszony, i za następnych kilka dni dostałem wypowiedzenie warunków pracy i płacy oraz zakaz przychodzenia do Instytutu. Ten zakaz cofnięto po dwóch miesiącach i przywrócono mnie do pracy, ale z pensją dwukrotnie niższą. Czyli jeśli poprzednio miałem cztery tysiące czterysta złotych, dostałem dwa tysiące dwieście. Nie przejąłem się tym za bardzo. Do głowy mi nie przyszło, że czterdzieści lat później będzie to miało znaczenie przy ustalaniu wysokości mojej emerytury.

Nie chciał Pan emigrować?

Nie. Był jednak taki moment, że liczyłem się z tym, że mogą mnie aresztować. Chodziły pogłoski, że przygotowane już są listy nieprawomyślnych osób, że są dla nich tworzone obozy.

Straszenie?

Po to, żeby ludzie wyjeżdżali.

Mieszkałem w bloku naprzeciwko hotelu Grand, w mieszkanku dwadzieścia trzy metry i sześćdziesiąt centymetrów kwadratowych. Znajdowało się ono na siódmym piętrze, a winda dochodziła do szóstego. Zszedłem do sąsiadów, zapukałem i – zupełnie ich nie znając – powiedziałem, że ponieważ czasy są niepewne, ja mieszkam sam, nie wiem, co ze mną będzie, to jak będą mnie wyprowadzać, zrobię straszny raban przy windzie i wtedy, proszę, zawiadomcie moich znajomych, nie chcę zniknąć bez śladu. Zostawiłem im numery telefonów.

A co ze stypendium?

Naiwnie liczyłem, że pojedę.

Zgłosił się do mnie jakiś funkcjonariusz z MSW.

„Na wyjazd do Ameryki na stypendium – oświadczył – nie ma pan szans, ale może pan wyjechać na stałe”.

Odpowiedziałem: nie wykluczam, że to zrobię, ale o tym, czy wyjadę, czy nie, to ja będę decydować. Nie wy.

Nie dostałem paszportu.

Po raz pierwszy.

W 1962 roku też nie dostałem. Miałem jechać na Festiwal Młodzieży i Studentów do Helsinek. Byłem wówczas przewodniczącym Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Na Festiwal jechało z Polski kilkaset osób. Tylko ja zostałem w ten sposób „wyróżniony”.

Domysła się Pan dlaczego?

Może dlatego, że odmówiłem służbom współpracy. W czasie studiów pracowałem jako tłumacz przy Wyścigu Pokoju. Opiekowałem się drużyną radziecką i NRD-owską. Przyszedł jakiś facet i powiedział, że bym ich informował, o czym rozmawiają kolarze, bo mogą być prowokacje antyniemieckie i antyradzieckie. Propozycję uznałem za kuriozalną i absurdalną. Musiałem mu – pod odpowiedzialnością karną – podpisać, że fakt i treść przeprowadzonej rozmowy zachowam w tajemnicy. Podpisałem. Przez kilka lat miałem spokój.

Kiedy wezwali?

Chyba w 1962 roku. Tylko nie pamiętam – czy przed, czy po odmowie paszportu do Finlandii. Ktoś zadzwonił i zaprosił mnie na kawę. Poszedłem. Namawiał do współpracy. Powiedziałem mu, że każde państwo potrzebuje służb specjalnych i ja to rozumiem. Ale ze mną jest problem i polega on na tym, że gdybym nawet chciał przyjść do was do pracy, to bym nie mógł, bo się do tego kompletnie nie nadaję. Nie lubię niczego ukrywać, chętnie i dużo mówię, nie jestem dyskretny.

A on odpowiedział mi mniej więcej tak: „Ja wiem, pan się boi, iż będziemy od pana oczekiwać donosów, a my – nie, my od pana tego nie oczekujemy. My myślimy o panu bardziej przyszłościowo”.

I wyjaśnił: „Pan ma przyjaciół za granicą, więc niech pan z nimi dalej utrzymuje kontakt, a za piętnaście, dwadzieścia lat, kiedy pan osiągnie jakąś pozycję i oni dojdą do jakichś stanowisk, te wasze kontakty okażą się bardzo przydatne dla Polski”.



Doroczna narada ambasadorów w Korei Południowej pt. *Kontrola zbrojeń na Półwyspie Koreańskim. Czy europejskie doświadczenia są dla nas lekcją?*; od lewej: Adam D. Rotfeld, ambasador Jonathan Dean – szef delegacji USA do spraw redukcji zbrojeń, Johan Jørgen Holst – Minister Spraw Zagranicznych i Obrony Norwegii, ambasador James Goodby – przedstawiciel prezydenta USA do spraw likwidacji broni jądrowej; drugi od prawej: prof. Aleksiej Arbatow – członek Rosyjskiej Akademii Nauk (specjalista do spraw rozbrojenia nuklearnego), Seul, 1990

To ciekawe, co pan mówi – odpowiedziałem – ale ja nie mam przyjaciół za granicą, bo nigdy za granicą nie byłem.

„Jak to pan nie ma?” – i pokazał mi kopie listów i kartek wysyłanych do mnie na Boże Narodzenie czy Wielkanoc od znajomych, którzy wyjechali z Polski.

Zachnąłem się. Każdą pracę – powiedziałem – szanuję, także pracę strażnika więziennego, bo państwo potrzebuje i więzień, i strażników. Ale ja nie mam mentalności strażnika więziennego. I jeśli pan – oświadczyłem mu – czyta cudze listy, to ja z panem nie będę rozmawiał.

Podszedłem do kelnera, zapłaciłem za swoją herbatę.

Tamten pan – wskazałem na niego – zapłaci za swoją. I wyszedłem.

Stypendium Fulbrighta w 1968 roku przypadło?

Przypadło. W 1969 też przypadło. Potem także inne. Odwołania nie pomagały. Przez następnych pięć lat nie dostawałem paszportu.

Ale nie wzywali?

Nie. Zastanawiałem się czasem z przyjaciółmi, jak należy się zachować, gdy wezwą. Po pierwsze: nie ulec atmosferze, którą esbecy lubią tworzyć, że wszystko o wszystkich wiedzą. Bo nie wiedzą. Po drugie: nie bać się. Szantaż jest wtedy skuteczny, gdy człowiek się boi. A po trzecie: gdy powiedzą na przykład, że zdradzam żonę, nie należy zaprzeczać czy się usprawiedliwiać, tylko odpowiedzieć: tak, i moja żona o tym wie.

Swoją teczkę w IPN-ie już Pan widział?

Nie. Ale lustrowany byłem trzykrotnie: jako członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego oraz wiceminister i minister spraw zagranicznych. Jako minister musiałem, niestety, z obowiązku obejrzeć kilka teczek. Na przykład teczkę Czesława Miłosza z czasów jego pracy w MSZ w latach czterdziestych. Były w niej materiały dotyczące jego życia prywatnego, które ludziom spragnionym sensacji i nieznanym ówczesnych realiów mogłyby dać okazję do podejrzeń. Przeglądając ją, miałem poczucie ogromnego moralnego dyskomfortu.

Te kilometry teczek, proszę Pani, zgromadzone w IPN-ie to szambo informacyjne. Kloaka, do której spływały wszystkie brudy. Jeżeli ktoś chciał kogoś zniszczyć, to opowiadał o nim niestworzone rzeczy, wręcz horrendalne. I esbecy skrzętnie je odnotowywali. A jeśli nawet ktoś mówił coś prawdziwego, to informacje te były przetwarzane przez esbeków pod określonym kątem – ich przydatności do szantażowania ludzi. Bo po to je zbierano. Dlatego nigdy nie chciałem wiedzieć, kto i co na mnie donosił.

A donosił?

Tak. W twojej teczce – mówiono mi – są donosy, że ulegałeś zachodnio-niemieckiemu rewizjonizmowi i propagandzie burżuazyjnej. Kompletna bzdura! Są też donosy – mówiono mi – że byłeś szpiegiem.

Jeśli amerykańskim, Panie Profesorze...

Ale nie byłem. Nigdy i żadnym. Ktoś powiedział mi: „Gdyby to wszystko, co jest w pana teczce, było prawdą, stałby pan na piedestale jako bohater antykomunistyczny”.

Bo naprawdę co było?

Szybko zrobiłem doktorat. Uniwersytet Jagielloński uznał, że wśród obronionych w 1969 roku prac moja okazała się najlepsza. Skierowano ją na konkurs miesięcznika „Państwo i Prawo”. Jednak nowo mianowany redaktor naczelny nie wymienił jej nawet wśród prac nadesłanych. Nie wydrukowano jej też w formie książkowej. Potem zacząłem przygotowywać habilitację, miałem sporo publikacji, specjalizowałem się w problematyce bezpieczeństwa narodowego. Ale gdy moi dawni koledzy próbowali mnie gdzieś umieścić jako konsultanta MSZ czy doradcę społecznego, moje nazwisko skreślano. A w PISM-ie, gdzie wciąż pracowałem, kiedy przyjeżdżała jakaś międzynarodowa delegacja albo ważny polityk czy badacz, ja nie miałem prawa wejść na salę, żeby posłuchać, co mówią, i z nimi porozmawiać. Choć często był problem, jak tę salę wypełnić.

O co chodziło?

Dawano mi do zrozumienia, że nie mają do mnie zaufania.

A może chcieli upokorzyć?

Też. To jest dla mnie poniżające – powiedziałem któregoś razu wiceministrowi spraw zagranicznych, który zwrócił się do mnie po raz kolejny, bym opracował mu jakąś ekspertyzę. Nie dostaję paszportu – poskarżyłem mu się – więc nie mogę uczestniczyć w żadnych konferencjach międzynarodowych i jestem w sytuacji recenzenta muzycznego, który musi co tydzień pisać recenzje z koncertów, ale któremu na te koncerty nie wolno chodzić. Zainteresował się tym. Obiecał mi pomóc.

Po paru tygodniach poprosił mnie na rozmowę. „Sprawdziłem – powiedział – pana teczkę. Jest tam trochę donosów na pana, że ma pan zły stosunek do Związku Radzieckiego, ale to nieważne, takie są na każdego. Jest tam jednak bardzo poważny zarzut – westchnął – że pan obraził naszego funkcjonariusza na służbie. PRL porównał pan do obozu koncentracyjnego, a pracowników MSW do strażników w tym obozie”.

Tak zostały, proszę Pani, przekręcone moje słowa wypowiedziane kilka lat wcześniej do funkcjonariusza SB, które zanotował on w swoim raporcie. Co jest nawet w jakimś sensie zrozumiałe. Bo przecież funkcjonariuszom nie zależało na tym, by w swoich raportach opisywać prawdę o społeczeństwie, im chodziło wyłącznie o to, żeby znaleźć haki na niepokornych.

I paszportu znowu Pan nie dostał?

Nie dostałem. Wiceministrowi nie udało się go odblokować. Bardzo chciał, próbował, ale widocznie nie mógł. Służył reżimowi – mówi się o nim dzisiaj – ale według mnie był przyzwoity. Wobec mnie zawsze zachowywał się przyzwoicie.

To kto odblokował?

Padnie nazwisko dzisiaj także źle widziane. Cyrankiewicz. Myślę, że on.

Dorzucę: przed wojną działacz socjalistyczny, w czasie wojny więzień Auschwitz, potem w latach 1948-1970 (z krótką przerwą) premier i na koniec

przewodniczący Rady Państwa, a od 1973 roku przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju.

Zadzwoeniła do mnie jego sekretarka, pani Elżbieta Kolankowska, że Cyrankiewicz prosi o napisanie mu przemówienia. Nie bardzo chciałem tracić czas. Uważałem, że z tego, co napiszę, nie będzie zadowolony. Pani Elżbieta nalegała. Dzwoniła drugi raz, trzeci. Mówiła, że Cyrankiewicz jest bardzo inteligentny, mądry, doświadczony. Zgodziłem się. Pomyślałem: pójdę do niego na rozmowę, dowiem się czegoś, zapytam, co zdecydowało, iż on – działacz socjalistyczny – mógł być premierem i wicepremierem w najgorszym okresie stalinizmu, ten stalinizm w gruncie rzeczy swoim nazwiskiem firmując.

„Józek jestem” – przywitał mnie.

Panie premierze – powiedziałem – umówmy się, że pan może mi mówić po imieniu, ale ja zachowam formy.

Był od Pana starszy o dwadzieścia siedem lat.

Całe pokolenie.

Lubił opowiadać anegdoty. Pierwsza anegdota, jaką mi zaserwował, dotyczyła Ochaba z czasów, gdy był pierwszym sekretarzem, oraz Gomułki, który po wyjściu z więzienia pierwszym sekretarzem jeszcze nie został.

Na przełomie sierpnia i września 1956 roku Ochab wyjeżdżał na dwa tygodnie do Chin na zjazd Komunistycznej Partii Chin. Cyrankiewicz odprowadzał go na lotnisko. Był zdziwiony, że Ochab wyjeżdża na tak długo w takim momencie. „Różne rzeczy mogą się wydarzyć, może będę musiał rozmawiać z Gomułką, co mogę mu zaproponować?” – zapytał go w samochodzie. I Ochab, co świadczy o stanie jego umysłu – zaznaczył Cyrankiewicz – odpowiedział: „Na razie wiceministra zdrowia i opieki społecznej, a później, jak się zastanowimy, może damy go na ministra”. Cyrankiewicz od razu z lotniska pojechał do Gomułki na Saską Kępę. Gomułka był ponury, niesympatyczny, rozmowa się nie kleiła. Cyrankiewicz zaproponował przejażdżkę do Lasku Kabackiego. Zostawili ochroniarzy i poszli na spacer. Gomułka wybuchnął: „Jak ty, socjalistyczny działacz robotniczy, mogłeś mówić o obcinaniu rąk klasie robotniczej”.

W Poznaniu, po protestach robotniczych w czerwcu 1956 roku.

Cyrankiewicz mu odpowiedział: „Nie byłeś wtedy w partii, w całym kraju były niepokoje, w ośmiuset miejscach groziło, że ludzie wyjdą na ulicę demonstrować, uznałem więc, że lepiej użyć zbyt mocnych słów, niż zbyt mocnych czynów. Po to, by zapobiec dalszemu rozlewowi krwi”.

„Nie, nie – powiedział Gomułka – takie słowa człowiekowi, który reprezentuje klasę robotniczą, nie powinny przejść przez gardło”.

A potem zapytał Cyrankiewicza: „No to co chcesz mi zaproponować?”.

„Możesz być premierem, oddam ci swoje stanowisko”.

Cyrankiewicz uważał, że Gomułka to autokrata, doktryner, o despotycznym charakterze. Ale łudził się, że może po kilku latach więzienia się zmienić. „Mnie ono nie interesuje” – odpowiedział Gomułka. I niecałe dwa miesiące później został pierwszym sekretarzem. Cyrankiewicz mówił o nim: to siermiężny ludowy Piłsudski. A Piłsudskiego określał jako przywódcę szlacheckiego.

„Rok później – opowiadał mi Cyrankiewicz – pojechaliśmy z »Wiesławem« razem na otwarcie pierwszego bloku elektrowni w Turoszowie. Obok stacjonowały wojska radzieckie”.

Zostali zaproszeni na kolację. Stoły zastawione, kawior, jesiotry, wódka. Dowódca radzieckich wojsk północnych postanowił uhonorować Gomułkę. Wzniósł toast za „wielkiego syna narodu polskiego”, którego początkowo nieprawidłowo ocenialiśmy, ale teraz widzimy, że władza trafiła we właściwe ręce, oraz „za wybitnego działacza międzynarodowego ruchu robotniczego”, któremu nie zapomnimy, że tak umiejętnie wybrnął z bardzo trudnych sytuacji.

Gomułka mu przerwał: „Nie mnie należy dziękować, ale temu zgniłemu socjaldemokracji – wskazał na Cyrankiewicza – który miał odwagę powiedzieć to, czego ja nigdy nie miałbym odwagi. I to jemu należy za wdzięczać, że w Polsce nie doszło do rozlewu krwi na wielką skalę”.

Cyrankiewicz powiedział mi: „Siedziałem naprzeciwko Gomułki i myślałem: no, proszę, wystarczyło ci rok, żebyś tak radykalnie zmienił zdanie”.

A dlaczego uczestniczył w stalinizmie, w końcu Panu powiedział?

Że starał się łagodzić. Że wielu ludziom pomagał. Że ogromna ilość zbrodniczych dekretów nie była wcielana w życie, bo wymagały rozporządzenia

premiera, a on chował je do kasy pancерnej. I wyjął dopiero w 1971 roku, gdy odchodził.

By zniszczyć?

Zniszczył. I mówił jeszcze (śmiej), że Polska to taki kraj, w którym gdyby nawet powstały obozy koncentracyjne, to w ogrodzeniu byłyby dziura, wszyscy by o niej wiedzieli i przekupiony za pół litra wódki strażnik by przez nią wypuszczał.

No to się Pan dowiedział (śmiej). A co z przemówieniem dla niego na Kongres Światowej Rady Pokoju w Warszawie?

Napisałem. Siedziałem na sali, gdy je wygłaszał. Bardzo okrągłe. Z mojego projektu nie wykorzystał ani jednego zdania.

„No i co?” – podszedł do mnie w przerwie.

Pan premier – powiedziałem – mówił, jak zwykle, z wielką swadą.

„Chcesz powiedzieć, że twoje przemówienie było lepsze” – stwierdził.

Nie, nie – zaprzeczyłem – nie o to mi chodzi, ale moje zawierało jakąś myśl.

„Niejedną – roześmiał się. – Masz czas? To chodźmy na obiad, zapraszam”.

Zeszliśmy do restauracji sejmowej. Odebrałem pierwszą lekcję z taktyki personalno-politycznej.

„To było moje pierwsze – wyjaśnił mi Cyrankiewicz – publiczne wystąpienie po odejściu ze stanowisk. A w pierwszym rządzie na tym kongresie siedzieli, jak widziałeś: Gierek (pierwszy sekretarz KC PZPR), Jaroszewicz (premier) i Jabłoński (przewodniczący Rady Państwa). Gdybym więc wygłosił twoje przemówienie, zauważyliby, że mówię innym językiem i co innego niż dotąd, i doszliby do wniosku: o, ten Cyrankiewicz coś kombinuje, zamierza odegrać jeszcze jakąś rolę polityczną. A ja niczego już nie chcę odgrywać, pogodziłem się ze swoją nową sytuacją i jedynym moim pragnieniem jest, żeby dali mi święty spokój, żeby otrzymywał »Biuletyn Specjalny« do poczytania, brał udział w rozmaitych spotkaniach i jeździł swobodnie za granicę”.

Cynik?



Uroczystość nadania prof. Adamowi D. Rotfeldowi tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej; od lewej rektor UMCS prof. Stanisław Michałowski, Adam D. Rotfeld, Zamek Lubelski, Lublin, październik 2014 r.

Raczej realista i oportunistą, na zimno oceniający swoją pozycję. Tak go odebrałem.

Potem zadzwonił, że chce, bym pojechał do Moskwy na Kongres Budowniczych Pokoju.

MSW odmawia mi paszportu – uprzedziłem.

„Wstawię twoje nazwisko na listę, zatwierdza ją Gierek i Biuro Polityczne, MSW nie odważy się ciebie skreślić”.

Na Kongresie było chyba z pięć tysięcy osób, z Polski przyjechało ze dwieście. Dostałem paszport ważny przez pięć dni, z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy do ZSRR i z powrotem. Ale okazał się dla mnie przełomowy. Odblokowano mi możliwość wyjazdów zagranicznych.

Zaproponowano mi wyjazd do Genewy. W Genewie toczyły się właśnie rokowania w sprawie dokumentu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). Po przyjeździe zorientowałem się, że zastąpiłem pewną osobę z MSZ, która na konferencji wygłaszała zawsze płomienne przemówienia o zachodniej „subkulturze” i „o wyższości demokracji socjalistycznej nad burżuazyjną”. Podobała się delegacji radzieckiej, ale wywoływała ironiczne komentarze w „International Herald Tribune”.

Na pierwszych konsultacjach Rosjanie dali mi krótki, parowierszowy tekst, żebym przedstawił go jako polską propozycję. Zrobiłem kserokopię i powiedziałem, że na zgłaszanie jakichkolwiek propozycji muszę mieć instrukcję z Warszawy i Warszawę o tym zawiadomię. Byli zdziwieni.

„No to – rzekli – zgłoszą ją towarzysze z Bułgarii”.

Jedni więc zaczęli się do mnie odnosić nieufnie, drudzy nabrali szacunku, jeszcze inni pisali donosy.

Radca polskiej misji przy ONZ zaprosił mnie na lunch. Interesował go przebieg rokowań. Odesłałem go do depech, sprawozdań, notatek. Był – okazało się potem – rezydentem polskiego wywiadu w Genewie. Podobne doświadczenia miałem później w Belgradzie, Madrycie, Wiedniu.

Pewnego dnia, było to w kwietniu lub maju 1979 roku, Cyrankiewicz znowu zadzwonił.

„Słyszałem – powiedział – że jesteś ze Lwowa”.

Niezupełnie. Jestem z okolic Lwowa.

„A chciałbyś – zapytał – pojechać do Lwowa na konferencję dotyczącą bezpieczeństwa europejskiego jako przedstawiciel Polskiego Komitetu Pokoju?”

Z największą przyjemnością.

„No to jesteś mianowany przewodniczącym delegacji. Wygłosisz tam przemówienie”.

Zapytałem, kto wchodzi w skład tej delegacji.

„Szwaczka, praczka, pomywaczka” – odpowiedział (śmiech).

Czyli?

Reprezentacja szerokich warstw społeczeństwa, jak się wtedy mówiło. Nauczycielka z Krosna, działacz sportowy i wzorowy rolnik. Zabierałem ich po drodze do samochodu.

Konferencja odbywała się w sali opery we Lwowie. Obecni byli przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy, wybitny pisarz Ołes Honczar, przewodniczący władz miejskich Lwowa i inne osobistości. Wszyscy mówili po rosyjsku.

Zorientowałem się, że głos zabierają przedstawiciele poszczególnych państw w kolejności według rosyjskiego alfabetu: Bułgaria, Węgry, GDR, czyli NRD. Wyszedłem na korytarz.

Przepraszam pana – zaczęliśmy jakiegoś robotnika pilnującego kabli – czy pan zna ukraiński?

„Tylko ukraiński” – powiedział.

A mógłby mi pan pomóc przetłumaczyć kilka zdań z polskiego na ukraiński?

Swoje przemówienie napisałem po rosyjsku.

„Proszę bardzo”.

Przetłumaczyliśmy. Wróciłem na salę. Udzielono głosu przedstawicielowi polskiej delegacji. Zacząłem po ukraińsku. Na sali zrobiło się cicho.

Cisza, odkryłem wtedy, może być bardziej znacząca niż najgłośniejsze oklaski. Byłem pierwszą osobą, która w tej sali, na tej konferencji, mówiła po ukraińsku. Powiedziałem, że wielu Polaków zna ukraiński, a jeszcze więcej Ukraińców zna polski, dlatego uznałem za właściwe wszystkich zgromadzonych powitać po ukraińsku. Burza oklasków.

W czasie przerwy podszedł do mnie Ołes Honczar. Kilka lat później napisał wybitną powieść *Chram* i został wyklęty jako nacjonalista i rewizjonista.

„Skąd pan zna ukraiński?” – zapytał.



Wykład Jewgenija Primakowa w SIPRI, grudzień 2000 r.

Jako dziecko – wyjaśniłem – przebywałem w klasztorze w Uniowie, a teraz – postanowiłem mu powiedzieć – przyjechałem do Lwowa po to, by ten klasztor odwiedzić.

„To jest niemożliwe” – mówi.

Jest możliwe! – odpowiadam.

„Nie – on na to – wykluczone”.

Mam już kupiony – pokazałem – bilet autobusowy do Przemyślan, a dalej do klasztoru pójde piechotą.

„Nie, nie, niech pan tego nie robi, ja pana bardzo proszę, to będzie uznane za prowokację”.

Prowokację?

Każde zachowanie nieakceptowane przez władze nazywało się prowokacją. Uparłem się. Nie ma w tym żadnej prowokacji, dla mnie to podróż nostalgiczna.

Potem od rosyjskich naukowców, z którymi PISM współpracował, a którzy byli na tej konferencji, dowiedziałem się, że na mój temat odbyła się długa dyskusja. Rosjanie twierdzili, że mnie znają, że mówię prawdę i że taką podróż, ale pod kontrolą, można mi zorganizować. A ukraińskie służby specjalne podejrzewały mnie o prowokację wymierzoną przeciwko Ukrainińskiej Socjalistycznej Republice Rad.

Cała delegacja pojechała do kołchozu w Złoczowie, a mnie wsadzili do samochodu i do towarzystwa dodali mi przedstawiciela rajkomu oraz samochód milicyjny, który jechał przed nami. Wjechaliśmy do Przemyślan na ulicę Mickiewicza. Była przemianowana na wułycię Lenina.

Dzisiaj...?

Obecnie wułycia Hałycka.

To jest mój dom – pokazałem.

„Nie, nie – zaprzeczył przedstawiciel rajkomu. – Na Mickiewicza są dwie identyczne wille, ta należała do Wójtowiczów, a wasza jest dalej”.

Przedstawiciel rajkomu wiedział wszystko. W mojej mieszkało pięć rodzin. „Będziemy teraz – powiedział – poszerzać ulicę i usuniemy werandę”.

O którą rozbił Pan rękę, gdy miał dwa latka?

Pięścią. Ta szrama to pamiątka. Z innego życia.

Zrobiłem zdjęcie. Po powrocie do Warszawy porównałem ze zdjęciem, które zrobiła mi siostra w 1947, może 1948 roku. Mieszkałem jeszcze w klasztorze.

Tak, to był ten sam dom. Nasz, przedwojenny. Siostra zamówiła zawodowego fotografa i ustawiliśmy się razem przed jakimś domem.

Nie powiedziała jakim.

Nie. Podejrzewam, że z obawy, iż wywoła we mnie uczucie straty.

Ukraińcy zaprosili mnie do restauracji na obiad. Zjedliśmy, podziękowałem za gościnność.

A teraz – powiedziałem – jedziemy do Uniowa.

„Nie. Wykluczone. Mamy zgodę tylko na Przemyślany”.

Nie szkodzi – powiedziałem – pójdę na piechotę.

„Niech pan tego nie robi! Władze uznają to za prowokację”.

Prowokację? – zdziwiłem się. – A co wy tam trzymacie? Jakaś tajemnicę? Broń bakteriologiczną tam produkujecie?

„Nie, nie – zaczęli się bronić. – Ale tam nie ma już klasztoru”.

Wiem, zlikwidowano go, byłem przy likwidacji.

Wyciągnąłem z torby prezenty. Z Polski zabrałem dużo wódki i czekolady. Wypiliśmy.

„Zawieziemy pana – powiedzieli – ale pod warunkiem, że pan nikomu nie powie”. Przynależem.

W budynku klasztornym znajdował się dom opieki dla umysłowo chorych staruszek. Cerkiew zabito deskami, zamieniono w składowisko śmieci i nieczystości. Żeby pohańbić. Nie mogłem wejść do środka. W części gospodarczej, w miejscu gdzie był kiedyś zbiornik na gnojówkę, wszystko było zalane betonem i na tym betonie stał pomnik Lenina. Na postumencie. Lenin był pomalowany na złoto i błyszczał w słońcu. Dla umysłowo chorych kobiet stał się przedmiotem kultu religijnego. Klękały przed Leninem i modliły się do niego. Straszne i smutne.

Po wielu latach, kiedy byłem już dyrektorem SIPRI w Sztokholmie i upadł Związek Radziecki, przyszedł do mnie rosyjski korespondent pi-

sma „Nowe Czasy”. Było czołowym pismem pierestrojki. Dziennikarz zapytał, jakie przyczyny, według mnie, zadecydowały o upadku ZSRR. Tyśiące – odpowiedziałem – ale jest jedna, na którą rzadko zwraca się uwagę. Związek Radziecki był państwem, którego fundamentem była religia.

„Religia?” – zdziwił się.

Tak, tak. Opowiedziałem mu o Uniowie. Stalin próbował ustanowić nową religię, opartą na doktrynie marksizmu-leninizmu, ale to mu się nie udało. Religia ta bowiem miała licznych kapłanów, ale nie miała boga.

Stalin był bogiem.

Do czasu. Gdy umarł, zabrakło spoiwa, które by imperium scalało. Nadal odprawiano msze, oddawano hołd relikwiom wodzów rewolucji – Lenina i Stalina – ale cała ta nowa wiara została sprowadzona do absurdu. Wyparowała.

Klasztor w Uniowie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku oddano Cerkwi greckokatolickiej i odbudowano.

Pokazałem go żonie i córce. We trójkę pojechaliśmy samochodem, najpierw do Lwowa, potem do Uniowa i Przemyślan. Chciałem, żeby zobaczyły te miejsca.

Basi, mojej żony, już nie ma. Umarła pięć lat temu.

Ona też pochodziła z Kresów. Urodziła się w Mizoczu, małym miasteczku na Wołyniu. Opowiadała o nim zawsze z wielkim sentymentem. W jej wspomnieniach było piękne. Pojechaliśmy więc także do Mizocza, skąd prawie pięćdziesiąt lat wcześniej jej rodzina uciekała do Polski przed rzeziąmi. Podróże leczą. Przedwojenne miasteczko okazało się podupadłą wsią i skończyły się w domu dyskusje trwające latami, które z naszych miasteczek – Mizocz czy Przemyślany – było większą metropolią (śmiejch). Bieda i szarzyzna zrównały oba.

Został Pan wiceministrem, a potem ministrem spraw zagranicznych.

Znowu pojechałem do Uniowa. Już oficjalnie. Musiałem spłacić dług wdzięczności.

W 2005 roku do Uniowa przybył tłum dziennikarzy, telewizje – polska i ukraińska, hierarchowie Kościoła greckokatolickiego i rzymskokatolickiego.

W klasztorze – pięknie, z wielkim pietyzmem odrestaurowanym – odsłoniłem tablicę poświęconą braciom Szeptyckim.

Był Pan wzruszony, widziałam.

Bo jestem, proszę Pani, świadkiem prawdziwych cudów. Pierwszy sprowadza się do tego, że przeżyłem. Dzięki szlachetnym ludziom z klasztoru i całej wspólnoty zakonnej. Nie tylko dzięki braciom Szeptyckim. Drugim cudem jest, że ten klasztor w Uniowie jest piękniejszy od tego, który zapamiętałam z dzieciństwa, on jest piękniejszy, niż był kiedykolwiek. Ile serca trzeba było włożyć, by podnieść go z ruin!

Największym jednak z cudów jest to, że mogę jeździć do niepodległej Ukrainy. Jej sytuacja zaś przypomina mi opowieść o Mojżeszu ze Starego Testamentu, którą poznałem w tym właśnie klasztorze jako dziecko. Mojżesz wyprowadził swój lud z domu egipskiej niewoli i krążył z nim po pustyni ponad czterdzieści lat, poddając ciężkim próbom i narażając na cierpienia. Oni byli na niego źli, często przeciwko niemu się buntowali, że niepotrzebnie zabrał ich z Egiptu, gdzie nie mieli wprawdzie wolności, ale mieli zapewniony chleb i dach nad głową.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego szli tak długo i po co, skoro tę odległość można było pokonać w trzy tygodnie. Po wielu latach zrozumiałem. Ten czas był potrzebny, by nowe pokolenie ludu Izraela, urodzone na pustyni, nauczyło się, że każdy człowiek indywidualnie podejmuje suwerenne decyzje, odpowiada za siebie, bo nie ma faraona, który załatwi bezpłatną opiekę lekarską czy zafunduje szkołę. Bo naród wolny i niepodległy to wspólnota świadomych jednostek.

Dziennikarka z polskiej telewizji publicznej – byłam przy tym, stałam w tłumie ukraińskich dziennikarzy – zadała Panu pytanie: „Panie ministrze, jakie odczucia towarzyszą takiemu powrotowi?”

Są to pytania irytujące.

Zauważyłam.

Świadczące o kompletnym nierozumieniu i chyba nawet braku chęci zrozumienia, co naprawdę tam wtedy się wydarzyło. Bo co tu można mówić o odczuciach.

Jest taki dowcip radziecki. Pytają starego Czukczę, co odczuwał przed rewolucją październikową. Odpowiada: „Miałem dwa uczucia – głodu i chłodu”. A po rewolucji? – pada pytanie. Zastanawiał się długo i powiedział: „Trzy uczucia – głodu, chłodu i wielkiej wdzięczności dla władzy radzieckiej”.

Ta tablica w Uniowie poświęcona braciom Szeptyckim jest ufundowana z myślą o nowych pokoleniach, zwłaszcza młodych Ukraińcach. Żeby każdy, kto będzie wchodził do cerkwi, natknął się na nią i przeczytał, iż w czasie, gdy na tej ziemi panował diabeł, bracia Szeptyccy mieli odwagę stawić mu czoło. Że warto złu się przeciwstawić.

Wnukowi ją Pan pokaże?

Ale jeszcze za trochę, żeby coś zrozumiał. Ma dopiero trzy latka.

Świat okazał się inny niż myśleliśmy

Z Adamem D. Rotfeldem rozmawiają Edward Chudziński,
Adam Komorowski i Filip Ratkowski

EDWARD CHUDZIŃSKI: – *Jest Pan Profesor osobą publiczną i sporo rzeczy już o Panu napisano. Jednak chcielibyśmy w pańskiej biografii i poglądach odnaleźć wątki, które jakoś umykały rozmówcom. I tak na przykład o dom rodziny pytano Pana wielokrotnie, ale w gruncie rzeczy nie wiemy, jaki to był dom? W jakim języku mówiło się w tym domu?*

ADAM DANIEL ROTFELD: – Mówiło się po polsku, ale... I tu pozwólcie Pano-
wie na dygresję. Otóż kiedy byłem jeszcze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, spotkałem na ulicy pewnego pana, który podszedł do mnie, przywitał się i wymienił nazwisko – Uziębło. Spytałem, czy krewny generała? – Tak – odparł – to był mój ojciec... Niedawno, po latach zadzwonił do mnie i przypomniał się raz jeszcze. – Jestem filatelistą – powiedział. – Co roku na giełdę filatelistyczną w Warszawie przyjeżdża przewodniczący stowarzyszenia filatelistów ze Lwowa. Dzwonił do mnie i powiedział, że ma cztery koperty zaadresowane przez Pańskiego ojca.

Zafrapowało mnie to, bo nie miałem nigdy w rękach tekstu pisanego ręką ojca, więc pojechaliśmy razem na tę giełdę. Kupiłem cztery koperty z nagłówkiem kancelarii mojego ojca i rzeczywiście zaadresowane były tym samym, ładnym, kaligraficznym pismem. Nie wiem, czy są to auto-

grafy ojca. Koperty były adresowane do sądów we Lwowie, Brzeżanach, Przemyślanach i Łucku. Listy nie zachowały się – tylko koperty. Może były w istocie adresowane przez kancelistę czy sekretarkę. Ale jest w tym coś paradoksalnego...

Znikają ludzie, domy, miasta. Przepadają rzeczy trwałe i wartościowe, nawet geograficzne realia zmieniają się, a trwają przedmioty ulotne – absolutnie pozbawione znaczenia. Oto zachował się ulotny ślad, że był taki człowiek, że była społeczność, że była jakaś kancelaria... Przecież papier, w dodatku koperta, czyli opakowanie może zostać wyrzucone na śmietnik, może spłonąć. Tego, że w domu rozmawiano na co dzień po polsku, nie zachowałem w pamięci, dowiedziałem się o tym od siostry. Alicja – starsza ode mnie o 11 lat – opowiadała, że gdy rodzice chcieli, żebyśmy jako dzieci nie wiedzieli o czym rozmawiają, przechodzili na niemiecki. W końcu ojciec był prawnikiem ze szkoły CK monarchii, studiował w Wiedniu. O polskiej tradycji domu świadczy też, jak sądzę, moje pierwsze imię Adam.

FILIP RATKOWSKI: – *A Daniel to ukraiński Danyło? Imię pewnego zakonnika?*

To fakt, że mnich, który zabrał mnie z domu i opiekował się mną, miał zakonne imię Daniel, ale oba imiona nadali mi rodzice. Drugie imię było zapewne nawiązaniem do biblijnej tradycji. Tak też zostałem ochrzczony. Dodam, że w wyniku starań, nie moich zresztą, tylko innego chłopca uratowanego w klasztorze, ojciec Daniel został zaliczony do grona Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. W ubiegłym roku, gdy z polską delegacją odwiedziłem Jerozolimę, w związku z konferencją dotyczącą współpracy Unii Europejskiej z Izraelem, po raz pierwszy po 68 latach spotkałem tego chłopca. To zresztą historia zadziwiająca. Jako pięciolatek przyjechał z Palestyny na wakacje do Lwowa, do babci i tu zastała go wojna. Nie znając w ogóle języka polskiego ani ukraińskiego, przetrwał w klasztorze tych kilka lat i to on właśnie przekazał mi kopię decyzji Instytutu Yad Vashem w tej sprawie.

Także archimandryta, a zarazem przeor klasztoru bł. p. Klemens Szepetycki uzyskał taki tytuł. Zmarł w stalinowskim więzieniu w 1951 roku i jako męczennik został przez papieża Jana Pawła II wyniesiony na ołtarze. Jego brat Andrzej Szepetycki, metropolita lwowski do tej pory nie został be-



Konferencja zorganizowana w SIPRI nt. poszerzenia Unii i NATO; od lewej: dr Thérèse Delpech – dyrektor ds. strategicznych we francuskim Komisariacie ds. Energii Atomowej i Alternatywnych Źródeł Energii (CEA), amb. Rolf Ekéus (Szwecja) – przewodniczący Rady Zarządzającej SIPRI, Strobe Talbott – zastępca sekretarza stanu USA w administracji prezydenta Billa Clintona i gospodarz Adam D. Rotfeld – dyrektor SIPRI, Sztokholm, kwiecień 2001 r.

atyfikowany, chociaż proces beatyfikacyjny toczy się z przerwami już ponad 50 lat (rozpoczął się w 1958 roku). Na opory napotyka również przyznanie mu tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata przez Instytut Yad Vashem w Jerozolimie. Tymczasem, bez jego wiedzy i wyraźnego polecenia taka działalność klasztorów unickich nie byłaby możliwa. Wiem z całą pewnością, że wszystkie klasztory, z wyjątkiem jednego, którego przeor miał notabene na imię Rafael, podporządkowały się tym wskazaniom.

ADAM KOMOROWSKI: *Wspominał Pan kiedyś, że w niewielkich w końcu Przemyslanach było trzynastu adwokatów...*

Było ich siedemnastu! Musiała być tam dostateczna ilość spraw i sporów, skoro wszyscy mogli się utrzymać ze swoich usług. Kiedyś, gdy „Polityka” opublikowała fragment moich wspomnień, pewna pani z Bydgoszczy przysłała mi kserokopię rocznika adwokatury polskiej z 1938 roku. Wtedy ich wszystkich policzyłem i skorygowałem swoje błędne wyobrażenia...

E. CH.: *Kiedy pytałem o język, jakim mówiło się w domu, to chciałem przy okazji dowiedzieć się, jaki język był językiem pierwszym, w którym zaczął Pan nazywać świat i jaka w istocie była tożsamość Pana rodziny w tej wielokulturowej i wielonarodowej społeczności kresowego powiatowego miasteczka...*

Z domu rodzinnego wyszedłem, gdy miałem trzy i pół roku. Z natury rzeczy to utrudnia mi określenie tego klimatu. Na odwrocie zdjęć, które moja siostra odnalazła przypadkiem, znajdowały się uwagi w języku polskim i niemieckim. Z tymi zdjęciami było tak. Tuż po wkroczeniu Rosjan, gdy siostra wróciła z lasu do rodzinnych Przemyślan, ktoś wskazał jej wioskę, z której chłopcy – gdy nasi rodzice zostali zamordowani – wynosili z naszego domu różne rzeczy. Alicja odwiedziła tych gospodarzy. Powiedziała, że zależy jej tylko na pamiątkach. Odzyskała rytualny kielich, jeden talerz z dedykacją i album ze zdjęciami, który należał do mieszkającego w sąsiedztwie zaprzyjaźnionego lekarza. Nie wykluczam, że był krewnym mojej matki. Też padł ofiarą hitlerowców i ukraińskich policjantów. W albumie była też kartka pocztowa adresowana do niego z Belgii, napisana po niemiecku. Zapewne po to, by niemiecka cenzura jej nie zatrzymała. W Galicji – pod austriackim

zaborem – osoby wykształcone posługiwały się swobodnie dwoma językami – polskim i niemieckim.

E. CH.: *I miał Pan językowe kłopoty?*

W klasztorze najpierw mówiłem po polsku – dodając słowa ukraińskie. Po kilku tygodniach mówiłem już po ukraińsku. Języka drukowanego nauczyłem się na katechizmie i modlitewnikach pisanych w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Pierwszą polską książką, jaką częściowo przynajmniej przeczytałem w klasztorze, był *Książę i żebrak*. Pamiętam, że przy piecu siedział starszy chłopiec i czytał książkę na głos, a ja starałem się śledzić litery, zaglądając do książki od przeciwnej strony stołu.

F. R.: *Jak liczna grupa dzieci tam przebywała?*

Było nas osiemnastu – do dwudziestu. Te liczby zresztą się zmieniały w różnych momentach – jedne dzieci przyjmowano, inne przenoszono do innych zgromadzeń zakonnych. Klasztor należał do reguły studytów. Był założony w XIII wieku przez zakonników przybyłych z Belgii. Bezspornie należy do najpiękniejszych klasztorów, jakie widziałem. Leży w dolinie, wśród lasów. Zbudowany jest na kształt fortecy – z murami obronnymi i otworami strzelniczymi, a wokół była fosa z mostkiem prowadzącym do głównej bramy. Na zewnątrz klasztoru był przed wojną budynek sierocińca, który prowadzili zakonnicy. W czasie wojny zdecydowano, że należy przenieść dzieci do wnętrza klasztornych zabudowań. Spaliśmy na parterze, w dużej sali. Cele zakonników były piętro wyżej. Podobną działalność prowadził w niedalekim Jaktorowie klasztor żeński. Tam przebywały dziewczynki.

A. K.: *Co było istotą duchowości tego zakonu? Jak była jego misja?*

Nie chciałem w tej sprawie wypowiadać się autorytatywnie. Jako dziecko wiedziałem na ten temat niewiele. Po latach przeczytałem, że była to reguła podobna do bazylianów. Zakon studytów – zlikwidowany przez Austriaków po I zaborze – odrodził się na regule na nowo sformułowanej

przez obu braci Szeptyckich. Studyci – podobnie jak nasi salezianie – pełnili rolę oświatową i stanowili ośrodki kultury wśród niepiśmiennego wówczas chłopstwa Galicji Wschodniej.

A. K.: *Czy tworzenie ikon też mają w regule?*

Mają własnych ikonopisców – malarzy ikon. Od obecnego przeora Wenedykta otrzymałem dwie ikony – Matki Boskiej Uniowskiej i bł. Klemensa – przeora wyniesionego na ołtarze. Warto wiedzieć, że ikony są wykonywane według kanonu i w pewnym sensie kopia jest również oryginałem.

E. CH.: *Po kilku latach ponownie przychodzą Rosjanie...*

Front przetoczył się nad nami czy też obok. Z początku niewiele się zmieniło. Wtedy właściwie ich nawet nie zobaczyłem. Chodziłem już do szkoły. Pewnego dnia przyjechał samochód – kino objazdowe. Było to pierwsze moje zetknięcie z nową władzą. Jak Panowie wiedzą, kino w propagandzie radzieckiej odgrywało rolę specjalną. Lenin określił je jako najpopularniejszą ze wszystkich form artystycznej działalności. W największej sali wiejskiej szkoły w Uniowie zawieszono prześcieradło jako ekran, a cała wyświetlająca machina – rzutnik i generator – znajdowała się na samochodzie ciężarowym, z którego rzucał obraz przez okno do wnętrza. Wtedy Ukraińcy z UPA, z którymi zresztą mój klasztor sympatyzował, wrzucili do środka – do sali pełnej dzieci – kilka granatów! Pamiętam po dziś dzień, że wyświetlany był film *Tęcza*...

A. K.: *Według powieści Wandy Wasilewskiej.*

Dokładnie. Chodziło o to, by filmem, który był na wsi niezwykle atrakcją, pozyskać młodzież. Stąd zamach... Można sobie wyobrazić, co się w tej klasie działo! Kilka ofiar śmiertelnych, wielu rannych... Kilka dni później przyjechali żołnierze NKWD. Wielu chłopów zabrano na Sybir. Widziałem, jak ich wywożono. Potem przychodziły od zesłańców listy. Na prośbę rodzin i pod ich dyktando pisałem odpowiedzi. W większości mieszkańcy Uniowa nie umieli ani pisać, ani czytać.



Od lewej: Richard Perle – były zastępca sekretarza obrony USA, Adam D. Rotfeld, William Perry – były sekretarz obrony USA, Hans Blix – były minister spraw zagranicznych Szwecji,

Z maila z poprawkami

str. 419 jest: Od lewej: Richard Perle – były zastępca sekretarza obrony USA, Adam D. Rotfeld, William Perry – były sekretarz obrony USA, Hans Blix – były minister spraw zagranicznych Szwecji, powinno być: skan wysłany wcześniej, załączam ponownie.

?

F. R.: *Jakie były losy Pana siostry?*

Najgorszy czas wojny przeżyła w lesie. Zaczniemy od tego, że mój ojciec był w Przemyślanach osobą znaną. Przewodniczył Radzie Adwokackiej, miał pewien autorytet. W pierwszych tygodniach po wejściu Niemców łudził się, że uda się przetrwać. Wkrótce jednak zaczęły się „akcje”. Czasami wieczorami wpadali do ojca żydowscy policjanci i informowali, że nad ranem planowana jest taka „akcja”. Jedną z nich zachowałem w pamięci.

Nasz dom z werandą stał przy głównej ulicy miasta. Przed wojną była to ulica Mickiewicza, po wojnie – Lenina i Pierwszego Maja. Dziś ulica nazywa się Halicka. Za domem był sad i w sadzie na wzniesieniu stał dom dziadków, do którego wchodziło się szerokimi schodami, prowadzącymi wprost do kuchni. Front tego domu od ulicy wyglądał okazale. W kuchni była specjalna blacha, która miała chronić podłogę przed węglem wypadającym z pieca. Po wejściu Niemców dziadkowie wykopali pod kuchnią schron z przemysłnym wejściem. Było ono pod blachą ze schodkami do podziemnego pomieszczenia, w którym wszyscy – rodzina była dość liczna – mogliśmy się schować w razie niebezpieczeństwa. Zaprzyjaźniona gospodyni – Ukrainka – rzuciła w ostatniej chwili na tę blachę sporą porcję drewna. Niemcy, którzy wpadali do domów, sprawdzali podłogi kłując je specjalnymi długimi metalowymi prętami i nadsluchiwali odgłosów. Jednak najwyraźniej nie mogli na nasz schowek natrafić, szczególnie, że znajdował się on pod piecem. Słyszałem ich kroki i głosy. Dorośli szeptem obiecywali mi złote góry, bylebym nie płakał...

Pewnego dnia, wcześniej uprzedzeni, bieглиśmy gęsiego przez sad. Mama trzymała mnie za rękę, ale rozwiązała mi się sznurówka. Zatrzymałem się na moment i już za chwilę byłem przedostatni. Skręciłem na schody. Ostania szła stara ciotka... Na głównej ulicy pojawiła się grupa ukraińskich policjantów. Dziś myślę, że byli pijani, krzyczeli, jeden z nich wystrzelił w naszym kierunku – ciotka upadła na schody. Z ust ciekła jej krew... Zgarnięto mnie w pośpiechu. Po chwili byliśmy w naszym schronie. Na szczęście żaden z policjantów nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, co się z nami stało. Poszli dalej. Zabicie człowieka było wtedy równie mało istotne, jak dziś zabicie wrony! Po kilku godzinach wyczekiwania przyszli Niemcy. Przeszukali cały dom – obstukali podłogi metalowymi prętami. Schron znów okazał się bezpieczny.

A. K.: *Napatrzył się Pan w dzieciństwie na śmierć!*

Każdą z tych śmierci pamiętam. Dziś, gdy trwa dyskusja wokół książki Jana Grossa *Złote żniwa*, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ten, kto nie doświadczył czasu wojny, nie jest w stanie zrozumieć, że obowiązywały wtedy inne reguły zachowań. W tamtych czasach wyznaczniki moralne były różne od dzisiejszych. I to nie tylko dlatego, że cena ludzkiego życia była postrzegana inaczej. Była też straszna bieda, która dla dzisiejszego człowieka jest trudna do wyobrażenia.

A. K.: *Ubranie to była rzecz niezwykle cenna.*

Pamiętam ciała zabitych ludzi – przez Niemców, Rosjan, banderowców – wszystkie były bez butów! To, co najwartościowsze, czego nie można było sobie w domu samemu wyprodukować – zabierano i to bez względu na rozmiar tych butów. Zawsze komuś mogły się przydać. Tak było w czasie wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu.

F. R.: *Pamięta Pan moment, w którym oddano Pana do klasztoru?*

(...) Pamiętam: wszyscy byli zebrani w salonie, na parterze. Ojciec Daniel, który przy drzwiach wyjściowych żegnał się z moim ojcem, powiedział nagle: – A może pan mecenas odda swojego syna pod opiekę klasztoru? Zaczęło się gwałtowne poszukiwanie zimowych ubrań. Wsadzono mnie na wóz, który czekał na podwórzu. Na koźle obok woźnicy usiadł o. Daniel. Niezbyt wyraźnie przypominam sobie, jak zatrzymała nas na rogatkach miasta jakaś wachta, ale nie sprawdzali, kto leży pod burką w saniach. (...)

F. R.: *Jak rozumiem, Pańska siostra została z ojcem?*

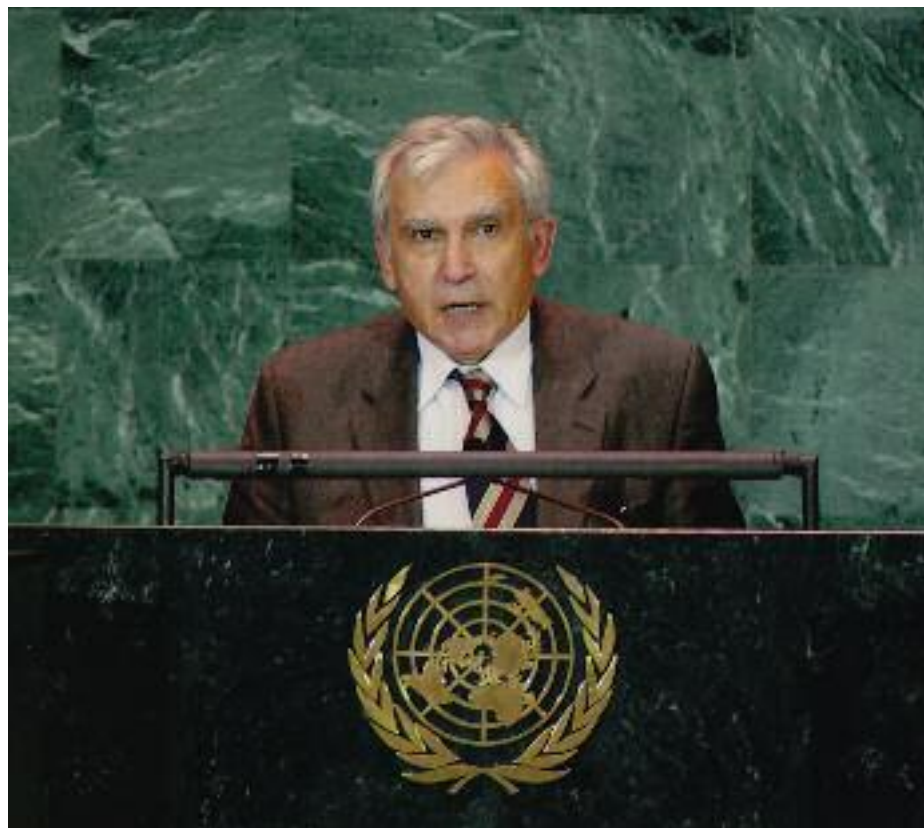
Tak. Ojciec na przełomie 1941 i 1942 roku doszedł do wniosku, że zbliża się totalna zagłada. Zorganizował z innymi osobami w lesie obóz przetrwania dla tych, którzy zdecydowali się z rodzinami wyjść z getta. W ten sposób uratowało się kilkanaście osób. Wśród nich znalazł się Kleinmann – jak sam o sobie pisze – „ostatni klezmer z Galicji”. Wstąpił do wojska i został dyrygentem orkiestry i chóru Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Woj-

ska Polskiego. Znany jest jako Leopold Kozłowski. W książce Jacka Cygana – opartej na wspomnieniach Poldka – znalazła się też wzmianka o moich rodzicach.

Moja siostra Alina, która po przyjeździe Rosjan wyszła z lasu w jednej sukience, zatrudniła się w miejscowej fabryce spirytusu. Miała 17 lat. Początkowo była pomocnicą laboranta, potem w wieczorowym technikum chemicznym zdobyła kwalifikacje i została laborantką. I to ona właśnie w jakimś momencie odnalazła mnie w klasztorze, powiedziała, co się wydarzyło, jakie jest moje prawdziwe nazwisko.

Siostra wyszła za męża za księgowego z fabryki, sympatycznego człowieka, z pochodzenia Jakuta, st. sierżanta, który po powrocie z frontu otrzymał przydział do pracy we lwowskim zjednoczeniu produkcji spirytusu („Spirt-Trust”). Skierowano go do Przemyślan. Kontrola stwierdziła, że w fabryce są „przecieki” – spirytus wypływa. Aresztowali wtedy większość pracowników, którzy pełnili funkcje kierownicze, w tym księgowego, choć to nie oni spirytus wynosili, a raczej ci, którzy mieli bezpośredni kontakt z produkcją. Inna rzecz, że obyczaj „wsadzania do kryminału” był w Kraju Rad dość powszechny. Pamiętam na przykład dyrektora szkoły, do której chodziłem. Nazywał się Petrenko. Skazano go na 25 lat na tej podstawie, że ktoś doniósł, jakoby był w ukraińskiej policji podczas niemieckiej okupacji. Do mnie dobrze się odnosił i jeszcze dziś widzę jego twarz.

Po aresztowaniu męża sytuacja mojej siostry, która właśnie wtedy urodziła dziecko, stała się jeszcze trudniejsza. Miała krowę, którą – jak kilku innym pracownikom – pozwolono trzymać w przyfabrycznej stajni. Chodziłem tam codziennie. Po wydojeniu przynosiłem do domu garnek mleka. Pewnego razu zjawiłem się w fabryce latem, kiedy była przerwa w produkcji. Robotnicy czyścili ogromną, wysoką na dwa piętra cysternę po spirytusie wyrabianym z ziemniaków. Resztki spirytusu zostały na dnie. Robotnicy zaproponowali mi, żebym zszedł do cysterny po specjalnych schodkach i przyniósł trochę spirytusu w puszcze po rybnej konserwie. Zgodziłem się chętnie, byłem nawet dumny, że potraktowali mnie jak dorosłego. Zszedłem na dno, nabrałem spirytusu i wyniosłem na górę. W uznaniu za mój wyczyn zaproponowali, bym się z nimi napił. Podali mi jako zakąskę świeży ogórek z solą. Miałem wtedy 10 lat. Znowu potraktowali mnie jak mężczyznę. Do dziś pamiętam – szedłem do domu



Wystąpienie z trybuny ONZ z okazji 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej,
Nowy Jork, 9 maja 2005 r.

i pilnowałem, by garnka nie rozbić i mleka nie wylać. Ale wszystko się pode mną chwiało. Na schodach domu postawiłem garnek i straciłem przytomność. I tak raz na zawsze wyzbyłem się nadmiernego pociągu do mocnego alkoholu.

E. CH.: *Może Pan napisać kolejną książkę. Tym razem pod tytułem Jak zostałem abstynentem!*

Abstynentem nie jestem, ale rzeczywiście za wódką nie przepadam. Niezależnie od zatrucia organizmu we wczesnym wieku, nabrałem niechęci do mocnych alkoholi ze względu na to, co się wokół mnie działo. Przekraczało to zdrowy rozsądek. Ludzie pili na umór. Inna rzecz, że zarobki były tak niskie, że pensja miesięczna starczała akurat na jeden bochenek chleba na czarnym rynku. Nas ratowała ta krowa. Mieliśmy też świniaka i hodowaliśmy króliki. Inni tego nie mieli – musieli kraść. I kradli.

F. R.: *Ale w końcu siostra znalazła się w Polsce?*

Po Październiku 1956 roku była nowa fala repatriacji. To, że setki tysięcy Polaków mogło wtedy wrócić do Polski, było zasługą Gomułki i Rapackiego, którzy w tej sprawie postawili się i uzyskali zgodę Rosjan na wyjazd osób, które miały poczucie przynależności do narodu polskiego. W jednym z ostatnich pociągów wróciła w 1959 roku moja siostra z dziesięcioletnią już córką, Leną. Wcześniej musiałem wysłać im zaproszenie. Byłem już wtedy na studiach. Miałem problem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Ostatecznie udało się znaleźć kobietę w Krakowie przy ul. Lea (wtedy Dzierżyńskiego). U tej pani Alina zamieszkała jako opiekunka. Potem dostała pracę w Krakowskiej Fabryce Aparatury Pomiarowej. Zmarła nagle na raka mózgu. Było to w sierpniu 1965 roku. Szykowała się do urlopu. Moja siostrzenica miała zainteresowania i zdolności artystyczne. Udało się dzięki życzliwości pani Haliny Kenarowej umieścić ją w Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem. Po maturze, która przypadła na czas marcowych wydarzeń, zdecydowała się wyjechać do Szwecji, gdzie skończyła studia plastyczne. Czuje się tam u siebie, ale podtrzymuje żywe kontakty z „kenarowcami”.

F. R.: *W życiorysach dostępnych np. w internecie czytamy, że w 1951 roku upomniata się o Pana polska ambasada i doszło do repatriacji. Intryguje nas, jakie było tło tego wydarzenia, bo przecież za tym musiały stać jakieś osoby...*

Zacznijmy od tego, że w 1946 roku Rosjanie podjęli decyzję o likwidacji Cerkwi greckokatolickiej. W rok później nastąpiło rozwiązanie klasztoru. Dzieci zostały zimą 1947 roku przewieziona konnymi wozami do Domu Dziecka w Złoczowie. Po trzech dniach poczułem się nieswojo. Wszystko było inne od tego, do czego przywykłem. Zamiast modlitwy – rano i wieczór były capstrzyki, na których po rosyjsku śpiewano jakieś pieśni. Z czasem uświadomiłem sobie, że był to hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej *Naprzód, młodzieży świata...* Cały ten świat jawił mi się jako absurdalny. Postanowiłem uciec. Przyłączyło się do mnie dwóch chłopców. We trójkę ze Złoczowa ruszyliśmy do oddalonego o 60 km Unio-wa, do klasztoru. (...)

W Unio-wie zakonnicy przyjęli nas bardzo ciepło i serdecznie. Chodzili już w ubraniach cywilnych – klasztor był w stanie likwidacji. W rok później siostra zabrała mnie do Przemyślan. Dobiegał końca 1948 rok. Wkrótce Alinę z mężem przenieśli do innej fabryki spirytusu, do Włodzimierca na Wołyniu, gdzie po pewnym czasie dotarło do mnie pismo z polskiej ambasady. Wyjechałem w ramach akcji poszukiwania polskich dzieci zagubionych po wojnie na dawnych polskich Kresach, włączonych do ZSRR. (...)

E. CH.: *Pan znalazł się w Polsce wcześniej, w 1951 roku i trafił do Krakowa. Jak dziecko z sierocińca odnalazło się w krakowskim Liceum im. Augusta Witkowskiego?*

Repatriowane dzieci były kolejnymi transportami dowożone do Dusznik-Zdroju. Tam odbierały je rodziny. Z 3 tysięcy dzieci, które trafiły do Dusznik, zostało czworo, po które nikt się nie zgłosił. Byłem jednym z tej czwórki.

Wcześniej nie miałem pojęcia, że Kraków w ogóle istnieje! Moje rodzinne Przemyślan były metropolią w stosunku do Włodzimierca, gdzie ludzie chodzili w łapciach. Na Wołyniu bieda była jeszcze większa niż

na Podolu. Do Lwowa pojechałem raz, na jeden dzień, z kierowcą z fabryki spirytusu. Miasto zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Do Krakowa dotarłem w lipcu. Po kilku dniach pojechaliśmy zbiorowo z Domu Dziecka przy ul. Augustiańskiej Bocznej 1 do Zakopanego, do willi Modrzejów, gdzie też znajdował się Dom Dziecka, którego wychowankowie na lato jeździli do Krakowa. A my – do Zakopanego. Dla obu stron była to atrakcja. Po powrocie z wakacji trafiłem z przydziału do V Liceum TPD im. Augusta Witkowskiego. Zresztą wtedy wszystko było z przydziału. Dyrektorem była pani Bronisława Berger, dobra matematyczka, ale niestety nie najlepszy pedagog. Po roku zdarzył się jakiś incydent. Uderzyła jednego z uczniów. Pamiętam, ukazał się wtedy na łamach „Dziennika Polskiego” felieton pt. *Krewki pedagog*, który stał się końcem jej dyrektorskiej kariery. Była dobrą nauczycielką matematyki, znalazła pracę w I Liceum im. Nowodworskiego, a na jej miejsce przyszedł Stanisław Potoczek, bardzo przyzwoty, sympatyczny i życzliwy dla ludzi pedagog.

A. K.: *To senatorska rodzina z Nowego Sącza.*

Dyrektor Potoczek miał ambicje teatralne. I choć Liceum Witkowskiego miało profil matematyczno-fizyczny, po krótkim czasie stworzył szkolny teatr, a do takiego antytalentu matematycznego jak ja odnosił się z wyrozumiałością i sympatią. W pierwszych tygodniach klasa mnie wyśmiewała, mówiłem źle po polsku. Pamiętam jak dziś, na lekcji historii opowiadałem o rozdrobnieniu dzielnicowym i w pewnej chwili, ku rozbawieniu kolegów powiedziałem, że Krzywousty podzielił Polskę między „królików”. Z kolei na lekcji fizyki padło pytanie, kto wynalazł radio. W sposób naturalny i zgodny z tym, czego mnie nauczono w radzieckiej szkole podstawowej, stwierdziłem, że Popow. Na to pani profesor: – Popow, owszem, wymyślił skrzynkę do radia, ale samo radio jednak Marconi!

Moją wychowawczynią była pani Maria Korosadowicz. Uczyła niemieckiego i geografii. Pewnego razu poprosiła, żeby skontaktował się z nią mój wychowawca z Domu Dziecka. Był to czas, kiedy w naszym Domu Dziecka nastał dyrektor, który miał ambicje makarenkowskie. Jego żona była kierownikiem pedagogicznym, a młodszymi dziećmi zajmowali się starsi wychowankowie. Mój „opiekun” nazywał się Rudolf Żelazko. Byłem wtedy w ósmej klasie, a Rudolf – w dziesiątej. Kiedy pokazał się

u pani Korosadowicz, była zaskoczona. Okazało się, że to jej uczeń, tyle że w Technikum Kinotechnicznym, gdzie też uczyła! Od tego czasu już nigdy nikogo w moich sprawach nie wzywała do szkoły. (...)

E. CH.: *Jak Pan sobie wybrał Szkołę Główną Służby Zagranicznej? Dostanie się tam nie było chyba proste?*

Właściwie tej uczelni sobie nie wybierałem. Pierwotnie chciałem dostać się na studia za granicą – w jednym z krajów demokracji ludowej. Wykombinowałem sobie, że skoro nie mam rodziny i żadnego zaplecza finansowego, to takie studia zapewnią mi pełne utrzymanie. Niestety, nie zostałem na te studia zakwalifikowany.

Wszystko to działo się jeszcze w trakcie roku szkolnego. Pewnego dnia wywołano mnie z klasy i zaproszono do gabinetu dyrektora. Okazało się, że przyjechała do naszego liceum dwójka asystentów ze Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, którzy poszukiwali kandydatów na Wydział Dyplomatyczno-Konsularny. Na rozmowę z nimi dyrektor Potoczek wytypował mnie. (...)

A. K.: *Czy to znaczy, że tacy ludzie jak Józef Klasa czy Biernacki dostali się tam z dyplomami przodowników?*

Nie wiem. Nie wykluczam, że mieli takie dyplomy. Byli ode mnie starsi i rozpoczynali studia wcześniej. Zapewne były wtedy inne zasady. Rozpoczynałem studia w czasach „odwilży”.

(...)

Byli w tej szkole ludzie bardzo różni. Moi przyjaciele Sławomir Dąbrowa, Jurek Nowak, Andrzej Towpik pochodzili ze zwykłych szkół, wielu było z rodzin nauczycielskich. Sławek Dąbrowa był właśnie takim „przodownikiem”, z nauczycielskiej rodziny, zawsze świetnie przygotowany. Po ukończeniu studiów razem stanęliśmy przed komisją egzaminacyjną, gdy ubiegaliśmy się o przyjęcie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. (...)

Obaj z Dąbrową zdaliśmy celująco. Z tym, że jego przyjęto, mnie – nie.

E. CH.: *Dlaczego akurat Pan miał zamkniętą drogę do kariery dyplomatycznej?*

Po Październiku w wyższych gremiach partyjnych przyjęto, jak sądzę, założenie, że w społeczeństwie jest zły odbiór ludzi „niewłaściwego pochodzenia” w MSZ i w innych resortach. Nie eliminowano wszystkich. Jeśli ktoś miał ojca ministra, wiceministra czy wysokiego funkcjonariusza partyjnego, to jakoś te ograniczenia były omijane. Ja byłem człowiekiem znikąd.

Kiedy moi koledzy dostali zatrudnienie, zgłosiłem się do kierownika wydziału szkolenia w MSZ z pytaniem, czy wie, jaka jest moja sytuacja. Był to człowiek sympatyczny i przywoity. Pytam o co chodzi, a ten spojrział na mnie jak na idiotę: – Liczyłem na to, że pan jest bardziej inteligentny. Dla pana pracy w MSZ nie ma.

Rozmowa odbywała się na czwartym piętrze. Zmartwiony schodziłem na parter. Spotkałem profesora Stefana Boratyńskiego, autora wydanej po Październiku pierwszej polskiej książki naukowej o dyplomacji wielkich mocarstw w okresie II wojny światowej. Zapytał mnie, czemu jestem taki ponury. Opowiedziałem, co przed chwilą usłyszałem i dodałem: – Właściwie nie wiem, co mam ze sobą zrobić. – Niech pan machnie ręką! Proszę się zgłosić do mnie na Warecką – do Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, coś dla pana znajdziemy. (...)

Wkrótce otworzyła się możliwość etatu. W Instytucie przepracowałem ponad 30 lat...

A. K.: *Jak wyglądały Pańskie sprawy mieszkaniowe w Warszawie? To wówczas był problem.*

Najpierw trzymałem się przez 2-3 miesiące akademika. Na dłuższą metę okazało się to niemożliwe. Potem jeden z profesorów wyjeżdżał na stypendium zagraniczne i pozwolił mi u siebie mieszkać nieodpłatnie. Był taki rok, kiedy sześciokrotnie zmieniałem mieszkanie – zawsze ktoś gdzieś wyjeżdżał i pojawiała się nowa szansa na czasowe rozwiązanie moich mieszkaniowych kłopotów. W końcu napisałem w tej sprawie list do Prezydenta Miasta Stołecznego Warszawy, Janusza Zarzyckiego. Otrzymałem przydział kawalerki – 23 metry kwadratowe. Nie posiadałem się z radości. Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu...

Nie wiedziałem wówczas, że będę kiedykolwiek miał jeszcze kontakt z Zarzyckim. Zaczęło się od tego, że byłem współzałożycielem Studenc-

kiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ w Polsce. Pod koniec studiów, razem ze Sławkiem Dąbrową wzięliśmy udział w międzynarodowym konkursie na pracę dotyczącą ONZ. Pierwszej nagrody nie przyznano. Obaj dostaliśmy *ex aequo* nagrody drugie. Dla Sławka był to wyjazd na seminarium do Danii, dla mnie – do Pembrock Dock w Walii. Tak się złożyło, że w tym czasie otrzymałem list od pewnej pani z Wrocławia, która napisała mi, że mam daleką rodzinę w Londynie – profesora, który przed wojną wykładał na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Był to wybitny polski neurolog, założyciel Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Właśnie wtedy, gdy otrzymałem zawiadomienie o nagrodzie, w „Tygodniku Powszechnym” ukazał o nim obszerny artykuł pt. *Polski neurolog rzeźbiarzem*.

Napisałem do niego list z pytaniem, czy przypadkiem wie coś o mojej rodzinie. Poprosiłem, aby niezależnie od tego, czy wie, czy nie wie, odpowiedział, abym miał pewność, że mój list do niego dotarł. Po kilku tygodniach dostałem sympatyczną odpowiedź, która zaczynała się od słów: „Drogi Danielu! Mam na imię Kuba, skończyłem 73 lata i należę do pokolenia, które ma zwyczaj odpowiadać na listy niezależnie od tego, czy nadawca mnie specjalnie o to prosi...”. Napisał, że chętnie by się ze mną spotkał, gdyby losy sprowadziły mnie do Wielkiej Brytanii. Prosił, bym koniecznie do niego zadzwonił.

Po wylądowaniu na lotnisku Heathrow zadzwoniłem. Nikt nie odbierał telefonu. Po paru godzinach ponowiłem próbę. Odezwał się kobiecy głos z twardym niemieckim akcentem. Spytałem, czy pani mówi po niemiecku? Odpowiedziała, że tak, ale profesora nie ma. Jest konsultantem w dużym szpitalu w Walii. Wyraziłem żal i napisałem z Pembrock Dock kartkę. Umówiliśmy się, że – wracając z seminarium – zatrzymam się na stacji miasteczka, w którym był szpital. Mieliśmy się spotkać na dworcu. Uzgodniliśmy, że będę trzymał w ręku polski tygodnik „Polityka”, a on będzie miał parasol i płaszcz przewieszony przez ręką. Wszystko jak w klasycznym filmie szpiegowskim. Na stacji okazało się, że jestem jedynym podróżnym, który tam wysiadł, a on jedynym witającym, który czekał na peronie! Po drodze do szpitala opowiedział mi, że pani, która odebrała telefon, to osoba w podeszłym wieku, emigrantka z Niemiec jeszcze z 1936 roku, która nigdy dobrze nie nauczyła się mówić po angielsku. – Zostawiam jej klucze, gdy wyjeżdżam, aby podlewała kwiatki.

Po rozmowie z tobą zadzwoniła: – Był do pana telefon od jakiegoś młodego człowieka z Warszawy. Był zmartwiony, że pana nie ma, ale jak dowiedziałam się, że nazywa się Rotszyld, to pomyślałam, że choć z Warszawy, to na pewno da sobie radę!

Profesor polecił mnie swojej siostrze Gieni, która mieszkała z synem w Londynie. Zatrzymałam się u nich. Bruno wykładał na Wydziale Architektury i był w tym czasie naczelnym urbanistą Londynu. Nazywał się Schlaffenberg. Jego ojciec był przed wojną zawodowym oficerem i zginął w Starobielsku. Bruno razem z matką został wywieziony ze Lwowa do Azji Środkowej. Zgłosił się do armii Andersa. Po komisji lekarskiej powiedziano mu, że to nie jest armia żydowska, tylko polska! Za dużo Żydów się zgłasza... W tym momencie jakiś oficer zapytał: – Czy pan jest synem majora Schlaffenberga? Panowie, trzeba go przyjąć! – zdecydował. Trafił więc do wojska, był ciężko ranny pod Monte Cassino. Po wojnie Anglicy dali mu stypendium na studia. W ten sposób architekturę, którą zaczął we Lwowie, skończył w Rzymie. Poznał tam żonę, która przed wojną też studiowała architekturę, tyle że w Warszawie. Należała do Akademickiego Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie”. Jej serdecznym przyjacielem w tych czasach był Janusz Zarzycki, późniejszy prezydent Warszawy...

Z Brunem, jego żoną Ireną i matką Eugenią utrzymywałem do ostatnich ich dni bliski i serdeczny kontakt. Matka Bruna była z domu Rothfeld, ale więzy pokrewieństwa były na tyle dalekie, że – jak piszą historycy – ginęły w pomroce dziejów i zaprzestaliśmy ich ustalania.

E. CH.: *A Pańska znajomość języków? Jest Pan poliglotą!*

Nie przesadzałbym. Nie jestem. Co więcej – nie mam szczególnych uzdolnień językowych. Niektóre języki poznałem przez zbieg okoliczności. Podstawy rosyjskiego wyniosłem ze znajomości staro-cerkiewno-słowiańskiego, który poznałem w klasztorze. Niemieckiego uczyła mnie w szkole pani Maria Korosadowicz, a potem kontynuowałem naukę na studiach. Zaczęłam się nawet uczyć początków arabskiego, traktując to jako hobby, ale po paru miesiącach porzuciłem. Popełniłem błąd – nie uczyłem się wtedy angielskiego. Już w Studenckim Stowarzyszeniu Przyjaciół ONZ przekonałem się, że bez angielskiego w dzisiejszym świecie trudno się



Wizyta współprzewodniczącego Polsko-Rosyjskiej Grupy ds. Trudnych w Stolicy Apostolskiej. Powitanie przez papieża Benedykta XVI; od prawej: papież Benedykt XVI, amb. Hanna Suchocka i prof. Adam D. Rotfeld, Watykan

obrać. Nauczyłem się angielskiego na Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Słuchałem wystąpień w oryginale i w symultanicznym tłumaczeniu, trochę się oswoiłem z językiem konferencyjnym. Kiedy znalazłem się w Sztokholmskim Instytucie Badań nad Pokojem (SI-PRI), musiałem się posługiwać tym językiem na co dzień – był to jedyny język roboczy. W tym języku występowałem, prowadziłem wykłady, publikowałem. Dziś łatwiej mi mówić po angielsku niż po niemiecku.

Po ukraińsku swobodnie czytam, ale wywietrzała mi. Gdy zostałem osobistym przedstawicielem przewodniczącego KBWE do spraw rozwiązania konfliktu w Naddniestrzu, odwiedzałem kolejno stolice, które były zainteresowane tym problemem. Byłem w Pradze, Bukareszcie, Moskwie. W Kijowie rozmawiałem z ówczesnym prezydentem Ukrainy, Leonidem Krawczukiem. Poprosił, abym w obecności prasy kilka początkowych zdań powiedział po ukraińsku. Dodał, że po wyjściu dziennikarzy możemy przejść na rosyjski. Obiecałem, że spróbuję, ale pan prezydent musi pamiętać, że mój ukraiński jest na poziomie zasobu słów niespełna 10-letniego chłopca. Ostatecznie robiłem wrażenie, że rozmawiamy po ukraińsku. Z językiem jest trochę tak, jak z pływaniem czy jazdą na rowerze. To, czego nauczymy się w dzieciństwie, dość szybko – po kilku dniach czy tygodniach – wraca. U mnie z rowerem jest jako tako, z pływaniem gorzej, bo w dzieciństwie nie nauczyłem się pływać.

E. CH.: *Wróćmy do PISM-u. Spędził Pan tam wiele lat, ale nie możemy ominąć wydarzeń marca 1968 roku.*

O początkach swej pracy w Instytucie opowiedziałem. Trafiłem do PISM w rok po zwolnieniu z funkcji dyrektora wybitnego socjologa, prof. Juliana Hochfelda, przedwojennego działacza socjalistycznego. Na jego miejsce partia delegowała Ostapa Dłuskiego. Na miejsce prof. Remigiusza Bierzanka, który był naczelnym redaktorem miesięcznika „Sprawy Międzynarodowe”, mianowany został Adam Kruczkowski, syn pisarza Leona Kruczkowskiego. Zналиśmy się z Adamem, ponieważ był pierwszym przewodniczącym Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ. Był ambitny, miał możnych protektorów. Robił karierę polityczną. Powierzył mi codzienne obowiązki związane z prowadzeniem pisma i redakcji wydawnictw PISM. Powołano też wówczas Komitet Koordynacyjny Badań Niemcoznaw-

cych. Zostałem sekretarzem KKBN, potem był Komitet Koordynacyjny Badań nad Bezpieczeństwem Europejskim, w którego skład wchodził dyrektorzy instytutów z państw bloku wschodniego: ZSRR, NRD, Czechosłowacji i Polski. Adam był sekretarzem polskiej grupy. Wkrótce mnie przekazał również tę funkcję.

F. R.: *I przyjął Pan rolę wielbłąda?*

Lubiłem to. Odpowiadała mi praca redaktora. Problem polegał na tym, że na studia i naukę po prostu nie starczało czasu. Miałem w końcu w Instytucie sześć różnych funkcji. Uczestniczyłem w seminariach doktoranckich prof. Stanisława E. Nahlika – najpierw w Toruniu, a potem w Krakowie – z zakresu prawa międzynarodowego. I wtedy nastał 1968 rok. Adam przystąpił do Moczarowskiej frakcji „młodo Turków”. Znakiem rozpoznawczym tej frakcji była walka z „syjonizmem”. Już w kwietniu 1968 roku Adam został wiceministrem spraw zagranicznych. Zanim do tego doszło, bo 21 marca odbyło się w PISM zebranie. W przeddzień Adam poprosił mnie do swego gabinetu i powiedział: – Toczy się w Polsce walka polityczna. Powinieneś zająć wyraźne stanowisko. Musisz się samookreślić. Nie możesz siedzieć okrakiem na barykadzie. – Była to ówczesna frazeologia, w codziennym użyciu prasy, radia, TV. Zapytałem, o co mu chodzi. Odpowiedział: – Są ludzie, którzy sabotują politykę partii, prowadzą działalność rewizjonistyczną. Chciałbym, żebyś jutro wystąpił na zebraniu i ich potępił! – Kogo? – No, na przykład takiego Zygmunta Baumana czy Leszka Kołakowskiego. – Mówię: – Znam te nazwiska, czytałem, ale tych ludzi osobiście nigdy nie spotkałem. Nie mogę nagle zacząć ich potępiać. – Na to Kruczkowski stwierdził: – Jak uważasz. Pamiętaj, uprzedziłem cię.

No i odbyło się zebranie. Wstawali pracownicy – jeden po drugim. Każdy coś tam potępiał... Był na przykład w Instytucie wybitny znawca Bliskiego Wschodu dr Marek Thee. Na marginesie – z tym nazwiskiem Thee miał ciągle kłopoty, bo ludzie odbierali to jako jedną literę „T”. Pisał więc artykuły pod pseudonimem Marek Gdański. Przed wojną był młodzieżowym działaczem komunistycznym w Gdańsku. Został przez Niemców przymusowo wysiedlony do Palestyny. Po wojnie został polskim konsulem na Bliskim Wschodzie. Doprowadził do pierwszego tłumaczenia *Pana Tade-*

usza na hebrajski. W dodatku wydał tom w wersji dwujęzycznej – po hebrajsku i po polsku z myślą o żołnierzach polskich, aby tam mieli kontakt z narodową epopeją. Jego współpracownicy skrytykowali na zebraniu to, że opublikował na łamach organu teoretycznego PZPR „Nowe Drogi” „syjonistyczny” artykuł pt. *Konflikt arabsko-izraelski*. Bez znaczenia było to, że Marek Thee był zdeklarowanym antysyjonistą, a jego poglądy były szeroko znane i na tyle wyraziste, że miał wielu przyjaciół wśród Arabów i wrogów w Izraelu. Wszystkie książki, które w Polsce opublikował, były antysyjonistyczne. Otóż na zebraniu w PISM podliczono mu, że w artykule w „Nowych Drogach” 13 razy użył słowa „wojna”, 10 razy „konflikt”, a tylko 9 razy słowa „agresja”. Słowa „wojna” i „konflikt” – wywodził jeden z mówców – mają charakter neutralny. Stąd oczywisty wniosek, że Thee unikał potępienia Izraela. Potępiał go tylko w 30 procentach! Była też na tym zebraniu supozycja, że Thee nie jest prawdziwym Polakiem, bo ma żonę Czeszkę! Dodam, że osoby, które tak gorliwie potępiały Marka na zebraniu, deklarowały w kontaktach z Thee swoje uznanie i podziw dla jego wiedzy i życiowej postawy.

F. R.: *To nie był wtedy przypadek odosobniony.*

Zebranie trwało wiele godzin, bodaj do 2.00 lub 3.00 nad ranem. Jedni potępiali, innych krytykowano i usuwano. Postanowiłem, że nie zabiorę głosu. Kiedy jednak zostałem wywołany, powiedziałem, że zajmuję się naukowo problemem samookreślenia narodów. Na ten temat przygotowałem doktorat. W procesie samostanowienia – stwierdziłem – małe znaczenie mają werbalne deklaracje. Liczą się czyny i działalność. Jeśli naród chce uzyskać niepodległość, to wyraża swą wolę w sposób czynny. Marek Thee dowodził swojej lewicowości, kiedy go za to wsadzano przed wojną do więzienia. Nie liczył się z tym, że kiedykolwiek komuniści w Polsce obejmą władzę. To co słyszę i widzę, jest teatrem absurdu. Mówię to tylko dlatego, że muszę się codziennie golić i do końca życia nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym nie powiedział, co myślę. Sądzę, że wielu na tej sali myśli podobnie. Na zakończenie stwierdziłem, że nie czuję się najlepiej i muszę wyjść.

Na drugi dzień poprosiłem o urlop. Po kilku dniach zostałem zaproszony przez zastępcę dyrektora, który napisał sześć krótkich pism (wystukał

je osobiście na maszynie, bo widać wstydził się dyktować je sekretarce), że zwalnia mnie ze wszystkich sześciu funkcji. Wyszedłem z gabinetu dyrektora załamany. W rozmowie, która poprzedziła wręczenie zwolnień, dowiedziałem się, że zostaję zwolniony za brak zaangażowania.

Koniec końców, paradoksalnie, efekt był pozytywny. Miałem teraz czas, by zająć się doktoratem. Współpracownikiem profesora Nahlika na UJ był Gwidon Rysiak, który w mojej sprawie okazał wiele bezinteresownej życzliwości. W ciągu pół roku ukończyłem pisanie pracy. Obroniłem doktorat na Wydziale Prawa UJ w Krakowie. Recenzentami byli profesorowie: Krzysztof Skubiszewski, Konstanty Grzybowski i Franciszek Ryszka. Wspólnie ze mną obronił wówczas pracę doktorską Andrzej Towpik i Halina Okularczyk, których monografie na podstawie rozprawy doktorskiej ukazały się drukiem. Obie zachowują wartość po dziś dzień – choć od czasu ich publikacji minęło ponad 40 lat. Wspominam o tym, ponieważ klimat i pewna etyka pracy naukowej, którą przenieśli z okresu międzywojennego profesorowie tej miary co Bierzanek, Nahlik i Ryszka nie pozostała bez wpływu na kształtowanie badaczy nowej generacji.

F. R.: Doktorat był jakby pewnego rodzaju podsumowaniem pańskiej wizji świata opartej o ówczesne realia. Ten świat się teraz niesłychanie zmienił.

Mój doktorat zamykał pewien etap w moim życiu, ale nie był podsumowaniem wizji świata, w którym żyłem. Wszystko, o czym dotychczas mówiliśmy, to w gruncie rzeczy anegdota i drobiazgi. Teraz, jak rozumiem, chcąc Panowie, byśmy dotknęli rzeczy istotnych. Pyta Pan o różnicę percepcji, oglądu rzeczywistości poprzez okno zasłonięte czarną kotarą i okno otwarte na świat! To prawda, że świat okazał się inny niż myśleliśmy wcześniej. Nie „zupełnie odmienny”, ale „niezupełnie taki sam”.

Na szczęście moje studia przypadły na okres po Październiku. W Polsce dzisiaj wiele osób nie rozumie, jak bardzo Październik '56 zmienił postrzeganie świata. Minęły pokolenia. Październik zmienił nasze widzenie świata o tyle, że wtedy był w Polsce głód wiedzy – swego rodzaju „odłożony popyt na prawdę”. W związku z tym profesorowie i studenci łączywie sięgali po rzeczy wartościowe, prawdziwe i w czasach stalinowskich zakazane i niedostępne. Dziś w księgarni szuka się wartościowych książek w ogromnym śmietniku rzeczy łatwo dostępnych. Wtedy tego śmietnika

nie było. Wydawnictwo dostawało zgodę na wydanie książki Jean-Paula Sartre'a albo Ericha Fromma. Musiało usilnie o to zabiegać, ale wieść o takiej pozycji rozchodziła się natychmiast niezwykle szeroko. Biegło się do księgarni, wystawało w kolejkach, czytało z wypiekami... Ten, kto nie dostał, wypożyczał na 1-2 noce.

F. R.: *Ale z drugiej strony dostępne były przecież pozycje, powiedzmy, „niecenzuralne”. Sam w Bibliotece UW odnalazłem, zresztą w katalogu Pańskiej Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, Wydrożenie nacji Wynnyczenki, którego radziecka encyklopedia określała jako burżuazyjnego nacjonalistę i politycznego awanturnika i skazywała tym samym na nieistnienie!*

Owszem, były takie instytucje i księgozbiory, w których nagle można było odkryć „owoc zakazany”. Były jednak pewne ideologiczne filary, które wyznaczały granicę. Stanowiły one swoisty zbiór zasad myślenia. Jeśli ktoś przyjmował, że lewicowa postawa zakłada przyjęcie zasady determinizmu historycznego, to jej odrzucenie nie było proste i łatwe.

Nie bez kozery wspomniałem o roli przypadku w moim życiu i w ogóle o przypadku w dziejach kraju czy świata. Uważam na przykład, że gdyby Michaił Gorbaczow nie został w 1985 roku sekretarzem generalnym KPZR, to system ten zapewne upadłby, ale o trzydzieści lat później i w sposób krwawy. Tak się nie stało i w tym wyraża się osobista, wielka zasługa Gorbaczowa jako postaci historycznej. Skądinąd uważam, że jest to człowiek dość ograniczony w sensie intelektualnym, który sądził, a nawet nadal tak sądzi, że system można było utrzymać, a Związek Radziecki zachować. A mimo to pięć lat jego rządów miało znaczenie dobroczynne. Jego siłą była słabość charakteru i brak zdecydowania. Wejdzie na trwałe do historii, bo nie odważył się użyć siły dla utrzymania władzy.

Politykom, mężom stanu i intelektualistom bipolarny podział świata ogromnie ułatwiał rozumienie, wyjaśnianie i porządkowanie rzeczywistości. Było wiadomo, gdzie kapitalizm, gdzie socjalizm – gdzie czarne, a gdzie białe. Byli dwaj hegemoni – Waszyngton i Moskwa – z odpowiednimi instytucjami, które ułatwiały kontrolę nad światem. Każda informacja o spotkaniu radziecko-amerykańskim była wydarzeniem obserwowanym z zapartym tchem. Nikt nie wiedział, jakie będą tego efekty. Dziś, gdy się spotyka prezydent Obama z prezydentem Miedwiediewem, nie budzi to sensacji – mało



Po uroczystości wręczenia Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski w uznaniu wybitnych zasług w służbie zagranicznej oraz pamiątkowej szpady dyplomatycznej; od lewej: były premier i marszałek sejmu, Włodzimierz Cimoszewicz, Adam D. Rotfeld, były premier Marek Belka, Pałac Prezydencki, Warszawa, 16 listopada 2010 r.

kogo to interesuje. Jest to postrzegane jako jedno z wielu podobnych spotkań. W Rosji ten dychotomiczny obraz i sposób myślenia nadal się utrzymuje. Myślą tam, że jak się spotyka Miedwiediew i Obama, to zapadają wówczas ważne decyzje. Nie zapadają. Dlaczego? Bo Stany Zjednoczone i Rosja nie są tymi samymi globalnymi mocarstwami, co przed laty. Rosja jest mocarstwem regionalnym z bronią jądrową. Stany też bardzo straciły na znaczeniu. Są nadal globalnym mocarstwem. Zachowują status „niezbędnego mocarstwa”, gdyż można sobie wyobrazić świat bez wpływu wielu innych mocarstw, ale bez Ameryki nie można...

F. R.: Co więcej, wszyscy mają wobec Ameryki wyraziste oczekiwania, jak na przykład w sprawie Libii. Zgłaszają pretensje, gdy USA się angażują i jeszcze większe, gdy się nie chcą angażować!

W Rosji sytuacja jest jeszcze bardziej złożona. Nie dość, że nie ma już ZSRR, to jeszcze pozycja Rosji się radykalnie zmieniła. Wielu wpływowych Rosjan nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wiedzą i nie chcą tego wiedzieć. Są oczywiście w rosyjskich elitach ludzie, którzy sobie z tego zdają sprawę i wywierają nacisk na Putina i Miedwiediewa, by przynajmniej „między nami” mówiło się prawdę i podejmowało decyzje nie na podstawie pobożnych życzeń, ale realiów. Ale to nie wystarcza. Wielu ludzi w Rosji uważa, że ZSRR był inną formułą istnienia imperium Romanowów, a dzisiejsza sytuacja – to inna forma kontynuacji ZSRR. Tak nie jest. Zdaniem „wiecznie wczorajszych” celem Rosji powinno być przywrócenie jej dawnej pozycji. Jednak żadne państwo nie odzyskało pozycji w wyniku deklaracji. Językiem polityki jest działanie oraz potencjały innowacyjny, gospodarczy, technologiczny i wojskowy. Jest niezliczona liczba czynników, które decydują o tym, czy państwo ma znaczenie i jaką rolę odgrywa na arenie międzynarodowej. Rosja ma nadal znaczenie z trzech różnych powodów: ze względu na broń jądrową, choć ta broń jest dziś mniej istotna, bo mało użyteczna; po drugie, ma największe zasoby ropy i gazu na świecie, co paradoksalnie poważnie hamuje jej rozwój – bo nie wymusza głębokich i prawdziwych reform; w efekcie Rosja staje się zapleczem surowcowym dla znacznej części świata. Po trzecie wreszcie, Rosja ma olbrzymie terytorium, które staje się teraz wartością samą w sobie – z uwagi na przeludnienie świata. Ma też największe zasoby wody pitnej

i wielu innych surowców oraz minerałów. Największe słabości Rosji to demografia – zmniejszająca się gwałtownie liczba ludności – strukturalne zacofanie i anachroniczny sposób zarządzania.

F. R.: *Miliony Chińczyków już z tego wyciągnęły konsekwencje!*

Ale w Rosji uważa się, że oto wyłania się nowa grupa państw, które będą światem rządzić: Brazylia, Rosja, Indie, Chiny – BRIC, a ostatnio dołączyła Afryka Południowa. Powiem wyraźnie – zanim ta grupa ukształtowała się, już przestała mieć znaczenie i odgrywać rolę. Państwa te poszukują swej roli i miejsca. Dziś większą rolę odgrywa w świecie Turcja, która do grupy BRIC nie jest zaliczana.

E. CH.: *I wiedzę o tym zdobywał Pan niejako namacalnie, bezpośrednio, bo w latach 1974-1980 uczestniczył w pracy takiej międzynarodowej instytucji jak KBWE, a potem w Międzynarodowym Instytucie Badań nad Pokojem (SIPRI) w Sztokholmie, którym kierował Pan przeszło dziesięć lat.*

Mój kontakt z tym światem prawdziwym, a nie książkowym, zaczął się dość późno. Większość moich kolegów robiła po studiach kariery dyplomatyczne lub w handlu zagranicznym. Wtedy zajmowałem się głównie redagowaniem, pisaniem, wydawaniem książek, a niekiedy przekładami dokumentów. Tak się złożyło, że byłem bodaj pierwszym, który przetłumaczył na język polski dokumenty z posiedzeń Wielkiej Trójki w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Rosjanie opublikowali swoją wersję protokołów w odpowiedzi na amerykańską dokumentację. Każda delegacja prowadziła własne zapiski. Poznanie – z rosyjskiej perspektywy – przebiegu tych spotkań miało swoją wartość.

Rosyjskim partnerem „Spraw Międzynarodowych” był periodyk „Międzynarodnaja Żyźń”, nieoficjalny organ radzieckiego MSZ. Naczelnym redaktorem tego miesięcznika formalnie był Andriej Gromyko, który w tym piśmie występował pod pseudonimem A. Sowietow, natomiast jego zastępcą, w istocie faktycznym redaktorem naczelnym był dwumetrowy książę z Osetii Szałwa Parsadanowicz Sanakojew. Zapalił się do mojego pomysłu, by uzyskać zgodę MSZ na publikację archiwalnych dokumentów oraz przesyłać je nam do tłumaczenia i równoległej publikacji protokołów z kolej-

nych posiedzeń konferencji w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Dzięki temu uzyskałem wgląd w to, jak toczyły się rokowania Wielkiej Trójki. Oczywiście była to rosyjska perspektywa – to, jak oni rozumieli i na żywo notowali wypowiedzi szefów trzech mocarstw.

W Instytucie Spraw Międzynarodowych znalazło zatrudnienie wiele osób, które z różnych powodów nie były akceptowane przez MSZ. Współpracował z PISM-em na przykład Stanisław Zabiełło, przed wojną naczelnik Wydziału Wschodniego w MSZ, przez pewien czas był też radcą ambasady polskiej w Moskwie. Nie ominęły go w 1948 roku stalinowskie represje – był na krótko aresztowany, a po Październiku podjął współpracę z Instytutem. Wydał w tych latach ważną książkę pt. *Sprawa polska w czasie II wojny światowej w pamiętnikach i wspomnieniach*. W latach 60. namówiłem go, aby recenzował kolejne tomy zbioru *Sowietskaja wnieszniaja politika (Radziecka polityka zagraniczna). Dokumenty*. Teksty dotyczyły okresu międzywojennego. Zabiełło z bliska tę politykę śledził. Jego recenzje były regularnie publikowane na łamach „Spraw Międzynarodowych” i choć minęło już 50 lat, nadal warte są lektury. Był to czas, kiedy nie miałem żadnego kontaktu z praktyką. Po roku 1968 nie mogłem również pełnić w PISM ani funkcji decyzyjnych, ani redakcyjnych. Byłem zadowolony, że mogę w ogóle pracować. Znalazłem się na marginesie, ale miałem nieporównanie więcej czasu dla siebie. W pewnym momencie zastanawiałem się nad zmianą zawodu.

A. K.: *Jak to było możliwe? Przecież zaczęła się kolejna odnowa...*

Pewnego razu, w 1973 roku wezwał mnie na rozmowę wiceminister spraw zagranicznych Jan Bisztyga. Byłem zaskoczony, bo od kilku lat nikt z pełniących funkcje kierownicze ze mną nie rozmawiał. Minister zapytał, czy mógłbym sporządzić ekspertyzę na temat perspektyw Polski po zapoczątkowaniu polityki otwarcia na Zachód, czyli po dojściu Gierka do władzy. Pytanie brzmiało: co Polska zyska na polityce otwarcia wobec Zachodu, a co straci? Powiedziałem, że mam istotne wątpliwości, czy sprostalbym tak sformułowanemu zadaniu. Nie wyczuwam już tego, co się w polityce dzieje, nie uczestniczę w żadnych poważnych dyskusjach, nie jestem dopuszczany nawet na odczyty zagranicznych gości, którzy regularnie przyjeżdżali do PISM. Jestem w sytuacji krytyka muzycznego, który ma pisać

recenzje z koncertów, na których nie może bywać. Przez pewien czas jeszcze w jego uszach brzmi muzyka słyszana wcześniej. Ale minęły lata i już nie jestem w stanie złapać tonu tej muzyki. – Umówmy się – powiedział Bisztyga – ja wyjaśnię pańską sprawę, a pan przygotuje rzetelną ocenę i prognozę. To musi być jednak napisane naprawdę uczciwie.

E. CH.: *Pojawiło się zapotrzebowanie na prawdę...*

Zdałem sobie sprawę, że najwyraźniej ci, którzy codziennie muszą podejmować decyzje, nie mają czasu na własne przemyślenia ani szansy na bezstronne spojrzenie całościowe. Wziąłem kartkę A4, położyłem w poziomie, podzieliłem na pół, wytypowałem dziesięć problemów wewnętrznych i zewnętrznych, z jakimi Polska jest konfrontowana. Przy każdej sprawie wypunktowałem pozytywy i negatywy. Na przykład polityka otwarcia wobec Niemiec: ponawiany był wówczas postulat, by Polska wyraziła zgodę na wyjazdy do RFN osób, które poczuwają się do przynależności do narodu niemieckiego. Pozytywna odpowiedź byłaby świadectwem respektowania praw człowieka i przejawem polityki liberalizmu. Równocześnie trzeba liczyć się z faktem, że gotowość do wyjazdu zadeklaruje wiele osób ze względów ekonomicznych – osób o najwyższych kwalifikacjach. Warto zatem zastanowić się, czy nie dojrzał czas, by nie zmuszać ludzi do wyrzekania się polskości za cenę zgody na wyjazd i zdecydować się na szersze otwarcie – przecież wszyscy z kraju nie wyjadą. Inny przykład: Polska jest krajem tranzytowym. Stwarza to możliwość czerpania określonych zysków za tranzyt, ale wymaga też wielkich nakładów inwestycyjnych w infrastrukturę – drogi kolejowe i trasy dla szybkiego transportu kołowego. Przede wszystkim wymaga odejścia od fikcyjnych niskich opłat pobieranych od naszych sojuszników.

F. R.: *Co się wyjaśniło w Pana sprawie?*

Po dwóch tygodniach pojawiłem się u Bisztygi z tym materiałem. Wyjaśniał moją sprawę: – Są na pana donosy, ale tego jest dużo na każdego. Na mnie też. Najgorsze jest jednak to – a są to dwie zgodne relacje – że pan obraził naszych funkcjonariuszy na służbie! Rozmawiali z panem ludzie z MSW, a pan nie tylko odmówił wszelkiej współpracy, ale porów-

nał Polskę do obozu koncentracyjnego, a funkcjonariuszy naszych służb do strażników w tym obozie.

Spojrzałem na niego zdumiony: – Czy pan uważa mnie za człowieka inteligentnego? Czy sądzi pan, że gdybym tak myślał, to znalazłbym sobie powierników w pracownikach MSW? W tym momencie uświadomiłem sobie, jak mogły powstać takie raporty. Przed siedmiu laty namawiali mnie do współpracy, a ja na różne sposoby próbowałem wyjaśnić, dlaczego do takiej współpracy się nie nadaję – nie mam psychicznych predyspozycji. Powiedziałem wówczas: – Gdybym chciał obrać sobie taką drogę życiową, to zgłosiłbym się sam. Rozwiązałyby to moje problemy mieszkaniowe. Ale to nie wchodziło i nie wchodzi w rachubę. Powiedziałem, że rozumiem potrzeby państwa; każdy kraj potrzebuje policji, strażników w więzieniach i służb specjalnych. Nie nadaję się do żadnej z tych kategorii. Jest to wykluczone. Na to oni: – My od pana niczego nie oczekujemy. Oceniamy, że jest pan osobą, która do czegoś w życiu dojdzie i pańscy koledzy, znajomi czy przyjaciele za granicą też do czegoś dojdą. Za 15, 20 lat się odezwiemy, bo niewykluczone, że taki kontakt może być dla Polski pożyteczny. (...)

Tak się złożyło, że rok wcześniej zdjęto Józefa Cyrankiewicza z funkcji przewodniczącego Rady Państwa i powierzono mu dekoracyjną funkcję przewodniczącego Polskiego Komitetu Pokoju. Jego współpracowniczką w tym Komitecie, pani Elżbieta Kolankowska poprosiła mnie o napisanie projektu pierwszego przemówienia dla Cyrankiewicza w nowej roli. (...) Po kilku dniach wręczyłem mu tekst przemówienia, z którego zresztą nie skorzystał. (...)

Wkrótce Cyrankiewicz wstawił moje nazwisko w skład delegacji, która miała wyjechać do Moskwy na Kongres Budowniczych Pokoju. Był to listopad 1973 roku. (...)

F. R.: *Na jednym wyjeździe chyba się nie skończyło...*

Niedługo potem zostałem włączony do delegacji na rokowania w Genewie, których zadaniem było uzgodnienie Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Konferencja opierała się w swej pracy na tzw. Błękitnej Księdze (*Blue-Book*) przyjętej przez ministrów spraw zagranicznych w Helsinkach. Mandat obejmował praktycznie wszystkie obszary życia – politykę i gospodarkę, sprawy wojskowe i kultu-



Adam D. Rotfeld w rozmowie z Andrzejem Olechowskim

rę. Najwięcej uwagi państwa przywiązywały do wynegocjowania zasad, którymi będą się kierować we wzajemnych stosunkach. Wśród tych zasad oraz norm kluczowe i nowe były postulaty dotyczące swobód indywidualnych, w tym kontakty między ludźmi, informacja, kultura i oświata. Wszystkie sprawy podzielono na kilka rozdziałów. Nazwano je „koszykami”. Najwięcej kontrowersji było wokół „przepływu ludzi, informacji, idei” („koszyk trzeci”). Zajmowałem się tą właśnie problematyką. W tej mierze nikt wtedy nie miał doświadczenia, nie było ekspertów. Były to sprawy zupełnie nowe – jako przedmiot negocjacji.

Na początku lat 60. – jeszcze w czasach Rapackiego – wspólnie z kolegami w PISM (Andrzejem Towpikiem i Włodzimierzem Wieczorkiem) przygotowaliśmy raport na temat bezpieczeństwa europejskiego. Opracowań takich było dużo więcej. Rosjanie w 1954 roku – po śmierci Stalina – wysunęli koncepcję zwołania Konferencji Bezpieczeństwa w Europie. Była to próba zablokowania wejścia RFN do NATO. Francja wysunęła wtedy projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej, którą zresztą francuski parlament odrzucił. Niemcy zostały przyjęte do NATO. W odpowiedzi 14 maja 1955 roku powołano Układ Warszawski.

W naszej ekspertyzie dla Rapackiego sugerowaliśmy, by nawiązać do starej koncepcji z 1954 roku i zaproponować zwołanie innej konferencji, która mogłaby zapoczątkować proces porządkowania europejskich spraw. W 1964 roku Adam Rapacki wystąpił w ONZ. Poparł radziecką propozycję zwołania europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy i dodał: – Oczywiście z udziałem Stanów Zjednoczonych i ZSRR. To krótkie sformułowanie oznaczało, że Polska opowiada się za udziałem Stanów Zjednoczonych w rozwiązywaniu problemów europejskich. Rosjanie początkowo chcieli, by konferencja była bez Amerykanów. Rapacki natomiast powiedział oficjalnie, że pozycja USA jest w Europie równoprawna do tej, jaką ma ZSRR. Po dłuższym czasie, już po normalizacji stosunków ZSRR i Polski z Niemcami Zachodnimi, droga do ogólnoeuropejskiej konferencji została otwarta. Śledziłem ten proces z pozycji analityka. Miałem świadomość, że „sprawa niemiecka” będzie mogła być rozwiązana w ramach procesu europejskiego. (...)

E. CH.: *Nasuwa się ważne pytanie: jaki był w istocie zakres zwasalizowania Polski w sferze polityki zagranicznej?*

Odpowiedzią na to pytanie jest mój rozdział w książce pt. *European Détente: A Reappraisal*, która ukazała się pod auspicjami Chatham House – Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych w Londynie w 1992 roku. Jej redaktorem był wspomniany Richard Davy. Chciał, żebym napisał, jak lata odprężenia w polityce międzynarodowej wyglądały z polskiego punktu widzenia. Podjąłem próbę takiej analizy i oceny, która miała dać odpowiedź na pytanie: Polska była krajem suwerennym czy niesuwerennym, o ograniczonej suwerenności czy totalnie satelickim? Doszedłem do wniosku, że w zależności od okresu historycznego Polska prowadziła zróżnicowaną politykę zagraniczną. W pierwszym okresie Rosjanie narzucili nie tylko ustrój, ale także własną ekipę, która tę politykę realizowała. Na ten temat napisano tomy.

Polecam dwie prace wydane w Moskwie. Przed kilkoma tygodniami ukazała się książka wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia „Memoriał” Nity Pietrowa pt. *Według scenariusza Stalina. Rola organów NKWD – MBP ZSRR w sowietyzacji państw Europy Środkowej i Wschodniej 1945-1953* (Moskwa 2011). Jak w żadnej innej monografii uzyskaliśmy dzięki autorowi udokumentowany wgląd, jak służby specjalne Berii kształtowały nowe państwo całkowicie zależne od Moskwy. Inną bezcenną publikacją w tym względzie jest zbiór dokumentów pt. *ZSRR – Polska. Mechanizmy podporządkowania 1944-1949 (SSSR – Polska. Mechanizmy podczinienia)*, która ukazała się w Moskwie w połowie lat 90. (1995).

W latach 1944/1945 całkowicie arbitralnie i na zasadzie ręcznego sterowania, terroru i strachu odbywało się kształtowanie państwa wasalnego. W tym pierwszym etapie Stalin nie miał jeszcze ostatecznie wykrystalizowanej koncepcji, jak będzie wyglądała zależność państw satelickich od Rosji. Co więcej, po roku czy dwóch okazało się, że w obozie władzy pojawiły się różne frakcje, a Gomułka miał ambicje pójścia „polską drogą do socjalizmu”. Zaangażował się też jako wicepremier w integrację ziem zachodnich i północnych. Często nie zdajemy sobie sprawy, że – niezależnie od swego charakteru autokraty i niezrozumienia czasów, potrzeb i wyzwań, przed jakimi stała Polska po wojnie – wniósł ważny wkład w umocnienie polskiej granicy zachodniej. Na temat granicy wschodniej w ogóle nie było dyskusji. W głównym zarysie została ona wytyczona w Pakcie Mołotow–Ribbentrop i po inwazji radzieckiej 17 września 1939 roku. Natomiast ziem zachodnich Polska nie otrzymałaby bez woli Stalina, który nie

tylę chciał silnej Polski, co dążył do osłabienia Niemiec powojennych. Gdyby Polska – choćby najbardziej demokratyczna – była wówczas częścią „Zachodu”, to Anglia i USA nigdy nie zgodziłyby się na oderwanie od Niemiec tak dużej części terytorium. Zachód chciał Niemcy wzmacniać. Jego przywódcy uważali, że w sposób nieuchronny zbliża się konfrontacja i starcie ze Związkiem Radzieckim. Churchill i Truman do końca starali się storpedować wstępną formułę z sierpnia 1944 roku co do przebiegu naszej granicy zachodniej. Racje polityczne i sprawiedliwość były po naszej stronie. Cena tego nabytku terytorialnego była ogromna.

F. R.: *Ale była to cena i tak już zapłacona w ogromnej części!*

Była to cena krwi i utraty ziem na wschodzie. Zasługi Gomułki w tym względzie nie są dziś należycie docenione. Jako wicepremier do spraw zagospodarowania „Ziem Odzyskanych” miał odwagę bronić przed Rosjanami gospodarki i wywożonego mienia, a zarazem tworzył warunki do zasiedlenia tych ziem przez Polaków. W późniejszych latach, gdy dowiedział się, że Rosjanie w tajemnicy rozmawiają z Niemcami i że toczy się niejawną dialog, do którego prowadzenia Chruszczow oddelegował swego zięcia, a zarazem naczelnego redaktora „Izwestij” – Adżubeja – Gomułka doszedł do wniosku, że szykuje się nowe Rapallo! Oczywiście nowe Rapallo nie było możliwe, ale Gomułka uważał, że zbliżenie niemiecko-rosyjskie odbędzie się polskim kosztem. Gdy dowiedział się, że Egon Bahr pojechał do Moskwy z poufną misją zawarcia porozumienia *O wyrzeczeniu się użycia siły*, a tylko jeden z 10 punktów jego planu miał dotyczyć potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie – to postanowił działać. 17 maja 1969 roku wygłosił w Warszawie pamiętne przemówienie, w którym wyraził gotowość rozmów z RFN bez warunków wstępnych.

Cyrankiewicz mówił o Gomułce, że to „siermiężny Piłsudski”. Opowiadał mi, że spytał Gomułkę tego dnia rano, czy kontaktował się z Rosjanami. Nieco zacietrzewiony Gomułka – według Cyrankiewicza – zareagował gwałtownie: – A oni się ze mną kontaktowali, kiedy negocjowali z Bahrem? – Ostatecznie Gomułka i Cyrankiewicz skorzystali z pośrednictwa Michała Hofmana, redaktora naczelnego Polskiej Agencji Prasowej, który przesłał tekst Gomułki do agencji TASS z prośbą, by przekazali dalej. For-

malnie rzecz biorąc, Rosjanie otrzymali tekst „przed jego wygłoszeniem”.

Gomułka nie chciał, aby polityczną i prawną podstawą granicy było porozumienie Niemiec z Rosją, a nie z Polską. Przemówienie na Żeraniu było punktem wyjścia do negocjacji polsko-niemieckich, które skończyły się praktycznie w lipcu 1970 roku. Teraz z kolei Gomułka wykazał pewną powściągliwość i mądrość polityczną. Uznał, że Polska nie powinna zawierać porozumienia przed Rosjanami. Ostatecznie Rosja podpisała swój układ 12 sierpnia, a Polska – po uzgodnieniu jeszcze kilku towarzyszących dokumentów – podpisała układ 7 grudnia 1970 roku. Paradoks czy też grymas historii sprawił, że największy życiowy sukces Gomułki zbiegł się z jego upadkiem. Człowiek, który jesienią 1956 roku miał poparcie całego narodu, odchodził w niesławie w tydzień po podpisaniu układu. Przyczyną nie była polityka zagraniczna, ale sytuacja wewnętrzna w kraju.

E. CH.: To dowodzi, że w polityce zagranicznej pole manewru było raz większe, raz mniejsze.

Zależność od Rosji była wieloraka na różnych etapach powojennej historii: całkowita w pierwszych dwóch latach, ale mniejsza w latach 1947-1948, kiedy kilku polskich polityków łudziło się, że można będzie skorzystać z planu Marshalla, co stworzyłoby dla Polski jakościowo nową sytuację. Jednak po kryzysie jugosłowiańskim i zerwaniu Josipa-Broz Tity ze Stalinem, pełnia władzy znalazła się w rękach Bieruta, całkowicie od Rosjan zależnego, wspieranego w kraju przez Bermana i Minca. Wszyscy oni odegrali bardzo negatywną rolę. Historycy twierdzą, że doradcą Bieruta był jakiś rosyjski pułkownik z NKWD, z którym w podejmowaniu decyzji Bierut się nie rozstawał. Pozycja Gomułki była całkiem inna.

Po odwołaniu Gomułki z funkcji sekretarza generalnego KC PPR Stalin przekonywał go, by pozostał w kierownictwie PZPR. Jednak Gomułka w liście odręcznie napisanym do Stalina stwierdził, że jego autorytet w partii został poderwany do tego stopnia, że nie może i nie chce pozostać w tym gronie. Gomułka był człowiekiem o silnym charakterze. Ogromnie apodyktyczny, uparty i arbitralny. Popełniał wiele błędów, ale odwaga i niezłomność w latach 40. zapewniły mu po Październiku ogromne społeczne uznanie i poparcie, jakim nie cieszył się żaden przywódca.

A. K.: *Co się zmieniło po Październiku?*

Przełomem był XX Zjazd KPZR – z marca 1956 roku. W kilka miesięcy później doszło do czerwcowego buntu i powstania robotników w Poznaniu. Oczekiwania społeczne w Polsce były ogromne. Zachód, a szczególnie socjaldemokracja europejska życzliwie reagowały na polskie zmiany. Dobrze przyjęty był nowy szef dyplomacji – socjalista Adam Rapacki – znany i szanowany na Zachodzie. Rapacki zaczął delikatną grę. Nie chciał przekraczać pewnych granic, ale w sprawach dla Polski ważnych starał się prowadzić politykę w miarę samodzielną. Fakt, że Polska brała na siebie główny ciężar werbalnej konfrontacji z Niemcami Zachodnimi był dla ZSRR wygodny. Była to gwarancja, że zależność Polski od Rosji pozostanie niezmienna. W sprawie granicy zachodniej Polska nie miała alternatywy. Moskwa była jedynym gwarantem tej granicy. Rapackiemu i Gomułce wydawało się oczywiste, że granica na Odrze i Nysie może być utrzymana tylko wtedy, kiedy Niemcy są podzielone.

Innymi słowy, Polska była niejako skazana na politykę utrwalania *status quo* i utrzymania podziału Niemiec. To trwało dość długo. Plan Rapackiego, wysunięty w 1957 i 1958 roku, a rozwinięty w roku 1962, formalnie dotyczył utworzenia w Europie Środkowej strefy bezatomowej. Obejmowałyby ona terytoria obu państw niemieckich, Czechosłowacji i Polski. Miał jednak ten plan drugie dno. Interesujące jest to, że ani opinia publiczna, ani eksperci nie wydobywali tego, co było istotą tej inicjatywy. Również obecne podręczniki historii i opracowania nie dostrzegają, że sprawa dezatomizacji tego obszaru była jedynie rakieta nośną – wehikułem.

Gomułka, Rapacki i jego otoczenie – Przemysław Ogrodziński, Manfred Lachs – nie byli ludźmi naiwnymi. Przeciwnie, reprezentowali wysoki profesjonalizm i kierowali się racją stanu tak, jak ją wtedy rozumieli. Szukali formuły, która pozwoliłaby – jak mówią Anglicy – „zjeść ciastko i mieć ciastko”. Rapacki nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone nie zgodzą się na utworzenie strefy bezatomowej w Europie. Jednak sama debata na temat statusu Europy Środkowej obejmującej RFN, NRD oraz Polskę i Czechosłowację stwarzała nowe pole manewru – płaszczyznę politycznej gry, zgodnie z którą państwa Europy Środkowej nie byłyby zależne wyłącznie od Moskwy, ale uzyskiwałyby swoisty status międzynarodowy. Oznaczało to, że jeśli dojdzie do rozmów, to Niemcy Zachodnie w jakiejś



Adam D. Rotfeld, Tadeusz Mazowiecki, Warszawa, marzec 2013 r.

pośredniej formie uznają NRD. Innymi słowy, projekt strefy bezatomowej miał utrwalić podział Niemiec oraz ustanowić w Europie obszar poddany międzynarodowej kontroli z udziałem Stanów Zjednoczonych i innych mocarstw zachodnich.

F. R.: *Co zatem było najistotniejsze w planie Rapackiego?*

Kluczowym słowem i głównym postulatem było „utrwalenie terytorialno-politycznego *status quo*”. Oznaczało to utrwalenie granic ustalonych po II wojnie światowej oraz przemian ustrojowych. Myśl Rapackiego poprzedzała w pewnym sensie koncepcję Egona Bahra, którą w 1963 roku przedstawił on w swoim przemówieniu wygłoszonym w świątyni ewangelickiej w Tutzing w Bawarii. Istotą koncepcji Bahra była ewolucja poprzez zbliżenie. Bahr postulował: by doprowadzić do przewyciężenia podziału, trzeba najpierw uznać realia, czyli akceptować *status quo*. „Nie możemy zjednoczyć Niemiec bez zbliżenia z NRD i zbliżenia z Europą Środkową”. Z kolei praktyczna realizacja koncepcji Gomułki i Rapackiego zakładała, że po zawarciu porozumień z Niemcami spełnione będą inne polskie postulaty: uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej; uznanie *de facto* NRD; uznanie układu monachijskiego za nieważny od samego początku oraz wyrzeczenie się broni jądrowej przez RFN i zaakceptowanie specjalnego statusu Berlina Zachodniego. We wszystkich tych sprawach w latach 1970-1974 zostały zawarte porozumienia. Układy te otwierały drogę do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, która odegrała wówczas fundamentalną rolę w Europie Wschodniej – zapoczątkowała proces przemian wewnętrznych. Kraje Europy Środkowej i Wschodniej przyjęły zobowiązania o charakterze wielostronnym, które z jednej strony umożliwiły stopniowe odzyskiwanie niezależności, a z drugiej – w wyniku zmian wewnętrznych – sprzyjały kształtowaniu się demokratycznej opozycji, legitymizowały jej działalność i stwarzały swoisty dla niej zewnętrzny parasol ochronny.

E. CH.: *Jak Polska te szanse wykorzystała?*

Akt Końcowy KBWE z Helsinek miał być dla Moskwy namiastką traktatu pokojowego z Niemcami. Równocześnie zobowiązania te otwierały dla

społeczeństwa Polski i innych państw naszego regionu możliwości otwarcia na Zachód – nie tylko utrwały *status quo*, ale były zapowiedzią zmiany. W istocie był to proces, którego normy i zasady odpowiadały na pytanie: *how to manage the change*, czyli jak zarządzać zmianami – jak zapewnić to, że zmiany nie wymkną się spod kontroli. Bezpieczeństwo europejskie wymagało takich ram oraz idei organizującej, które określałyby kierunki zmiany i respektowanie uzgodnionych zasad.

Językiem polityki jest działanie. Kiedy mówimy o roli Gomułki w utrwaleniu polskiej obecności na ziemiach zachodnich i północnych, to nie wolno zapomnieć o tym, że na długo przed konferencją w Helsinkach gotowość otwarcia wobec Niemiec zasygnalizowali polscy biskupi swoim orędziem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Gomułka nie chciał, by główną siłą i partnerem w rozmowach z Niemcami był Kościół. Reagował w typowy dla siebie sposób – napastliwy, obraźliwy i histeryczny. Cały 1966 rok upłynął pod znakiem rywalizacji, czy Polacy będą obchodzić *Tysiąclecie* – jak to głosił Gomułka, czy *Millenium* – jak to ujmował kardynał Wyszyński...

E. CH.: *Istotą mądrej polityki zagranicznej i chyba każdej polityki w ogóle jest reagowanie na zmiany, umiejętność dostosowania się do zmieniającego się świata – tego, który Pan nazywa „światem niepewnym”.*

Wielkimi politykami i mężami stanu są przywódcy, którzy nie tylko reagują, ale kreują – są nie tyle reaktywni, co kreatywni. Od 1989 roku główną kategorią w polityce, słowem-kluczem nie jest *status quo*, jak to było w czasie zimnej wojny, ale zmiana. Prawdziwa polityka zagraniczna nie może być tylko dostosowywaniem się do zmian. Musi je wyprzedzać i nimi sterować. Zmiany mogą przecież potoczyć się w różnych kierunkach. Ewenementem jest to, że zmiany w naszym regionie miały przebieg pokojowy i w zasadzie bezkrwawy. Ale przecież mogło zdarzyć się inaczej. Dowodem choćby wojna na Bałkanach czy niewygaszone konflikty na Kaukazie Północnym.

Bezpieczeństwo dla wielu polityków jest tożsame ze stabilnością. Z kolei stabilność często mylą ze stagnacją. Sytuacja w krajach arabskich była w oczach tych polityków bardzo stabilna. Nie zrozumieli w porę, że w całym świecie arabskim pod powierzchnią narasta wybuch. Inaczej było w naszej części świata. Gorbaczow miał odwagę powiedzieć, że król jest nagi i zmiana jest konieczna – czas na pieriestrojkę. Nie chciał jednak zmieniać

systemu. Jego ambicją i celem było ten system ulepszyć, ale uruchomił proces, który prowadził do zmiany znacznie głębszej.

Jelcyn był zaprzeczeniem Gorbaczowa. Uważał, że ten system wyczerpał swoje siły motoryczne i wymaga radykalnego zerwania z komunistyczną przeszłością. Dziś świat i Rosja stoją przed innymi wyzwaniami. Jeśli mamy uniknąć globalnego kryzysu, to stoimy wobec konieczności wyprzedzania zmian. O całym systemie światowym nie decydują dziś zmiany między państwami, lecz te, które zachodzą wewnątrz państw. Stany Zjednoczone są słabsze nie dlatego, że przegrywają jakieś wojny, bo przecież militarnie są w stanie z każdym wojnę wygrać. Są one słabsze wewnętrznie. Huragan Katrina uświadomił Amerykanom, że USA są nadal potężne, ale nie są już wszechpotężne. Rosja nie dlatego jest słabsza, że ma za mały potencjał broni jądrowej, ale dlatego, że jej system wewnętrzny, sposób zarządzania społeczeństwem i gospodarka nie nadążają za potrzebami wewnętrznymi i za innymi krajami. Polska nie dlatego jest dziś silniejsza, że ma potężną armię, bo przecież nie ma, ale polska gospodarka okazała się bardziej elastyczna niż w innych państwach Unii i niż wielu przypuszczało. Sprawia to, że Polska liczy się w Europie i na świecie bardziej, niż miało to miejsce w przeszłości. O naszej pozycji stanowią dziś mądre sojusze – Unia i NATO – oraz przyspieszony rozwój. Wypadamy dobrze – nie tylko na tle innych państw naszego regionu, ale w skali ogólnoeuropejskiej.

Powtarzam – sprawy wewnętrzne mocniej dziś wpływają na stosunki międzynarodowe niż odwrotnie. Wielu ekspertów i polityków nie uwzględnia tego w swoich prognozach dotyczących przyszłości świata. Chiny stały się światowym mocarstwem nie tyle dzięki potencjałowi militarnemu, który nadal ustępuje potencjałowi raketowo-jądrowemu Rosji, ani dlatego, że mają wielkomocarstwowe ambicje, ale dlatego, że ich gospodarka odnotowuje od wielu lat rocznie dziesięcioprocentowy wzrost. To samo dotyczy Brazylii i Indii. Państwa te ani oddzielnie, ani łącznie nie zdobyły do tej pory tej pozycji, jaką ciągle zajmują Stany Zjednoczone. Trzeba pamiętać jednak, że o ich przyszłości zadecyduje ich rozwój wewnętrzny. Dotyczy to również Unii Europejskiej. Jeśli Unia nie zdoła rozwiązać kryzysu w Grecji, to nie można wykluczyć, że rozpocznie się powolny proces dezintegracji i marginalizacji Europy. Doświadczenia 60 lat i fakt, że Unia wykazała nadspodziewanie wielką elastyczność na wszystkich etapach swojego rozwoju

ju, budzą nadzieję i optymizm. Unia jest w istocie w skali świata jakością – wo zupełnie nowym doświadczeniem – jest to zwierzę polityczne, którego w historii jeszcze nie było. Jednak nic nie jest przesądzone czy dane raz na zawsze.

E. CH.: *To jakie perspektywy ma Unia Europejska? I co nam jeszcze zgotuje XXI wiek w sensie globalnym?*

Fakt, że Unia funkcjonuje, jest swoistym cudem. Nikt nie wyobrażał sobie, że jest możliwa wspólna waluta bez wspólnej polityki fiskalnej. W Unii Europejskiej to jakoś funkcjonowało. To nie znaczy, że taki fenomen jest trwały i będzie funkcjonować w przyszłości. Mówię o tym w kontekście polityki zagranicznej. Narzuca się pytanie, czy jest możliwa wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwo, jeśli państwa unijne w obu tych obszarach nadal utrzymują własne polityki narodowe? Wspólna polityka zagraniczna wymaga poczucia wspólnoty opartej na nowej europejskiej tożsamości. Otwarte pozostaje pytanie: czy Europa dojrzała do tego typu wspólnotowego myślenia? W tej mierze czynnikiem rozstrzygającym może okazać się sytuacja kryzysowa i wspólne zagrożenie. Musimy być innowacyjni i kreatywni, by reagować w sposób skuteczny i adekwatny do nowych rodzających się niebezpieczeństw.

Główną sprzeczność współczesnego świata upatruję w trudności harmonijnego ułożenia stosunków między narodami i państwami – z jednej strony oraz społeczeństwami i społecznością międzynarodową – z drugiej. Sprzeczności i napięcia między tymi fundamentalnymi kategoriami: organizacją narodowo-państwową a otwartym społeczeństwem i społecznością międzynarodową zapewne określą przyszłość świata.

Świat zmienia się znacznie szybciej niż nasza zdolność percepcji i przetwarzania tych zmian. Nie uświadamiamy sobie do końca, jak rewolucyjne znaczenie dla polityki zagranicznej mają niewyobrażalnie duże możliwości równoczesnego przenoszenia informacji do miliardów odbiorców. Warto pamiętać, że kluczowa dla rozwoju gatunku *homo sapiens* była i pozostaje zdolność do niegenetycznego przekazywania informacji. Powszechny dostęp do tych informacji zmienia sposoby podejmowania decyzji i „odczarowuje” swoisty urok władzy, która od czasów faraonów dysponowała monopolem informacyjnym. Polityka przestała być wyłączną domeną dy-

plomatów i zawodowych polityków. Państwo straciło monopol i kontrolę nad procesem kształtowania stosunków między narodami. Tworzą się nowe sieci społecznościowe i społeczności informatyczne. Procesowi integracji towarzyszy nie tylko fragmentaryzacja, ale atomizacja społeczeństw. Są to procesy nie tylko ważne, co groźne. Ich skutków nie jesteśmy w stanie do końca przewidzieć.

Źródłem zagrożeń są dziś w większej mierze państwa słabe i upadłe niż wielkie mocarstwa. Obszary niekontrolowanej biedy są większym zagrożeniem niż silne potęgi militarne. Ogniska zapalne we współczesnym świecie są często wynikiem działania jednostek i pozarządowych struktur, które wymykają się spod kontroli, a nie – jak to było w przeszłości – zorganizowane i silne agresywne państwa. Niekonwencjonalne zagrożenia wymagają niekonwencjonalnych odpowiedzi.

F. R.: Ślepotą naszych polityków i naszych mediów jest czasami zawstydzająca. Żadna gazeta nie zauważyła – moim zdaniem – najważniejszego wydarzenia w czasie wizyty Obamy w Polsce, a mianowicie obecności na spotkaniu prezydentów także Janukowycza. To niemal demonstracja niezależności Kijowa od Moskwy.

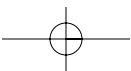
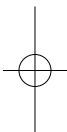
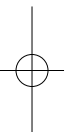
Dotknął Pan ważnej kwestii, mianowicie nie tyle tabloidyzacji, co infantylizacji prasy i politycznych komentatorów. Jest to zjawisko bardziej niepokojące niż tabloidyzacja. Infantylizacja wyraża się w połączeniu niskiego poziomu profesjonalizmu z brakiem odpowiedzialności. Jeden z publicystów na łamach poważnej gazety pisze, że Polska popełniła błąd w czasie drugiej wojny światowej, bo zamiast Hitlerowi – udzieliła poparcia Stalinowi. Gdyby bowiem Hitler zwyciężył z naszym poparciem, to przyjmowalibyśmy wspólnie defiladę na Placu Czerwonym... Inny z kolei dowodzi, że wartość powstania warszawskiego polega na tym, że... powstrzymało pochód Stalina na Zachód. Zapewne nie wie, że taki właśnie był ton antypolskiej propagandy Stalina, który tym argumentem uzasadniał powstrzymanie ofensywy na prawym brzegu Wisły.

Można powiedzieć, że myślenie ma przyszłość, ale głupota jest bezgraniczna. Środki masowego przekazu, a zwłaszcza internet otworzyły tamę, którą wyznaczało kiedyś poczucie odpowiedzialności autora i redaktora. Anonimowość komentarzy w internecie w połączeniu z nieograniczonym

dostępem do informacji dawniej tajnych oraz wrażliwych danych sprawiają, że ta forma komunikowania się urasta do rangi nowego źródła zagrożeń...

E. CH.: *Jeszcze, Panie Profesorze, niejedną brednię przeczytamy i usłyszymy. Na to chyba nie ma rady. My ze swej strony pięknie dziękujemy za to, że przyjechał Pan specjalnie do Krakowa, aby z nami porozmawiać.*

Pierwodruk: *Świat okazał się inny niż myśleliśmy*. W serii „Trzech na jednego” – z A. D. R. rozmawiali E. Chudziński, A. Komorowski, F. Retkowski, „Zdanie”, 3-4/2011.



Indeks osób

A

Albright Madeleine 13, 57, 58, 205, 207, 39, 350
 Aleksander I 231
 Aleksander II 74
 Aleksander III 222
 Alexander Michael 128
 Alijew İlham 233
 Allerhand Leszek 306
 Allerhand Maurycy 306
 Aron Raymond 20, 231, 251
 Arystoteles 11, 240, 252
 Arzumanian Anuszawan 186
 Asad Baszar al 233
 Attlee Clement 36

B

Bahr Egon 189, 446, 450
 Bahr Jerzy 353-356
 Baker George 162, 164
 Balcerowicz Leszek 134
 Bartoszewski Władysław 30, 282, 307, 319, 325, 338
 Bauer Otto 215, 303
 Bauman Zygmunt 67, 113, 120, 393, 393, 433
 Bąbiak Grzegorz P. 296
 Belka Marek 129, 130, 132, 133
 Benedykt XVI 335
 Berger Bronisława 426
 Beria Ławrientij 322, 323
 Berlin Isaiah 266, 267
 Berlusconi Silvio 11, 20, 342
 Bierdiajew Nikołaj 188
 Biernacki Marek 427
 Bierut Bolesław 191, 447
 Bierzanek Remigiusz 120, 122, 432, 435
 Biessmiertnych Aleksander A. 165

Bismarck Otto von 303
 Bisztyga Jan 353, 340, 341
 Bloch Jan Gotlieb 9, 23, 45, 82, 293-301
 Boni Michał 37, 134
 Boniecki Adam 335
 Boratyński Stefan 118, 183, 184, 389, 428
 Borodziej Włodzimierz 14, 124
 Borowczyk Jerzy 85
 Brandt Willy 81, 189, 194, 255
 Browne Desmond 59, 181
 Brykczyński Paweł 26
 Bryła Jerzy 356
 Brysacz Piotr 211
 Brzeziński Zbigniew 9, 41, 86, 161, 190, 191, 334, 339, 346-352
 Bucharin Nikołaj 107, 230
 Budzik Stanisław 335
 Buhler Pierre 43, 59
 Burkhalter Didier 182, 204
 Bush George 88, 330
 Bush George W. 273, 333, 350
 Bykow Oleg 186

C

Carter Jimmy 334, 349
 Chameides Kalman 306
 Chameides Leon 371
 Chirac Jacques 25
 Chłapowski Dezydery 300
 Chmielnicki Bohdan 212
 Chodorkowski Michał 16
 Chruszczow Nikita 18, 107, 108, 186, 216, 446
 Chudziński Edward 413
 Churchill Winston 26, 36, 86, 185, 189, 194, 286, 446
 Chwałba Andrzej 300
 Cimoszewicz Włodzimierz 22, 32, 129, 132, 133, 134, 139

Ciosek Stanisław 139
 Clark Christopher 14
 Clinton Bill 350, 391
 Clinton Hillary 170
 Cyceron 11, 104, 251
 Cypko Aleksander 108
 Cyrankiewicz Józef 386, 400-405, 442, 446
 Cyryl I 202, 265
 Czapski Józef 84
 Czernomyrdin Wiktor 139
 Czerski Jan 295

D

Danył (Tymczyna), Daniel 307, 313, 363, 421
 Davy Richard 128, 445
 Dąbrowa Sławomir 118, 386, 388, 427, 429
 Deutsch Karl 42
 Dłuski Ostap 120, 432
 Dmowski Roman 28, 30, 82
 Dubček Alexander 108
 Dynkin Aleksander 176
 Dzierżyński Feliks 323
 Dziwisz Stanisław 335

E

Einstein Albert 80
 Eisenhower Dwight 289
 Elzenberg Henryk 339
 Engels Friedrich 109, 129
 Erdoğan Recep 10, 22, 90

F

Fichte Johann Gottlieb 66, 266
 Fredro Aleksander 304
 Frieze Donna-Lee 320
 Fromm Erich 11, 436

G

Garibaldi Giuseppe 303
 Gaulle Charles de 36, 195
 Gawalewicz Marian 297
 Gąsiorowski Waclaw 297
 Geremek Bronisław 30, 57, 67, 207, 228, 249-251, 267, 282

Giedroyc Jerzy 37, 76-84, 343, 344
 Gierek Edward 403, 405
 Głowacki Aleksander 299
 Gombrowicz Witold 187
 Gomułka Władysław 26, 191, 225-226, 401, 402, 445-448, 451
 Gorbaczow Michaił 15, 88, 107, 108, 156, 162-165, 171, 187, 188, 436, 451, 452
 Gostyńska Eugenia 382, 383
 Górny Maciej 14
 Grass Günter 81, 251
 Gromyko Andriej 124, 184, 439
 Gronicki Mirosław 130, 133
 Grossman Wasilij 50, 251, 263
 Gryzłow Borys 139
 Grzybowski Konstanty 435
 Gurion Ben 114, 115

H

Haffner Sebastian 244
 Hartwig Julia 243
 Hausner Jerzy 37, 134
 Heine Heinrich 66, 266
 Heller Michał 72, 343
 Hertz Aleksander 82
 Hertz Zofia 82, 84
 Hipokrates 345
 Hirschfeld Ludwik 339
 Hitler Adolf 11, 86, 188, 211, 242, 263, 323, 340, 368, 370, 454
 Hochfeld Julian 120, 432
 Honczar Ołeś 406
 Howard Michael 293-294, 300
 Hruszewski Mychajł 73
 Hrycekowa Janina 360
 Hurd David 165
 Husajn Saddam 233, 273

I

Infeld Leopold 339
 Ingarden Roman 339
 Inoziemcew Nikołaj 186
 Ischinger Wolfgang 59, 181, 347, 348

Iwan Groźny 156
Iwanow Igor 59, 181

J

Jabłoński Henryk 403
Jagoda Gienrich 323
Jan Paweł II 9, 94, 96, 209, 241, 253, 310,
329-342, 363, 364, 414
Janukowycz Wiktor 138, 139, 147, 200,
219, 220, 233, 272, 273, 274, 342,
454
Jaroszewicz Piotr 403
Jasica Roman 120
Jawliński Grigorij 18
Jazow Dmitrij 164
Jelcyn Borys 15, 16, 18, 90, 108, 142, 144,
146, 151, 156, 171, 188, 231, 275, 452
Jermonski Andriej 187, 344
Jeżow Nikołaj 323
Józefiak Hanna 362
Judt Tony 113, 114
Jurgens Igor 176, 181
Juszczenko Wiktor 139, 147, 217, 227,
280, 342

K

Kaczyński Jarosław 28
Kaczyński Lech 121, 130, 199
Kahane David 307
Kamieniew Lew 107
Kampelman Max 334
Kant Immanuel 66, 266
Kapuściński Ryszard 241
Karaganow Siergiej 175, 181, 278
Karski Jan 9, 47, 190, 325-327, 364, 431
Katarzyna II 19, 156, 214, 231
Kenarowa Halina 424
Kennan George 24
Kiryłuk Stanisław 120
Kissinger Henry 61, 161, 339, 341, 339,
314
Klafkowski Alfons 194
Klasa Józef 427
Kleiber Michał 130, 133

Klemperer Victor 11
Kliszka Zenon 120
Kluczkowski Jacek 139
Kohl Helmut 164
Kolankowska Elżbieta 401
Kołakowski Leszek 67, 105-134, 392, 393,
433
Kołodziejczyk Ryszard 296, 299
Komorowski Adam 413
Komorowski Bronisław 226
Konopacki Andrzej 122
Konwicki Tadeusz 187
Korosadowicz Maria 426, 427, 430
Kowalow Anatolij 127
Kowcz Omelan 311
Kozyriew Andriej 145-146
Kraszewski Józef Ignacy 297
Krawczuk Leonid 15, 73, 225, 432
Kremer Andrzej 199
Kruczkowski Adam 120, 184, 390, 432,
433
Kruczkowski Leon 120, 432
Kubasiak Piotr 269
Kubiš Ján 139
Kuczma Leonid 139, 225
Kudrin Aleksiej 19
Kuroń Jacek 30
Kuzik Ławrenty 313
Kuźniar Roman 8, 207, 321, 341
Kwaśniewski Aleksander 27, 79, 80, 91,
129, 133, 134, 138, 139, 144, 147, 333,
348

L

Lachs Manfred 194, 448
Larek Michał 85
Lazari Andrzej de 230
Le Pen Marine 11, 32
Lebiedź Aleksander 99, 145
Lemkin Rafał 9, 317-324
Lenin Włodzimierz 37, 106-110, 188, 229,
230, 232, 408, 410, 418
Lewin Jecheskiel 306
Lipski Jan Józef 30

Ł

Ławrow Siergiej 92, 153, 159, 167, 348, 355
 Łukaszenka Alaksandr 15, 233
 Łukjanow Fiodor 206

M

Macharski Franciszek 335
 Machiavelli Niccolò 240, 252
 Magyar Bálint 16
 Major John 164
 Majski Iwan 86
 Malecka Anna 296
 Mann Tomasz 251
 Manteuffel Tadeusz 339
 Márjai Sándor 251, 253
 Marks Karol 109, 110, 229
 Mazowiecki Tadeusz 30, 129, 130, 133, 283
 McFaul Michael 64, 348
 Meller Stefan 394
 Messner Jewgienij Eduardowicz 179
 Michalik Józef 202, 265, 337
 Michnik Adam 187
 Miedwiediew Dmitrij 140, 141, 156, 157-
 159, 175, 348, 436, 438
 Mieroszewski Juliusz 72, 79, 84, 286
 Mikołaj I 231
 Mikołaj II 112
 Miller Leszek 129, 132
 Miloševic Slobodan 36
 Miłosz Czesław 26, 37, 398
 Mitterrand François 165
 Mitzner Piotr 343
 Modzelewski Karol 252
 Moltke Helmut James von 242
 Monnet Jean 24, 94
 Morawiecki Jędrzej 211
 Muszyński Henryk 335

N

Nagórski Wojciech 120
 Nahlik Stanisław E. 433, 435
 Narutowicz Gabriel 26, 29
 Nawalny Aleksiej 18
 Nazarbajew Nursułtan 233

Niemcow Boris 18

Nolte Ernst 254, 322
 Nowak Jerzy M. 118, 388, 427
 Nowak-Jeziorański Jan 37
 Nunn Sam 59

O

Obama Barack 47, 62, 90, 149, 273, 325,
 431, 436, 438, 454
 Ochab Edward 401
 Oded Amaran 371
 Ogrodziński Przemysław 448
 Okularczyk Halina 435
 Olechowski Andrzej 282
 Olivier Spencer 334
 Olszowski Stefan 123, 124, 125
 Orbán Viktor 16, 20, 31, 32
 Osadczyk Bohdan 73
 Osóbka-Morawski Edward 191

P

Pahlavi Reza 350
 Pasternak Borys 73
 Pasza Talaat 320
 Perón Juan 98
 Persson Göran 228
 Petlura Symon 320
 Piasecki Bolesław 26, 28, 78, 192
 Piekarski Edward 295
 Pieronek Tadeusz 356
 Piłsudski Józef 26, 28, 82, 212, 402
 Piotr Wielki 19
 Platon 11, 240, 252
 Pohlmann Lili 306
 Pomianowski Jerzy 80, 213, 343-345
 Poroszenko Petro 226
 Pot Pol 322
 Potoczek Stanisław 116, 426, 427
 Primakow Jewgienij 16, 17, 148, 168, 187
 Prus Bolesław 49, 260, 297-300
 Przewoźnik Andrzej 199
 Puszkina Aleksander 233, 343
 Putin Władimir 10, 15, 16, 18, 19, 20, 22,
 55, 61, 62, 64, 89, 90, 91, 136, 142,

143, 144, 155, 156, 178, 179, 188, 189,
204, 219, 220, 222, 231, 233, 235,
260, 261, 270, 273, 274, 278, 438

R

Rapacki Adam 122, 123, 424, 444, 448, 450
Rasmussen Anders F. 160, 170
Ratkowski Filip 413
Razmierow Władimir 186
Renner Karl 215, 303
Rice Condoleezza 35
Roald Hoffmann 366
Robespierre Maximilien de 266
Roosevelt Franklin Delano 86, 185, 286,
364
Rosati Dariusz 282
Rothfeld Adolf 362
Rothfeld Józef 362
Rothfeld Leon 362
Rothfeld Maurycy Wilhelm 362
Rotfeld-Łobanow Alina 371, 376, 377, 379,
422-425
Rylski Eustachy 256, 314, 327
Rysiak Gwidon 435
Ryszka Franciszek 435
Ryś Grzegorz 335

S

Sadecki Jerzy 353
Sanakojew Szałwa Parsadanowicz 184, 439
Sartre Jean-Paul 436
Saryusz-Skapski Andrzej 199
Schelling Friedrich Wilhelm Joseph von
66, 266
Schindler Oskar 313, 314
Schlaffenberg Bruno 426-427
Schumann Robert 94
Seinfeld Adam 380, 382
Siemiradzki Henryk 295
Sienkiewicz Bartłomiej 228
Sienkiewicz Henryk 320
Sieroszewski Wacław 295
Sierow Iwan 28, 312
Sikorska-Rotfeld Barbara 367, 370

Sikorski Władysław 86
Sikorski Zygmunt 101
Skubiszewski Krzysztof 30, 78, 79, 99,
194, 283, 286, 435
Slipyj Josyf 310, 316
Słonimski Antoni 30, 119
Smolar Aleksander 171
Smoleński Paweł 347
Snowden Edward 48, 258
Snyder Timothy 11, 19, 21
Solana Javier 25, 160, 168, 169
Sołowiow Władimir 188
Sołozobow Jurij 161
Sołżenicyn Aleksander 15, 74, 343
Spasowski Romuald 353
Stalin Józef 15, 18, 26, 28, 76, 86, 106,
107, 110, 115, 150, 185, 188, 190, 192,
194, 195, 2015, 216, 229, 230, 232,
262, 263, 264, 286, 301, 315, 322,
323, 333, 368, 373, 380, 410, 444,
445, 447, 454
Starynkiewicz Sokrates 299
Stasiński Maciej 13
Steinhaus Hugo 339
Stek Marko 313
Stołypin Piotr 19, 112, 188, 232
Stresemann Gustav 275
Stützle Walther 189
Supagin Leontij 126
Szekspir William 79
Szeptycka Zofia 304
Szeptycki Aleksander 304
Szeptycki Andrzej (Roman) 9, 303-316,
366, 372, 373, 411, 412, 414, 418
Szeptycki Jan Kanty 304
Szeptycki Klemens (Kazimierz) 9, 303-316,
336, 366, 372, 373, 411, 412, 418
Szeptycki Leon 304
Szeptycki Stanisław 304
Szewczenko Taras 73, 314, 315
Szlajfer Henryk 139, 207
Sztucki Jerzy 120, 393
Szuskiewicz Stanisław 15
Szwarcbard Szolem 320

T

Tagliavini Heidi 100
Tehlirian Soghomon 320
Thatcher Margaret 340
Thee Marek 393-394, 433-434
Tischner Józef 230
Tito Josip-Broz 447
Tiutczew Fiodor 92
Tokarska-Bakir Joanna 29
Tomala Mieczysław 120
Tomaszewski Dmitrij 185, 186
Torańska Teresa 101, 358, 359
Towpik Andrzej 123, 427, 435, 444
Trocki Lew 107, 230
Trump Donald 11, 42, 278
Turowicz Jerzy 30
Turski Marian 21, 185
Tuwim Julian 30, 119
Twain Marek 103, 417
Tymoszenko Julia 139, 224, 279-280, 342

U

Unger Leopold 72, 84

W

Wajda Andrzej 265
Wałęsa Lech 286
Wasilewska Wanda 28, 418

Wasył III 222

Weber Max 240, 252
Weizsäcker Richard von 243, 248
Wieczorek Włodzimierz 123, 444
Wielopolski Aleksander 300
Wieth Irmgard 306
Wiewióra Bolesław 194
Winnicka Iroida 313
Włodkowiec Paweł 43
Wojciechowski Marcin 71, 105, 329
Wolff-Powęska Anna 11, 237-256
Worobjow Arkadij 99
Wyszyński Stefan 198, 451

Z

Zabiełło Stanisław 120, 191, 192, 440
Zaborowski Marcin 183
Zajączkowski Wojciech 139
Zaleski August 23, 44
Zanussi Krzysztof 234
Zedong Mao 106, 322
Zinowiew Grigorij 107, 230
Zola Emil 29

Ż

Żelazko Rudolf 427-428
Żor Andrzej 296
Życiński Józef 84, 335

W POSZUKIWANIU STRATEGII

TEKST Adam Daniel Rotfeld
REDAKCJA Edyta Banaszekiewicz
KOREKTA Małgorzata Broda
PROJEKT GRAFICZNY Andrzej Barecki

ZDJĘCIA z archiwum Autora
ZDJĘCIE NA OKŁADCE Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Szkic portretu Adama D. Rotfelda na s. 6 – Andrzej Okińczyc

PRZYGOTOWANIE ILUSTRACJI DO DRUKU
Studio Kolor, Rudna Mała

DRUK
Drukarnia Skleniarz, Kraków
Printed in Poland

ISBN 978-83-7576-378-2

Wydanie I
Olszanica 2018

© Copyright by Wydawnictwo BOSZ
© Copyright for text by Adam Daniel Rotfeld

Autor dziękuje władzom Wydziału „Artes Liberales”
Uniwersytetu Warszawskiego i dyrekcji Polskiego Instytutu Spraw
Międzynarodowych za pomoc w powstaniu publikacji.

WYDAWCA
BOSZ Szymanik i wspólnicy sp. jawna
38-722 Olszanica 311
Biuro: ul. Przemysłowa 14, 38-600 Lesko
tel. + 48 13 469 90 00, 469 90 10
tel./faks + 48 13 469 61 88
e-mail: biuro@bosz.com.pl
www.bosz.com.pl

BOSZ

